

Lavondyss

A novel of the
Mythago Cycle



ROBERT HOLDSTOCK

ROBERT HOLDSTOCK

LAVONDYSS

PODRÓŻ DO NIEZNANEJ KRAINY

(LAVONDYSS: REALM OF FIRE)

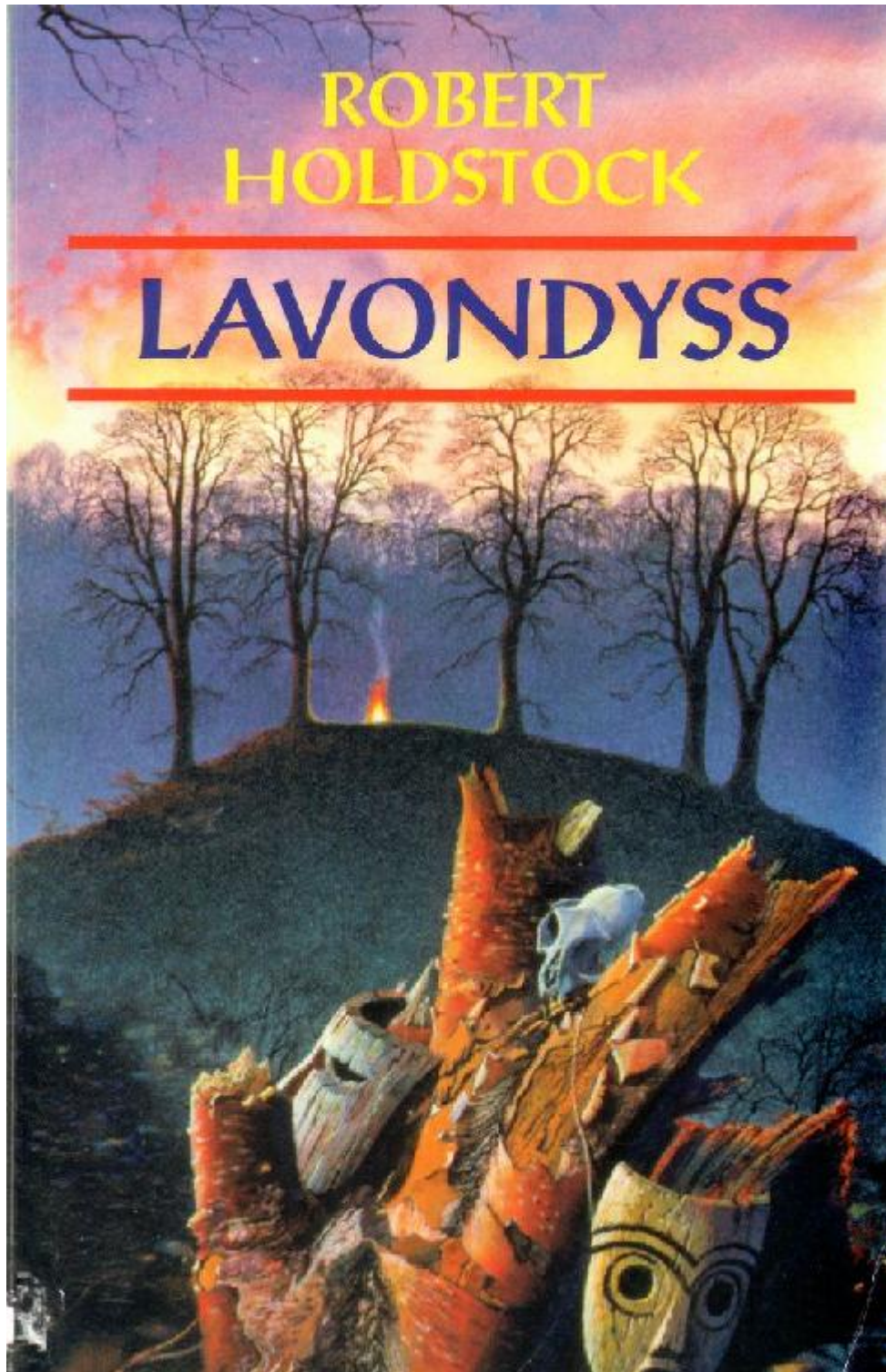
Przełożył: Michał Jakuszczyński

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Wydawnictwo: Zysk i S-ka 1997

ROBERT
HOLDSTOCK

LAVONDYSS



SPIS TREŚCI

KARTA TYTUŁOWA

COVER

DEDYKACJA

CZĘŚĆ PIERWSZA STARE ZAKAZANE MIEJSCE...

GABERLUNGI

DRAŻĄCA

II

III

SINISALO

II

III

IV

V

VI

FALKENNA

SKOGEN

II

CUNHAVAL

MORNDUN

II

III

IV

CZĘŚĆ DRUGA W NIEZNANEJ KRAINIE...

KRAINA PTASICH DUCHÓW

SREBRZYNEK

KSIĘŻYCOWY SEN

DAUROG

II

III

LAMENT

KODA ŚNIĘ W MYM ŚNIE WSZYSTKIE...

KODA

*Dla George'a, Dotothy, Douglasa, Mercy i Rity –
Najwspanialszych gawędziarzy!
Nie jesteście daleko.*

*Czy wążysz się, o duszo,
Pójść ze mną na obszar nieznany,
Gdzie ścieżek nie znajdziesz ni gruntu pod stopami?
Walt Whitman, Czy wążysz się duszo*

CZĘŚĆ PIERWSZA

Stare zakazane miejsce

W Krainie Ptasich Duchów plonie ogień.
Me kości tłą się. Muszę tam powędrować.
Szamańska pieśń snu
(około 10 000 p.n.e.)

GABERLUNGI

Biała Maska

Jasny księżyc wiszący nisko nad Kurhanowym Wzgórzem oświetlał okryte całunem śniegu pola, sprawiając, że zimowy krajobraz zdawał się jarzyć bladą poświatą. W wymarłej okolicy nie było na czym zatrzymać oka, lecz zarysy pól były wyraźne, odgraniczone rzucanymi przez blask księżyca cieniami mrocznych dębowych żywopłotów, które je otaczały. W oddali, z cienia otaczającego łąkę noszącą nazwę Pniaki, ponownie zaczął się wyłaniać widmowy kształt, który przeszedł ukrytą ścieżką wiodącą wzniesieniem gruntu, a następnie skręcił w lewo, by skryć się między drzewami. Tam się zatrzymał, ledwie teraz widoczny dla starego człowieka, który obserwował go z farmy Stretley. On również mu się przyglądał. Płaszcz, który miał na sobie, był ciemny, a kaptur zsunięty nisko na twarz. Gdy poruszył się po raz drugi, zbliżając się do budynku, zostawił czarny las za sobą. Garbił się, być może na skutek bożonarodzeniowego chłodu. Tam, gdzie przeszedł, zostawiał w świeżym śniegu głęboką bruzdę.

Czekając u bramy farmy na moment, który – jak już wiedział – musiał z pewnością nadejść, Owen Keeton usłyszał, że jego wnuczka się rozplakała. Zwrócił się w stronę ciemnej ściany domu i zaczął nasłuchiwać. Łkanie na chwilę tylko zakłóciło ciszę. Może niemowlęciu coś się śniło, bo po chwili znów zapanował spokój.

Keeton wrócił po własnych śladach przez ogród, wszedł do ciemnego domu i strzepnął śnieg z butów. Następnie skierował się do największego pokoju, poruszył metalowym pogrzebaczem kłody w kominku, aż płomienie rozpały się ponownie, podszedł do okna i wyjrzał na szosę do

Shadoxhurst, wioski położonej najbliżej farmy. Niewyraźnie, w wielkiej dali, słyszał śpiewane kolędy. Spojrzawszy na zegar wiszący nad kominkiem, zdał sobie sprawę, że przed dziesięcioma minutami zaczęło się Boże Narodzenie.

Wbił wzrok w zawierający legendy i ludowe opowieści tom, który leżał otwarty na stole w pokoju. Druk był bardzo wyraźny, grube stronicie wykonane z papieru dobrej jakości, a wielobarwne ilustracje piękne. To była książka, którą kochał. Miała być jego prezentem dla wnuczki. Obrazy rycerzy i bohaterów dawały mu natchnienie. Walijskie brzmienie imion i nazw budziło w nim nostalgię za utraconymi miejscami i zaginionymi echami młodości spędzonej w górach Walii. Epickie opowieści wypełniały mu głowę szczękiem oręża, zawołaniami wojennymi oraz szelestem liści i ptaków na polanach nawiedzanych lasów.

Teraz w książce znalazło się też coś innego, co napisano na białych polach otaczających druk: list. Jego list do dziecka.

Wrócił do początku owego listu, do miejsca, gdzie zaczynał się rozdział mówiący o Arturze, wodzu Brytów. Przemknął szybko oczyma po słowach:

Moja droga Tallis, Jestem starym człowiekiem, który pisze do ciebie w zimną, grudniową noc. Zastanawiam się, czy będziesz kochała śnieg tak bardzo jak ja. A także ubolewała nad tym, jak skutecznie potrafi on uwięzić. W śniegu kryje się dawna pamięć. Dowiesz się tego we właściwym czasie, gdyż wiem już, skąd przychodzisz...

Ogień dogasał. Keeton drżał z zimna mimo płonącego kominka i grubego płaszcza, który miał na sobie. Wpatrywał się w ścianę odgradzającą go od pokrytego śniegiem ogrodu, pól i zmierzającej ku niemu zakapturzonej postaci. Poczuł nagle gwałtowną potrzebę ukończenia listu, sfinalizowania go. Była to swego rodzaju panika. Złapała go za serce i żołądek. Ręka, którą sięgnął po pióro, drżała. Tykanie zegara rozległo się

głośniej, lecz oparł się pragnieniu wpatrywania się w niego i śledzenia upływu czasu. Miał go tak mało, tak niewiele minut...

Musiał skończyć list, i to szybko. Nachylił się nad stroną i zaczął wciskać słowa na wąski margines:

Przywołujemy do życia duchy, Tallis, i one tłoczą się na skraju pola widzenia. Są mądre mądrością, którą wciąż posiadamy, choć o niej zapomnieliśmy. Ale las jest nami, a my jesteśmy lasem! Dowiesz się tego. Poznasz nazwy. Poczujesz woń owej pradawnej zimy, bez porównania okrutniejszej niż zwykły śnieg na Gwiazdkę. A gdy tak się stanie, wkroczysz na stary i ważny szlak. Ja ruszyłem nim pierwszy, zanim mnie opuściły...

Pisał dalej, odwracając stronicę i wypełniając marginesy. Łączył własne słowa skierowane do śpiącego dziecka z tekstem baśni, wykuwając więź, która w przyszłości pewnego dnia miała się stać dla dziewczynki cenna.

Gdy skończył, osuszył atrament chusteczką i zamknął książkę. Zawinął ją w gruby, brązowy papier i przewiązał kawałkiem sznurka.

Na opakowaniu umieścił wiadomość: „Dla Tallis na piąte urodziny. Od dziadka Owena”.

Zapiął na nowo płaszcz i wrócił w zimną, cichą, zimową noc. Przez chwilę stał za drzwiami, wystraszony i bardzo zaniepokojony. Zakapturzona postać przebyła całą drogę przez pola i zatrzymała się przy bramie do ogrodu, obserwując dom. Keeton wahał się jeszcze przez moment, po czym podszedł do niej ciężkim krokiem.

Dzieliła ich tylko brama. Stary drżał pod grubym płaszczem, lecz jego ciało płonęło od gorąca. Kaptur osłaniający głowę kobiety był nisko opuszczony i mężczyzna nie potrafił jej rozpoznać. Musiała być świadoma jego nie wypowiedzianej myśli, gdyż uniosła lekko wzrok i odwróciła się, by na niego spojrzeć. Gdy to uczyniła, Keeton zdał sobie sprawę, że dotąd spoglądała w dal za jego plecami. Pod wełnianą peleryną błysnęła biała maska.

– A więc to ty... – wyszeptał.

W oddali dostrzegł jeszcze dwie zakapturzone postacie schodzące z wałów Kurhanowego Wzgórza. Całkiem jakby wiedziały, że je zauważył, zatrzymały się i przepadły w bieli okolicznych pól.

– Zaczynałem rozumieć – powiedział niemal z goryczą. – Zaczynałem rozumieć, a teraz mnie opuszczasz...

Dziecko w domu zapłakało głośno. Biała Maska spojrzała w stronę okna na półpiętrze, lecz łkanie okazało się tylko kolejnym przelotnym zakłóceniem. Keeton przyglądał się kobiecie–duchowi, nie mogąc powstrzymać łez, które zaczęły szczypać go w oczy. Ona również popatrzyła na niego. Wydało mu się, że przez wąskie szpary oczu dostrzega cień jej twarzy.

– Wysłuchaj mnie – rzekł cicho. – Muszę cię o coś poprosić. Widzisz, oni stracili syna. Zestrzelono go nad Belgią. Stracili go i będą go opłakiwać przez długie lata. Jeśli zabierzesz teraz córkę... jeśli ją teraz zabierzesz... – Zadrżał, otarł dłonią oczy i zaczerpnął głęboki haust lodowatego powietrza. Biała Maska obserwowała go bez ruchu czy głosu. – Daj im kilka lat. Proszę. Jeśli nie chcesz mnie... przynajmniej daj im kilka lat z dzieckiem...

Biała Maska uniosła powoli palec do ust pokrytego kredą kawałka drewna, który zakrywał jej twarz. Keeton widział teraz, jak stary jest ten palec, jak obwisła skóra na jej dłoni, jak mała sama dłoń.

Następnie odwróciła się i umknęła od niego. Jej ciemny płaszcz falował na wietrze. Stopy wzbijały w górę śnieg. W połowie pola zatrzymała się i odwróciła. Keeton usłyszał przenikliwy ton jej śmiechu. Tym razem, uciekając, kierowała się na zachód, w stronę lasu cieni. Lasu Ryhope. Jej towarzyski na Kurhanowym Wzgórzu również czmychnęły.

Keeton dobrze znał okolicę. Natychmiast się zorientował, że trzy postacie spotkają się na granicy łąki Stretley Stones, gdzie pięć pokrytych ogamami kamieni oznaczało starożytny groby.

Poczuł ulgę, lecz jednocześnie był zaintrygowany. Ulgę dlatego, że Biała Maska przystała na jego prośbę. Był tego pewien. Nie przyjdą po Tallis jeszcze przez wiele lat. Był tego pewien.

Czuł się jednak zaintrygowany Stretley Stones i kobietami–duchami, które miały się spotkać w tamtym miejscu.

Dziecku nic się nie stanie...

Rozejrzał się wokół z poczuciem winy. W domu panowała cisza.

Dziecku nic się nie stanie przez kilka minut... tylko kilka minut... wróci do domu na długo przed tym, nim rodzice Tallis przyjdą z bożonarodzeniowego nabożeństwa.

Wzywały go Stretley Stones. Otulił się ciasniej płaszczem, otworzył bramę i zaczął brnąć przez głęboki śnieg pokrywający pole. Szedł po śladach Białej Maski. Wkrótce przeszedł do biegu, pragnąc się przekonać, co kobiety chciały zrobić na łące, na której leżały pokryte znakami kamienie...

DRAŻĄCA

Wały

I

– A więc nadal nie znasz tajemnej nazwy tego miejsca? – raz jeszcze zapytał pan Williams.

– Nie – potwierdziła Tallis. – Jeszcze nie. Być może nigdy jej nie poznam. Tajemne nazwy bardzo trudno jest odkryć. Znajdują się w części umysłu dokładnie odgradzonej od „myślącego” fragmentu.

– Doprawdy?

Dotarli do najniższej położonego punktu Pagórkowatego Pola. Szli powoli w okrutnym letnim upale. Tallis wdrapała się na przełaz. Pan Williams, który był starym człowiekiem o zdecydowanie ciężkiej budowie, przeciskał się przez rozklekotaną, drewnianą konstrukcję z większą ostrożnością. W połowie drogi zatrzymał się i uśmiechnął niemal przeproszająco, jakby chciał powiedzieć: Przykro mi, że każe ci czekać.

Tallis Keeton była wysoka, jak na trzynaście lat, lecz bardzo chuda. Patrząc na mężczyznę, czuła się bezradna. Była przekonana, że pomocna dłoń, którą mogłaby do niego wyciągnąć, okazałaby się bezużyteczna. Wsadziła więc ręce do kieszeni letniej sukienki i zaczęła kopać ziemię, wzbijając tuman pyłu.

Gdy pan Williams przedostał się już na pole, uśmiechnął się ponownie, tym razem z zadowoleniem. Przeczesał dłonią gęste, białe włosy i podwinął

rękawy koszuli. Marynarkę miał przerzuconą przez ramię. Następnie ruszyli w stronę strumyka, który Tallis nazywała Lisią Wodą.

– Ale czy nie znasz nawet powszechnie używanej nazwy tego miejsca? – zapytał, kontynuując rozmowę.

– Nawet jej – odparła Tallis. – Powszechnie używane nazwy też potrafią być trudne. Musiałabym znaleźć kogoś, kto tam był albo o nim słyszał.

– A więc... jeśli dokładnie zrozumiałem... możesz opisać ten dziwny świat, który ty jedna widzisz, wyłącznie przy użyciu nazwy, którą sama mu nadałaś.

– Mojej sekretnej nazwy – zgodziła się Tallis.

– Stare Zakazane Miejsce – wyszeptał pan Williams. – To brzmi nieźle...

Przerwał, choć miał zamiar powiedzieć coś więcej, gdyż Tallis naskoczyła na niego, przyciskając palec do warg. Jej ciemne oczy były szeroko rozwarte i pełne niepokoju.

– Co znowu zrobiłem? – zapytał. Idąc obok dziecka, dźgał grunt laską. Była pełnia lata. Leżące na polach zwierzęce odchody obsiadły brzęczące muchy. Same zwierzęta zgromadziły się w cieniu pod otaczającymi pole drzewami. Wszędzie panowała cisza. Gdy stary człowiek i dziewczynka rozmawiali podczas drogi, ich ludzkie głosy brzmiały słabo.

– Mówiłam panu wczoraj, że sekretną, osobistą nazwę można wypowiedzieć tylko trzy razy między świtem a zmierzchem. Pan już to zrobił trzy razy. Zużył pan cały zapas.

Pan Williams skrzywił twarz.

– Jest mi okropnie przykro...

Tallis westchnęła tylko.

– Ta cała sprawa z nazwami – podjął po chwili dyskusję pan Williams. Słyszeli teraz strumień przetaczający się nad umożliwiającymi przejście w bród kamieniami, które umieściła tam Tallis. – Czy wszystko nazywa się trojako?

– Nie wszystko.

– Na przykład to pole. Ile ma nazw?

– Tylko dwie – odparła dziewczynka. – Powszechnie używaną – Wykopki – i moją sekretną.

– A jaką?

Tallis uśmiechnęła się. Podniosła wzrok ku swemu towarzyszowi. Zatrzymali się.

– To jest Łąka Wietrznej Jaskini – wyjaśniła. Pan Williams rozejrzał się wokół, marszcząc brwi.

– Tak jest. Wspominałaś wczoraj o takim miejscu. Ale... – Uniósł dłoń do czoła, osłonił oczy i przesunął z uwagą wzrok od prawej do lewej. – Nie widzę żadnych jaskiń – stwierdził po chwili dramatycznym tonem.

Tallis roześmiała się. Wzniosła w górę ramiona, by wskazać miejsce, w którym się zatrzymał. – Stoi pan w niej!

Pan Williams podniósł wzrok, rozejrzał się wokół i przyłożył dłoń do ucha. Potrząsnął głową.

– Nie jestem przekonany.

– Ależ tak! – zapewniła go głośno Tallis. – To wielka jaskinia. Ciągnie się aż pod wzgórze. Tylko że wzgórze też pan nie widzi.

– A ty widzisz? – zapytał pan Williams stojący na spalonej słońcem łące w samym środku gospodarstwa rolnego.

Tallis z tajemniczą miną wzruszyła ramionami.

– Nie – przyznała. – No, czasami.

Pan Williams popatrzył na nią podejrzliwie.

– Hmm – wyszeptał po chwili. – Dobra, chodźmy dalej. Chciałbym zanurzyć stopy w zimnym potoku.

Przeszli przez Lisią Wodę po kamieniach, znaleźli odpowiedni, trawiasty odcinek brzegu i ściągnęli buty oraz skarpetki. Pan Williams podwinął nogawki spodni. Poruszali palcami nóg w chłodnej wodzie. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, gapiąc się ponad pastwiskiem, Łąką Wietrznej Jaskini, na odległy, mroczny kształt domu, w którym mieszkała Tallis.

– Czy nadałaś nazwy wszystkim polom? – zapytał po chwili pan Williams.

– Nie wszystkim. Nazwy niektórych po prostu nie chcą przyjść. Muszę coś robić nie tak, ale jestem za młoda, żeby się w tym połapać.

– Naprawdę? – szepnął pan Williams z lekkim uśmiechem.

– Staram się dostać do lasu Ryhope o własnych siłach, ale nie mogę pokonać ostatniego pola. Musi mieć bardzo mocną obronę... – odpowiedziała Tallis, ignorując jego uwagę (lecz zdając sobie sprawę z jej ironicznej natury).

– Pole?

– Las. On leży w majątku Ryhope. Jest bardzo stary. Istnieje już od tysiącleci, jak mówi Gaunt...

– To wasz ogrodek.

– Tak. Nazywa go “pierwotnym”. Twierdzi, że wszyscy o nim wiedzą, ale nikt nigdy o nim nie mówi. Ludzie boją się tego lasu.

– Ale ty nie.

Tallis potrząsnęła głową.

– Tyle że nie mogę się przedostać przez ostatnie pole. Próbuję znaleźć inną drogę, ale to trudne.

Wbiła wzrok w staruszkę, który gapił się na powierzchnię wody, zatopiony w myślach.

– Myśli pan, że las może być świadomy obecności ludzi i utrzymywać ich na dystans?

Skrzywił twarz.

– To zabawna myśl – stwierdził. – Dlaczego nie użyć jego tajemnej nazwy? – dodał. – Znasz ją?

Tallis wzruszyła ramionami.

– Nie. Tylko powszechnie używane nazwy. Ma ich setki. Niektóre wywodzą się sprzed tysięcy lat. Las Shadox, las Ryhope, Szary Las, Las Jeźdźca, Drzewa Hooda, Zagajniki Głębokiej Doliny, Wyjący Las,

Piekielne Drzewa, Graymes... lista ciągnie się bez końca. Gaunt zna je wszystkie.

Pan Williams był pod wrażeniem.

– I oczywiście nie możesz po prostu przejść przez pole do tego tłoczego od nazw lasu...

– Oczywiście, że nie. Nie sama.

– Nie. Oczywiście, że nie możesz. Rozumiem. Dzięki temu, co powiedziałaś mi wczoraj, rozumiem to bardzo dobrze.

Obrócił się w miejscu, w którym siedział, by wpatrzeć się w dal, lecz pomiędzy nim a lasem Ryhope było zbyt wiele pól, zbyt wiele zboczy, zbyt wiele drzew, by mógł zobaczyć bór. Gdy spojrzął z powrotem na Tallis, wskazywała za drzewa.

– Można stąd zobaczyć wszystkie moje obozy. Przez kilka ostatnich miesięcy słyszałam w nich mnóstwo ruchu. Inni goście. Ale oni nie są tacy jak my. Dziadek nazywał ich mitotworami.

– To dziwne słowo.

– To duchy. Pochodzą stąd. – Puknęła się w głowę. – I stąd. – Dotknęła głowy pana Williamsa. – Nie rozumiem tego do końca.

– Twój dziadek to chyba interesujący człowiek.

Wskazała w stronę łąki Stretley Stones.

– Umarł tam, pewnego Bożego Narodzenia. Byłam jeszcze mała. Nie znałam go. – Wyciągnęła rękę w przeciwną stronę, ku Kurhanowemu Wzgórzu. – To mój ulubiony obóz.

– Widzę wały.

– To stary zamek. Sprzed stuleci. – Wskazała palcem w jeszcze innym kierunku. – A to jest Łąka Smutnej Pieśni. Tam, po drugiej stronie żywopłotu.

– Łąka Smutnej Pieśni – powtórzył pan Williams. – Dlaczego ta nazwa przyszła do ciebie?

– Dlatego że czasem słyszę muzykę. Fajną, ale smutną.

– Śpiewaną? – zapytał zaintrygowany pan Williams. – Czy instrumentalną?

– Jak... jak wiatr. Wśród drzew. Ale z melodią. Kilkoma melodiami.

– Pamiętasz którąś z nich?

Tallis uśmiechnęła się.

– Jedna mi się podoba...

Zaśpiewała ją „tra-la-la”, wybijając takt stopami w wodzie. Kiedy skończyła, pan Williams roześmiał się. Swym grubym głosem zanucił “da-da-da” podobną melodię.

– Nazywa się *Bogacz i Łazarz* – wyjaśnił. – To piękna piosenka ludowa. Ale twoja wersja... – Zmarszczył brwi, po czym poprosił Tallis, by wykonała ją raz jeszcze. Zrobiła to. – Brzmi archaicznie, prawda? – powiedział. – Jest bardziej prymitywna. Śliczna. Ale to nadal *Bogacz i Łazarz*.

Spojrzał na nią rozpromieniony. W oczach miał błysk. Sposób, w jaki unosił brwi, sprawił, że Tallis roześmiała się po raz pierwszy od chwili, gdy spotkała go przed dwoma dniami.

– Nie chcę się chwalić – wyszeptał – ale kiedyś skomponowałem utwór muzyczny oparty na tej ludowej piosence.

– Nie jeszcze jeden – zaprotestowała Tallis również szeptem.

– Obawiam się, że tak. W swoim czasie próbowałem niemal wszystkiego...

II

Zatrzymali się wśród olch nad szerokim strumieniem, który Tallis nazywała Potokiem Łowcy. Wypływał on z samego lasu Ryhope. Później mijał płytkie doliny położone między polami a borem, tocząc swe wody w kierunku Shadoxhurst, gdzie znikał pod ziemią.

Las Ryhope był gęstą plataniną letniej zieleni wznoszącą się w oddali nad żółto-czerwonymi zaroślami, które z nim graniczyły. Drzewa wydawały się ogromne, a w ich gęstych koronach nie było prześwitów. Z jednej strony pokrywały całe wzgórze, z drugiej zaś przechodziły w linie żywopłotów wyciągające się niczym kończyny. Bór wyglądał na nieprzebyty.

Pan Williams położył dłoń na ramieniu Tallis.

– Czy mam cię przeprowadzić?

Potrząsnęła głową. Następnie powiodła go dalej wzdłuż Potoku Łowcy, mijając miejsce, gdzie spotkała go po raz pierwszy, ku wysokiemu, uderzonemu piorunem dębowi rosnącemu na polu tuż za gęstym żywopłotem drzew. Dąb był niemal martwy. Szczelina w jego pniu tworzyła wąskie siedzenie.

– To Stary Przyjaciel – rzuciła rzeczowym tonem Tallis. – Często tu przychodzę pomyśleć.

– Sympatyczna nazwa – stwierdził pan Williams. – Ale niezbyt oryginalna.

– Nazwy to nazwy – zaproponowała Tallis. – One istnieją. Ludzie je odkrywają. Ale ich nie zmieniają. Nie mogą.

– Pod tym względem nie zgadzam się z tobą – rzekł łagodnym tonem pan Williams.

– Gdy już nazwa zostanie odkryta, jest niezmienna – sprzeciwiła się Tallis.

– Nieprawda.

Popatrzyła na niego.

– Czy może pan zmienić melodię?

– Jeśli tego chcę.

– Ale wtedy to nie jest... nie jest ta melodia – odparła, lekko zbita z tropu. – Nie pierwsza inspiracja!

– Na pewno?

– Nie chcę się spierać – ciągnęła niepewnym tonem Tallis. – Mówię tylko, że jeśli nie zaakceptuje pan daru takim, jaki jest, jeśli zmieni pan to, co usłyszał albo poznał, to czy pod jakimś względem pan tego nie osłabi?

– Niby dlaczego? – zapytał cicho pan Williams. – Jestem przekonany, że mówiłem ci już, iż dar nie polega na tym, co się słyszy czy poznaje, ale na umiejętności słyszenia i poznawania. Te rzeczy należą do ciebie od chwili, gdy się zjawia. Możesz nadać kształt melodii, glinie, obrazowi, czemukolwiek, ponieważ należy do ciebie. Tak zawsze postępowałem ze swoją muzyką.

– I tak powinnam, pańskim zdaniem, postępować ze swymi opowieściami – domyśliła się Tallis. – Tylko że... – Zawahała się, nadal niepewna. – Moje opowieści są prawdziwe. Jeśli je zmienię, staną się po prostu... – Wzruszyła ramionami. – Po prostu niczym. Bajkami dla dzieci. Mam rację?

Spoglądając nad letnimi polami na porośnięte drzewami wały Kurhanowego Wzgórza, pan Williams potrząsnął głową.

– Nie wiem – przyznał. – Choć jestem skłonny sądzić, że w tym, co nazywasz bajkami dla dzieci, kryją się wielkie prawdy.

Ponownie spojrzął na nią i uśmiechnął się. Następnie oparł się o rozszczepiony pień Starego Przyjaciela, a w jego oczach pojawił się intensywny błysk.

– Jeśli już mowa o opowieściach – zaczął – a zwłaszcza o Starym Zakazanym Miejscu...

Klepnął się dłonią w usta. Gdy tylko wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, co uczynił.

– Strasznie mi przykro! – zapewnił.

Tallis wzniosła oczy i westchnęła z rezygnacją.

– Ale co z nim i z tą historią? – nie ustępował pan Williams. – Już od dwóch dni obiecujesz, że mi ją opowiesz...

– Tylko od wczoraj.

– Niech będzie od wczoraj. Chciałbym jednak ją usłyszeć, nim będę musiał...

Przerwał, spoglądając z obawą na dziewczynkę. Podejrzewał, że ją zasmucił.

– Nim będzie pan musiał co? – zapytała Tallis z lekkim zatroskaniem na twarzy.

– Nim będę musiał wyjechać – odpowiedział łagodnym tonem.

Była wstrząśnięta.

– Wyjeżdża pan?

– Muszę – odpowiedział z przeproszającym wzruszeniem ramion.

– Dokąd?

– Do miejsca, które jest dla mnie bardzo ważne. Które leży bardzo daleko.

Przez chwilę nic nie mówiła, lecz jej oczy zamglily się lekko.

– A dokąd dokładnie?

– Do domu – odpowiedział. – Tam, gdzie mieszkam. W baśniowej krainie Dorking. – Uśmiechnął się. – Tam, gdzie pracuję. Czeka na mnie robota.

– Nie przeszedł pan w stan spoczynku? – zapytała ze smutkiem Tallis.

Pan Williams roześmiał się.

– Na Boga, jestem kompozytorem. Kompozytorzy nie przechodzą w stan spoczynku.

– Dlaczego nie? Pan jest bardzo stary.

– Mam tylko dwadzieścia sześć lat – odparł pan Williams, spoglądając w górę, do wnętrza drzewa.

– Osiemdziesiąt cztery!

Natychmiast przeniósł na nią wzrok z wyrazem podejrzliwości w oczach.

– Ktoś ci powiedział – stwierdził. – Nikt nie mógłby zgadnąć tak dokładnie. Ale tak czy inaczej kompozytorzy nie przechodzą w stan spoczynku.

– A dlaczego?

– Dlatego, że muzyka nie przestaje do nich przychodzić.

– Och. Rozumiem.

– Cieszę się z tego. Dlatego właśnie muszę wrócić do domu. W ogóle nie powinno mnie tu być. Nikt nie wie, że tu jestem. Miałem też dać odpocząć chorej nodze. Z tych wszystkich powodów chciałbym, żebyś dotrzymała obietnicy. Opowiedz mi o... – Powstrzymał się w porę. – Opowiedz mi wszystko o tym dziwnym miejscu, które jest takie zakazane i takie stare. Opowiedz mi o SZP.

Tallis miała strapioną minę.

– Ale opowieść nie jest jeszcze ukończona. Właściwie ledwie się zaczęła. Poznałam jedynie drobne urywki.

– Cóż, w takim razie opowiedz mi te urywki. Proszę. Obiecałaś. A obietnicy złożenie to długie obciążenie.

Twarz Tallis, jasna, piegowata i pełna smutku, wydawała się teraz bardzo dziecinna. Jej brązowe oczy lśniły. Nagle zamruwała i uśmiechnęła się. Dziecko zniknęło. Wróciła młoda, figlarna dziewczyna.

– Proszę bardzo. Niech pan usiądzie w pniu Starego Przyjaciela. W porządku... Zaczynamy. Czy jest panu wygodnie?

Pan Williams wcisnął się w objęcia drzewa. Zastanowił się nad zadany­m pytaniem.

– Nie – oznajmił.

– Świetnie – odrzekła Tallis. – W takim razie zaczynam. Żadnego przerywania – dodała surowym tonem.

– Prawie nie będę oddychał – zapewnił.

Odwróciła się od niego, po czym powoli skierowała z powrotem w jego stronę z wyrazem dramatycznego napięcia w oczach. Uniosła lekko dłonie dla wyrażenia emfazy.

– Pewnego razu – zaczęła – było sobie trzech braci...

– Jak dotąd, bardzo oryginalne – szepnął pan Williams z uśmiechem na twarzy.

– Żadnego przerywania! – nakazała ostrym tonem Tallis. – Taka jest zasada!

– Przepraszam.

– Jeśli przerwie pan w ważnym momencie, może pan zmienić opowieść. A to by była katastrofa.

– Dla kogo?

– Dla nich! Dla ludzi. Dobrze. Proszę siedzieć zupełnie cicho, a opowiem panu wszystko, co wiem o Starym Za... – Powstrzymała się. – O SZP.

– Zamieniam się w słuch.

– Pewnego razu – zaczęła po raz drugi – było sobie trzech braci. Byli synami wielkiego króla. Mieszkali w dużym zamczysku i król bardzo ich wszystkich kochał. Tak samo jak królowa. Ale król i królowa nie lubili się nawzajem. On ją zamknął w wysokiej wieży na potężnym północnym murze...

– Jak dotąd, to bardzo dobrze znane – przerwał figlarnie pan Williams. Tallis przeszła go wściekłym wzrokiem. – Czy synowie nazywali się

Ryszard, Geoffrey i Jan bez Ziemi? Czy mówimy o Henryku Drugim i Eleonorze Akwitańskiej?

– Nie mówimy! – zaprzeczyła głośno Tallis.

– Pomyliłem się. Kontynuuj.

Zaczerpnęła głęboko tchu.

– Pierwszy syn – powiedziała, obrzucając audytorium twardym, znaczącym spojrzeniem – nazywał się Mordred...

– Aha. On.

– W języku króla, bardzo starym języku, to imię znaczyło: „Chłopiec, który będzie wędrował”. Drugi syn miał na imię Artur...

– Kolejny stary przyjaciel.

– Co – wyjaśniła Tallis z wściekłością w oczach – w tym samym, zapomnianym dziś języku znaczyło: „Chłopiec, który zatriumfuje”. Trzeci syn, najmłodszy, nazywał się Scathach...

– Ten nowy chłopiec, o którym wspominałaś.

– Jego imię oznacza: „Chłopiec, który będzie naznaczony”. Ci trzech synowie byli dobrzy we wszystkim...

– Ojej – powiedział pan Williams. – Jakie to nużące. Czy nie było żadnych córek?

Tallis niemal krzyknęła z irytacji na niecierpliwego mężczyznę siedzącego w pniu drzewa. Nagle jednak na jej twarzy pojawił się wyraz dezorientacji. Wzruszyła ramionami.

– Może i były. Dojdę do tego później. Proszę już się nie wtrącać!

– Przepraszam – powiedział raz jeszcze, unosząc rękę w łagodzącym geście.

– Ci trzech synowie byli dobrzy w sporcie, polowaniu, grach i muzyce. I – dodała – bardzo kochali swą siostrzyczkę. Chociaż jej dzieje to już inna historia!

Spojrzała na niego ostro.

– Ale przynajmniej wiemy, że była siostra.

- Tak!
- I bracia ją kochali.
- Tak! Na różne sposoby...
- Aha. A jakie?
- Panie Williams!
- Ale to może być ważne...
- Panie Williams! Próbuję opowiedzieć panu historię!
- Przepraszam – powiedział po raz trzeci, swym najcichszym, najbardziej pojednawczym głosem.

Dziewczynka po raz kolejny zebrała myśli, nie przestając narzekać. Wreszcie uniosła ręce, by nakazać całkowitą ciszę.

Gdy jednak miała przemówić, nagle się zmieniła, zadrżała gwałtownie, a jej twarz zbieleła. Pan Williams zaobserwował to już wczoraj, a dziś na to właśnie czekał. Pochylił się do przodu, przyglądając się jej z ciekawością i niepokojem. Opętanie dziewczynki, gdyż wyobrażał sobie, że jest to opętanie, zatrwożyło go nie mniej niż poprzednim razem. Nie mógł jednak nic zrobić, by jej pomóc. Tallis nabrała nagle niezdrowego wyglądu. Zakołysała się. Wydawała się tak blada i wynędzniała, jak gdyby zaraz miała zemdleć. Utrzymała się jednak na nogach, choć jej oczy spoglądały w dal, wskroś stojącego przed nią mężczyzny. Włosy, długie i bardzo piękne, zdawały się falować, unoszone niewyczuwalnym powiewem. Powietrze wokół niej i pana Williama wypełnił lekki chłód. Stary nie potrafił znaleźć na określenie tej zmiany lepszego słowa niż „niesamowita”. To, co ją opętało, nie miało zrobić jej krzywdy, gdyż nie uczyniło tego wczoraj, odmieniło ją jednak totalnie. Mówiła tym samym dziewczęcym głosem, lecz była teraz inna, a język, którym się posługiwała – zawsze wyszukany, jak na jej wiek – stał się nagle jaskrawo archaiczny.

Usłyszał za plecami słabiutkie poruszenia w podszyciu. Siedząc, odwrócił się niezgrabnie, by popatrzeć na drzewa. Nie mógł być tego pewien, ale przez chwilę miał wrażenie, że widzi stojącą tam zakapturzoną

postać o białej, pozbawionej wyrazu twarzy. Rzucany przez chmurę cień zmienił oświetlenie ściany lasu i kształt zniknął.

Ponownie zwrócił się ku Tallis. Wstrzymywał oddech i drżał z niecierpliwości, zdając sobie sprawę, że stoi w obliczu czegoś, co wykracza poza granice jego rozumu.

Dziewczynka raz jeszcze podjęła opowieść...

Dolina Snów

Czterdzieści lat żył już król i synowie jego stali się mężczyznami. Stawali do pojedynków i zdobyli wiele zaszczytów. Brali udział w bitwach i wyróżnili się odwagą.

Wyprawiono wielką ucztę na cześć Ucha Pszenicy. Miód na królewski stół niosło dziesięciu służących. Ćwierci wołu niosło dwudziestu. Dama dworu królowej upiekła chleb, który był biały jak śnieg i roztaczał woń jesiennej krainy.

- Kto otrzyma zamek? – zapytał najstarszy syn, ośmielony winem.
- Żaden z was, jak mi Bóg miły – rzekł król.
- A dlaczegóż?
- Tylko moje ciało i ciało królowej będzie mieszkało w zamku – rzekł pan.
- To zły pomysł – stwierdził Mordred.
- Na me słowo, tak się stanie.
- Złamane drzewce mojej siódmej włóczni mówi, że to ja będę miał zamek – odparł buntowniczo syn.
- Będziesz miał zamek, ale nie będzie to ten.

Rozpoczęła się wielka kłótnia i trzem synom nakazano stanąć przy stole po stronie płomienia i jeść tylko ręką, w której trzyma się tarcze. Król

podjął decyzję. Kiedy umrze, pochowają go w najgłębszej komnacie. Zewnętrzne pokoje i dziedzińce wypełni się ziemią z pola bitwy pod Bavduin, będącej wielkim wydarzeniem w historii tego ludu. Zamczysko stanie się wielkim kopcem usypanym na cześć władcy. Do serca grobowca, gdzie można będzie znaleźć i serce króla, będzie wiodła tylko jedna prawdziwa droga. Jedyne rycerz o pięciu rydwanach i siedmiu włócznieach, zabijający na zimno rycerz o gwałtownym głosie, będzie mógł ją odnaleźć. Pozostałych czekała tylko walka z duchami wojowników poległych pod Bavduin.

Kto pośród tego wszystkiego poświęcił myśl królowej? Jedyne Scathach, najmłodszy syn.

– A gdzie w całej tej krwawej ziemi będzie leżało serce naszej matki? – zapytał.

– Jeśli moje słowo nie pozbawi mnie honoru, tam gdzie upadnie! – zapowiedział pan.

– To okrutna myśl.

– Na tysiąc z kotła, mą własną dłonią tam wrzuconych, tak się stanie.

Och, ale serce królowej było czarne. Czarne od nienawiści, czarne od gniewu, czarne od wściekłości na wszystkich poza jej najmłodszym synem. Obdarzywszy Scathacha matczynym pocałunkiem, powiedziała mu to: – Gdy nadejdzie czas mej śmierci, zamknij moje serce w czarnej szkatułce, którą zrobi dla mnie wiedząca kobieta.

– Uczynię to z radością – odparł syn.

– Gdy serce znajdzie się w szkatułce, ukryj je w zamku, w wypełnionej ziemią komnacie, gdzie będzie je mógł przemoczyć jesienny deszcz, a zimowy wiatr będzie mógł nim poruszać, tak jak porusza samym gruntem.

– Uczynię to niezawodnie.

Była piękną o mrocznym sercu, pełną wściekłości matką, żoną wielkiego, lecz okrutnego człowieka. Po śmierci zamierzała go prześladować, nawet po samo Jasne Królestwo.

W czasie Pączka na Gałęzi wyprawiono kolejną wielką ucztę i król podarował synom zamki w królestwie. Mordred otrzymał zamek zwany Dun Gurnun, masywną fortecę zbudowaną wśród bujnych bukowych lasów na wschodzie kraju. Na każdym z jej murów wznosiło się czterdzieści wieżyczek. W Dun Gurnun mieszkało tysiąc ludzi i nigdy nie słyszano, by któryś z nich się uskarżał. W borze roiło się od wysokich niby konie dzików i tłustych gołębi. Cała ta zwierzyna należała wyłącznie do Mordreda.

Artur został obdarowany zamkiem na południu kraju, znanym jako Camboglorn. Jego strzeliste, dumne wieżyczki wznosiły się w gęstej dąbrowie. Zbudowano go na wzgórzu. Do jego wielkich dębowych bram trzeba było jechać konno krętym traktem przez pełen tydzień. Z wysokich murów nie było widać nic poza murawą opasłą od czerwonych jeleni i dzikich świń, kryjącą krystaliczne wody, tłuste od srebrnych łososi. Wszystko to należało tylko do Artura.

Co jednak ze Scathachem, najmłodszym synem? Przebywał on wówczas daleko, na wojnie. Walczył w armii innego króla w wielkim, czarnym borze. Kiedy wrócił do domu, ojciec niemal go nie poznał. Jego blizny były straszliwe, choć nie utracił urody. Są jednak takie znaki, których nie widać, a syn ów odniósł ciężkie rany.

Gdy ujrzął, że starsi bracia otrzymali piękne zamki ze wspaniałymi terenami łowieckimi, poprosił o podobny dla siebie. Król dał mu Dun Craddoc, lecz Scathachowi przeszkadzały tam przeciągi. Zaoferował mu zamek Dorcic, ale nawiedzały go dziwne duchy. Zasugerował fortecę znaną jako Ogmior, lecz ta stała na krawędzi urwiska. Najmłodszy syn odrzucił je wszystkie. Rozwścieczony król powiedział mu tak: – W takim razie nie będziesz miał zamku z kamienia! Wszystkie inne należą do ciebie, jeśli zdołasz jakiś odnaleźć.

Od tego dnia Scathach stał przy stole po stronie płomienia i jadł tylko tą ręką, w której trzyma się tarczę.

Rozgniewany, udał się do matki. Ta przypomniała mu o jego obietnicy, że pomoże jej prześladować ducha męża w Krainie Szybkich Łowów albo na Szerokiej Równinie czy w Wielobarwnym Królestwie, dokądkolwiek król ucieknie po śmierci. Scathach nie zapomniał i zapewnił ją o tym synowskim pocałunkiem. Królowa wysłała go do wiedzącej kobiety, a ta zatrzymała go na trzydzieści dni między jednym księżycem a następnym, gdy pogrążona w ekstazie poszukiwała pośród Dziewięciu Milczących Dolin zamku, który by go zadowolił.

I wreszcie go znalazła. Była to wielka, mroczna budowla z owego kamienia, który nie jest prawdziwym kamieniem. Stała głęboko w lesie, ukryta przed światem kręgiem jarów i szalejących rzek. Panowała tam zima. Żadna armia nie mogłaby zdobyć tego zamku. Żaden człowiek nie mógłby tam zamieszkać, pozostając przy zdrowych zmysłach. Żaden człowiek nie mógłby stamtąd wrócić do świata swych narodzin, nie przekształciwszy się uprzednio w zwierzę w swej duszy. Ale najmłodszy syn przyjął go i wyruszył do Starego Zakazanego Miejsca, by na jego najwyższej wieży zatknąć swój biały sztandar.

Minęło wiele lat. Lat bez wizji. W owym czasie matka Scathacha przechodziła, przy użyciu masek, do królestwa Starego Zakazanego Miejsca. Bracia Scathacha również, choć docierali tylko do najbliższego jaru i patrzyli z oddali na zamek, przyglądając się najmłodszemu podczas łowów, gdy ścigał bestie, których nie sposób opisać, jako że wszystko w owym świecie było zrodzone z umysłów ludzi, a ponieważ wszyscy ludzie byli szaleni, były to szalone stwory, które biegały jak szalone.

III

Minęła chwila, nim pan Williams zdał sobie sprawę, że Tallis przestała mówić. Wpatrywał się w nią, wsłuchując się w jej słowa, w historię przypominającą mu opowieści z walijskiej mitologii, które często czytał. Teraz ujrzał, że na jej policzki wrócił kolor, a w nieobecny spojrzeń pojawiła się świadomość. Splotła ręce i zadrżała, rozglądając się wokół.

– Czy jest zimno?

– Właściwie nie – odparł. – Ale co z resztą opowieści?

Tallis popatrzyła na niego, jakby nie pojmowała jego słów.

– Nie jest ukończona – stwierdził. – Dopiero zaczęła się robić interesująca. Co syn uczynił potem? Co się stało z królową?

– Scathach? – Wzruszyła ramionami. – Jeszcze nie wiem.

– Nie możesz dać mi jakiejś wskazówki?

Roześmiała się. Nagle wróciło do niej ciepło. To, co nią zawładnęło, odeszło. Podskoczyła do nisko opuszczonej gałęzi i zwiła z niej, sprawiając, że na siedzącego poniżej mężczyznę spadła mała ulewa liści.

– Nie mogę dać panu wskazówki na temat czegoś, co się jeszcze nie wydarzyło – odparła. Zeskoczyła na ziemię i wbiła w niego wzrok. – Ale to dziwna historia, prawda?

– Są w niej ciekawe rzeczy – zgodził się pan Williams. – Co jest takiego szczególnego w rycerzu o pięciu rydwanach i siedmiu włóczniach? – zapytał szybko.

Jej twarz utraciła wyraz.

– To liczba stoczonych przez niego pojedynków. Dlaczego pan pyta?

– Gdzie była bitwa pod Bavduin?

– Nikt tego nie wie. To wielka tajemnica.

– Dlaczego synom kazano jeść rękami, w których trzyma się tarcze?
– Popadli w niełaskę – odrzekła Tallis. Roześmiała się. – Ręka, w której trzyma się tarczę, to ręka tchórza. To oczywiste.
– A co to jest właściwie synowski pocałunek?
Tallis zaczerwieniła się.
– Prawdę mówiąc, nie wiem – przyznała.
– Ale użyłaś tych słów.
– Tak, ale to tylko element opowieści. Jestem za młoda, żeby wiedzieć wszystko.
– Co to jest „kamień, który nie jest prawdziwym kamieniem”?
– Zaczynam się bać – powiedziała Tallis. Pan Williams uśmiechnął się do niej, uniósł dłoń i zakończył przesłuchanie.
– Jesteś fascynującą młodą kobietą – stwierdził. – Nie wymyśliłaś sama historii, którą mi przed chwilą opowiedziałaś. Ona jest częścią powietrza, wody, ziemi...
– Tak jak pana muzyka – zripostowała Tallis.
– W rzeczy samej. – Siedząc, odwrócił się i popatrzył na las za swymi plecami. – Ale kiedy ja komponuję, nie szepcze do mnie widmowa postać. Dostrzegłem ją przelotnie. Jest zakapturzona i nosi białą maskę. – Przeniósł wzrok na Tallis, która wybałuszyła szeroko oczy. – Mogłem niemal wyczuć przepływający między wami powiew.
Wyśliznął się z niewygodnej grzędy w sercu umierającego drzewa. Strzepnął ze spodni korę i owady. Spojrzał na zegarek. Tallis podniosła ku niemu wzrok. Nagle ogarnął ją ponury nastrój.
– Czy już czas wracać? – zapytała.
– Wszystko, co dobre... – odparł łagodnym tonem. – To były dwa cudowne dni. Nie opowiem o nich nikomu poza jedną osobą, a jej każe przysiąc, że dochowa tajemnicę. Wróciłem do jednego z miejsc mojej pierwszej prawdziwej wizji, pierwszej prawdziwej muzyki, spotkałem tam pannę Tallis Keeton i usłyszałem cztery wspaniałe historie. – Wyciągnął do

niej rękę. – Chciałbym pożyczyć jeszcze pięćdziesiąt lat, żeby móc cię poznać. Pod tym względem przypominam twojego dziadka.

Z namaszczeniem uścisnęli sobie dłonie. Uśmiechnął się.

– Lecz niestety...

Ruszyli z powrotem przez pola, kierując się ku ścieżce do konnej jazdy, wiodącej ku Shadoxhurst. Pan Williams natychmiast przyśpieszył kroku, unosząc laskę w ostatnim pożegnaniu. Tallis patrzyła, jak odchodzi.

Gdy oddalił się już na pewną odległość, zatrzymał się i spojrzął na dziewczynkę, wsparty na lasce.

– Jeszcze jedno! – krzyknął. – Znalazłem nazwę dla pola, tego przy lesie.

– I jak ona brzmi?

– Znajdowisko. Powiedz mu, że jeśli się będzie sprzeciwiać, staruszek wróci i je zaorze! Nie będzie protestować długo.

– Przekażę panu wiadomość! – krzyknęła do niego.

– Nie zapomnij o tym.

– Niech pan napisze jakąś fajną muzykę – dodała. – Nie taką hałaśliwą!

– Zrobię, co będę mógł – dobiegł do niej głos niknącej w dali postaci, jeszcze widocznej pod wysokimi drzewami rosnącymi wzdłuż drogi.

– Hej! – wrzasnęła.

– Co znowu? – odkrzyknął.

– Nie opowiedziałam panu czterech historii. Tylko trzy.

– Zapominasz o Sympatii Połamańca! – zawołał. – To najważniejsza z twoich opowieści.

Sympatia Połamańca?

Patrzyła, jak znika jej z oczu. Gdy po raz ostatni dosłyszała jego głos, zaintonował melodię, którą przedtem nazwał *Bogacz i Łazarz*. Co miał na myśli? Sympatia Połamańca?

Potem słyhać już było tylko odgłosy przyrody oraz śmiech Tallis.

SINISALO

Sympatia Połamańca

I

Dziecko urodziło się we wrześniu 1944 roku. Ochrzczono je ciepłym, pogodnym porankiem pod koniec tego miesiąca. Nadano mu imię Tallis, by uczcić walijską część rodziny, a zwłaszcza dziadka, który był znakomitym gawędziarzem i bardzo lubił, gdy porównywano go do Taliesina, legendarnego walijskiego barda. Jak mówiono, zrodził się on z samej ziemi, przeżył wielki potop i opowiadał wspaniałe historie w zimowych rezydencjach wodza Artura.

– Ależ pamiętam, jak sam to robiłem! – często powtarzał dziadek młodszemu, bardziej podatnym na wpływy członkom rodziny.

Nikt nie zdołał wyszukać żeńskiego odpowiednika imienia owej romantycznej postaci z dawnych dni, ukuto więc imię „Tallis” i ochrzczono nim dziewczynkę.

Nadano jej wtedy tylko to jedno imię. Była to zwyczajna ceremonia, odprawiona przez starego wikarego w kościele w Shadoxhurst. Gdy się skończyła, cała rodzina zebrała się na wiejskich błoniach wokół rosnącego tam spróchniałego dębu. Dzień był słoneczny, rozłożono więc koc, urządzono piknik i spożyto skromny, lecz przyjemny posiłek. Wojenne racjonowanie żywności nie wpłynęło na dostępność jabłeczniaka domowej roboty. Opróżniono osiem pękatych flaszek. Pod wieczór ekspresyjne, zabawne legendy opowiadane przez dziadka zdegenerowały się do

chaotycznego, niespójnego ciągu anegdot i wspomnień. Okrytego wstydem, zaprowadzono go do domu, na farmę, i położono do łóżka. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział owego dnia pod koniec września brzmiały: “Czekajcie na jej drugie imię”.

Przepowiedział trafnie. W trzy dni później, o zmierzchu, nagłe zamieszanie w ogrodzie sprawiło, że wszyscy wybiegli z domu. Zobaczyli wielkiego, okulawionego jelenia zwanego w okolicy Połamańcem, który przedarł się przez ogrodzenie i tratował jesienną kapustę. Ogarnięty paniką pobiegł ku szopie na jabłka, walnął porożem o drewno i odłamał fragment rosochy po prawej stronie.

Wszyscy dorośli zebrali się na trawniku, by się przyglądać, jak wielkie zwierzę próbuje uciec, lecz gdy zjawiała się matka Tallis z niemowlęciem na rękach, jeleni uspokoił się nagle. Grzebał w ziemi kopytami, lecz gapił się na milczące dziecko.

Była to chwila strachu i magii zarazem, gdyż nigdy dotąd żaden jeleni nie podszedł tak blisko, a Połamańiec był miejscową legendą, potężnym rogaczem, który liczył sobie dobrze ponad czternaście lat. Zwierzę otaczano podobną czcią zapewne ze względu na fakt, iż najwyraźniej znane było w okolicy od pokoleń. W niektórych latach nie widywano go w ogóle, lecz potem jakiś farmer dostrzegł je na wysokiej grani albo uczeń idący ze szkoły na ścieżce do konnej jazdy czy myśliwi, kiedy wędrował przez pola. Rozchodziła się wieść: „Widziano Połamańca!” Nigdy nie zauważono, by rzucił poroże. Scypuł zwiisał z jego rosoch niczym brudne strzępy czarnych łachmanów.

Był to Szmatławy Jeleni. Opowiadano, że fragmenty scypułu są kawałkami pogrzebowego całunu.

– Czego on chce? – wyszeptał ktoś. Całkiem jakby dźwięk słów przywrócił mu życie, jeleni odwrócił się, przesadził płot i zniknął w gęstniejącym mroku, biegnąc w stronę lasu Ryhope, od którego dzieliły go dwa strumienie.

Matka Tallis podniosła kawałek poroża. Potem owinęła go w skrawek białego ubranka chrzestnego, mocno przewiązała dwoma niebieskimi wstążkami i zamknęła w kufrze, w którym trzymała wszystkie skarby. Tallis nadano imię „Sympatia Połamańca” i wznoszono na jej cześć toasty aż do późna w nocy.

Gdy miała dziesięć miesięcy, dziadek posadził ją sobie na kolanie i zaczął do niej szeptać.

– Opowiadam jej wszystkie historie, które znam – wyjaśnił matce Tallis.

– Nie rozumie ani słowa – odparła Margaret Keeton. – Powinieneś zaczekać, aż będzie większa.

To rozgniewało staruszka.

– Nie mogę czekać, aż będzie większa! – oznajmił bez ogródek, po czym wznowił mamrotanie do niemowlęcego ucha.

Owen Keeton zakończył życie, nim Tallis zdała sobie sprawę z jego istnienia. W noc Bożego Narodzenia wybrał się na spacer po polach. Umarł, skulony i przysypany śniegiem, pod starym dębem. Oczy miał otwarte. Na zamarzniętej twarzy widniał wyraz łagodnego uniesienia. Tallis pamiętała o nim w późniejszych latach jedynie dzięki rodzinnej opowieści o swym imieniu oraz oprawionej w ramki fotografii stojącej przy łóżeczku. Oraz oczywiście za sprawą tomu ludowych powiastek i legend, który zostawił jej w spadku. Była to wspaniała książka o pięknym druku i licznych, wielobarwnych ilustracjach. Na stronie tytułowej znajdowała się dedykacja dla Tallis. Był też długi list napisany na marginesach rozdziału o Arturze, słowa spłodzone pewnej zimy w desperackiej próbie nawiązania łączności ponad barierą lat.

Nie zrozumiała listu jak należy, dopóki nie ukończyła dwunastu lat, lecz jedno słowo przykuło jej uwagę bardzo wcześnie – niezwykle wyraz „mitotwór”, który jej dziadek połączył w tekście z imieniem Artura.

Farma Keetonów była wspaniałym miejscem dla dziecka. Dom stał w środku wielkiego ogrodu, w którym znajdowały się sady, garaże, szklarnie,

szopy z jabłkami i drewnutnie, a także dzikie zakamarki ukryte za wysokimi murami, gdzie wszystko rosło bujnie i chaotycznie. Na zapleczu domu, zwrócony ku otwartym terenom, leżał szeroki trawnik oraz ogród warzywny oddzielony od pól drutem mającym powstrzymywać owce oraz zbłąkane jelenie... najwyraźniej nieskuteczny w przypadku dużych rogaczy.

Widoczne z ogrodu tereny zdawały się ciągnąć bez końca. Wszystkie pola były otoczone drzewami. Nawet na odległym horyzoncie dostrzegano się splątane skrawki starego lasu, który przetrwał stulecia. Jelenie szukały tam schronienia podczas sezonu polowań.

Keetonowie byli właścicielami farmy Stretley dopiero od dwóch pokoleń, lecz czuli się już częścią okolicy powiązaną z mieszkańcami Shadoxhurst.

Ojciec Tallis, James Keeton, był nieskomplikowanym, dobrym człowiekiem. Zarządzał farmą najlepiej jak potrafił, lecz większość czasu poświęcał na prowadzenie małej firmy doradztwa prawnego w Gloucester. Margaret Keeton – którą Tallis zawsze określała w myślach jako „surową, lecz uderzająco piękną”, co było pierwszym opisem matki, jaki usłyszała w życiu – udzielała się w miejscowej społeczności i skupiała na prowadzeniu sadów.

Główny ciężar kierowania małą farmą spadał na Edwarda Gaunta, który zajmował się ogrodem oraz szklarniami. Goście zawsze uważali Gaunta (wolał używać samego nazwiska) za „ogrodnika”, lecz był kimś znacznie więcej. Mieszkał w chacie niedaleko od domu Keetonów i – po wojnie – stał się właścicielem wielu spośród zwierząt gospodarskich. Opłacano go na najróżniejsze sposoby, lecz – jak zawsze mówił – najlepszy był udział w zyskach ze sprzedaży jabłeczniaka produkowanego z jabłek Keetonów.

Tallis bardzo lubiła pana Gaunta. We wczesnym dzieciństwie spędzała z nim wiele godzin. Pomagała mu w szklarniach albo w ogrodzie, słuchała jego opowieści i piosenek bądź też opowiadała mu własne. Dopiero gdy

podrosła, oddaliła się od niego, gdyż pochłonęły ją jej własne, tajemne zainteresowania.

Najdawniejsze wspomnienie Tallis dotyczyło Harry'ego, dwukrotnie utraconego brata.

Właściwie był jej przyrodnim bratem. James Keeton miał przedtem inną żonę, Irlandkę, która umarła w Londynie, we wczesnym okresie wojny. Bardzo szybko ożenił się po raz drugi i wkrótce potem urodziła się Tallis.

Pamiętała Harry'ego jako kochającego, łagodnego i zachwycająco psotnego człowieka. Miał jasne włosy i oczy oraz palce, które zawsze potrafiły znaleźć czułe miejsca w jej łokciach. W 1946 roku wrócił nieoczekiwanie z wojny, choć wcześniej odnotowano go jako „zaginionego w akcji, prawdopodobnie poległego”. Pamiętała, jak niósł ją na ramionach przez pola dzielące ich farmę od łąki Stretley Stones, gdzie pięć zwalonych na ziemię kamieni znaczyło miejsca starożytnych grobów.

Posadził ją na konarach drzewa i drażnił się z nią, grożąc, że ją tu zostawi. Miał poparzoną twarz – wyraźnie pamiętała tę skazę – a jego głos stawał się niekiedy bardzo smutny. Do obrażeń doszło po rozbiciu się samolotu podczas walk nad Francją. Smutek wywodził się z czegoś głębszego.

Liczyła sobie tylko trzy lata, gdy owe wspomnienia stały się częścią jej życia, lecz nigdy nie miała zapomnieć tego, jak cały dom, cała okolica, zdawały się śpiewać, kiedy tylko Harry odwiedzał farmę. Dostrzegała na swój dziecinny sposób ową radość mimo cienia, jaki nosił w sobie.

Pamiętała również gniewne głosy. Harry nie żył dobrze ze swą macochą. Czasami, z pokoiku na poddaszu, Tallis przyglądała się, jak ojciec i Harry szli pod rękę przez pola, zatopieni w rozmowie albo w myślach. W takich chwilach, które dziecku wydawały się bezgranicznie smutne, odgłos maszyny do szycia dobiegający z pracowni na dole przypominał gniewny ryk.

Latem, gdy nastał dzień czwartych urodzin Tallis, Harry przyszedł do domu o świcie, by się pożegnać. Pamiętała, jak się schylił, by ją pocałować. Sprawiał wrażenie rannego. Rannego w pierś, pomyślała. Kiedy go zapytała, co się stało, uśmiechnął się i odpowiedział: – Ktoś postrzelił mnie z łuku.

Jego oczy lśniły w półmroku. Do jej ust spłynęła pojedyncza łza.

– Posłuchaj mnie, Tallis – wyszeptał. – Posłuchaj mnie. Nie będę daleko. Rozumiesz? Nie będę daleko. Obiecuję! Jeszcze się zobaczymy, któregoś dnia. Obiecuję ci to z całego serca.

– Dokąd odchodzisz? – odpowiedziała również szeptem.

– W bardzo dziwne miejsce. Miejsce, które leży bardzo blisko. Miejsce, którego szukałem przez długie lata i które powinienem był odkryć wcześniej... Kocham cię, siostrzyczko. Zrobię, co będę mógł, żeby nie stracić z tobą kontaktu...

Leżała nieruchomo. Nie zlizwała z warg słonego smaku łzy. Raz za razem powtarzała sobie jego słowa, by zapamiętać je na zawsze. Wkrótce usłyszała warkot motocykla.

To było ich ostatnie spotkanie. W kilka dni później w domu po raz pierwszy wspomniano, że Harry nie żyje.

II

Tallis stała się najmniejszym, zdezorientowanym świadkiem straszliwej żałoby. Dom upodobił się do grobowca, zimnego i pełnego ech. Jej ojciec siedział sam w drewnitni, pochylony bezwładnie do przodu, z głową skrytą w dłoniach. Spędzał tak całe godziny, godziny każdego dnia, każdego dnia w tygodniu. Czasem przychodził do niego Gaunt, który siadał obok, oparty o ścianę szopy z założonymi rękami. Gdy mówił, jego wargi poruszały się niemal niedostrzegalnie.

Harry nie żył. Zawsze był rzadkim gościem w domu rodzinnym, choć nie mieszkał daleko. Odstępowały go kłótnie z macochą, a także coś innego, czego Tallis nie rozumiała. Miało to coś wspólnego z wojną, z jego poparzoną twarzą, z lasami – zwłaszcza z lasem Ryhope – oraz z duchami. W owym czasie nie potrafiła tego pojąć.

Dom przynosił teraz Tallis bardzo mało otuchy. Kiedy miała pięć lat, zaczęła budować tajemne obozy, co u tak małego dziecka było oznaką przedwczesnego rozwoju.

Jeden z nich leżał w ogrodzie, w alejce między dwoma garażami z cegły, drugi przy łące Stretley Stones, trzeci zaś w gąszczu olch i wierzb porastającym część brzegu strumienia zwanego Wyndbrook. Czwarty i ulubiony znajdował się w zniszczonej zagrodzie dla owiec wśród wałów na Kurhanowym Wzgórzu.

Wydawało się, że każdy z obozów przyciąga Tallis o innej porze roku. Latem, oglądając książki z obrazkami, siedziała przy łące Stretley Stones, ale zimą, zwłaszcza gdy leżał śnieg, wyruszała na Kurhanowe Wzgórze i kulila się w zagrodzie, gapiąc się na widoczną na drugim brzegu Wyndbrook mroczną, posępną ścianę lasu Ryhope.

Podczas tych długich miesięcy często widywała w oddali czarną sylwetkę Połamańca, gdy jednak ruszała za nim, zawsze się jej wymykał. Jedynie od czasu do czasu – tylko wiosną – natrafiała na ślady jelenia blisko domu bądź też dostrzegąca jego ukradkowe, chrome poruszenia wśród bliżej położonych pól i zagajników.

Podczas tych wczesnych lat dzieciństwa bardzo jej brakowało bliskości rodziców, ciepła, które znała przez tak krótką chwilę. Kiedyś ojciec rozmawiał z nią, gdy spacerowali razem, teraz zaś przechadzał się sam, zamyślony, nieobecny, pogrążony w milczeniu. Nie pamiętał już nazw roślin i drzew. A matka, która zawsze była przy niej tak radosna i wesoła, stała się blada i podobna do ducha. Kiedy Margaret Keeton nie była zajęta pracą w sadach, siedziała za stołem w jadalni i pisała listy. Nie miała cierpliwości do prostych wymagań Tallis, która próbowała przyciągnąć jej uwagę.

Dziewczynka znajdowała więc azyl w swych obozach. Po piątych urodzinach zabierała ze sobą książkę, którą zostawił dla niej dziadek, piękny tom pełen bajek i ludowych powiastek. Choć nie potrafiła jeszcze zbyt biegle odczytać drukowanego tekstu, pochłaniała ilustracje i komponowała własne proste opowieści towarzyszące wyobrażeniom rycerzy, królowych, zamków i dziwnych bestii, które znajdowały się między okładkami.

Niekiedy wpatrywała się w ciasno stłoczone, ręcznie pisane litery. Wiedziała, że są dziełem dziadka. Nie potrafiła odcyfrować niemal żadnego słowa, lecz nigdy nie prosiła rodziców, by przeczytali list. Słyszała kiedyś, jak jej matka określiła owe bazgroły jako „głupi nonsens” i zaproponowała, by wyrzucili książkę i kupili Tallis identyczny egzemplarz. Ojciec nie wyraził zgody.

– Stary przewróciłby się w grobie. Nie możemy ingerować w jego życzenia – powiedział.

List stał się więc osobistą własnością dziewczynki, mimo że jej rodzice niewątpliwie znali tekst. Przez kilka lat Tallis była w stanie przeczytać jedynie pierwszy fragment, napisany nad początkiem rozdziału, oraz kilka linijek na jego końcu, gdzie litery były większe, ponieważ było tam więcej miejsca.

Moja droga Tallis, Jestem starym człowiekiem, który pisze do ciebie w zimną grudniową noc. Zastanawiam się, czy będziesz kochała śnieg tak bardzo jak ja. A także ubolewała nad tym, jak skutecznie potrafi on uwięzić. W śniegu kryje się dawna pamięć. Dowiesz się tego we właściwym czasie, gdyż wiem już, skąd przychodzisz. Jesteś tej nocy bardzo hałaśliwa. Słuchanie ciebie nigdy mnie nie męczy. Czasem myślę, że może próbujesz przekazać mi własne, niemowlęce historie, by wynagrodzić mnie za wszystkie opowieści, które ci wyszeptalem.

Potem pismo wkraczało na margines pierwszej strony i stawało się ciasne oraz nieczytelne.

Oto, co była w stanie odcyfrować na dole strony:

Nazywa je mitotworami. Z pewnością są niezwykle. Jestem pewien, że Połamaniac również jest czymś takim. Może...

I tekst znowu stawał się nieczytelny.

Potrafiła również odczytać końcowe słowa:

Nazwy miejsc są ważne. Ukrywają i zawierają w sobie wielkie prawdy. Imię, które ci nadano, odmieniło twoje życie. Zachęcam cię, byś ich słuchała, gdy szepczą. Nade wszystko, nie bój się.

Twój kochający dziadek, Owen.

Te ostatnie słowa wywarły głęboki wpływ na dziewczynkę. Na kilka dni przed siódmymi urodzinami, gdy siedziała w obozie nad czystymi wodami Wyndbrook, zaczęła sobie wyobrazać, że słyszy szepty. Była zdumiona. Wydawało jej się, że słyszy kobiecy głos, lecz słowa były pozbawione

znaczenia. Możliwe, że to tylko wiatr szumiał w gałęziach bądź orlicach, brzmienie było jednak niepokojąco ludzkie. Z pewnością słyszała głos.

Nie wstając, obróciła się i wpatrzyła w krzaki. Zauważyła jakąś sylwetkę, która umknęła szybko. Podniosła się z miejsca i ruszyła za nim, starając się dostrzec jego kształt. Na wpół zdawała sobie sprawę, że postać jest niska i chyba ma kaptur na głowie. Posuwała się szybko w stronę gęstwiny, która prowadziła do samego lasu Ryhope. Przemykała się między drzewami niczym cień, cień rzucany przez chmurę, wyraźny, potem niewyraźny, a wreszcie całkowicie niewidoczny.

Tallis zrezygnowała z pościgu, dopiero jednak gdy zauważyła z satysfakcją, że paprocie blisko brzegu rzeki są zdeptane. Mógł to być trop jelenia, wiedziała jednak z całą pewnością, że nie ścigała zwierzęcia.

Wróciwszy wzdłuż Wyndbrook do kamieni, umożliwiających pokonanie strumienia w bród, mogła ruszyć przez pole Knowe aż do obozu na Kurhanowym Wzgórzu. Gdy jednak dotarła do przejścia przez szeroki potok, zawahała się. Czuła chłód i strach. Drzewa rosły tu rzadziej. Przed nią znajdowało się wzniesienie przechodzące wyżej w nagą grań o ostrym zarysie widocznym na tle błękitnego nieba. Po prawej leżało Kurhanowe Wzgórze, na które prowadziła wąska ścieżka. Jego szczyt pokrywały nieregularne, porośnięte trawą garby.

Wiele razy przechodziła przez Wyndbrook. Wiele razy szła tą ścieżką, tym polem. Teraz jednak zawahała się. W wyobraźni słyszała podmuchy wiatru, podobne do niesamowitego szeptu. Wbiła wzrok w Kurhanowe Wzgórze. Była to jego powszechnie używana nazwa, znana od stuleci. Nie była jednak właściwa. Tallis ogarnął silny lęk, że jeśli wkroczy na ten znany teren, znajdzie się w miejscu, które było teraz dla niej zakazane.

Przykucnęła, ściskając książkę pod pachą, i zanurzyła dłoń w zimnej wodzie strumienia.

Nazwa przyszła do niej równie nagle jak strach, który czuła poprzednio. Była to grań Morndun. Jej brzmienie przyprawiło dziewczynkę o dreszcz.

Było mroczne niczym nawałnica. Wraz z nazwą pojawiła się krótkotrwała sekwencja innych doznań: szum wiatru poruszającego zwierzęcymi skórąmi rozpiętymi na drewnianych ramach; skrzypienie ciężkiego wozu; kłęby dymu bijące z dużego ogniska; woń świeżej ziemi wyrzucanej z długiego wykopu; stojąca postać, wysoka i mroczna, która wydawała się małeńka przy drzewie o gałęziach oderżniętych od pnia.

Morndun. Brzmiało to jak "Mourendoon". Było to stare miejsce, pradawna nazwa i mroczne wspomnienie.

Tallis wstała i zaczęła powoli iść w stronę kamieni. Woda jednak zdawała się z niej drwić. Dziewczynka cofnęła się. Natychmiast zrozumiała, co jest źródłem jej niepokoju. Choć poznała tajemną nazwę Kurhanowego Wzgórza, nie nazwała jeszcze strumienia, a nie mogła go przekroczyć, dopóki tego nie uczyni, gdyż znalazłaby się w pułapce.

Pobiegła do domu, zbita z tropu i wystraszona grą, którą rozpoczęła. Będzie musiała dowiedzieć się wszystkiego o otaczającej farmę okolicy. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że każde pole, drzewo i strumień mają tajemne nazwy, które można poznać jedynie z upływem czasu. Dopóki ich nie odkryje, będzie uwięziona, a rzucić wyzwanie ziemi, przejść przez pole, nie znając jego prawdziwej nazwy, oznaczałoby znalezienie się w pułapce po drugiej stronie.

Jej rodzice, całkiem naturalnie, uważali całą sprawę za „kolejny nonsens”, ale, ostatecznie, jeśli ta zabawa powstrzymywała ją przed zbytnim oddalaniem się od domu, czemu mieliby się skarżyć?

W ciągu tego roku Tallis zdołała przeobrazić okolicę. Tydzień za tygodniem przesuwała granicę coraz dalej. Z każdą kolejną porą roku była w stanie oddalić się od farmy trochę bardziej, zapuścić się głębiej w swe dziecinne, przypominające sen królestwo.

Wkrótce znalazła szlak wiodący na grań Morndun – tajemna nazwa Wyndbrook brzmiała Potok Łowcy – i do zagrody, która była jej ulubioną kryjówką.

Tylko jedno pole dzieliło jeszcze jej domenę od leżącej w majątku Ryhope splątanej, niebezpiecznej leśnej gęstwiny, która tak głęboko fascynowała jej brata Harry'ego. Jego nazwa wciąż była dla dziewczynki nieodgadniona. Tallis stanęła na brzegu Potoku Łowcy, za gęstym skupiskiem olch, które tworzyło jej obóz i spojrzała w górę zielonego stoku ku ledwie dostrzegalnemu mglistemu mrokowi odległego boru.

Nazwa nie chciała przyjść. Tallis nie mogła przekroczyć pastwiska.

Codziennie po lekcjach szła wzdłuż wałów grani Morndun, klucząc między głogami i grabami, które tam rosły. Każde z drzew czerpało soki z głębokiej warstwy gleby wysokich nasypów. Tam właśnie znajdowała teraz największy spokój. Widmowy kształt, który widziała przed kilkoma miesiącami, wciąż się za nią skradał. W głowie kłębiło się jej od dziwnych myśli: obrazów i dźwięków, zapachów i dotyku wiatru. W chwilach, gdy wspinała się na wietrzny pagórek, by spędzić chwilę w zagrodzie zbudowanej rękoma starożytnych w zapomnianych celach, nigdy nie była daleko od granic odmiennej krainy.

Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyła Białą Maskę, choć dopiero później obdarzyła mitotwór tą nazwą. Ujrzana kącikiem oka postać była wyższa od pierwszej, a także szybsza. Poruszała się między drzewami z większą prędkością, zatrzymywała się, a potem biegła dalej w niemal upiorny sposób. W masce odbiło się słońce. Oczy wyglądały na elfie, usta zaś były prostą, złowieszczą szramą.

Gdy jednak pewnego niedzielnego popołudnia istota zbliżyła się bardziej, Tallis śniła o zamku, odzianej w płaszczy postaci dosiadającej konia oraz łowach, które zaprowadziły owego rycerza głęboko w ociekający wilgocią, bagnisty las...

Był to początek opowieści, która miała się tworzyć w jej umyśle przez całe tygodnie, aż niemal zaczęła żyć własnym życiem.

Pole leżące pod lasem Ryhope ukrywało swą nazwę. Mając osiem lat, każdego dnia stawała nad Potokiem Łowcy, przyciągana ku mrocznej kniei

czymś głębszym niż rozum, usiłująca odszukać nazwę połaci ziemi, która nie pozwalała jej dotrzeć do drzew.

Wtem, pewnego sierpniowego wieczoru, w oddali wypadł z ukrycia wysoki, ciemny jeleń. Tallis wciągnęła powietrze z zachwytu. Wspięła się na palce, by go lepiej zobaczyć. Nie widziała zwierzęcia od dwóch lat. Krzyknęła do niego. Dumne stworzenie, ciągnące za sobą strzępy scypułu z wielkiego krzyża poroża wbiegło na wzniesienie i zanim zniknęło jej z oczu, zawahało się i spojrzało w jej stronę.

III

– Widziałam Połamańca – oznajmiła Tallis tego wieczoru, gdy rodzina zasiadła przy stole, by zagrać w chińczyka.

Ojciec popatrzył na nią, marszcząc brwi. Matka zagrzechotała kośćmi w kubku i rzuciła je na planszę.

– Wątpię w to – odparł ojciec. – Tego staruszka zabito wiele lat temu.

– Przyszedł na moje chrzciny – przypomniała mu Tallis.

– Ale był ranny. Niemożliwe, by przeżył zimę.

– Pan Gaunt mówił mi, że tego jelenia widywano w okolicy od ponad stu lat.

– Gaunt to stary szelma. Lubi opowiadać różne historie, żeby zaimponować dzieciom takim jak ty. Jak jeleni mógłby żyć tak długo?

– Pan Gaunt mówi, że on nigdy nie zrzuca poroża.

Margaret Keeton podała Tallis kubek z kostkami, potrząsając głową ze zniecierpliwieniem.

– Wszyscy bardzo dobrze wiemy, jakie głupie nonsensy opowiada Gaunt. No, rzucaj. Teraz twoja kolej.

Tallis jednak przyglądała się ojcu. Wyglądał ostatnio lepiej. Był mniej blady, ale jego włosy stały się już niemal zupełnie siwe, a oczy załamane i pełne smutku.

– Jestem pewna, że to był Połamaniec. Utykał podczas biegu. A jego poroże pokrywały strzępy. Śmiertelny całun...

– Będziesz grać, dziewczyno? – zapytała poirytowana matka. Tallis wzięła kubek, rzuciła kości i przesunęła pionek po planszy. Ponownie spojrzała na ojca.

– Czy to nie mógł być on?

– Połamaniec był ranny, kiedy ostatnio go widzieliśmy. Trafiony strzałą. Trafiony strzałą. Tak. Tallis przypomniała sobie tę opowieść. Przypomniała też sobie coś jeszcze.

– Jak Harry – wyszeptała. – Trafiony strzałą, jak Harry.

James Keeton przeszył ją ostrym spojrzeniem. Przez chwilę Tallis myślała, że zacznie krzyczeć. Zachował jednak spokój. Nagle ciężko opadł na krzesło, wspierając dłonie o blat. Wpatrywał się przed siebie. Margaret Keeton westchnęła i zdjęła ze stołu planszę.

– Gra z wami to żadna zabawa. – Spojrzała wilkiem na Tallis. – Dlaczego musiałaś poruszać temat Harry’ego? Wiesz, jak to denerwuje ojca – Nie jestem zdenerwowany – odparł cicho. – Myślałem tylko... już naprawdę czas, żebyśmy poszli poszukać tego domu. Odwlekałem to, ale może czegoś się dowiemy.

– Jeśli uważasz, że to w czymś pomoże... – stwierdziła matka.

– Jakiego domu? – zapytała Tallis.

Ojciec spojrzał na nią przelotnie, po czym uśmiechnął się. Zignorował pytanie.

– Chciałabyś jutro wybrać się na piknik? – zaproponował.

– Chciałabym jutro wybrać się na piknik – zgodziła się rzeczowym tonem. – Jakiego domu?

Mrugnął do niej i przytknął palec do warg.

– Dokąd pójdziemy? – nalegała Tallis.

– Hen w dal, za pole – odpowiedział tylko.

Następny dzień, niedzielę, zaczęli od krótkiego nabożeństwa w kościele w Shadoxhurst. O dziesiątej wrócili do domu i zapakowali piknikowy kosz. Krótco przed południem ruszyli we troje przez Łąkę Wietrznej Jaskini ku Lisiej Wodzie i dalej. Wędrowali suchym traktem wzdłuż gęstych żywopłotów oddzielających od siebie przyległe farmy. Tallis bardzo szybko

z mieszanką strachu i podniecenia zdała sobie sprawę, że idą w kierunku lasu Ryhope.

Zrozumiała też, że ponieważ ma towarzystwo, może wejść na Bezimienne Pole leżące między Potokiem Łowcy a samym lasem. Z poczuciem wielkiego triumfu postawiła stopę na zakazanej trawie. W połowie drogi zaczęła biec, zostawiając rodziców z tyłu. Gdy zbliżyła się do gęstej, groźnej ściany głogu i innych ciernistych krzewów stanowiących podszycie lasu, grunt stał się bagnisty. Trawa była tu wysoka i przypominała słomę. Gdzieniedzie sięgała jej niemal do ramion. Tallis poruszała się miarowym, ostrożnym krokiem przez te ciche zarośla. Omal w nich nie zabłądziła. Wreszcie zamajaczyła przed nią wysoka ściana dębów. Zatrzymała się i wsłuchiwała w głosy dobiegające z mroku za drzewami. Choć można było rozpoznać śpiew ptaków, słyszała też inne, bardziej tajemnicze dźwięki.

Usłyszała wołanie ojca. Kiedy się odwróciła, dostrzegła kącikiem oka obserwującą ją ludzką postać. Gdy jednak przyjrzała się dokładnie, człowiek znikł.

Przeszył ją nagły dreszcz strachu. Matka często prawiała jej kazania o „Cyganach”, którzy zamieszkiwali las, a także o tym, jak niebezpiecznie jest rozmawiać z nieznajomymi czy włóczyć się samotnie po zmierzchu. Jedynymi Cyganami, jakich w życiu widziała, byli jednak tańczący na wiejskich błoniach Romowie w kolorowych wozach i barwnych strojach.

Ten cień, przelotnie dostrzeżony kształt, nie był kolorowy... był ciemnobrązowy i wysoki... pod każdym względem dziwny.

Wróciła przez wysoką trawę, zdjęła płócienne buty i wycisnęła z nich wodę. Następnie ruszyła za rodzicami skrajem lasu.

Wkrótce natrafili na wąską, wyboistą drogę biegnącą między wysokimi żywopłotami i nasypami. Na horyzoncie po obu jej stronach rosły dwa targane wiatrem buki. W jakimś odległym punkcie musiała się łączyć z szosą prowadzącą z Shadoxhurst do Grimley. Tutaj jednak, w miejscu,

gdzie wchodziła na teren lasu Ryhope, była popękana i porośnięta roślinnością, całkiem jakby nagle wstrząsnęło nią gwałtowne poruszenie ziemi.

– Dobry Boże – rzekł James Keeton. – To musi być ta stara droga – dodał. – „Wyboisty trakt” Gaunta.

Na skraju lasu wzniesiono liche ogrodzenie z drutu kolczastego. Wyraźny, choć wyblakły napis na tablicy głosił: WSTĘP WZBRONIONY.

Tallis wyczuwała, że ojciec jest zaniepokojony.

– Na pewno się pomyliłeś – powiedziała do niego Margaret. – Może to jest dalej...

– Nie mogłem się pomylić – odparł poirytowany ojciec. Stał przy drucie kolczastym, dotykając go ręką. Podniósł wzrok ku drzewom i wpatrzył się w ciemność. Po chwili cofnął się i rozejrzał po okolicznych polach uprawnych.

– Kiedyś był tu jakiś dom. Jestem tego pewien. Nazywał się Oak Lodge. Gaunt zapewniał mnie o tym. Na końcu wyboistego traktu, jak powiedział.

Przeszedł kawałek po zniszczonej erozją drodze, po czym odwrócił się, by popatrzeć na gęsty las.

– Tam właśnie udał się Harry. Tak samo jak mój ojciec przed wojną. Odwiedzić tych historyków... Huxley. A drugi... Wynne-Jones.

– To było, zanim ja tu nastalam – stwierdziła Margaret.

Wpatrzyli się w zniszczoną drogę, która niknęła w gęstej roślinności. Wysokie, ciasno rosnące dęby rzucały odpychający cień na gąszcz głogu, tarniny i dzikiej róży. Porastająca skraj lasu wysoka trawa kołysała się na łagodnym wietrzyku. Umieszczona na żerdzi tablica grzechotała, a rdzewiejący drut drżał.

Na twarzy Jamesa Keetona pojawił się dziwny wyraz. Tallis zdała sobie sprawę, że ojca ogarnął nagle wielki strach. Pobladł i wybałuszył oczy. Oddychał szybko i nerwowo.

Podeszła do samego ogrodzenia i zatrzymała się tam, wpatrując się w mrok. Obserwując tę zrodzoną z ziemi ciemność, zaczęła w niej dostrzegać promyk światła, blask słońca na wyrębie leżącym daleko za zewnętrzną linią drzew.

– Tam jest polana – oznajmiła. Ojciec jednak postanowił ją zignorować. Oddalił się od lasu, stanął na nasypie biegnącym wzdłuż drogi i wpatrzył się w dal. Matka rozłożyła koc pod samotnie rosnącym wiązem i zaczęła wypakowywać zawartość koszyka.

– Tam jest polana – powtórzyła głośno Tallis. – Dom mógł stać na niej.

Ojciec przyglądał się jej przez chwilę, po czym zszedł z nasypu, nie zwracając uwagi na córkę. Podszedł do wiazu, – Gaunt musiał się pomylić – stwierdził. – Masz rację. Nie mogę jednak uwierzyć, że...

– Tato! W lesie jest polana! – zawołała dziewczynka.

– Nie odchodź za daleko! – odkrzyknął. Tallis, której ciało było napięte z podniecenia, osłabła na chwilę.

Nie słuchał jej. Był tak pochłonięty własnymi myślami, własnymi troskami, że nie chciał do niego dotrzeć fakt, iż opuszczony budynek mógł się znajdować w lesie.

Był tutaj dom, który teraz zniknął. Wpatrzyła się w drogę. Nierówna, betonowa nawierzchnia kończyła się niczym odcięta nożem, całkiem jakby las ją pożarł, pochłonął w całości. Być może w tym samym kąsie połknął dom, a cały budynek ogarnęły drzewa.

Nie wiedziała, skąd się wzięła ta dziwna myśl, ale owa wizja była w jej umyśle równie wyraźna jak obrazy wywodzące się z bajek, które czytała przez całe życie.

Mroczne knieje i dalekie zamki... a na żółtych, skąpanych w blasku słońca polanach zawsze można było znaleźć niezwykle skarby.

Nadepnęła na dolny drut i ostrożnie uniosła górny. Pochyliła się i prześliznęła pod nim, pochylając się nisko. Obejrzała się na rodziców, którzy siedzieli na kocu, popijali herbatę i rozmawiali.

Odwróciła się i ruszyła przez podszycie ku widocznej z przodu plamie światła.

Wciąż wyczuwała pod cienkimi podeszwami spękaną, rozkawałoną nawierzchnię. Po betonie przebiegały korzenie. Ostrożnie posuwając się w półmroku naprzód, musiała odsuwać na bok nisko zwisające gałęzie. Zbliżywszy się do polany, dostrzegła, że jest ona mała i otaczają ją olbrzymie dęby o ciemnych pniach. Nad listowiem wznosiły się posępne, martwe konary, połamane i powyginane przez zimowe wichry.

Widziała również pionową ścianę z cegieł. Były w niej dwa okna, z których dawno już zniknęło szkło. Gałęzie ogarniającego wszystko lasu zwisały z nich niczym martwe kończyny.

Postąpiła kolejny krok, odsuwając na bok rozkrzewioną pajęczynę tarniny o czerwonych jagodach. Dostrzegła teraz, że na środku polany, przed domem, wznosi się wysoka drewniana kolumna. Jej szczyt wyrzeźbiono mniej więcej na podobieństwo ludzkiej twarzy: toporne, skośne oczy, rozwarte usta, szrama nosa. Drewno było poczerniałe od deszczu, zbutwiałe, rozszczepione pionowo i rozsypujące się. Przyglądając mu się, Tallis czuła głęboki niepokój...

Okrzyknęła ukradkiem ten ohydny słup totemiczny i znalazła się w ogrodzie przylegającym do domu zwanego ongiś Oak Lodge. Pierwszym, co dostrzegła, był płytki dół na ogień wykopany w dzikiej darni, która była wszystkim, co pozostało z trawnika. Wokół leżały porozrzucane zwierzęce kości. Zauważyła też zwęglone resztki polan, których użyto na opał.

Krzyknęła z niepokojem. Nawiedziło ją niezwykle silne poczucie, że ktoś ją obserwuje. Nie dostrzegała jednak żadnych zdradzających intruza szczegółów czy poruszeń. Jej głos zabrzmiał niemal głucho w zamkniętej przestrzeni. Potężne pnie oblegających polanę dębów pochłonęły jej słowa. Odpowiedziały jedynie trzepotem ptaków wśród gałęzi. Tallis zbadała mały ogród, przyglądając się wszystkiemu: tu resztki ogrodzenia z drutu

kolczastego, tam kilka przebitych przez korzenie desek, które mogły pochodzić z kurnika lub psiej budy.

Nad wszystkim dominował rzucający na małą polanę posępny cień rzeźbiony pień, totem. Tallis dotknęła pocerniałego drewna, a wtedy zaczęło odpadać, odsłaniając rojące się pod spodem owady. Podniosła wzrok ku gniewnym rysom, złym oczom, uśmiechniętym szyderczo ustom. Dostrzegła, w jaki sposób do kolumny, zniszczonej już prawie nie do poznania, dodano zarysy nóg i rąk.

Starożytny wizerunek patrzył na dom. Być może pełnił przy nim straż.

Sam budynek stał się częścią lasu. Podłogi popękały pod naciskiem drzew wyrastających z zimnej ziemi pod spodem. Okna otaczały ulistnione gałęzie. Dach był przebity w taki sam sposób. Ponad wierzchołki drzew wystawały jedynie wysokie kominy.

Tallis zajrzała do dwóch pokoi – najpierw do gabinetu. Oszklone drzwi zwisały wyrwane z zawiasów, biurko porósł bluszcz, a większą część samego pomieszczenia zajmował olbrzymi pień dębu w kształcie litery V. Potem kuchnia. W tej małej izdebce znajdowały się omszałe pozostałości sosnowego stołu oraz stara kuchenka. Sufit przesłaniały przypominające pnącza gałęzie. Spiżarnia była zupełnie pusta. Dziewczynka zdjęła z haka na ścianie żeliwny rondel i omal nie wyskoczyła ze skóry z wrażenia, gdy gałązka, która przebiła się przez cegłę pod spodem, odskoczyła w górę, uwolniona spod nacisku.

Kiedy Tallis popatrzyła w głąb salonu, wystraszył ją drzewny gąszcz, który zajmował każdą stopę pokoju, miażdżąc meble, przyciskając się do ścian i przebijając się przez wyblakłe, oprawione w ramy obrazy.

Wróciła do ogrodu. Stojące wysoko na niebie słońce utrudniało jej patrzenie na uśmiechniętą totemiczną figurę wyrzeźbioną w olbrzymim pniu drzewa. Zastanowiła się przelotnie, kto wzniósł tę statwę i w jakim celu...

Wszystko w polanie i zrujnowanym domu sugerowało jej, że jest to żywe miejsce, że ktoś z niego korzysta. Dół na ogień był stary, popiół zbity przez liczne deszcze, a kości rozwłóczyły po ogrodzie zwierzęta. Mimo to budynek sprawiał wrażenie zamieszkanego, podobne do tego, jakie mógłby wywierać tymczasowy obóz, być może należący do myśliwego.

Coś przemknęło obok niej, szybko i bezgłośnie.

Przestraszyło ją to. Oczy nadal miała oślepione blaskiem słońca, przesłoniętego częściowo przez przegniłe zarysy drewnianego wizerunku. Miała wrażenie, że obok przebiegło dziecko. Szybko jednak zniknęło w podszyciu, w tym samym fragmencie lasu, przez który przedtem przeszła ostrożnie do tego małego, opuszczonego ogrodu.

Wszędzie wokół w puszczy coś się ruszało. Na granicy pola widzenia dostrzegła zagadkowe, niepokojące drżenia. Wrażenie to było jej już dobrze znane i nie czuła się zaniepokojona.

Dziecko z pewnością było tworem jej wyobraźni.

Nagle poczuła się bardzo spokojna, bardzo wyciszona. Usiadła obok olbrzymiego, rzeźbionego pnia, podniosła wzrok ku wyszczerbionym zarysom widocznym na tle jasnego nieba i zamknęła oczy. Spróbowała sobie wyobrazić, jak wyglądał dom, kiedy był zamieszkanym. Dziadek z pewnością jej o nim opowiadał. Być może uda jej się przywołać jego słowa z prymitywnych, niemowlęcych części jaźni.

Wkrótce wyobraziła sobie psa krążącego po ogrodzie i biegające na swobodzie kury dziobiące ziemię. Przez otwarte drzwi z kuchni, w której za sosnowym stołem krzątała się kobieta, dobiegały dźwięki radioodbiornika. Oszklone drzwi były otwarte. Słyszała głosy. Za biurkiem siedziało dwóch mężczyzn poddających przeglądowi zabytki przeszłości, którą badali za pomocą własnych umysłów. Pisali coś w grubej księdze, skrobiąc słowa...

Obok ogrodowego płotu przechodził młody mężczyzna o świeżej, opalonej twarzy.

Nagle słońce pobladło. Poczła ukłucie mroźnego wichru. Wokół piętrzyły się wysokie zasp. Nad jej głową kłębiły się czarne chmury. Śnieg sypał na nią bezlitośnie, sprawiając, że marzła do szpiku kości...

Przez nawałnicę zbliżała się ku niej jakaś postać. Była gruba jak niedźwiedź. Gdy podeszła bliżej, Tallis dostrzegła, że to mężczyzna, odziany w liczne futra. Z białych zwierzęcych zębów zdobiących mu pierś zwisały sope. Wśród zakrytej czarnymi włosami i brodą twarzy błyskały lodowate oczy.

Mężczyzna przykucnął. Wzniósł w górę obie ręce, w których trzymał kamienną maczugę, gładką i czarną, błyszczącą i wypolerowaną. Nieznajomy płakał. Tallis patrzyła na niego z udręką. Nie dobiegał od niego żaden głos. Również wiatr i śnieg były bezdźwięczne...

Nagle otworzył usta, odrzucił głowę do tyłu i krzyknął ogłuszająco.

Krzyk miał postać imienia. Imienia Tallis. Był głośny, dręczący i przeraźliwy. Dziewczynka natychmiast wyrwała się ze swych wizji. Pot zalewał jej twarz, a serce waliło.

Polana wyglądała tak samo jak przedtem – z jednej strony pogrążona w głębokim cieniu, a z drugiej skąpana w jasnych promieniach słońca. W oddali ktoś wołał ją po imieniu z niepokojem w głosie.

Wróciła tą samą drogą, którą przysła, zaglądając do zniszczonego gabinetu, wypełnionego przez dąb pokoju, którego gabloty, szafki i półki zniszczyły czas oraz pogoda. Ponownie zwróciła uwagę na biurko. Pomyślała o wizji dwóch piszących mężczyzn. Czy dziadek szeptał do niej o dzienniku? Czy można było tu znaleźć jakieś zapiski? Czy będą tam wzmianki o Harrym?

Dotarła na skraj lasu. W ostatnim momencie, gdy szła przez mrok, dostrzegła postać mężczyzny stojącego na otwartej przestrzeni. Widziała jedynie sylwetkę. Poczła niepokój. Człowiek stał na wzniesieniu, tuż za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Pochylony, wpatrywał się w nieprzenikniony mrok lasu Ryhope. Tallis przyglądała mu się, wyczuwając

jego niepokój... i smutek. Wszystko wskazywało na to, że widzi przygnębionego, starzejącego się mężczyznę. Nieruchomego. Wpatzonego. Gapiącego się z napięciem na królestwo zamknięte przed nim przez strach w jego sercu. Swego ojca.

– Tallis?

Bez słowa wyszła na oświetlony obszar, minęła linię ostatnich drzew i przeszła przez ogrodzenie.

James Keeton wyprostował się z wyrazem ulgi na twarzy.

– Niepokoiłiśmy się o ciebie. Myśleliśmy, że się zgubiłaś.

– Nie, tato, nic mi się nie stało.

– Dobrze. Dzięki Bogu.

Podeszła do niego i ujęła jego dłoń. Obejrzała się na las, gdzie cały odmienny świat czekał w milczeniu na przybycie gości pragnących zachwycić się jego niezwykłością.

– Tam jest dom – wyszeptała do ojca.

– Cóż... zostawimy go na razie w spokoju. Chyba nie zauważyłaś żadnych znaków życia?

Tallis uśmiechnęła się, po czym potrząsnęła głową.

– Chodź coś zjeść – powiedział.

Tego samego popołudnia zrobiła swą pierwszą lalkę. Czuła się do tego zmuszona, lecz nie zastanawiała się, skąd może pochodzić ów przymus.

Znalazła cienką gałązkę głogu długości dwunastu cali. Zdjęła z niej korę i zaokrągliła jeden z końców, posługując się nożem, który pożyczyła z warsztatu Gaunta. Kosztowało ją to sporo wysiłku. Drewno było świeże, lecz mimo to bardzo twarde. Gdy spróbowała wyciąć oczy, przekonała się, że nawet proste kształty wymagają mozolnej pracy. Ostateczny efekt był taki, że wystrugany kształt wykazywał nikłe podobieństwo do ludzkiej postaci. Niemniej jednak Tallis była dumna ze swego Cierniowego Króla i postawiła go na serwantce. Przyjrzała mu się uważnie, lecz nic nie

oznaczał. Próbowała skopiować ohydny słup z ogrodowej polany, ale nie udało się jej nawet zbliżyć do celu. Ten pierwszy eksperyment z obróbką drewna okazał się pusty, pozbawiony znaczenia.

Nagle jednak przyszła jej do głowy pewna myśl. Udała się do drewni. Sprawdziła ścięte wiązy, aż wreszcie znalazła grubą kłodę, wciąż jeszcze pokrytą korą. Ściągnęła ją ostrożnie i przecięła na pół, by uzyskać zakrzywioną płachtę, z której mogłaby wykonać maskę.

Wróciła do pokoju i pracowała aż do wieczora, przycinając prostokątny fragment, by nadać mu owalny kształt, przypominający mniej więcej twarz. Kora wiązu jest twarda i Tallis przekonała się po raz drugi, że przy swej niewielkiej sile, nawet wspartej ostrym nożem, mogła strugać i ciąć tylko bardzo powoli. Wkrótce jednak wydłubała dwoje oczu i wyskrobała uśmiechnięte usta. Wyczerpana, siedząca wśród wiórków, wyjęła pudełko z farbami i namalowała koncentryczne, zielone pierścienie wokół oczu oraz czerwony język wystający ze szczeliny ust. Pozostałą część kory pomalowała na biał.

Gdy postawiła swe dzieło na serwantce i przyjrzała mu się, postanowiła nadać mu imię Drażąca.

Kiedy w kilka minut później do pokoju wszedł ojciec, był zaskoczony i wstrząśnięty panującym bałaganem.

– Co to, u licha? – zapytał, strzepując drewniane wiórki z łóżka Tallis. – Co tu robiłaś?

– Rzeźbiłam – odpowiedziała po prostu.

Złapał za nóż i sprawdził jego ostrze. Potrząsnął głową i popatrzył na córkę.

– Ostatnie, czego mi teraz potrzeba, to przyszywać ci poodcinane palce. Jest piekielnie ostry.

– Wiem. Dlatego go wzięłam. Ale jestem ostrożna. Spójrz!

Uniosła ręce, na których nie było śladu krwi. Ojciec wyglądał na usatysfakcjonowanego. Tallis uśmiechnęła się, gdyż w rzeczywistości

skaleczyła się porządnie w prawą dłoń, ale wcześniej zakleiła szramę plastrem.

James Keeton podszedł do dwóch potworności stojących na meblu. Wziął w rękę maskę.

– To brzydkie. Dlaczego wyrzeźbiłaś coś takiego?

– Nie wiem.

– Zamierzasz ją nosić?

– Chyba tak. Któregoś dnia.

Zasłonił sobie twarz maską i popatrzył na dziewczynkę przez maleńkie szparki oczu. Zaczął wydawać z siebie niskie, tajemnicze pomruki. Tallis roześmiała się.

– Prawie nic się nie widzi – stwierdził, opuszczając zrobioną z kory twarz.

– To jest Drążąca – wyjaśniła.

– To jest co?

– Drążąca. Tak się nazywa maska.

– A co to jest Drążąca?

– Nie wiem. Pewnie coś, co strzeże wydrążeń. Coś, co pilnuje szlaków między różnymi światami.

– Bzdury – odparł ojciec. W jego głosie brzmiała jednak życzliwość. – Ale imponuje mi, że słyszałaś o takich szlakach. Wiesz, że wokół farmy jest ich kilka. Szliśmy dzisiaj jednym z nich...

– Przecież to tylko ścieżki – przerwała mu niecierpliwie.

– Ale bardzo stare. Jedna z nich biegnie przez łąkę Stretley Stones. Stretley, rozumiesz? To dawne słowo na określenie ulicy. Kamienie zapewne oznaczają miejsce, gdzie było skrzyżowanie dróg. – Nachylił się nad nią. – Chodzili tamtędy mężczyźni i kobiety odziani w skóry i noszący maczugi. Niektórzy zapewne zatrzymywali się w punkcie, gdzie teraz stoi dom, żeby zjeść surowy krowi udziec albo i dwa.

Tallis skrzywiła się. Pomysł jedzenia surowego mięsa wydawał się jej głupotą. Jej ojciec nie potrafił opowiadać przekonujących historii.

– To i tak tylko stare drogi – nie ustępowała. – Ale niektóre z nich... – ściszyła dramatycznie głos. – Niektóre z nich wiodły kiedyś daleko w głąb krainy, owijały się wokół lasu i nagle znikwały. Dawni ludzie oznaczali takie miejsca wysokimi kamieniami albo wielkimi drewnianymi słupami wyrzeźbionymi na kształt ulubionego zwierzęcia, palami wykonanymi z całych drzew...

– Naprawdę? – zapytał ojciec, przyglądając się córce, która kręciła się po pokoju z uniesionymi rękoma i napiętym ciałem, jak gdyby podkradała się do jakiegoś zwierzęcia.

– Tak jest. Naprawdę. W dzisiejszych czasach możemy jeszcze zobaczyć kamienie, na polach i wzgórzach, lecz stare przejścia zaginęły. Ale setki lat temu, gdy byłeś jeszcze młody...

– Dziękuję ci bardzo.

– Tysiące lat temu te miejsca były zakazane dla wszystkich poza drążącymi. Dlatego że wiodły do królestw zmarłych. Tylko garstka zwykłych ludzi mogła tam dotrzeć. Jedynie bohaterowie. Wyruszał tam rycerze w zbrojach. Zawsze brali ze sobą swoje psy, olbrzymie myśliwskie brytany, i ścigali wielkie bestie z podziemnego świata: ogromne łosie, których poroża mogły ścinać drzewa, gigantyczne rogate świnie, niedźwiedzie o burczących brzuchach, ludzi-wilki, którzy chodzili na tylnych łapach i potrafili się ukryć, udając uschnięte drzewa. Czasem jednak, gdy któryś z łowców próbował wrócić do swego zamku, nie potrafił odnaleźć wydrążenia albo kamieni, albo lasu, albo jaskini... i uwięziony tam, stawał się coraz bardziej podobny do ducha, aż wreszcie jego strój przypominał zszargany śmiertelny całun spowijający ciało, a miecze i sztylety stawały się czerwone od rdzy. Jeśli jednak taki mężczyzna miał dobrego przyjaciela, ten dobry przyjaciel wyruszał mu na ratunek. Jeśli... – dodała z końcowym dramatycznym akcentem, unosząc do twarzy

drewnianą maskę i naśladowując żartobliwe pomrukiwanie ojca – jeśli drążący na to pozwolił...

Miała osiem lat, a zawstydziła jego „surowy krowi udziec”. James Keeton gapił się ze zdumieniem na córkę.

– Gdzie u licha to wszystko usłyszałaś? Od Gaunta?

– Po prostu przyszło mi do głowy – oznajmiła szczerze.

Niewątpliwie była wnuczką swego dziadka. Keeton uśmiechnął się, przyznając się do porażki.

– Podobał ci się dzisiejszy spacer? – zapytał, chcąc zmienić temat.

Popatrzyła na niego, po czym skinęła głową.

– Dlaczego nie poszedłeś ze mną? Do lasu?

Wzruszył tylko ramionami.

– Jestem za stary, żeby hasać po kniei. Zresztą była tam tablica z napisem: WSTĘP WZBRONIONY. Czy potrafisz sobie wyobrazić, co by się stało z moją firmą, gdyby oskarżono mnie o wtargnięcie na cudzy grunt?

– Ale tam był dom. Przeszedłeś taki kawał drogi, żeby go zobaczyć, a potem z tego zrezygnowałeś. Dlaczego?

Keeton uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Tablice z napisem: WSTĘP WZBRONIONY znaczą, że wstęp jest wzbroniony.

– Ale kto ją ustawił?

– Nie mam pojęcia. Pewnie majątek Ryhope.

– To dlaczego nie odbudowali domu? Dlaczego go po prostu porzucili? Wszystko jest zniszczone i zarośnięte roślinnością. Ale w środku są jeszcze meble. Stół, kuchenka, biurko... nawet obrazy na ścianie.

Ojciec gapił się na nią, marszcząc lekko brwi. Był wyraźnie zdumiony tym, co mówiła.

– Dlaczego mieliby to zrobić? – nie ustępowała Tallis. – Dlaczego po prostu zostawili budynek na pastwę zielska?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. Naprawdę! Nie mam pojęcia. Muszę przyznać, że to się wydaje bardzo dziwne...

Podszedł do okna i oparł się ciężko o parapet, podziwiając pogodny wieczór. Tallis podążyła za nim, zamyślona, a potem zdecydowana, żeby zapytać: – Czy Harry pojechał do tego domu? Czy tam właśnie się udał? Czy tam, waszym zdaniem, umarł?

Keeton zaczerpnął głęboko tchu, po czym wypuścił powoli powietrze z płuc.

– Nie wiem, Tallis. Nic już w ogóle nie wiem. Wygląda na to, że tobie powiedział więcej, niż kiedykolwiek zdradził mi.

Cofnęła się myślą do wieczoru, gdy brat się z nią pożegnał.

– Powtórzyłam ci wszystko, co pamiętam. Powiedział, że odchodzi, ale będzie bardzo blisko. Udawał się w jakieś dziwne miejsce. Ktoś postrzelił go z łuku... To wszystko, co pamiętam. I płakał. To też.

Jej ojciec odwrócił się, przykucnął i uściskał ją. Oczy miał mokre od łez.

– Harry nie pożegnał się z nami. Tylko z tobą. Wiesz co? To właśnie sprawiało mi największy ból przez te wszystkie lata.

– Może się nie spodziewał, że odchodzi na bardzo długo.

– Był umierający – odparł James Keeton. – Na pewno myślał, że ustrzeże mnie przed bólem, jeśli się nie pożegna. Był umierający...

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. W tych ostatnich kilku tygodniach było w nim coś takiego... jakaś rezygnacja.

Kiedy Tallis myślała o Harrym, nie potrafiła go sobie wyobrazić jako martwego i zimnego, spoczywającego w ziemi. Potrząsnęła głową.

– Jestem pewna, że żyje. Po prostu zabłądził, to wszystko. Jestem pewna, że wróci do nas.

– Nie, kochanie – odrzekł jej ojciec z życzliwością w głosie. – Jest teraz w niebie. Wszyscy będziemy musieli pogodzić się z tym faktem.

– To, że jest w niebie, nie musi jeszcze znaczyć, że nie żyje – sprzeciwiła się Tallis.

Wyprostował się, uśmiechnął i wsparł dłoń na jej ramieniu.

– Musi się tam kryć cudowny świat. – Puknął ją palcem w głowę. – Pełen olbrzymich łosi, rycerzy w zbrojach i mrocznych zamczysk. Sto lat temu spaliliby cię jako czarownicę...

– Ale ja nie jestem czarownicą.

– Myślę, że żadna z nich nią nie była. No, chodź. Czas na kolację. A nim pójdziesz spać, będziesz nam mogła opowiedzieć jeszcze jedną historię.

Śmiał się, gdy wychodzili z pokoju.

– Z reguły to rodzicom zawraca się głowę, żeby opowiedzieli coś przed snem swym pociechom, a nie na odwrót.

– Znam jedną dobrą – powiedziała Tallis. – Jest o człowieku, którego syn wybrał się na spacer po lesie. Ten człowiek jest tak pewien, że chłopca zjadły wilki, iż nie potrafi go zobaczyć, mimo że jest tuż obok, w domu.

– Mała, zuchwała diablica – odparł jej ojciec. Pociągnął ją za włosy, nim pobiegli na wyścigi do salonu.

IV

Napięcie w domu nieco zelżało. James Keeton wydawał się nieco weselszy, bardziej radosny. Tallis wyobrażała sobie, że to dlatego, iż wreszcie okazał jej uczucia, jakimi darzył Harry'ego. Wciąż dziwiło ją jego lękliwe zachowanie pod lasem, lecz matka powiedziała po prostu: – Myślał, że musi zobaczyć miejsce, do którego odszedł Harry, ale teraz zrozumiał, że nie chce go widzieć.

Było to zbijające z tropu i niezadowolające wyjaśnienie, nie otrzymała jednak innego.

Mimo to Tallis czuła się teraz znacznie swobodniej. Po lekcjach nadal badała tereny otaczające farmę i nadawała im nazwy. Udoskonaliła też swe umiejętności rzeźbienia masek oraz małych drewnianych lalek. Stało się to jej obsesją. Była nieustannie świadoma obecności efemerycznych postaci, które podążały za nią, gdy wędrowała przez łąki, lecz nie wzbudzały już w niej one strachu ani niepokoju. Gdy tylko była w pobliżu ogrodzonego pastwiska znanego jako Stretley Stones, jej obwodowe widzenie zdawało się żyć własnym życiem, rejestrując płynny, trzepoczący świat ruchów, których nigdy nie można było dostrzec bezpośrednio, lecz które sugerowały dziwne ludzkie postacie i przyczajone zwierzęce kształty.

Były też dźwięki: śpiew dobiegający z pola znanego jako Pniaki, którego tajemna nazwa brzmiała teraz Łąka Smutnej Pieśni. Tallis nigdy nie wypatrzyła źródła głosu i po pewnym czasie przestała go poszukiwać.

Któregoś dnia doszło do bardziej dramatycznego wydarzenia. Gdy siedziała, pogrążona w marzeniach, na polu nad Lisią Wodą, ocknęła się nagle u wylotu szerokiej, wietrznej jaskini wychodzącej na bujny, gęsty las ciągnący się ku wysokim górą, pod którymi można było dostrzec odległą,

gorejącą ścianę ognia i dymu. Dziwny sen trwał tylko sekundę. Od tej chwili jedynie marginalnie zdawała sobie sprawę z istnienia wietrznej jaskini – leciutki dotyk obcego wietrzyku w całkowicie bezwietrzny, upalny dzień.

Wkrótce ustaliła, że istnieją trzy zakapturzone kobiece postacie, które zdawały się nawiedzać granice jej pola widzenia, czając się w gęstszych leśnych zagajnikach i obserwując ją przez malowane drewniane maski. W głowie Tallis zaczęła dojrzywać myśl, że gdy tylko któraś z tych kobiet jest blisko, przytrafiają się jej dziwne rzeczy. Gdy w pobliżu kręciła się Biała Maska, jej umysł wypełniały urywki opowieści, a okolica zdawała się mówić do niej o przegranych bitwach i szalonych eskapadach. Gdy niedaleko była kobieta w zielonej masce, rodziły się w niej myśli o rzeźbieniu i pomysły rzeźb. Widziała też na ziemi dziwne cienie. Trzecia figura, której maska była biało–zielono–czerwona, kazała Tallis myśleć o jej własnej „Drażącej”. Tę postać kojarzyła z takimi ulotnymi wizjami, jak wietrzna jaskinia i smutna pieśń.

Nie miało to wiele sensu, pomijając myśl, że coś ją „straszy”. Przez pewien czas nie czuła się tym zaniepokojona. Wykonała jednak maski mające być kopiami noszonych przez „bajarkę” i „rzeźbiarkę”. Gdy to zrobiła, przyszły jej do głowy nazwy...

Białą maskę nazwała Gaberlungi. Było to dziwne słowo, lecz Tallis uśmiechała się, wypowiadając je. Gaberlungi była „pamięcią krainy”. Gdy dziewczynka zakładała bądź nosiła ze sobą prymitywnie wykonaną maskę z kory, opowieści niekiedy tłoczyły się i przepychały w jej umyśle z taką intensywnością, że nie mogła się skupić na niczym innym. Trzecią maskę, zrobioną z leszczyny i pomalowaną na zielono, nazwała Skogen, lecz ona również nosiła drugie imię: „cień lasu”. Była maską krajobrazu. Gdy Tallis zakrywała nią twarz, cień rzucany na ziemię przez chmurę wyglądał inaczej: pojawiały się w nim regularności, które mogły stanowić projekcję wyższych wzgórz i starszych puszczy.

Z upływem lat stała się biegła w tym rzemiośle. Sporządzała maski z różnych rodzajów drewna, nauczyła się wprawnie przycinać korę i wycinać otwory na oczy oraz usta. Zrobiła bądź przywłaszczyła sobie wiele narzędzi, które ułatwiały jej pracę. Używała nawet ciężkich kamieni o różnych kształtach jako młotków, strugów czy żłobaków.

Do pierwszych trzech masek dodała jeszcze cztery. Najprostszą był Lament; parę dni po wykonaniu go z kory wierzbowej usłyszała pierwszą z kilku pieśni dobiegających z pola zwanego Pniaki. Zdawała też sobie sprawę z obecności „drażącej” kobiety. W jej biało-czerwonej masce odbijało się szare światło pochmurnego dnia, gdy nieznajoma obserwowała Tallis spomiędzy żywopłotów. Lament był smutną maską o nadąsanych ustach, załzawionych oczach i szarej barwie.

Bardziej ekscytujące, bardziej dla niej intrygujące, były trzy maski podróżne, które wyrzeźbiła pod wpływem natchnienia. Druga nazwa Falkenny oznaczała: „lot ptaka do nieznannej okolicy”. Tallis nie lubiła padlinożernego ptactwa, ale fascynowały ją małe jastrzębie, które polowały nad porośniętymi trawą skrajami wiejskich dróg. Dlatego pomalowała Falkennę w sposób przywodzący na myśl jastrzębia.

Drugi był Srebrzynek. Obdarzona martwymi rysami ryby, pomalowana w kolorowe kręgi maska nosiła spokojniejszą nazwę, kojarzoną podświadomie z obrazem „podróż łososa do rzek nieznannej okolicy”.

Na koniec był Cunhaval: „bieg psa myśliwskiego po leśnych szlakach nieznannej okolicy”. Wycięła kawałki sierści psu Keetonów, żeby zrobić frędzle do maski wykonanej z drewna czarnego bzu.

Zrobiła siedem masek i dziesięć lalek. Wymyśliła kilka opowieści i nadała nazwy większości pól, strumieni oraz lasów otaczających farmę. Miała swoje kryjówki i obcowała z duchami, które krążyły po ich granicach. Była szczęśliwa. Nadal gorąco pragnęła wrócić do ruin Oak

Lodge, ale pole dzielące las od farmy, a także płynący wzdłuż niego strumień, wciąż stawiały opór próbom odkrycia ich tajemnych nazw.

Wszystko to jednak było dla niej zabawą, częścią procesu dorastania i choć traktowała ją z całkowitą powagą, nigdy nie poświęcała żadnej myśli konsekwencjom tego, co robiła albo co z nią robiono.

Sytuacja zmieniła się na krótko przed jej dwunastymi urodzinami. Doszło do wydarzenia, spotkania, które głęboko ją zaniepokoiło.

Pewnego pogodnego, dusznego, upalnego lipcowego poranka, idąc przez ogród, poczuła dym pochodzący z płonącego drewna. Dym i coś jeszcze. Zapach zimy. Woń tak znajomą, że nie sposób jej było pomylić z niczym innym. Podążyła jej śladem do wąskiej ścieżki biegnącej między dwoma garażami z cegły, gdzie znajdował się jej ogrodowy obóz. Przez pewien czas go nie odwiedzała. Przejście było mroczne i zarośnięte pokrzywami. Na końcu blokowała je brudna szyba jednej ze znajdujących się za zabudowaniami szklarni.

Miała już utorować sobie tamtędy drogę, gdy w ogrodzie pojawił się pan Gaunt idący od strony jednego z sadów. Zatrzymał się i podejrzliwie pociągnął nosem.

– Czy bawiłaś się ogniem, młoda damo? – zapytał szybko.

– Nie – zaprzeczyła Tallis. – Wcale nie.

Podszedł do niej. Jego brązowe drelichy przesycęła woń świeżo rozkopanej ziemi. Nosił ten ubiór roboczy w każdą pogodę. W dzień tak upalny jak dziś musiał się w nim piec. Przedramiona miał odsłonięte i spalone na brąz, porośnięte gęstymi, puszystymi, białymi włosami, a twarz bardzo chudą, ale rumianą od jasnoczerwonych naczyń krwionośnych, które zdawały się wytyczać ścieżki ku rzednącym włosom. Po wyrazistym obliczu spływały wielkie krople potu, ale oczy błyszczały, pełne życzliwości i figlarności.

Tallis podniosła wzrok ku wysokiemu mężczyźnie. Gaunt zwrócił na nią szare oczy.

– Czuję dym. Co znowu kombinujesz?

Mówił z silnym, niemal niezrozumiałym wiejskim akcentem. Tallis musiała uważnie przysłuchiwać się jego słowom. Sama mówiła bardzo poprawnie, co znaczyło, że brała w szkole lekcje dykcji, by pozbyć się nieokrzesanych, plebejskich cech swej wymowy.

– Nic – odparła.

Gaunt popatrzył na porośniętą pokrzywami ścieżkę między budynkami. Tallis poczuła, że się czerwieni. Nie chciała, żeby ogrodnik tam wchodził. Mroczny zaułek był jej tajemnym miejscem. Po krótkim, dezorientującym doświadczeniu sprzed kilku chwil w pewnym sensie należał do niej jeszcze bardziej.

Poczuła ulgę, gdy zobaczyła, że Gaunt odwrócił się tyłem do ścieżki.

– Czuję ogień. Ktoś coś pali.

– Nie ja – zapewniła Tallis.

Ogrodnik wyciągnął z kieszeni brudną szmatę i wytarł nią twarz. Zmrużył oczy i spojrzął w słońce, by wysuszyć zmarszczki na szyi.

– Ale dzisiaj upał. Chyba napiję się odrobinę jabłeczника – popatrzył na dziewczynkę. – Chodź napić się jabłeczника, młoda damo.

– Nie pozwalają mi.

Uśmiechnął się.

– Ja ci pozwalam – powiedział cicho.

Ruszył pierwszy ku szeregowi drewnianych baraków na przeciwległym końcu ogrodu, gdzie w cieniu stała oparta o nie zdezelowana ławka. Tallis weszła za nim do chłodnej szopy na jabłka, mijając półki pełne gnijących owoców. Lubiała panujący tu zapach. Był wilgotny i stęchły, ale wyczuwało się w nim owocową nutę. Jabłka były brązowe, pomarszczone i pokryte kędzierzawą pleśnią. Gdzieś skapywała woda z nie zakręconego porządnie kranu. Pod ścianami walały się rdzewiejące fragmenty starego sprzętu rolniczego, całe pokryte koronkami pajęczyn. Światło wpadało do środka przez szczeliny i pęknięcia w starym dachu z wąskich deszczulek.

W dalszym końcu baraku, w lekko rozświetlonym półmroku, stała wysoka beczka nakryta ciężką, kamienną pokrywą. Wzdłuż ścian ustawiono porcelanowe dzbanki. Tallis często tu bywała, ale nigdy jeszcze nie oglądała wnętrza beczki. Gaunt odsunął na bok kamienną pokrywę i przyjrzał się zawartości. Następnie popatrzył z uśmiechem na Tallis.

– To wygląda na dobry jabłecznik. Chcesz trochę spróbować?

– Niech będzie – odparła. Mężczyzna zachichotał.

– Idzie dobra fermentacja – wyszeptał, po czym sięgnął do beczki i wydobyl z niej olbrzymiego martwego szczura. Z jego sierści skapywał płyn. Gaunt machnął zwierzęciem przed oczyma przerażonej dziewczynki.

– On zaraz zgnije, co tylko doda smaku. Ale jabłecznik nadaje się już do picia. No i, panno Tallis, ile byś wypila?

Nie była w stanie nic powiedzieć. Czarny potwór zwiślał z palców ogrodnika, który wrzucił go z pluskiem z powrotem – stary jak świat dowcip powtórzony z wielkim sukcesem. Tallis potrząsnęła głową. Gaunt zachichotał raz jeszcze.

Nie mogła uwierzyć, że w beczce naprawdę jest jabłecznik. Niemal na pewno była to deszczówka, a szczur był po prostu jedną z licznych ofiar Gaunta. Nie mogła jednak być pewna... nie potrafiła w pełni siebie przekonać. Dlatego, gdy stary napełnił cynowy kufel z jednego z porcelanowych dzbanków, nie chciała wypić również i tego. Wycofała się z szopy.

Gaunt zrobił zdziwioną minę.

– To dobry jabłecznik, młoda Tallis. Wszystko z nim w porządku. Szczur już się fajnie rozpuścił.

Zajrzał do kufła.

– Tylko parę zębów i jedna łapka, ale to nic nie szkodzi. Można je łatwo wyciągnąć.

– Dziękuję, ale nie.

– Jak sobie życzysz.

Usiedli pod ścianą baraku, osłonięci przed słońcem, obserwując wielki ogród i cień rzucany przez chmury. Gaunt wysączył zawartość cynowego kufła i oblizwał wargi. Tallis kopała w drewnianą ścianę pod ławką, starając się wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć. Zastanawiała się, czy powinna zaryzykować pytanie o zaginiony dom w lesie. Gaunt wiedział o nim, ale nigdy dotąd nie odważyła się poruszyć tego tematu. Coś ją powstrzymywało, jakaś obawa.

Nagle zdała sobie sprawę, że na nią patrzy. Podniosła wzrok i zmarszczyła brwi. Jego spojrzenie było skupione, dociekliwe. Pomyślała, że zamierza dalej badać kwestię dymu.

– Widziałaś kiedyś ducha? – zapytał niespodziewanie.

Próbowała ukryć nagłe zaniepokojenie, które poczuła. Przyglądała się z uwagą staremu, myśląc gorączkowo. Co powinna odpowiedzieć? Wreszcie potrząsnęła głową.

Gaunt nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– Nie na Stretley Stones?

– Nie.

– Ani przy lesie Shadox?

– Nie... – skłamała.

– Widziałem, jak bawiłaś się na łące... – Nachylił się nad nią. – Słyszałem, że poszłaś odnaleźć stary dom w lesie Shadox... – wyszeptał. Wyprostował się. – I chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie widziałaś ducha? Nie wierzę ci.

– Nie ma żadnych duchów – odpowiedziała, naśladowując silny akcent z Gloucestershire. – To, co widziałam, istniało naprawdę.

– Nie żartuj sobie ze mnie, panno Tallis.

Dziewczynka nie mogła się nie uśmiechnąć.

– To, co widziałam, istniało naprawdę – powtórzyła. – To nie były żadne duchy, tylko cienie.

Gaunt zachichotał, po czym skinął głową.

– Co innego niż cienie można by zobaczyć w lesie Shadox?
– Dlaczego nazywa go pan lasem Shadox? To jest las Ryhope...
– Ma tysiące nazw – odparł bez ogródek Gaunt. Machnął ręką wkoło, po czym walnął dłonią w ławkę. – Wszędzie tu ongiś był las Shadox. Nawet w miejscu, gdzie teraz siedzimy. Kiedyś rosła tu puszcza. Ta ławka, ogród, barak, ten diabelny dom... wszystko jest zrobione z Shadox.

Popatrzył na Tallis z zamyśloną miną.

– To stara nazwa tej okolicy. Powinnaś o tym wiedzieć. Nie tylko wioski, ale całego regionu. Las Shadox. Nazywano go tak od stuleci. Ale nie chodziło o cienie rzucane przez słońce, a raczej...

– Przez księżyc? – odważyła się zapytać Tallis, gdy wahał się przez kilka sekund.

– Tak – zgodził się cicho. – Raczej takie. Cienie widziane kącikiem oka. Wypełzające ze snów śpiących ludzi, takich jak ty i ja. Mieszkańców okolicy.

– Księżycowe sny – wyszeptała Tallis. Natychmiast, nieprzywoływana, w jej umyśle ukształtowała się maska. Była niezwykła – niesamowity kształt, który, jej zdaniem, należało wyrzeźbić z... należało wyrzeźbić z...

Nim przyszedł jej na myśl gatunek drewna, który byłby odpowiednim materiałem, Gaunt przerwał twórczy moment.

– A więc widziałaś coś rzeczywistego, he? Pod lasem Shadox.

– To były zakapturzone postacie...

Natychmiast zdała sobie sprawę ze zdumienia rozmówcy, ale postanowiła je zignorować.

– Są trzy – kontynuowała. – To kobiety. Trzymają się żywopłotów, podszyca. Widziałam też inne rzeczy: mężczyzn z gałązkami we włosach i zwierzęta, które przypominają świnie, ale są od nich wyższe i mają czarną skórę. Słyszałam śpiewy. Czulałam powiew w bezwietrzne dni i widziałam wysokie drzewa, w których wyrzeźbiono straszliwe twarze.

Popatrzyła na ogrodnika, który wbił nieruchome spojrzenie przed siebie, w ogród.

– Czułam też chłód płatków śniegu w środku lata i słyszałam pszczoły w środku zimy...

To ostatnie było kłamstwem, tylko to. Czekwała na reakcję Gaunta, lecz ten siedział bez ruchu.

– Czasami słyszę konie – stwierdziła. Cóż, wyobraziła sobie konie, tylko raz, tydzień temu. – Rycerzy jadących wierzchem, po drugiej stronie żywopłotów. To mniej więcej wszystko. Wciąż mam nadzieję, że dowiem się czegoś o Harrym.

Gaunt aż się uniósł na to ostatnie, krótkie, niedwuznaczne stwierdzenie.

– Słyszałaś kiedyś warczących?

– Warczących? Nie.

– Ryki? Jakby byka?

– Nie.

– Krzyczącego mężczyznę?

– Żadnych krzyków. Ani mężczyzny, ani kobiety, ani dziecka. Śmiechów też nie. Tylko śpiewy.

– Ludzie widują najróżniejsze rzeczy pod lasem Shadox – stwierdził Gaunt. – I na Stretley Stones. Przy strumieniu. Wszystkie drzewa są tam połączone z Shadoxem...

– Jeśli to duchy – odezwała się Tallis. – To czyje?

Ogrodnik nic nie odpowiedział. Skrzyżował ręce, trzymając pusty kufel w prawej dłoni. Wpatrywał się błędnym wzrokiem w odległe łąki ciągnące się za ogrodem.

– Był pan kiedyś w starym domu? – zapytała Tallis. – Drzewa już całkiem go zarosły. Mieszkają tam jacyś ludzie.

– Nikt tam nie mieszka – odparł po chwili. – W tym starym domu nie ma już nikogo żywego.

– Ale dziadek odwiedzał człowieka, który był jego właścicielem...

Po twarzy Gaunta przebiegł skurcz, mężczyzna jednak nadal milczał.

– Harry też bywał w tym miejscu – ciągnęła Tallis. – Tam właśnie się udał tej nocy, kiedy zniknął...

Odwrócił się powoli, by na nią spojrzeć. Przymrużył zażawione oczy, najpierw z wyrazem niepokoju, a potem podejrzliwości.

– Naprawdę byłaś w Oak Lodge?

– Tak. Tylko raz...

– Widziałaś notatki?

Potrząsnęła głową.

– Człowiek, który tam mieszkał, wszystko zapisywał – wyszeptał Gaunt. – Dlatego właśnie twój dziadek go odwiedzał. Wszystko zapisywał, ale nikt w to nie wierzył

– Pisał o duchach?

– O duchach. O Shadoxie. Mówił, że ta starodawna nazwa pochodzi od pierwszych ludzi, którzy osiedlili się tutaj, posuwając się w górę rzek. Nasza wioska ma najstarszą nazwę w Anglii. Nic dziwnego, że ludzie widzą tu duchy. Ten człowiek z Oak Lodge nadawał im inną nazwę...

Tallis przypomniała sobie dziwne słowo pochodzące z niewielkiego fragmentu listu dziadka, który chciało się jej przeczytać.

– Mitotwory...

Gaunt znowu był zdumiony. Powiedział jednak tylko: – One przychodzą ze snów. Z cieni, księżycowych cieni. To właśnie powiedziałaś. Miałaś rację. On pisał o nich. Nie rozumiałem, o czym mówił twój dziadek. Twory wywodzące się z nieświadomości. Symboliczne. Duchy, które wszyscy w sobie nosimy. Które mogą zostać przywołane przez drzewa...

– W tym domu mieszkają ludzie – powtórzyła cicho dziewczynka. – Widziałam zrobione przez nich figury. Widziałam ich ogniska. Śniłam o nich...

Odwrócił nagle kufel do góry dnem, tak że osad spłynął na trawnik. Podniósł się i ponownie zniknął w szopie na jabłka. Gdy wyszedł na

zewnątrz, zapinał guziki brązowych drelichów.

– Trzeba było czymś uzupełnić brak jabłecznika – wyjaśnił. Tallis skrzywiła z niesmakiem twarz, rozweselając nieco starego, który usiadł z powrotem, skrzyżował ręce i oparł się o szopę, mrużąc oczy. Jego zachowanie nagle się zmieniło. Tallis wyczuwała w nim zarówno niepewność, jak i groźbę.

– Widziałem, jak robiłaś lalki, panno Tallis – powiedział cichym głosem.
– Z drewna. Widziałem, jak je rzeźbiłaś...

Wydawało się, że oskarża ją o coś straszliwego. Zbiło ją to z tropu i uciszyło na kilka chwil. Wpatrywała się w przeciwległy koniec ogrodu, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Lubię robić lalki – wyszeptała po chwili. Podniosła wzrok ku poważnej twarzy ogrodnika. – I maski też. Strugam je z kory.

– Co ty powiesz – odezwał się Gaunt. – No więc, wiem, do czego one służą. Nie myśl, że tego nie wiem.

– A do czego? – mruknęła poirytowana. Wciąż nie patrzyła na niego. Gapiła się w miejsce, gdzie pies Keetonów kręcił się pod odległym murem z cegły.

Zignorował jej pytanie.

– Kto nauczył cię rzeźbić? – zapytał. – Kto pokazał ci, jak to robić?

– Nikt! – odparła ostro Tallis, ponownie zbита z tropu. – Nikt mi tego nie pokazywał.

– Ktoś musiał. Ktoś szeptał do ciebie...

– Każdy może robić lalki – broniła się wyzywającym tonem. – Po prostu bierze się kawałek drewna i nóż z szopy, a potem siada się i struga. To łatwe.

Kiedy mówiła, w jej umyśle pojawił się obraz Zielonej Maski, lecz starała się ze wszystkich sił nie dopuścić, by ta tajemnicza postać zdezorientowała ją podczas rozmowy.

– Łatwe dla tych, co wiedzą – stwierdził cicho Gaunt. Następnie wbił wzrok w Tallis, która niezachwianie odwzajemniała jego spojrzenie tak długo, jak tylko mogła wytrzymać. Szare oczy o ciemnych obwódkach wpatrywały się w nią z rumianej, ogorzalej twarzy tak długo, że wreszcie poddała się i odwróciła wzrok.

– Są lalki do zabawy i są lalki do modłów, młoda damo – powiedział. – A pewne jak to, że śwynie mają kleszcze, jest, że nie bawisz się lalkami, które robisz.

– Bawię się. Bawię się nimi przez cały czas.

– Zakopujesz je w ziemi. I nadajesz im imiona.

– Wszystkie lalki mają imiona.

– Ale twoje nie mają chrześcijańskich imion. To jasne jak słońce.

– Imiona moich lalek to mój interes – stwierdziła.

– Imiona twoich lalek to diabelski interes – odparł Gaunt. – Sympatia Połamańca... – dodał niemal niesłyszalnie.

Podniósł się sztywno z ławki i podrapał się po krzyżu. Tallis obserwowała go, gdy oddalał się przez ogród, zdziwiona i zasmucona tym, co wydało się jej jego nagłym gniewem. Nie potrafiła pojąć, co takiego zrobiła. Był sympatyczny i rozmowny, a nagle zrobił się nieprzyjazny, tylko z powodu jej lalek.

– Rzeczywiście jesteście wnuczką swego dziadka! – zawołał do niej.

– Nie pamiętam go – odpowiedziała, kopiąc nogami ziemię. Kostki zaciśniętych na ławce dłoni zbieleły.

– Nie mów, że... – zaczął ogrodnik. Nagle odwrócił się na środku trawnika i spojrzał na dziewczynkę. Przez chwilę zastanawiał się intensywnie, po czym podjął szybką decyzję. – Chcę tylko wiedzieć, czy... jeśli kiedyś poproszę cię o pomoc... nie mówię, że teraz, nie w tej chwili i jeszcze nie w najbliższych czasach... ale jeśli poproszę cię o pomoc...

Zawahał się. Tallis pomyślała, że wygląda na podenerwowanego, bardziej zakłopotanego niż kiedykolwiek. Przyglądał się jej z chytrym,

niemal wystraszonym wyrazem w oczach.

– Jeśli poproszę cię o pomoc – powtórzył. – To czy mi pomożesz?

– W czym? – odpowiedziała, równie podenerwowana i bardzo zdziwiona. Naprawdę nie rozumiała, o czym mówił.

– Czy mi pomożesz? – powiedział raz jeszcze, wymawiając słowa z dziwnym naciskiem. – Jeśli poproszę o pomoc... to czy mi pomożesz!

Przez chwilę nic nie mówiła.

– Od czego zginał sznur? – spytała wreszcie.

Po króciutkiej przerwie Gaunt uśmiechnął się półgębkiem, potrząsając głową, jak gdyby chciał powiedzieć: „Mała spryciara”.

– Chcesz się ze mną targować, co? – zapytał.

– Tak – odparła Tallis. – Chcę się z panem targować.

– Od wody – powiedział cicho.

– Tak myślałam – zauważyła. Wzruszyła ramionami. – Tak. Pomogę panu. Pewnie, że pomogę.

– A więc to obietnica – stwierdził. Pogroził jej palcem. – A obietnice złamane to życie spaprane. Nazwiemy to „Prośbą Gaunta”. Nie zapominaj o tym.

Tallis patrzyła, jak się oddala. Jej drobne ciało drżało. Była głęboko zbulwersowana jego słowami. Lubiła pana Gaunta. Był wstrętny, dokuczał jej i zawsze śmierdział potem, ale jego obecność dodawała jej otuchy i nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez niego. Opowiadał głupie historyjki i zaznajamiał ją z różnymi drobiazgami dotyczącymi przyrody. Czasem irytował się na nią, a czasem zdawał się nieświadomy jej obecności. Do dzisiaj jednak nigdy nie wdał się z nią w spór.

Lubiła go i oczywiście zamierzała mu pomóc... ale w jaki sposób? Co chciał przez to powiedzieć? Pomóc mu. Może chodziło mu o pomoc w robieniu lalek, ale nie wydawało się to prawdopodobne. Dlaczego tak bardzo podenerwowały go te, które należały do niej? (I gdzie podpatrzył, jak je robiła?) Były one dla niej czymś ważnym. Stanowiły część jej

zabawy. Miały znaczenie dla Tallis Keeton, ale dla nikogo poza nią. Były fajne i miały magiczne właściwości, ale ich magia była szczególna i nie miała nic wspólnego z ogrodnikiem, jej rodzicami czy kimkolwiek innym.

W kilka minut później, gdy wróciła do swego skrytego między barakami obozu, przekonała się, że woń drzewnego dymu i zimy zniknęła. Może tylko się jej zdawało. Niemniej jednak myśl o ogniu płonącym gdzieś w niewidocznym miejscu zaintrygowała ją.

Znalazła szczapę opałowego drewna i zabrała ją ze sobą do pokoju. Używając własnych narzędzi, stępiła ostre krawędzie, zaokrągliła głowę i wystrugała głębokie nacięcie oznaczające szyję. Wyrzeźbiła oczy, które były zamknięte, i wąskie usta, które się uśmiechały. Dodała dwoje rąk i skrzyżowane nogi. Włosom nadała kształt płomieni. Zaniósła tę ogniową lalkę do zaułka i rzuciła ją na jego koniec, blisko brudnego szkła cieplarni.

Wpatrywała się przez chwilę w to miejsce, lecz lalka nie przywołała ognia z powrotem. Z letniego upału zniknęła woń śniegu i dymu.

Ktoś. Ktoś niewidzialny. Cała rozmowa z Gauntem wydała się jej nagle bardzo znacząca. Nazwał Tallis „wnuczką swego dziadka”. Powtórzył coś, co wyczytała w liście napisanym przez staruszkę w książce z legendami: „Zachęcam cię, byś ich słuchała, gdy szepczą...”

Wróciła powoli do pokoju. Usiadła na łóżku z książką na kolanach, otoczona maskami. Patrzyła na tekst przez oczy każdej z nich. Najlepiej czuła się z Drażącą, pierwszą, najprymitywniejszą z jej masek. Zastanowiła się, ile ich jeszcze zrobi. Być może nie będzie im końca. Za każdym razem, gdy udawała się na ogrodzony teren na Kurhanowym Wzgórzu, wracała z pomysłem na nową maskę. Niewykluczone, że to natchnienie nie opuści jej przez całe życie.

Otworzyła książkę z ludowymi opowieściami. Przewracała powoli stronicę, oglądając rycerzy i bohaterów, zamki, jary, lasy oraz dzikie łowy. Zatrzymała się nad rysunkiem przedstawiającym Gawaina, który miał strój przypominający rzymską tunikę oraz dziwnie podobny do czaszki hełm z

polerowanego brązu. Następnie spojrzała na ilustrację podpisaną Galopujący ku Morzu, którą oznaczono wielkim, napisanym piórem wykrzyknikiem. Przedstawiała ona czterech jadących wierzchem rycerzy pochyłonych nisko nad kłębami gnających ze wszystkich sił wierzchowców. Płaszcz jeźdźców łopotały na wietrze, gdy uciekali przed straszliwą, mroczną burzą.

Na koniec zwróciła uwagę na list od dziadka. Miała silne wrażenie, że nadszedł już czas, by poznała jego treść. Minęło siedem lat, odkąd „dano” jej książkę. Było to cztery lata po śmierci staruszka.

Moja droga Tallis, Jestem starym człowiekiem, który pisze do ciebie w zimną grudniową noc...

Zmusiła się do przeczytania najwyraźniejszych fragmentów przekazu wysłanego do niej przez dziadka, mimo że już je znała. Zawahała się przy słowach: *...w śniegu kryje się dawna pamięć...*

A potem gapiła się długo na zdanie:

Czasem myślę, że może próbujesz przekazać mi własne, niemowlęce historie, by wynagrodzić mnie za wszystkie opowieści, które ci wyszeptalem.

Zmarszczyła brwi i zaczęła czytać cały tekst, który ignorowała przez wszystkie te lata.

V

Moja droga Tallis,

Jestem starym człowiekiem, który pisze do ciebie w zimną, grudniową noc. Zastanawiam się, czy będziesz kochała śnieg tak bardzo jak ja. A także ubolewała nad tym, jak skutecznie potrafi on uwięzić. W śniegu kryje się dawna pamięć. Dowiesz się tego we właściwym czasie, gdyż wiem już, skąd przychodzisz. Jesteś tej nocy bardzo hałaśliwa. Słuchanie ciebie nigdy mnie nie męczy. Czasem myślę, że może próbujesz przekazać mi własne, niemowlęce historie, by wynagrodzić mnie za wszystkie opowieści, które ci wyszeptalem.

Twoja matka mówi, że nie rozumiesz ani słowa. Ja jestem innego zdania. Biała Maską i Ash, i Las Kości, i Strzępiaste Drzewo. Czy one cokolwiek dla ciebie znaczą? Jestem pewien, że tak. Jestem pewien, że czytając te słowa, dostrzegasz obrazy. Pewnego dnia zrozumiesz wszystko.

Jutro jest Boże Narodzenie. Będą to twoje drugie święta, a moje ostatnie. Widziałem już siedemdziesiąt bożonarodzeniowych nocy. Pamiętam każdą z nich. Pamiętam gęś nadziewaną owocami; i kuropatwy tłuste jak świnie; i zające wielkości jeleni; i puddingi, pod którymi pękały dębowe stoły. Żałuję, że nie mogłaś być z nami w te wspaniałe dni przed wojną. Teraz mamy kartki. Zdobyliśmy jednego kurczaka i pięć kiełbas, i to cały nasz świąteczny wikt, choć Gaunt, który dla nas pracuje, wspominał coś o jajkach. Bez względu na całą tę nędzę, chciałbym, żebyś była teraz z nami, świadoma i przytomna. Chciałbym móc cię poznać w dniach, które nadejdą. Staremu człowiekowi, takiemu jak ja, sprawia cierpienie wyobrażanie sobie, jaka się staniesz za dziesięć lat. Spodziewam się, że będziesz hałaśliwym dzieckiem, psotnym i z dużą wyobraźnią. Pewnie będziesz podobna do matki. Niemal potrafię cię zobaczyć. Jednakże na długo, zanim to przeczytasz, zanim dorośniesz, będę już w krainie cieni.

Myśl o mnie z życzliwością, Tallis. Ktoś spletał nam okrutnego, brutalnego figla, wysyłając jedno z nas do ukrytych miejsc ziemi, nim drugie otrzymało świadomość. Zawsze jednak będzie między nami istniała więź, tak samo jak zawsze będzie ona istniała między Harrym a mną, a być może również między Harrym a tobą. Twój brat leciał nad Belgią i zestrzelono go. Wszyscy są przekonani, że żyje, ale ja osobiście obawiam się najgorszego. Już od czterech miesięcy nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości. Jeśli nawet wróci, obawiam się, że mnie już nie będzie. A jeśli to prawda, jeśli prawdą jest najgorsze, zostaniesz tylko ty. Tylko ty.

Jak mam wytłumaczyć ci coś, co sam ledwo rozumiem?

Po raz pierwszy przyszły na skraj lasu cztery lata temu. Były trzy. Próbowały mnie uczyć, ale byłem już na to za stary. Nie potrafiłem pojąć ich metod. Poznałem jednak opowieści. Zatrzymałem to oczywiście w tajemnicy, choć Gaunt coś podejrzewa. To miejscowy. Sam wyraził to tak: „Połowa tej sakramenckiej okolicy stoi na prochach nas, Gauntów!” Może to być prawdą, ale to nie on przywołał je na skraj lasu.

Harry poszedł na wojnę. Jego również straciły. Teraz jednak, gdy zjawiał się ty, znowu zaczęły przychodzić. Opowiedzą ci inne historie, wszystkie historie. Ja znam ich tak mało. Jestem jednak pewien, że pokażą ci więcej, niż kiedykolwiek pokazały mnie. Kim są? Kto wie! Po drugiej stronie lasu mieszka człowiek, który zgłębia ich tajemnicę. Nazywa je mitotworami. Z pewnością są niezwykle. Jestem przekonany, że Połamaniec również jest czymś takim. Może pochodzą z jakiegoś mitologicznego, dawno zapomnianego miejsca. Przypominają duchy. Sądzę, że niedługo je zobaczysz. Nie uważaj ich jednak za widma czy za duchowe moce. Są rzeczywiste. Wywodzą się z nas. Po raz kolejny nie potrafię właściwie pojąć, jak i dlaczego to się dzieje. Podarowałem ci jednak książkę, tę książkę, której stronie wypełniam listem do ciebie. Gdy ją czytasz, gdy czytasz te baśnie, te opowieści o odważnych rycerzach i złowieszczych zamczyskach, czytasz o nich, choć z początku nie potrafisz ich rozpoznać.

Jeśli w twoim przypadku wygląda to tak samo jak w moim, wszystko, co w lesie niezwykle, jest tobą. Jesteś początkiem i końcem wszystkiego. Istnieje w tym jakiś cel, który, być może, odkryjesz. Żyłem w strachu przed tym, co mnie spotka. Były coraz bliżej. Zacząłem czuć woń straszliwej zimy, znacznie sroższej niż ta śnieżna

Wigilia. Niewiele brakowało, by zabrały mnie do tego zakazanego miejsca... ale potem urodziłaś się ty i las się cofnął. Opuścił mnie. On wciąż nas otacza, Tallis. Nie daj się nabrać. Nie wierz w to, że otwarte tereny są naprawdę otwarte czy że dom z cegły jest czymś trwałym. Cienisty Las jest wszędzie wokół. Obserwuje nas, czeka na właściwą chwilę. Przywołujemy do życia duchy, Tallis, i one się tłoczą na skraju pola widzenia. Są mądre mądrością, którą wciąż posiadamy, choć o niej zapomnieliśmy. Ale las jest nami, a my jesteśmy lasem! Dowiesz się tego. Poznasz nazwy. Poczujesz woń owej pradawnej zimy, bez porównania okrutniejszej niż zwykły śnieg na Gwiazdkę. A gdy tak się stanie, wkroczysz na stary i ważny szlak. Ja ruszyłem nim pierwszy, zanim mnie opuściły...

Przyjrzyj się Połamańcowi. Postawiłem swój znak na tym strzępiastym drzewie. Kiedy zrobisz to samo, będzie to oznaczało, że jesteś gotowa na przyjęcie jeźdźców. Przyjrzyj się obrazkowi w książce. Czy już ich słyszałaś? Czy słyszałaś konie? Policz postacie, a potem kopyta. Czy rysownik wiedział? Wszystkie rzeczy są znane, Tallis, ale większość jest zapomniana. Potrzeba specjalnej magii, żeby je sobie przypomnieć.

Jesteś Tallis. Jesteś Sympatią Połamańca. To są twoje imiona. Wszystko ma imię. Niektóre rzeczy mają więcej niż jedno. Szepty ci je wyjawią. Nazwy miejsc są ważne. Ukrywają i zawierają w sobie wielkie prawdy. Imię, które ci nadano, odmieniło twoje życie. Zachęcam cię, byś ich słuchała, gdy szepczą. Nade wszystko nie bój się.

Twój kochający dziadek, Owen.

Był późny wieczór. Tallis skończyła czytać list i potarła powieki, zmęczona wysiłkiem odcyfrowywania bazgrołów starego. Słowa jego posłania były zarazem złowieszcze i uspokajające. Staruszek wiedział skądś o niezwykłym życiu, jakie miała prowadzić jego wnuczka! Dał nawet do zrozumienia, że przez pewien czas sam wiódł podobne.

Przebiegła palcami po gęsto stłoczonych słowach. Kiedyś wydawały się jej zupełnie bezsensowne, teraz jednak dostrzegała znaczenie w każdym chwiejnym wierszu.

Wyglądało to tak, jakby zwlekała. Ten list, ze swą niezwykłą, ekscytującą treścią, był jej własnością od siedmiu lat, a mimo to opierała się pragnieniu przeczytania go. Być może wiedziała, że nie będzie on miał dla niej sensu, dopóki pewne wydarzenia nie zaczną się powtarzać w jej życiu. W żaden sposób nie mogłaby go zrozumieć, kiedy miała pięć lat. Nic jej wówczas jeszcze nie spotkało...

Ale teraz jest inaczej. Tak samo jak dziadek słyszała konie, jeźdźców... Tak samo jak dziadek widziała kształty na granicy pola widzenia i trzy postacie na skraju lasu, zamaskowane kobiety... przyszły najpierw do staruszka. Znał je. Wycofały się, a potem wróciły.

Do tego dziadek Owen również napotkał dziwną zimę. Nazywał ją pradawną. Tallis zaniepokoiła ta aluzja.

Po raz pierwszy w jej krótkim życiu nawiedziła ją myśl, że ktoś nią steruje. Bawiła się, ale było w tym coś więcej. W jej zabawach krył się cel. Nagle zaczęło jej się wydawać, że we wszystkim kryje się jakiś cel...

Te duchy – mitotwory – były już tu za życia jej dziadka. Obserwowały go, wpływały na niego, szeptały do niego.

„Nie bój się”.

Teraz wróciły, by obserwować samą Tallis. W tej myśli było coś, co napawało ją lękiem, lecz jednocześnie uspokajał ją sam fakt istnienia listu.

„Nie bój się!”

Jaki mogły mieć cel? Zaznajomić ją ze sztuką tworzenia masek? Lalek? Opowieści? Nazw?

Ale po co?

„Las jest nami, a my jesteśmy lasem.

Wszystko, co w lesie niezwykle, jest tobą. Jesteś początkiem i końcem wszystkiego”.

A więc to ona stworzyła zamaskowane kobiety? Ze swych... ze swych księżycowych snów? Skąd więc mogły znać jej dziadka? Czy stworzyła również pieśń, gałęziste postacie, jeźdźców, jaskinie... woń śniegu? Być

może po prostu zapamiętała opowiadane przez staruszkę historie, wyszeptane do niej, gdy była dzieckiem, i przechowane w nieświadomości do czasu gdy dorosła.

A może prawdą było to, co mówił Gaunt, i wszyscy nosili w głowach podobne duchy? Symboliczne fragmenty przeszłości przechowywane w księżycowych cieniach pod warstwą myślącej jaźni...

Księżycowe cienie.

Sny.

Harry...

„Urodziłaś się ty i las mnie opuścił”.

Popatrzyła na ostatnią stronę listu, po czym wróciła do obrazka *Galopujący ku Morzu*. Policzyła postacie – czterech rycerzy pędzących jak wicher – a potem zrobiła to samo z kopytami.

Na obrazku było ich osiemnaście!

A więc o to mu chodziło. Czterech ludzi, ale pięć koni. Pozbawione jeźdźca zwierzę biegnące w jednym szeregu z pozostałymi, widoczne wyłącznie dzięki wyciągniętym przednim nogom.

„Wszystkie rzeczy są znane, ale większość jest zapomniana. Potrzeba specjalnej magii, żeby je sobie przypomnieć”.

Przeczytała te słowa raz jeszcze, po czym zamknęła książkę, zacisnęła powieki, oparła się o poduszkę i pozwoliła, by przez jej umysł przepływały obrazy i głosy z jej niedługiej przeszłości...

Gdy zapadała w sen, przypominała sobie Harry’ego, nachylonego nisko nad nią, z oczyma lśniącymi od łez...

„Jeszcze się zobaczymy, któregoś dnia. Obiecuję ci to z całego serca”.

W środku letniej nocy rozszalał się wicher prądawnej zimy. Na początku był tylko mroźny powiew, ostry zapach śniegu. Potem nadciągnęły odgłosy szalejącej nawałnicy. Następnie poczuła na twarzy lodowate dotknięcie płatka śniegu przywianego z epoki zagubionej dziesięć tysięcy lat temu, na

zawsze zapomnianej. Posypały się one z innego świata niczym zamarzniete płatki kwiatów, natychmiast niszczone przez wilgotny żar sierpniowej nocy.

Tallis przyglądała się im bez ruchu. Uklękła między barakami z cegły, w swym ogrodowym obozie, przywołana tam przez głos ze snów. Ogniowa lalka spoczywała zakopana w ziemi przed nią. Dziewczynka była całkowicie spokojna. Wiatr dmący z lodowatego piekła wdzierał się w nieruchome letnie powietrze, targał jej włosami i sprawiał, że oczy zachodziły łzami. Wbiła wzrok w wąską linię szarości, burzowej szarości, w pionową szramę w ciemnym powietrzu przed nią, sięgającą połowy jej wysokości. Z tej nie strzeżonej bramy dobiegały głosy ludzi, płacz dziecka i nerwowe rżenie konia. A także woń dymu, ognia palonego po to, by utrzymać ciepło w kościach tych, którzy czekali.

Ciemność, pomijając ów pas bladej zimy, nitkę przeszłości unoszącą się w powietrzu przed szeroko otwartymi, wolnymi od strachu oczyma dziewczynki.

Rozległ się szum wiatru, przynoszący ze sobą cień głosu.

– Kto tam?! – zawołała Tallis. Za bramą natychmiast zapanowało zamieszanie. Zapłonęła pochodnia – dziewczynka dostrzegła jej jaskrawożółte migotanie – po czym ktoś podszedł do bramy i wyjrzał przez nią. Tallis była skłonna uwierzyć, że dostrzegła błysk ogniska odbijający się w obserwujących ją oczach. Koń – a może było to kilka koni – stał się niespokojny. Potem rozległ się szybki odgłos werbla, w którym czuło się strach.

Ludzka postać stojąca w zimowym świetle zaczęła krzyczeć. Jej słowa przypominały mowę z koszmaru, znajomą, lecz pozbawioną znaczenia.

– Nie rozumiem! – odkrzyknęła Tallis. – Czy jesteś jednym z szepczących? Czy wiesz, kim ja jestem?

I znowu odpowiedział jej tylko chaotyczny bełkot. Rozległ się śmiech dziecka. Zimny wiatr przyniósł zapach potu i zwierząt przypominający odór skóry zdartej z jelenia. Jakaś kobieta zaczęła śpiewać.

– Mam na imię Tallis! – krzyknęła. – Tallis! Kim jesteś? Jak się nazywasz?

Jej słowom odpowiedziały udręczone krzyki. W owym drugim świecie poruszyły się mroczne kształty, które zasłoniły światło pochodni, a potem odsłoniły je na nowo. Płomień zaskwierczał na gwałtownym, lodowatym wichrze. W tej samej chwili Tallis usłyszała huk odległego ognia i trzaski płonącego drewna. Ciemność za bramą rozjarzyła się słabiutkim odcieniem polerowanego złota.

Zbliżali się jeźdźcy. Słyszała szybki stukot kopyt uderzających o luźne kamienie, gniewne krzyki ludzi i rżenie koni zmuszanych do wspinania się na niebezpieczne zbocza.

Spróbowała ich policzyć. Cztery konie, pomyślała. Cztery zwierzęta. Szybko jednak przyznała, że nie jest w stanie tego określić. Więcej niż jeden... a nie więcej niż mnóstwo!

Wysłuchiwała się z uwagą. Przybycie jeźdźców wywołało poruszenie, krzyki, chaos. Jeden z nich – mężczyzna – wrzasnął gniewnie. Zaszczekał ogarnięty paniką pies. Płaczące dziecko rozdarło się jeszcze głośniej. Zimny powiew sprawił, że większy ogień nagle zahuczał i rozjarzył się, przez co gorączkowe poruszenia w ciemności stały się na chwilę dostrzegalne na tle rozjaśnionego nieba widocznego przez bramę.

W tej samej chwili usłyszała, że ktoś wykrzyczał jej imię.

Przez chwilę była zbyt zdumiona, by móc myśleć. Potem zaczęła rozpoznawać głos mężczyzny. Przypomniała sobie wczesne dzieciństwo i śmiech Harry'ego. Ponownie usłyszała żartobliwe słowa, które wypowiadał, gdy nie pozwalał jej zejść z niskich konarów dębu na polu Stretley Stones. Dwa głosy tańczyły wokół siebie: ten wywodzący się z pewnego lata w jej przeszłości i ten dobiegający z trawionej pożarem zimy podziemnego świata.

I nagle zjednoczyły się, ponieważ były jednym głosem.

– Tallis! – zawołał jej brat, z miejsca, które było tak blisko, a zarazem tak daleko. – Tallis!

Jego głos przeszył ją dreszczem. Była w nim desperacja i smutek. I tęsknota; i miłość.

– Tallis! – Rozległ się po raz ostatni przeciągły krzyk przedzierający się ku niej przez pasmo niemiejsc oddzielające ją od owego zakazanego zimowego świata.

– Harry – odpowiedziała mu krzykiem. – Harry! Jestem tutaj! Jestem z tobą!

Przez bramę buchnął niosący śnieg powiew. Tallis zakrzuszyła się od gryzącego dymu. Jeden z koni zakwiczał. Dziewczynka słyszała, jak jeździec go uspokaja.

– Utraciłem cię! – zawołał do niej brat. – Utraciłem cię i nie zostało mi już nic!

– Nie! – odkrzyknęła Tallis. – Jestem tutaj...

Zimny wicher odrzucił ją do tyłu. Słyszała zawieruchę szalejącą za bramą oraz niespokojne dźwięki wydawane przez zebranych tam ludzi. Podniosła wzrok i rozejrzała się wokół. Gdyby tylko istniał jakiś sposób na rozszerzenie tego wąskiego połączenia!

– Przyjdę do ciebie, Harry! – krzyknęła. – Zaczekaj na mnie!

W tej samej chwili jednak brama zaczęła znikać.

Czy usłyszał jej pożegnalne słowa? Czy czekał tam, skulony z zimna, wpatrzony w wąską przestrzeń, nić połączenia, wciąż uradowany tym, że ujrzał przelotnie swą jasnowłosą, piegowatą siostrę? Czy też płakał, czując się przez nią porzucony?

Poczuła w oczach szczypanie wzbierających łez. Potarła gwałtownie powieki. Zacerpnęła głęboko tchu i przykucnęła, by wpatrzeć się w mrok oraz wsłuchać w ciszę. Za szybą cieplarni widać było delikatne poruszenia. Dziewczynka dostrzegła biały błysk na masce, którą nazywała Drażącą. Postać przez cały czas była w pobliżu.

Tallis miała dłoń chłodną od rozmazanych łez, czuła też jednak głębszy chłód, zimno śniegu, który dotknął jej ciała. Wizja nie była snem. A jeśli śnieg był realny, to samo musiało dotyczyć głosu jej brata oraz kontaktu z zakazanym światem, po którym wędrował, zagubiony, samotny i – sądząc po brzmieniu głosu – bardzo przerażony.

Zagubiony. W świecie, którego imienia nie знаła. Przeważa go Starym Zakazanym Miejscem. W jej własnej, sekretnej nazwie wszystko się zgadzało.

Podniosła się i wróciła do ogrodu, gdzie stanęła, balansując na dolnych sztachetach wiodącej na pola bramy. Była jasna, gwiazdzista noc. Wyraźnie widziała grań Morndun oraz skupisko drzew na wałach starego fortu. W panującej ciszy słyszała odległy szum strumienia, zapewne Lisiej Wody. W gruncie rzeczy wszędzie wokół widziała oznaki bądź słyszała odgłosy nocnych form życia obecnych w okolicy...

To znaczy wszędzie wokół, z wyjątkiem okolicy, w której znajdował się las Ryhope, będący źródłem smutku Harry'ego. Ów posepny bór stanowił pustkę w obrębie ciemności, przyprawiającą o zawrót głowy czarną otchłąń, która zdawała się wsysać ją niczym małą rybkę wciągana do wielkiej, pochłaniającej wszystko paszczy.

VI

Stukot garnka dobiegający z kuchni wyrwał Tallis z zadumy. Nie wiedziała, jak długo stała przy bramie, gapiąc się na pogrążoną w ciszy okolicę, nastał już jednak świt, a niebo nad wioską Shadoxhurst załśniło barwami.

Była świeża i pełna energii, niemal podekscytowana. Podbiegła do tylnych drzwi i wpadła do kuchni ruchem tak nagłym i zaskakującym, że jej matka wypuściła z rąk rondel z wodą, który niosła na piec.

– Boże Wszchemogący, dziecko! Odebrałaś mi dziesięć lat życia!

Tallis zrobiła pełną skruchy minę, po czym obeszła wokół wielką kałużę, by podnieść z podłogi miedziany garnek. Matka wstała wcześniej niż zwykle. Była jeszcze w szlafroku, a włosy skryła pod czerwoną chustką. Nie miała makijażu. Spoglądała na dziewczynkę załzawionymi oczyma.

– Co, u licha, robiłaś? – zapytała, zawiązując mocniej szlafrok. Wzięła rondel od Tallis i podała jej jedną z wystrzępionych, cuchnących szmat.

– Nie spałam całą noc – odparła dziewczynka. Opadła na kolana i zaczęła pomagać w wycieraniu zimnej wody.

Matka popatrzyła na nią z uwagą.

– Nie spałaś?

– Nie byłam zmęczona – skłamała Tallis. – Zresztą jest niedziela...

– I mieliśmy pojechać do Gloucester, do katedry, a potem do ciotki May.

Zapomniała o corocznych odwiedzinach u ciotki May i wuja Edwarda. Nie była to dla niej przyjemna wizyta. Dom zawsze cuchnął dymem papierosowym i kwaśnym piwem. Kuchnia z reguły była pełna prania wiszącego na sznurkach rozciągniętych między ścianami, a choć chleb, który podawali do herbaty, zawsze był świeży, smarowali go jedynie

żółtym, kluskowatym majonezem. Kuzyn Simon, który również brał udział w tych spotkaniach, nazywał go „chorą masą”.

Sprzątnęły bałagan. Tallis słyszała ojca poruszającego się w łazience. Chciałaby, żeby był obecny, gdy po raz pierwszy opowie o niezwyklej i cudownej rzeczy, która się wydarzyła. Z drugiej jednak strony, patrząc, jak matka nalewa wody do garnuszka, by ugotować jajka, cieszyła się, że może spędzić kilka chwil tylko z nią.

– Mamo?

– Lepiej idź się umyć. Wyglądasz, jakby przeciągnięto cię przez las za nogi. Ale najpierw daj mi kilka jajek.

Tallis podała jej jajka, potrząsając uprzednio każdym z nich, by się upewnić, czy nie słychać grzechotu będącego, według Simona, niezawodną oznaką obecności dzioba.

– Czy byłabyś zła, gdyby Harry wrócił do domu? – zapytała wreszcie.

Matka włożyła jajka do wody, nie okazując zaskoczenia.

– Czemu opowiadasz takie głupstwa?

Tallis milczała przez chwilę.

– Często się z nim kłóciłaś.

Matka spuściła wzrok i zmarszczyła brwi. Miała zakłopotaną minę.

– Co to ma znaczyć?

– Nie lubiliście się z Harrym.

– To nieprawda – odparła ostro. – Zresztą jesteś za młoda, żeby pamiętać Harry’ego.

– Pamiętam go bardzo dobrze.

– Pamiętasz, jak odjeżdżał, bo to była smutna chwila. Ale nic więcej. Z pewnością nie mogłaś zapamiętać żadnych kłótni.

– Pamiętam – upierała się cicho Tallis. – Bardzo zasmucały tatę.

– A ty mnie bardzo denerwujesz – odparła matka. – Jeśli chcesz w czymś pomóc, nakrój trochę chleba.

Tallis podeszła do chlebaka i wyciągnęła wielki bochen z przypaloną skórką. Zaczęła zdrapywać z niego zwęgloną skorupę, lecz nie wkładała w tę czynność serca. Nigdy nie potrafiła rozmawiać z matką o ważnych sprawach. Zasmucało ją to. Poczuła, że w oczach wzbierają jej łzy. Pociągnęła głośno nosem. Ów dźwięk wywołał zdziwione, lekko skruszone spojrzenie starszej kobiety.

– Czego pociągasz nosem? Nie chcę jeść pomoczonego chleba.

– Słyszałam Harry’ego – oznajmiła Tallis z pełnymi łez oczyma, spoglądając w surowe oblicze matki. Margaret Keeton powoli zdrapywała masło z twardej bryły, zatrzymała jednak wzrok na smutnej twarzy córki.

– Kiedy go słyszałaś?

– Dziś w nocy. Zawołał mnie. Odpowiedziałam mu. Powiedział, że utracił mnie na zawsze, a ja krzyknęłam, że jestem blisko i go odnajdę. Wydawał się bardzo samotny i przerażony... myślę, że zabłądził w lesie i próbuje nawiązać ze mną kontakt...

– W jaki sposób?

– Leśnymi metodami – wymamrotała Tallis.

– Jakimi leśnymi metodami?

– Przez sny. I uczucia.

Nie miała ochoty mówić o zamaskowanych kobietach czy wyraźnych, jaskrawych wizjach, które niekiedy ją nawiedzały.

– I przez opowieści. W opowieściach, które układam, można znaleźć wskazówki. Dziadek to rozumiał – dodała po zastanowieniu.

– Co ty powiesz. Ja nie rozumiem. Wiem tylko tyle, że Harry wyruszył, żeby przedsięwziąć coś bardzo niebezpiecznego... nie powiedział nam co... i nigdy nie wrócił. To było wiele lat temu. Ojciec sądzi, że on nie żyje. Zgadzam się z nim. Czy naprawdę uważasz, że gdyby jeszcze żył, nie napisałby do nas?

Tallis wytrzeszczyła oczy. Jak mogła wytłumaczyć matce, co miała na myśli? Że Harry nie przebywał w Anglii, zapewne nawet nie w świecie, tak

jak go rozumiano... był poza światem. Znajdował się w zakazanym miejscu i potrzebował pomocy. Nawiązał kontakt w jakiś magiczny, niewyobrażalny sposób, kontakt ze swą przyrodnią siostrą... w drugim świecie nie było skrzynek pocztowych. W niebie...

– To nie był sen – nie ustępowała Tallis. – Naprawdę mnie wzywał.

Matka wzruszyła ramionami. Położyła nóż do masła na talerzu i nachyliła się nad córką. Po chwili potrząsnęła głową.

– Nie ma dwóch zdań, że dziwna z ciebie dziewczynka. Ale nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Uściskaj mnie.

Tallis spełniła jej prośbę. Matczyzny uścisk był z początku niepewny, potem jednak stał się bardziej gorący. Skryte pod chustką włosy pachniały szamponem.

Margaret cofnęła się lekko i pocałowała córkę w zadarty nos. Następnie uśmiechnęła się.

– Naprawdę pamiętasz, jak kłóciłam się z Harrym?

– Nie przypominam sobie o co – wyszeptała dziewczynka. – Ale zawsze mi się zdawało, że cię denerwował.

Margaret skinęła głową.

– Tak było. Ale nie potrafię tego wyjaśnić. Byłaś jeszcze malutka. Miałam z tobą mnóstwo trudności. To znaczy podczas porodu. Na długi czas wyprowadziło mnie to z równowagi. Nie byłam sobą. Oczywiście nie byłam też kimś innym. – Zaśmiała się z tego nieszczerólnego żartu. Tallis zrobiła to samo. – Czegoś mi jednak brakowało...

– Klepki?

– Klepki – zgodziła się Margaret. – Albo i dwóch. Byłam wściekła na wszystko. Nie pamiętam już, jak się wtedy czułam, ale widzę siebie, jakby z zewnątrz. Zachowywałam się bardzo nierozsądnie. A Harry... cóż, z tą swoją gadaniną o duchach i zaginionych krainach okropnie mnie irytował...

Harry też wiedział!

–...a Jim... tata... zawsze stawał po jego stronie. Dlaczego by nie? Był jego ojcem. Harry był pierworodnym. A kiedy odszedł, kiedy po prostu zniknął, tak mnie to zatrwżyło, że odzyskałam utracone klepki.

Pochyliła się raz jeszcze i uściskała córkę serdecznie. Tallis dostrzegła wilgoć w oczach matki oraz kropelkę na końcu jej nosa.

– Niestety – wyszeptała Margaret Keeton – w tej samej chwili ojciec zgubił jedną czy dwie.

– To też pamiętam – stwierdziła Tallis. – Ale teraz jesteście szczęśliwi... – dodała radosnym tonem.

Matka potrząsnęła jednak głową, po czym otarła dłonią oczy. Uśmiechnęła się, wzięła w rękę nóż i zajęła się krążkiem masła z lodówki.

– Pewnego dnia – powiedziała – pewnego dnia wszystko znowu będzie w porządku. Oboje jesteśmy szczęśliwi. Szczególnie ze względu na ciebie. A jeśli chcesz wybrać się do lasu na poszukiwania Harry’ego, to możesz to zrobić. Tylko nie rozmawiaj z nieznanymi. Nie zbliżaj się do wody. A jeśli usłyszysz jakieś rozmowy, uciekaj albo się schowaj. I wracaj codziennie przed podwieczorkiem, bo inaczej to ty, młoda damo... – Pomachała nożem w drwiącym ostrzeżeniu. – To ty będziesz wołała o pomoc!

– A jeśli przyprowadzę Harry’ego?

Jej matka uśmiechnęła się, a potem przeżegnała.

– Nie będzie już kłótni – zapewniła. – Słowo honoru.

Wizyta u ciotki May i wuja Edwarda była tym razem szczególnie nieprzyjemna. Wuj odkrył brązową bibułkę do papierosów, która – co wyjaśniał im z licznymi szczegółami – niezmiernie poprawiała smak marnego tytoniu, na który mógł sobie pozwolić. Obaj z Jamesem Keetonem siedzieli i palili przez całą godzinę. Mały salonik wypełnił gęsty aromat dymu.

Gdy wracali samochodem do domu, usłyszała, jak ojciec mówił, że nie może znieść tych corocznych wizyt. Używał przy tym dokładnie takich samych słów, w jakich i ona mogłaby to wyrazić.

Musieli jednak spełnić ten obowiązek.

Kiedy już byli w domu, Tallis poprosiła, by dali jej godzinę na zabawę.

– Wybierasz się na poszukiwanie Harry’ego? – zapytał ojciec z uśmiechem na twarzy. Opowiedziała mu o spotkaniu. Zbadał z nią zaułek i narysował kredą znak na ceglany murze, by zachęcić syna do ponownej próby nawiązania kontaktu.

Tallis zrozumiała, że nie traktuje jej całkiem poważnie.

– Jeszcze nie – odparła. – Będę musiała poczekać na odpowiednią chwilę.

– Cóż... nie oddalaj się zbyt. I miej oczy otwarte.

– Idę na grań Morndun. Może Harry skontaktuje się tam ze mną.

– Gdzie, na Boga, jest grań Morndun? – zapytał Keeton, marszcząc brwi.

– To Kurhanowe Wzgórze – wyjaśniła Tallis.

– Chodzi ci o te wały?

– Tak.

– To pole jest własnością Judda Pottifera. Nie chciałbym być w twojej skórze, jeśli cię złapie na ganianiu swych owiec.

Tallis przeszła ojca bardzo gniewnym spojrzeniem. Gdy jej wzrok i jej milczenie sprawiły, że zrobił niepewną minę, oznajmiła z wielkim spokojem: – Mam lepsze rzeczy do roboty niż ganianie owiec.

Wieczór był cudowny, chłodny i pogodny. Zaczynał zapadać zmierzch. W kościele w Shadoxhurst dzwoniło na wieczorne nabożeństwo. Cichy, przyjemny dźwięk dzwonów niósł się w letnim powietrzu. Tallis zeszła do Wyndbrook, Potoku Łowcy, i zapuściła się powoli między drzewa. Zastanawiała się, czy powinna się odważyć przejść przez nie nazwane pole do lasu Ryhope. Pragnęła ponownie odwiedzić zniszczony dom. Często

czuła pokusę zaryzykowania podobnej wizyty. Tej myśli sprzeciwiało się jednak poczucie, że ów budynek jest czymś... czymś, co do niej nie należy. Natomiast grań Morndun, tak jak zaułek czy Łąka Wietrznej Jaskini, była miejscem, które sama stworzyła.

Już wcześniej – podczas tego niezmiernie nudnego popołudnia na przedmieściach Gloucester – doszła do wniosku, że ważnymi dla niej punktami są te, w których utworzyła swe obozy. Źródła jej zainteresowania ruinami domu w lesie były dwojakie: po pierwsze, to stamtąd Harry mógł wyruszyć do drugiego świata, Starego Zakazanego Miejsca. Po drugie zaś, tam właśnie dwóch ludzi prowadziło badania nad „mitotworami” z lasu. Zgodnie ze słowami dziadka – i może także z jej wizją – prowadzili zapiski i ten dziennik mógł nadal tam być. A przynajmniej jakieś wskazówki odnośnie do tego, kim i czym są owe mitotwory. Zafascynowały one jej dziadka, a on przekazał swą fascynację wnuczce.

Byli do siebie podobni. Była wnuczką swego dziadka. To był fakt, pewny i niezachwiany. Wszyscy o tym wiedzieli. To, co zaczęło się dla niego, nadal trwało dla niej. Mieli wspólny cel. I choć tym celem mogły nie być poszukiwania jej brata, Harry’ego – dziadek Owen zmarł przed jego drugim, ostatecznym zniknięciem – łączyły ich wspólne doświadczenia. Tallis była teraz przekonana, że miały one wskazać im drogę do owego niezwykłego lasu, do nie nazwanego, lecz zakazanego miejsca, które usidliło jej brata i które zdawało się zajmować tę samą przestrzeń co świat Shadoxhurst, choć nie można go było dostrzec.

Tego wieczoru, w nadziei że Harry znowu do niej przemówi, wyruszyła do swego obozu na grani Morndun. Gdy jednak dotarła do Wyndbrook, przykucnęła wśród drzew naprzeciwko pola Knowe i wsłuchiwała się w szum wody, wpatrując się w coś, co zachwyciło ją w jej niewinności: dwa jelonki pijące wodę z nieruchomego rozlewiska strumienia.

Były to piękne stworzenia, jedno odrobinę mniejsze od drugiego. Gdy Tallis ukryła się za pniem zwalonego drzewa, by obserwować zwierzęta,

większe z nich i bardziej nerwowe ożywiło się i zatupało nogami. Uszy miało nastawione, a wielkie, ciemne oczy lśniące i czujne. Choć jego towarzysz nie przestawał pić, bystrzejszy jelonek przebiegł kawałek kłusem wzdłuż brzegu strumienia, po czym zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Za nimi pole ciągnęło się aż po grań wznoszącą się obok porośniętych lasem wałów. Gdy słońce zaczęło zachodzić, niebo nabrało cudownej barwy wieczornego błękitu. Dostrzegła ciemne ptaki, które łąziły po nie porośniętych drzewami częściach grani, dziobiąc ziemię. Wieczór był tak pogodny, że miała wrażenie, iż widzi je bardzo dokładnie, ze wszystkimi szczegółami.

Poniżej oba jelonki zareagowały na jakiś dźwięk, choć Tallis leżała sztywno i w całkowitym bezruchu.

Czy jesteście dziećmi mojego Połamańca? – zapytała bezgłośnie. Czy on przebywa w pobliżu? Czy jesteście stworzeniami z ksiązek z bajkami, istotami nie z tego świata?

W tym miejscu, nad strumieniem płynącym wśród letnich drzew, łatwo było zapomnieć, że te zwyczajne zwierzęta należą do stada pasącego się na skraju lasu na obszarze majątku Ryhope. Mogły tu przybyć z dowolnego miejsca i czasu, z pradawnej krainy baśni, z Ziemi ery przed nastaniem ludzkości czy ze snów dziewczynki, która dostrzegała teraz w ich ciemnobrązowych ciałach piękno wykraczające poza pierwiastek zwierzęcy, sięgające do królestwa magii, której wyraz stanowiły.

Po lewej stronie Tallis trzasnęła gałązka. Powietrze przeszył świst kamienia albo pocisku, jakiegoś przedmiotu ciśniętego z wielką siłą.

Straciła orientację pod wpływem nagłych wypadków.

Jej uwaga została na chwilę odwrócona, przez co nie dostrzegła źródła dźwięku. Po krótkiej chwili, gdy ponownie spojrzała na strumień, stała się świadkiem agonii większego, ostrożniejszego jelonka, który kopał nogami w powietrzu. Był do połowy pogrążony w strumieniu. Usiłował wydostać się z wody, lecz strzała przebiła mu oko i wyszła z tyłu czaszki, tworząc

brzydką, przerażającą skazę na pięknym ciele kwiczącego z bólu zwierzęcia.

Wydało z siebie głos przywodzący na myśl dziecko wzywające rodziców. Jego towarzysz zdążył już czmychnąć. Tallis zauważyła jego zręczne ciało mknące między drzewami nad brzegiem strumienia. Natychmiast ogarnęły ją mdłości. Krew buchająca z rany jelenia zaczęła tworzyć wiry w krystalicznie czystej wodzie. Zwierzę podniosło się chwiejnie, po czym opadło na przednie nogi, jakby klękało przed jakimś świętym wizerunkiem. Obróciło lekko głowę. Pojawił się język. Dotknęło nim wody, do której osunęło się powoli i z wdziękiem.

Tallis miała już wybiec ze swej kryjówki i podejść do martwego stworzenia, gdy znajdujący się przed nią fragment leśnego podszycia uniósł się, wyprostował i przerodził na jej zdumionych oczach w pełnowymiarową postać ludzką odzianą w skórę jelenia.

Mężczyzna przez cały czas siedział przykucnięty w jej polu widzenia, a ona go nie zauważyła. Niewątpliwie to on wypuścił strzałę. Tego również nie dostrzegła, miał jednak ze sobą łuk z naciągniętą cięciwą, na którą założył już drugi pocisk. Gdy Tallis go zauważyła, wciągnęła powietrze...

I natychmiast się odwrócił, spoglądając na nią przez zakrywającą mu twarz, powiewającą na wietrze skórę ściągniętą z jeleniego pyska.

Tallis poczuła podmuch na policzku. Gdy uchyliła się i obejrzała za siebie, zobaczyła drżącą strzałę wbity w pień drzewa. Jej lotki wykonano z białych piór, a drzewce pomalowano w zielono-czerwone pasy.

Mężczyzna patrzył na miejsce, w którym przycupnęła. Gdy podźwignęła lekko głowę, zauważył ją. Uniósł rękę z rozpostartymi palcami. Dłoń była drobna, a palce delikatne. Zanim się odwrócił i pobiegł do strumienia, Tallis odniosła wrażenie, że jest młody i najprawdopodobniej już jej nie zaatakuje. Jego głowę i ramiona okrywała skóra jelenia z porożem przyciętym do dwóch krótkich, grubych wyrostków. Przyglądał się dziewczynce przez puste otwory ślepiów, lecz jego własne oczy lśniły w

przygasającym światłem słońca. Na nogach miał skórzane buty sięgające kolan i zawiązane skrzyżowanymi rzemykami. Do boku prawej nogi przypiął sobie skryty w pochwie nóż.

Pomijając osłonę głowy i dolnych części kończyn, był nagi. Miał szczupłe, bardzo blade ciało o wydatnych mięśniach, stanowiące zdumiewający kontrast z ciałem jej ojca – jedyne go mężczyzny, którego dotąd widziała nagiego. Podczas gdy ojciec był ciemnowłosy, ciężko zbudowany, miał duży brzuch i grube nogi, ta dziwna zjawą była we wszystkich miejscach szczuplejsza i lżejsza. Nieznajomy mógł być jeszcze chłopcem, ale jego ciało miało męskie kształty, a zarysy mocno napiętych mięśni znamionowały atletę.

Wszystkie te myśli i wrażenia przemknęły przez jej głowę w jednej chwili.

Młodzieniec w skórze jelenia runął na zabite zwierzę, poćwiartował je i przeciął mu brzuch, tak że dymiące wnętrzności, połyskujące, purpurowe odpady, wypłynęły z trupa do wody.

Cięcie noża, potem drugie i masa flaków odpadła. Młodzieniec w skórze jelenia zarzucił zdobycz na ramiona i chwycił w rękę łuk, po czym nisko nachylony pobiegł wzdłuż strumienia i zniknął w spowijającej wszystko ciemności lasu ciągnącego się wzdłuż Wyndbrook.

Na chwilę zapadła niesamowita, pełna zdumienia cisza. Tallis wpatrywała się w zbroczoną krwią wodę. Nie przestawała myśleć: Potok Łowcy. Nadałam mu nazwę przed laty. Zrobiłam to ze względu na ten moment...

Potem dostrzegła poruszenie mniejszego jelenka, który wrócił na miejsce śmierci towarzysza i węszył niespokojnie.

Wstała. Zwierzę zobaczyło ją i czmychnęło, oddalając się susami po polu od strumienia w kierunku ostrej grani, gdzie padlinożerne ptaki poszukiwały robaków. Tallis podążyła za nim. Przeszła potok w bród,

wołając do uciekiniera: – To nie byłam ja! Zaczekaj! Jeśli jesteś dzieckiem Połamańca, chcę ci przekazać swój zapach! Zaczekaj!

Pobiegła w górę zbocza, potykając się i chwytając gęstej trawy. Jelonek zniknął za granią, zadzierając wysoko krótki ogon i wierzgając tylnymi nogami, pełen smutku i determinacji w ucieczce.

Widziała zarys wzgórza rysujący się ostro na tle blasku niebieskoszarego nieba.

Pod to niebo wzbily się nagle ogromne, czarne skrzydła. Tallis wciągnęła powietrze i padła na kolana. Serce jej waliło.

To nie były skrzydła. To było poroże, szeroki, przerażający łuk ciemnych, prastarych rogów. Olbrzymie zwierzę stanęło na linii horyzontu i spojrzało w dół, na nią. Rozstawiło szeroko przednie nogi. Z rozdętych nozdrzy buchał oddech. Tallis nie mogła oderwać wzroku od tego poroża: olbrzymich, poziomych, kostnych łopat o rozpiętości dziesięciokrotnie większej niż u jelenia szlachetnego. Przypominały bułaty, zagięte na końcu ku górze, pełne haków i ostrych zadziórów na całej długości.

Wielki Łoś górował nad okolicą, wyższy niż dom, o oczach przerastających rozmiarami skały, cały jego kształt fantastyczny, nierealny...

Na oczach Tallis jego zarysy zamazały się, zmieniły. To była wizja, która zanikła, ustępując miejsca prawdziwemu obrazowi wielkiego rogowca. Tak jest, to był Połamaniec. Na tle szarego nieba wyraźnie widać było złamaną rosochę. Jego poroże, nigdy nie zrucane, nierealne, było potężne, lecz odrażający ogrom sprzed chwili zniknął. Miała przed sobą tylko niezwykle zwierzę, powstałego z martwych jelenia, który spoglądał na nią ze wzgórza. Obserwował ją. Być może zastanawiał się, czy powinien zaszarżować, wierzgnąć, ubóść lub nadzieć na rogi, czy też zostawić ją w spokoju, jako niewinną.

Czuł jednak z pewnością kwaśny odór wnętrzości i krwi, a jego potomek był martwy. Tallis wiedziała, że jeleni jest tego świadomy. Pobladała ze strachu. Zwierzę spoglądało za jej plecy, ku skrytemu w lesie

strumieniowi. Być może widziało ducha swego dziecka. Być może czekało, aż pojawi się trop zabójcy. Być może oczekiwało na woń dymu z ogniska, pieczonego mięsa, zjadanego mięsa, jego duchorodnego pożeranego przez łowcę w jeleniej skórze.

– To nie byłam ja – wyszeptała Tallis. – Nie miałam z tym nic wspólnego. Kocham cię, Połamańcu. Nadano mi imię na twoją cześć. Muszę cię naznaczyć, nim będę mogła wyruszyć po Harry’ego. Muszę cię naznaczyć. Ale nie wiem jak...

Wstała i podeszła do zwierzęcia. Pozwoliło jej zbliżyć się na odległość wyciągniętej ręki, po czym odrzuciło głowę do tyłu i ryknęło. Ten głos sprawił, że Tallis krzyknęła. Cofnęła się, potknęła i upadła na ziemię. Spojrzała w górę, wsparta na łokciach, i zobaczyła, że Połamaniec schodzi ku niej, utykając, staje nad nią okrakiem i potrząsa łbem, tak że czarne strzępy skóry zwisające z poroża trzepnęły o kość.

Smród jego ciała przyprawiał o mdłości. Cuchnęło trupem, gnojem, lasem, podziemnym światem. Powietrze było gęste od zaduchu. Z pyska skapywał mu płyn, gdy spojrzał w dół, parskając, wyczuwając, myśląc...

Leżącą między jego nogami Tallis ogarnął nagły spokój. Odprężyła się i wyciągnęła na ziemi z rękami wzdłuż boków, gapiąc się w górę na sylwetkę jelenia widoczną na tle wieczornego nieba. W jej ciele roilo się od wrażeń. Czuła dreszcze w piersi i brzuchu. Ślina zwierzęcia pieściła jej twarz. Oczy mu lśniły, gdy zamrugało i podeszło bliżej, by popatrzeć na swą imienniczkę, swą sympatię...

– To nie byłam ja – wyszeptała raz jeszcze Tallis. – W lesie jest łowca. Strzeż się go. Zabije twojego drugiego duchorodnego...

Cóż za dziwne wyrażenie. Gdy jednak wypowiedziała to słowo, jego brzmienie wydało się jej właściwe. Mogła je nosić w swym umyśle przez całe życie. Duchorodny Połamańca. Tak. Jego duchorodny. Zrodzony z matki należącej do stad wędrujących po majątku Ryhope i ojca ze świata

podziemnego, lecz autentyczny, z krwi i kości, nadający się do zjedzenia przez łowcę, który przybył w te okolice.

– Odnajdę go i powstrzymam – zapowiedziała Tallis. Jeleń majaczył nad nią, milczący, wpatrzony...

– Zabiję go...

Rogacz uniósł głowę. Popatrzył w stronę ciemnego lasu, który był jego prawdziwym domem. Wyciągnęła rękę, by dotknąć splamionej błotem skóry na jego kopycie. Uniósł nogę i strząsnął z niej dłoń, po czym cofnął się dziwnie niezgrabnym ruchem.

Tallis usiadła, a po chwili wstała. Ubranie miała mokre. Poczwała chłód na wilgotnej twarzy owiewanej wiatrem. Była przesiąknięta wypełniającymi jej nozdrza zapachami. Uważała je za zachwycające.

Połamaniec odwrócił się i pocwałował niezgrabnie ku górującej nad polem grani. Patrzyła na jego wysokie, płynnie poruszające się ciało, gdy przeszedł kilka kroków na zachód, w stronę opadającego za horyzont słońca. Nad wielką głową widać było lukę po złamanej rososze. Tallis z poczuciem winy pomyślała o fragmencie, który leżał w domu, ukryty w należącej do rodziców kufrze na skarby, jako element wspomnień z dzieciństwa ich ukochanej córki.

– Nie mogę dać ci nowej! – zawołała. – Jeśli nie odrosła, to znaczy, że tak miało być. Co mogę na to poradzić? Nie potrafię jej wetknąć na miejsce. Jest teraz moja. Rosocha należy do mnie. Nie możesz się o to gniewać. Proszę cię, nie gniewaj się.

Połamaniec ryknął. Jego głos poniósł się nad ziemią, zagłuszając smutny ton dzwonu z Shadoxhurst. To był koniec spotkania.

Jeleń zniknął jej z oczu za wzgórzem.

Tallis nie podążyła za nim. Stała przez chwilę bez ruchu. Ruszyła do domu, dopiero gdy ciemność sprawiła, że las spowiła czerń.

FALKENNA

Wydrążenie:

Kraina Ptasich Duchów

Przez całą zimę czuła się opuszczona przez swe duchy, teraz jednak, gdy zaczął się maj, miała wrażenie, że czerwono-biała maska Drażącej nieustannie obserwuje ją spomiędzy żywopłotów. Ta postać, szybka i niewyraźna, nie odstępowała Tallis podczas jej wędrówek po okolicy, nigdy jednak nie pozwalała dziewczynce się zbliżyć.

Tam gdzie była, w powietrzu zawsze unosiła się woń śniegu.

Pod wpływem słów wypowiedzianych przez Gaunta zeszłego lata Tallis wykonała wreszcie maskę, której nadała imię Księżycowy Sen. Użyła do tego starej kory zdartej z bukowego okrąglaka. Na twarzy namalowała księżycowe symbole. Przez pewien czas miała jednak wrażenie, że coś jest nie tak. Pracowała tygodniami – tu lekkie dotknięcie, tam wyszczerbienie, ówdzie linia przebiegająca przez rysy – aby pozwolić na ujawnienie się prawdziwego imienia.

Pewnego wieczoru wreszcie je poznała: „zobaczyć kobietę w krainie”. Gdy przytknęła sobie maskę do twarzy, poczuła niezwykłą, niesamowitą obecność, ducha przypominającego tego z polany Oak Lodge, gdzie przed kilkoma laty badała ruiny.

Miała teraz osiem masek. Drażąca jednak zaczęła wtrącać się ze swą mocą, a kobieta przyglądała się spomiędzy drzew...

Drażąca była twórczynią wizji. Tallis zaczęła się przygotowywać na kolejną z nich. Intuicyjnie wyczuwała, że to właśnie oznaczała nieustanna

obserwacja. Niemniej jednak wizja, gdy nadeszła, zaskoczyła ją całkowicie, nie tyle ze względu na swą naturę, co z powodu dogłębnej dezorientacji, o którą ją przyprawiła.

Biegła wzdłuż granicy drzew przy łące Stretley Stones, starając się schować przed kuzynem Simonem, z którym szukała przygód. Miał on piętnaście lat, o dwa więcej niż Tallis, i bywał niekiedy jej towarzyszem. Z reguły szukali razem przygód – nie znosili słowa „bawić się” – co dwa tygodnie, najczęściej w niedzielne popołudnia, gdy ich rodzice chodzili po farmie zajęci rozmową. Oboje uczyli się w tej samej szkole, ale obracali się tam w zupełnie odmiennym towarzystwie.

Gdy Tallis okrążyła wielki, sękaty dąb – „dąb dziadka” – rosnący w żywopłocie, w nadziei że wciśnie swą chudą postać w krzaki ukryte za nim, usłyszała intrygujący, niepokojący dźwięk, który sprawił, że po skórze przebiegły jej ciarki. Była pewna, że to ludzki krzyk. Zdawał się dobiegać z łąki, zza gęstwiny głogów i innych ciernistych krzewów, lecz w jakiś sposób wpłynęły na niego gałęzie drzewa.

Natychmiast podeszła do bramy i spojrzała na porośniętą ostem łąkę. Było to bardzo spokojne miejsce, pełne kamieni. Kiedy trawa i trybula leśna wyrastały wysoko i dał wiatr, pole przypominało wzburzone morze. Nad pagórkowatą łąką przebiegały fale pochylającej się pastewnej roślinności.

Przez chwilę Tallis nie dostrzegała żadnej oznaki życia, później jednak w oddali, w ciemnym żywopłocie, poruszyła się Drażąca. W biało-czerwonej glinie maski zaśniło słońce.

Nawiedziło ją wspomnienie pewnego spaceru z ojcem, sprzed kilku lat. Przyszli wtedy na łąkę. James Keeton sprawiał wrażenie zasmuconego. Zatrzymał się przy drzewie, którego Tallis w przyszłości miała używać jako kryjówki. To właśnie tu, u podstawy pnia, umarł dziadek Owen, skulony,

jak gdyby czemuś się przyglądał... z otwartymi oczyma i uśmiechem na twarzy. Zwrócony ku kamieniom.

Być może dotknięta żalem, który na chwilę obudził się w ojcu, Tallis zaczęła sobie wyobrażać, że jest tu obecny jakiś smutny duch. Znaczenie tej rozmowy wydawało się jej teraz krystalicznie jasne: – Wyczuwa się tu coś dziwnego.

Ojciec zmarszczył brwi i położył rękę na jej ramieniu.

– Co masz na myśli? Co dziwnego?

– Coś związanego z nieszczęściem. Ktoś płaczący. Ktoś bardzo zimny...

– Nie myśl o tym – powiedział, być może próbując dodać jej otuchy. – Dziadek jest teraz szczęśliwy.

Podszedł do jednego z nadzwyczaj wielkich głazów. Odsunął na bok trawę oraz koniczynę i przetarł spękaną, szarą powierzchnię. Na prostych krawędziach wciąż widać było wyżłobienia.

– Wiesz, co to jest, Tallis?

Potrząsnęła głową.

– To ogamy. Pradawne pismo. Te zadrapania to różne litery. Widzisz? Są zgrupowane po dwa albo trzy, czasem pod różnymi kątami. Na łące Stretley jest pięć takich kamieni.

– Kto na nich pisał?

Skowronek zerwał się do lotu. Jego pieśń odwróciła jej uwagę, przelotnie i zachwycająco. Tallis spoglądała, jak wzbija się wysoko w przestworza. Ojciec również patrzył na ptaszka.

– Dawne ludy – powiedział. – Zapomniane ludy. Gaunt mówi, że przed wiekami stoczono tu krwawą bitwę.

Popatrzył na córkę.

– Może nawet była to ostatnia bitwa Artura.

– Kto to był Artur?

– Król Artur! – odpowiedział z zaskoczeniem w głosie. Tallis ciągle czytała książki z ludowymi legendami i bardzo dobrze znała arturiańskie

romanse. Po prostu nie skojarzyła ich natychmiast ze słowami ojca.

Na ogamicznych kamieniach nie zapisano jednak imienia Artura. Nieliczne słowa, które odczytano przed laty, nie miały sensu. Ojciec powiedział jej, że ich brzmienie było nieprzyjemne i wydawało się nie powiązane z żadnym językiem, choć jedno z nich oddawały cześć „kuzynowi wędrowca”, inne zaś „duchowi ptaka”.

Głazy pozostawiono na pastwę natury. Zagadkowe napisy pokryły szare porosty i zielona roślinność. Powodowały wybrzuszenia gruntu, całkiem jak ciała. Znano je jako Ludzi ze Stretley. Te szare kamienie nadały polu jego nazwę.

Wróciła do rozgałęzionego dębu i wspięła się po szorstkiej korze na niżej rosnące konary. Siedząc tam, w sercu drzewa, słyszała nawoływanie Simona, który usiłował ją znaleźć. W chwilę później ponownie rozległ się dziwny krzyk, mrozący krew w żyłach, żałobny, niemal śmiertelny dźwięk. Usłyszała również coś innego, głuchy odgłos uderzenia. Wrzask był równie przeraźliwy jak nocny zew borsuka, pełen smutku i żalu.

Natychmiast pomyślała o Harrym. Serce zabiło jej szybciej. Czy to on był po drugiej stronie pnia? Czy to był ponowny kontakt?

Wysunęła się z serca drzewa i zaczęła się posuwać wzdłuż konaru, spoglądając na leżącą w dole łąkę w poszukiwaniu źródła owej rozpacz. Dostrzegła blask letniego słońca na wysokiej, bujnej trawie usianej żółtymi i białymi kwiatami. Nie było widać nikogo, nawet Drażącej. Powąchała powietrze, lecz nie wyczuła żadnych oznak zimy. Wciąż jednak była zaintrygowana. Wdrapała się wyżej między gałęzie. Jeden z konarów wysuwał się nad łąkę. Poczłgała się ostrożnie wzdłuż niego. Wkrótce znalazła się nad polem. Gdy posunęła się jeszcze o stopę dalej, wydarzyło się coś dziwnego. Światło przybrało inną barwę, zrobiło się ciemniej, a ciepło lata zastąpił nagły chłód. Czowała woń spalenizny, nie przyjemny zapach drzewnego dymu, lecz dławiący, nieznany odór.

Wszystkie zmysły mówiły jej, że znalazła się w krainie, w której panuje wczesna zima.

Liście poniżej tworzyły gęste skupiska o ostrej, pełnej życia barwie letniej zieleni. Sięgnęła ręką w dół, by odchylić cienkie gałązki i ponownie zobaczyć pole.

Jej westchnienie szoku, jej krzyk były tak głośne, że zbliżający się Simon usłyszał je wyraźnie. Pobiegł prędko w stronę drzewa. Musiał zauważyć rozciągniętą na konarze Tallis, ponieważ cisnął w listowie dwa jabłka – swą myśliwską amunicję. Drugi owoc trafił w cel, uderzając ją boleśnie w bok.

– Jesteś zabita! Jesteś zabita! – krzyknął triumfujący łowca.

Tallis ześliznęła się z powrotem do serca drzewa i zeszła na dół. Zeskoczyła na ziemię i z popielatą twarzą wbiła wzrok w kuzyna. Uśmiech Simona zniknął, zastąpiony zdziwioną miną.

– Co jest? – zapytał. Gdy nic nie odpowiedziała, najwyraźniej poczuł się winny.

– Zabolęło cię od tego jabłka?

Podsunał jej owoce.

– Rzuć jednym we mnie. Nie poruszę się. Obiecuję.

Potrząsnęła głową. Oczy jej lśniły. Simon powłóczył niepewnie nogami. Wiedział, że jego kuzynka płacze, ale nie był bynajmniej pewien, czy rozumie dlaczego.

– Czy to jakaś zabawa? Czy poszukamy przygód w fortecy?

– Na łące – rzekła Tallis. – Wygląda tak smutno.

– Kto wygląda smutno?

– Myślałam, że to Harry, ale to nie on...

Simon odrzucił jabłka, które przyniósł z baraku, i wdrapał się na dąb dziadka. Tallis patrzyła, jak posuwa się wzdłuż tego samego konaru, na którym się ukrywała. Zeskoczył na łąkę i przez chwilę kopał wysoką trawę, aż wreszcie pobiegł z powrotem do bramy.

- Nic tu nie ma! – zawołał.
- Wiem – odparła cicho. Zastanawiała się, gdzie ukrywa się Drażąca.

Do końca dnia nie mogła odzyskać równowagi. Nie chciała już szukać przygód z Simonem ani powiedzieć mu, co takiego widziała z drzewa, wreszcie więc zostawił ją samą. Gdy ojciec próbował ją znaleźć, by pomogła w usuwaniu pokrzyw, ukryła się w cuchnącym olejem cieniu jednego z garaży, po czym wróciła na łąkę Stretley Stones.

Szybko wdrapała się na dąb dziadka i usiadła na chwilę w jego sercu, w nadziei że usłyszy tajemne imię drzewa, lecz nic się nie rozległo. Nie szkodzi. Była pewna, że imię przemówi do niej, nim wróci na ziemię.

Posuwała się wzdłuż konaru, aż wreszcie światło zmieniło barwę i zrobiło się zimno. Następnie sięgnęła ręką w dół i rozsunęła liście. Złamała przy tym kilka gałązek, żeby lepiej widzieć, po czym wsparła głowę na dłoniach i położyła się wpatrzona w owo inne miejsce. Ujrzała leżącego na dole młodego mężczyznę oraz otaczającą go straszliwą scenę.

Chciała do niego przemówić, ale słowa uwięzły jej w gardle. Leżał rozciągnięty na boku, wsparty nieco na jednym ramieniu. Było wyraźnie widoczne, że bardzo cierpi. Dygotał lekko. Kiedy odwrócił głowę, Tallis dostrzegła krew na jego policzkach. Łatwo było zauważyć, że jest jeszcze bardzo młody, lecz wyglądał na silnego. Sprawiał wrażenie, że żył w dostatku. Włosy miał intensywnie żółte i bardzo długie, a brodę jasną i krótko przyciętą. Pełne bólu oczy spoglądające z popielatej twarzy były zielone jak liście dębu, przez które przesączało się padające na niego światło.

Na jego piersi krew wypływająca z rany tworzyła powiększającą się plamę w miejscu, gdzie szarpał zaciśniętą dłonią krótki miecz, wciąż wbity w ciało.

Tallis przemknęło przez myśl, jak rycerski jest wygląd młodzieńca. Jego usta były małe, a nos bardzo delikatny. Sprawiał wrażenie dzikiego i

skłonno do figli, lecz mimo to delikatnego. Potrafiła sobie wyobrazić jego śmiech, co kazało jej pomyśleć o Harrym. To jednak nie był Harry. Przypominał jej obrazek z otrzymanej od dziadka książki z legendami przedstawiający sir Gawaina walczącego z Zielonym Rycerzem. Sir Gawain miał jednak na sobie lśniącą metalową zbroję, a ten wojownik był odziany jak strach na wróble. Jego ubranie przywodziło raczej na myśl ilustrację przedstawiającą Peredura, odważnego, dzikiego, poszukującego przygód rycerza z dworu Artura. Miał luźną, brązową bluzę oraz zieloną, zbroczoną krwią koszulę bez rękawów. Ramiona i talię otaczały jaskrawożółte sznurki. Spodnie sięgały tylko trochę poniżej kolan. Były obcisłe, w szachownicę barwy brązu i matowej czerwieni. Trzewiki miał czarne, ozdobione kawałkami zaśnieżonego metalu.

Gdy leżał na dole, drżąc z bólu, Tallis widziała jego krótki, czerwony płaszcz spięty na obu ramionach lśniącymi, żółtymi broszami. Wojownik co chwila dotykał tej, którą miał na lewym ramieniu, i zamykał oczy, jak gdyby myślał intensywnie o czymś albo o kimś.

Wiedziała, że jest wojownikiem, po części ze względu na to, w jaki sposób umierał, a po części dzięki prostemu, zakrwawionemu mieczowi, który leżał obok niego. W książkach z legendami – a Tallis przeczytała ich już mnóstwo – miecze zawsze były wykonane z lśniącej stali i miały rękojeści zdobne złotym filigranem i zakończone zielonymi klejnotami. Ten oręż był z matowego żelaza, mniej więcej długości ręki i miał paskudną szczerbę na ostrzu. Rękojeść obito ciemną skórą. Żadnych nadzwyczajności.

Wyciągnęła szyję, by zajrzeć za pień drzewa. Zadrżała na widok roztrzaskanych rydwanów, leżących na ziemi ludzi oraz ozdobionych proporcami włócznie sterczących z ziemi i z ciał. Paliły się ognie. Pole przestało istnieć. Zastąpiła je otwarta równina. Szeroka rzeka płynęła tam, gdzie w świecie Tallis toczył swe wody Potok Łowcy. Wszędzie leżeli martwi ludzie. Między nimi poruszały się czarne kształty. Za rzeką

dostrzegając dym, a także inne ognie płonące na granicy gęstego lasu ciągnącego się poza to miejsce, tak daleko, jak mogła sięgnąć okiem. Był to zimowy bór, mający teraz barwę ziemi, gęsty i groteskowy, całun puszczy okrywający nie tkniętą ludzką stopą krainę.

Nad ową knieją nieprzenikniona ciemność posuwała się ku rzece, ku miejscu rzezi. Pod mrocznymi chmurami zataczały kręgi czarne ptaki.

Tallis natychmiast pojęła, jakim imieniem należy nazwać drzewo. Nadała mu je natychmiast: Silny wobec Burzy.

Nie mogła zasnąć. Była upalna, wilgotna, całkowicie bezwietrzna noc. Okno zostawiła otwarte. Leżała w łóżku, patrząc na gwiazdy. Zastanawiała się, czy jej wojownik widzi te same. Burza, którą ujrzała, nie zmaterializowała się, nie w jej świecie. Być może jednak w miejscu, gdzie ranny leżał dręczony tak wielkim bólem, jego piękne włosy zmoczyła już ulewa. Ognie pogasły. Wyobraziała sobie pole szemrzące pod wywołanym przez naturę potopem, krew wsiąkającą w trawę oraz ziemię sięgającą ku górze, by pochłonąć zabitych, ich broń oraz ich zimne duchy.

„Gaunt mówi, że przed wiekami stoczono tu krwawą bitwę”.

Czy to dzięki Drażącej zobaczyła tę wielką batalię albo raczej jej pokłosie? Tallis kręciło się w głowie od obrazów i opowieści. Wstała z łóżka i wyjrzała przez okno. Czy w cieniu przy płocie czaiła się jakaś postać? Czy była to Biała Maską, której obecność wypełniała jej głowę legendami i wyimaginowanymi przygodami?

Najmłodszy syn, najmłodszy z trzech...

Zaczęła się formować opowieść, która wydała się jej niemal przerażająca. Składała się z chaotycznych obrazów. Zamek – o wysokich wieżyczkach i grubych murach – wypełniany ziemią, tysiąc mężczyzn niosących ciemną glebę, by zablokować nią korytarze i komnaty. W okolicy paliły się ognie. Dwóch srogich rycerzy, zakutych w zbroje jeździło wokół warowni z proporcami powiewającymi na wietrze.

Wizja trzech młodych mężczyzn spierających się z ojcem i wygnanych z jego dworu.

Obrazy zamków z tamtej krainy: czasem wzniesionych w dębowych lasach, czasem w wiązowych, a czasem nad krętymi rzekami czy na wysokich wzgórzach. Wizje polowań.

Wyobrażenie najmłodszego syna wygnanego do świata stworzonego przez sny czarownicy. Tam, w zamczysku wzniesionym z jakiegoś niezwykłego kamienia, wiódł pozbawione ciepła, nieszczęśliwe życie. Powrót uniemożliwiał mu ogrom wąwozu, na którego północnej ścianie zbudowano ów gmach, ponury kamienny pałac górujący nad złowieszczym zimowym lasem.

Obrazy dzikich łowów, leśnych zwierząt zrywających się z miejsca niczym olbrzymy na tle księżyca; dzików o grzbietach porośniętych szczecina przypominającą nastroszone lance; jeleni o porożach utworzonych z połamanych wichrem dębowych konarów; ciał miażdżących las podczas ucieczki przed gniewnym łowcą...

Na koniec wyobrażenie bitwy toczonej w mrocznym lesie: migotliwe poruszenia pochodni w mroku; krzyki konających; zakrwawione kości i zdruzgotane fragmenty zbroi zawieszane na nagich gałęziach... złowrogi, ulotny obraz tego, co mogło się wydarzyć, zanim ten sympatyczny, dumny, młody książę doczołgał się do pnia dębu, by znaleźć schronienie, znaleźć bezpieczeństwo... znaleźć Tallis...

Opowieść... wizja... oraz jeszcze dziwniejsze wrażenie, poczucie, że w jakiś sposób odwiedziła tę starożytną krainę. Zmarzła w zimnym powietrzu, zakrztusiła się dymem, a odór krwi przyprawił ją o mdłości. Była tam. Otworzyła przejście do „krwawej bitwy” Gaunta. Zmieniła krajobraz, sprowadziła pradawną zimę do współczesnego lata.

Zdała sobie sprawę, że Drażąca jej towarzyszyła. Wszystko to miało na celu zademonstrowanie dziewczynce innego aspektu jej mocy, jej sztuki.

Tallis: twórczyni masek; twórczyni mitotworów; wnuczka swego dziadka.

O północy ogarnęło ją jednak strapienie, gdyż bez względu na wszystkie swe intuicje – czy to trafne czy nie – bardzo mocno współczuła umierającemu.

Stała przy oknie – chuda postać w cienkiej nocnej koszuli. Spojrzała nad nocną krainą na sylwetkę swego drzewa. Do oczu napłynęły jej łzy. Wyobraziła sobie, że słyszy również płacz wojownika. Nie знаła jego imienia, a rozpaczliwie pragnęła go zawołać. Powinna spróbować mu pomóc. Powinna przynieść bandaż, jedzenie i maści antyseptyczne. Powinna zeskoczyć z drzewa na pole, pocieszyć go i opatrzyć jego rany.

Jej wojownik podczołgał się do Silnego wobec Burzy. Być może usłyszał ją, gdy szukając przygód, biegała z kuzynem! Zawołał ją, poprosił o pomoc. I co zrobiła? Nic. Nie wydała żadnego dźwięku. Patrzyła tylko na niego i płakała!

Rozgniewana na siebie wciągnęła trampki, po czym wykradła się do ogrodu. Pod wpływem impulsu oderwała szerokie pasmo z obrąbka koszuli nocnej, by użyć go jako bandaża. Zastanowiła się, czy nie wrócić do domu po jedzenie i lekarstwa, zmieniła jednak zdanie. Pobiegnęła w świetle gwiazd ku Stretley Stones.

Spodziewała się, że w zakazanym miejscu również zapadnie noc, ale gdy poczołgała się wzdłuż gałęzi, przeszła nagle z mroku w światło zimowego dnia. Leżący pod drzewem młody mężczyzna wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widziała go poprzednio. Burza wciąż była daleko. Ogie również się nie zmieniły.

Zdezorientowało to na chwilę Tallis. Potem zdała sobie sprawę, że jej wojownik gapi się na konary Silnego wobec Burzy. Szeptał słowa, które były zbyt ciche, by mogła je usłyszeć.

– Jak się nazywasz? – zawołała.

– Jak się nazywasz? – krzyknęła po raz drugi, głośniej. – Ja jestem Tallis. Tallis. Chcę ci pomóc...

Na dźwięk jej głosu jego spojrzenie stwardniało nieco. Zmarszczył blade czoło. Nagle uśmiechnął się, przelotnie, jakby z rozbawieniem, po czym zamknął oczy.

– Tallis... – wyszeptał.

– A jak ty się nazywasz? – nie ustępowała siedząca na drzewie dziewczynka.

Powiedział jednak tylko: “Tallis”. Potem rozpaczliwie wykrzyknął niezwykle słowa, słowa, które przemknęły między gałęziami Silnego wobec Burzy, pozbawione znaczenia, wymowne, nieuchwytnie. Rzuciła na dół pas materiału, swój bandaż na rany młodzieńca. Na krótką chwilę opaska zniknęła jej z oczu, potem jednak pojawiła się znowu, rozwinięta, opadająca powoli ku leżącemu. Zobaczył ją. Wyciągnął po nią rękę ze łzami radości w oczach. Jego usta, dotąd okrutna szrama bólu, otworzyły się w szerokim uśmiechu nadziei.

Złapał łachman i przycisnął go do warg. Zatrząsł się gwałtownie. Pokrywająca go krew zalsniła w miejscach, gdzie ponownie zaczęła wypływać.

– Tallis! – krzyknął. – Scathach!

Opadł na plecy z ramieniem wyciągniętym nad głowę. Strzępek koszuli nocnej powiewał mu w palcach. Tallis przyglądała się temu wstrząśnięta. Jego oczy wciąż były otwarte, lecz natychmiast zmatowiały. Uśmiech zniknął mu z warg. Młodzieniec całkowicie znieruchomiał. Przez chwilę Tallis sądziła, że skonał, potem jednak odniosła wrażenie, że jego dłoń się poruszyła. Nie umrze. Nie może umrzeć. Uratowała go. Kimkolwiek był, usłyszał jej głos. Oczywiście pomogła w tym Drażąca albo też jej własny talent do drażenia. Usłyszał jednak jej głos i być może wyobraził sobie, że jest boginią albo drzewnym duchem. Był to dla niego znak nadziei. Teraz będzie żył. Będzie żył dla niej, dla Tallis. Zostanie przy dębie. Kiedy wróci

do zdrowia, zbuduje tam dom i być może wdrapie się na szeroki pień Silnego wobec Burzy. Albo też...

Tak. Ona mogła zejść na dół, do niego. Kiedy będzie starsza. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, by połączyć duchy obu światów. Nie była jeszcze do tego gotowa.

– Tallis!

Gniewny głos przebił się przez jej chwilową radość. Pośliznęła się na gałęzi. Odzyskała równowagę, lecz zakazane miejsce zniknęło.

Za polem, na które zwały się Kamienie Stretley, płonęła jasno pochodnia. Gdy ktoś ponownie zawołał ją po imieniu, zdała sobie sprawę, że to ojciec.

Zapukał do drzwi pokoju, a potem otworzył je. Tallis nie odeszła od okna. Wpatrywała się markotnie w świt. Nie była bynajmniej senna, choć nie spała ani chwili. Miała na sobie drelichowe spodnie, białą bluzkę i sportowe buty. Nie chciała umyć twarzy, była zadowolona, że są na niej ślady łez, wspomnienie własnego gniewu.

– Tallis?

– Idź sobie.

Był teraz spokojny. O północy był zły, a także przestraszony. Wyjaśnił jej, że teraz jest tylko zatroskany. Z jego córką coś było nie w porządku i to go martwiło. Jej zachowanie było zupełnie do niej niepodobne. To, co wyprowadziło ją z równowagi, wydawało się jej absolutnie rzeczywiste. Postanowił spróbować odszukać źródło tego niepokoju.

– Dlaczego weszłaś na drzewo? Co tam robiłaś?

Nie odpowiedziała.

– Tallis? Powiedz coś. Już się nie gniewam.

– Ale ja się gniewam. Odeгнаłeś go.

– Go? Kogo odeгнаłem?

Spojrzała wściekła na ojca, zaciskając wargi i mrużąc oczy, jak gdyby chciała oskarżyć go o głupotę. Uśmiechnął się. Był nie ogolony, a siwiejące

włosy, zwykle tak starannie zaczesane do tyłu, miał rozczochrane. Nadawało mu to dziwaczny, szalony wygląd. Był jeszcze w piżamie. Wyciągnął rękę i dotknął delikatnie ramienia córki.

– Pomóż mi to zrozumieć, Tallis. Kto tam był? Kto był na drzewie?

Ponownie zwróciła wzrok ku łące Stretley Stones. Znowu poczuła napływające łzy. Ogarnęła ją tęsknota głębsza niż kiedykolwiek dotąd. Pragnęła swego wojownika, chciała być z nim, widzieć go. Swym młodym umysłem ogarnęła dziwną prawdę: że dla jej rannego bohatera czas istnieje jedynie wtedy, gdy ona na niego patrzy. Zbliżała się burza. Razem z nią nadejdzie deszcz.

W sposób sięgający głębiej niż zwykła świadomość, wiedziała, że gdy nadciągnie nawałnica, romantyczna opowieść dobiegnie końca. Wydawało się, że część jej jaźni zna prawdę ukrytą za zmatowieniem oczu młodzieńca i tym krzykiem, tak ostatecznym, tak pełnym ulgi...

Odmawiała jednak przyjęcia tego do wiadomości. Nie umarł. Wróci jeszcze do życia.

Coś jednak... coś straszliwego...

Myślała o tym przez całą noc i wszystkie godziny ranka, gdy stała tutaj, wpatrzona w miejsce, gdzie czekał na nią Silny wobec Burzy. Bała się tam wrócić. Bała się ujrzeć młodzieńca. Każda minuta, którą z nim spędzała, była minutą jego życia, a burza była o minutę bliżej.

Zatrwożyła ją ta nawałnica. Widziała posępne sylwetki padlinożernych ptaków krążących coraz bliżej, tuż pod chmurami. To nie była zwyczajna zawierucha, lecz wiatr z piekła, który dął nad krainą jej bohatera, pożerając martwych i umierających. Czytała o podobnych burzach. Znała wszystkie nazwy piekielnych wron, siwych wron, padlinożerców, kruków...

Ojciec nadal do niej mówił. Przerwała mu raptownie, nie spoglądając na niego.

– Co jest napisane na Ludziach ze Stretley? Na kamieniach?

Wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Te napisy mają bardzo mało sensu. Czy już ci kiedyś tego nie mówiłem?

– Ale coś w nich musi być. Coś więcej niż „wędrowiec” i „ptak”. Czy nie ma tam ani jednego imienia?

Zastanawiał się intensywnie przez chwilę, po czym skinął głową.

– Tak mi się zdaje. Kilka imion. Imion o dziwnym brzmieniu. Są w jakiejś książce o miejscowej historii.

– Jakie to imiona? – zapytała podekscytowana. – Czy jedno z nich nie brzmi Scathach?

Jego zamyślona mina wyrażała niemal potwierdzenie, po chwili jednak wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam. A skąd wzięłaś to imię?

– On tam jest. Ma na imię Scathach. To jeden z dawnych ludzi. Jest jeszcze młody. Widziałam go. Jest piękny. Wygląda jak Gawain.

– Gawain?

Podbiegła do regałów i wyciągnęła ze stosów książek z legendami oprawny w skórę tom. Przerzuciła szybko stronicę i położyła go na łóżku, pokazując ilustrację, która przypominała jej mężczyznę na łące. Ojciec gapił się przez chwilę na postać, po czym przewrócił karty, by odnaleźć list, który przed kilkunastoma laty napisał jego ojciec.

– To pismo dziadka. Czy kiedyś to czytałaś?

Tallis nie słuchała go. Gapiła się w stronę łąki z wybałuszonymi oczyma i twarzą rozpromienioną z zadowolenia. Była pewna, że poznała jego imię. Powiedział jej. Z pewnością było to jedno z niezwykłych imion na kamieniach. Było dziwne, ale dla jej uszu brzmiało pięknie. Scathach. Scathach i Tallis. Tallis i Scathach. Scathach i Drzewny Duch. Kamień Scathacha, pomnik wielkiego bohatera, najmłodszego syna pozostawionego na polu, gdzie odnalazł życie i miłość niezwykłej, szczupłej, młodej księżniczki z innego świata.

Klasnęła w dłonie. Musi zobaczyć go raz jeszcze. Potem przypomniała sobie o burzy. Poczowała się przerażona i beznadziejnie młoda. Nie była jeszcze na tyle dorosła, by naprawdę mu pomóc. Na razie. Będzie musiała zaczekać na odpowiednią chwilę.

– Tallis! Kto jest na drzewie?

Teraz z kolei ona okazała spokój. Przesunęła palcami po twarzy ojca, próbując dodać mu otuchy.

– On nie jest na drzewie. Leży pod nim. Scathach. To jego imię. Jest bardzo młody i bardzo przystojny. Pewnego dnia, dawno temu, był wielkim wojownikiem. Odniósł rany w bitwie, ale przyszedł do niego drzewny duch, który go uratował.

– Zaprowadź mnie do niego, Tallis... – poprosił, marszcząc brwi.

Potrząsnęła głową i dotknęła warg palcami.

– Nie mogę, tato... Przykro mi. On jest mój. Scathach jest mój. Należy teraz do mnie. To dlatego Drażąca pozwoliła mi go zobaczyć. Czy nie rozumiesz, że to element mojego szkolenia? Opowieści, maski... Muszę robić, co mi każą, i widzieć to, co widzę. Nie mogę się opierać. I muszę uratować Scathacha, zanim nadejdzie burza. Jestem pewna, że na tym właśnie polega moje zadanie. Zanim nadejdzie burza. Zanim nadlecą wrony. Czy tego nie rozumiesz?

Przesunął dłonią po jej włosach. W jego oczach czaiła się troska.

– Nie, kochanie – powiedział cicho. – Nie rozumiem. Jeszcze nie.

Uściskał pośpiesznie Tallis.

– Ale zrozumieć. Jestem pewien, że kiedyś zrozumieć.

Wstał z łóżka i wyszedł z pokoju. Kiedy się obejrzał, Tallis znowu stała zwrócona do okna. Oczy miała zamknięte. Uśmiechała się. Szeptala:

Trwam dłużej niż pióra

Czaję się w jaskiniach

Jestem białym wspomnieniem życia

Jestem kością

Nadlatywały wrony. A także sówki i krwawe kruki. Wszelkie drapieżne ptactwo. Wszelkie piekielne ptactwo. Leciały nażreć się trupów, upaść się ich ciałami. Musiała je powstrzymać. Musiała go obronić. Musiała znaleźć zaklęcia, które je zawrócą. Musiała odszukać ich kości.

Oczyściła jedną ze ścian swego pokoju, zdejmując z niej wszystkie maski z kory, które tam zawiesiła, oprócz Falkenny, jako że jastrząb był łowcą, ona była łowcą i Scathach był łowcą, a przez oczy jastrzębia mogła zobaczyć znienawidzone ptaki karmiące się umarłymi.

Używając akwareli i węgla drzewnego, namalowała na obwodzie Falkenny podobizny wron i kruków. Kończąc wizerunek każdego z ptaków, oślepiła go nożem, wycinając głębokie krechy na zimnych, przeszywających spojrzeniach. Zrobiła też ich modele: ze słomy, z papieru, z gliny. Pozakopywała je na łące Stretley Stones zwrócone dziobami w dół, w kierunku skalnego podłoża. Oznaczyła każdy z grobów piórami martwych ptaków, które znalazła w żywopłotach. Do każdego z dębów otaczających łąkę Stretley Stones przywiązała czarne pióra oraz pasy białej tkaniny ze swej koszuli nocnej. Wykonała farbę z własnej krwi (wyciśniętej z otarcia na kolanie) zmieszanej z wodą ze strumienia oraz sokiem z ostów i pokrzyw. Namalowała nią na dębach rosnących wokół pola ptaki o ciałach rozplątanych wpool, strzały przeszywające chmury, gdzie ukrywało się ptactwo, oraz połamane dzioby.

Na koniec namalowała na Silnym wobec Burzy dwie maski: jedną skierowaną ku łące, a drugą w przeciwną stronę. Obie wyrażały triumf i miały kształt głów jastrzębi.

W ten oto sposób obróciła Stretley Stones w cmentarz dla żarłocznych ptaków. Nadal jednak czuła, że wrony kołują coraz bliżej. Zaczęła więc zbierać ptasie czaszki i kości, wrywając pióra ze zżeranych przez robactwo trupów i zdzierając z nich mięso szczypcami. Gromadziła je w skórzanej torbie, by każdego dnia biegać z nimi wokół łąki.

W miarę jak zbliżała się pełnia lata, Tallis odczuwała rosnącą potrzebę, by znów zobaczyć Scathacha, spojrzeć na niego choć raz, co pomogłoby jej przetrwać kolejny trymestr w szkole, dało jej siłę, by doczekać do Bożego Narodzenia, dotrzeć do Nowego Roku, do chwili gdy osiągnie wiek, w którym będzie mogła naprawdę mu pomóc.

Łaziła po polach i siadała pod Silnym wobec Burzy, by czytać książki. Uwielbiała chodzić na ukrytą łąkę, żeby wyciągnąć się pod dębem z ramieniem nad głową i ciałem wykręconym tak samo, jak u leżącego w tym samym miejscu Scathacha. On spoglądał w górę i ona robiła to samo. Być może widział to, co i ona: gęstwinę liści i ciemniejszy zarys konaru. Tallis jednak nie dostrzegła żadnej uśmiechniętej twarzy czy drzewnego ducha, jak zdarzyło się to jemu.

Z upływem tygodni zdała sobie sprawę, że nawiedzające las zakapturzone kobiety poruszają się w skrywającym je podszyciu z narastającym podnieceniem. Już niemal nie zwracała na nie uwagi. Wizja młodego mężczyzny, Scathacha, przybierała na sile, trawiła ją. Zapomniała o Harrym.

Pewnego dnia, gdy usłyszała konie, próbowała je śledzić, szybko jednak dała za wygraną. Zaczęły się krystalizować dalsze fragmenty opowieści o Scathachu, którą nazywała teraz opowieścią o Starym Zakazanym Miejscu. Nie tylko był zaginionym synem, lecz jego historia również zaginęła, zapomniana przez języki i umysły, które przechowały tak wiele innych podań. Usiłowała coś wywnioskować z myśli, bodźców zmysłowych, ulotnych obrazów niezwyklej krainy i ukrytej pod kopcem twierdzy, a także szalonych dźwięków tworzących razem cykl przygód będących legendą o Starym Zakazanym Miejscu.

Przestała chodzić do szkoły. Gniewało to rodziców, lecz nie miała teraz dla nich czasu. Czasami słyszała, jak matka płacze. Niekiedy budziła się, by zobaczyć, że siedzi w jej pokoju i wpatruje się w nią po ciemku. Wszystko to napełniało ją smutkiem, stłumiła jednak to uczucie. Nie miała czasu. Bez

względu na to, co robiła z nią Drażąca, musiała być otwarta na wszystko. Nie mogła jednak nie słyszeć kłótni. Jej zachowanie wywołało w domu kryzys. Kiedy słyszała, że rodzice rozmawiają o Silnym wobec Burzy, przysłuchiwała się z uwagą przez drzwi. Margaret Keeton chciała ściąć drzewo, lecz James powiedział „nie”. Gdyby to zrobili, mogliby na zawsze uwięzić Tallis w jej letnim obłędzie. Stracili Harry’ego... nie mogliby znieść, gdyby to samo stało się z nią.

Letnim obłędzie? O jaki obłęd mogło im chodzić? Słuchała dalej. Mówili o „sennym stanie”, „fantazjach” i „halucynacjach”. Ani słowa o tym, co robiła dla Scathacha. Ani słowa o jej obawie, że padlinożercy zaatakują go, gdy będzie leżał nieprzytomny. Skrzywiła twarz i zamknęła uszy na gadaninę dorosłych. Czy było obłędem próbować zrozumieć, jak obronić ранego człowieka? Czy były nim jej amulety i zaklęcia? Miała książki, opowieści o czarodziejach, czarownicach i magicznych metodach. We wszystkich wyczytała, że najważniejszym składnikiem każdego czaru jest wiara, skupiła więc swój młody umysł na próbach uwierzenia w to, że potrafi powstrzymać wrony. Bez względu na to, co robiła, we wszystkich jej czynach, słowach i talizmanach kryła się moc.

Niemal natychmiast zrozumiała, jak zrobić dziewiątą maskę. Wycięła ją z kory młodego wiązu górskiego, który leżał zwalony pod jednym z żywopłotów, i najpierw pomalowała na biało, a potem wokół oczu umieściła lazurowe obwódki, by nadać jej wyraz niewinności. To była Sinisalo, która kazała Tallis myśleć o lśniących niebieskich lasach. Jej tajemna nazwa brzmiała jednak: „zobaczyć dziecko w krainie”.

Na łące Stretley, między zwalonymi ogamicznymi głazami, znalazła inne kamienie: małe, pasujące do dłoni i gładkie w dotyku. Zebrała ich tyle, ile tylko mogła unieść, a potem wróciła po więcej, by ułożyć je w stos pod dębem. Gdy już je oczyściła, przyniosła z domu pędzle i farby. Wzięła też kilka małych kamyczków z grani Morndun, gdzie siadała na ziemnym wale

zwrócona twarzą w stronę lasu Ryhope, próbując sobie wyobrazić czarne morze puszczy, które ongiś tu istniało.

Na jednych kamieniach wymalowała Zabójcze Oko, na innych znak Drapieżnego Ptaka, a na jeszcze innych krzyże, okręgi i spirale z dawnych czasów. Przejrzała książki w swym zbiorze i na regałach należących do rodziców w poszukiwaniu odpowiednich zaklęć. Skopiowała ślepe twarze ofiar druidów i martwe kamienne głowy z czasów celtyckich. Natychmiast wyczuła przenikającą je energię pochodzącą z zaświatów. Stworzyła dziesiątą maskę, martwą od przodu, lecz z tyłu bardzo żywą. Nazywała się Morndun, co sprawiło, że Tallis ze zdziwieniem spojrzała na wały na wzgórzu. Jej druga, tajemna nazwa brzmiała: „pierwsza podróż ducha do nieznannej krainy”.

Na koniec na dwóch różnych kamieniach namalowała Liściowego Mężczyznę i Liściową Matkę. Użyła do tego zielonej farby, a potem dodała czerwone oczy; krwawa czerwień miała symbolizować jej krew, więź łączącą ją ze Scathachem.

Przywiązała do Liściowego Mężczyzny i Liściowej Matki sznurki, po czym wdrapała się na swój konar. Czyniąc to, nie czuła się zbyt mądrze. Nie była tu od ośmiu tygodni. Postanowiła, że nie będzie patrzeć na Scathacha aż do pierwszego dnia jesiennego trymestru. Jeśli żył tylko wtedy, gdy na niego spoglądała, będzie musiała przedłużyć jego życie o kilka lat.

Zawładnęła nią jednak myśl o kamiennych twarzach. Chciała, by chroniły one młodego mężczyznę. Przeczłogała się więc z lata do wczesnej zimy zakazanego miejsca i spojrzała w dół, na śpiącego wojownika.

Nic się nie zmieniło. Wyglądał tak samo jak przed kilkoma tygodniami. Uśmiechnęła się do niego, zawołała go, a potem opuściła w dół strażnicze kamienie. Na chwilę straciła je z oczu, lecz potem ujrzała je ponownie. Widziała, że opuszczony z gałęzi sznur niknie, a następnie wyłania się z nicości przesunięty o kilka stóp na południe. To złudzenie nie

przeszkadzało jej jednak. Dwie liściowe twarze zawisły nad ciałem Scathacha, obracając się powoli w obie strony. Przywiązała amulety do gałęzi, sprawdziła węzły i pochyliła się, by zawołać go raz jeszcze...

I wtedy właśnie je zobaczyła.

Była zbyt zalekniona, by patrzeć na odległe, czarne chmury. Spojrzała jednak w tamtą stronę, ponad rzeką i mroczną puszcza, i dostrzegła, że ciemne kształty ptaków są teraz liczniejsze. To nie one jednak sprawiły, że krzyknęła głośno, lecz inni padlinożercy, którzy przekraczali rzekę i zaczęli grasować u podstawy wzgórza, gdzie w świetle Tallis pole Knowe stykało się z Potokiem Łowcy.

Były to cztery przygarbione, stare postacie odziane w czarne łachmany. Natychmiast poznała, że to kobiety, lecz poza tym nie dostrzegła żadnych szczegółów, pomijając fakt, iż ich włosy ukryte pod ciemnymi szalami były długie i siwe. To nie były zamaskowane zjawy ze skraju lasu, które zwała szepczącymi. Jedna z nich pchała wózek, rozklekotaną konstrukcją na dwóch wielkich, pełnych kołach.

Ich głosy, ich przenikliwe okrzyki i śmiech niesły się nad polem rzezi, na które przybyły, by ograbić poległych.

Tallis krzyknęła nagle do Scathacha. Nie poruszył się. W jego palcach powiewało pasmo białego materiału z koszuli nocnej. W owym drugim świecie wiał teraz silniejszy wiatr zwiastujący burzę. Dziewczynkę ogarnął gorączkowy niepokój. Miała w kieszeni dwa małe kamienie. Rzuciła nimi w nieprzytomnego Scathacha. Celowała w nogi, lecz pociski zniknęły, a potem pojawiły się ponownie nad jego piersią, zmieniawszy trasę podczas przejścia między dwoma światami. Wciągnęła powietrze, widząc, jak uderzają, stoczyły się jednak z ciała wojownika, nie wyrządzając mu szkody. Pozostał nieruchomy.

Ponownie pochyliła się, by obserwować rabujące trupy kobiety. Podczas tej pracy luźne, czarne szaty łopotwały na wietrze wokół ich ciał niczym

skrzydła nietoperzy. Jednak to ich czynności sprawiły, że Tallis zadrżała. Rozbierały i ćwiartowały trupy. Rozciągały je na ziemi i ściągały z nich kurtki, pasy, spodnie oraz buty. Jedna z kobiet kroić nagie tułowie nożem o matowym połysku, podczas gdy najstarsza i najbardziej wiedźmowata zajmowała się szyjami, używając długiego, zakrzywionego ostrza. Kiedy jędze przeszły w inne miejsce, ślepe głowy zakołysały się i uderzyły o drzewo, rozdziawiając smutne usta w bezgłośnym proteście.

Wózek kobiet był ciężki od mięsa zabitych. Musiały go teraz pchać we dwie. Na środku wzgórza zostało jeszcze trzech martwych mężczyzn, a potem – tak, Tallis była tego pewna – zobaczą leżącego pod dębem Scathacha.

Poczołgała się z powrotem w górę konaru, aż wreszcie pory roku się zmieniły. Serce jej waliło. W głowie miała straszny zamęt. Co robić? Co robić? Musiała dowiedzieć się więcej. Rozumiała, jak prymitywny jest ich lud i w związku z tym mogła znaleźć odpowiednie środki obrony – jeśli będzie miała czas! A potrafiła go stworzyć. Była w stanie przedłużyć życie Scathacha, po prostu nie patrząc na niego. To jednak nie wchodziło w grę. Zbyt się o niego niepokoiła. Co będzie, jeśli czas w jego świecie nie zatrzyma się ponownie? Jeśli już w tej chwili wiedźmy zbliżają się do niego, by skraćć jego ciało, piszczą z radości, tocząc swój terkoczący wózek w stronę soczystej zdobyczy?

Przepelzła z powrotem do zimy. Usłyszała śmiech kobiet, nim jeszcze zdążyła rozsunąć liście, by lepiej widzieć. Metal szczekał, koła skrzypiały, a zawierucha przynosiła z pogrążającego się w mroku pola, na którym stoczono bitwę, pierwotne wonie krwi i dymu.

Było tam zimno. Odległe drzewa zakołysały się, gdy zima zaczęła ogałacać ich gałęzie. Dym z pożarów wznosił się chaotycznie ku złowrogim niebiosom. Tallis zdała sobie sprawę, że wiedźmy ujrzały Scathacha.

Zignorowały zakrwawione trupy leżące na środku pola i pociągnęły skrzypiący wózek w stronę dębu. Ich kaptury wydeły się od wiatru i

dziewczynka zobaczyła popielate twarze, mocno przylegającą do kości skórę oraz rozwarte usta – czarne otwory, z których wydobywały się drapieżne krzyki.

Zatrzymały się. Dostrzegły kamienne głowy – Liściowego Mężczyznę i Liściową Matkę – wiszące nad ciałem, które przyszły ograbić. Być może zauważyły, że zwisają one znikąd. Skrzywienie kół ucichło. Kobiety puściły drążki wózka i skierowały się ostrożnie ku srogim łbom.

Popatrzyły na kamienie. Popatrzyły na Scathacha. Najstarsza machnęła swym rzeźnickim nożem i ruszyła naprzód.

– Nie! – krzyknęła Tallis z gałęzi Silnego wobec Burzy. – Wynoście się!

Staruchy były zdumione. Podniosły wzrok, cofnęły się, a potem zatrzymały. Najstarsza z nich postąpiła dwa kroki w stronę dębu.

– Wynocha! – wrzasnęła Tallis. – Zostawcie go! On jest mój. Mój!

Wydawało się, że najstarsza jęzda patrzy wprost na Tallis, ale nie skupiła na niej spojrzenia bladych, załzawionych oczu. Spojrzała na wskroś dziewczynki, a potem obok niej i ponad nią...

– Jest mój! Idźcie stąd! – krzyczała Tallis.

Kobiety zrozumiały wreszcie sytuację. Na drzewie nie było nikogo, a przynajmniej żadnego człowieka. Krzyknęły głośno i cofnęły się szybko, krzyżując ręce przed twarzami. Palce prawych dłoni ułożyły na kształt rogów, lewych zaś oka. Wyrzuciły z siebie chaotyczne potoki słów, po czym złapały wózek, zawróciły go i pociągnęły przez pole w kierunku burzy i puszczy, w której płonęły pożary.

Tallis roześmiała się na widok ich odwrotu. Jej śmiech przeraził staruchy, które zaczęły biec szybciej. Zwyciężyła! Odeгнаła je! Teraz Scathach będzie z nią bezpieczny.

Jej triumf był jednak krótkotrwały.

Przez kilka minut leżała zadowolona na konarze, obserwując nadciągającą nawałnicę, czując wzmaganie się wiatru i widząc, jak wzgórze ogarnia szary cień. Scathach wciąż leżał bez ruchu, ale pozwoliła mu spać.

Była pewna, że rankiem obudzi go zimowe słońce. Wrony już go nie dostaną.

Zapadał zmierzch. Pod lasem zamigotały światełka. Spojrzawszy w tamtym kierunku, zobaczyła kilka pochodni. Serce zabiło jej szybciej. Przez rzekę przechodziły jakieś ciemne sylwetki. Żagwie rozjarzyły się jaśniej. Usłyszała głosy.

Wróciły kobiety. Nadal ciągnęły wózek, teraz jednak wiozły na nim wysoką stertę czegoś, co wyglądało jak drewno oraz podłużny głaz. Za nimi szedł mężczyzna spowity w szare futro. Niósł wysoką laskę. Kiedy się zbliżył, Tallis dostrzegła, że jego wąsy są długie, podobnie jak siwe włosy, nie nosi jednak brody. Stopy miał bosc. A kobiet tym razem nie było cztery, lecz pięć. Nowo przybyła miała twarz zasłoniętą dziwnym, przerażającym, czarnym welonem, lecz poza tym wyglądała na równie obszarpaną jak jej towarzyszki.

– Jazda stąd... – wyszeptała Tallis, czując najpierw rozpacz, a potem znowu gniew.

– Jazda stąd! – rozkazała głośnie. Posępny orszak zwolnił na moment, lecz potem ponownie ruszył naprzód.

Zanim dotarł pod nawiedzany dąb, Tallis ponownie zatrzymała czas. Zebrała kilka pomalowanych kamieni, wybierając tylko te z oczyma i okręgami.

Gdy wróciła do świata Scathacha, ogień z pochodni unosił się gwałtownie na wietrze. Ciemne chmury burzowe przesuwały się szybko nad polem. Tallis czuła w powietrzu zapach deszczu. Słyszała uderzenia piorunów.

Kobiety wbiły pochodnie w ziemię, tworząc wokół dębu półokrąg. Następnie stanęły bez ruchu z łachmanami powiewającymi wokół gniewnych ciał. Wrzasnęły jednym głosem, wydając z siebie niesamowite, przerażające zawodzenie. Patrzyły na konar dębu, na którym przycupnęła Tallis. Dłońmi i ramionami kreśliły magiczne znaki. Jęzga o zasłoniętej

twarży szepnęła coś do mężczyzny, a potem cofnęła się nieco. Starzec wystąpił naprzód. Uniósł laskę i uderzył nią liściowe głowy wiszące nad ciałem Scathacha. Ruch był nagły i gwałtowny. Tallis krzyknęła i rzuciła kamieniem, złośliwie celując w głowę. Trafiła jednak w bark. Mężczyzna odpowiedział drzewu rykiem bólu i wściekłości, po czym schylił się po talizman. Puścił go niemal natychmiast, przerażony tym, co zobaczył. Zawołowana kobieta podbiegła jednak bliżej, by zabrać amulet. Obróciła go w palcach. Tallis odniosła wrażenie, że słyszy jej śmiech. Przestraszyło ją to.

– On jest mój! – wrzasnęła i rzuciła drugim kamieniem w jedną z pochodni. Kobiety nie przestawały zawodzić. Najstarsza z nich potrząsała długim, matowym nożem.

– Zostawcie go w spokoju! – krzyknęła dziewczynka. – Nie tnijcie go. Nie róbcie mu krzywdy!

Starzec był wściekły. Wymachiwał laską i kreślił lewą dłonią w powietrzu dziwne wzory. Wskazał na śpiącego Scathacha, a następnie klepnął się w pierś, mówiąc coś. Słowa były proste i brzmiały nagłaco.

Tallis rzuciła w niego kamieniem z wymalowanym okiem. Trafiony w czoło mężczyzna zatoczył się do tyłu. Gdy otrząsnął się z szoku, zdjął z wozu nowe pochodnie, zapalił je po kolei i wetknął w miękką glebę, by zwiększyć rozmiary otaczającego drzewo pierścienia ognia. Tallis przyglądała się temu. Ciemność stawała się coraz głębsza. Blade twarze jędz lśniły w blasku płomieni.

Gdy dziewczynka zeszła z drzewa po nowy zapas kamieni z oczyma i okręgami, zauważyła, że w jej świecie również nadciąga zmierzch. Wniosła więcej pocisków leżących u podstawy Silnego wobec Burzy do jego wnętrza.

Przeszła ze spokojnego zmierzchu do targanej burzą nocy. Pochodnie skwierczały głośno. Wrzaski jędz brzmiały jak głosy dzikich zwierząt wyjących z bólu. Gdy skierowała wzrok ku groźnemu światu, dostrzegła, że

starzec i dwie z kobiet spychają z wozu wysoki, szary głaz. Było to zadanie niemal ponad ich siły. Udało im się ustawić go w pozycji pionowej, by balansował, podtrzymywany przez kobiety. Jędza o zasłoniętej twarzy na mgnienie oka oparła o niego dłonie, po czym powiedziała coś do starca, który uderzył w kamień laską, a potem zaczął chodzić wokół niego, krzycząc głośno w swym niezwykłym języku. Za każdym razem, gdy przechodził między głazem a Tallis, walił w gładką, szarą powierzchnię.

Wreszcie dziwny rytuał dobiegł końca. Tallis patrzyła, jak mężczyzna wy dobył nóż i wydrapał na kamieniu linię biegnącą od szczytu ku podstawie, po czym zaczął dziobać silnie ostrzem wzdłuż kreski...

Ciosy nie wydawały się wystarczająco mocne, by utworzyć głębokie rysy ogamów, Tallis jednak przyglądała się temu zaintrygowana. Czy wykuwał imię Scathacha? Czy to było najsilniejsze znane im zaklęcie pozwalające ukraść wojownika?

Nagle starzec skończył. Głaz runął ciężko na ziemię. (W epoce Tallis żaden z Ludzi ze Stretley nie leżał w takiej pozycji.) Kobiety pobiegły do spoczywającej na ziemi postaci Scathacha, lecz spotkał je grad lecących z drzewa kamieni. Pierzchły przed atakiem, pokrwawione i wrzeszczące. Tylko ta, która nosiła czarną zasłonę, nie poniosła szkody. Stała nieco z tyłu, patrząc na drzewo.

– Nie zabierzecie go! Nie zabierzecie go! – darła się Tallis. – On jest mój. Należy do mnie...

Znowu zabrakło jej kamieni. Ześliznęła się pośpiesznie do serca dębu po następne. Głośno uderzył grom. Potężny poryw wiatru zachwiał dziewczynką na jej niepewnej grzędzie. Gdy zebrała naręcze pocisków, nagle zamarła.

Gdzie podział się zmierzch? Co burza robiła tutaj?

– Scathach! – wrzasnęła. – O nie. O nie!

Pomknęła z powrotem wzdłuż konaru, omal z niego nie spadając. Usiadła na swym punkcie obserwacyjnym i wpatrzyła się w pole między

ogniami.

Scathach zniknął. Słyszała skrzypienie osi wozu. Wychyliła się w dół, by popatrzeć w ślad za pojazdem. Wojownik leżał na nim bezwładnie, z nogami zwisającymi nad brzegiem. Starzec szedł obok, trzymając laskę w obu rękach przed sobą. Czarną zasłonę owiązano wokół stojącego kamienia. Oznaka triumfu jędzy powiewała na wietrze.

– Scathach! – krzyknęła Tallis. Powtarzała bez końca jego imię, płacząc z żalu.

Poniosła klęskę. Nie udało jej się go obronić. Nie wykonała zadania zleconego jej przez Drażącą. Ból był zimnym, obracającym się nożem przecinającym jej kości, ciało i ducha.

Dąb ogarnęły płomienie bijące z dwóch pochodni ciśniętych do stóp drzewa. Tallis załkała na widok ognia. Tak bardzo się starała ocalić swego pięknego wojownika, była jednak za młoda, by tego dokonać. Jej zaklęcia nie były wystarczająco silne. Drażąca wyszeptała do niej, jak tworzyć wizje, i Tallis panowała nad czasem w tej, którą przywołała, dopóki nie zaczęła w sobie wątpić. Pamiętała dokładnie, w którym momencie utraciła kontrolę nad wydrążeniem, kiedy zaczęła się bać, że sama jej obecność na drzewie nie wystarczy, by pokierować biegiem życia Scathacha...

Zapłaciła za to. Scathach za to zapłacił. Nie udało jej się go uratować. Jej zwątpienie okazało się ingerencją, przez którą zmieniła jego historię.

*Stępiam żelazo
Cień poprzez czas rzucam
Jestem nieukształtowaną ziemią.*

*Stoję sam
Jestem drugim z trzech.
Jestem kamieniem*

Czy jednak rzeczywiście ją zmieniła?

Dopiero gdy opuściły ją rozpacz i przygnębienie, była w stanie przeanalizować wydarzenia kilku ostatnich godzin i wreszcie dostrzec fakty, które zadały kłam jej przekonaniu o okropnym losie czekającym Scathacha.

Przeżyła szok, gdy dotarło do niej, że zawodzenie kobiet nie było okrzykiem triumfu, lecz trenem rozpacz, smutku. Jeśli był w nim triumf, to z powodu uratowania wojownika, nie kradzieży jego trupa.

Wszystko, co sobie przypominała, uświadamiało jej coraz wyraźniej, że błędnie wzięła jękliwy ton ich głosów za krakanie padlinożemych ptaków pozostawionych sam na sam z ofiarą. Obraz starca wskazującego na Scathacha, wskazującego na siebie... Czy chciał powiedzieć, że to jeden z nich? Czy staruchy porzuciły zwłoki leżące na środku pola dlatego, że dostrzegły jednego ze swych książąt?

Wszystko stało się dla niej straszliwie jasne. Jędze należały do jego ludu. Ujrzały go pod drzewem, dostrzegły strzegącego go drzewnego ducha i uznały, że ów duch pragnie ukraść wojownika. Chciały uratować przed nim Scathacha. Zupełnie nie zrozumiały jej postępowania. Starła się ocalić go przed zarżnięciem. Teraz wyglądało na to, że broniła go przed jego pobratymcami, jego klanem.

Może zdoła sprowadzić go z powrotem, jeśli zawoła mniej gwałtownie. Tak, to byłoby dobre. Nie dotarli jeszcze do rzeki, a raz już usłyszeli jej krzyk. Po raz ostatni wdrapie się na ramiona Silnego wobec Burzy i spróbuje ich uspokoić i zdradzić im swe imię, żeby Scathach zawsze mógł ją mile wspominać, gdy już w pełni wyleczy się z ran.

Czas, który miała z nim spędzić, jeszcze nie nadszedł. Stanie się to później, gdy będzie starsza.

Na razie była tylko drzewnym duchem, nie mieli jednak powodu, by się jej obawiać.

Trzykrotnie obiegła wokół wszystkie zwałone kamienie, Ludzi ze Stretley, jako że nie wiedziała, który z nich należy do Scathacha, po czym

wróciła do drzewa i wspięła się na nie pośpiesznie, czołgając się wzdłuż konaru aż do miejsca, gdzie szalała burza i rozświetlona blaskiem pochodni noc była pierwszym sygnałem bliskości poległych w zapomnianej, starożytnej bitwie.

Spodziewała się ujrzeć wóz i odziane w łachmany kobiety. Przeżyła ostateczny, przyprawiający o mdłości szok, gdy zdała sobie sprawę, że czas znowu jej umknął. Nad rzeką płonął teraz wielki stos. Jego płomienie tańczyły bezgłośnie na tle ściany lasu.

Leżał na nim mężczyzna. Był to oczywiście Scathach. Rozpoznała go. Widziała też, że ogień obraca go już w popiół.

Pień jej dębu był przypalony i szerniał. Pożar już zgasł. Jego duch pozostawał jeszcze w tłącym się drewnie, lecz Tallis niemal nie zdawała sobie z tego sprawy. Wykrzyknęła imię Scathacha, patrząc, jak płomienie zaczynają pochłaniać ciało. Ich jasne życie wznosiło się ku burzowemu niebu.

Ostatnim, co zobaczyła, był niosący jeźdźca koń, galopujący od strony lasu i mijający ogień. Czarny płaszcz i ciemna grzywa powiewały na wietrze. Tallis nie potrafiła określić, dlaczego pomyślała, że przybysz jest kobietą, widziała jednak, jak okrążyła stos od prawej do lewej po raz pierwszy, drugi i trzeci. W blasku płomieni jasno lśniły jej białe, sztywne od gliny włosy, posępne, czarne linie na twarzy oraz czerwone pręgi na nagich kończynach.

Jej żałobne krzyki brzmiały jak ulotne głosy witających świt ptaków wygnanych z owego zakazanego miejsca zimy, owej Krainy Ptasich Duchów.

SKOGEN

Cień lasu

I

W tydzień później wciąż czuła się przygnębiona. Był już wczesny sierpień, lecz w żaden sposób nie zaangażowała się w przygotowania do urządzanego corocznie w Shadoxhurst festynu pełnego śpiewów i tańców. Nie miała wiele do powiedzenia i rodzice pozwolili jej pogрузić się w markotnej kontemplacji okolicy. Kiedy matka zapytała ją o przyczyny niepokoju, jaki niewątpliwie odczuwała, odpowiedziała jej po prostu: – Muszę mu to jakoś wynagrodzić. Nie zrozumiałam. Będzie przez to cierpiał ból. Muszę mu to wynagrodzić. Inaczej nie będę mogła wznowić poszukiwań Harry’ego. Ani Łowcy.

Nie wyjaśniło to wiele Margaret Keeton, która zostawiła córce wolną rękę.

Ale do czego?

Tallis popełniła groteskowy błąd. Drażąca pomogła jej otworzyć pierwszą bramę, stanowiącą wyraźne połączenie z zakazanym światem, drugim światem, starożytnym królestwem, którego prawdziwa nazwa wciąż się jej wymykała, choć kilkakrotnie ze wszystkich sił starała się „usłyszeć” ją w swym umyśle. Wyszkoliła ją, a Tallis zmarnowała jej wysiłki. Zamiast być świadkiem smutnej śmierci i cudownego duchowego wyzwolenia Scathacha, wtrąciła się w proces, który powinna jedynie obserwować. Wywołała w nim zmiany. Uczyniła coś bardzo złego. Drażąca,

zamaskowana kobieta z lasu, była straszliwie podekscytowana. Chodziła teraz za Tallis, lecz wycofywała się w mrok, gdy tylko dziewczynka próbowała się zbliżyć.

Zmieniła wizję. Wtrąciła się. Postąpiła źle.

Czuła gwałtowną potrzebę wynagrodzenia Scathachowi tej szkody, nie miała jednak pojęcia, jak złamać zakłęcie zmiany. Nie wiedziała, jaką magię wykorzystać, by oswobodzić jego ducha, uwolnić go z obrazu zamkniętego w jej udręczonym umyśle, obrazu, który – jak była przekonana – uwięził go w Krainie Ptasich Duchów.

Zatrzymała go między światami. W otchłani. Musiała odnaleźć czar, który go uwolni, pozwoli mu wznowić wędrówkę. Wtedy ona również będzie mogła podjąć podróż w poszukiwaniu Harry'ego i drogi prowadzącej do lasu Ryhope.

W dzień festynu Tallis obudziła się przed świtem. Ubrała się szybko, wyszła na palcach z domu i pobiegła przez pobliskie pola ku Stretley Stones. Stanęła obok Silnego wobec Burzy, wpatrzyła się w jego letnie konary i wsłuchiwała w ciszę w poszukiwaniu jakiegokolwiek oznaki zimowej zawieruchy. Nie usłyszała nic. Głowy wron, wydrapane przed kilkoma dniami, stały się mniej wyraźne. Wielkie drzewo pochłaniało już jej magię, leczyło swe rany. Tallis wyraźnie zauważyła, że w ciągu dni, które upłynęły od zaniku wydrążenia, na łąkę nie przedostał się ani jeden ptak.

Poczuła nagle chęć udania się do Krainy Ptasich Duchów, by usiąść na kamieniu, który uważała za należący do Scathacha. Oparła się jednak owemu pragnieniu ze względu na to, co wydarzyło się poprzednim razem. Z jakiegoś powodu wyobrażała sobie, że łąka i jego grób stały się dla niej zakazane. Przeszła więc jej skrajem, podeszła do Potoku Łowcy, przykucnęła nad nim i wpatrzyła się w bezimienne pole oraz mroczny bór widoczny w wilgotnym, chłodnym blasku nowego dnia.

To był ten sam las, który ujrzała w wizji. Wyjechała z niego pomalowana gliną kobieta krzycząca głośno z żalu za zmarłym...

Muszę przejść przez to pole, pomyślała gniewnie Tallis. Muszę poznać jego nazwę, żeby móc przemierzyć je bezpiecznie i zacząć szukać Harry'ego. Nie było jednak tam żadnych znaków, kamieni, pagórków, drzew, blizn czy rowów. Jak się nazywasz? Jak się nazywasz?

Usłyszała, jak ktoś gwizdże wesołą melodię przypominającą jej piosenki, które słyszała przez całe życie. Gaunt ciągle sobie pogwizdywał. Była to melodia podobna do tych, które wkrótce miały wypełnić powietrze w Shadoxhurst, gdy złączą się tańce i zabawa. Nie gwizdał jej jednak tańczący morrisa mężczyzna w przyozdobionym kwiatami kapeluszu ani miejscowa dziewczyna w barwnej spódnicy, czepku i chodakach.

Z uwagą przyglądała się staruszkowi. Wydawało się, że wyłonił się z lasu Ryhope. Gdy skupiła wzrok na jego postaci, pogranicze jej pola widzenia wypełniły unoszące się w powietrzu, poruszające się błyskawicznie kształty. A więc był to mitotwór. Przywołała go z własnego umysłu jak Drażącą, jak Gaberlungi...

Szedł skrajem lasu Ryhope, przez wysoką trawę i gęste krzewy. Wkrótce bagnista gleba zaczęła wsysać jego stopy. Gwizd ucichł, ustępując miejsca poirytowanemu gderaniu. Mężczyzna wyszedł z podszycia i ruszył suchym polem ku Potokowi Łowcy. Utykał i wspierał się na lasce. Dostrzegł przykucniętą po drugiej stronie strumienia Tallis i uniósł laskę w geście pozdrowienia. Dziewczynka wyprostowała się.

Nieznajomy był bardzo wysoki i krzepki. Miał na sobie zielone spodnie, ciężkie buciory oraz coś jakby przeciwdeszczową kurtkę, która zwisała mu z ramion niczym luźny płaszcz. Włosy miał bardzo krótkie i zupełnie białe, uczesane z wyraźnie zaznaczonym przedziałkiem, widocznym po boku. Mimo że jego blada twarz była ponura, sprawiał ciepłe, sympatyczne wrażenie. Uśmiechnął się do dziewczynki, po czym wyduł wargi i znowu zaczął gwizdać. Gdy dotarł na brzeg strumienia, nachylił się, by ściągnąć buty.

– Nie zastanawiałem się, co robię – zawołał do Tallis. – Wybrałem się na spacer, by nacieszyć się wczesnym porankiem, i wlałem prosto na moczary. Mogłem już być dwadzieścia stóp pod powierzchnią.

Są tu moczary, ale nie w tym miejscu, gdzie chodziłeś, pomyślała Tallis.

Zachowała milczenie, obawiając się istoty... była coraz mniej pewna, że to naprawdę mitotwór. Nieznajomy spoglądał na nią ze skrępowaniem.

– Ty też wstałaś wcześniej! – zawołał. Skinęła głową.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Kot odgryzł ci język?

Wystawiła go ochoczo, by zademonstrować, że kot się do niej nie zbliżał.

Nieznajomy skończył ściągać buty. Skarpetki miał zupełnie mokre. Wyciągnął nogi, by niedawno wzeszłe słońce mogło je wysuszyć. Siedząc na trawie, rozparł się wygodnie, spokojny i zrelaksowany.

– Zatrzymałem się na noc we dworze. Jest tam bardzo przyjemnie. Bardzo dobra kolacja. Wiesz, że kiedyś polował tu Henryk VIII?

Wsparł się na łokciach.

– Przyjechałem na festyn. Będziesz tam?

Oczywiście, pomyślała. Wszyscy przyjeżdżają do Shadoxhurst na festyn ludowy.

– Jeśli tak, na pewno się tam zobaczymy. Tyle że nie mam zamiaru tańczyć.

Zachichotał, rozglądając się po cichej okolicy.

– Dowiedz się jednak, że kiedyś byłem świetnym tancerzem – dodał. – Przyjeżdżałem tu, kiedy byłem znacznie młodszy. Zbierałem piosenki. Stare. Ludowe. Festyn w wiosce był bardzo ekscytującym wydarzeniem dla kogoś, kto jak ja niedawno przybył z Londynu. To miejsce ma specyficzny urok. Specyficzną magię. Nie potrafię tego wyjaśnić. Może ty potrafisz? Wiem tylko, że coś przyciągnęło mnie tu po latach, i czuję się podekscytowany niczym dziecko, które dostało swą pierwszą kolejkę.

Ponownie obrzucił Tallis pytającym spojrzeniem.

– Boisz się mnie? Zabronili ci rozmawiać z nieznajomymi?

Pewnie, że nie, pomyślała. Nie boję się ciebie.

– Pewnie, że nie – powiedziała na głos.

– Ach! A więc umie mówić? Czy twojej ostrożności towarzyszy jakieś imię?

– Tallis – odparła.

Nieznajomy był wyraźnie pod wrażeniem.

– To piękne i niezwykle imię. I dobrze dobrane. Nosił je kiedyś wspaniały mężczyzna. Kilkaset lat temu. Pisał muzykę kościelną. I to bardzo dobrą.

Dotknął podeszew swych stóp, po czym wciągnął buty i wstał.

– Zaczyna się koło południa, prawda? Tak myślałem – dodał, gdy Tallis przytaknęła bezgłośnie. – Cóż, chyba już pora na śniadanie. Swoją drogą, czy znasz jakieś piosenki?

Mężczyzna i dziewczynka spoglądali na siebie ponad płynącym potokiem. Tallis uśmiechnęła się, po czym zaśpiewała głośno *Czarna Owca Bee Bee*. Staruszek roześmiał się.

– Tak. Świetnie. Ta jest chyba trochę za bardzo znana, żeby warto ją było zapisać.

– Zbiera pan piosenki? – zapytała Tallis.

– Czy ci tego nie mówiłem? Nadal zajmuję się muzyką. Słyszałem tysiąc piosenek śpiewanych na tysiąc sposobów, w tym wiele naprawdę pięknych i bardzo starych. Czasem jednak zastanawiam się, ile mi umknęło. Jedna zrobiła to z całą pewnością. Słyszałem ją w latach młodości i uciekła mi z głowy, nim zdążyłem ją zanotować.

Uśmiechnął się do Tallis.

– Nieźle by było ją odnaleźć. Jeśli ją usłyszysz, mogłabyś mnie zawiadomić. Nowa piosenka ma magiczne właściwości.

Tallis z powagą skinęła głową. Gdy wysoki mężczyzna zaczął się oddalać, uniosła rękę.

– Czy pańskim poszukiwaniom towarzyszy jakieś nazwisko? – zawołała. Odwrócił się, uniósł laskę i wybuchnął śmiechem.

– Williams! – odkrzyknął. – Bardzo pospolite. Bardzo zwyczajne. Za to Tallis to piękne imię. Wyjątkowo piękne. Do zobaczenia na festynie!

Odwrócił się i ruszył zamaszystym krokiem w stronę lasu. Posuwał się naprzód niezgrabnie, ale z wielką determinacją.

Gdy tylko Tallis straciła z oczu starego, który zniknął za prześladowującym ją lasem, jego słowa odezwały się w niej, wywołując potężny wstrząs przypominający niespodziewane, drwiące echo.

„Nowa piosenka ma magiczne właściwości”.

Tak! Oczywiście! To była odpowiedź. Piosenka. Nowa piosenka.

Nareszcie. To takie proste. Takie oczywiste! Zaśpiewa wspomnienie o Scathachu. Bezgłośnie pieśń utkaną wokół jego kamienia, powtórzoną i wzbogaconą o nieznaną krainę, które były jej pasją, o przyjemności i wizje, które należały wyłącznie do niej. Piosenka: dopóki czar nie zostanie złamany.

Piosenka dla Scathacha.

Pobiegła ku łące Stretley Stones. Wiedziała już, jak będzie brzmiał początek, choć słowa miały w jej umyśle niesamowitą barwę melorecytacji, która była chłodna mimo wywoływanego przez słowa obrazu... Melodii jeszcze nie było:

W Krainie Ptasich Duchów płonie ogień.

W Krainie Ptasich Duchów leży mój

młody ukochany...

Rozgonię czarne padlinożerne ptaki

Gaunt często śpiewał piosenki. Czasami robił to przy pracy, a czasami wtedy, gdy siedział, sącząc jabłecznik, albo gdy budził się z drzemki na swym krześle pod szopą na jabłka. Tallis nigdy nie potrafiła zrozumieć słów wyśpiewywanych w mocno akcentowanym dialekcie melodyjnym, choć basowym tonem. Jakiś rok temu powiedział jej jednak coś, co teraz sobie przypomniła.

Zapytała go:

- Jak udało się panu zapamiętać tak wiele różnych melodii?
- Melodie to łatwizna – odparł. – To słowa są ważne. Gdy wyraźnie ujrzysz w sercu nowe słowa, zjawia się melodia odpowiednia do tego, co czujesz. Zawsze można jakąś znaleźć.
- Ale pańskie melodie są bardzo ładne.
- Podoba ci się moje śpiewanie?
- Nie – przyznała Tallis. – Nie śpiewanie. To, co pan śpiewa. Melodie są fajne.

Gaunt zachichotał.

– Dobrze. To dlatego, że nie zastanawiam się zbyt nad nimi. Dzięki temu przychodzą z miejsca, w którym mieszkają, w żaden sposób nie upiększone. Przedtem śpiewał je mój ojciec, a przed nim jego ojciec. Gauntowie śpiewają je już od... och, nie wiem dokładnie od kiedy. Zapewne jeszcze od czasów poprzedzających chwilę, gdy Wszechmocny uznał za stosowne nauczyć ich Adama.

Tallis poszła na pole, gdzie leżały kamienie i działając pod wpływem impulsu, wskoczyła na zwałony monolit, który jej zdaniem mógł nosić imię Scathacha. Wśród gałęzi otaczających łąkę drzew doszło do nagłego zamieszania. Były to oczywiście ptaki. Czały się na dębach i w żywopłotach. Spoglądały na bogate pastwisko, lecz nie były w stanie przelecieć nad polem.

Zaczęła nucić bezgłośnie pieśń. W ogóle nie zastanawiała się nad melodią. Po prostu pozwoliła, by słowa przepływały przez jej umysł. Tony

wznosiły się i opadały, a rytm zmieniał. Śpiewając do siebie, zesła z głazu i okrążyła go powoli, tańcząc w metrum, które narzuciła swym nieudolnym słowom, pozwalając im zmieniać się tak, jak chciały, pozwalając wszystkiemu przypływać z miejsca, gdzie przebywało.

Nim zdążyła w pełni zdać sobie z tego sprawę, rozśpiewała się w głos. Gałęzie zaszeleściły niespokojnie. Wysoka trawa zafalowała, poruszona wiatrem. Jej głos wypełnił powietrze słodkim dźwiękiem, niosącym *Obietnicę Tallis* daleko od azylu.

*W Krainie Ptasich Duchów płonie ogień.
W Krainie Ptasich Duchów leży mój
młody ukochany.*

*W Krainie Ptasich Duchów sroży się burza,
Rozgonię czarne padlinożerne ptaki.
Będę czuwać nad gliną całującą mego
młodego ukochanego,*

*Będę z nim w Krainie Ptasich Duchów.
W Krainie Ptasich Duchów płonie ogień.
Me kości tłą się.
Muszę tam powędrować.*

Gdy czar został złamany, pieśń ucichła. Tallis ogarnął na chwilę przejmujący smutek. Pozwoliła, by po twarzy spłynęły jej łzy. Wpatrzyła się w kamień, a potem w Silnego wobec Burzy.

Wszystko to miało swój cel. Gdzieś, tysiąc lat stąd, jej piosenka wysłała Scathacha w miejsce, gdzie łowy nigdy się nie kończyły, gdzie każdy mężczyzna umiał pięknie śpiewać, a miłość była zimą równie gorąca jak na wiosnę. Do wielobarwnego kraju. Do drugiego świata. Na jasną stronę zakazanego miejsca...

W tym miejscu i czasie nie mogła zrobić nic więcej. Łąka była tylko łąką, a szary kamień znowu stał się zimny. Duch go opuścił.

Uradowałyby ją w tej chwili widok Drażącej, ale leśne cienie były puste.

II

Przez całe popołudnie Tallis włóczyła się po zatłoczonej wiosce Shadoxhurst; szukając staruszka, pana Williamsa, którego spotkała nad Potokiem Łowcy. Chciała go poinformować, jak bardzo jej pomógł, a także zaśpiewać mu nową piosenkę, którą skomponowała dla Scathacha. Nigdzie go jednak nie widziała. Zbiło ją to z tropu i zaniepokoiło.

Usiadła więc w towarzystwie Simona i kilkorga innych miejscowych dzieci na kamiennym murku otaczającym kościół, patrząc na tłumy, tańce oraz dziwaczne przedstawienie kukielkowe znane jako *Zwariowana sztuka*, a także, rzecz jasna, na przeganianie bydła przez wiejskie błonia. Lubiła się temu przyglądać. Gdy spokojne zwierzęta zmuszano do przejścia między dwoma ogniskami, bardzo często dochodziło do tego, że któreś z nich dostawało szau i wpadało między widzów, siejąc spustoszenie. Właśnie takie ekscytujące, niebezpieczne chwile sprawiały, że festyn był ciekawy. Zdarzały się jednak rzadko.

Wydawało się, że popołudnie ciągnie się bez końca. Połowa wołu spiekła się na czarno nad ogniskiem z węgla drzewnego, nim wreszcie pokrojono ją na plasterki aż do różowych kości. Wyścigi i turnieje przeplatały się z tańcami, lecz Tallis wciąż siedziała na murku jako bierna obserwatorka. Dopiero gdy zaczęli tańczyć *Ludzie z Shadox*, opuściła niewygodne miejsce na kościelnym ogrodzeniu i poszła przyjrzeć się im z bliska. Simon podążył za nią.

– Kiedy będę starszy, też zostanę *Człowiekiem z Shadox* – oznajmił. Gdy przyglądał się grupie miejscowych tańczących morrisa, w jego oczach pojawił się błysk. – Będę Żelazem!

Wpatrywał się w srebrzyste ostrze przyszyte na piersi tancerza.

Każdy z mężczyzn nosił inny emblemat i był znany pod jego nazwą. Tallis znała je na pamięć: pióro, żelazo, dzwonek, sowa – ten tancerz nosił na szyi wypchaną głowę sowy – dąb, głóg, bluszcz, kamień, kość i ich lider, ogień. Ten ostatni miał powleczonej dziegciem pochodnię, którą miano zapalić o dziewiątej, by wykorzystać ją w najistotniejszej z wszystkich ceremonii. Kość, najwyższy i najsilniej zbudowany z grupy tancerzy, zatknął za pas wielki kościany róg.

– Jeśli zostaniesz Żelazem, nie będziesz już moim przyjacielem – powiedziała cicho Tallis. Simon spojrzał na nią, marszcząc brwi, zignorowała go jednak.

Ludzie z Shadox wykonali cztery tańce, nim ustąpili miejsca jednej z zaproszonych ekip. Żaden z występów nie wyróżniał się niczym szczególnym. Mężczyźni tańczyli w dwóch pięcioosobowych szeregach, udając, że walczą ze sobą. W jednej ręce trzymali leszczynowe różgi, na drugie ramię zaś założyli sobie małe tarcze, które na koniec zdjęli i rzucili w tłum. Osobę, która złapała tarczę „ognia”, ścigano przez tłum tańczących w rytm coraz szybszego śpiewu: „Do lasu i z lasu i do lasu i z lasu...”, aż wreszcie chwytano ją i podnoszono z krzykiem: „otarta od więzów i pchnięta sztyletem, umarłaby, gdyby mogła!”

Tę tarczę zawsze rzucano młodej kobiecie. Tallis była świadoma złowieszczych konotacji owego wytworu ludowej wyobraźni.

O zmierzchu przyszli po nią rodzice, którzy po południu pomagali w urządzeniu kilku dodatkowych atrakcji, a teraz wybierali się już na kolację. Tallis postanowiła zostać w wiosce. Powiedziano jej, żeby trzymała się blisko Simona. Zgodziła się, lecz gdy tylko Keetonowie zniknęli z wioskowego placu, chłopak gdzieś pobiegł, zostawiając ją samą.

Tym razem jednak, wpatrując się w skłębiony tłum dorosłych, dostrzegła wysokiego mężczyznę znad Potoku Łowcy. Zauważyła jego białe włosy, gdy szedł drogą biegnącą za błoniami. Otoczony tłumem, posuwał się

powoli ku miejscu znajdującemu się po drugiej stronie drogi, zwróconemu ku łące. Tam właśnie miał być wykonany ostatni taniec – Taniec Cieni.

Była już dziewiąta i zaczynały się właściwe uroczystości. Niebo było jeszcze dość jasne, lecz dogasające iskierki bijące z ogniska, na którym pieczono wołu, wydawały się coraz jaskrawsze. Włączono też dwa reflektory, by oświetlić szary mur kościoła z jego ciemnymi oknami. W panującej w wiosce atmosferze zaszła dostrzegalna zmiana. Ludzie stali się cichsi. Powietrze wibrowało od narastającego podniecenia.

Tallis przeciskała się, szurając nogami, przez tłum, aż wreszcie dotarła do położonego blisko drogi miejsca, gdzie przed chwilą widziała pana Williamsa. Znalazła go siedzącego na brezentowym krześle między dwoma staruszkami z wioski. Wokół stało jeszcze czterech innych. Pomyślała, że wszyscy farmerzy wyglądają tak samo, począwszy od zabłoconych butów i workowatych, starych flanelowych spodni, aż po luźne tweedowe marynarki wiszące na ramionach. Skryte pod czapkami włosy mieli ostrzyżone nad uszami, przez co między ciemnym nakryciem głowy a opaloną twarzą lśniła biała skóra. Niektórych znała z nazwiska: Pott'nfer, Chisby, Madders. Fajki tliły się, a cienkie papierosy paliły między stwardniałymi, pożółkłymi palcami. Mówili powoli, lecz w silnie akcentowanym dialekcie używanym przez Gaunta, więc Tallis trudno było ich zrozumieć, mimo że sama była miejscowa. Wydawało się jednak, że pan Williams, który śmiał się głośno i przemawiał swym cichym szeptem, pojmuje każde słowo.

Wszyscy byli zwrócenii twarzami ku ulicy, gdzie ustawiano już w szeregu nie zapalone pochodnie gotowe do „biegu ognia”. Sztafetę miał rozpocząć lider *Ludzi z Shadox*, przytykając żagiew do węgielków tłących się na błoniach ognisk. Następnie miał obieć wokół plac i granice wioski, zapalając po drodze wszystkich pięćdziesiąt pochodni. Na koniec całą osadę otoczy podwójna ściana ognia.

Jeśli wszystkie żagwie nadal będą płonęły w chwili, gdy przywódca przybiegnie pod rosnący na błoniach wielki dąb, wieś będzie bezpieczna przed samym Złym!

Tallis stanęła za szerokimi ramionami pana Williamsa, marszcząc nos na skutek ciężkiego odoru tytoniu bijącego od fajki najbliższego z jego towarzyszy.

- Każdego roku biegnie coraz szybciej – warknął ów wieśniak.
- Starzejemy się – zauważył pan Williams. – Tak nam się tylko wydaje.
- Ale w minionych dniach pochodnie często gasły, nim ukończono krąg
- mruknął palący fajkę. – Wtedy był pechowy rok.
- Nigdy nie zaszkodzi lepsza jakość pochodni – stwierdził pan Williams, chichocząc z przekąsem. Wszyscy farmerzy wybuchnęli śmiechem.
- Ale stara pochodnia ma magiczne właściwości – odezwała się cicho Tallis za jego plecami.

Pan Williams odwrócił się raptownie na krześle, marszcząc brwi. Sapał ciężko. Jego ubranie przesiąknęło wonią tytoniu i piwa, choć sam nie trzymał w ręku papierosa ani szklanki. Tallis pomyślała, że twarz ma bardzo bladą, lecz jego oczy zaśniły z radości, kiedy rozpoznał dziewczynkę.

- Naprawdę? A nowa? Nie ma żadnych?
- Tylko nowa piosenka – odrzekła Tallis. – Sam pan tak powiedział. Dziś rano.
- Tak – przyznał z zadowoleniem. – Wiem, że powiedziałem.
- Dopisało panu szczęście?
- Skrzywił twarz.
- Jeśli chodzi ci o to, czy usłyszałem nową piosenkę...
- Wyglądał na przygnębionego. Potrząsnął głową.
- Kilka dobrych wersji starych. Nic, co pochodziłoby z nieznanymi archiwów.
- I tej zapomnianej piosenki też nie?

- Nie. Niestety.
- Mam jedną dla pana – oznajmiła radośnie.
- Naprawdę?

Tłum wydał z siebie głośny okrzyk. Lider *Ludzi z Shadox* wepchnął swoją pochodnię w dogasające ognisko. Rozpaliła się gwałtownie w zapadającym mroku. Następnie popędził przez błonia do bramy kościoła i zapalił drugą. Młody mężczyzna obiegł wkoło środka wioski. Każda z żagwi przeradzała się w gorejące światło, a jedno z nich powiewało na wietrze, unoszone przez biegnącego. Ktoś przemknął obok grupy siedzących na krzesłach starych mężczyzn. Płomień ciągnął się za nim w nieruchomym powietrzu, wypełniając noc wonią smoły. Za biegnącym podążały dzieci, a za nimi dwa psy. Harmider szerzył się od środka wioski ku jej obwodowi, gdzie czaiły się demony.

Przez kilka minut panował spokój, choć miejscowi tancerze klaskali w dłonie i wyśpiewywali prosty refren (brzmiący „biegnij, pochodnio, biegnij”). Pan Williams znowu się odwrócił, oparł wygodnie na krześle i wpatrzył w dziewczynkę.

Wszyscy starszycy gapili się na nią, jeden czy dwóch z uśmiechem. Poczuli się nieco wystraszeni ich rozbawionymi, dobrotliwymi, lecz jednocześnie skupionymi spojrzeniami.

- No więc, czekamy – powiedział pan Williams.

Tallis zaczerpnęła głęboko tchu i swym najlepszym głosem zaśpiewała piosenkę dla Scathacha.

*W Krainie Ptasich Duchów plonie ogień
W Krainie Ptasich Duchów leży mój
miody ukochany...*

Brzmiało to melancholijnie i łyzy pojawiły się natychmiast, gdyż wspomnienia i charakter piosenki rozbudziły namiętności w młodym sercu dziewczynki.

– To jest *Kapitański uczeń*... – zauważył jeden z farmerów.

– Psst! – uciszył go pan Williams.

Tallis, która zawahała się, gdy jej przerwano, śpiewała dalej.

*W Krainie Ptasich Duchów sroży się burza,
Rozgonię czarne padlinożerne ptaki...*

Skończyła piosenkę, ale nie zaśpiewała jej jak należy. Słowa się zmieniły i melodia też. Rankiem brzmiała doskonale, ale teraz, w innej sytuacji, miała wrażenie, że coś przekręciła.

Popatrzyła na pana Williamsa, który potrzebował chwili, by zdać sobie sprawę, że już skończyła.

– To bardzo ładne – powiedział. – Masz ładny głos. Bardzo ładny.

– Czy to nowa piosenka? – zapytała z napięciem Tallis. – Czy ma magiczne właściwości?

Pan Williams zawahał się ze skrepowaniem, nim odpowiedział: – Jest naprawdę piękna. Ma najdziwniejsze słowa, jakie słyszałem w życiu. Naprawdę piękna. Chciałbym ją zapisać, jeśli pozwolisz.

– Ale czy to nowa piosenka?

– Hm...

Wbiła w niego wzrok. Jego twarz powiedziała jej wszystko.

– Stara? – powiedziała ze smutkiem.

– Stara – zgodził się z sympatią w głosie.

– Ale ułożyłam ją dopiero dziś rano.

Pochylił się nad nią. Pomyślała, że jest pod wrażeniem.

– W takim razie to i tak imponujące osiągnięcie.

Była zbита z tropu, smutna i lekko poirytowana.

– Nie rozumiem... Ułożyłam słowa. Naprawdę je ułożyłam!

Pan Williams przyglądał się jej w zamyśleniu.

– Bardzo dziwne słowa... – wyszeptał. – Bardzo dziwny umysł... – Zaczerpnął tchu i westchnął. – Ale niestety... melodia, którą wykorzystałaś,

trochę za bardzo... jak mam to ująć... trochę za bardzo przypomina inną.

– To ta sama cholerna melodia – wtrącił jeden ze staruszków. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

Pan Williams zignorował ich. Podzielił się z Tallis swym lekceważeniem, obdarzając ją najbledszym cieniem uśmiechu.

– Nazywają ją – przynajmniej w jednej postaci – *Kapitański uczeń*. Sam ją kiedyś wykorzystałem w pewnym utworze muzycznym. Moja muzyka nie była taka ładna jak twoja. Za dużo skrzypiec. Ale to bardzo stara melodia.

– Usłyszałam ją na Łące Smutnej Pieśni – wyjaśniła Tallis. – Nie było tam nikogo, więc pomyślałam, że mogę ją wykorzystać. Nie chciałam jej ukraść.

Pan Williams wbił w nią wzrok.

– Usłyszałaś ją po raz pierwszy... gdzie ją usłyszałaś?

– Na Łące Smutnej Pieśni. To niedaleko od mojej farmy. Naprawdę nazywa się Pniaki. Ale kiedy miałam dziewięć lat, zaczęłam słyszeć śpiew. Nie boję się. Dziadek powiedział, żebym się nie bała, więc się nie boję.

Zmarszczyła brwi.

– Naprawdę nie chciałam jej ukraść.

Pan Williams potrząsnął głową i podrapał się nerwowo w brodę.

– Dlaczego by nie? One po to są. Melodie należą do wszystkich. Tak samo jak opowieści.

– Nie ukradłam słów – zapewniła cicho dziewczynka.

– Wiem o tym. Słowa zawsze są osobiste, nawet tak dziwne jak te twoje!

Uśmiechnął się.

– Twój „młody ukochany” w tej „krainie ptasich duchów” to prawdziwy szczęściarz. Czy chodzi z tobą do szkoły?

Staruszkowie ponownie wybuchnęli śmiechem. Tallis podniosła ku nim wzrok. Nie podobała jej się myśl, że z niej drwią. Pan Williams wyglądał na skruszonego, ale nie powiedział nic. Postanowiła mu wybaczyć.

– Nazywa się Scathach.

– Piosenka była bardzo smutna – zauważył pan Williams. – Z jakiego powodu?

Przez chwilę Tallis nie była skłonna mówić o tym, co wydarzyło się na łące Stretley Stones. Jednakże życzliwy wyraz oczu przyjaciela oraz lekkie, wyrażające niepokój zmarszczenie brwi przewyciężyły na koniec jej ostrożność. Choć zaśpiewała dla Scathacha, nie podzieliła się jeszcze z nikim brzemieniem swego żalu i teraz, powstrzymując łzy, pozwoliła, by wypłynęły z niej słowa i uczucia.

– Odszedł ode mnie – powiedziała. – Nie wiem, na jak długo. Widziałam go u podstawy dębu. To jest wydrążenie. To znaczy ten dąb. Miejsce wizji. No wie pan, można stamtąd zobaczyć drugi świat. To oczywiście znaczy, że on nie należy do naszego świata. Był bardzo ciężko ranny. Musiał żyć setki lat temu. Wrony próbowały go zadziobać, ale je przepędziłam. Uczyniłam z tego miejsca Krainę Ptasich Duchów i to je rozgniewało. Potem jednak przyszły jędze. Nie sądzę, żeby to były te zamaskowane, zakapturzone postacie, które kręcą się po lesie. Tamte to mitotwory. Te staruchy były częścią wizji. Przyszły i zabrały go na okropnym wozie, do którego wcześniej poprzywiązywały wszystkie głowy i kończyny. Myślałam, że chcą go poćwiartować, ale okazało się, że są do niego przyjaźnie usposobione. Spaliły jego ciało na stosie. Ducha oczywiście nie spaliły. Wydostał się przez własne wydrążenie i będę mogła sprowadzić go z powrotem. Ale potem... potem przyjechała kobieta. Wypadła z lasu, cała usmarowana kredą i wrzeszcząca. Okrążyła płomień. Była bardzo podenerwowana. Zapewne był jej kochankiem, a w takim razie kim ja jestem? I czym jestem? Nie może mieć dwóch kochanek. To by nie było w porządku. Za bardzo się pograżyłam w myślach o tym i wydrążenie mi umknęło. Teraz to znowu jest tylko drzewo. Ale poczułam, że muszę zaśpiewać dla Scathacha piosenkę, żeby mu powiedzieć, że naprawdę chcę któregoś dnia go pokochać, ale jestem jeszcze za młoda, żeby za nim

podążyć. Zresztą w lesie jest mój brat, Harry, i obiecałam, że jego też poszukam. Nie mogę jednak szukać ich obu i naprawdę nie wiem, w którą stronę się zwrócić...

Otarła oczy i zaczerpnęła głęboko tchu, spoglądając na pana Williamsa, który siedział w absolutnym milczeniu z zakłopotaniem na twarzy. Otaczający go farmerzy gapili się na nią zdumieni.

Wreszcie, unosząc leciutko brwi, pan Williams zaczerpnął tchu i powiedział: – No tak. To z pewnością wszystko wyjaśnia...

Zgromadzony tłum wydał głośny okrzyk. Ogień z Shadox wpadł z powrotem na centralne błonia i podbiegł do dębu, gdzie wciąż się paliła pierwsza pochodnia, trzymana przez Głoga z Shadox. Obaj tańczący morrisa zetknęli żagwie nad swymi głowami. Słaby ogień rozjarzył się na chwilę. Odnowa, osłona, była ukończona.

Gdy ucichł aplauz i radosne okrzyki, pan Williams mrugnął do Tallis, która odzyskała już panowanie nad sobą, po czym klepnął dłońmi w kolana.

– A więc gotowe. Zabezpieczyliśmy się przed diabłem na następny rok – powiedział.

Tallis uśmiechnęła się. Kilku staruszków zachichotało, lecz Judd Pott'ner wzruszył tylko ramionami.

– Ostrożność nigdy nie zawadzi – rzekł. Tallis zauważyła, że pan Williams zawstydział się nagle i zamyślił głęboko nad tym prostym stwierdzeniem.

– Ale najlepsze jeszcze przed nami – ciągnął stary wieśniak o skwaszonej twarzy. – Taniec Cieni. Wykonywaliśmy go, nim jeszcze osadzie nadano nazwę.

Tallis wbiła w niego wzrok. To, co powiedział, po prostu nie mogło być prawdą.

– Ale Shadox to jej najstarsza nazwa – sprzeciwiła się. – Nie ma nic starszego niż Shadox...

– To jest najstarszy taniec w okolicy – odparł Pott'nfer, nie spoglądając na nią. – Jest starszy niż Ludzie ze Stretley. Starszy niż wszystko.

– W takim razie musi być starszy niż historia – szepnęła Tallis, wpatrując się w białe pasmo świeżo wygolonej skóry widoczne pod ciemną czapką z daszkiem.

– Nie można się o to spierać – odparł Pott'nfer. Jego przyjaciele roześmiali się z tego żartu dla wtajemniczonych, niezrozumiałego dla Tallis ani pana Williamsa.

– Skąd wiesz o nazwie wioski? – zapytał dziewczynkę ten ostatni.

– Mam książkę na ten temat – odparła. – O nazwach miejscowości. A nasz ogrodnik, pan Gaunt, i tak o tym wiedział. Słowo Shadox znaczy cienie, ale nie takie, jakie rzuca słońce. Cieniste miejsce. Upiorne. Księżycowy cień...

Pan Williams wyglądał na zafascynowanego.

– Odnoszę wrażenie, że z tą wioską wiąże się wyjątkowo dużo upiornych wspomnień.

– Ten taniec jest starszy niż słowa – wtrącił się Pott'nfer grubym głosem, nim Tallis zdążyła odpowiedzieć. – Lepiej usiądź spokojnie, miła panienko, i popatrz na zabawę.

Pan Williams uniósł brwi, jak gdyby chciał powiedzieć Tallis: No proszę. Mamy za swoje.

– Spotkamy się na tym polu? – wyszeptał. – Jutro? Przed śniadaniem?

Tallis z entuzjazmem skinęła głową. Staruszek odwrócił się, by popatrzeć, jak tancerze ustawiają się w szeregi, gotowi do Tańca Cieni z Shadoxhurst.

Było już dawno po zmierzchu. Zapadała noc. Kościół był skąpany w blasku reflektorów. Wszedł też księżyc. Pochodnie na błoniach paliły się jeszcze. Przyniesiono również te spoza wioski. Dogasały powoli, lecz dawały wystarczająco wiele światła, by wszystko można było zobaczyć.

– Uwielbiam ten taniec – wyszeptał pan Williams.

– Mnie on przeraża – sprzeciwiła się Tallis. – Jest niepodobny do innych.
– Dlatego właśnie tak mnie fascynuje. Taniec Rogów z Abbot's Bromley i ten Taniec Cieni wywodzą się z pradawnej tradycji. To nie są „harce szczęśliwych wieśniaków”. Pomijając być może tę szaloną gigę na końcu.

Tallis zadrżała z niepokoju na myśl o niej.

Na błoniach, obok samotnego dębu, tancerze sformowali dwa szeregi, zwrócenii do siebie twarzami. Między nimi stała wysoka kobieta o dziwnym wyglądzie opatulona od stóp do głów w czarne łachmany i odziana w prymitywnie uszyty płaszcz ze zwierzęcych skór i wełny. Twarz miała pomalowaną na biało, aż do zaniku rysów, a na głowie „koronę” z piór, słomy oraz odłamków gałązek. W jednej ręce trzymała fragment jeleniego poroża w kształcie litery L – odnogę i końcówkę – a w drugiej lnianą pętlę. Stała zupełnie bez ruchu.

Na pojedynczy, prosty dźwięk skrzypiec, melancholijną, lecz wesołą melodię, tancerze zbliżyli się do siebie i oddalili, a następnie zaczęli skakać powoli wokół samotnej kobiecej postaci stojącej pośrodku. Melodia przeszła nagle w skoczną gigę. Dziesięciu krzepkich wieśniaków usłuchało jej zewu. Skoczyli pionowo w górę, udając, że zadają sobie ciosy. Temu imponującemu podskokowi towarzyszyły wykrzyczane jednym głosem słowa: – Któryś z nas musi odejść, ale to nie będę ja!

Gdy runęli z powrotem na ziemię, jeden z nich odłączył się od grupy i pobiegł w stronę tłumu. Zostało tylko dziewięciu, potem ośmiu i tak dalej, aż wreszcie stojącą na środku figurę kobiety okrążał już tylko jeden *Człowiek z Shadox*.

– Ten kawałek podoba mi się najbardziej – szepnął pan Williams.

Tallis, która wiedziała, co się wydarzy pod koniec tańca, rozglądała się z niepokojem po tłumie. Gdzie się podzieli tancerze, którzy zeszli z pola? Gdzie byli ci, których zaproszono, *Ludzie z Pikeru*, *Ludzie z Thackeru*, *Koniki z Leicesteru* i cała reszta? Skradali się teraz wśród zgromadzonych w poszukiwaniu tych, których porwą do szalonej gigi. Tallis pragnęła

potajemnie, by wyciągnięto ją na błonia do tańca, w rzeczywistości jednak czuła się zawstydzona i przestraszona na tę myśl.

Nie dostrzegąca żadnego poruszenia za swymi plecami.

Na błoniach ostatni z tancerzy – Kość z Shadox – wyciągnął zza pasa róg i zaczął na nim grać, w odległości zaledwie kilku cali od nieruchomej kobiety, jak gdyby chciał rzucić jej wyzwanie... lub ją przywołać. Głęboki, niesamowity zew brzmiał przez pełne sześćdziesiąt sekund. Audytorium przyglądało się z zapartym tchem.

Nagle figura zadrżała. Spod jej spódniczek wypadła dziewczyna o twarzy pomalowanej jednolicie na zielono, odziana w zielono-czerwoną bluzkę. Tłum krzyknął głośno. Dźwięk rogu ucichł. Dziewczyna wzięła z rąk manekina motykę z jeleniego poroża oraz pętlę, po czym „uderzyła” *Człowieka z Shadox* i „powiesiła” go. Każdej z tych czynności towarzyszył głośny ryk aprobaty. Następnie akordeon zaczął grać wesołą, rytmiczną, szaloną gigę.

Tłum rozstąpił się i ośmiu z dziewięciu tancerzy, którzy „zaginęli”, a także wszyscy zaproszeni, wpadli z powrotem na błonia, każdy z wyrwijącą się, szarpiącą „ofiara”. Byli nimi zarówno mężczyźni, jak i kobiety, czasem dzieci, częściej dorośli.

Tallis roześmiała się radośnie na widok protestujących widzów, lecz jej śmiech przerodził się w krzyk, kiedy dwie silne dłonie dźwignęły ją z ziemi i poniosły przez grupę staruszków na plac taneczny.

– Nie! – wrzasnęła Tallis. – Panie Williams!

Pan Williams jednak roześmiał się tylko pogodnie.

Kto ją złapał? Który z *Ludzi z Shadox*? Musi się dowiedzieć! Musi się dowiedzieć!

Zakręcono nią oszłamiająco, wepchnięto w tłum tańczących, a potem wyciągnięto z powrotem. Odnosiła wrażenie, że trzymający ją mężczyzna wiruje przed jej twarzą – plama bieli i barwy, przelotny zapach kwiatów zdobiących jego pas, nagły brzęk dzwoneczków przywiązanych do

nadgarstków. Próbowała dostrzec jego oblicze, ale widziała tylko pomarańczową brodę. Szukała jego symbolu...

Sowa? Kamień? Żelazo? Pióro? Który? Który?

Wreszcie zobaczyła przytwierdzoną do piersi gałązkę z pięcioma czerwonymi jagodami.

A więc był to Głóg. Głóg.

Przyjacieli.

Przemknął przed nią Dąb. Silny jak drzewo mężczyzna o gęstej brodzie uśmiechnął się do niej. Dzwonek zakręcił nią wkoło. Zawieszony na jego szyi symbol zadźwięczał charakterystycznym, głuchym tonem. Ujęła się za dłonie z innymi i pomknęła po spirali pod łukami ramion, przez tunele zgiętych wpool ciał, zagłębiając się między podskakujące postacie tańczących morrisa i wynurzając spomiędzy nich.

Ramiona w górę, ramiona w dół, porywający chór wykrzykujący bezsensowne słowa (riggery, jiggery, hoggery, huggery) i znowu wkoło, uwięziona w wirze ciał. Podniosła wzrok i ujrzała bladą twarz kościelnego zegara. Nocne niebo pełne było iskier bijących z ognisk roznieconych na nowo przez nogi uczestników szalonego tańca.

Zbliżyła się do rozszczepionego dębu na błoniach. Przemykając obok niego, dostrzegła wyłaniające się z pustego pnia białe ptaki. Była to chwila trwogi. Coś okrążyło jej głowę z łopotem skrzydeł. Obejrzała się...

Drzewo zadygotało i pochyliło się ku niej.

Coś wznosiło się w jego wnętrzu... coś upiornego...

Tallis porwały w powietrze silne ramiona. Po chwili znowu znalazła się na ziemi, szarpana i kręcona przez ochrypłych tancerzy. Roześmiała się, a potem potknęła.

Upadła na zimną ziemię. Jej dłoń, dotykająca murawy w miejscu, gdzie wydeptano ją aż do gleby, zabrudziła się. Silne ramię podniosło ją gwałtownym ruchem. Podniosła wzrok. Gdy ujrzała na piersi mężczyzny sówią głowę, na moment ogarnęła ją panika. Ktoś inny złapał ją i podrzucił.

Ujrzała blade oblicze Pióra ze sterczącymi ptasimi skrzydłami na kapeluszu. Muzyka ucichła. Wir ciał i krzyki uczestników festynu stały się odległe, mimo że wszyscy miotali się wokół niej. Słyszała jedynie zew ptactwa, podniesione głosy, skrzeczenie, pohukiwanie, szczebiotanie wszystkich ptaków świata. Czuła ich skrzydła, ruch powietrza, widziała, jak przesłaniają nocne niebo, krążąc nad nią.

Złapał ją Sowa, który rzucił ją do Pióra. Stał między nimi Żelazo. Jego ponura twarz była szara, a metalowe ostrze lśniło w blasku pochodni.

Wyciągnął gwałtownie rękę i uderzył ją boleśnie w twarz. Zatoczyła się. Druga ręka, drugi cios. To był sen. Krąg tancerzy przerodził się w mroczne cienie majaczące na tle jasnej ściany ognia. Pochodnie płonęły zbyt jasno, zbyt wysoko, zbyt gwałtownie, by mogły być rzeczywiste.

Ptaki szydziły z niej. Uderzenia w twarz, uderzenia skrzydeł, uderzenia palców, oślepiły ją łzami.

– Pomóżcie mi! – krzyknęła. – Wypuście mnie!

Raniły ją ptasie dzioby. Mężczyzna w białej szacie w jakiś sposób stał się wyższy. Jego twarz wyciągnęła się w dziób, a oczy zaśniły jasno. Było ich teraz więcej – same ptaki o ciałach spowitych w pióra i najeżonych włosach. Ich taneczne ruchy były krótkimi, urywanymi poruszeniami wron.

Wśród nich kroczyła wysoka postać, straszliwa dla oka i przerażająca dla ucha, gdy otworzyła długi dziób i wydała z siebie krzyk gniewu. Wyglądała jak stworzenie na wysokich szczytach: chude ciało, cienkie nogi, niewiarygodny wzrost, którym dwukrotnie przewyższała postawnego mężczyznę. Jej dziób miał od czubka do nasady długość ludzkiej ręki. Kiedy kroczyła sztywno wokół kręgu, cały czas obserwując Tallis, na jej szyi podskakiwała korona z długich piór. Nagle rzuciła się na dziewczynkę, nisko pochylona. Uderzyła dziobem w jej kierunku, lecz zatrzymała się nagle, gdy Tallis krzyknęła. Przyglądające się jej połyskliwe oczy były ludzkie, choć pozostałe części głowy należały do czapli.

Istota wzbiła się w górę, pomknęła w noc pełna gracji, nieruchoma, z wyciągniętymi skrzydłami. Zniknęła w mroku niesiona jakimś wiatrem, którego Tallis nie czuła. Muzyka zagrzmiała, tancerze wybuchnęli śmiechem, wszyscy padli wyczerpani na trawę, giga się skończyła.

Tallis stała bez ruchu. Drżała, obserwując *Ludzi z Shadox*. Ujrzała, że Sowa i Pióro to zwyczajni mężczyźni, śmiejący się razem z pozostałymi, ściągający z ramion ciasne uprząże, by dać odpocząć zmęczonym mięśniom. Tallis spojrzała w górę, gdzie lśniło kilka gwiazd. Nic tam się nie poruszało.

Sen? Wizja? Czy nikt oprócz niej nie widział kroczącego sztywno ptaka? Czy nikt nie zauważył, jak Pióro bił ją po twarzy?

Wizja. Brutalny pogłos wydrążenia sprzed kilku dni. To było jedyne wytłumaczenie.

Zobaczyła leżący na ziemi kawałek poroża, upuszczony tam podczas szaleństw. Pochyliła się, by go podnieść, lecz czyjaś ręka złapała go wcześniej. Podniosła wzrok i ujrzała pomalowaną na zielono dziewczynę, która przycisnęła kość do piersi i cofała się z głupkowskim uśmiechem na twarzy. Potem odwróciła się i uciekła, znikając w rozchodzącym się tłumie.

Tallis wróciła do domu w bardzo ponurym nastroju.

CUNHAVAL

Las Kości

Prawie cały poranek następnego dnia letnia burza zmuszała przygnębioną Tallis do siedzenia w pokoju i przyglądania się ogarniającej okolicę ciemności. W tym czasie ujrzała też jednak dwóch jeźdźców cwałujących przez odległe pole i wjeżdżających na zbocze grani Morndun. Nie dostrzegła więcej szczegółów. Również jej umysł był aktywny. Gdy przeżywała na nowo przerażający epizod wczorajszego wieczoru, nagle zrozumiała, co się wydarzyło. Stworzyła wydrążenie, aczkolwiek mimowolnie. Przedostały się przez nie mściwe duchy ptaków, które na moment zawładnęły tańcem. Poczowała natychmiast zarówno ulgę, jak i żal. Zapragnęła wrócić na błonia Shadoxhurst.

Kiedy przestało padać, nałożyła płaszcz i powiedziała rodzicom, co chce zrobić. W normalnej sytuacji poszłaby do Shadoxhurst ścieżką do konnej jazdy przechodzącą przez farmę Keetonów. Taka wędrówka nie obchodziłaby nikogo poza nią. Jednakże ten wyboisty szlak na pewno pokrywało teraz błoto. Będzie musiała pójść drogą. James Keeton nalegał, żeby zawsze informowała rodziców, gdy zamierzała chodzić wiejskimi drogami.

Dotarła do wioski po dziesięciu minutach. Podeszła prosto do rozszczepionego dębu i stanęła na jego najbardziej odsłoniętym korzeniu.

– Wiem, że jesteś starym drzewem – powiedziała do niego. – Ale jesteś dębem. Myślałam, że wszystkie dęby to moi przyjaciele. Tak jak Silny wobec Burzy, który pomógł mi zobaczyć Scathacha. Myślałam, że

wszystkie dęby są po mojej stronie. Dlatego byłam wczoraj zła, kiedy wydawało mi się, że pomogłeś ptasim duchom.

Pochyliła się i przebiegła palcami po prążkowanej korze, przyciskając dłoń do drzewa, żeby ciepło jej ciała mogło przeniknąć do wnętrza.

– Ale to nie była twoja wina! Rozumiem to. Dowiedziałam się tego dziś rano. Wykorzystano cię, to wszystko. To nie była twoja wina. Jesteś częścią lasu. Choć jesteś tak daleko, nadal pozostajesz jego częścią. Znam już twoje imię. Jesteś Osamotniony. Wykorzystano cię i nie powinnam była się na ciebie gniewać...

Kącikiem oka zauważyła pastora, który stał bez marynarki w otwartych drzwiach kościoła, przyglądając się jej podejrzliwie. Pomachała do niego ręką, oddaliła się od drzewa i ruszyła wzdłuż potężnego, odsłoniętego korzenia, który wiódł w stronę jej farmy i leżącego dalej lasu Ryhope.

Niemal na pewno miała rację. Życie drzewa sięgało aż do starej, mrocznej puszczy. Potrafiła sobie wyobrazić, jak korzeń ciągnie się przez jakąś milę, by połączyć się ze skrajem kniei na terenie majątku. Być może to wątle połączenie między samotnym poszukiwaczem przygód, który zapuścił się do świata będącego królestwem cegły i smołowanej nawierzchni, a mrocznym, wilgotnym światem jego narodzin istniało zawsze.

Na poboczu zatrzymał się samochód, który zatrałił dwukrotnie, wyrywając Tallis z kontemplacyjnego nastroju. Przez tylne drzwi wygramolił się pan Williams, który wszedł na błonia. Dziewczynka zakryła usta dłonią. Czuła się bardzo winna i straszliwie zawstydzona. Uśmiechnął się do niej przelotnie, po czym podszedł ciężkim krokiem, zapinając marynarkę, by się uchronić przed chłodem letniego popołudnia.

– Całe szczęście, że zapomniałem – powiedział, gdy znalazł się obok niej. Tallis pomyślała, że jego głos brzmi trochę zjadliwie.

– Zapomniał pan? – zapytała.

– Że mieliśmy się spotkać.

– Ja też zapomniałam. Ale przynajmniej nie zmokliśmy.

Przez jego twarz przemknął cień irytacji. Wydawało się, że ma zamiar coś powiedzieć, potem jednak zmienił zdanie.

– Nie – przyznał. – Nie zmokliśmy, nieprawdaż? A niech tam. Podobały ci się tańce? – dodał weselszym tonem.

– Niespecjalnie.

– Wydawało się, że świetnie się bawiłaś, kiedy kręcili tobą ci krzepcy młodzieńcy. Poczułem się zmęczony i chciałem pomyśleć o twojej dziwnej piosence, więc wróciłem do dworu.

Rozejrzał się po błoniach. Popatrzył na zdeptaną murawę i porozrzucane śmieci, a potem na drzewo i Tallis.

– Twoje oczy mają dziwny wyraz – zauważył, marszcząc brwi. – Wiele mówiący. Coś się dzieje. Coś się wydarzyło. Czy możesz mi o tym opowiedzieć?

– Stare Zakazane Miejsce – odrzekła Tallis.

– Słucham?

– Stare Zakazane Miejsce – powtórzyła. – Nie znam jeszcze jego prawdziwej nazwy. Ono leży w innym świecie. Mój brat, Harry, tam zaginął. Jestem tego pewna. Widywałam je przelotnie. I ktoś – nie Harry – przyszedł z tego zakazanego miejsca na skraj lasu. Nocą opracowałam dalszy fragment opowieści, ale nadal nie ogarniam całości. Nie wiem też, jakie miejsce zajmuje w tym Harry...

Pan Williams uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz – stwierdził po chwili. – Ale podoba mi się brzmienie: Stare Zakazane Miejsce. Tak, to ma swój ton. Tajemniczy. Nieznany.

– Tak jest. Zupełnie nieznany.

Nachylił się nad nią.

– Czy ważysz się, o duszo, pójść ze mną na obszar nieznany – powiedział cicho. – Wszystko przed nami jest czyste, wszystko czeka

niewyśnione w owym obszarze, owej niedostępnej krainie.

– Tak – odparła Tallis z drzeniem. – Tak, odwagę się.

Wydawało się, że pan Williams zapomniał na chwilę języka w gębie. Potem zachichotał.

– To fragment poematu Walta Whitmana. Przypomniała mi go twoja dziwna nazwa.

– Och.

– Twoje miejsce, twoje zakazane miejsce... musiało istnieć już dawno temu. Bardzo dawno temu.

– Dawniej niż sięga pamięć – zgodziła się Tallis. – Ale nie może już pan wypowiadać jego nazwy, dopóki nie poznamy prawdziwej. Powiedziałam ją już dwa razy, a pan raz.

Pan Williams z rozbawieniem skinął głową na znak zgody, po czym popatrzył na dąb, na Osamotnionego.

– To wspaniały, stary okaz. Ma jak nic trzysta lat. Czy sądzisz, że sięga korzeniami w głąb ziemi? Nawet do twojego zakazanego, tajemnego miejsca?

– To jest Osamotniony – wyjaśniła Tallis. – Jego nazwa przyszła do mnie przed chwilą. Wtedy zrozumiałam, czym jest. To wcale nie jest samotnie rosnące drzewo. Stanowi część lasu.

– Część lasu? Jakiego lasu?

– Lasu Ryhope – odpowiedziała dziewczynka. – Wczoraj pan po nim chodził.

– To mila stąd albo i więcej...

– Ale to drzewo jest jego częścią. Zapewne zawsze nią było. Powie to panu jego korzeń...

Pan Williams podążył wzrokiem za jej szybkim gestem od błoni aż po drogę, gdzie można było dostrzec korzeń wyłaniający się ponad darnią. Tallis mówiła dalej: – Jeśli stanę w tym miejscu... – okrążyła dąb i zatrzymała się po jego drugiej stronie – znajdę się na zewnątrz lasu. Ale

kiedy obejdę pień wkoło... o tak... wkroczę do jego wnętrza. Granicę puszczy stanowi najdalej wysunięte drzewo, bez względu na to, jak daleko leży od właściwego lasu. Dzięki temu w nocy mogły przyjść do mnie ptasie duchy.

– Ptasie duchy? – zapytał słabym głosem pan Williams.

– Mitotwory. Zaatakowały mnie. Stworzyłam bramę, przez którą przeszły. Nie wiem, czy je również stworzyłam. Ale to z pewnością były mitotwory.

– Mitotwory?

– Zaatakowały mnie. Myślałam, że dąb jest moim wrogiem, ale drzewa nie mogą nic poradzić na to, jak się je wykorzystuje. To z nich zawsze przychodzą mitotwory. Ptaki zjawiły się, by ukarać mnie za to, że odegnałam je od Scathacha. Opowiadałam już panu wczoraj. Zrobiłam z pola, na którym leżał ranny, magiczne, tajemne miejsce. Żaden ptak nie mógł się na nie dostać, chyba że jako duch. Ptasie duch. Z jakiegoś powodu wywołało to ich gniew. Bardzo się na mnie gniewają.

Po chwili pełnego kontemplacji myślenia staruszek roześmiał się.

– To zabawa, prawda?

– Nie – zaprzeczyła zdumiona Tallis. – To nie zabawa.

Zmarszczył brwi.

– A więc naprawdę władasz magią?

– Prostą. Ale to wystarczy, żeby przegonić ptaki.

– Opowiesz mi o tym więcej? O Starym Zakazanym Miejscu?

Uniosła palec do ust.

– Niech pan już nie wypowiada tej nazwy. To przynosi pecha.

– Ale czy opowiesz?

– Nie znam całej historii. Mogę panu opowiedzieć tylko jej część.

– Niech będzie.

Tallis zastanowiła się intensywnie.

– Jutro – powiedziała. Podniosła wzrok ku Osamotnionemu. – Wciąż się czegoś dowiaduję. Jutro będę wiedzieć na ten temat trochę więcej.

– Jutro... – powtórzył pan Williams. Podjął decyzję i podszedł do samochodu, by porozmawiać przez chwilę z szoferem. Wóz odjechał. Gdy pan Williams wrócił do Tallis, uśmiechał się. – Postanowiłem zostać. Bardzo chciałbym usłyszeć twoją historię. Mam przystąpić do końcowej pracy nad utworem muzycznym i potrzebna mi inspiracja. Jeśli nie mogę znaleźć oryginalnych piosenek... – rozpromienił się, spoglądając na jasnowłosą dziewczynkę – może mi się uda wysłuchać oryginalnej opowieści.

– Znam ich bardzo dużo – stwierdziła Tallis. – Czy chciałby pan usłyszeć całą historię Krainy Ptasich Duchów?

Stary w zamyśleniu skinął głową.

– Wolałbym jednak najpierw dowiedzieć się czegoś na twój temat. Opowiedz mi o sobie podczas spaceru. A potem znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli wypić filiżankę herbaty...

Po chwili dotarli na łąkę Stretley Stones, brodząc przez wilgotną trawę ku zwalonym głazom. Słońce wyszło i znowu zrobiło się ciepło. Tallis pokazała panu Williamsowi ogamiczne znaki i wyjaśniła, co, jej zdaniem, mówią. Pozwoliła mu stanąć pod dębem w miejscu, gdzie leżał bezradnie Scathach. Staruszek zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie tę scenę.

Kiedy usiedli na kamieniu Scathacha, Tallis poczuła się smutna. Pan Williams zauważył to. Okazał jej uprzejmość i szacunek, zachowując ciszę. Gdy smutek minął, opowiedziała mu historię. Przez cały czas słuchał urzeczony i milczący, a kiedy skończyła, nadal się w nią wpatrywał, potrząsając lekko głową.

– To dobra opowieść.

– To prawdziwa opowieść – odparła. – Wydarzyła się tutaj. Wydarzyła się mnie.

– Jakże mroczny i posępny świat malujesz. Kraina Ptasich Duchów robi wrażenie przerażającego miejsca. Czy wierzysz, że istniała naprawdę?

– Istnieje teraz – zapewniła go. – Stworzyłam ją. A przynajmniej widziałam. To jest ona. Siedzimy w niej. To ta łąka. Ta kraina istnieje w każdym miejscu, w którym jest Scathach.

– Może dawno temu? W dalekiej przeszłości?

– W dalekiej przeszłości – zgodziła się Tallis. – Ukazano mi wizję tego miejsca, ale wtrąciłam się w to, co widziałam. Otworzyłam wydrążenie do świata Scathacha. Użyłam do tego celu własnego umysłu, ale potem zaatakowałam padlinożerne ptaki, przegoniłam je. Dlatego ptasie duchy rzuciły się na mnie wczoraj. Przybyły na skraj lasu, żeby spróbować mnie zabić, ale tańczyłam dla nich zbyt szybko...

To nie była prawda. Zadrżała, gdy przyłapała się na kłamstwie. Była bezradna w ich uścisku. Ciskały nią niczym szmacianą lalką. Z jakiegoś powodu pozwoliły jej żyć, zostawiły ją, by potknęła się w błocie i sięgnęła po fragment poroża... który jednak porwała zielona dziewczyna, duch ziemi z Tańca Cieni.

Zdała sobie sprawę, że jej przyjaciel coś do niej mówi.

– Czy to jedyny dziwny świat, jaki stworzyłaś? – zapytał. – Jedyne miejsce wizji? Wspominałaś coś o Starym Zakazanym Miejscu.

– Stare Zakazane Miejsce jest wszędzie – wyjaśniła cicho Tallis, wpatrując się w rosnący przed nią dąb. – Wszystkie wydrążenia to tylko jego części.

– Wydrążenia?

– Wizje. Więcej niż wizje... połączenia. Nie mogę jednak ich zrozumieć, tak samo jak nie mogę pojąć zakazanego miejsca. Najpierw muszę poznać jego prawdziwą nazwę.

– Ta historia z nazwami zbija mnie trochę z tropu – stwierdził pan Williams. – Kto właściwie zna tę prawdziwą nazwę?

– Ludzie, którzy tam byli, a potem wrócili. Gdyby jej nie znali, nie byłiby w stanie tego dokonać.

– Wydaje się, że znasz wszystkie zasady...

Tallis potrząsnęła głową.

– Nie znam. Nie znam też wszystkich nazw.

– Mam wrażenie, że to bardzo posępna kraina. Czy sądzisz, że przypomina podziemny świat?

– Chyba tak. Ale to świat żywych, nie zmarłych.

– Jak Avalon?

Tallis, co go pewnie zaskoczyło, zwróciła ku niemu szeroko otwarte oczy. Wyglądała na zdumioną.

– Tak... tak, to jest... – wyszeptała, marszcząc brwi. – To jest coś w tym rodzaju. Ta nazwa. Jest stara. Avalon... coś podobnego do Avalonu...

– Avalin? – podpowiedział pan Williams. – Ovilon? Uvalain?

Nakazała mu gestem milczenie.

– Wkrótce to usłyszę. Jestem tego pewna.

– Iviluna? Avonesse?

– Psst! – odezwała się zaniepokojona Tallis. Głowę wypełniały jej niosące się echemi dźwięki przypominające głos w dolinie, krzyczący do niej, na wpół zagłuszony przez wiatr. Dźwięki przychodziły i odchodziły, nazwa była tak blisko... tak blisko...

Odplynęła jednak od niej, zostawiając ją z wonią wilgotnego powietrza oraz gorącym dotykiem na policzku. Słońce zaczęło prażyć okrutnie spomiędzy przepływających chmur.

Pan Williams przyglądał się dziewczynce z niepokojem. Mijały minuty, a ona wciąż pozostawała nieruchoma, jakby pogrążona w oszołomieniu. Spoglądała na niego sennym wzrokiem. Wydawało się, że wsłuchuje się w coś bardzo odległego. W rzeczy samej, w żywopłocie coś się poruszyło. Pan Williams spojrzał w tamtą stronę i zdał sobie sprawę, że ktoś ich

obserwuje. Dostrzegł przelotnie ciemny kaptur i błysk bieli pod nim. Postać prawie natychmiast wycofała się w cień, lecz Tallis pobladła, jej twarz zeszywniała, stała się niemal stara...

– Nic ci nie jest?

– Nazwa jest jak wołanie – odparła dziewczynka. – Kiedy nadaje się czemuś nazwę, wzywa się to. Zaczynam teraz rozumieć...

– Co zaczynasz rozumieć?

Całe zachowanie Tallis uległo zmianie. Mimo upału, dygotała. Jej okropnie blada twarz stała się jeszcze bardziej wynędzniała, a jasne włosy opadające w strąkach do ramion zdawały się trząść i połyskiwać w rytm targających ciałem dziewczynki drgawek. Pan Williams poczuł, że owiewa go lekki wietrzyk. Spojrzał ku miejscu, gdzie przed zaledwie kilkunastoma sekundami stała tajemnicza postać.

Biała twarz... ruch... a potem tylko cień.

Nagle Tallis uśmiechnęła się do niego rozbijająco.

– Las Kości – powiedziała. – Tak... oczywiście... teraz to mam...

– Mów do mnie – zażądał pan Williams, niespokojny o zdrowie dziewczynki. – Co się dzieje w twoim umyśle?

– Opowieść – wyszeptała. – Myślałam o niej z przerwami już od kilku dni. Teraz przekazano mi ją w całości. Czy nie ma pan już dosyć legend?

– Nie. Jeszcze nie. Im więcej, tym lepiej.

– W takim razie niech pan wysłucha Opowieści o Lesie Kości.

– Jeszcze jeden dobry tytuł.

– To stara historia, ale nie tak stara, jak inne. W dodatku to nie jest jej pierwotna wersja.

Pan Williams wyciągnął rękę, by ująć jej dłoń.

– Ktoś ci ją opowiedział?

– Tak.

– Kiedy?

– Teraz. Przed chwilą. Czy chce pan ją usłyszeć?

Nie wiedząc czemu, poczuł lęk. Pozwolił, by dłoń Tallis wysunęła się z jego uścisku i wyprostował plecy.

– Tak, proszę cię.

Wydawała się dziwna, bardzo napięta. Jej głos brzmiał tak samo, ale słowa do niej nie pasowały. Choć oczy jej błyszczały, kiedy mówiła, a wargi się poruszały, choć przesuwała po nich językiem i oddychała w przerwach między zdaniami, stary odnosił silne wrażenie, że za pośrednictwem dziewczynki przemawia ktoś inny.

Mimo to...

Był to niepokojący moment, lecz pan Williams miał mało czasu na zastanawianie się, gdyż Tallis gestem dłoni nakazała ciszę, zamknęła oczy i otworzyła je ponownie, kierując w nicość załzawione, nieobecne spojrzenie.

– Oto opowieść o Lesie Kości – powiedziała cicho. – Kiedy wzywa się dobro, zawsze przywołuje się i zło...

Las Kości

Młoda kobieta nie narodziła się w wiosce i dlatego zmuszono ją do rozbicia obozu poza obrębem palisady. Pojawiła się na skraju lasu pewnego wiosennego dnia. Wyglądała naprawdę bardzo żałośnie. Spódnice miała długie, lecz obszarpane, jak gdyby zszyto je z fragmentów tkaniny używanej do wycierania końskiego potu. Jej bluzka była splamiona sokiem z jagód. Włosy, okrutnie splątane, były tak brudne, że tylko bystre oczy, mogły dostrzec piękny ogień ich ukrytej barwy. Była ładna, mimo że brakowało jej dwóch zębów. Niosła ze sobą – pomijając płócienny worek z prostym namiotem i przyborami – dwa skórzane woreczki.

W wiosce mieszkał młody mężczyzna, którego zwano Cuwynem, gdyż ongiś był szybki na łowach niczym pies, ale teraz okulał. Był najmłodszym z trzech braci. Obaj starsi walczyli w bitwie i ponieśli honorową śmierć. Pochowano ich pod pięknymi kopcami z kredy i ziemi. Cuwyn obserwował młodą kobietę z wioskowej palisady. Po roku postanowił wyjść na zewnątrz i zadać jej trzy pytania. Wdział zielony strój myśliwski, przypiął do pasa nóż do patroszenia zwierzyny, naostrzył dwie włócznie i naprawił sieć.

W osadzie go wyśmiano. Cuwyn „bystronogi” wybierał się na łowy. Na północy żyje kulawy jelen, powiedzieli mu i wybuchnęli śmiechem. W leniwym potoku widziano rybę bez płetw!

Nie zważał na nikogo. Był wyrzutkiem we własnej wiosce. Był wojownikiem, który nie zginął i nie został pochowany ze swymi braćmi.

Rozpoznał kogoś pokrewnego sobie.

Wypolerował więc zęby kawałkiem kory odartej z leszczyny i udał się do obozu kobiety, która właśnie grzebała patykiem w małym ognisku. Była bardzo chuda. Wyglądała na okrutnie wygłodzoną.

– Chcę ci zadać trzy pytania – oznajmił.

– Proszę bardzo – odparła kobieta.

– Pierwsze brzmi: jak masz na imię?

– Jestem tu już od roku. Ignorują mnie i obrzucają obelgami. Nikt nigdy nie zapytał mnie, jak mam na imię. Nadaj mi takie, jakie zechcesz.

– Nadam ci imię Ash, ponieważ widzę, że trzymasz w prawej dłoni gałązkę jesionu, a po śmierci najprawdopodobniej obrócisz się w popiół*.

[*Ash znaczy po angielsku zarówno jesion, jak i popiół.]

Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

Zadał jej drugie pytanie: – Co jadłaś przez cały rok?

– Własne serce – odparła Ash. – Przybyłam, żeby przynieść wam wszystkim szczęście, a zostawiliście mnie tutaj, gdzie mam za towarzystwo tylko kulawe wilki, śmierdzące dziki i padlinożerne ptaki. Na szczęście mam wielkie serce i dzięki temu nie zabrakło mi pożywienia.

– Słucham tego z radością – stwierdził Cuwyn. – A oto moje trzecie pytanie: Co masz w tych dwóch woreczkach?

Ash podniosła ku niemu wzrok i uśmiechnęła się.

– Proroctwo – odparła. – Myślałam, że nigdy o to nie zapytasz.

– Proroctwo? – wyszeptał młody mężczyzna. Podrapał się w policzek, myśląc intensywnie. – Istnieje tylko jeden rodzaj proroctwa, który mógłby przynieść pożytek tej wiosce...

– A jaki?

– Znajomość lasu. Zbyt często polowaliśmy bez powodzenia. Bór jest głęboki, mroczny i gęsty. Człowiek może w nim stanąć tuż obok brunatnego niedźwiedzia i jeden nie zauważy drugiego.

– A więc jesteś łowcą? – zapytała Ash.

– Jestem – skłamał Cuwyn, odwracając wzrok.

– W takim razie mogę ci pomóc – stwierdziła. – Ale tylko tobie. W zamian za mały kawałek mięsa uczynię z ciebie prawdziwego Łowcę. Twoje łowy będą dziksze od diabelskich. Zwierzęta, które przyniesiesz do domu, wyżywią całe armie.

Cuwyn usiadł więc przy ognisku młodej kobiety, by przyglądać się jej niezwykłemu proroctwom.

W pierwszym woreczku miała gałązki z każdego drzewa rosnącego w lesie. Zbierała je przez wiele lat i każdy z okolicznych gatunków był tam reprezentowany w postaci krótkiego, przyciętego patyka.

– Oto mój las – powiedziała, wyciągając do niego gałązki. – Są tu wszystkie puszcze, nawet sprzed nastania Lodu, a także z przyszłych czasów, aż po następny Lód, który kilka kobiet ujrzęło, spoglądając w ogień topiący miedź. Wszystkie bory ze wszystkich epok, tutaj, w mojej dłoni. Jeśli złamię gałązkę, o tak...

Złamała jesionową gałązkę.

– Zniszczyłam las w dalekim miejscu i odległym czasie. Czy słyszysz wycie ognia? Krzyki uciekających przed płomieniami ludzi?

– Nie – odrzekł Cuwyn.

Uśmiechnęła się.

– To dlatego, że brak ci prawdziwego słuchu.

Zagrzechotała drugim skórzanym woreczkiem.

– Tutaj mam kości wielu zwierząt, małe fragmenty, które zebrałam podczas podróży. Nie wszystko tu jest. Ale jest człowiek. A z rzeczy do jedzenia są świnie, zające, jelenie i konie. Są tu pierzaste ptaki i tłuste ryby. To z nawiązką wystarczy, by uchronić przed głodem bladego młodzieńca, takiego jak ty.

Popatrzył na brązowe okruchy, które Ash wysypała sobie na dłoń.

– One nic nie znaczą. To tylko zmatowiałe kawałki kości. Jak potrafisz je rozróżnić?

– Nie potrafię – przyznała. – Dopóki ich nie rzucę.

Zamknęła oczy i rzuciła gałązki wraz z kośćmi. Nie rozchylając powiek, wyciągnęła rękę do stosu drewniaków i wydobyła z niego dwa patyki. Położyła je skrzyżowane przed sobą. Nadal po omacku, wzięła w dłoń kawałek kości i umieściła go na gałązkach. Gdy otworzyła wreszcie oczy, zawahała się.

– W lesie z dębu i leszczyny wielka świnia pędzi szlakiem wiodącym na północ – powiedziała wreszcie.

Cuwyn nie potrzebował dalszej zachęty. Zebrał swe włócznie, sieci oraz sidła i biegł dwanaście mil wokół lasu, dopóki nie znalazł miejsca, gdzie światło zasłaniały dęby i leszczyny. Gdy wszedł między drzewa, niebo zmieniło barwę i zapadła cisza. Z początku ogarnął go lęk, lecz jego wzrok również się zmienił. Miał wrażenie, że widzi na wskroś pni. Zauważył wielką świnie gnającą wiodącym na północ szlakiem. Na jej grzbiecie jeżyła się śmiercionośna szczecina. Ścigał ją i dopadł, a choć walka trwała długo, odebrał jej życie i zawlókł tuszę do domu, odciawszy przedtem kawał mięsa i zostawiwszy go Ash.

Gdy odwiedził ją w następnym tygodniu, czuł się silniejszy. Zabrał dwie włócznie i dwa noże, zostawił jednak sieć i sidła. Przykucnął przed Ash, która potrząsnęła torbami i wysypała ich zawartość na ziemię, wybierając na oślep dwie gałązki i lśniący kawałek kości.

– Jest taki las, w którym rosną graby splątane z głogiem. Znajdziesz w nim jelenia o kłębie sięgającym wyżej niż barki rosnącego mężczyzny.

Cuwyn wbił w nią wzrok.

– W całej okolicy nie ma lasu z grabami i głogami.

– Wezwij go, a przyjdzie – odparła Ash. – Można go odszukać. Nie mówiłam, że będziesz polował tylko w tej okolicy.

Zdziwiony jej słowami Cuwyn zaczął biec wzdłuż skraju puszczy. Po jakimś czasie poczuł się zmęczony i zapuścił się w gęstwinę, aby znaleźć cień i trochę orzechów. Zadrapał sobie rękę o cierń głogu. Gdy wszedł głębiej w las, ujrzał srebrzyste pnie grabów, których połysk go wzywał. Przedarł się przez ciernisty gąszcz, wsłuchując się w ciszę i wpatrując w niesamowite niebo, albowiem stało się ono ciemne, lecz nie tak, jak dzieje się to nocą. Było też zimno, a grunt w pobliżu pokrywał lód. W krzewach uwiązał jeleni. Cuwyn uderzył go szybko w szyję. Ogrzał się o brzuchatą sztukę, nim zawlókł ją do swej krainy.

– Czy znalazłeś ten las z grabów i głogów? – zapytała go Ash, kiedy wrócił.

– Tak – potwierdził młodzieniec, dając jej kawał mięsa. – Ale przysięgam, że w zeszłym roku go tam nie było.

– Nie ma go teraz – odparła kobieta. – Ale istniał ongiś, kiedy kraina była młodsza.

– Upiecz swoje mięso – powiedział. – Twe słowa napełniają mnie strachem.

I tak to szło:

W lesie z olch i wierzb dwa dzikie konie piły wodę z sadzawki.

W lesie z dębów i lip zajęce tłuste jak świniaki skakały szlakiem wiodącym na południe.

W leśnym zagajniku z buków i jałowca czekały na zabicie ptaki łowne, zbyt ciężkie z przeżarcia.

Przez dziewięć tygodni Cuwyn biegał skrajem lasu i znajdował owe niezwykle bory, a w każdym z nich natrafiał na zwierzynę, która mogła wykarmić wioskę. Jego pewność siebie rosła. Zraniona kończyła mniej mu dokuczała. Stał się bystronogi. W wiosce już się z niego nie śmiano. To on śmiał się z innych. Czuł się bardzo odważny.

Gdy odwiedził Ash po raz dziesiąty, zabrał ze sobą tylko jedną włócznię i nóż do patroszenia.

Rzuciła gałązki, ujęła w rękę kość, umieściła ją na krzyżu i otworzyła oczy. Jednak nic nie powiedziała. Jej twarz zbieleła pod warstwą brudu. Gdy spróbowała zasłonić czar, Cuwyn wyciągnął rękę, by ją powstrzymać.

– Wioska jest głodna. Powiedz mi, gdzie jest zwierzyna.

– Jest w lesie z brzozy i głogu.

– A co to jest?

– Zwierzę nie znane śmiertelnikom – powiedziała cicho. – W ogóle nie rozpoznaję tego kawałka kości.

– W takim razie muszę zaryzykować, licząc na to, że nadaje się do jedzenia.

– Podejmiesz większe ryzyko, niż ci się zdaje. To, co skrada się w lesie, jest dziksze od wszystkiego, na co w życiu polowałeś. I nie ucieka, lecz szuka ciebie. Również jest łowcą. Odczekaj tydzień, Cuwynie, a znowu powrózę dla ciebie.

– Nie mogę czekać. Wioska nie może czekać. Jestem teraz jedynym myśliwym.

Ash wpatrzyła się w las kości.

– To jest zła puszcza. Nawet sama kraina ją odrzuca.

Rozrzuciła powstały wzór.

– To, co w niej chodzi, jest szalonym stworem zrodzonym z szalonego umysłu. Wyszło z ciemności, żeby cię powstrzymać. Za dużo brałeś, nie dając niczego w zamian. To również i moja wina. Moje czary i twoje szczęście w łowach obdarzyły istnieniem prastarą moc.

– Będzie musiała zmierzyć się ze mną – odrzekł Cuwyn. – Nim zapadnie zmierzch, dam ci kawał jej mięsa.

– Zginiesz, nim nadejdzie południe.

– Pożyję dłużej.

– Myślę, że pożyjesz – przyznała Ash. – Ale nie na tym świecie.

Oddalił się, biegnąc wzdłuż skraju lasu.

Ash zamyśliła się nad jego słowami. W południe rzuciła gałązki i kość, lecz nie powiedziały jej one nic. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

A więc miał rację, przynajmniej pod tym jednym względem.

Gdy rzuciła je w godzinę później, potrząsnęła głową ze smutkiem, spoglądając na las z brzozy i głogu oraz leżący na nim odłamek ludzkiej kości.

W lesie z brzozy i głogu człowiek ucieka przed cieniem...

Gdy ujęła kość w rękę, poczuła krzyk i ciepło krwi.

W kilka minut później jej ciałem targnął ból. Kamień w jej dłoni stał się zimny.

Zebrała swe rzeczy i przygotowała się do opuszczenia okolicy wioski. Wzięła w rękę złamaną gałązkę jesionu oraz garść popiołu z ogniska, popatrzyła na nie i uśmiechnęła się.

– To było dobre imię – powiedziała głośno. – Byłeś bliski zrozumienia. Nadawano mi wiele imion, ale to było najbliższe prawdy. Gdy ktoś nadaje mi imię, wzywa mnie, a gdy jestem wezwana, muszę służyć w zgodzie ze swym imieniem. To imię jednak było najbliższe tego, czym jestem naprawdę. Byłeś bliski zrozumienia mojej natury, a także tej części mnie, która jest nienaturalna. Cuwynie, byłeś zarazem łowcą i zwierzyną. Bestią, która cię zabiła, był cień twych myśli. Ze względu jednak na przysługę,

jaką wyświadczyłeś mi imieniem, będziesz mógł jeździć konno po rozległej krainie, nie cierpiąc bólu.

Lasem zbliżała się bestia. Opuściła stare miejsce po tym, jak wezwała ją Ash. Szła do wioski, by pożywić się ciałami tych, którzy tam mieszkali. Kobieta wykonała zadanie. Resztę roboty załatwi Łowca. Dla wioski nadejdą inne czasy. Ash czekała teraz długa podróż, nim znajdzie następny czas i miejsce, gdzie będzie mogła przywołać na świat swego pana.

Zanim jednak odeszła, rozsypała popiół na mały kopczyk ze świeżej ziemi i kredy i wypisała imię Cuwyna na złamanej gałęzce, którą pochowała tam razem z fragmentem kości swego zmarłego syna.

Gdy Tallis skończyła opowieść, pan Williams zamyślił się głęboko nad tym, co usłyszał.

– Nie rozumiem – wyznał na koniec.

Skóra Tallis odzyskała barwę. Dziewczynka przesunęła dłonią po włosach i zaczerpnęła głęboko tchu, jak gdyby dochodziła do siebie po wielkim wysiłku. Przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

– Czego pan nie rozumie?

– Czy ta kobieta – Ash – wezwała diabła celowo?

– To nie był diabeł. To był Łowca.

– Ale wezwała go, by się stał zgubą wioski, a także młodego Cuwyna. Po co było zabijać młodzieńca?

Tallis wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę, by chciała jego śmierci. To było jej zadanie. Jej funkcja. Wzywała Łowcę do okolicy.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem – odparła sfrustrowana tymi pytaniami Tallis. – Niech pan ją spyta! Pewnie dlatego, że nie miała żadnej własnej mocy. Jej zdolność prorokowania pochodziła od Łowcy. Dlatego wszelkie dobro, jakie czyniła, było dobrowolne, ale na koniec zawsze wzywała burzę.

Pan Williams przyglądał się jej.

- Przywoływała go do okolicy. Żeby niszczył.

Tallis uniosła dłonie, kierując je wewnętrzną stroną ku górze.

- Tak sędzę. Wioska otrzymała dziewięć udanych polowań, a nie dała nic w zamian.
- Ale z twojej historii wynikało, że Cuwyn i Łowca to ta sama osoba.
- Oczywiście – potwierdziła Tallis. – Cuwyn czerpał z lasu i las również zaczerpnął z niego. Wziął jego ciemną stronę i uczynił z niej Łowcę. To właśnie zapowiedziała Ash. Jej słowa były dwuznaczne.
- Nadal jestem zdezorientowany – przyznał pan Williams.
- Czyja była ta kość na końcu? Czy Cuwyn był jej synem?
- To tylko opowieść. – Tallis westchnęła. – Wydarzyła się naprawdę, dawno temu, ale ta wersja jest bardzo świeżej daty.
- Jak bardzo świeżej? – zapytał zaciekawiony pan Williams. Jej odpowiedź wyraźnie go zdumiała.
- Może mieć kilkaset lat. Albo trochę więcej...
- Kilkaset lat. Skąd możesz to wiedzieć?
- Jestem natchniona – odparła figlarnie Tallis.
- Niewątpliwie. Ale na twoim miejscu dałbym lepsze zakończenie. Potrząsnęła głową, zbita z tropu jego sugestią.
- Gdybym to zrobiła, zmieniałabym opowieść.
- W rzeczy samej. Na lepsze.
- Ale nie można zmienić czegoś, co jest – powiedziała poirytowana. – Ta opowieść istnieje. Jest właśnie taka. Jest rzeczywista. Gdybym ją zmieniła, coś wymyśliła, stałaby się nieprawdziwa.
- Albo lepsza.
- Nie w tym rzecz. To nie jest baśń. Nie utwór Enid Blyton! Jest rzeczywista: Dlaczego nie potrafi pan tego zrozumieć? Jeśli przyjdzie panu do głowy melodia, która jest piękna, zapisuje ją pan taką, jaka jest...
- Oczywiście.

– I nie zmienia jej pan później.

– Zmieniam.

Była niemile zdziwiona.

– Ale wtedy oryginalna wizja ulega osłabieniu, nieprawdaż?

– Oryginalna wizja. – Pan Williams potrząsnął głową w bezgłośnym zdumieniu. – Z ust trzynastolatki...

Tallis wyglądała na rozdrażnioną. Wyprostowała się, siedząc na kamieniu, i odwróciła od staruszka.

– Niech pan mi nie dokucza – powiedziała sztywno.

– Przepraszam. Ale nie zmieniam opinii. Opowieść albo melodia zjawia się jako coś magicznego...

– Tak, wiem o tym.

– Ale należy do ciebie. Możesz z nią zrobić, co zechcesz. Wprowadzić dowolne zmiany. Zrobić z niej coś osobistego.

– Coś nieprawdziwego. Jeśli zmieni się jakiś element historii, zmienia się on i w życiu.

– Zapewniam cię, że się nie zmienia.

– A ja zapewniam pana, że się zmienia – odparła ostrym tonem.

– A więc chcesz mi powiedzieć... – uporządkował swe myśli. – Chcesz mi powiedzieć, że gdybyś opowiedziała tę ostatnią historię jeszcze raz i zmieniła młodą kobietę w młodego mężczyznę, to gdzieś w przeszłości tej młodej kobiecie wyrosłaby nagle broda?

Tallis roześmiała się z tego pomysłu.

– Nie wiem – powiedziała. – Chyba tak.

– To śmieszne.

– Ale opowieści są kruche. Tak jak ludzkie losy. Wystarcza jedno nieodpowiednie słowo, by spowodować nieodwracalne zmiany. Jeśli usłyszysz pan piękną melodię, a potem ją zmieni, to ta nowa również może być piękna, ale pierwszą pan utraci.

– Ale jeśli będę się trzymał pierwszej, utracę drugą.

– Będzie ją mógł odkryć ktoś inny. Nadal będzie czekała, by się narodzić.

– A ta pierwsza nie będzie?

– Nie – upierała się Tallis. Była już jednak zbita z tropu. – Zjawiała się już w pańskim umyśle. Będzie utracona na zawsze.

– Nic nigdy nie jest utracone na zawsze – zaprotestował cicho pan Williams. – Wszystko, co kiedyś poznałem, znam nadal, tyle że czasami o tym nie wiem. „Wszystkie rzeczy są znane, ale większość zapomniana. Potrzeba specjalnej magii, żeby je sobie przypomnieć”.

– Dziadek powiedział mi kiedyś coś podobnego – wyszeptwała.

– Sama widzisz. Wszyscy starzy mędracy mówią to samo.

– Ale utracił pan swoje dzieciństwo – nie ustępowała. – Ono już nigdy nie powróci.

Pan Williams podniósł się i okrążył przewrócone kamienie, odsuwając stopą trawę, by odsłonić ogamiczne napisy.

– Nie wierzę w to – stwierdził. – To znaczy w to, że je utraciłem. Z pewnością czasem trudno jest przypomnieć sobie wydarzenia z dzieciństwa, ale dziecko nie przestaje żyć w człowieku, nawet takim starym, jak ja.

Mrugnął do Tallis.

– Zawsze się w nim kryje, chodzące i biegające w cieniu wyższych, późniejszych duchów. Mądrzejszych duchów.

– Czy pan je czuje?

– Oczywiście.

Podniosła wzrok ku niebu, myśląc o jednej ze swych masek: Sinisalo: „zobaczyć dziecko w krainie”. Zastanawiała się nad tą maską, kiedy ją zrobiła. Jakie dziecko miała zobaczyć?

Teraz zaczęła rozumieć. Kraina była stara; kraina pamiętała; kraina była ongiś młoda i jej niewinność nadal można było dostrzec. Tak: Sinisalo pomoże jej ujrzeć cień dziecka, po prostu cień jej samej, w miarę jak będzie coraz starsza.

Nazbyt szybko dzień zaczął się skłaniać ku zachodowi. W kościele w Shadoxhurst zabrzmiał dzwon wzywający na wieczorne nabożeństwo. Tallis wróciła do domu, a pan Williams rozpoczął długi spacer w stronę dworu.

Ostatnie słowa, jakie powiedział do dziewczynki, brzmiały: – Jutro chcę usłyszeć prawdziwą historię. Obiecałaś mi. Nie zapomnij o tym.

Tallis patrzyła z czułością na oddalającego się staruszka.

Jutro nie tylko opowiem historię, lecz zrobię coś więcej. Pokażę panu, gdzie szuka przygód Harry. Zrozumie pan to. Wiem, że pan zrozumie.

Zgodnie ze swą nie wypowiedzianą obietnicą, następnego dnia Tallis zaprowadziła pana Williamsa do wąskiego zaułka między garażami. Przesuwał się chyłkiem między pokrzywami lekko pochylony. W jego oczach widać było pewne zaniepokojenie wywołane tą osobliwą podróżą. Gdy znalazł się na wolnej przestrzeni obok okna szklarni, przykucnął wśród lalek i znaków wyrysowanych kolorową kredą, napawając wzrok niesamowitymi symbolami i ohydnyimi idolami.

– Czy to wszystko twoje dzieło? – zapytał Tallis. Dziewczynka skinęła głową z błyskiem w oczach.

Siedzieli tam przez jakieś pół godziny. Pan Williams stał się lekko podenerwowany. Tallis również zaczęła się zastanawiać, czy jest możliwe, by tylko w samotności mogła przywołać bramę wiodącą do zimowego świata.

Gdy jednak miała już zrezygnować z czat, jej policzka dotknął płatek śniegu, a powietrze wokół stało się przenikliwie mroźne.

– Jest tutaj – powiedziała cicho. Obróciła się i uklękła, by spojrzeć na brudne szkło.

Wkrótce usłyszała wycie wichru w Starym Zakazanym Miejsu. Szalała tam nawałnica. Wzdłuż górskiej ścieżki dął zimny wiatr. Jak zwykle, słyszała stukot kamieni towarzyszący jakimś poruszeniom oraz łopotanie i

trzaskanie płótna namiotów ludzi, którzy odwiedzili tę część ukrytego świata.

– Czy mnie słyszysz? – zawołała. Poczuła na skórze kolejne lodowate dotknięcia. Strząsnęła płatki, rozcierając ich wilgoć między palcami. Pan Williams przyglądał się jej, marszcząc brwi. Nachyliła się nad szparą pomiędzy światami i spojrzała przez nią na szary, wirujący śnieg po drugiej stronie. Usłyszała rzenie szarpiącego postronek konia. Jego siodło pobrzękiwało. Jakaś kobieta śpiewała w nieznanym języku. Coś uderzało regularnie o drewno, wygrywając wysoki werbel.

– Czy mnie słyszysz? – zawołała raz jeszcze.

Przypomniała sobie słowa Harry’ego.

„Utraciłem cię i nie zostało mi już nic!”

– Harry? – krzyknęła, strasząc pana Williamsa. W jej głosie nie było jednak nadziei. Nie liczyła właściwie na to, że znowu usłyszy brata.

Ktoś jednak podczołgał się do szczeliny i zbliżył się do miejsca, w którym Tallis spoglądała w szarą burzę. Ujrzała jakiś ruch i poczuła woń potu. Mroczny cień. Osoba znajdująca się po drugiej stronie popatrzyła z bliska w letni świat Tallis.

– Kim jesteś? – wyszeptała dziewczynka.

Usłyszała głos trajkoczący jakieś słowa. Zdała sobie sprawę, że to dziecko. W chwilę później cień zniknął. Śnieg stłumił odgłos jękliwego płaczu.

Tallis odchyliła się do tyłu przykucnięta, po czym zwróciła się w stronę pana Williamsa z uśmiechem na twarzy.

Stary popatrzył na nią, a potem na szklarnię.

– Do kogo mówiłaś?

Zaniepokoiła się. Zrozumiała, że nie dzielił z nią jej doświadczenia.

– Nie słyszał pan dziecka?

Zmarszczył brwi, po czym potrząsnął głową. Tallis wskazała na zanikającą szparę w powietrzu.

– Nie widzi pan tego? Nie widzi pan przejścia?

Pan Williams podążył wzrokiem za palcem dziewczynki, wyznał jednak, że dostrzega tylko szkło. Tallis poczuła coś pokrewnego panice. Owego dnia, przed laty, Gaunt poczuł woń dymu, co oznaczało, że to doświadczenie nie było dostępne wyłącznie jej. Czy mogło chodzić po prostu o to, że pan Williams, w przeciwieństwie do Gaunta, nie był częścią okolicy? Że pod murawą nie leżały prochy Williamsów połączone z prochami Gauntów?

Jej dłoni dotknął płatek śniegu. Wyciągnęła rękę do staruszka.

– Śnieg – powiedziała. Pan Williams dotknął palcem wilgotnej plamki. Miał zdziwioną minę.

– Dobry Boże. Zdawało mi się, że poczułem w powietrzu dotknięcie zimy.

– To było to! – zapewniła go Tallis z zadowoleniem. – Poczuł pan... poczuł pan podziemny świat. Tam właśnie jest uwięziony Harry. Kiedyś mnie zawołał. Pójdę do niego, żeby mu pomóc.

– Jak masz zamiar to zrobić?

– Przejść przez las Ryhope. Jest w nim coś nienaturalnego. Muszę tylko znaleźć odpowiedni sposób, by dostać się na jego teren, zbadać go...

Wyszła pierwsza z zaułka. Weszli na pola i ruszyli powoli w stronę widocznego w oddali Potoku Łowcy.

– Płatki śniegu – wyszeptał pan Williams. Tallis spojrzała na swą dłoń, wciąż zimną od bezgłośnego dotyku.

– Ze strasznego miejsca... – dodała. Jej towarzysz spojrzał na nią.

– A więc nadal nie znasz jego tajemnej nazwy?

– Nie znam – przyznała Tallis. – Być może nigdy jej nie poznam. Tajemne nazwy bardzo trudno jest odkryć.

Minęli przełaz i ruszyli dalej przez barwną łąkę.

– Nie znasz nawet powszechnie używanej nazwy.

– Nie znam – powtórzyła. – Powszechnie używane nazwy też potrafią sprawiać trudności. Muszę znaleźć kogoś, kto tam był albo o nim słyszał.

– A więc... – zaczął stary. – Jeśli dobrze cię zrozumiałem... możesz opisać ten niezwykły świat tylko za pomocą nazwy, którą sama mu nadałaś.

– Mojej osobistej – zgodziła się Tallis.

– Stare Zakazane Miejsce – wyszeptał pan Williams. Tallis odwróciła się w jego stronę, uciszając go.

Wypowiedzieć podobną nazwę więcej niż trzy razy w ciągu dnia (jak się dowiedział) przynosiło pecha. Wyczerpali już limit podczas rozmowy w zaułku. Pan Williams z pewnością był zdezorientowany „zasadami nadawania nazw”. Niektóre obiekty miały trzy, inne tylko dwie. Czasami te, które nadała Tallis, brzmiały tak samo jak powszechnie używane i można je było powtarzać do woli. W innych przypadkach były bardziej osobiste i stanowiły tabu. W ostatecznym rozrachunku zasady zabawy w nazwy nie sprawiały wrażeń zbyt dopracowanych, pomyślał z ironią staruszek.

Nie powiedział, rzecz jasna, nic. Nie miał prawa kwestionować tajemnego świata dziecka...

Dziecka? Uśmiechnął się do siebie, spoglądając na młodą, ale wiele wiedzącą dziewczynę. Jej ciało było dziecięce, kościste i patykowate, lecz twarz i sposób myślenia bardzo dojrzałe. W jej oczach widział wyraz przywodzący na myśl nie dziecko, ale niezwykle starą kobietę. Dostrzegął ukrytą w niej dorosłą osobę z równą łatwością, jak włosy o barwie słomy na jej głowie. Pojął z drzeniem, że potrafił nawet dojrzeć w dziewczynce trupa, gdy tak bardzo pobladła podczas opowiadania historii. Jej kości policzkowe stały się bardziej wystające, a wargi cieńsze. Był to okropny, przerażający widok. Nie wątpił już, że to opętanie.

Duch? Anioł? Demon? Co właściwie znaczyły te słowa? Idąc za Tallis przez pole, wspominał coś, co powiedziała nie dalej jak wczoraj: „Ktoś mi ją opowiedział... teraz... przed chwilą”.

Ktoś w jej umyśle? Niesłyszalny głos w jej głowie... rzecz jasna, była to ona sama, jakaś forma nieświadomego przekazu wewnątrz młodej czaszki. Efekty jednak wyglądały dramatycznie.

W głowie dziewczynki było coś więcej niż tylko Tallis Keeton.

Gdy zatrzymał się w piekących promieniach słońca, poinformowała go, że znajduje się w jaskini. Bardzo rozbawiona jego zdziwioną miną dziewczynka utrzymywała nieustępliwie, że czuje głęboką, wilgotną grootę wiodącą w głąb niewidzialnego wzgórza. Nie mógł w tym momencie nic zrobić ani powiedzieć. Widział rozczarowanie w jej oczach. Rozpaczliwie próbowała przekazać mu coś z własnych doświadczeń, lecz bez powodzenia. Być może nie był wystarczająco bliski tutejszej okolicy...

Nie wysilaj się tak bardzo, dziecko, pomyślał. To twoje opowieści sprawiają, że ci wierzę.

Stworzyła własny fantastyczny świat ze strumieni, pól, wzgórz i borów otaczających farmę. A teraz coś odziedziczonego po przodkach przemawiało do niej, mieszkało w tutejszych lasach i wędrowało po polach. A przewrócone ogamiczne kamienie, na których siedzieli wczoraj, jasno dowodziły, że okolica ma bardzo długą historię. Ludzie mieszkali tu od tysiącleci. Tallis była ich potomkiem z ducha, jeśli nawet nie z ciała. Być może przemawiali teraz za jej pośrednictwem.

Gdy szedł, głowę wypełniała mu muzyka. Obrazy przeszłości, wizje mrocznego, targanego burzą krajobrazu, pędzących przez noc jeźdźców, wezbranych rzek, wszystko było muzyką. Odbierał ją również słuchem: lament, poszum wiatru i śpiew skulonych w namiotach ludzi. Była niesamowita. Żałował, że nie zabrał notesu, by zapisać zasadnicze tematy, połączenia między dźwiękami natury a brzmieniem głosów.

Zastanawiał się, czy w ten sposób, tworząc własną opowieść, nie zbliżył się do widzianej przez Tallis wizji niezwykłego świata bardziej, niż mu się zdawało.

Każdemu inne wejście do królestwa. Każdemu osobna brama.

W ziemi kryła się pamięć. Otaczała go zewsząd. Przechodził przez nią. Szeptała do niego, gdy szedł, tak jak szeptała do Tallis, lecz używała innego języka, zwracała się do innej namiętności...

Coś tu się wydarzyło...

Te myśli pozostały nie wypowiedziane. Wkrótce dotarli do drzewa zwanego Starym Przyjacielem. Jego pień rozszczepił piorun, tworząc niewygodne siedzenie, które spróbował zająć pan Williams.

– Czy jest panu wygodnie? – zapytała Tallis.

– Nie – odrzekł głośno. Rozbawiło go, gdy usłyszał w odpowiedzi: – Świetnie. W takim razie zaczynam.

Rozpoczęła opowieść, korzystając z najstarszego otwarcia, jakie tylko można sobie wyobrazić. Dogadywał dziewczynce z tego powodu, przerywając jej i radując się złośliwie okazywaną przez nią narastającą irytacją. Czuł na skórze dotknięcie leśnego wietrzyku. Za jego plecami, w gęstym podszyciu, panowała ciężka, niemal dotykalna cisza. Tallis była zwrócona w stronę lasu, lecz przez jakiś czas sprawiała wrażenie, że go nie dostrzega. Czyniła wyrzuty swemu towarzyszowi za to, że nie traktuje jej opowieści poważnie.

I wtedy chwila nadeszła.

Było to tak, jakby coś przeszło obok niego, straszliwa, drżąca obecność. Zachowanie Tallis zmieniło się całkowicie. Jej twarz stała się wynędzniała. Staruszek uciszył się po raz pierwszy. Pochylił się do przodu, obserwując opętanie.

Język dziewczynki się zmienił. Pan Williams czytał *Mabinogion*, na wpół zapamiętane historie pochodzące z ocalałych fragmentów celtyckiego cyklu opowieści. Zauważył, jak bardzo jej język upodobił się do używanego w tych legendach. Mówiła szybko. Dialogi wpadały na siebie. Używała górnolotnej, niemal niezręcznej składni, swoistego staroświeckiego stylu przypominającego ten, do jakiego się uciekali

współcześni pisarze, gdy chcieli wywołać wrażenie archaiczności, stylu pełnego przestawień i nagromadzonych przymiotników.

Pomyślał jednak, że jest w nim moc. Na Boga, była w nim moc. Siedział pogrążony w transie, kiedy słowa Tallis tworzyły w jego umyśle świat.

Świat, w którym król nakazał, by pochowano go w jego własnym zamku i wypełniono komnaty ziemią, by stworzyć ogromny grzebalny kopiec kryjący pod sobą ruiny.

Świat, w którym królowa użyła magii, by prześladować zmarłego męża w krainie zmarłych, we wszystkich krainach zmarłych, wszystkich rozmaitych królestwach śmierci, do których uciekał jego duch: na Jasnej Równinie, w Wielobarwnym Kraju, na Wyspach Młodości.

Świat, w którym trzej bracia puszyli się i urządzali podchody, gdyż każdy z nich chciał dominować. Najmłodszy nosił imię Scathach, to samo, które Tallis nadała duchowi z łąki Stretley Stones. Pozbawiony należnego mu dziedzictwa, zamku w krainie, Scathach przeszedł do krainy duchów, Starego Zakazanego Miejsca, gdzie odnalazł fortecę zbudowaną z prakamienia, kamienia, który nie był kamieniem, lecz jakąś magiczną substancją. Dokonał czynu, który musiał ekscytować umysły zwykłych ludzi w dawnych czasach: dotarł za życia do królestwa zmarłych. Odciął się od martwych i od żywych w miejscu, które nie miało nazwy, ciepła ani serca. W trupiej krainie, więzieniu ukrytym przed wzrokiem tak doczesnego, jak i drugiego świata.

I chciał wrócić do domu...

I siostra go kochała...

I szalone stwory wybiegały z rozpadlin jego szalonego umysłu.

Na słuchaczu wywierało to dziwne wrażenie. Znał wszystkie składniki opowieści, lecz ona sama nie była mu znana. Nie przypominała niczego, co kiedykolwiek słyszał. Zapewne fakt ten miał wiele wspólnego ze sposobem i naturą jej przedstawiania. Jej jądro było zwyczajną baśnią, ale Tallis włożyła w nie jakąś cząstkę siebie samej – tak intrygującą, że czyniła z

całej podróży coś całkiem odmiennego. Opowiadanie implikowało bardzo bogate tło. Całe lata, całe fragmenty akcji dziewczynka podsumowała tajemniczymi słowami: „Minęło wiele lat. Lat bez wizji”.

Pan Williams znał już Tallis na tyle dobrze, że rozumiał, iż czeka ona, aż pojawią się wizje, które wypełnią luki... powiedzą jej, gdzie może się ukrywać Harry i jak ma go odnaleźć.

Urwała gwałtownie opowieść. Nie uczyniła tego z własnej woli. Wyglądało to tak, jakby opadła kurtyna, przecinając potok słów. Było więc kłamstwem, gdy odpowiedziała „nie” na pytanie pana Williamsa, czy historia jest kompletna.

Potrzebowała kilku chwil, by wrócić do siebie po jaskrawości obrazów, które wypełniły jej umysł, po woniach i dźwiękach oraz owym strasliwym żarze. Wciąż widziała palenisko w komnacie wielkiego zamku. Ogień jarzył się przed jej oczyma. Potężne płomienie sięgały wysoko ponad biesiadne stoły oraz zimną posadzkę. Widziała jego rażący blask oraz mroczne cienie rzucane na blade, gniewne oblicza młodych mężczyzn, którzy stali przed nią. Okryli się hańbą i przypadło im przy stole miejsce od strony ognia. Ich włosy lśniły niczym polerowana miedź, stroje miały jaskrawe barwy, lecz twarze były nieubłagane niczym śmierć.

Obraz był tak wyrazisty, że wiedziała, iż musiało to wyglądać właśnie w ten sposób. Przerazała ją myśl, że tak bardzo się zbliżyła do autentycznych wydarzeń z życia Scathacha. On sam też ją przerażał, gdyż oczom jej umysłu wydawał się znacznie surowszy niż wizja z łąki. Jego blizny były straszliwe, włosy zwisały w strąkach, a pięści pociemniały od siniaków i blizn po zagojonych ranach. Jego spojrzenie wydawało się groźniejsze niż u pozostałych braci, a każde cięcie sztyletem na talerzu było pchnięciem w serce jego ojca, a także w Tallis, która najwyraźniej siedziała obok króla, spoglądając ponad stołem na rozgniewanych synów władcy.

Kim była w tej opowieści? Dlaczego Scathach spoglądał na nią tak srogo?

Była tam też królowa, siedząca obok niej. Pachniała mokrym lnem oraz słodkimi, mdłymi perfumami. Jej dłonie przywodziły na myśl unoszące się nad stołem ptaki. Długie, blade palce chwyciły chleb i ser niczym dzioby. Najgorszą z bijących od niej woni był zaduch śmierci. Choć żywa w ciele, była już bliska Jasnej Równiny, gdzie jej wrzeszczący cień miał nękać okrutnego króla.

Najbardziej jaskrawy i niepokojący ze wszystkich był obraz krainy prześladowanej samą Tallis: królestwa leżącego po drugiej stronie szerokiego, głębokiego wąwozu. Podczas opowiadania omal się nie przewróciła. Stała tak wysoko nad rzeką, że zakręciło się jej w głowie. Uderzył w nią wiatr, grożąc zepchnięciem w przepaść. Rzeka na dole była srebrzystą nitką, Tallis wiedziała jednak, że rwący nurt przewala się po kamieniach z głośnym rykiem. Nie miała pojęcia, jak Scathach zdołał się przedostać przez tę rozpadlinę. Spojrzała w dal, na mgły świata, który był Starym Zakazanym Miejszem, na jego lodową granicę. Puszcza kipiała, czepiała się ziemi korzeniami przypominającymi olbrzymie szpony, tworząc ogromny, dławiący płaszcz śmierci i bezładu. Z jej splątanego uścisku wznosiły się ruiny starożytnego, szarego zamku...

Wszystko to widziała, choć tego nie pragnęła. Poczwała, że jej język się poruszył, poczuła, że jest władna mówić, ale miała wrażenie, że zapanował nad nią ktoś, kto sięgnął ku niej, by przekazać opowieść. Ucięła relację nagle, co na krótką chwilę ją zdziwiło. Ujrzała przelotnie obraz Scathacha i dziewczyny w blasku księżyca. Nawiedziła ją też dziwna myśl: przybrał imię drzewa.

Nie pasowało to do opowieści, którą powtórzyła panu Williamsowi.

Gdy duch ją opuścił, poczuła się tak, jakby z jej płuc zdjęto wielki ciężar. Jej ciało omal nie uniosło się w powietrze. Pan Williams zaczął ją

przeypytywać. Odpowiadała mu niecierpliwie i ze smutkiem, ponieważ wiedziała, że staruszek wkrótce wyjedzie.

Przynajmniej poszli jeszcze razem ku ścieżce do konnej jazdy wiodącej do Shadoxhurst od nie nazwanego pola strzegącego Ryhope.

– Musi pan wyjeżdżać?

– Muszę. Przykro mi. Mam muzykę do napisania. Nie zostało mi wiele czasu. To przekleństwo starości.

– Będzie mi pana brak – stwierdziła Tallis.

– Mnie też będzie ciebie brak – odrzekł. – Ale w przyszłym roku wrócę, jeśli tylko będę mógł. Na to samo miejsce w tym samym dniu. To obietnica.

– A obietnicy złożenie to długiem obciążenie – przypomniała mu.

– W rzeczy samej.

Ruszył ścieżką ku wiosce, gdzie niewątpliwie miał na niego czekać samochód.

– Niech pan napisze trochę dobrych piosenek! – zawołała do niego Tallis.

– Napiszę! A ty opowiedz trochę dobrych historii.

– Opowiem.

– Jeszcze jedno – dorzucił.

– Co takiego?

– To pole wokół lasu. Zdaje mi się, że znam jego nazwę. To Znajdowisko. Wypróbuj ją. Będziesz mogła bez obaw pójść na polanę.

Oddalił się, lecz Tallis nawet tego nie zauważyła. Gapiła się na odległy las z oczyma szeroko rozwartymi ze zdumienia i podniecenia.

Znajdowisko.

MORNDUN

Duchostrefy

I

Tego wieczoru zrobiła lalkę Znajdowankę. Użyła do tego gałązki głogu, tak samo jak w przypadku pierwszej, którą wykonała. Jej nazwa przywiodła dziewczynce na myśl powrót do pierwszych przyjaciół i pierwszych wizji. Lalka miała zostać pochowana na Znajdowisku, w pobliżu Potoku Łowcy.

Nocą poszła do zaułka między garażami i uknęła tam z twarzą zasłoniętą Drażącą. Natychmiast poczuła bliskość Starego Zakazanego Miejsca. Patrzyła bez niepokoju, jak między światami otwiera się przestrzeń, wąskie pasmo ciągnące się od gruntu do punktu znajdującego się powyżej jej głowy. Z przejścia buchnął śnieg niesiony targającym jej włosy wiatrem. Lamentująca kobieta, szarpiący postronki koń oraz hałaśliwe dziecko były na miejscu. Usłyszała też urywany odgłos bębna. Jego dziwny werbel wydawał się w miarę upływu minut coraz groźniejszy.

Gdy Tallis zaśpiewała piosenkę, która była echem zawodzenia kobiety, poczuła ukrytą w muzyce moc oraz piorunujący efekt wywołany przez jej głos w owym odmiennym, mroźnym miejscu. Zrozumiała, że jej podróż zawiedzie ją na ten odległy górski stok. Musiało tak się stać. Śniła o nim. Opowiadała o nim historie. Wędrował po nim jej brat Harry. Być może śpiewano tam też zapomnianą piosenkę pana Williamsa. Było to miejsce, w którym niejedno życie znalazło swój kres. Można tam było odszukać zagubione rzeczy. Dla zwyczajnych ludzi było zakazane, lecz Tallis Keeton

nie była zwyczajna. Myśl ta była dla niej równie naturalna, jak myśl o tym, że wkrótce będzie musiała się uwolnić od nadmiaru płynu wywołanego wypitym wieczorem napojem wiśniowym. Znajdowała pociechę w tym, że po prostu wiedziała, po prostu akceptowała. Zdawała sobie sprawę z tego, jak blisko są twórczynie masek, ale również z faktu, że ich zadanie jest już wykonane... Gaunt mówił jej to dawno temu: ktoś pokazał jej, jak robić lalki. Pan Williams powiedział jej dzisiaj to samo, kiedy zapytał ją o opowiedzianą przez nią historię. Wyjaśniła mu wtedy, że usłyszała ją przed chwilą od kogoś, kto był żywy, lecz zarazem martwy.

– Czego ode mnie chcecie? – szepnęła do duchów ze Starego Zakazanego Miejsca. – Cóż mogę zrobić? Nie potrafiłam nawet uratować Scathacha. Wszystko poszło źle. Próbowałam ocalić go przed wami. Mało brakowało, by przeze mnie nie trafił na swój pogrzeb. Na cóż mogłabym wam się przydać?

Gdy szeptała te słowa, w jej umyśle uformował się obraz Scathacha w jego zamku, gwałtownego młodzieńca o naznaczonej bliznami twarzy, wbijającego sztylet w stojący na stole drewniany talerz. Każde pchnięcie było pełnym znaczenia ciosem gniewu przepełniającego Scathacha, który przesuwał spojrzenie między ojcem, którego nienawidził, a Tallis... Tallis siedzącą obok króla... Tallis za wysokim stołem w zamku... ale kim była? Jaką rolę tu grała? Kim była w swej opowieści o królu i Starym Zakazanym Miejscu, którego nie mogła zobaczyć, ale którego świadomość dzieliła?

– Pan Williams się mylił – powiedziała cicho. – Jest prawdą, że wszystko to należy do mnie, ale otrzymałam to w spadku. To skromne dziedzictwo. Opowieści należały przedtem do kogoś innego. Nie wolno mi wprowadzać do nich zmian. Są tylko w części moją własnością, a ponadto otrzymałam je jedynie na pewien czas. Ale kim jestem? Kim jestem?

Siedziała przy królu... siedziała blisko królowej... Patrzyła na trzech gniewnych braci... Patrzyła na palenisko.

– A więc jestem córką. Muszę nią być. Nie mogę być nikim innym. Córką króla. Córką królowej. W takim razie dlaczego czuję się taka stara? Dlaczego jest mi tak zimno w śnionej opowieści?

Przypomniała sobie drwiące słowa, które wypowiedział pan Williams, gdy próbowała opowiedzieć mu swą historię: „Ale przynajmniej wiemy, że była siostra... i bracia ją kochali na różne sposoby... jej dzieje to inna historia... kochali na różne sposoby...”

Brama do zimowego świata dawno już znikła. Tallis wpatrzyła się w błysk światła w zmatowiałym szkle cieplarni. Zdała sobie sprawę, że to oznaka nadchodzącego dnia. Zewsząd dobiegały dźwięki oznaczające ruch. Było to tak, jakby budziła się ze snu. Odgłosy świtu dotarły do jej świadomości i natychmiast sprawiły, że zrobiło się jej zimno.

Podniosła nową lalkę i poszła do ogrodu. Szurała stopami po pokrytej rosą trawie, pragnąc zostawić ślady na wilgoci. Pies kręcił się po sadzie, węsząc tropy pozostawione przez nocnych gości. W oddali słychać było głosy gawronów trzepoczących niespokojnie skrzydłami w swych wysoko położonych gniazdach.

Do uszu Tallis dotarł też jednak inny dźwięk, który sprawił, że serce zabiło jej szybko. Przypominał on niski ryk zwierzęcy, bardzo dziwny. Podbiegła do bramy i wpatrzyła się w dal. Nad strumieniem wisiała gęsta mgła. Spoglądając w tamtym kierunku, ponownie usłyszała ów głos i dostrzegła w zagłębieniu terenu ukradkowy, lecz zdecydowany ruch jakiegoś wielkiego stworzenia.

Jego poroże przebiło powierzchnię mgły.

Nagle zwierzę wyszło z ukrycia. Było na drugim brzegu. Tallis ujrzała przelotnie szerokie ciało Połamańca, nim jelen zniknął jej z oczu w dębowo-wiązowym żywopłocie otaczającym Łąkę Smutnej Pieśni.

– Zaczekaj na mnie! – krzyknęła i przelazła przez bramę. Pies pobiegł za nią, szczekając głośno. Nie przeskoczył furtki, a gdy Tallis weszła na

przełaz, uciszył się. Dziewczynka pogrzyła się w otaczającej strumień mgłę, przeszła w bród po kamieniach, odnalazła trop jelenia i ruszyła za nim prosto wzdłuż drzew.

Po kilku minutach doszła zdyszana do Potoku Łowcy.

Bez żadnych ceregieli, lecz posuwając się bardzo ostrożnie, zapuściła się cztery kroki na teren Znajdowiska. Ktoś przyglądał się jej z dalekiego lasu, lecz gdy spojrzała w tamtą stronę, nie dostrzegła żadnego ruchu i nie potrafiła odgadnąć, gdzie ukrywa się obserwator. Była jednak pewna, że to Połamaniec. Czekał na nią przez wszystkie te lata. Myślano, że nie żyje, że zabili go kłusownicy. Być może rzeczywiście spotkał go ten los, lecz w Połamańcu było coś więcej niż stare mięso pokrywane potężne kości.

I czekał na nią!

Pochyliła się i wepchnęła głogową lalkę w twardą ziemię. Poruszała nią energicznie, by przebić się przez wysuszoną słońcem darni, po czym wkręciła ją i wbiła w gliniastą glebę pod spodem. Gdy głowa zniknęła w trawie, Tallis zamknęła ranę palcami, napluła na szramę i położyła na niej dłoń.

– Teraz cię znam – powiedziała na głos. – Znam twoją nazwę. Nie możesz mnie uwięzić.

W kilka minut później dotarła do zarośniętej drogi, która ongiś wiodła do domu w lesie. Zatrzymała się w wysokiej trawie, by nasłuchiwać dobiegających z gęstego lasu odgłosów. Następnie zbliżyła się do płotu z wyblakłą tablicą i szybko przeszła nad zwisającym luźno drutem. Natychmiast dostrzegła żółty blask na polanie obok leżącego w gruzach domu.

Posuwała się ostrożnie naprzód, czując pod stopami twardą ścieżkę, aż wreszcie po raz drugi w życiu znalazła się w ogrodzie otaczającym pochłonięty przez las dom. Wstrząsnęło ją to, co zobaczyła.

Wielki, czarny totem przewrócił się, rozszczepiony na pół. W jego spróchniałym wnętrzu roiała się masa chrząszczy. Zapadał się w

przylegające do niego zielsko, które ongiś tworzyło trawnik. Jego szyderczo uśmiechnięte oblicze było zwrócone ku ziemi. Na drzewach wokół polany udrapowane były zwierzęce skóry – całe i w kawałkach – pochodzące od jeleni, lisów i królików. Głęboki dół w murawie, który przed kilkoma laty był suchy i martwy, teraz wypełniały tłące się węgle. Zbliżyła się do niego ostrożnie, spoglądając co chwila na gęsto rosnące drzewa pokryte gnijącymi kawałami zwierzęcych skór.

Dół wypełniały zwęglone kości. Tallis kopnęła pozostałości ogniska. W rozświetlone tańczącym blaskiem powietrze wzbił się delikatny popiół.

Krzyknęła z niepokoju. Masywne pnie dębów pochłonęły jej słowa, stłumiły głos. Odpowiedział jej jedynie szelest poruszających się wśród gałęzi ptaków. Obeszła wokół niewielki ogród, zwracając uwagę na wszystko: tu resztki ogrodzenia z drutu kolczastego, ówdzie przebite przez korzenie deszczułki mogące pochodzić z kurnika lub psiej budy.

Poderwała się nagle, ujrawszy rojącą się od robactwa martwą owcę rzuconą w podszycie. Jej zakrwawiona, odarta ze skóry czaszka zdawała się obserwować dziewczynkę. Tallis wsłuchała się uważnie i usłyszała brzęczenie much. Nachyliwszy się niżej, poczuła woń rozkładu.

Kto tu się zatrzymał?

Przykucnęła przy ciepłym popiele i wygrzebała z niego pięć lub sześć odłamków kości. Były małe. Pochodziły od jakiegoś drobnego zwierzęcia... być może królika albo niewielkiej świni. Gdy zacisnęła na nich palce, w jej umyśle nie pojawiły się żadne obrazy. Uśmiechnęła się do siebie, przypomniawszy sobie własną opowieść o Lesie Kości.

– Nie mam talentu do prorokowania – wyszeptała.

Zebrała więcej fragmentów i wypełniła nimi jedną z kieszeni. Przyjrzała się gruntowi w poszukiwaniu odcisków stóp, ale znalazła jedynie ślady konia. Gdy podążyła za nimi, trafiła na szlak wiodący głębiej w las przez suche paprocie i pokrzywy, które nieustannie zarastały podobne ścieżki.

Pomyślała o młodzieńcu w skórze jelenia. Jego blade ciało wydawało się gładkie w blasku słońca, ruchy były gibkie jak u zwierzęcia, a poczynania nad strumieniem tak szybkie i gwałtowne..

– A więc to tutaj się ukrywasz...

Czy ją obserwował? Czy był tu teraz? Rozejrzała się powoli wokół, lecz nie dostrzegła żadnego niebezpieczeństwa.

Zresztą przybyła tu w innym celu. Przeszła między tłoczącymi się wokół domu drzewkami, minęła ostrożnie ich strażnicze szeregi i dotknęła wiodących do gabinetu drzwi o wybitych szybach. Popchnęła je do wewnątrz, a potem pociągnęła z powrotem ku sobie, by powstała szpara, przez którą mogłaby się precyzyjnie przesuwać. W pokoju było jasno, gdyż dach w kilku miejscach wpuszczał do środka naturę.

Wszędzie walały się zbutwiałe książki o złamanym grzbiecie. Przeszła między nimi, odsuwając je nogami na boki, i ominęła zajmujący centrum pomieszczenia wielki dąb, który rozwidlał się u podstawy, tworząc niewygodne siedzenie. Podwójny pień przebijał się przez odpadający tynk sufitu i wychodził na światło dnia. Tak jak wszystko inne w pokoju, porastał go bluszcz.

Niektóre gabloty miały jeszcze szyby, były jednak poprzewracane, a ich zawartość wysypana na zewnątrz. Tallis zaczęła grzebać w stosie potłuczonej ceramiki, dotykając odłamków i delikatnie odsuwając je na bok, by odsłonić metalowe groty włócznie, wyroby z krzemienia oraz najróżniejsze niezwykle monety i rzeźby z kości.

Nie przybyła tu jednak po te pamiątki z przeszłości. Ominęła pień i podeszła do oplecionego bluszczem biurka, które widziała podczas poprzedniej wizyty.

Gdy zaczęła ściągać zielsko z szuflad, zszokowana zauważyła, że niedawno był tu ktoś inny. Bluszcz był już rozerwany, choć nałożono go ponownie na biurko niczym obrus z liści. Gdy pociągnęła za górną szufladę, otworzyła ją łatwo, odsłaniając ukrytą wewnątrz wilgotną,

butwiejącą zawartość w całej jej śmierdzącej chwale: kartki papieru oraz koperty zbite w jedną, żółtą masę; zdjęcia i szkolne zeszyty; Biblię i słownik; parę wełnianych rękawiczek; rojące się kłębowisko larw chrząszczy.

Zamknęła szufladę i zaczerpnęła głęboko tchu, marszcząc nos pod wpływem straszliwego smrodu. W drugiej znalazła jednak to, czego szukała: dziennik. Jej dziadek wspominał o nim w liście, a ona sama miała sen o starym mężczyźnie piszącym za tym biurkiem, wizję człowieka, który badał „mitotwory” z lasu Ryhope.

Notatnik również był przesiąknięty wodą i spleśniały, choć miał grubą skórzaną okładkę i był owinięty w kawał ceraty. W ciągu wszystkich tych lat przez otwór w dachu nad biurkiem do środka przedostało się zbyt wiele wody, która przesączała się na cenne stronice.

Znowu jednak dostrzegła, że ktoś już zaglądał do księgi. Gdy rozkleiła strony, tom otworzył się przy końcu, gdzie między dwoma kartami umieszczono zielony liść. Odwracała je ostrożnie. Potrafiła odczytać słowa, choć znaczna część atramentu została wypłukana, a gdzieś tam papier przeżarła pomarańczowa pleśń. Gdy dziewczynka dotarła do strony, na której staranne, zaokrąglone pismo można było z łatwością odcyfrować, pochyliła się i zaczęła czytać.

...Kształty mitotworów wciąż gromadzą się na granicy mego pola widzenia. Dlaczego nigdy nie w środku? Ostatecznie te nierealne obrazy są jedynie odbiciami. Postać Hooda była nieco inna – raczej brązowa niż zielona, twarz mniej przyjazna, bardziej udreńczona i wynędzniała...

Tallis poczuła się zbита z tropu. Hood? Robin Hood? Spojrzała na tytułową stronę dziennika, oddzielając ją od okładki. Zauważyła, że ręce jej drżą. Starła się nie uszkodzić księgi bardziej, niż zrobiły to już lata deszczu i zgnilizny. Na frontyspisie były słowa. Wpatrywała się w nie długo i intensywnie:

*George Huxley.
Sprawozdanie z obserwacji
występujących w lesie zjawisk. 1923–1945.*

Po jakiejś minucie bezgłośnej kontemplacji Tallis przerzuciła ostrożnie strony, wracając do właściwego dziennika:

...mitotwory rodzą się z mocy nienawiści oraz strachu i formują w naturalnym lesie, który mogą opuścić – jak postać Artura czy Artoriusa, potężnego jak niedźwiedź mężczyzny obdarzonego przywódczą charyzmą – bądź też pozostać w naturalnym otoczeniu, tworząc ukryte ognisko nadziei – postać Robin Hooda, być może Herewarda i oczywiście bohatera nazwanego przeze mnie Gałęźnikiem... Wynne–Jones sugeruje, byśmy wrócili do lasu i odwołali Gałęźnika w głąb, być może na polanę na górskim grzbiecie, gdzie mógłby pozostać w silnym dębowym wirze i po pewnym czasie zaniknąć. Wiem jednak, że przedostanie się w głąb kniei wymagałoby ponadtygodniowej nieobecności, a biedna Jennifer już teraz jest głęboko przygnębiona moim zachowaniem...

Tallis nie przestawała odwracać kartek, aż wreszcie dotarła do stronicy zaznaczonej liściami. Pismo było niewyraźne, atrament rozmazany i niemal natychmiast natrafiła na słowo, którego w ogóle nie potrafiła przeczytać. Gdy jednak przesunęła wzrok niżej, wpadł jej w oczy inny fragment:

...Gdy wrócił do siebie, powtarzał sformułowanie „zakazane miejsca”, jak gdyby był to jakiś sekret, który rozpaczliwie pragnął mi przekazać. Później dowiedziałem się tego: zapuścił się w las głębiej niż...

Potem, w doprowadzającej do szału analogii z listem od dziadka, słowa stały się niezrozumiałe.

Wpatrując się w kartę, podjęła decyzję. Będzie musiała poprosić ojca o pomoc w odcyfrowaniu tekstu. Owinęła dziennik w ceratę, wepchnęła go

sobie pod pachę i zamknęła szufladę. Poczowała się tak, jakby zakłócała spokój zmarłym, wiedziała jednak, że przyniesie dokument z powrotem.

Zwróciła się ku ongiś oszklonym drzwiom, chcąc opuścić dom i wrócić do siebie, lecz usłyszała na zewnątrz jakiś dźwięk, który sprawił, że podskoczyła ze strachu. Coś poruszało się, szeleszcząc w podszyciu. Niemal natychmiast pomyślała: „Połamaniec!”

Podbiegła szybko do drzwi i zaczęła je otwierać w nadziei, że zobaczy na polanie czekającego na nią jelenia... lecz zamarła, a potem szybko cofnęła się o dwa kroki, ujrawszy zbliżającego się ku niej między drzewkami najwyższego i najdziwniej wyglądającego mężczyznę, jakiego w życiu widziała. Od kaptura na głowie aż po toporne buciory na nogach był opatulony w srebrzystoczarne futro, które sprawiało wrażenie wilgotnego. Wokół ramion i nóg oraz w pasie przewiązane było szerokimi rzemieniami, z których zwisały lśniące odłamki białej kości, kamienie oraz martwe, wyschnięte ptaszki, wciąż pokryte ciemnymi piórami. Ukryta pod kapturem, wpatrująca się intensywnie w dom twarz wydawała się bardzo ciemna, lecz Tallis nie była z początku pewna, czy to brud czy broda.

W krótką chwilę po tym, gdy dziewczynka zdążyła się ukryć za dębem o pniu w kształcie litery V, postać mężczyzny przesłoniła wpadające do środka światło. Był tak wysoki, że musiał się schylić, by wejść do gabinetu. Co dziwne, choć był gorący letni dzień, biła od niego woń śniegu oraz wilgoci. Z walącym sercem przycupnęła nisko za zimnym, twardym drzewem, przyciskając do piersi dziennik Huxleya. Gdy mężczyzna torował sobie ostrożnie drogę przez szczątki, odsuwając nogami na boki kawałki drewna i szkła, Tallis okrążyła pień, tak by cały czas zasłaniał ją przed nieznanym.

Ten oddychał powoli, szepcząc do siebie słowa, które chwilami brzmiały jak warkot.

Nagle w innym pomieszczeniu rozległ się trzask pękającego drewna. Jakiś głos o wyraźnie kobiecym brzmieniu wykrzyknął coś

niezrozumiałego. Mężczyzna w gabinecie również odpowiedział krzykiem. Tallis zaryzykowała spojrzenie zza pnia i ujrzała, że przybysz, odsunawszy kaptur, zmierza ku drzwiom prowadzącym z gabinetu do korytarza. Gęste, czarne włosy, które wyglądały na przetłuszczone, związał w kokardę na czubku głowy oraz w zwisające z obu skroni dwa długie warkoczyki. Nad każdym z nich namalowane były po dwa czerwone paski. Z rzemienia związującego włosy zwisała czaszka kosa. Jej żółty dziób był wetknięty w ciasno zbite kłaki z tyłu głowy.

Gdy jego siła strzaskała wreszcie drzwi, mężczyzna wyszedł z gabinetu. Tallis natychmiast wypadła z budynku, ściskając kurczowo ciężki dziennik. Za plecami usłyszała krzyk. Odziana w futro postać przemknęła z hałasem przez pomieszczenie. Tallis wrzasnęła głośno, zatrzasnęła drzwi i przebiegła między drzewkami, docierając do wiodącej w bezpieczne miejsce ścieżki. Zawahała się jednak, ujrawszy coś kącikiem oka.

Z podszycia przyglądał się jej chłopiec. Gdy wyszedł na otwartą przestrzeń, niemal dorównywał jej wzrostem. Był opatulony w takie samo srebrzystoczarne futro jak mężczyzna. Krótkie włosy również miał związane w sterczący na szczycie głowy kosmyk. Nosił na nich białą opaskę, z której zwisało kilka łapek maleńkich ssaków. Policzki wysmarował sobie zieloną i białą farbą. Przyglądał się Tallis wybałuszonymi, czarnymi jak węgiel oczyma. Zauważyła, że w jednej ręce ściska małą, drewnianą figurkę.

To było wszystko, co zdążyła spostrzec, nim chłopiec zaczął wrzeszczeć ile sił w płucach, wskazując na nią. Wykrzykiwał tylko jedno słowo. Tallis zapamiętała je, uciekając przed ociężałym mężczyzną, który zaczął ją ścigać.

– Rajathuk! Rajathuk!

Pomknęła przez ciemny bór, skręcając w podszycie, gdy znowu wyczuła, że ktoś stoi obok niej, choć oglądając się za siebie, nie dostrzegła nikogo. Słyszała, jak wysoki mężczyzna z gabinetu, mrużąc, szarpie się z

ciernistym krzakiem, w którym uwiązł. Wybiegła na światło dnia i wdrapała się na ogrodzenie.

Gdy znalazła się za nim, spojrzała w las, cofając się ostrożnie przez wysoką trawę. Wietrzyk poruszał drutem kolczastym i szeleścił liśćmi. Z półmroku wyłoniła się powoli męska twarz otoczona całunem zieleni. Mężczyzna popatrzył na Tallis, po czym zmarszczył brwi. Dziewczynka stała bez ruchu, zastanawiając się, czy nieznajomy wyjdzie pomiędzy drzew, by ją ścigać. Po chwili jednak oblicze zniknęło.

Nie było pomalowane. Nie miało brody.

Gdy wracała do domu, towarzyszyło jej niesamowite wrażenie, że ktoś podąża za nią przez chaszczę, tuż poza zasięgiem jej oczu.

Przez całe popołudnie i wczesny wieczór była pochłonięta lekturą. Zaczęła co nieco rozumieć z nabazgranych urywków, choć większa część tego, co potrafiła odczytać, wykraczała poza jej pojmowanie. Gdy oczy zaczęły zachodzić jej łzami z wysiłku, zamknęła księgę i zniosła ją na dół. Ojciec siedział w salonie, pracując za okrągłym stołem. Między palcami trzymał zapalonego papierosa. Podniósł wzrok, gdy Tallis weszła cicho do izby, wyjęła mu papierosa z dłoni i zgasiła go w szklanej popielniczce.

Z pokoju muzycznego dobiegały dźwięki gam. Margaret Keeton postanowiła poćwiczyć godzinę, żeby rozluźnić palce. Kiedy Tallis położyła tom na stole, gamy ustąpiły miejsca dźwiękom sonaty. Odprężona dziewczynka napawała się znajomymi, delikatnymi tonami.

Ojciec pociągnął nosem, po czym popatrzył znacząco na wilgotną książkę.

– Co to takiego? Śmierdzi. Gdzie to wygrzebałaś?

– W lesie Ryhope – odrzekła Tallis.

Ojciec popatrzył na nią ze śladem irytacji na twarzy. Posiwiące włosy miał wilgotne po myciu – Keetonowie wybierali się wieczorem na kolację – i pachniał lekko płynem po goleniu.

– Znowu fantazje? – zapytał, zamykając akta, nad którymi pracował.

– Nie – odparła stanowczo. – Była w biurku w ruinach tego domu na skraju lasu. Oak Lodge. Poszłam go zbadać.

Ojciec popatrzył na nią, po czym uśmiechnął się.

– Widziałaś jakieś duchy? Albo ślady obecności Harry’ego?

– Nie było duchów – odpowiedziała, potrząsając głową. – Ani Harry’ego. Ale widziałam mitotwór.

– Mitotwór? – Chwila zastanowienia. – To jedno z nonsensownych słów twojego dziadka. Co to właściwie jest? Co ono oznacza?

Podsunęła dziennik siedzącemu ojcu i otworzyła go na jednej z łatwiejszych do odczytania stron, gdzie woda nie pokryła papieru plamami atramentu, a bazgroły Huxleya były bardziej czytelne niż w często spotykanych, pisanych jakby w gorączce fragmentach.

– Próbowałam odczytać niektóre fragmenty, ale nie radzę sobie za dobrze. Ta strona jest jednak łatwa...

Keeton wpatrzył się w słowa, po czym zaczął cicho czytać:

– Odkryłem wyraźne przepływy energii mitotwórczej w obrębie kory: kształt mitotworu wywodzi się z prawej półkuli, a jego realność z lewej. Gdzie jednak mieści się strefa genezy premitotworów? WJ jest przekonany, że kryje się ona głęboko w pniu mózgu, najprymitywniejszej części struktury neuromitogenetycznej. Niemniej, gdy tylko wywołuje w lesie mitogenezę, wzrasta aktywność mózdzku. Nasz sprzęt jest zbyt prymitywny. Niewykluczone, że mierzymy niewłaściwą energię psychiczną... To wszystko bzdury. Nie ma w tym żadnego sensu. Brzmi naukowo, ale to tylko bełkot... – Odwrócił stronę. – Postać Hooda wróciła, w bardzo agresywnej formie. Ten Robin to nie jeden z wesołej kompanii, lecz prehistoryczny leśny demon...

Spojrzał na córkę, marszcząc brwi.

– Robin Hood? Prawdziwy Robin Hood?

Tallis skinęła energicznie głową.

– I Zielony Jaś. I Artur. I szlachetny rycerz sir Galahad. I Gałęźnik...

– Gałęźnik? Cóż to takiego, u licha?

– Nie wiem. Jakiegoś rodzaju bohater. Z czasów przed nadejściem Rzymian. Są też bohaterki, niektóre z nich bardzo dziwne. Wszyscy przebywają w lesie...

James Keeton raz jeszcze zmarszczył silnie brwi, próbując zrozumieć.

– Co ty opowiadasz? Że ci ludzie nadal żyją w lesie? Przecież to głupota...

– Oni tam są! Tato, widziałam niektórych z nich. Zakapturzone kobiety. Dziadek też o nich wiedział. Czasami wychodzą z lasu i szepczą do mnie.

– Szepczą do ciebie? A co?

Z pokoju muzycznego dobiegły gwałtowne akordy. Tallis popatrzyła na dzielącą ich od matki ścianę, po czym ponownie zwróciła wzrok ku ojcu.

– Jak robić różne rzeczy. Na przykład lalki i maski. Jak nadawać nazwy. Jak przypominać sobie opowieści... jak widzieć wydrążenia...

Keeton potrząsnął głową. Sięgnął po następnego papierosa, lecz bawił się nim tylko, obracając go w palcach i nie zapalając.

– Nie nadążam za tobą. To jedna z twoich zabaw, prawda? Jedna z twoich fantazji?

Jego słowa rozgniewały Tallis. Odgarnęła włosy i przeszyła ojca posępnym, zimnym spojrzeniem.

– Wiedziałam, że to powiesz. To jest twoja odpowiedź na wszystko...

– Spokojnie – ostrzegł ją, kiwając lekko palcem. – Nie zapominaj, kto tu rządzi...

Tallis, nie zmieszana, spróbowała raz jeszcze.

– Widziałam ich. Naprawdę widziałam. Jelenia. Mojego Połamańca. Wszyscy wiedzą, że już dawno powinien zdechnąć. Ale on nadal żyje...

– Ja go nigdy nie widziałem.

– Widziałeś! Kiedy się urodziłam. Wiesz też, że spotykano go w pobliżu lasu od czasów, gdy byłeś jeszcze chłopcem. Wszyscy o tym wiedzą. On jest legendą. Istnieje naprawdę, ale wywodzi się stąd! – Tallis stuknęła się palcem w głowę. – I stąd... – Zrobiła to samo z głową ojca. – Wszystko to jest w tej książce.

Keeton dotknął otwartej strony, wziął ją w dwa palce, a potem odwrócił. Milczał przez długi czas. Papieros złamał się w jego dłoni. Pozwolił mu upaść na podłogę. Być może czuł się rozdarty między dwoma sprzecznymi przekonaniem: że jego córka jest lekko stuknięta i że leży przed nim dziennik naukowca zawierający stwierdzenia równie osobliwe jak wizje Tallis...

Do tego widział Połamańca i nie mógł zaprzeczyć faktowi, że w tym jeleniu jest coś niezwykłego.

Znowu się pochylił i przerzucił zawilgocone stronicę.

– Strefy mitogenetyczne – przeczytał, przesuwając wzrokiem po linijkach. W jego głosie brzmiało niedowierzanie, a potem jawna niewiara. Artykułował słowa tak, jak gdyby chciał powiedzieć: „To jest zdumiewające, a to po prostu niewiarygodne”.

– Wiry dębowe! Strefy jesionowo-dębowe... pamięć siatkowa... premitotworowe wiry twórczej energii... macierze linii mocy, na Boga. Obrazokształty żywiołaków...

Zatrzasnął tomiszczę.

– Co to wszystko znaczy?

Obrzucił Tallis mrocznym spojrzeniem, lecz był raczej zdezorientowany niż rozgniewany.

– Co to znaczy? To wszystko tylko...

– Bełkot! – dokończyła za niego, wiedząc, jakiego słowa użyje. W jej ustach zabrzmiało ono szyderczo. – Ale to nie jest bełkot. Masz sny. Wszyscy je mają. Ludzie zawsze je mieli. To jest tak, jakby te sny stały się

rzeczywistością. Wszyscy bohaterowie i bohaterki z książek z bajkami, wszystkie ekscytujące rzeczy, które zapamiętaliśmy z czasów młodości...

– Słuchajcie dziewczynki. Słuchajcie... jak mówi. Jest opętana...

– Wszystko to jest w jakiś sposób realne w lesie Ryhope – kontynuowała Tallis, ignorując jego zdumienie. – To miejsce snów...

Westchnęła i potrząsnęła jasną głową.

– Dziadek na pewno rozumiał to lepiej ode mnie. Rozmawiał z człowiekiem, który napisał ten dziennik. Potem napisał do mnie list w mojej książce z ludowymi klechdami.

– Czytałem go – wyszeptał Keeton. – Jest bez sensu. Same głupoty. Stary człowiek, który miał sklerozę. Który był umierający – dodał smętnym tonem.

Tallis skrzywiła twarz, po czym przygryzła wargę.

– Wiem, że był umierający, ale nie stracił zmysłów. Po prostu nie rozumiał wszystkiego. Tak samo jak ty. Tak samo jak ja. Powiedział jednak w liście coś, co zaczynam teraz pojmować. A w dzienniku... – zwróciła się szybko ku zaznaczonej liściem stronie, gdzie atrament spłynął tak bardzo – ...ten fragment jest ważny, ale nie potrafię go odczytać. Myślałam... myślałam, że mógłbyś mi w tym pomóc. Widzisz? Tutaj, gdzie jest napisane: „Zakazane miejsca...” Umiem przeczytać to zdanie, ale nic więcej.

Keeton wpatrywał się w zamazany tekst przez długi czas. Poskubał się w dolną wargę, potarł pokryte bruzdami czoło, westchnął, a wreszcie pochylił się nad książką, by przyjrzeć się uważnie pismu. Na koniec wyprostował się.

– Tak – powiedział. – Potrafię to odcyfrować. A przynajmniej przeczytać słowa...

WJ wrócił z lasu. Nie było go cztery dni. Jest bardzo podekscytowany, a także poważnie chory. Ucierpiał od zimna. Dwa palce ma nieładnie odmrożone. Natknął się na klimat znacznie ostrzejszy niż nasza chłodna, wilgotna, jesienna Anglia: był

w zimowej krainie. Potrzebował prawie dwóch godzin, żeby „odtajać”. Palce miał zabandażowane. Pił zupę tak, jakby nigdy miało nie być jutra. Gdy wrócił do siebie, powtarzał sformułowanie „zakazane miejsca”, jak gdyby był to jakiś sekret, który rozpaczliwie pragnął mi przekazać.

Później dowiedziałem się tego: zapuścił się w las głębiej, niż robiliśmy to do tej pory. W subiektywnym czasie upłynęły dla niego dwa tygodnie. To przerażająca myśl. Ten prosty relatywistyczny efekt wydaje się ograniczony do niektórych stref boru. Mogą istnieć inne, oddziałujące na upływ czasu w ludzkim ciele w przeciwny sposób: tradycyjny czas baśniowego świata, gdzie wędrowiec wracający po rocznej podróży przekonuje się, że minęło sto lat.

WJ mówi, że ma na to dowód, lecz bardziej ekscytuje go to, co nazywa swymi „duchostrefami”. Muszę zapisać, tak jak potrafię, jego chaotyczną, niejasną relację z przeżytych niedawno doświadczeń.

Jest teraz przekonany, że mitogenetyczny efekt tworzy nie tylko niedotykalne, tajemnicze postacie bohaterów z podań i legend, lecz również zakazane miejsca z mitycznej przeszłości. Powinno to być oczywiste. Legendarne klany i armie – takie jak starożytni shamiga, którzy strzegą rzecznych brodów – są powiązane z miejscami. Ruiny zamków oraz stare obwarowania również należą do tej kategorii. WJ dostrzegł jednak przelotnie królestwa, które nazywa duchostrefami, archetypiczne krainy wytwarzane przez pierwotne energie dziedzicznej nieświadomości zagubione w starszych częściach mózgu. Natrafił na mitotwór, który nazywa „skowyczącym” z uwagi na śpiewny okrzyk, jaki owa postać wydaje, nim przejdzie z lasu do duchostrefy, którą stworzyła, czy też której pojawienie się spowodowała.

Duchostrefa jest logicznym archetypem, w logiczny sposób generowanym przez umysł. Może być zarówno upragnionym królestwem, jak i tym, które budzi największy lęk; miejscem początku bądź miejscem końca; krainą życia przed narodzeniem lub życia po śmierci; okolicą wolną od wszelkich trudów żywota albo taką, w której życie poddawane jest próbie i gdzie osiąga się przejście z jednego stanu do drugiego. Podobne królestwo najwyraźniej istnieje w sercu lasu. W mitycznych ruinach licznie spotykanych w zewnętrznych strefach puszczy można znaleźć wiele świadczących o tym wskazówek.

WJ widzi w „skowyczącym“ strażnika drogi wiodącej do tego kraju. Jest jasne, że to postać szamana. Jego atrybuty stanowią: twarz pomalowana na białą, lecz z oczyma i ustami zaznaczonymi czerwonymi pręgami; ciało odziane w obszarpane pasma nie wyprawionej skóry, niektóre poczerńnięte ze starości, inne zaś świeże i jeszcze zakrwawione; naszyjnik z odciętych ptasich głów, na którym centralne miejsce zajmują długodziobe ptaki, takie jak czaple, bociany i żurawie, a z tyłu znajdują się kolorowe dzioby mniejszych ptaszków; rozmaite grzechotki i gwizdki umożliwiające naśladowanie ptasich pieśni; taneczne ruchy imitujące brodzącego ptaka dziobiącego skryty pod wodą muł.

WJ będzie próbował powiązać to z mitami o ptakach jako posłańcach od zmarłych, ptakach–omenach oraz przybieraniu ludzkiego kształtu. (Z punktu widzenia ptaka widoczne są wszystkie najdalsze krańce kraju i szaman, by podzielić tę dalekowzroczność, przywdziewa symbole lotu.) Niemniej jednak „skowyczący“ ze swą funkcją pełnią u wejścia do nieba lub piekła jest bardziej interesujący niż ów prosty szamanizm. Wydaje się, że jest on zdolny stworzyć te przejścia. Wiara w podobne rzeczy musiała być ongiś bardzo silna. Duchostrefa, którą widział WJ, była zimową krainą. Przez trzy dni wiał z niej piekielny, mroźny wicher, a „skowyczący” siedział przed nią zwrócony ku nieproszonemu gościowi, niemal prowokując go, by się zbliżył. WJ ucierpiał wówczas, choć wydaje się, że „skowyczący” nie poniósł żadnego uszczerbku. Na koniec podniósł się, przeszedł przez bramę do swej duchostrefy i zwinął przestrzeń za sobą.

Gdy James Keeton podniósł wzrok znad poplamionego tekstu, zobaczył, że jego córka stoi przy oknie, spoglądając na niego przez prymitywnie wydłubane oczy biało–czerwonej maski, którą przycisnęła do twarzy.

– Skowyczący? – zapytał. – Duchostrefy? Shamiga? Czy rozumiesz, co to wszystko znaczy?

Tallis opuściła maskę. Jej ciemne oczy lśniły, a blada skóra drżała. Patrzyła na ojca, lecz jednocześnie spoglądała na wskroś niego.

– Drażący... – wyszeptała. – Skowyczący... drażący... to jest to samo. Strażnicy. Twórcy ścieżek. Twórcy królestw duchów. Opowieść staje się jaśniejsza...

Był zbity z tropu.

– Opowieść? Jaka opowieść?

Mówiąc te słowa, podniósł się na nogi, poprawił szelki i zaczął chodzić po salonie, w którym dawał się wyczuć silny odór ziemi i butwiejącego drewna.

– Opowieść o Starym Zakazanym Miejscu – wyjaśniła Tallis. – O podróży do Starego Zakazanego Miejsca. Duchostrefy Harry’ego. Tak blisko, a zarazem tak daleko... – Nagle ogarnęło ją podniecenie. – To właśnie powiedział mi Harry. Pamiętasz, jak ci o tym mówiłam?

– Przypomnij mi.

– Powiedział, że udaje się w strasznie dziwne miejsce, które leży bardzo blisko, i zrobi, co będzie mógł, żeby być z nami w kontakcie.

Podeszła do ojca i ujęła go za rękę. Keeton zamknął obie dłonie wokół jej małych, zimnych palców.

– Wyruszył do lasu – kontynuowała. – Ale zapuścił się dalej. Przeszedł przez wydrążenie do duchostrefy. Myślałam, że to tylko wizje, ale to są bramy. On jest tutaj, tato. Jest wszędzie wokół nas. Przebywa gdzieś blisko. Być może właśnie w tej chwili próbuje wrócić do domu. Mógłby nawet być w tym pokoju, ale dla niego... ten pokój jest czymś innym: lasem, jaskinią, zamkiem. Nieznaną krainą.

Ponownie uniosła maskę do twarzy. Z innej epoki spojrzały na Keetona złowieszcze rysy.

– Ale przebywa w niewłaściwej części drugiego świata – wyszeptła Tallis z za drewna. – Jestem już tego pewna. Trafił do piekła. Dlatego właśnie mnie wezwał. Zabłądził w piekle i chce, bym go odnalazła.

Opuściła maskę z dezorientacją malującą się na twarzy.

– Stworzyłam trzy bramy. Drażyłam trzy razy. Ale otworzyłam je wyłącznie dla zmysłów. Mogłam tylko widzieć różne rzeczy, słyszeć dźwięki i czuć zapachy... nie... na łące Stretley Stones rzucałam kamienie

do drugiego świata. Ale nie umiem jeszcze wędrować. Nie wiem, jak otwierać przestrzeń i zamykać ją za sobą, tak jak czyni to „Skowyczący”...

Jej ojciec miał zaniepokojoną minę.

– Nie masz chyba zamiaru uciec, co? Do piekła? Będę musiał położyć temu kres. Kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat, będziesz mogła robić, co zechcesz.

Tallis uśmiechnęła się i wyjrzała przez okno, spoglądając nad trawnikiem i płotem na grań Morndun.

Jak wędrować? Oto było pytanie.

Co napisał do niej dziadek? „Postawiłem swój znak na tym strzępiastym drzewie. Kiedy zrobisz to samo, będzie to oznaczało, że jesteś gotowa usłyszeć najeźdźców”.

Przez całe życie słyszała odgłosy jadących konno ludzi tam, gdzie nie można było ich dostrzec. Wyglądało na to, że dziadka Owena straszyły te same duchy. Wiedział więcej, niż napisał w książce z legendami...

– Muszę odszukać Połamańca – powiedziała. – Strzępiastego jelenia. Muszę go naznaczyć.

– Uparcie wierzysz w tego ducha... – wtrącił ojciec łagodnym tonem.

– Tak. Ty też powinienes w niego uwierzyć, tato. Kiedy odnajdę i naznaczę Połamańca...

– Jak to zrobisz?

– Nie jestem jeszcze pewna. Ale kiedy to zrobię, będę mogła postawić pierwszy krok do lasu. Przyrowadzę tutaj Harry’ego. Obiecuję. To jest w opowieści. Jestem tego pewna. To jest w opowieści. Gdybym tylko znała jej zakończenie...

W opowieści!

Jej dziadek słyszał o Lesie Kości. Wspominał w liście o „Ash”. Czy znał też inne legendy i wiedział o Starym Zakazanym Miejsu?

Opowiedzą ci wszystkie historie, napisał. Przez całe życie układała spokojne opowiadania, przygodowe epepeje, smutne baśnie o zaginionych

rycerzach oraz zabawne historyjki o ludziach mieszkających w lesie. Może więc znała już wszystkie: może opowiedziała jej jej Biała Maska. Podejrzewała jednak, że tak nie jest. Miały jeszcze nadejść dalsze: kolejne fragmenty najstarszej ze wszystkich opowieści, epickiej wizji, która wypełniała jej głowę swym głębokim wąwozem, niewiarygodnymi stworzeniami, gigantycznymi drzewami oraz zamkiem z kamienia, który nie był kamieniem...

Gdzieś w tej opowieści kryły się wskazówki, które pomogą jej odnaleźć Harry'ego. Była teraz absolutnie pewna, że wiąże się ona z jej bratem. Aby sprowadzić go z powrotem, musiała po prostu poczekać, aż się dowie, jak kończy się historia o Starym Zakazanym Miejsu.

Jej ojciec znowu zaczął kartkować dziennik, tym razem z roztargnieniem, być może oszołomiony tym, co słyszał, zmęczony niezwykłością swej córki i jej osobliwym ożywieniem.

– WJ – powiedział. – Ciekawe, kto to był?

Zamknął książkę. Dźwięki pianina ucichły. Na zewnątrz zabrzmiał dzwonek roweru. Pojawił się kuzyn Tallis, Simon, idący przez trawnik z rękoma w kieszeniach. Miał dotrzymać jej towarzystwa wieczorem, pod nieobecność rodziców.

– Zaczynam się ciebie bać – stwierdził James Keeton. – Tego, co mówisz.

– Nie bój się. Nie ma powodu się bać.

Ojciec obdarzył ją zmęczonym, drwiącym uśmiechem.

– Nie ma powodu? Harry wędruje po jakiejś posępnej, śnieżnej duchostrefie, pod ziemią, na granicach piekła, pilnowany przez tych wyjców...

– Przez skowyczącego. Szamana.

Keeton roześmiał się i przesunął dłonią przez wilgotne włosy. W jego śmiechu brzmiała nuta desperacji.

– Dobry Boże, dziecko. Nie wiem nawet, kim właściwie jest szaman! Kojarzy mi się tylko z plemiennymi czarownikami!

– Szamani są strażnikami i nauczycielami wiedzy – wyjaśniła. – Wiedzy o zwierzęciu ukrytym w ziemi. Są przewodnikami w wizji, w opowieści, w znajdowaniu ścieżek.

– Gdzie to wyczytałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu to wiem. Pewnie powiedziała mi któraś z zamaskowanych kobiet.

– Wyszepiała to do ciebie...

– Tak.

– Moce parapsychiczne? Czy o to ci chodzi?

– Szepczące należą do mnie – odpowiedziała. – Stworzyłam je. W pewnym sensie wiem to samo, co one.

– Mitotwory – wydyszał Keeton. – Stworzone z mitów. I wszyscy nosimy je w swych umysłach. Zgadza się?

Tallis skinęła głową.

– Ale nie możemy ich zobaczyć, usłyszeć ani poznać, dopóki nie staną się rzeczywiste – ciągnął. – Powstają w lesie i możemy wtedy z nimi rozmawiać...

– Tak.

– Jakbyśmy rozmawiali ze sobą.

– Ze swym dawnym ja. Martwym ja. Z sobą sprzed tysięcy lat.

– A dlaczego ja nie stworzyłem nic takiego?

– Może jesteś za stary – odpowiedziała z figlarnym śmieszkiem.

– Ale dziadek jakoś sobie poradził.

– Czuł to, co trzeba – mruknęła Tallis.

– A to jest, oczywiście, najważniejsze – stwierdził z uśmiechem jej ojciec. Pochylił się i pocałował ją w czubek głowy. – Zawrzemy umowę. Nie rób nic lekkomyślnego, jak szukanie przygód w podziemnym świecie,

dopóki nie wrócimy z kolacji. Jutro wieczorem, po pracy, pójdę z tobą do domu w lesie. Zaczekamy tam, aż zobaczymy mitotwór. Będę słuchał uważnie, żeby się czegoś nauczyć.

Tallis była zachwycona. Poczowała ulgę, słysząc słowa świadczące, że ojciec zaczyna jej wierzyć, a zarazem ucieszyła ją propozycja, że będzie jej towarzyszył do Oak Lodge.

– Czy naprawdę wierzysz, że Harry jeszcze żyje? – zapytała.

Keeton schylił się, położył dłonie na jej ramionach i skinął z powagą głową.

– Tak! – powiedział z naciskiem. – Wierzę. Nie rozumiem, w jaki sposób ani dlaczego, ale jestem gotowy się tego nauczyć. Jutro. Lekcje zaczną się jutro. Dla mnie i dla twojej matki. Obojgu nam potrzebne są nauki.

Tallis objęła ojca w pasie.

– Wiedziałam, że któregoś dnia mi uwierzysz.

Uśmiechnął się, choć był smutny. W jego oczach widniały łzy.

– Nie chcę cię stracić – wyszeptał. – Musisz spróbować zrozumieć, jak wielki smutek panował w tym domu. Bardzo cię kocham, choć jesteś taka niezwykła. Poza tobą pozostało mi już niewiele. Utrata Harry’ego była straszliwym ciosem...

– Nie straciłeś go na zawsze!

Wielki palec dotknął małego nosa.

– Wiem. Ale teraz go z nami nie ma. Układa się nam z matką... – przerwał skrzepowany. – Czasem dzieje się tak, że dwoje ludzi oddala się od siebie. Margaret kocha cię równie mocno jak ja. Oboje zginęlibyśmy bez ciebie. Nie okazuje uczuć tak łatwo, jak niektórzy, ale nie wolno ci myśleć, że cię nie kocha.

– Wcale tak nie myślę – odparła cicho Tallis, marszcząc lekko brwi. – Tylko że ona tak często się na mnie gniewa.

– Komu w drogę, temu czas... – powiedział Keeton znaczącym tonem. – Idź przywitać się z Simonem.

II

Musiła się zastanowić. Dzień był, skromnie mówiąc, bogaty w wydarzenia. W jej młodym umyśle tłoczyły się obrazy i informacje. Potrzebowała czasu i spokojnego otoczenia, by rzeczy, które widziała, i fakty, które poznała, mogły przybrać wyraźniejszą postać.

Coś ją niepokoiło. Coś, co zobaczyła, czy może przeczytała, próbowało zwrócić na siebie jej uwagę. Czuła się oszołomiona, a zarazem zdeterminowana. Myśl musiała się skryształizować, co oznaczało, że powinna się udać do jednego ze swych tajemnych miejsc.

Z okna sypialni widziała krowy łązące w niewielkich grupkach wzdłuż skraju łąki Stretley Stones. Ciemna linia drzew lasu Ryhope również była wyraźnie widoczna. Zaulek między garażami był pusty i milczący, lecz na grani Morndun, niedaleko od starożytnych, porośniętych lasem wałów, widać było ludzkie postacie. Gdy Tallis przyjrzała się im, rozplynęły się w późnopołudniowych cieniach. Dziewczynka natychmiast poczuła zew.

Ciągnąc za sobą Simona, Tallis wyszła z domu i ruszyła w górę stoku, ku starym fortyfikacjom. Chłopak szedł dumnym krokiem między wyrastającymi z nasypów drzewami i omijał umocnienia, być może wyobrażając sobie mieszkających tu ongiś rycerzy.

Dziewczynka zatrzymała się w wejściu do ziemnego pierścienia. W dawnych czasach bramy mogły strzec olbrzymie głazy albo wysokie pnie drzew. Wały były wówczas strome i wysokie. A w środku, gdzie teraz pasły się owce... co tam było? Wielkie zamczysko, które zawsze sobie wyobrażała? Czy tylko wioska? Albo nawet świątynia? Nie wiedziała tego, choć gdy zapuszczała wzrok do zagrody, przeszywał ją dreszcz, całkiem jakby ktoś przechodził po jej grobie. Przez krótką chwilę poczuła woń

dymu i czegoś jeszcze, czegoś gnijącego, może martwego zwierzęcia. Wieczorny wiatr szczypał ją w oczy. Odwróciła się i spojrzała w stronę domu widocznego po drugiej stronie leżących na stoku pól. Był mrocznym, skrytym w cieniu kształtem. Niebo nad jej głową przesłaniały chmury, ciemne obłoki pędzące ku wschodowi, tworzące niezwykle kształty na nieboskłonie ponad polami ciągnącymi się za farmą Keetonów. W powietrzu wyczuwało się zapowiedź deszczu, choć wczesny wieczór był jeszcze ciepły.

Było coraz ciemniej. Na polach można było dostrzec poruszenia, cień ruchów na niebie. Ziemia zawibrowała lekko pod jej stopami, lecz niesamowite wrażenie szybko minęło.

Zima.

Wszystko, co widziała, wszystko, co składało się na jej obsesję, miało związek z zimą. Dziadek napisał do niej list w zimową noc, a potem wyszedł na łąkę Stretley Stones, żeby usiąść na kamieniu i cichutko umrzeć. Być może ujrzał wizję, która zachwyciła go w ostatnich, mroźnych momentach życia. Opowieści powstające w jej umyśle stawały się najbardziej wyraziste wtedy, gdy myślała o sekwencjach rozgrywających się zimą. Kiedy zobaczyła Scathacha, w krainie panowała zima. Obóz w zaułku, wydrążenie, które zdołała tam wyczarować, emitował nadzwyczaj mocne wonie tej martwej, lodowatej pory roku.

A dzisiaj widziała mężczyznę odzianego w futra!

Oczywiście. To właśnie dobijało się do jej świadomości! Zimne, wilgotne zwierzęce skóry spowijające intruza, który wdarł się do zdewastowanego domu. Przybył tam z mroźnej zimy. Upiekłby się żywcem w letnim upale. Kiedy widziała go w gabinecie, zaczął już z siebie ściągać grube warstwy ochronne.

Podeksytowana Tallis odtworzyła w pamięci wszystkie ruchy i dźwięki towarzyszące spotkaniu. Przybył z głębi puszczy. Wciąż pokrywał go lód. Gdy poprzednim razem była na polanie, śniła o podobnej zjawie...

Zgodnie z dziennikiem Huxleya „skowyczący” strzegł bramy wiodącej do okrutnej zimy, przerażającej duchostrefy.

Było więc możliwe, że goście dotarli do Oak Lodge przez podobne przejście. Tak jest! W lesie było wydrążenie, droga wiodąca do mroźnego świata. Ona również mogła nią przejść, dostać się do królestwa, w którym jej brat żył jako zagubiona i przerażona dusza.

Simon kręcił się po gęstym lesie porastającym wały od północy. Na odgłos krzyku Tallis wyszedł na pole.

– Co się dzieje? – zawołał.

Podbiegła do niego, zdyszana i eksplodująca zachwytem.

– W lesie jest brama. Niedaleko starego domu. Musi tam być. Ludzie w futrach przeszli dzisiaj przez nią. Dlatego byli jeszcze pokryci lodem.

– Kto był pokryty lodem?

– Pradawni ludzie. Było ich dwóch. Mężczyzna i kobieta. Mieli też ze sobą chłopca, który nazwał mnie rajathukiem.

– Ja cię nazywam świruską – stwierdził po chwili Simon. Tallis zignorowała jego opinię.

Wydrążenie prowadzące do zimowego krajobrazu, w niewielkiej odległości od domu. Pozostawało tylko je odnaleźć. Wyobrażała sobie, że Harry przedostał się do drugiego świata właśnie w ten sposób. Miejsce bliskie, tak jest, ale bardzo dalekie.

Musiał najpierw znaleźć sposób, by zostawić swój znak na jeleniu, o ile faktycznie to zrobił. A może... a może zgubił drogę dlatego, że go nie nazaczył.

Co wchodziło w skład rytuału? Jakie było jego znaczenie?

Simon machał ręką przed jej twarzą.

– Tallis! Obudź się, Tallis! Idą faceci w białych fartuchach...

Stała bez ruchu, odwrócona tyłem do drzew. Jej twarz skryły wieczorne cienie. Simon trzymał w ręku długi kij. Oddalał się od niej, uderzając nim o

darń. Szedł w stronę zagrody dla zwierząt. Odwrócił głowę od bramy, spoglądając ku domowi.

Tallis miała już za nim podążyć, gdy z ciemności za jej plecami wyłoniła się ręka, która dotknęła jej barku.

Dziewczynka zamarła bez ruchu. Serce jej waliło. Była przerażona. Druga dłoń dotknęła czubka jej głowy i przebiegła delikatnie palcami po włosach. Zakręciło jej się w głowie ze strachu. Nie słyszała, by ktokolwiek się zbliżał, a mimo to intruzi byli tuż za nią. Czuła na szyi delikatny oddech.

– Simon... – zawołała słabym głosem. – Simon...

Chłopiec odwrócił się. Jego twarz ogarnął wyraz nagłego szoku. Otworzył lekko usta. Patyk wypadł mu z palców. Stał jednak nieruchomo, gapiąc się na Tallis i na tego, kto ją trzymał.

Wzdrygnęła się pod wpływem nagłego podmuchu wiatru. Zaszczypało ją w oczach. Niespodziewana jasność śniegu sprawiła, że zamrugowała powiekami. Co się działo? Co się stało z latem? W powietrzu unosiła się intensywna woń spalenizny. Po zagrodzie poruszało się kilka postaci odzianych w ciemne stroje. Szły od bramy wejściowej ku chacie o dziwnym wyglądzie, z której wnętrza buchały kłęby dymu. Wejścia strzegły dwa ogromne drzewa o odrąbanych gałęziach i grubych, prostych pniach. Na stromych ziemnych wałach wznosiło się wysokie drewniane ogrodzenie. Na czubkach drzew powiewały kolorowe szmatki. Jedna z postaci niosła tyczkę, do której końca przytwierdzono olbrzymie poroże łośa. Skrawki materiału zawiązane na jego łopatach były białe.

Wizja trwała krótko. Ujrzała inny świat tylko na chwilę. Powrócił prawdziwy wzrok. Simon stał przed nią, w odległości kilku jardów. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Dłonie przebiegły starymi, zimnymi palcami po skórze jej szyi, a potem policzka. Biła od nich woń ziemi. Paznokcie były połamane i brudne. Kiedy dotknęły jej warg, nie wzdrygnęła się. Poczowała smak soli.

Dłonie cofnęły się. Głowę Tallis wypełniły szepty. Drzewa trzeszczały i skrzypiały na silnym wietrze, konie rżały i brnęły przez śnieg. Jeźdźcy krzyczeli, a o napiętą skórę uderzały rzemienie. Uprząż pobrzękiwała. Kobiety wrzeszczały. Dzieci płakały i uciszano je. Bęben wygrywał powolny, przeraźliwy werbel. Słyszała ton piszczałek imitujących śpiew ptaków.

Odwróciła się powoli. Dźwięki, które rozbrzmiały nagle w jej umyśle, ucichły. Stała za nią jedna z zakapturzonych kobiet. Jej ciemna szata cuchnęła potem i lasem. Stare dłonie, blade i wychudłe, zawisły przed jej twarzą. Palce zginały się lekko i od czasu do czasu dotykały skóry Tallis. Skośne oczy białej maski przyglądały się jej bez wyrazu. Dziewczynka odniosła wrażenie, że pozbawione uśmiechu usta posmutniały nieco.

Wyciągnęła rękę, dotknęła maski i uniosła ją delikatnie, odsłaniając ukryte pod spodem oblicze. Ciemne, stare oczy popatrzyły na nią z głębokich fałd obwisłej twarzy. Usta uśmiechnęły się, lecz wargi pozostały zaciśnięte. Szerokie nozdrza rozdęły się, wciągając delikatnie w płuca letnie powietrze. Spod kaptura wysunęły się kosmyki białych włosów.

– Jesteś tą, która opowiada mi historie – wyszeptała Tallis. – Jak mam cię nazywać?

Nie otrzymała odpowiedzi. Stare oczy nie przestawały z wielkim zainteresowaniem wpatrywać się w twarz dziecka. Wreszcie kościste palce wyrwały maskę z dłoni Tallis, a wargi ponownie wygięły się w najbledszym z uśmiechów.

Który zniknął niemal natychmiast. Grunt zatrzęsł się lekko. Stara kobieta spojrzała z niepokojem na zachód, gdzie wśród drzew coś spłoszyło się nagle. Tallis ujrzała dwie towarzyski Białej Maski i usłyszała ich zatrwożone krzyki.

Ziemia zawirowała.

Tallis zmarszczyła brwi. Zasepiła się jeszcze bardziej, gdy Biała Maska wbiła w nią wzrok, raczej pełen strachu niż przyjaźni. Lśniące oczy

rozszerzyły się lekko w swych gniazdach utkanych ze zmarszczek. Kobieta wyciągnęła prawą dłoń i popchnęła lekko bark Tallis.

– Skovynnen – powiedziała dziwnym szeptem.

– Skowyczący? – spytała Tallis.

– Skovynnen! – powtórzyła nagłym tonem Biała Maska. Stuknęła dziewczynkę w głowę, nim wskazała widoczny na odległym wzgórzu dom Keetonów. Następnie skryła się szybko między drzewami, wlaźła na ziemny nasyp i ruszyła ku miejscu, gdzie otaczające pole żywopłoty wiodły ku lasowi Ryhope.

Tallis podskoczyła w górę ze strachu, gdy odezwał się do niej Simon. Nie zauważyła, że chłopiec zbliżył się i stanął tuż obok. Pogрузyła się w myślach. Tym razem była to jaskrawa wizja, w której kroczyła, sztywno i ostrożnie, wzdłuż krawędzi potężnego urwiska, a jej sercem targała straszliwa rozpacz...

– Kto to był? – zapytał raz jeszcze Simon. Jego twarz utraciła wszelką wyrazistość. Była okrągła, blada i przerażona.

– Moje nauczycielki – mruknęła Tallis. – Ale coś je wystraszyło.

Podeszła szybko do niskiej wyrwy w nasypie i spojrzała na swój dom, który był już tylko ciemnym, kanciastym zarysem na horyzoncie.

– Mówiły... mówiły, że drążę... ale jak to możliwe? Nie rozumiem tego. Co chciały mi przekazać?

Simona opuściła odwaga. Podniósł z ziemi kij, który trzymał teraz jak włócznię nad ramieniem.

– Idę do domu – oznajmił.

Zachód słońca stał się pomarańczową łuną usianą czarnymi pasmami chmur. Widok ten przypominał Tallis pożar widoczny za lasem, za ciemną krainą.

– Zaczekaj! – krzyknęła. Po chwili wahania chłopiec podszedł do niej.

– Boję się – wyszeptał. – To były Cyganki.

– Nieprawda. To moje przyjaciółki.

Spojrzał w stronę lesistego stoku.

– Przyjaciółki?

– Naprawdę! I jedna z nich powtórzyła mi fragment legendy. Muszę ci ją opowiedzieć, żeby się uleżała. Żeby stała się rzeczywista...

– Opowiesz mi w domu.

– Chcę to zrobić teraz. Tu, gdzie był grobowiec.

Simon znowu był zdziwiony. Rozejrzał się wokół.

– Grobowiec? To stary fort. Wiesz o tym. Wyjeżdżali z niego odważni wojownicy z lśniącymi mieczami i szczękającymi tarczami.

– Chowano tu zmarłych – sprzeciwiła się Tallis. – Kości się tliły. Bądź cicho.

Stanął do walki z ojcem i wygnano go w miejsce, gdzie nie było prawdziwego kamienia. Był w tym niezwykłym kraju sam, pominąwszy zwierzynę. Używał do polowania broni z kości, jesionu i wygładzonego obsydianu. Jeździł na dzikich koniach. Towarzyszyły mu psy wysokie w kłębie niczym rumaki. Na włócznie o kościanych grotach nabijał łososie o łuskach wykutych ze srebra. Gdy chciał powędrować daleko przez owo szalone dzieło stworzenia, niosła go w szponach sowa.

Ogarnęła go przemożna potrzeba powrotu do krainy, w której się narodził. Nie było jednak dla niego drogi i choć jeździł na północ i południe wzdłuż wielkiego wąwozu i znajdował jaskinie oraz starożytne grobowce, przez które dął niezwykły wiatr, nie mógł uciec ze snu. Ojczysty świat był poza jego zasięgiem.

Przywiązał swój biały sztandar do poroża łosia i ruszył naprzód na jego grzbiecie, lecz gdy dotarł w wysokie góry, zwierzę go zrzuciło.

Zrobił czołno z kory i pozwolił, by uniosła go rzeka, lecz przespał całą noc, a gdy się obudził, znowu był na brzegu, blisko stromej ścieżki wiodącej do bram zamku.

Spróbował magii i trafił do niezwyklej puszczy. Odnalazł tam wyrzeźbione w drewnie wyobrazenie kobiety, która ożyła w blasku księżyca. Zakochał się w niej, został na dłużej i przepadł na wiele lat.

Z nocy, ze snu, przyszła jednak po niego matka. Ujęła go za rękę i poprowadziła ku wodom rzeki płynącej w wąwozie. Wsadziła syna do barki, gdzie położył się z głową na poduszce z jej szat. Wezwała ducha swego ojca, który pojawił się w postaci zwierzęcia. Podstępem wydobyła z niego magię i wprawiła barkę w ruch. Łódź popłynęła z prądem i tym razem zaniósła go na drugi brzeg. Matka patrzyła, jak się oddalał.

Jego podróż do domu wreszcie się zaczęła.

– Skończyłaś? – zapytał po chwili Simon. Wyglądał na zaleknionego. Tallis zdawała sobie sprawę z jego obecności, lecz myślami przebywała gdzie indziej. Wpatrywała się intensywnie w miejsce, gdzie spotkała zakapturzone kobiety, gdzie wreszcie nawiązały z nią fizyczny kontakt.

Dlaczego tak nagle się wystraszyły?

– Powinniśmy wracać – odezwała się roztargnionym tonem. – Coś się dzieje... Nie jestem pewna co. Ale się boję.

Simon nie potrzebował dalszej zachęty. Natychmiast ruszył w drogę.

– Nie chcę skończyć na rożnie! – wykrzyknął dramatycznym tonem.

Tallis poirytowało tchórzostwo kuzyna.

– Jesteś już duży i powinieneś wiedzieć, że historyjki o Cyganach opowiada się nam po to, żebyśmy nie wpadali do stawów – zawołała, wybiegając za nim przez przejście między wałami.

– Też tak sądziłem, dopóki te staruchy nie przyszły tu za nami – sprzeciwił się Simon. Dotarł już do podstawy wzgórza.

– Simon! Zaczekaj! Coś jest nie w porządku...

Zatrzymała się w połowie drogi w dół zbocza. W pogrążającej się w mroku okolicy coś się poruszyło. Rzeźba terenu wyglądała teraz inaczej. Drzewa za jej plecami zatrzęsły się. Wydawało się, że cały pagórek zadrżał,

zadygotał. Wiatr, ciepły, letni powiew, zawirował. Niósł ze sobą zapach śniegu.

– Simon! Wracaj...

– Zobaczymy się w domu!

Zrobiło się bardzo ciemno. Coś tu nie grało. Parę chwil temu był jeszcze zmierzch, a teraz zapadła noc, mimo że na zachodnim niebie widziało się ciągle pas jaskrawego oranżu.

Przycupnęła u podstawy Kurhanowego Wzgórza, zdając sobie sprawę, że cały świat się trzęsie. Powierzchnię Potoku Łowcy pokryły gwałtowne zmarszczki. Olchy zakołysały się z sykiem. Nocne chmury nad głową Tallis utworzyły wir, zarys potężnej burzy o ośrodku ponad wałami.

Wyobraziła sobie, że Biała Maska znowu pukają w głowę... powtarzając słowo... skovynnen... skowyczący... drążący...

– Drążę – powiedziała głośno. – To się dzieje za moim pośrednictwem. Tworzę bramę. Ona uwięzi Simona. Simon!

Podniosła się z krzykiem. Jej kuzyn był odległą, nie przestającą uciekać sylwetką. Ziemia wokół niego wiła się niczym wąż. Coś załopotało w powietrzu, rozsypując w locie ciemny pył. Postać chłopca zniknęła.

– Simon!

Zerwała się do biegu. Grunt przed nią rozstał się z głośnym trzaskiem, któremu towarzyszył cuchnący powiew. Na świat wysunął się kamień, wzniosł się w noc, rozrzucając błoto i darń, które następnie opadły w dół. Głaz stawał pionowo ze zwierzęcym piskiem, dwukrotnie, potem trzykrotnie wyższy od niej. Zaczął się przechylać...

Tallis cofnęła się, zdumiona i oszołomiona. Olbrzymi monolit zadrżał i zaczął się przewracać. Runął na drzewo i na ziemię, uderzając w nią z pierwotnym dźwiękiem, od którego przerażoną dziewczynkę ścisnęło w żołądku.

To nie może być moja robota...

Sforsowała wzburzony strumień. Przed nią, w miejscu, gdzie pole zaczęło się wybrzuszać, pojawiła się drewniana kolumna. Jej sękaty pień powyginały i zniekształciły ukryte siły. Pękł niczym drzewo zwalone przez burzę. W miejscu, gdzie odłamany fragment uderzył w grunt, powstał nieregularny łuk. Wieczór rozjaśniło jaskrawe światło zimowego dnia. Przez bramę wpadł obłoczek śniegu, którego dotyk zmroził skórę Tallis.

Poruszała się tam jakaś postać, dosiadający konia mężczyzna, który kazał swemu wierzchowcowi kręcić się w kółko, by zatrzymać go w miejscu, nie pozwolić mu przejechać przez bramę. W lśniącym hełmie oraz żelaznym wędzidle i uździe odbijało się światło. Ujrzała barwny błysk. Zabrzęczał metal.

Tallis skręciła w biegu w prawo, omijając złamane drzewo. Jego korzenie wznosiły się przerażająco w powietrze, uderzały ją i chłostały, tworzyły pętle i łuki, przez które z ukrytych światów dęły mroźne wichry. Tętent kopyt był głośny. Mężczyźni krzyknęli, wzywając ją.

– Nie jestem gotowa! – zawołała. – Nie zabierajcie mnie jeszcze! Nie jestem gotowa!

Gdzie się podział Simon? Co się z nim stało?

– Tallis!

Powolny krzyk był donośny, lecz nie potrafiła rozpoznać głosu. Niemal jej urągał. Cofnęła się od jego źródła, potykając się o splątane korzenie. Wrzeszczała, gdy owinęły się jej wokół nóg. Szarpała je i kopała, chwytając się ziemi, by się uwolnić...

Grunt zadudnił i otworzył się przed nią. Zatoczyła się do tyłu, gdy spod ziemi wyłonił się wielki szary głaz, a obok niego drugi. Utworzyły one bramę, w której lśniło niesamowite światło drugiego świata.

Walczyła z szalonym zimowym wichrem. Pochyliła nisko głowę i wyciągnęła ręce, by odepchnąć się od lodowatej skały. Wszędzie wokół w nocny świat wznosiły się monolity oraz pokryte bliznami pnie drzew.

Ożywali zmarli. Wracała przeszłość, chcąc ją uwięzić, zatrzymać, przywołać do lasu.

Była już na Łące Wietrznej Jaskini. Mało brakowało, by wpadła w kamienną bramę. Nie zauważyła blasku obcych gwiazd między ortolitami, dopóki nie znalazła się niemal między nimi. Skręciła gwałtownie w bok, potknęła się o gruby korzeń, który wypełzał spod ziemi, podniosła się i wreszcie dotarła do bramy ogrodu.

Nie mogła znaleźć klamki. Skoczyła na furtkę, przelazła na drugą stronę i runęła ciężko na trawnik.

Zapadła osobliwa cisza. Tallis stanęła przy płocie i spojrzała na udręczone pola. Ujrzała czarne zarysy drzew i głązów na tle bledszej szarości nieba. Znowu zawołał ją jakiś mężczyzna. Wykrzykiwał jej imię dziwnym, budzącym lęk tonem. Spojrzała w tamtą stronę i dostrzegła trzy ludzkie sylwetki biegnące w kierunku domu.

Po raz trzeci wezwano ją po imieniu. Mężczyźni wspinali się na wzgórze od strony potoku. Jeden z nich prowadził kilka koni. Za nimi, na ziemi, paliły się cztery pochodnie. Biała, człekokształtna postać poruszała się w ich blasku w dziwny, bezładny sposób, całkiem jakby tańczyła. W powietrzu pojawiły się ptaki. Łopot ich skrzydeł powiedział Tallis, że zataczają kręgi. Przyglądała się im przez chwilę, dopóki inny dźwięk nie przyciągnął jej uwagi ku barakom.

Przez krótką chwilę wydawało jej się, że patrzy na drzewo. Potem zrozumiała, że to człowiek. Gdy wyszedł z mroku nocy, zauważyła, że spod ciemnego kaptura, który zasłaniał mu połowę twarzy, wystają długie, cienkie gałązki głogu.

– Głóg – wyszeptała przerażona. – Uważałam cię za przyjaciela...

Uciekła do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i zasunęła rygiel. Zatrzymała się w kuchni, wpatrzona w klamkę. Gdy ktoś spróbował otworzyć drzwi, wrzasnęła i przebiegła przez salon. Zasunęła kotary w tej

samej chwili, gdy o szybę grzmotnął ptak. Jego czarne ciało uderzało o nią przez chwilę, nim odzyskał przytomność i odfrunął w noc.

Drzwi wejściowe były otwarte. Zatrzasnęła je i zamknęła zasuwę. Zauważyła na podłodze korytarza kij Simona. Chłopak biegł szybko. Był bezpieczny.

Na półpiętrze podskoczyła ku oknu, żeby spojrzeć na wały.

Na polu dzielącym dom od lasu mitotworów wciąż płonęły ognie. Poruszały się tam jakieś kształty.

– Nie jestem gotowa – wyszeptała. – Harry! Nie jestem jeszcze gotowa odejść! Nie naznaczyłam Połamańca...

Biała szmatka na rososze poroża. Obraz w wizji był potężny. Jej chrzestne ubranko. Kawałek białej tkaniny przywiązany do ułamanego jeleniego rogu. To właśnie musiała zrobić. Najpierw! Nim odejdzie!

Zakradła się do swego pokoju.

Z uwagą zamknęła za sobą drzwi, nasłuchiwała przez chwilę, po czym zwróciła się do okna, chcąc zobaczyć kto, czy może co, czai się w ogrodzie.

Ujrzała stojącego mężczyznę. Wrzasnęła głośno. Nieznajomy natychmiast ruszył ku niej. Kawałki głogu przytwierdzone do jego włosów szeleściły lekko. Uniósł dłoń, pokazując przerażonej dziewczynce jakiś przedmiot.

Gdy zatrzymał się na środku pokoju, Tallis uspokoiła się. W dobiegającym z zewnątrz bladym świetle dostrzegła, że okno za jego plecami jest otwarte i że to człowiek z ogrodu.

W rękę trzymał Znajdowanę.

– Pochowałam ją na polu – wyszeptała.

Ujął jej rękę w swą szeroką dłoń i wcisnął jej w palce zabrudzony ziemią kawałek drewna. Nieznajomy nie był wysoki. Od jego ciała biła woń liści. Zakrywająca mu twarz maska zrobiona była z miękkiej zwierzęcej skóry porośniętej ciemnym futrem...

– Jesteś Głóg – wyszeptała Tallis. – Uważałam cię za przyjaciela.

Potrząsnął głową. Jego szerokie wargi widoczne pod brzegiem maski rozciągnęły się w osobliwym uśmiechu. Było w nim coś znajomego... Uniósł rękę i wyciągnął cierniste gałązki spod skórzanej opaski na głowie.

– Ubrałem się jak Głóg – powiedział cicho. – Ale jestem przyjacielem.

Jego głos... niósł się w umyśle Tallis natrętnym echem... tak bardzo znajomy...

– To dobra obrona przed padlinożercami – dodał po chwili wahania.

Była zdumiona. Nie tylko brzmieniem jego głosu, lecz również faktem, że mówił po angielsku. Jego niepewna, lecz zrozumiała wymowa była dla niej niespodzianką.

– Znasz angielski – stwierdziła niepotrzebnie.

– Oczywiście. To język mojego ojca.

Zmarszczyła brwi na te słowa.

– A jakim językiem mówi twoja matka?

– Językiem *Amborioscantii* – odpowiedział nie-Głóg.

Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Nic dziwnego – zauważył nie-Głóg. – W tym kraju nie używa się go od pokoleń. *Amborioscantii* są ludem „cieni w kamieniu”. Zbudowali z głazów wielkie miejsce duchów. Z każdego szarego monolitu spoglądają tam twarze zmarłych. Matka była legendarną córką ich największego wodza. Miała na imię Elethandian. Opowieści o niej zapewne istnieją do dziś w twoim świecie, choć ojciec nie był tego pewien. Niemniej jednak jej historia jest straszliwa i ma straszliwe zakończenie. Ojciec znał ją tylko przez krótki czas, kilka lat. Później znowu wezwało ją serce lasu i zniknęła. Mnie zostało po niej tylko najbledsze wspomnienie...

– To smutne... – wyszeptwała Tallis. Jej oczy przyzwyczyły się już do ciemności i zdała sobie sprawę, że ten młody człowiek jest Młodzieńcem w Skórze Jelenia, którego widziała przed rokiem i na którego cześć nadała nazwę Potokowi Łowcy. Teraz jednak miał na sobie pełniejszy strój:

workowatą koszulę, która mogła być wykonana z wełny, oraz spodnie wyglądające na zszyte z wystrzępionych pasemek skóry i płótna. Były to dziwne, nieładne szaty.

Do tego coś w jego głosie... nadal do niej szeptało. Słyszała go już przedtem. Znała tego człowieka z innego miejsca. Być może wiedziała już skąd, lecz nie była przygotowana na odparcie tej myśli...

– Kiedy poprzednio cię widziałam, byłeś nagi – powiedziała. – Nie miałeś na sobie nic oprócz tej maski i butów.

Młodzieniec w Skórze Jelenia roześmiał się.

– Wtedy jeszcze cię nie znałem. Przebywałem w zakazanym świecie dopiero od kilku dni. Umierałem z głodu i ten jelonek ocalił mi życie.

– Ale dlaczego byłeś nagi?

– Dlaczego? Dlatego, że zwierzę na mojej głowie, maska, pomaga mi myśleć po zwierzęcemu. Zwierzę na moich stopach pomaga mi skradać się po zwierzęcemu. Ziemia rozsmarowana na ciele umożliwia ukrycie się. To jedyny sposób, żeby zabić jelenia.

– Czy teraz polujesz? – zapytała śmiało Tallis. – Dlaczego założyłeś maskę?

Uniósł rękę i odsłonił twarz. Jego zielone oczy zaśniły w bladym świetle. Wyglądał na zaniepokojonego, gdy wpatrując się w dziewczynkę, ujrzał jej zaskoczenie. Potem na jego wargach pojawił się cień uśmiechu.

– A więc mnie znasz...

Była oszołomiona. Zdała sobie sprawę, że gapi się na niego z wybałuszonymi oczyma, niemal przerażona.

Co miała powiedzieć? Co mogła powiedzieć? Że przed zaledwie kilkoma dniami widziała, jak leżał ledwo żywy na polu u podnóża dębu? Że patrząc na niego, czuła, jak uchodzi z niego życie?

Młodzieniec w Skórze Jelenia był Scathachem. Powiedział jej to jego głos, a teraz, w blasku księżyca, widziała te same dumne rysy, tę samą delikatną twarz, tę samą siłę, ten sam ogień w oczach.

Co miała powiedzieć?

– Znasz mnie? – zapytał raz jeszcze.

Zakręciło się jej w głowie. Była świadkiem jego śmierci, a teraz powrócił z grobu, by ją odnaleźć. A może nawet nie powrócił. Tworzyła wizje. To był nowy talent. Możliwe więc, że ukazała się jej przyszłość. Oto był Scathach, który stał przed nią tak spokojnie, nieświadomy tego, że jest jedyną posiadaczką wiedzy o jego spaleniu...

– Scathach... – wyszeptała. Oczy zaszyły jej łzami. Stojący przed nią mężczyzna był zdumiony.

Nim jednak zdążył coś powiedzieć, na zewnątrz ktoś zawołał. Scathach podszedł do okna, wyjrzał przez nie i krzyknął coś w jakimś dziwnym języku. Tallis usłyszała nerwowe rżenie konia. Kolejny krzyk, tym razem bardziej naglący.

Scathach wyglądał na przestraszonego.

– Jest bardzo mało czasu – powiedział, zwracając się ponownie ku dziewczynce. – Wydarzyło się coś... zrobiłaś coś... co uczyniło nasz pobyt w zakazanym świecie zbyt niebezpiecznym...

Znowu to określenie. Zakazany świat.

– Musimy iść – mówił. – Potrzebna mi twoja pomoc...

– Który świat jest zakazany? – przerwała mu.

Scathach ponownie zmarszczył brwi, zdziwiony jej pytaniem.

– Ten. Jakiż by inny?

W umyśle dziewczynki rozkwitło fałszywe zrozumienie.

– Oczywiście! Jesteś mitotworem. Stworzyłam cię. Moje sny cię stworzyły. Tak jak było napisane w dzienniku...

Młodzieniec potrząsnął głową.

– Czy jestem mitotworem? Chciałbym to wiedzieć. Ale bez względu na to, czym jestem, nie ty mnie stworzyłaś. Pokonałem długą drogę, żeby tu dotrzeć. Zajęło mi to wiele lat. Spędziłem też cały rok tutaj, obozując w pobliżu świątyni. Badałem okolicę i obserwowałem ciebie.

– Obserwowałeś mnie?

Skinął głową.

– Zajęło mi to pewien czas, ale w końcu zrozumiałem, kim jesteś. Widziałem gaberlungi, zamaskowane kobiety. To one są twoimi mitotworami. Widziałem, jak chodziły za tobą. Widziałem, jak pomagały ci tworzyć skovyny, bramy, niektóre z nich proste, inne szalone... niebezpieczne... dlatego właśnie otworzyłem dla ciebie księgę.

Otworzyłem księgę? Nagle Tallis zrozumiała. Mówił o dzienniku, o tym, jak zaznaczył w nim stronicę.

– To byłeś ty? Ty otworzyłeś go na tej stronie?

– Tak – wyszeptał Scathach. Krzyki na zewnątrz nie cichły. Odciągnęło to na moment jego uwagę. Gdy zwrócił się ku Tallis, w jego głosie ponownie pojawiła się niecierpliwość.

– Ale nie powinnaś zabierać księgi ze świątyni. Nie wolno jej stamtąd wynosić. Czeka tam na wędrowców, podróżników takich jak ja. Musiałem jej długo poszukiwać, nim wreszcie ją odkryłem. To księga o wielkiej mocy. Nie trzeba jej było zabierać ze świątyni.

Przez chwilę zdumiona, zaczęła wreszcie pojmować.

– Ze zburzonego domu? – zapytała. – Chodzi ci o stary dom w lesie? To jest świątynia?

Skinął powoli głową.

– To miejsce, o którym mówią legendy.

– To tylko stare ruiny.

– To pierwszy dom, miejsce pierwszej mądrości, pierwszej wizji. Człowiek, który napisał słowa księgi, narodził się z mulistego brzegu rzeki, z jego związku z korzeniami rosnących tam wierzb. Jego było oko, które widziało, i ucho, które słyszało; jego był głos, który wyśpiewał pierwsze opowieści, i ręka, która napisała słowa. Z jego snów zrodził się las, a z lasu powstały jego proroctwa.

– Gaunt mówi, że to był zgrzybiały dziadyga...

– Nie powinnaś była zabierać księgi – upierał się Scathach. – Jej miejsce jest w cieniście domu, w bluszczowej skrzyni.

Niezwykła opowieść oszołomiła Tallis. „Księga” była zwykłym dziennikiem, napisanym przez naukowca (zgodnie z wszystkimi relacjami ekscentryka) i porzuconym w ruinach domu na pastwę stęchlizny. Dla Scathacha stała się jednak świętością, Graalem, przedmiotem przepojonym głęboką, mistyczną mocą.

– Dam ci ją – oznajmiła. – Możesz ją tam zanieść sam.

– Ty musisz to zrobić – odrzekł ostrym tonem. – Ty ją zabrałaś. Włóż ją z powrotem do bluszczowej skrzyni, w której leżała. W przyszłych latach inni przyjdą przekonać się, co napisano na jej kartach.

– A co z tobą? – zapytała z wahaniem. – Czy znalazłeś to, czego szukałeś?

Scathach milczał. Tallis dostrzegła w bladym świetle, że jego oczy błyszczały, gdy na nią spoglądał.

– Nie – odpowiedział. – Nie sądzę, żebym znalazł. Powody dla których szukałem świątyni, były niezwykle, osobiste. Przybyłem tu coś odszukać, ale do tej chwili nie jestem pewien... czy powinienem się tu znaleźć! Czy też to miejsce naprawdę jest dla mnie zakazane? Wiem jednak, że się boję, i wiem też, że miałem odnaleźć ciebie. Okazało się, że to właśnie jest najważniejsze.

– Mnie? – zdziwiła się Tallis. – Dlaczego mnie?

Zza okna znowu dobiegł nagły męski krzyk.

– Jaguthini zaczynają się niecierpliwić – wyszeptał Scathach. Raz jeszcze odwrócił się, by wyrzucić w noc. Tallis podążyła za nim.

– Jaguthini... – odezwała się, patrząc na trzech jeźdźców. Jeden z nich trzymał wodze konia o ciemnej maści, który należał do Scathacha.

– Moi przyjaciele... prosto z serca lasu. Kiedyś było ich dwunastu... byli dobrymi towarzyszami...

Naraz wydał z siebie dźwięk znamionujący zaskoczenie i grozę. Spoglądał za plecy jeźdźców, w kierunku ciemnej okolicy, przez którą płynął Potok Łowcy. Stała tam biała postać, wyższa niż drzewa. Ujrzał ją po raz pierwszy.

– Zaczyna brakować czasu – wyszeptał. – Z pewnością coś zrobiłaś, jeśli wpuściłaś do krainy tego stwora.

Zwrócił się szybko w stronę Tallis i chwycił ją za barki.

– Co jest twoim gurla! Jak je wzywasz?

– Moim czym?

– Twoją zwierzęcą siłą! Twoim przewodnikiem!

Na twarzy Scathacha pojawił się wyraz przerażenia. Wydał z siebie świadczący o irytacji dźwięk, jak gdyby wreszcie coś zrozumiał.

Zbita z tropu Tallis cofnęła się w mrok pokoju. Myślała o Krainie Ptasich Duchów. Czy jej proste uczynki – odpędzenie padlinożernych ptaków od ciała księcia – w jakiś sposób przywołały bardzo wrogo nastawione stworzenia?

– Dlaczego ważne było, żeby mnie znaleźć? – zapytała po prostu.

– Masz talent skowyczącego. Jest w tobie coś z szamana. Potrafisz otwierać bramy. Ale wątpię, byś była w stanie wędrować przez nie bez pomocy gurla. Jestem uwięziony w tym świecie. Miałem nadzieję skorzystać z twoich umiejętności, by powrócić do królestwa. Choć to miejsce z pewnością jest światem, z którego wywodzi się moje pierwsze ciało, nie jest moją ojczyzną, tak jak było ojczyzną mego ojca. Jaguthini mogą powrócić do serca lasu i niecierpliwie pragną to uczynić. Ale nie ja. To nie jest miejsce dla mnie, Tallis. Puszcza jednak również nim nie jest. Nie potrafię zapuścić się dalej niż punkt na jej skraju, o którym wspominał ojciec: świątynia koni. Bór mnie zawraca. Nie ma już dla mnie miejsca, a mimo to muszę wrócić do domu ojca...

Tallis słyszała smutek w jego głosie.

– Bardzo mocno pragnę zobaczyć go jeszcze raz – dodał po chwili wahania. – Tylko raz, nim wezwie go serce lasu. Nim wiatr duchów zanieśie go do Lavondyss i dalej...

Lavondyss!

Ten wyraz wydał się Tallis krzykiem. Jej serce zabiło gwałtownie, a umysł poszybował. Słowa Scathacha, jego zmartwienia, straciły znaczenie. Zapomniała o smutku młodzieńca pod wpływem wywołanej odkryciem ekstazy.

Lavondyss!

Wreszcie odkryła tajemną nazwę. Wymykała się jej dotąd, urągała, przez całe lata. Zbliżyła się do niej już przedtem. Czowała ją, wyczuwała jej zapach, lecz owo miano prześladowało ją niczym cień, zawsze pozostający poza jej zasięgiem.

A teraz je znalazła! Jak mówił pan Williams, brzmiało bardzo podobnie do Avalon. Bardzo podobnie do Lyonesse. A w tych bardziej znanych słowach pobrzmiwało echo pierwszego, zachowane w folklorze i legendzie wspomnienie najstarszego wyartykułowanego określenia ciepłego, magicznego, zakazanego miejsca... miejsca pokoju. Nazwy tej używano w czasach, kiedy nad światem zapanowała straszliwa zima, kiedy zimno i lód przeganiały łowców na południe, wgryzały się im w kości, szarpały ich włosy, aż wreszcie uciekli przed mroźnym duchem kraju, marząc o bezpieczeństwie.

Było to też miejsce zmarłych, w którym wracali oni do życia. Miejsce oczekiwania. Nie kończących się łowów i nieustannych uczt. Kraina młodości i kobiet, królestwo pieśni i morza. Stare Zakazane Miejsce. Podziemny świat.

– Lavondyss... – wydyszała, smakując brzmienie tego wyrazu, napawając się sylabami, pozwalając, by wywołał obrazy w jej umyśle, by jego dźwięk wysłał przez nią swój duchowy wiatr...

– Lavondyss...

III

Pogrążona w marzeniach, zauważyła, że Scathach przesunął się obok, nie zareagowała jednak. Teraz zdała sobie sprawę, że zniknął. Szybko podeszła do otwartego okna i zobaczyła go. Przykucnął na dachu przybudówki, kilka stóp niżej, gotowy zeskoczyć na dół.

– Nie odchódź! – krzyknęła. – Muszę z tobą porozmawiać. Dowiedzieć się czegoś o Lavondyss!

– To się pośpiesz! – syknął. – Jeśli chcesz iść, chodź teraz!

Mówiąc, znowu zauważyła odległy kształt, który najwyraźniej przestraszył jeźdźców. Zmarszczyła brwi, wpatrując się w mroczne drzewa przy Potoku Łowcy. Jej oczy wypełniła poruszająca się tam niesamowita wizja: olbrzymia, biała, przypominająca ptaka, lecz również człowieka, górująca nad drzewami, ale nie lecąca, a po prostu brodząca przez strumień, wpatrzona w nocną okolicę leżącą bliżej domu.

– Co to jest? – wyszeptała.

Szczegóły nie były wyraźne. Dostrzegała dziób oraz migoczące w ciele światło. Wokół zjawy i ponad nią unosił się ciemny obłok przypominający stado nietoperzy zataczających kręgi na nocnym niebie. Ze świetlistego tułowia wyłaniały się latające kształty, które krążyły powoli nad Łąką Wietrznej Jaskini...

– Nie ma czasu! – krzyknął do niej Scathach. – Musimy uciekać. Natychmiast! Tu jest zbyt niebezpiecznie.

– Jadę z wami – odparła niecierpliwym tonem Tallis. Skupiła wzrok na przerażającej ptasiej postaci, która zdawała się strzec drogi do lasu Ryhope.
– Ale muszę coś zabrać... żeby naznaczyć Połamańca...

– Szybko! – ponaglił ją. Trzech jeźdźców oczekujących przy płocie nawoływało swego wodza. Ich konie kręciły się nerwowo w miejscu, a pochodnie migotały w nocnym powietrzu.

Niebo wypełniły skrzydła.

Tallis pobiegła szybko do sypialni rodziców, otworzyła szeroko kufer, w którym trzymali drogocenną kolekcję zdjęć, ubrań oraz kosmyków włosów. Przerzuciła te śmieci w poszukiwaniu fragmentu poroża, który otrzymała od Połamańca. Znalazła go. Był większy, niż się spodziewała. Zakrzywiona rosocha miała długość kilku cali. Owinięto ją w kawałek pożółkłego ubranka chrzestnego i przewiązano dwoma niebieskimi wstążkami. Wysunęła róg z jedwabiu, po czym wsadziła go z powrotem do kufra, zatknąwszy sobie okruch za pas.

W swym pokoju przeciągnęła sznurek przez oczy masek, zawiązała go i zawiesiła sobie wszystkie na szyi. Były ciężkie. Poruszała się przez to niezgrabnie, gdy szła do łóżka, na którym leżał tajemny dziennik. Zamknęła książkę i podeszła szybko do okna. Scathach siedział już na koniu, po drugiej stronie płotu.

– Jeśli chcesz jechać, to chodź! – krzyknął niemal gniewnie na widok Tallis.

Jeden z jego towarzyszy gnał w kierunku ptasiej postaci z wysoko uniesioną lancą. Kluczył między głazami i drzewami, cwałując przez objęty wydrążeniem teren.

Dziewczynka porwała dziennik i wylazła przez okno na dach przybudówki. Zeskoczyła na trawę, upadając na nią ciężko. Scathach spotkał ją przy bramie i wciągnął na zad konia. Złapała się prawą ręką wełnianej koszuli młodzieńca. W lewej mocno ścisnęła książkę. Maski zagrzechotały u jej boku, gdy Scathach popuścił cugli wierzchowcowi i pogalopował wraz z pozostałą dwójką jeźdźców przez ogarniający pole chaos.

– Co to jest? – krzyknęła Tallis, usiłując przebić się przez ogłuszający szum skrzydeł.

– Oyzin – odkrzyknął Scathach. – Wyczułem, że się zbliża. Myślałem, że uciekniemy, nim się przedostanie. Trzymała się rozpaczliwie ciała młodego jeźdźca. Nogi miała posiniaczone. Podrzucający ją koń sprawiał, że widziała niewyraźnie. Czuła mdłości i strach. Nie mogła jednak oderwać wzroku od niezwyklej istoty widocznej nad Potokiem Łowcy.

– Coś takiego nie może istnieć... – wyszeptała.

– Może – mruknął ponuro Scathach. – Ale Gyonval się z nim zetrze... Teraz! – krzyknął, nagle. Gyonval uniósł lancę, kopniakiem zmusił konia do galopu i popędził w stronę ptakopodobnego stwora.

Kiedy się zbliżyli, Tallis zauważyła, że stado otaczających Oyzina ptaków przelatywało przez jego wydłużone ciało. Wypadały po spirali z zimowej jasności innego świata dostrzeganego między ich piórami, zataczały krąg na ciemnym, burzowym niebie rzeczywistego świata, a następnie cofały się niczym odpływ z powrotem do zimy. Olbrzymie skrzydła unosiły się i opadały. Nocne powietrze przeszył krzyk przypominający głos żurawia. Wokół Tallis zadął gwałtowny wiatr.

Wierzchowiec Gyonvala stanął dęba i wyłamał się w ostatnim odruchu sprzeciwu, nim niezwykle rycerz zanurzył się w drżącym kształcie mitotworu. Rumak w ostatniej chwili wzniósł się w powietrze, jak gdyby zerwał się do lotu. Lanca wbiła się z błyskiem głęboko w pokryte puchem ciało szyi stwora. Następnie koń i jeździec zniknęli z pola widzenia, przeszli przez korpus bestii, zatonęli w wirze skrzydeł i płatków śniegu.

Oyzin eksplodował w bezgłośnym rozprysku śniegu i lodu, ptaków i piór. Tallis pochyliła się. O jej włosy uderzały skrzydła, a plecy bombardowały dzioby. Scathach zamachał rękami, by odgonić oszalałe stado. Kopnął konia, który przeskoczył strumień, potknął się, odzyskał równowagę i pomknął ku osłonie drzew, by uratować życie.

Podążyli za nim ocalali Jaguthini. Po Gyonvalu nie było żadnego śladu. Tallis obejrzała się za siebie i zobaczyła wir jasności odpływający w noc. Gęste stada ptaków towarzyszyły mu, gdy przygasał.

Scathach wiódł ją krętą ścieżką przez pełne głogu kotliny i po omszałych skałach, aż wreszcie dotarli na polanę pod domem, do starego ogrodu. Przyciskała do piersi dziennik Huxleya. Było jej zimno. Książka stanowiła jedyne źródło ciepła. Przystanęli na chwilę na skraju lasu, wpatrując się w martwy dom, milczącą, skapaną w blasku gwiazd polanę z jej zwalonym totemem, jej szmatami, jej duchami. Gdy Scathach upewnił się, że jest bezpiecznie, ruszył pierwszy przez mrok ku drzwiom, po czym pełnił straż na zewnątrz, podczas gdy Tallis włożyła tomiszcze z powrotem do relikwiarza, zamknęła szufladę i wyciągnęła rękę w ciemności, by zasunąć bluszcz i ukryć sekretne miejsce.

Zrobiwszy to, powiedziała bezgłośnie „dziękuję” człowiekowi, którego mądrość stworzyła ów symbol wiary i poszukiwań, po czym wysliznęła się do swego młodzieńca w skórze jelenia.

– Zrobione – zameldowała.

– Mój czas w tym miejscu dobiegł końca – wyszeptał Scathach. – Chodź. Jeśli uformował się Oyzin, padlinożercy nie mogą być daleko – Padlinożercy?

– Widziałaś ich dziś. Tutaj. To łowcy głów, pozeracze ludzkiego mięsa. Zostało bardzo mało czasu, a nadal nie wiem, jakiej magii użyłaś, by ich sprowadzić.

– Kraina Ptasich Duchów – odpowiedziała cicho Tallis. Poczła nagłe drżenie strachu w ciele biegnącego Scathacha. Zatrzymał się i wbił w nią wzrok. Znał tę nazwę.

– Kraina Ptasich Duchów – wyszeptał, potrząsając głową, całkiem jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom. – Co ty narobiłaś? Co ty narobiłaś?

Wyciągnęła nerwowo rękę, by dotknąć jego ramienia.

– Pokażę ci – powiedziała. – To jest łąka. Łąka Stretley Stones. Niedaleko od strumienia...

– A więc szybko...

Poprowadziła go w miejsce, gdzie na kolczastym drucie wciąż grzechotała stara tablica. Podążając granicą lasu Ryhope, trzymając się cieni, bagnistego skraju boru, wrócili na łąkę Stretley Stones. Nie było widać żadnego śladu Oyzina. Niebo, usiane chmurami i jasne, wyglądało na wolne od ptaków. W powietrzu unosił się jednak ostry, nieprzyjemny zapach przypominający wapno bielące.

Tallis ruszyła pierwsza ku Silnemu wobec Burzy. Miała wrażenie, że pozostałe wysokie dęby otaczające łąkę Stretley Stones drżą, gdy się do nich zbliża. Pokazała Scathachowi maskę ptaka, którą wyrzeźbiła na dębie. Przebiegł lekko palcami po płytkiej bliźnie w korze, raczej ją wyczuwając, niż widząc.

– Kiedy ją zrobiłaś? – zapytał.

– Na początku lata – odparła. – Parę miesięcy temu.

Roześmiał się i grzmotnął w drzewo dłonią.

– Wtedy właśnie poczułem, że coś przywołuje mnie z powrotem do lasu. Ktoś chciał naszego spotkania... Właśnie dwa miesiące temu zdałem sobie po raz pierwszy sprawę, kim i czym jesteś...

– Jest tego więcej – poinformowała go Tallis. Pokazała mu, że jej ochronne symbole otaczają całe pole. Wskazała miejsce, w którym pochowała kości kosów, wron i wróbli. Napomknęła o pękach piór przywiązanych do głogów między dębami. Wspomniała o kręgu z moczu i ptasiej krwi, który namalowała wokół pola.

– Kraina Ptasich Duchów – rzekła, przyglądając się z uwagą Scathachowi. Bała się myśli o tym, co wiedziała i co powinna mu zdradzić.
– A wszystko po to, żeby nie pozwolić ptakom dziobać mojego przyjaciela.

Wbił w nią spojrzenie jasnych, smutnych oczu. Czowała zapach jego niepokoju. Wiedziała, że on wiedział.

– Jakiego przyjaciela? – zapytał jednak.

Co miała odpowiedzieć? Co byłoby słuszne? Gdyby zdradziła mu, co widziała, mógłby uciec do lasu, ogarnięty paniką. Mógłby ją zostawić, a był jej teraz potrzebny. Znał las, a także ciągnące się za nim królestwo, w którym został uwięziony Harry. Przysięgła rodzicom, że przyprowadzi brata do domu i od chwili, gdy po raz pierwszy spotkała Scathacha, zaczęła mieć wrażenie, że zdoła wykonać to trudne zadanie. Potrzebowała Młodzieńca w Skórze Jelenia równie mocno, jak on z jakiegoś powodu potrzebował jej. Musiał jej pomóc w zrozumieniu. Potrzebne jej były jego fortele i znajomość lasu. Jego towarzystwo dodawało jej otuchy, a na dodatek wyznała, że go kocha. Był silny i przystojny. Wiedziała, że powinna czuć coś do niego w sercu, w piersi, ale to przyjdzie z czasem. To przyjdzie.

Samolub! Samolub! – powiedziała do siebie, lecz mimo to zdecydowała się na tchórzliwe rozwiązanie.

– To była wizja – skłamała z drzeniem. – Wizja bitwy. Jedna z zakapturzonych kobiet nauczyła mnie, jak je wywoływać...

– Mów dalej...

– Ujrzałam bitwę, którą tu ongiś stoczono. Wszędzie leżeli zabici. Była wczesna zima, zmierzchało i zbliżała się nawałnica. W oddali płonęły ognie. Po usianym trupami polu łążyły stare jędze. Odrąbywały im głowy i ściągały zbroje...

– Bavduin – powiedział Scathach. Jego głos drżał, jak gdyby właśnie wyjawiono mu jakąś straszliwą prawdę. Tallis przyglądała mu się w ciemności. Pamiętała ową nazwę – Bavduin – ze swej opowieści o Starym Zakazanym Miejscu.

– Przegrana bitwa... – ciągnął Scathach. – Zapomniana armia... Bavduin. Widziałas ją. Miałaś wizję miejsca, w którym ją stoczono. I mówisz... – Wyciągnął rękę i dotknął jej barku. – Mówisz, że widziałas tam przyjaciela?

– Nadciągała burza, a poniżej chmur latały ptaki, zataczające kręgi, tak jak te, które wyleciały z Oyzina. To był przerażający widok. Bałam się go.

Pod drzewem, tym drzewem, leżał wojownik. Zawołałam go. Był ciężko ranny. Zdradziłam mu swe imię, a on mi odpowiedział tym, pod którym go odtąd znałam. Było mi go bardzo żal. To był serdeczny przyjaciel. Nie mogłabym znieść, gdyby jego ciało obrabowano, dlatego sporządziłam zakłęcie, które powstrzymało ptaki. Odstraszyłam staruchy. Uciekły, ale wróciły z mężczyzną, druidem czy kimś w tym rodzaju. Jego moc była większa od mojej...

– I co się wydarzyło?

Wzruszyła ramionami.

– Okazało się, że były mu przyjazne. Przyszły, zabrały go i nie zdążyłam ich powstrzymać.

Do dziś pamiętała płomienie stosu zapalonego w lesie u podstawy wzgórza, kobietę nakoni, jej krzyk i jej włosy, pomalowane gliną i jasne jak ogień. Nie mogła jednak powiedzieć Scathachowi, że to jego widziała, jego losu była świadkiem.

Wyprzedził ją jednak. Być może zdradzała prawdę każdym swym gestem, każdą chwilą wahania.

– Jakie imię nosił ten przyjaciel? – zapytał.

Poczuła, że serce jej zabiło.

– Scathach – wyszeptała. – Twoje imię...

Skinął głową z ponurą miną.

– Imię, które nadała mi matka. W języku *Amborioscantii* “scathach” znaczy “ten, który słyszy głos”. Kiedy się narodziłem, przepowiedziano, że zostanę “Dur scatha achen”. To często spotykane proroctwo. Znaczy to “chłopiec, który będzie słuchał głosu dębu”. Zawsze uważałem, że to znaczy, iż gdy dorosnę, będę mocny jak drzewo. Zostanę wojownikiem. Silnym wobec burzy – dodał. Tallis podniosła wzrok ku swemu staremu przyjacielowi, milczącemu dębowi, miejscu wizji.

– Ale może to zawsze znaczyło coś więcej – kontynuował Scathach. – Gdy leżałem pogrążony we śnie, z dębu dobiegł do mnie twój głos. A ty

miałaś wizję tego snu...

Co chciał powiedzieć? Że jest przekonany, iż ich umysły zetknęły się za pośrednictwem duchowego królestwa snów? Sprawiał wrażenie, że nie pojął, iż widziała jego śmierć. Mimo to... być może miał rację.

– Ktoś najwyraźniej chciał mieć pewność, że nasze spotkanie nastąpi – ciągnął. – Kto jednak połączył nas w wizji? Która z zaginionych dusz? Która „parka”?

– Gaberlungi? – wyraziła przypuszczenie Tallis.

Scathach nie był tego pewien.

– To mitotwory. Pochodzą z twoich wspomnień – Albo ze wspomnień dziadka – zauważyła cicho Tallis, pomyślawszy, że owe kobiety znano w okolicy jeszcze przed jej narodzeniem. – A co z padlinożercami? Czy oni mogli nas połączyć?

– Nie – zaprzeczył Scathach. – Przedostali się dopiero dzisiaj...

Oczywiście!

– A zresztą są tutaj za przyczyną tego... – Uderzył dłonią w twardą korę dębu. – Kiedy stworzyłaś Krainę Ptasich Duchów w tym świecie... stworzyłaś ją też w innym. W wielu innych! Tallis, jesteś młoda i pod wieloma względami nie całkiem ukształtowana, ale masz umysł potężniejszy, niż mógłbym sobie wyobrazić. Twoje umiejętności sięgnęły poza las, poza lata. Dokonałaś czegoś, do czego – jak sądziłem – zdolni są tylko niektórzy szamani: przez manipulację lasem w swoim świecie wywołałaś zmiany w puszczech mnóstwa innych wieków. Jest to zdolność, która – jeśli korzystać z niej umiejętnie – daje dostęp do wielu czasów, wielu epok, wielu ukrytych miejsc. Jaguthini, grupa poszukujących rycerzy, korzystali z takich wydrążeń w legendzie od ery, w której opowiedziano pierwsze historie. Każdy z nich jest zdany na łaskę czasu i snu, korzysta z magii ludzi takich jak ty, by dokończyć cykl własnej legendy. Kiedy tworzysz wydrążenie, twój zew rozlega się w przeszłości i przyszłości, a szaman powinien panować nad tym, co przywołuje.

Pogłaskał ptasią podobiznę na Silnym wobec Burzy.

– Ty jednak tego nie potrafiłaś. Użyłaś swej mocy bez zabezpieczenia.

Tallis zauważyła, że młodzieniec dygocze. Gdy ujęła jego dłoń, poczuła, jak zimne ma ciało, jak mocno drży.

Pomyślała o opowieści o Lesie Kości i o Ash, która potrafiła potrząść dwie gałązki, dodać kość i wysłać bystronogiego myśliwego do niezwykłego boru, gdzie łowy miały magiczne właściwości.

Jestem Ash – pomyślała. Jestem Ash.

– Pamiętam, jak ojciec opowiadał o Krainie Ptasich Duchów – mówił Scathach. – To straszne miejsce. Królestwo zimy i powolnej śmierci, w którym stoczono wielką bitwę. Kraj, który więzi dusze. Ciemna strona Lavondyss. Kiedy się ją tworzy, przywołuje ona gniewne duchy z okresu dwudziestu tysięcy lat. Dlatego zjawił się Oyzin i padlinożercy. Z puszczy wyjdzie ich więcej. Kraina Ptasich Duchów jest gniewnym miejscem. Biedny Gyonval... część cyklu opowieści o Jaguthinach zawiera ich Siedem Księżycowych Podróży. W jednej z nich rycerz zabija olbrzyma przebranego za ptaka. Nie spodziewałem się, że los wezwie go tak szybko. Z reguły zew poprzedzają oznaki...

Nagle stał się podenerwowany. Rozejrzał się po pogrążonej w ciemności okolicy, po czym spojrział na niebo. Powąchał powietrze i wsłuchał się w szum wiatru.

– Jest tak mało czasu – powiedział. – Musimy przed świtem wrócić w głąb lasu. Musimy odnaleźć twojego zwierzęcego przewodnika...

Ponownie ujął Tallis za rękę i pobiegł z nią z powrotem ku zniszczonej drodze wiodącej do lasu Ryhope.

– Kto jest twoim ojcem? – zdołała wykrztusić zdyszana Tallis.

– Obawiam się, że zostały z niego już tylko zimne kości – odparł Scathach. – Nie było mnie przez długi czas, a w puszczy lata płyną inaczej. Ale jeśli jeszcze żyje, będzie mógł nam wiele wyjaśnić. Wytłumaczy ci

wszystko znacznie lepiej ode mnie. Przez wiele lat mieszkał w lesie, na samej granicy Lavondyss. Rozumie duchy, szamanów i sny...

– Ale kim jest? Mówiłeś, że pochodzi z tego świata.

– Czytałeś o nim w księdze. To ze względu na niego tu przybyłem. Zlecił mi zadanie. Obawiam się jednak, że go zawiodłem...

– WJ – stwierdziła. Scathach zatrzymał się na skraju lasu, wpatrując się w miejsce, w którym Gyonval zniszczył zjawę Oyzina. Z napięciem poszukiwał oznak ruchu.

– Wielkim towarzyszem ojca był Huxley. Człowiek, który zamieszkiwał świątynię. Umarł tutaj, w tym zakazanym świecie, zabity strzałą wystrzeloną dziesięć tysięcy lat wcześniej. Mój ojciec jednak wszedł na obszar puszczy, dotarł w pobliże serca lasu i stał się Wyn–rajathukiem. Znalazł pokój i magię...

Wyn–rajathuk.

Pamiętała część tego słowa z porannego spotkania z padlinożercami. Dziecko wykrzyczało do niej trzy dziwne sylaby, jak gdyby się jej przestraszyło lub ją poznało. Rajathuk.

A Wyn?

Wynne–Jones, oczywiście. Towarzysz Huxleya, niski mężczyzna, który pomógł mu odkryć pierwotną naturę lasu oraz istnienie zamieszkujących go mitotworowych form życia.

Wynne–Jones, uczone. Scathach był jego synem, pół człowiekiem, pół mitotworem, zrodzonym z ciała i lasu, z nauki i legendy: kobiety, córki sławnego wodza, która została wezwana, by jej zapomniana opowieść mogła znaleźć zakończenie.

Zapragnęła wyciągnąć ręce i uścisnąć swego towarzysza, swego Młodzieńca w Skórze Jelenia. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu wywoływał u niej smutek i przywiązanie. Nagle jednak Scathach krzyknął głośno z zachwytem i pomknął przez wysoką trawę ku mężczyźnie, który wiodł utykającego konia w stronę wzniesienia Znajdowiska.

Gyonval uszedł z życiem ze spotkania z Oyzinem.

IV

Później, w nocy, gdy przykucnęli wokół małego ogniska na polanie, Scathach szeptem wyjaśnił Tallis, że Jaguthini są mitycznymi łowcami. W owej legendzie istniało wiele mitotworowych form. Niektóre z nich wywodziły się z czasów nie znanych ludziom z Anglii, świata Wynne-Jonesa, zakazanej krainy Scathacha. Owe pierwsze postacie Jaguthinów były raczej poszukiwaczami niż wojownikami, wybranymi drogą losowania spośród klanów pierwszych łowców-zbieraczy, by wędrowali przez zimową krainę w czasach znanych później jako „epoka lodowa”. Poszukiwali dolin, płaskowyżów, lasów i stad zwierzyny. Ich zadania były proste i praktyczne. Mieli pomóc klanowym rodzinom odnaleźć pokój, ciepło i pokarm w świecie, który sprawiał wrażenie zdecydowanego ich unicestwić.

Podczas swego życia w puszczy Scathach napotkał następców dwunastu. Zawsze było ich tylu, gdyż w owej liczbie kryła się zaginiona tajemnica, czy może zaginione znaczenie. W skład Jaguthinów wchodziło dwunastu jeźdźców, lecz choć podróżowali oni wspólnie, byli samotnikami porwanymi i uniesionymi przez pływowy wiatr losu. W każdej chwili mogli usłyszeć wezwanie, którego głos był głosem Ziemi, a wzywająca postać postacią kobiety. Była to jagad. Gdy kiwnęła palcem, jeden z Jaguthinów musiał wyruszyć w podróż przez wieki. Nigdy nie wracał. Stawał się zapomnianą legendą.

Trzej jeźdźcy, towarzysze Scathacha, byli wszystkim, co pozostało z podobnej grupy bohaterów. Scathach był przybyszem, który zawsze odgrywał w micie ważną rolę. Dziś w nocy wydawało się, że poświęcono

również Gyonvala, lecz jagad nie wezwała go i jego odważny czyn nie wyrwał go z czasu, który dzielił z towarzyszami.

W późniejszych epokach istniały inne postacie Jaguthinów. Niektóre z nich były dzikie i niesamowite: wysocy, odziani w futra mężczyźni ozdobieni rogowymi głowami bądź gałązkami, które miały ukryć ich prawdziwą naturę. (Jednym z nich był Głóg. Scathach przybrał postać tego drzewa podczas pobytu w krainie, z której wywodziło się jego „pierwsze ciało”, a także to, z którym – obok dębu – Tallis czuła się najsilniej związana.) Wynne–Jones opowiadał historie o Arturze i okrągłym stole, o rycerzach zakutych w lśniące niczym blask księżyca na wodzie zbroje, które mogły się oprzeć najszybszym strzałom. Byli oni ostatnią formą Jaguthinów, nie noszącą już tej starożytnej nazwy. Scathach niekiedy ich widywał, ale byli widmowi, niematerialni. Na ogół stykał się z grupą poszukujących myśliwych w ich dawniejszej, dzikszej postaci. Szukali oni miejsc i totemicznych przedmiotów, które wykraczały poza granice jego pojmowania.

Mimo to dla Tallis byłyby one ważne.

– Gdybym tylko uważniej słuchał ojca – mruknął ponurym tonem. – On tak wiele rozumiał! Ale, jak już mówiłem, istnieje pewien aspekt cyklu o Jaguthinach, w którym zawsze występuje „przybysz”: nadnaturalna postać o wiedzy i umiejętnościach przerastających ich własne. Gdy w puszczy zjawiają się podobne istoty, odciskają na niej piętno, kształtując i zmieniając legendę. Jeśli Harry przybył do lasu, możesz się przekonać, że on również napotkał Jaguthinów w jednej z ich postaci. Dla ciebie mógł być rzeczywisty, Tallis... ale dla nas pochodziłby z dziwnego i cudownego „drugiego świata”.

Widoczny w blasku ogniska uśmiech Scathacha wydawał się teraz bardzo mądry.

– Bez względu na to, co stanie się ze mną, gdy dotrzemy w głąb puszczy, to właśnie powinnaś uczynić, by odnaleźć brata: poszukiwać opowieści o

Jaguthinach.

Roześmiał się nagle i gorzko.

– Widzisz? Już zacząłem grać rolę przypisaną mi w opowieści. Jestem istotą z zakazanego świata, która przybyła do krainy ojca i przekonała się, że jest ona dla niej zamknięta. Nie ma dla mnie miejsca w żadnym z królestw. Gyonval jest tym bardzo poruszony. Curundoloc sądzi, że powinno się mnie poświęcić. Gwylllos zgodził się towarzyszyć mi do miejsca mojej śmierci. Wszystkie te reakcje mych przyjaciół stanowią część legendy. Przekonasz się o tym. Będziesz szukała na własną rękę, ale wszystko, co zrobisz czy co ludzie zrobią razem z tobą, dla ciebie albo tobie, będzie elementem ich mitu. Nie mogą nic na to poradzić, tak samo jak moja matka nie mogła się oprzeć zewowi, który nakazał jej kontynuować legendę. Spędziła pewien czas z obcym, z duchem z zakazanego świata. Urodziła mu dziecko. Potem wezwała ją Ziemia i musiała odejść...

– W jakim celu?

– Aby uczynić coś strasznego i cudownego – odpowiedział ze smutkiem Scathach. – Zakończyć cykl opowieści, które zaparłyby ci dech w piersi, gdybyś ich wysłuchała.

– Opowiedz mi je...

– Innym razem – odparł stanowczo. – Najpierw trzeba znaleźć twojego zwierzęcego przewodnika. Musisz go mieć. Na pewno istniało zwierzę, które sprawiało wrażenie, że cię obserwuje...

– Połamaniec – zgodziła się Tallis. Pomyślała o nim natychmiast, gdy tylko poruszono temat gurla, kilka godzin temu w jej pokoju. – Jest jeden szkopuł: żył tu, w okolicy, na lata przed moim urodzeniem.

– Koń? – zapytał Scathach.

– Jeleń.

– Czekał na ciebie – wyjaśnił z pewnością w głosie. – Wysłano go, by czekał. Zapewne sama go wysłałaś.

– Jak coś takiego może być możliwe?

– Próbowałem ci to wyjaśnić – odrzekł. – Lata, miesiące... w lesie nie mają znaczenia. Przed tym właśnie ostrzegał mnie ojciec, nim wyruszyłem. W różnych częściach puszczy lata upływają w odmiennym tempie. Pory roku są pomieszane.

– Muszę odnaleźć zimę. Tam jest Harry i po prostu wiem, że mogę go odszukać.

Uśmiech Scathacha był uspokajający.

– Oczywiście. Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby ci pomóc.

– Ale nie mogę tak po prostu uciec z domu! – powiedziała głośno Tallis. Ogarnęła ją nagła panika. Curundoloc poruszył się przez sen pod grubymi skórąmi, po czym ponownie pogrążył się w drzemce. Tallis przypomniała sobie słowa ojca. „Nie moglibyśmy znieść, gdybyśmy utracili ciebie, tak jak Harry’ego”.

Spędziła wiele lat na próbach przekonania rodziców, by jej uwierzyli, zrozumieli ją i wreszcie – tego samego dnia, gdy ziemia wydała z siebie głązy i ptaki – zgodzili się pójść z nią zobaczyć rzeczy, które ją prześladowały.

Gdyby teraz odeszła, zdradziłaby ich.

Gdyby teraz odeszła, złamałaby im serce...

Scathach przyglądał się jej w przygasającym blasku ogniska.

– Jak długo mogłoby cię nie być? – zapytał łagodnym tonem.

– Nie rozumiem...

– Czy mogłabyś towarzyszyć mi przez jeden dzień?

Nawet się nad tym nie zastanawiała.

– Oczywiście.

– Dwa dni?

– Siedem dni – odparła. – Będą się martwić. Ale jeśli ich powiadomię, że to potrwa tylko tydzień, nie oszaleją przez ten czas. Jeśli wrócę przed upływem tygodnia...

Scathach pochylił się i uniósł palec.

– Na skraju puszczy, nim wejdzie się w nią zbyt głęboko, można spędzić w królestwie miesiąc, podczas gdy w rzeczywistości minie tylko tydzień. Ojciec był tego pewien...

Przypomniała sobie dziennik Huxleya i zawarte w nim wzmianki o okresach nieobecności Wynne–Jonesa.

– Cały miesiąc na to, by słuchać, pytać, widzieć i słyszeć – ciągnął Scathach. – Miesiąc na odnalezienie wskazówek dotyczących miejsca uwięzienia Harry’ego. Odejdiesz na cztery tygodnie, a wrócisz już po siedmiu dniach. Wejdiesz do puszczy i opuścisz ją, posiłkując się własnymi umiejętnościami. Ja skorzystam na tym w ten sposób, że będę mógł wrócić do domu dzięki twojej sztuce. Co ty na to?

– Będzie nam potrzebny Połamaniec. Muszę go naznaczyć...

– Przyjdzie – zapowiedział Scathach z niezłomną pewnością w głosie.

Skinęła głową, po czym uśmiechnęła się.

– Zgadzam się – rzekła.

– W takim razie prześpij się trochę. Jutro czeka nas szczególnie trudna droga.

Kilkakrotnie widziała Połamańca o zmierzchu, a dwa razy również o świcie, nigdy jednak podczas jasnych czy ciemnych godzin oddzielających od siebie te pory. Skorzystała więc z rady Scathacha, owinęła się szorstką wełnianą derką, skuliła przy rozżarzonych się węgielkach ogniska i zapadła w sen.

Potrzebowała odpoczynku. Była wyczerpana i zdezorientowana. W snach przechodziła niczym duch przez gęstą puszcę, aż wreszcie zawisła w powietrzu na krawędzi wielkiego wąwozu, wpatrując się w niezwykły zamek, który wyrastał z porośniętych lasem urwisk w odległości mili, po drugiej stronie stromej, przerażającej przepaści. Gdy jednak w owym śnie zwróciła się ponownie ku puszczy, drzewa zniknęły w jakiś sposób,

zastąpione przez wielką, prącą naprzód ścianę śniegu i lodu, która pochyliła się nad patrzącą niczym czoło pływowej fali zimy. Biegło przed nią kilka ludzkich postaci, uciekających, by ocalić życie.

Gdy ją mijaly, poczuła bijącą od nich woń śmierci. Jedna z nich była dzieckiem niosącym drewniany totem, lecz mała statuetka w najmniejszym stopniu nie przypominała olbrzymiego, butwiejącego słupa stojącego przy ruinach domu. Chłopiec zawołał: „rajathuk”! Zasypywał ich śnieg. Grzęzli w nim z wrzaskiem. Tallis również zaczęła krzyczeć, usiłując wznieść się ponad lodowy wir, chwytając zimne, martwe konary drzew, wydrapując sobie drogę ku światłu, podczas gdy owa płynna zima próbowała ją utopić.

Walcząc z napierającą falą, dostrzegła jaskinię. Jej wylot się rozwarł i ogłuszył ją donośny ryk...

Był to głos zwierzęcia, które się zbliżało...

Zabrzmiał ponownie i wtedy go poznała. To był przyjaciel, który potrząsnął nią, gdy tonęła, na wpół ją przebudzając...

Obudź się... obudź się...

Otworzyła oczy, lecz część jej jaźni nadal spała. Ogień płonął. W nocnym powietrzu unosiła się silna, słodka woń dymu. Z miejsca, w którym leżała owinięta w derkę Scathacha, dostrzegła przykucniętą kobietę. Wizja ze snu rozsypała się, ogień zamigotał i zmienił postać. Przebudzona, lecz zarazem śpiąca... Tallis wędrowała po królestwie leżącym gdzieś pomiędzy dwoma stanami umysłu, gdzie podkradały się ku niej mitotwory, a gaberlungi mogły z łatwością do niej dotrzeć.

Psst – powiedziała Biała Maską. Stara dłoń na młodym czole, głaszcząca miękką skórę w letnią noc. Umysł Tallis płynął niczym bystra, połyskliwa rzeka. Woda była strumieniem słów, brzegi, które osuwały się za nią, wypełniały wizje z legendy: stworzenia i figury, wysokie kamienne budowle i niezwykle krainy...

Psst – powtórzyła Biała Maską.

Na wpół śpiąca Tallis poczuła, że do jej płynącego umysłu wślizguje się opowieść, wyciska na niej piętno, naznaczając ją swą prostotą, swą surowością, swym wiekiem... Była to historia z początku, ze źródła. Kryła się w niej jego magia. Pobrzmiewała w niej muzyka: w wietrze, w łopocie luźnych skór rozpiętych na drewnianych ramach, w uderzaniu kamienia o kamień.

A także w krzykach myśliwych, którzy stawali oko w oko ze śmiercią w owej straszliwej epoce lodu i dostrzeganych niewyraźnie bestii, gdy wędrowali na południe przez zamarznięte rzeki w poszukiwaniu miejsca, gdzie znowu odnajdą pokarm i ciepło...

W śniegu kryje się dawna pamięć.
Ziemia pamięta.
Pod koniec nieudanych łowów przeszliśmy przez nawałnicę.
Asha była stara, zamarznęta, godna politowania.
Umieściliśmy ją w macicy śniegu.
Wydmuchnęliśmy tchnienie naszego ducha na jej bladą skórę.
Śpiewała o łowach swego życia.
Śpiewała o ogniskach w wielkich schronieniach.
Śpiewała o ogniskach, które paliły się bez końca.
Młody Arak trzymał nóż z kości.
Pracował nad drewnianym okiem dla umierającej Ashy.
Wyrzeźbił jej twarz w żywym drewnie.
Położyliśmy nowe oko starej Ashy na jej zamarznętym ciele w śnieżnej macicy.
Nowe drzewo czuwało nad Ashą.
Śnieżyca rozdzieliła nas, klan od klanu, krewnych od krewnych.
Gdziekolwiek ziemia była odsłonięta, byliśmy jak młodzi.
Z radością witaliśmy to, co mroczne i bezpieczne.
Nasz ogień przerodził się w nikłe ciepło.

Pokaleczone przez niedźwiedzie wilki pierzchały przed śniegiem.
Pogryzione przez wilki niedźwiedzie ginęły tam, gdzie stały.
Dumne łosie zamarzły.
W łosich oczach kryło się wspomnienie stada i łowcy.
Krew w naszych ciałach była zimna.
Woda w czarnych drzewach stała się lodem.
Drzewa były jak kamień, zimne i martwe.
Duch słońca nie dawał pocieszającego ciepła.
Pustkę w naszych brzuchach wypełniało zimno.
Ziemia była naszym wrogiem.
Łowna zwierzyna odeszła w ślad za zimowymi gęsiami, daleko od
pokrytych lodem rzek.
Krewni szli za nami powoli.
Zapach świeżej krwi na śniegu był słodki.
Zbliżanie się wilka było szybkie.
Później ziemia wydała z siebie padlinożerne ptaki.
W Krainie Ptasich Duchów płonął ogień.
Kości krewnych tliły się, gdy tam wędrowali.
Wszyscy krewni krzyczeli do drewnianego uśmiechu Ashy.
Wszyscy krewni słuchali głosu dębu.
Potem młody Arak powędrował do niewidzianych miejsc ziemi.
Powędrował do zakazanych miejsc ziemi.
Ale po tym, jak zaginął, trafił z powrotem do domu.
Chroniły go wały śniegu.
Tutaj był jego dom.
W śniegu kryje się dawna pamięć.
Ziemia pamięta wszystko.
Oto, co pamiętam.

– Obudź się! Tallis! Obudź się!

Bestia ryczała. Stała nad nią. Otaczał ją jej smród.

– Tallis! Przestań śnić!

Usiadła szybko, zdezorientowana i nagle przestraszona tak gwałtownym powrotem do świadomości. Potem strach ustąpił, podobnie jak zimno. Była owinięta w należącą do Scathacha derkę. Ogień tlił się słabo. Nadal przebywała na polanie. Trzej Jaguthini stali, gapiąc się w mrok między drzewami. Blask świtu oświetlał ich ciemne twarze, pokrywając złotymi plamkami ogorzałą skórę i zniszczone łachy. Popiół z ogniska wzbijał się powoli w górę, niesiony wiejącym na polanie łagodnym wietrzykiem. Konie oddychały spokojnie, potrząsając łbami i ciągnąc lekko za postronki.

Dotknęłam źródła. To była opowieść z czasów początku... Dotknęłam źródła. Zbliżyłam się do Harry'ego. Jestem pewna, że on tam jest. Dotknęłam źródła. Harry jest źródłem...

Scathach przyglądał się jej, lecz myślami przebywał gdzie indziej. Po chwili dźwięk rozległ się po raz drugi. Z pewnością był to ryk rogacza.

– Połamaniec! – stwierdziła Tallis.

– Przy strumieniu – zgodził się Scathach. – Za Krainą Ptasich Duchów...

Tallis stanęła przy ognisku z szarą wełnianą derką na ramionach, obserwując zamieszanie, które nagle zapanowało wokół niej. Koniom nałożono juki i poprowadzono je wąską ścieżką ku skrajowi lasu. Scathach zasypał nogą ognisko, po czym przerzucił sobie przez ramię skórzany plecak. Tallis zrobiła to samo z maskami, a następnie wetknęła rękę do kieszeni, by się upewnić, że skrawek chrestnego ubranka jest na miejscu.

Wydarzenia zaczęły się nagle toczyć zbyt szybko. Pomyślała o domu, o rodzicach, którzy być może jeszcze spali. Nie powiedziała im, że odchodzi, nie pożegnała się z nimi. Będą się niepokoić, nawet jeśli jej nieobecność potrwa tylko kilka dni. Powinna była zostawić kartkę.

Gdy wstał nowy dzień, zdała sobie sprawę, jak mglisty i wilgotny jest poranek. Popędziła razem z Jaguthinami skrajem lasu, minęła podmokłe

pole i zapuściła się między rzadko rosnące drzewa nad brzegiem Potoku Łowcy.

– Zwierzę musi gdzieś tu być – wyszeptał Scathach. Curundoloc poprowadził konie do wody, by się napiły. Przykucnął nad chłodnym strumieniem, lecz rozglądał się nerwowo w poszukiwaniu oznak obecności jelenia. Tallis ruszyła naprzód przez wilgotne paprocie, szarpiąc za derkę, gdy ta zaczepiała o głogi.

Nie było słycać żadnych dźwięków, nawet ptasich pieśni. Wilgotna mgła przesuwiała się powoli przez las, który był nieruchomy niczym wstrzymujące oddech zwierzę, wypatrujące ukradkowych poruszeń drapieźnika.

I w tej ciszy rozbrzmiał dźwięk imienia Tallis, wykrzychanego głośno, wykrzychanego przez mężczyznę, wykrzychanego tonem znamionującym nie tylko niepokój, lecz paraliżujący strach.

Scathach podniósł wzrok. Jego jasne oczy załśniły. Tallis jednak patrzyła na pole, ku odległej linii horyzontu, gdzie poprzedniego wieczoru uformowały się niezwykle drzewa i kamienie, które teraz zniknęły. Na ziemi nie został żaden ślad po mocy, którą na nią ściągnęła. Widać było postać biegnącego mężczyzny.

– Tallis! – zawołał raz jeszcze jej ojciec. W jego głosie brzmiała panika. Dziewczynka zadrżała. Zaszczypało ją w oczach. Nałożył na siebie szlafrok, który trzepotał podczas biegu. Przewrócił się, a potem podniósł. Mała, ciemna postać wciąż była słabo widoczna w bladym świetle.

– Szybko... – mruknął Scathach, zwrócony w stronę lasu. Konie stały się niespokojne. Gyonval mrucał do nich jakieś gardłowe słowa i głąskał srokaty pysk jednego z nich zakutą w metalową rękawicę dłonią.

– Muszę mu powiedzieć, że nic mi nie grozi – odezwała się Tallis. – Muszę się pożegnać...

Gdy jednak spróbowała się podnieść, Scathach pociągnął ją w dół.

– Nie ma czasu – powiedział. – Popatrz. Tam!

Połamaniec ruszył naprzód. Wyłonił się z mgły, brodząc sztywno przez wodę w pobliżu niespokojnych koni. Jaguthini cofnęli się, pozwalając, by wielkie zwierzę ich minęło. Poroże musnęło opuszczone nisko konary rosnących nad strumieniem olch. Oddech dodawał mgłę do mgły. Ciemne oczy lśniły, spoglądając na dziewczynkę. Jelenia poprzedzał smród, unoszony w stronę lasu Ryhope.

Scathach ściągnął koc z ramion Tallis, po czym popchnął ją lekko naprzód.

– Szybko. Zawiąż szmatkę. Naznacz go. Jest teraz twoim mistrzem. Wskaże ci drogę.

Przedarła się przez podszybie, po czym wpadła z pluskiem do strumienia. Ojciec nie przestawał jej wołać. Z drzew otaczających Krainę Ptasich Duchów zerwały się wrony. Nad polami rozległ się śpiew ptaków.

Stanąwszy przed jeleniem, Tallis ponownie poczuła się przytłoczona. Podniosła wzrok ku jego olbrzymiej postaci, po czym wyciągnęła rękę i przebiegła palcami po szorstkiej sierści pyska. Połamaniec opuścił powoli łeb. Dostrzegła w jego ślepiach swą twarz. Wydawała się dziwnie ciemna, oczy miała szeroko otwarte, a usta dziwnie uformowane, lecz nie ulegało wątpliwości, że to ona. Z tyłu widać było zimowe śniegi oraz poruszające się mroczne postacie – trzy, a potem jedną, wychodzącą ze zwierzęcia do świadomości Tallis.

Odór rogacza okalał ją ze wszystkich stron. Otaczało ją jego ciepło. Czuła jego oddech na swej szyi, czuła ciężar wspartego o nią tułowia. Po jej skórze przebiegły dreszcze. Czuła w ciele nieoczekiwaną, niepokojącą ekscytację. Był tak blisko. Spojrzała poza niego, na błękitne niebo. Czuła jego ruchy, na zewnątrz i wewnątrz ciała.

Chwila minęła. Zdyszana, zaczerwieniona Tallis wyciągnęła rękę w górę i zawiązała chrestną szmatkę wokół rosochy złamanego poroża. Zrobiła dwa węzły, by dobrze ją zabezpieczyć. Przesunęła palcem po trzech głębokich nacięciach: być może był to znak pozostawiony przez Owena.

Połamaniec podniósł natychmiast łeb i ryknął, po czym ruszył naprzód, potracając dziewczynkę tak mocno, że aż usiadła ciężko w wodzie. Gdy chwyciła za naszyjnik z masywnych masek, sznur się zerwał i wszystkie powpadały do wody. Zebrała je, lecz jedna ponownie wyśliznęła się jej z dłoni i zabrakło jej czasu, by ją złapać. Scathach był tuż za nią. Popychał ją w ślad za szerokim zadem jelenia ku Krainie Ptasich Duchów i leżącemu dalej lasowi Ryhope. Jaguthini dosiedli już koni. Gwyllos usiłował zapanować nad swoim wierzchowcem, który stawał dęba ogarnięty paniką i chodził niespokojnie wkoło. Mężczyzna krzyknął na zwierzę i uspokoił je. Biegący za nimi ojciec Tallis zatrzymał się, by odetchnąć. Wsparł dłonie na kolanach. Jego poczerwieniała twarz była mokra od łez.

– Tato! – krzyknęła dziewczynka.

– Tallis! – odpowiedział. – Nie odchodź! Nie odchodź, dziecko. Nie opuszczaj nas.

– Tato, to nie potrwa długo. Tylko tydzień!

Jej słowa zagłuszył jednak gniewny krzyk Scathacha.

– Chodź. Nie ma czasu... otworzyłaś swoją najlepszą bramę. Popatrz!

Wyciągnął rękę i wciągnął ją za ramię na wąski grzbiet najmniejszego z koni. Otaczający ją Jaguthini pomknęli z pluskiem przez rzeczkę w ślad za jeleniem. Wdrapała się na siodło, ściskając jedną ręką maski, i złapała wolną dłonią za wodze. Scathach krzyknął podekscytowany, wydając z siebie pogański zew zachwytu i triumfu, po czym pocwałował naprzód, klepnąwszy wcześniej jej zwierzę w zad, tak że Tallis podskoczyła w siodle, a potem pomknęła przez draperię z gałęzi.

Przed sobą ujrzała to, co miał na myśli Scathach, mówiąc o „bramie”, wydrążenie, które wreszcie stworzyła przy pomocy swego zwierzęcego mistrza. W świecie jej ojca rósł tu żywopłot złożony z wysokich drzew i gęstych ciernistych krzewów. W świecie Tallis grunt opadał jednak teraz między wysokimi, porośniętymi zielskiem nasypami, tworząc kotlinę, tajemniczą i lesistą, zdającą się prowadzić w głąb ziemi, choć przed sobą

Tallis dostrzegła blask słońca przebijający się przez gęste sklepienie listowia.

W oddali zaś widać było rozbłysk bieli, poruszający się wir. Gdy na niego patrzyła, przechodził ją dreszcz. Pierwsza oznaka zimy prześladowanej ją od chwili narodzin...

Mroźna kraina. Zakazane Miejsce. To tam wędrował Harry. To tam zaginiona piosenka pana Williamsa mogła być łagodną melodią unoszącą się na lodowatym wicherze.

Pogranicze Lavondyss...

Scathach popędził konia kopniakiem i pogalopował w zagłębienie, ku podziemnemu światu. Jaguthini podążyli za nim. Jedyne Gyonval odwrócił się i skinął na Tallis z twarzą rozjaśnioną uśmiechem. Przyjaznym uśmiechem. Krzyknął jedno słowo we własnym języku, które niewątpliwie znaczyło: „Chodź!”

Poczuła, że jej koń poderwał się do cwału, jak gdyby on również niecierpliwie pragnął wrócić do świata, z którego wygnano go na tak długo. Gdy przeszedł w galop, Tallis ujrzała kamienie stojące wzdłuż trasy. Pomyślała o dziadku i o tym, jak go znaleziono: siedzącego pod szarą skałą, patrzącego w tym właśnie kierunku. Być może dostrzegł przelotnie świat, który go nie wezwał. W tej śmiertelnej wizji odnalazł ukojenie.

Ostatnim, co usłyszała, gdy jej uszy wypełnił coraz głośniejszy szum wody, był głos ojca, bardzo już daleki, dźwięk jej imienia, bardziej przenikliwy niż smutny, całkiem jakby był już od niej odległy o milę, o stulecie.

Kiedy się obejrzała, zobaczyła go. Stał przy strumieniu. Złachmaniony szlafrok zwisał mu z ramion. Patrzył na nią, wyciągał ku niej rękę. W ostatniej chwili, nim zabrały ją odległość i podziemny świat, zobaczyła, jak nachylił się nad wodą i podniósł maskę, którą upuściła.

CZĘŚĆ DRUGA

W nieznanej krainie

*... wszystko przed nami jest puste.
Wszystko czeka niewyjaśnione w owym regionie,
W niedostępnej krainie.*

Walt Whitman

KRAINA PTASICH DUCHÓW

Dom pogrzebowy

Do krainy zbliżało się nowe wspomnienie. Nadciągały zmiany. Były obecne już od tygodni. Odmieniły wszystko: puszcę, rzekę, polany duchów z ich olbrzymimi drewnianymi statuami, dom pogrzebowy na wzgórzu... Oddziaływały nawet na ludzi, Tuthanachów, neolityczny klan zamieszkujący tę część leśnego królestwa.

Starzec znany szczepowi jako Wyn–rajathuk sądził początkowo, że przeobrażenia pochodzą od niego – ostatnia, drobna fala procesu genezy wywołanego przez prymitywne obszary jego umysłu nadal powiązane z pierwotną puszcą. Wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że to niemożliwe. Odnalazł spokój. Jego nieświadomość dawno już opróżniła się z pradawnych snów. Od wielu lat był pogodzony ze sobą.

Nie, ta subtelna, niesamowita zmiana wywodziła się z innego źródła.

Udał się na polany duchów i wszedł między olbrzymie posągi, przyglądając się po kolei wszystkim groźnym twarzom i wsłuchując w głosy. Powędrował myśliwskim szlakiem przez leśną gęstwinię, aż wreszcie wy dostał się z niej i zatrzymał na porośniętym głogiem zboczu niskiego wzgórza. Za splątaniem zagajnikiem drzew o czerwonych jagodach dostrzegął nasyp z kredowej ziemi otaczający szczyt wzgórza. Gęsty żywopłot z tarniny przesłaniał również i ten wał. Przedarł się przez czepiające się ubrania podszybie, odsuwając na bok kaleczące skórę gałęzie, aż wreszcie stanął przed rozsypującą się bramą wejściową, której drewniane kolumny osunęły się pod naporem ziemi i gruzu.

Musiał gramolić się po nich, by wejść na porośniętą trawą obszar w środku.

Wczoraj brama była czysta, a ścieżka wiodąca między ciernistymi krzewami szeroka i łatwo dostępna.

Wdrapał się na ziemny wał i odwrócił, by popatrzeć na północ. Słońce wisiało nisko nad lasem. W mglistej dali wszystko spowijał czerwonawy cień. Korony drzew były ciemnym morzem ciągnącym się we wszystkie strony aż po horyzont. Wiatr dmący z serca lasu stał się lodowaty. W powietrzu czuło się woń zimy, zacierającą granice pór roku.

Wyn wrócił na dno ogrodzonego obszaru i ruszył wzdłuż półokręgu wysokich, rzeźbionych posągów strzegących drogi do samego domu pogrzebowego. Było ich dziesięć. Ich twarze stanowiły niepokojący widok, a prastare oczy śledziły go, gdy wędrował wzdłuż kręgu.

Wreszcie zatrzymał się i uśmiechnął ponuro. Oblicze jednej z figur zmieniło się, podobnie jak jej kształt. Z martwego drewna wyrastały małe gałązki. Nowe życie w milczącym totemie, pączkujące z czarnej, zbutwiałej kory.

Powinien był się domyślić. Oczywiście! Powinien był odgadnąć. Ostatecznie był nie tylko Wyn–rajathukiem: Wynem Głosem z Ziemi. Był przybyszem. Uczonym. Jedynym człowiekiem, który badał żywe wcielenia mitu zrodzone ze swego nieświadomego umysłu... tutaj: w lesie, w puszczy mitotworów.

Przyjął tę chwilę arogancji z nutą autoironii, jako że widział, rzecz jasna, jedynie fragment magii, która żyła w liściach ściółki tej niezwyklej krainy, ukrywała się w nich i wyłaniała na zewnątrz, naga i śmierdząca.

Niemniej powinien był wcześniej zrozumieć źródło tej zmiany.

Był to Cień Niewidzianego Lasu. Kształtujący Wzgórza. Miał on starożytną nazwę, którą starzec odkrył i która zawierała w sobie moc, gdy pozwolono jej osadzić się w milczącej części umysłu: Skogen.

Jakiś Skogen wędrował do wnętrza puszczy, w kierunku serca lasu. Pochodził spoza niego. Przybywał z królestwa, które Wyn–rajathuk przypominał sobie bardzo słabo.

A przed nim, gdy wędrował ku krajowi Tuthanachów, całą ziemię, cały las wyzynał jego obłąd.

– Wyn! Wyn–rajathuk!

Dziewczęcy głos dobiegł do niego z oddali. Przerwał jego nieruchomą, milczącą kontemplację puszczy. Przez chwilę ignorował go. Zdał sobie sprawę, że od kilku godzin siedzi na zimnej darni. Jego siedemdziesięcioletnie kości były obolałe. Słońce stało teraz wyżej. Bliżej serca lasu korony drzew niknęły we mgle, ale dzień był jasny, mimo że nad okolicą wciąż unosiły się cienie.

Wyn przykucnął niezdarnie, strzepnął owady oraz ziemię z połatanej wilczej skóry spodni i rozmasował zdrętwiałe mięśnie. Zauważył, że cienie totemów skupiły się razem: jeden cień, jeden głos. Odwrócił się i podniósł wzrok ku wielkiemu półokręgowi rozpadającego się, zbutwiałego drewna: ku rajathukom. Każdy z nich był inny. Stały tu od lat, nim jeszcze przybył do krainy. Ktoś, kto przechodził tędy przed nim, stworzył Tuthanachów, ich totemy i ich polany duchów. Żył we śnie kogoś innego. Znał jednak nazwy wszystkich posągów: Skogen (cień lasu), Falkenna (lot ptaków), Skovynna (otwarcie starej ścieżki), Morndun (duch, który chodzi)... i cała reszta. Ich imiona i funkcje były znajome, lecz one same pozostawały dziwne, niesamowite.

Żyjąc tu, wśród Tuthanachów, stał się Wyn–rajathukiem. Totemy należały teraz do niego. Wywarł na nie wpływ, ukształtował je na swój sposób. Panował nad nimi. Słuchał ich głosów i dowiedział się, co mówią, gdy przemawiają jednym głosem. Były jego wyrocznią. W ten sposób funkcjonowały w micie, a ponieważ w tym świecie magia działała, były skuteczne również dla niego. Kryjący się za szamanem uczonej dawno

jednak rozpoznał nieświadomy mechanizm uwalniający łączący się z każdą z rzeźbionych twarzy. Owe symbole czerpały z prymitywnych obszarów jego umysłu. Gdy cała dziesiątka połączyła się razem, wywoływały potężny impuls intuicji i dalekowidzenia.

Jego wyrocznia.

Między owymi posępnymi, monolitycznymi pniami dostrzegał budowlę, której strzegły. Dom pogrzebowy. W języku Tuthanachów brzmiało to cruig–morn: skórozimnoziemiomiejsce. W myślach zawsze nazywał go domem kości.

O ile potrafił to określić, Tuthanachowie byli późnoneolitycznym klanem wywodzącym się z zachodniej Europy: budowali domy pogrzebowe, tworzyli rzeźby z kamienia i drewna, więcej polowali, niż uprawiali ziemię, nie byli gwałtowni i wyznawali skomplikowane wierzenia w świat podziemny, w skład których wchodziło wpływanie małymi łódeczkami do wielkich wirów, by popłynąć po spirali w głąb ziemi, do „morza światła”. Odtworzył legendę, która nadała owemu klanowi szczególny mitologiczny status. Z pewnością byli to legendarni pierwsi budowniczo olbrzymich megalitycznych grobowców rozrzuconych po Irlandii, Brytanii i Francji. Ich najważniejszym bóstwem był duch rzeki.

Tuthanachowie byli, rzecz jasna, mitotworami, choć nie stworzonymi przez niego. Ktoś przechodził tędy przed nim i rozsiał po posępnym lesie żywe odpady własnych snów. Z pewnością jednak mieszkało tu pewne dziecko wywodzące się z „pierwotnego echa” Wyna, wyczerpanych neuromitologicznych stref jego prymitywnej nieświadomości. Był zafascynowany owym dzieckiem. Dogłębnie zafascynowany. Przerażony.

Obserwowało go dziesięć potężnych drzew. Ich twarze stanowiły nie tyle wyobrażenia totemicznych przodków, co twory dziwaczego symbolizmu nieświadomości. Coś przypominającego psa, coś przypominającego księżyc, rybę, sowę, ducha... były to jednak tylko totemiczne wyobrażenia

ukrytego głębiej obrazu, potężne wizerunki, które mogły się połączyć, by stworzyć wizję.

Jakże bardzo pragnął powrócić do świata, w którym się narodził – po to tylko, by przedyskutować z kimś te koncepcje. Widział tak wiele. Odnalazł utraconą legendę. Zrozumiał, jak przekazuje się dziedzictwo przeszłości. I nie było nikogo, zupełnie nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Zapisał wszystko na kartach papieru, które zdobywał od wędrownych form mitotworowych z późniejszych wieków bądź też produkował sam z gliny oraz włókien pochodzących ze znajdujących w lesie strojów: dotykalnych pozostałości po mitotworach, które zanikły i zostały zresorbowane przez las.

– Wyn!

Pojawiła się dziewczynka, która wdrapała się na ziemny nasyp między ciernistymi krzewami. Sprawiała wrażenie zdziwionej i przerażonej zmianami. W ręku trzymała mały czarny przedmiot, lalkę. Prymitywnie wykonany naszyjnik z kości zagrzechotał na jej piersi, gdy ześliznęła się w dół.

– Co tu masz? – zapytał Wyn córkę.

Stała przed nim. Była pucołowatym dzieckiem, szczelnie opatulonym w szare i brązowe futra. Nałożyła nogawice i buty z jeleniej skóry. Twarz miała promienną, a oczy ciemnobrązowe, o kształcie zbliżonym do migdałów. Na jej górnej wardze zebrały się kropelki płynu. Czarne włosy przed kilkoma dniami związała w mocno splecione warkocze i wysmarowała zwierzęcym tłuszczem, żeby się świeciły. Zaczęły się już rozwiązywać, a wśród splotów widać było strzępki liści.

– To mój pierwszy rajathuk – oznajmiła Morthen, pokazując ojcu lalkę.

– Zrobiłam go dziś rano.

Wyn ujął figurkę i obrócił ją w palcach. Dziewczynka poczerniała ją w ogniu. Nie było dającej się rozpoznać twarzy, ale kręgi, które wydrapała,

były wystarczająco wymowne. Instynkt, zrodzony z lat doświadczenia, powiedział mu, że użyła drewna tarniny.

– Jak to może być rajathuk? – zapytał uszczypliwie. Twarz Morthen nic nie wyrażała. – Z jakiej części drzewa ją zrobiłaś? – dodał.

Nagłe olśnienie! Uśmiechnęła się.

– Z gałęzi...

– A więc to jest...

– Injathuk! – powiedziała głośno. – Głos na wietrze!

– Tak jest! Pień przynosi głos kości, które żyją wśród skał ziemi, a gałąź roznosi go za pomocą nasion, owadów i ptasich skrzydeł. To całkiem odmienna funkcja.

Morthen obrzuciła ponurym wzrokiem rajathuki, dziesięć olbrzymich bożków.

– Skogen się zmienia – stwierdziła, marszcząc brwi. – Jest teraz inny.

– Masz rację...

Wyn był zadowolony z siebie. Przewidział, że Morthen – pół człowiek, a pół istota z lasu, tak samo jak jej brat, nieszczęsny poszukiwacz przygód Scathach – będzie obdarzona ludzką umiejętnością dostrzegania zmian. Tuthanachowie, którzy byli mitotworami, rzecz jasna, tego nie potrafili.

– Skogen się zmienia. Co ci to mówi?

Dotknęła palcami naszyjnika z kości, znajdując uspokojenie w jego zimnej gładkości. Jej oczy bez reszty pochłaniały jego uwagę. Lśniły. Były takie piękne. Matka dziewczynki również była piękna, lecz teraz jej uroda obróciła się w kości brązowiejące w stęchłym powietrzu domu pogrzebowego.

– W krainie zjawiał się nowy głos – stwierdziła.

– Zgadza się. Głos z zewnątrz, ze świata duchów, o którym często ci opowiadałem.

– Z Anglii – dodała, bezbłędnie wypowiadając tę nazwę.

– Tak. Ktoś z Anglii. Zbliża się do nas i wywołuje zmiany.

Wstał i ujął córkę za rękę. Z ochotą odwzajemniła jego uścisk, trzymając lalkę w drugiej dłoni. Ruszyli powoli wzdłuż półokręgu posągów. W otwartym wejściu do domu kości coś się poruszyło.

– Szakal! – syknęła zaalarmowana Morthen.

– Ptaki – odpowiedział jej ojciec. – Zawsze wpuszcza się je pomiędzy zmarłych. Ale nikogo oprócz nich.

Dziewczynka uspokoiła się. Kontynuowali powolną przechadzkę. Nad puszcza zbierała się czarna chmura. W powietrzu wyczuwało się woń śniegu.

– Dziesięć masek, żeby zobaczyć drzewa – mówiła Morthen, recytując liturgię magii ojca – i dziesięć drzew, żeby przekazać głos...

– A kiedy się odezwą? O czym mówią?

Zapomniała odpowiedzi. Wyn zmierzwił jej włosy i uśmiechnął się.

– Mówią o tym, co widziały!

– Tak! Drzewa rzucają większe i starsze cienie niż Tuthanachowie. Ich wzrok sięga dalej niż wzrok ludzi.

– Świetnie. Jeszcze zrobimy z ciebie Morthen–rajathuka!

W domu pogrzebowym znów coś się poruszyło. Wyn zmarszczył brwi. Powstrzymał córkę. Ponieważ była dzieckiem, nie pozwalano jej wychodzić poza ochronny krąg lasu.

– To nie ptak – powiedziała, wybałuszając ciemne oczy. Przycisnęła lalkę do piersi, jak gdyby chciała ją osłonić.

– Chyba masz rację.

Wyn–rajathuk ruszył niepewnie między posągami, ocierając się barkami o ich masywne kolumny. Wydało mu się, że ziemia zadrżała lekko, gdy przeszedł do zakazanego miejsca. Wąskie wejście do domu pogrzebowego było puste, czarne. Czuło się silny odór rozkładu. Ze smrodem gnijących ciał mieszała się woń popiołu. Trawa na pokrytym torfem dachu wyrastała wysoko. Część gleby osunęła się, przysypując wierzchołki tworzących wejście kamieni. Tego rodzaju zmiana była całkowicie naturalna, lecz jeśli

zaszła z dnia na dzień, znaczyło to, że jej sprawcą jest Skogen. Wypłowiełe szmaty umocowane na stojących wzdłuż budynku tyczkach, ubrania zmarłych, łopotały na wietrze, gdy cisza domu kości pochłaniała ciała, które ongiś ogrzewały.

Wyn–rajathuk wszedł w ciemność, która stanowiła jego domenę. Droga do wnętrza trwała długo. Dach podtrzymywały dwa szeregi dębowych pni. Między nimi stały urny tych, których spalono, a także wydrążone kamienie, na których zostawiano ptakom na pożarcie szarą substancję z czaszek zmarłych. W innym miejscu leżały kości bezdzietnych. Na samym końcu budynku przycupnęły wysuszone, śmierdzące trupy dwóch Tuthanachów, którzy niedawno się utopili. Nie można ich było spalić, dopóki woda ducha nie zostanie wyzęta z ich ciał.

Z pewnością były tu szakale. O tym prostym fakcie świadczyła pokryta resztkami mięsa, ogryziona kość walająca się na podłodze. Padlinożerne ptactwo również najadło się do syta, wlatując do środka przez przeznaczone dla niego dziury w dachu. Przez owe zarośnięte trawą okna do budynku wpadało blade światło. W półmroku trzepotały dwa ptaki.

I nagle...

Chłopiec wyszedł na oświetlony obszar, skulony i zalękniony. W rękę trzymał długą kość jednego z martwych dzieci. – Połóż ją na miejsce – polecił cicho Wyn–rajathuk.

– Potrzebuję jej.

– Połóż ją na miejsce. Powinieneś najpierw mnie zapytać.

Chłopiec skrył się za jedną z drewnianych kolumn. Wyn wrócił w światło dnia i stanął przy wejściu. Po kilku minutach Tig wyszedł na zewnątrz, nadal przyciskając do piersi dziecięcą kość udową. Przykucnął u wlotu do domu kości. Wyglądał jak dzikie zwierzę, w każdej chwili gotowe do ucieczki.

– Odnies kość do cruig–morn, Tig.

– Potrzebuję jej. Nie każ mi tego robić.

– Do czego jej potrzebujesz? Co chcesz z nią uczynić?

Tig zadrżał, spojrział w prawo, a potem w górę, na krąg stróżujących totemów, których twarze były odwrócone od niego. Bał się, lecz zachowywał się wyzywająco. Wyn oczekiwał tej chwili już od pewnego czasu. Wygląd Tiga zmienił się niedawno. Wciąż był tym samym ośmioletnim chłopakiem o elfiej twarzy, ostrych rysach, kocich oczach i włosach związanych z tyłu opaską z futra wydry, lecz ostatnio coraz mniej przypominał dziecko. Zaczął się upodabniać do trupa. Potrafił nagle stawać się wymizerowany, wynędzniały i śmiertelnie blady. Wyn wiedział dobrze, że gdy chłopiec jest w tym stanie, „podróżuje”, lata... przeżywa rozdzielenie z ciałem, stanowiące część doświadczeń dorastającego szamana. Była to normalna zmiana, a nie efekt wpływu Skogena. Niemniej stres i fizyczne cierpienia zaczynały wyciskać piętno na jego wyglądzie. Miał na sobie taką samą, zszytą na kształt spodni wilczą skórę, jak Morthen, lecz poprzebijał ją ptasimi kośćmi, ostrymi igłami. Były ich setki. Niektóre z nich wbiły się w jego ciało. Na szarym futrze widać było czarne plamy krwi. Celowo naznaczył sobie twarz bliznami (choć niezbyt głębokimi). Stawał się szamanem, strażnikiem pamięci. A nie był jeszcze nawet rajathukiem.

– Co chcesz uczynić z kością? – zapytał raz jeszcze Wyn.

– Wyrzeźbię ją. Wyssam to, co zostało z jej ducha.

Wyn potrząsnął głową.

– Duch tego dziecka wrócił już do ludu. Zjedzono jego ciało. W tej kości nie ma ducha.

– W kości zawsze jest duch. Kiedy go wyssam, najem się do syta. Stanę się białym wspomnieniem życia. Stanę się nawiedzającym jaskinie. Stanę się samą kością. Kość zawsze trwa dłużej niż pióra. Moja magia będzie silniejsza od twojej ptasiej magii.

– Jesteś Tig. Jesteś chłopcem. Nie władasz magią. Jesteś moim synem.

– Nie twoim... – syknął gniewnie, potrząsając głową. Gwałtowność jego słów zdumiała Wyna, zawarta w nich złość uciszyła go. Popatrzył na Tiga. Chłopiec zmieszał się, lecz w jego skośnych oczach nie było łez.

A więc domyślił się tego. Jak na mitotwór, było to zdumiewające osiągnięcie. Wyn zawsze wiedział, że Tig pogodzi się z tym, w jaki sposób go stworzono. To, że tak miało się stać, było elementem mitycznej opowieści, którą uosabiał. Już od dawna zdawał sobie sprawę, że nie miał naturalnej matki. Tuthanache, choć go karmili i ubierali, zawsze czuli przed nim lęk. Mieszkał z ojcem i siostrą, Morthen, w małej, kwadratowej chacie Wyna poza obrębem wioskowej palisady, rzadko jednak można go było znaleźć pod jej dachem. Znacznie więcej czasu spędzał na leśnych polanach.

Tuthanachowie stanowili wcielenie legendy, lecz Tig również był legendą. Dwa mity – Tuthanachowie i Tig – zachodziły na siebie. Owo dziwne zrośnięcie się dwóch historii utworzyło jeden z najdawniejszych cykli opowieści o „przybyszu”: obdarzony niezwykłym talentem chłopiec zjawia się wśród ludu, którego przeznaczeniem jest osiągnąć wielkość pod jego przewodnictwem. Po kilku tysiącletniach ów mit miał ożyć, w lepiej zapamiętanej postaci! Ta o cztery tysiące lat wcześniejsza historia była jednak w zasadzie taka sama. Tig miał ten neolityczny klan – którego historia już od wielu stuleci musiała być niezwykła z uwagi na jego rytuał życia, w którym uczestniczyła nie jedna, lecz dziesięć totemicznych istot – przekształcić za pomocą swej magii, wpłynąć na jego świadomość. W Anglii czasów narodzin Wyna – królestwie, świecie oddalonym o całe przeszłe życie – ich historia była dawno zapomniana, lecz ongiś posiadała olbrzymią moc i, rzecz jasna, przetrwała w cieniach...

Sam Wyn nie miał właściwie do odegrania żadnej roli w opowieści o Tigu i budowniczych megalitów. Jego intuicja i mądrość, zrozumienie natury i ludzi, wszystko to oznaczało, iż było nieuniknione, że stanie się czarownikiem klanu, jego szamanem. Ostatecznie przybył tu z Oxfordu!

Zaakceptowano go. Odziano i nakarmiono. Udzielał im porad w kwestii narzędzi myśliwskich. Przyjęto go do klanu przez małżeństwo i przyczynił się do poczęcia dziecka (zdumiała go własna potencja).

Choć kiedyś mieszkał razem z pozostałymi na terenie wioski, teraz trzymał się od nich z dala. Pewna sprawa jednak go niepokoiła: skoro został szamanem, to czy nie wyznaczył dla siebie pomniejszej i bardzo krótkotrwałej roli w opowieści o Tigu?

– Okolica się zmienia – powiedział do chłopca. – Potrafisz to wyczuć?

Tig powąchał powietrze.

– Czuję nową zimę. Nowy śnieg. Nowe wspomnienie. Tak. Nadchodzą zmiany.

– Czy pojmujesz, co jest ich źródłem?

Tig zastanawiał się intensywnie przez chwilę, po czym najwyraźniej coś zrozumiał.

– W krainie zjawił się nowy duch – wyszeptał. Jego głos stał się donośny. – Będę z nim walczył. Do tego potrzebna mi jest siła ludu!

Potrząsnął wyzywająco kością.

Stojąca za plecami Wyna Morthen była niespokojna. Drapała paznokciami o jeden z totemów. Tig spojrzał na nią obojętnie. Nie byli prawdziwym rodzeństwem, choć od czasu do czasu mieszkali pod jednym dachem i kiedyś oboje nazywali Wyna „ojcem”. Niemniej jednak przez cały czas, który spędzili razem, nigdy ze sobą nie rozmawiali. W gruncie rzeczy Tig zawsze sprawiał wrażenie, że w ogóle jej nie zauważa.

Poruszenie Morthen odciągnęło uwagę Wyna. Zaniepokojony, że jego córka może wejść na zakazany teren, odwrócił się lekko. Tig wykorzystał okazję. Umknął spod domu pogrzebowego, wlaź na nasyp i przedarł się przez tarninę.

– Cholera!

Wyn próbował go ścigać, lecz jego kości były stare, a ciało słabe. Gdy zdołał wdrapać się na wał, Tig był już daleko wśród ciernistych krzewów.

Po chwili zniknął w lesie. Wyn dostrzegł odbicie słońca w bladej twarzy, gdy chłopiec wysunął się lekko z kryjówki w podszyciu, by obserwować swego twórcę.

Razem z Morthen zeszli ze wzgórza i zagłębili się w gęstym borze, wędrując wyraźnie widoczną ścieżką biegnącą między olbrzymimi, rozłożystymi dębami. Przeszli krawędzią oczyszczonego z drzew terenu, na którym wzniesiono wioskę. Tylko przelotnie spojrzeli na złożoną ze słupów i płotków palisadę zwieńczoną groźnie wyglądającymi czaszkami zwierząt. Słyszeli śmiech dziecka oraz nieregularne bicie w bęben.

Podążając ścieżką, dotarli wreszcie nad szeroką rzekę.

Dochodziło tu więcej światła. Sięgające nad wodę korony drzew były mniej zwarte. Okolicę znaczyły ozdobione piórami słupy. Każdy z nich reprezentował jednego ze zmarłych klanu, których przynoszono tu, by leżeli w objęciach ducha rzeki. Następnie zabierano ich do domu pogrzebowego, gdzie mieli zgnić, nim zostaną poćwiartowani i spaleni.

Morthen nienawidziła tego miejsca. Woląa zieleńsze, jaskrawsze światło myśliwskich szlaków leżących dalej w dół rzeki, gdzie woda była głębsza, a ryby tłustsze. Wznosiły się tam też niezwykle ruiny nadające się do zwiedzania i obozowania.

Oczywiście nikt z Tuthanachów nie przychodził do tego legowiska ducha rzeki, chyba że po to, by przynieść tu rozkładających się zmarłych. Wyn jednak nie miał podobnych zahamowań, a jego córka była po części tej samej, mniej przesądnej krwi.

Teraz jednak oddaliła się od niego i pobiegła wzdłuż brzegu, by znaleźć miejsce, w którym mogłaby łowić ryby przy użyciu krótkiej włóczni, haczyków z kości oraz sieci z jelit. Słyszał, jak pluska w płytkiej wodzie, widział ją jako ciemny kształt poruszający się na jaskrawym żółtozielonym tle, nim ponownie zlał się z cieniami.

Został sam z łagodnym pluskiem fal, szelestem gałęzi kołyszących się na jesiennym wietrze oraz świergotem i skrzeczeniem ptaków.

Odnalazł swój punkt obserwacyjny, zakątek ukryty głęboko w skupisku wielkich, wygładzonych przez wodę skał na skraju lasu. Poziom wody był ongiś wyższy i wyrzeźbiła ona wapien, tworząc daszek przydatny w razie deszczu, wygodne siedzenie, na którym mógł pisać, oraz kanały i szczeliny, w których mógł chować przedmioty i totemy związane z jego drugim zajęciem: zawodem uczonego.

Wcisnął się w przerwę między głazami, usiadł wygodnie i wpatrzył się w rzekę, ponownie pogrążając się w myślach o Anglii.

Codziennie spędzał tu wiele godzin, a niekiedy całą noc.

Morthen zdawała sobie z tego sprawę i czasami ją to niepokoiło, nigdy jednak nie kwestionowała postępowania ojca. Powiedział jej, że gdy tu przychodzi, „podróżuje” w głąb swych duchowych snów. Ta odpowiedź jej wystarczyła.

Jako córka szamana była przyzwyczajona do prowadzenia jego domu oraz do pomocy w zbieraniu i przygotowywaniu jedzenia. Jej ojciec miał na głowie inne sprawy, którymi zajmował się dla dobra klanu.

Prawda wyglądała tak, że przychodził tu, by uciec od epoki kamiennej! Chciał powspominać przeszłość oraz oddać się nigdy nie opuszczającej go pasji dokumentowania wędrówek poruszających się wzdłuż rzeki mitotworów.

W ostatnich miesiącach ich aktywność nasiliła się gwałtownie. Fakt ten sprawił, że Wyn ponownie zainteresował się rzeką oraz rozległym bagnem i jeziorem, z którego wypływał ten jej odcinek.

Był przekonany, że cały ów szlak wodny stanowi aspekt jednego z małych strumieni przepływających przez majątek Ryhope, na którego terenie mieszkał niegdyś jego współpracownik George Huxley, i gdzie on, Wyn, bywał częstym gościem. Potok, który miał na myśli, zagłębiał się w

las Ryhope w odległości zaledwie dwustu jardów od domu i wypływał na pole nie więcej niż ćwierć mili dalej.

A mimo to...

Przepływając przez pierwotną puszcze, ów zwykły strumień przechodził fantastyczną metamorfozę. W pewnym punkcie stawał się potężną sekwencją bystrz mknącą między wyniosłymi urwiskami, w innym zaś przeradzał się w milczące bagna, które Wyn poznał i pokochał w ciągu lat spędzonych z Tuthanachami. Rzeka docierała do serca lasu, do samego Lavondyss. Potem płynęła dalej, wracała do puszczy, a następnie do Anglii...

Tuthanachowie mieszkali nad odcinkiem biegnącym na zewnątrz. Dom Wyna leżał dalej w dół rzeki. Mitotwory jednak wędrowały w przeciwnym kierunku, na północ, do serca królestwa...

Te, które mijaly ten punkt, z reguły podróżowały na piechotę. Nieliczne wiosłowały w płaskodennych łodziach, walcząc z prądem. Inne jechały konno. Wszystkie ostrożnie mijaly upstrzone szmatkami totemiczne słupy, świadome tego, że nie powinny się zatrzymywać w podobnym, nawiedzonym miejscu.

W ciągu lat, które tu spędził, badając wytwory snów własnych oraz innych ludzi, dostrzegł co najmniej pięćdziesiąt legendarnych istot. Widział Artura, Robina i Zielonego Jasia w tak wielu wcieleniach, że miał wrażenie, iż zobaczył już wszystkie. Ujrzał północnych berserkerów, kawalerów, brytyjskich żołnierzy, zakutych w zbroję rycerzy, Rzymian, Greków, istoty mające dużo elementów zwierzęcych, zwierzęta sprawiające wrażenie obdarzonych ludzką świadomością oraz obfitość form życia zawdzięczających równie wiele światu drzew, jak i niosącym je ludzkim członkom. Widział coś, co uważał za Twrch Trwyth, olbrzymiego dzika, na którego polował Artur; potężne zwierze w totemicznej postaci, które gnało jak opętane między duchowymi słupami zmarłych. Jego grzbiet muskał korony drzew, a kły kaleczyły ich pnie. Pobiegł dalej wzdłuż brzegu i

zniknął w lesie. Pomijając te dramatyczne efekty, spotkanie podekscytowało Wyn–rajathuka również dlatego, że widział ongiś także klanowych wojowników, grupę wywodzącą się ze środkowoeuropejskiej kultury wczesnej epoki żelaza, których gwałtowność oraz sztandar z „dziką świnią” stały się źródłem późniejszych bajek o „łowach na wielkie zwierzęta”. Jeden mit, o ludzkim kształcie, przekształcił się w drugi, o kształcie zwierzęcym, lecz istota historii o ucisku, konfrontacji i poskromieniu pozostała taka sama.

Gdyby mógł opowiedzieć o tym, co widział! Gdyby tylko...

Odsunął tę myśl na bok. Miał na głowie ważniejsze sprawy.

Ze wszystkich istot, które przechodziły tędy, wędrując na północ, ku owemu niedostępnemu królestwu, Lavondyss, tylko jedna nie była produktem umysłu, lecz mężczyzną z krwi i kości.

Wyn nie potrafił powiedzieć, dlaczego pomyślał o mężczyźnie, był jednak pewien, że jakiś mężczyzna, podobny do niego, pochodzący spoza lasu... minął ongiś ten punkt nad rzeką. Stało się to, nim sam trafił w te strony, lecz być może tylko kilka lat wcześniej. Bez względu na to, kim był, to on zostawił za sobą Tuthanachów, ruiny, a także wiele innych rzeczy, rozsiał w tej części puszczy swą mitogeniczną siłę życiową.

Teraz jednak...

Teraz zbliżał się następny.

Wyn–rajathuk wyczuwał to każdym szeptem swej intuicji. Tym razem również widział nowo przybyłego jako mężczyznę. Starczy zdrowy rozsądek zwrócił jego uwagę na naturę zachodzącej w lesie zmiany. Nie był to efekt jego szamanizmu, wędrówek do królestwa duchów. Miał po prostu pewność, że zbliża się jeden z jego pobratymców, ktoś z zewnątrz...

Wpatrzył się w dal, gdzie jaskrawsze światło przesączało się ospale przez korony drzew.

Kim jesteś? – pomyślał. Ile czasu będziesz potrzebował, by tu dotrzeć? Jak przedostaniesz się do Lavondyss?

Nagle zauważył, że Morthen stoi obok, patrząc na niego. Wyglądała na przestraszoną i podenerwowaną.

– O co chodzi?

Spojrzała wzdłuż rzeki.

– Coś usłyszałam. Chyba ktoś się zbliża.

– Szybko. Między skały...

Dziewczynka wdrapała się do kryjówki w ślad za ojcem. Przez kilka minut panowała cisza, po czym wśród drzew doszło do nagłego poruszenia. Ptaki przefrunęły z krzykiem nad polaną. W chwilę później z cienistej zieleni w dole rzeki wyłoniło się trzech galopujących przez płycizny jeźdźców. Konie wzbijały w górę wielkie bryzgi piany. Z lasu wynurzył się czwarty przybysz, który podjechał do brzegu, niedaleko od słupów duchów. Gdy pierwsi trzej wpadli na najbliższy odcinek rzeki, wydali z siebie głośne wrzaski – okrzyki wojenne, pomyślał Wyn. Zatrzymali się i obrócili nerwowo konie w miejscu, popatrzyli na ozdobione łańchmanami totemy, a potem przeszukali wzrokiem pobliski brzeg i las. Wydawało się, że wódz spojrzał prosto na Wyna. Stary skulił się w swej kryjówce.

Wszyscy jeźdźcy wyglądali podobnie: wysocy, barczyści, odziani w ciemne, zimowe płaszcze. Brody mieli rude, zaczesane w rozłożyste wachlarze. Na głowy założyli skórzane czapki z luźno zwisającymi rzemieniami, a ich twarze pokrywały namalowane czarną farbą pasy. Rząd wielkich rumaków o ciemnych grzywach był prosty, a derki ozdabiał wzór w duże, wyblakłe kwadraty.

Jeden z jeźdźców popędził ze złością w stronę totemu. Błysnął miecz z brązu, rozległ się odgłos pękającego drewna i szczyt słupa obwiązany wystrzępioną szmatką runął do wody w odległości dwudziestu jardów od kryjówki Wyna. Wszyscy czterej roześmiali się. Miecz wrócił do pochwy. Wodze smagnęły kłęby, nogi w skórzanych buciorach kopnęły boki i jeźdźcy pognali przed siebie, uciekając z miejsca zmarłych. Popędzili z pluskiem przez mielizny w górę rzeki, aż wreszcie zniknęli z pola widzenia.

Powoli, ostrożnie, Wyn i Morthen wrócili na brzeg, spoglądając z zadumą w ślad za dziką bandą.

– Czy to był Skogen? – zapytała Morthen.

– Nie.

– W takim razie kim byli?

– Gdybym ci powiedział, nic by to dla ciebie nie znaczyło.

– Spróbuj. Zdarzało się już, że zrozumiałam niezwykle rzeczy...

– Później! – syknął do niej Wyn. Jego ruchy stały się nagle niecierpliwe.

– Chodź. Chcę zobaczyć, co zrobią, kiedy dotrą na bagna.

– Bagna? Jakie bagna?

– Przestań ciągle zadawać pytania. Chodź. Pójdziemy za nimi...

Wyn zdołał znaleźć tempo, które zachwycało jego córkę. Choć biegła przed nim, nigdy nie zostawał daleko z tyłu. Czasem, gdy brzeg był czysty, pędziła wzdłuż granicy lasu, w innych miejscach, gdzie olbrzymie drzewa, które runęły do rzeki, utrudniały przejście skrajem puszczy, gnała leśnymi ścieżkami. Stary wspierał się po drodze laską, był jednak pełen energii i podekscytowany. Łajał Morthen, gdy spoglądała na niego, zdumiona jego sprawnością.

Synowie Kiridu... czy to naprawdę mogli być prekursorzy Pryderiego, wywodzący się z wczesnej epoki brązu? Znaczna część wielkiej celtyckiej sagi o Pryderim zaginęła, pochłonięta przez późniejszy mit arturiański... nie ulegało jednak wątpliwości, że był on legendą w najdawniejszych czasach. Wyn widział wiele części tego cyklu opowieści, lecz samego bohatera nigdy nie spotkał. W starym języku nosił on imię Kiridu. Miał czterech synów... w dawnej legendzie...

Czy ci jeźdźcy mogli być owymi synami? Każdy z nich przeklęty, o czarnym sercu i czarnej duszy?

Jeśli tak, przeprowią się przez jezioro łodzią! Wyn przyśpieszył kroku, rozpaczliwie pragnąc zobaczyć ten fragment cyklu mitów, który tak

uporczywie wymykał mu się w ciągu lat spędzonych w lesie. Zjawienie się przewoźnika potwierdziłoby tożsamość jeźdźców...

Następnego dnia rzeka stała się szara od mułu. Las zrobił się rzadszy. Dęby ustąpiły miejsca olchom, a potem wielkim wierzbowom i gajom srebrzystego głogu. Nad wszystkim unosiła się tu cisza innego rodzaju.

– Jesteśmy blisko jeziora – oznajmił Wyn.

– Nigdy nie zapuszczałam się tak daleko – powiedziała cicho Morthen.

– Ja bywałem tu często – mruknął jej ojciec. – Jezioro stanowi jeden z naturalnych punktów, w których gromadzą się leśne formy życia. Jest nieprzebyte, z powodów prostych, lecz zapadających w pamięć. Wiąże się z nim setka opowieści, przeważnie bardzo ponurych.

Spojrzał na słuchającą go z uwagą dziewczynkę.

– Od legendy o przewoźniku zmarłych aż po pogrzebową łódź Artura...

– To było po moich czasach – odparło zgryźliwie dziecko, okazując bystrość, która wydawała się zupełnie do niego nie pasować.

Wyn zachichotał.

– Po twoich czasach – zgodził się. – Chodź! Pokażę ci cztery tysiące lat twojej przyszłości na jednym błotnistym, paskudnym, mglistym, porośniętym trzciną pustkowiu!

Ruszyli przez coraz brudniejszą wodę, czując jej ciężar na nogach.

Po kilku minutach Wyn skierował się pierwszy między drzewami ku rozległemu bagnu.

Była to beznadziejna, odludna okolica. W pełni zasługiwała na nazwę pustkowia, pustkowia złożonego z wody, błota i żałobnych poruszeń na skrytych we mgle brzegach jeziora. Drugi koniec bagna nikał w owych gęstych oparach, choć można było dostrzec niewyraźny zarys wierzchołków rosnących tam drzew. Wysokie sitowie i gęste skupiska trzciny kołysały się na wietrze. Po płytkiej, brudnej wodzie przemykały czarne kształty wodnych ptaków, płynących pomiędzy opadającymi nisko

gałęziami wierzb, których korzenie tworzyły niekiedy mosty między wysepkami bardziej stałego gruntu.

Cuchnęło tu zgnilizną. Niebo było szare i zamglone. Woda w centralnym jeziorze połyskiwała matowo, pluskała cicho o brzeg, pochłaniała wszelkie dźwięki.

Pochyliwszy się nisko, przebrnęli przez porośnięte zielskiem płycizny i wydostali się na twardy brzeg. Morthen wskazała na tropy koni, połamane trzciny i wzburzony jeszcze muł – ślady pozostawione przez jeźdźców.

– Dokąd pojechali? – zapytała. Wyn potrząsnął głową. Wyprostował się i przyjrzał uważnie skrytemu we mgle wierzbowemu lasowi oraz gęstym skupiskom sitowia. Puknął Morthen w ramię, każąc jej podnieść się i rozejrzeć. Dostrzegła niewyraźny zarys olbrzymiej człekokształtnej istoty, która weszła do jeziora i pogrążyła się powoli w wodzie. Jej zanurzaniu się towarzyszyło kilka drobnych fal. Potem zapadła cisza. Po drugiej stronie nad lśniąca taflę wynurzył się ciemny grzbiet. Stwór otrzepał się, a potem znieruchomiał. Dwie potężne wierzby zatrzęśły się od tego ruchu.

Jeźdźcy gdzieś tu byli. Wyn zaczynał się niepokoić. Bał się, że mogą zostać przez nich zauważeni. Niewykluczone, że już w tej chwili ich otaczali. Wokół jednak panowała cisza, całkowity bezruch... pomijając nagłe pojawienie się stadka brodzących czapli. Posuwały się sztywno, uderzały dziobami, stawiały delikatne kroki wśród zielska, coraz bliżej kryjówki Wyna. Od czasu do czasu wydawały z siebie przeraźliwy głos. Jeden długi dziób unosił się ku niebu, podczas gdy pozostałe muskały wodę.

Morthen, która wciąż niosła na ramionach haczyki wędkarskie, zaczęła ledwie słyszalnym głosem śpiewać myśliwską pieśń Tuthanachów wykonywaną podczas łowów na ptactwo. Dotykała palcami haczyków, zapewne pragnąc ocenić, który byłby najlepszy, gdyby pobiegła przez sitowie i spróbowała złapać za nogę tego ptaka, który zerwie się do lotu jako ostatni.

Jej gorące nadzieje spełzły na niczym. Jedna z czapli zaskrzeczała nagle i zaczęła się gorączkowo miotać. Reszta stada wzbiła się z hałasem w powietrze nad swą skazaną towarzyszką i odfrunęła między wierzby. Morthen wciągnęła powietrze. Wyn przyglądał się zafascynowany.

W odległości stu kroków sitowie uniosło się nad wodę, kołysząc się szaleńczo. Po chwili przerodziło się w dwie ludzkie postacie, męską i kobietą, które owinęły sobie wysokie wodne rośliny wokół ciała, od pasa w górę. Poniżej byli nadzy. Sitowia sterczały wysoko ponad ich głowami. Były przewiązane, zapewne jelitami, wokół górnej części tułowia oraz czubka głowy i rozszczepione tak, by stworzyć pionowe szpary na oczy. Kobieta owiązała je też nad klatką piersiową, by zostawić więcej miejsca dla piersi.

To ona trzymała w ręku sieć, popatrując niespokojnie w stronę Wyna, gdy zwijała ją powoli. Mężczyzna podszedł do wrywającego się ptaka i uniósł kamienną maczugę, by go uśmiercić.

Nie zdążył zadać ciosu.

Równie szybko, jak się pojawili, łowcy czapli zniknęli. Zanurzyli się pod wodę i roztopili w naturalnym krajobrazie moczarów.

Między nich a Wyna wjechał nagle koń. Stary znał już jego jeźdźca. Za nim podążał drugi, a potem trzeci. Wierzchowce brnęły przez błoto, a w głucho brzmiących głosach mężczyzn słychać było poirytowanie.

Czwarty jeździec wyłonił się z trzciny niemal w tym samym miejscu, w którym przycupnął Wyn, lecz podobnie jak jego towarzysze wpatrywał się wyłącznie w przeciwny brzeg jeziora porośnięty skrytym we mgle lasem.

– Czego szukają? – wysyczała Morthen.

– Floty czarnych statków – odpowiedział szeptem Wyn. – Ciągniętej przez olbrzymiego mężczyznę, który chodzi po powierzchni wody. To będzie ich droga do nieznannej krainy leżącej za jeziorem...

– Kim oni są? – zapytała raz jeszcze Morthen.

– Indoeuropejskimi łupieżcami – odpowiedział jej Wyn, tym razem po chwili wahania. – Koczownikami. Ich klan nazywa się Alentii. Są bardzo okrutni, czy raczej byli... dwa i pół tysiąca lat przed Chrystusem... napadali na dawne osady rolnicze wschodniej Europy, nim wchłonęły ich najwcześniejsze grupy powstających Celtów.

Większość słów wypowiedział po angielsku. Morthen miała ponurą, skwaszoną, poirytowaną minę.

– To nic nie znaczy – wyznała.

Uśmiechnął się i puknął palcem w czubek jej noska.

– A czego się spodziewałaś? Jesteś neolityczną dzikuską. Ci ludzie to wyrafinowani mordercy z epoki brązu. W gruncie rzeczy... – Podniósł się lekko, by spojrzeć na podenerwowanych jeźdźców i ich niespokojne konie.

– W gruncie rzeczy, myślę, że to synowie Kiridu. Szukają drogi do podziemnego świata, aby ukraść ciało kobiety, która strzeże mroku. Chcą ją zniewolić, by wywołać duchy z jej duszy i zapanować nad nimi.

– I co się stanie?

– Nie znam całej opowieści. Spróbują wdrzeć się do podziemnego świata, ale zabłądzą w labiryncie, który będzie się tworzył wokół nich, dokądkolwiek wyruszą. Nie jestem pewien wyniku. Nie wiem, czy uda im się uciec...

Morthen skinęła głową, jak gdyby rozumiała każde słowo. Gapiła się zafascynowana na niespokojnych jeźdźców, którzy czekali na bagnie, wpatrzeni w spowite mgłą wody.

– A więc tam teraz jadą... – rzekła. – Do podziemnego świata. Do Lavondyss...

Wyn–rajathuk nie potrafił się nie roześmiać, choć uczynił to tak cicho, jak tylko mógł. Morthen uśmiechnęła się niepewnie.

– Co w tym śmiesznego?

– Nic – odparł jej ojciec. – Zupełnie nic. Masz rację. Wszystko i wszyscy, którzy wędrują w górę tej rzeki, szukają drogi do Lavondyss.

Powiadają, że to królestwo jest miejscem, w którym ludzki duch nie jest już związany z porami roku. Lavondyss to wolność. Lavondyss to droga do domu...

Nagle ogarnął go tęskny nastrój. Wszystko, co wiedział o Lavondyss, usłyszał od mitotworów, z którymi udało mu się nawiązać porozumienie. Była to kraina, w której czas płynął bezładnie, w której, być może, w ogóle nie było czasu... i był to dom. Odczuwał to bardzo silnie. Myśl o Lavondyss była myślą o Oxfordzie, o Anne i o życiu, którego nigdy do końca nie zapomniał. Powinien był bardziej się starać przedostać do serca lasu. Nigdy nie powinien ulec słabości swego ciała, poczuciu, że się starzeje, mądrości mówiącej mu, żeby się ustatkował, odpoczął, zrezygnował z poszukiwań.

Był wędrowcem, który zawrócił. Przez większą część życia obserwował, jak duch przygody przechodzi obok niego: ludzie ze wszystkich epok, rodziny, klany, nawet armie... wyłaniali się z zatłoczonej przestrzeni ludzkiego umysłu i szli przez czas lasu i liści ściółki, zdążając ku miejscu, gdzie mogli znaleźć wolność...

Chciał wyszeptać dziewczynce coś więcej, lecz nagle złapała go za ramię, wybałuszając oczy ze strachu. Wskazała na drugą stronę jeziora.

– Człowiek! Idzie po wodzie!

Synowie Kiridu również ujrzeni zjawę. Stali się niespokojni. Wysunęli się naprzód, dalej, w głęboką wodę u brzegu jeziora. Wyn-rajathuk podniósł się, by lepiej widzieć...

Przewoźnik był wysoki, ale nie był olbrzymem. Złudzenie, że idzie po wodzie, wywoływały wężowe ruchy ciała, które przesuwało się z jednej strony na drugą, gdy posiłkując się tyczką, zbliżał się do brzegu jeziora. Stał w płaskodennej łódce, której burty wznosiły się zaledwie o cal nad powierzchnię wody. Miał na sobie nie tyle ubranie, co zbroję. Jego ciało okrywał dziwny zestaw kawałków wikliny owiązanych wokół tułowia i nóg oraz pokrytych liśćmi, jemiolą i liliami wodnymi. W kilku miejscach

wiklina pękła i sterczała z jego kończyn niczym złamane kolce. Wokół szyi zawiesił sobie martwą wydrę.

Gdy wykręcał ciało i poruszał tyczką, wypływając z mgły ku oczekującym myśliwym, za jego plecami pojawiła się flotylla mrocznych stateczków: pięć łodzi o wysokich burtach, pomalowanych na czarno i nie przepuszczających wody. Każda była wystarczająco duża dla dwóch ludzi.

Wyn uśmiechnął się. Potrafił sobie wyobrazić późniejszą opowieść, która miała w znacznym stopniu upiększyć ten prosty obraz. Przewoźnik holujący łodzie: bardzo rozsądne. Wszystko było praktyczne, pomijając fakt, że płynący łódką człowiek przerodził się w fantastyczną postać: ubrany w wierzbowe gałęzie, przyozdobiony liliami (kojarzonymi z wodą), jemiolą (symbolizującą zimę) oraz szerokimi liśćmi (oznaczającymi lato).

– Daj mi zobaczyć... – syknęła Morthen, usiłując dźwignąć się na nogi. Wyn jednak poczuł nagły przypływ ojcowskiej troski. Dostrzegał groźbę kryjącą się w ruchach synów Kiridu, którzy zsiadli z koni i weszli do wody na spotkanie przypływającemu. Miał bardzo silne wrażenie, że wie, co się za chwilę wydarzy, i zmusił córkę do pochylecia się i ukrycia, bez względu na jej nieprzyjemnie głośne krzyki protestu.

Jego przeczucie okazało się trafne.

Przewoźnika strącono z chybotliwej łodzi szybkimi, brutalnymi ciosami miecza. Krzyknął trzy razy dziwnym tonem przypominającym przenikliwy głos ptaka. Okrwawiony brąz błysnął w bladym świetle, po czym pojawiło się ciało wpływające między trzciny. Zaniepokojone zapachem krwi konie kręciły się nerwowo po płyciźnie na znak paniki i protestu.

Synowie Kiridu podeszli do swych wierzchowców i uspokoili je, a potem przywiązali do pięciu łodzi. Porąbali tę, w której przypłynął przewoźnik, i za pomocą prymitywnych wiosł popłynęli przez jezioro. Zniknęli szybko we mgle, poszukując miejsca, w którym rzeka wpływała na to pełne trzciny i błota pustkowie.

Wkrótce znowu zapadła cisza, macona jedynie dochodzącym niekiedy z oddali rzeniem jednego z ciągniętych na głębinę koni, którego pan nie zdawał sobie sprawy, że przez swój akt bezsensownego bestialstwa synowie Kiridu wprawili w ruch łańcuch wydarzeń mający doprowadzić ich podróż do podziemnego świata ku katastrofalnemu zakończeniu.

Wyn-rajathuk popatrzył ze świeżo rozbudzonym zainteresowaniem na olbrzymie wierzby rosnące nad brzegiem. Każda z nich sięgała gałęziami nad taflę wody, jak gdyby chciała powrócić do bardziej starożytnej krainy ukrytej za bagienną mgłą. Pomyślał, że ów akt morderstwa był czymś pospolitym. Był pewien, że kiedy przyjdzie tu znowu, znajdzie nowe drzewo wyrastające z mułu w tym miejscu, gdzie okaleczone ciało przewoźnika otaczały powoli korzenie lasu.

Wyczuwając, że jest już bezpiecznie, a ojca ogarnął szok, Morthen podniosła się powoli i spojrzała na puste jezioro.

– Czy go zabili? – zapytała. Wyn skinął głową z ponurą miną. Widział już wszystko, co chciał czy powinien zobaczyć. Ujął córkę za rękę i poprowadził ją z powrotem na twardszy grunt. Morthen jednak nadal interesowali jeźdźcy.

– Dlaczego się roześmiałeś, kiedy cię spytałam, dokąd jadą? – zapytała raz jeszcze, gdy wrócili na brzeg rzeki, a potem ruszyli ścieżką przez las.

– To właściwie nie był śmiech – odparł Wyn. – Przypomniałem sobie epickie opowieści z moich czasów. Zawsze wynikało z nich, że dostać się do podziemnego świata jest bardzo łatwo. Walczyło się z wielkimi psami albo węzami, ale na ogół wystarczała jakaś blisko położona jaskinia bądź studnia. Po prostu wjeżdżało się do niej i już.

Zatrzymał się, by zaczerpnąć oddechu. Usiadł na zwalonym, omszałym pniu dębu, który łączył oba brzegi i grzął w gałęziach drzew rosnących po drugiej stronie. Morthen wpatrywała się w szybkie, połyskliwe ruchy rybek o srebrnych płetwach.

– Ale do Lavondyss nie da się po prostu wjechać – ciągnął Wyn. Mówił teraz głównie do siebie, wpatrując się w dal nieobecny spojrzeniem. Morthen dzieliła swą uwagę między niego a ryby w rzece. – Trzeba znaleźć prawdziwą ścieżkę, a ta dla każdego poszukiwacza przygód jest inna. Prawdziwa droga do serca królestwa wiedzie przez puszcę znacznie starszą od tej...

Popatrzył przez korony drzew na jasne, jesienne niebo.

– Pytanie brzmi... jak mamy dotrzeć do tej starszej puszczy? Istniały czasy, gdy rozumiano moc, gdy można było znaleźć ścieżkę. Nawet jednak w epoce twoich ziomków, Tuthanachów, pozostały jedynie drewniane symbole, myśl, słowa, szamańskie rytuały ludzi takich jak ja...

Uśmiechnął się do Morthen, która miętoszyła w palcach jeden z warkoczy, przyglądając się staremu brązowymi, pełnymi głębokiej troski oczyma. Być może sądziła, że ojciec czegoś się obawia.

– Szamaństwo – ciągnął. – Tym właśnie się zajmuję. Lipa. Jestem rajathukiem...

– Injathukiem – odpowiedziała, nie rozumiejąc go.

– W istocie. Injathuk. Czarodziej. Czarnoksiężnik. Druid. Uczony. W ciągu stuleci znano mnie pod wieloma nazwami, wszystkie jednak znaczyły to samo: „echo utraconej wiedzy”. Nigdy „strażnik mocy”. Było to prawdą nawet w przypadku uczonego...

Odwrócił wzrok od dziewczynki i wpatrzył się w wirującą siłę natury, milczącą moc lasu.

– Możliwe, że w tej sprawie się mylę... może nauka znajdzie drogę do pierwszej puszczy...

Morthen przerwała mu, unosząc ręce, by zasygnalizować, że poczuła się sfrustrowana tą diatrybą w dwóch językach, z których jeden był tajemny.

– Jeśli tak trudno jest dostać się do Lavondyss, to dlaczego ci jeźdźcy w ogóle próbują? – spytała. – Jeśli nie mogą dotrzeć do miejsca, w którym duch ulatuje od pór roku, po co zadają sobie trud?

Było to wyrafinowane pytanie, jak na ośmioletnie dziecko z epoki neolitu. Wyn przerwał, by wyrazić córce uznanie. Uszczypnął ją czule w policzek i uśmiechnął się.

– Dlatego że na tym polega legenda, mit.

– Nie rozumiem, co to jest mit – mruknęła zrędlowie.

– Źródło – poprawił się, choć wiedział, że chciała tylko zademonstrować zły humor. – Sednem legendy jest znalezienie drogi. Najdawniejsze zwierzęta przybyły do krainy, by rozprzestrzenić się i wydać na świat młode, najpierw jednak musiały ją odnaleźć. Rajathuk wędrował po świecie podczas nie kończącej się nocy, nim trafił na najstarszą kość, której siłą życiową mógł się karmić, by rosnąć i sięgnąć rękami nieba, dzięki czemu z jego palców mógł się zrodzić injathuk, który zaśpiewał do ukrytego słońca i przywołał światło.

– Wszystko to wiem – mruknęła Morthen.

– W tym właśnie rzecz. Wszystko szuka swego miejsca na świecie. Poszukiwanie. Znajdowanie. Wędrowka. Odnalezienie drogi do domu. Drogi do pierwszego ze wszystkich domów. Poszukiwanie przygód... opowieści powstawały po to, by zbadać myśl o badaniu podziemnego świata. Ci wędrowcy sami są legendami. Są mitotworami. Są snami... istnieją tylko we śnie i zachowują się stosownie do wspomnień śniącego. Nie mogą czynić nic innego. Mężczyzna, który przechodził tędy przedtem, który stworzył twój lud, który stworzył bagno, zostawił za sobą życie płynące w sposób zgodny z tym, jak je zapamiętał. Synowie Kiridu nie mogli oszczędzić przewoźnika, ponieważ nie oszczędzili go w legendzie. To, co robią w przerwach między wydarzeniami w opowieści, zależy od nich, lecz gdy wciąga ich jej bieg, stają się bezradni. Słyszą zew. Tylko człowiek, który przechodził tędy przedtem... i ja... tylko my dwaj jesteśmy wolni od zewu. Nie powstaliśmy ze snów. Jesteśmy żywi. Pochodzimy z rzeczywistego świata. Tworzymy świat wokół siebie. Wypełniamy las

stworzeniami. Zapomniane dziedzictwo materializuje się na naszych oczach i nie jesteśmy w stanie tego powstrzymać...

Morthen z uwagą przyglądała się ojcu. Była niespokojna. Czekwała ich długa droga, nim powrócą do domu. Wyn wiedział dokładnie, o czym myśli dziewczynka, ponieważ opisywała mu to wrażenie. Jego słowa budziły w jej głowie słodkie dźwięki, tworzyły myśli i obrazy, mimo faktu, że często mówił o sprawach wykraczających poza jej pojmowanie. Powoli jednak zaczynała się bać. Słowa, które wypowiadał, były duchami, a duchy nie mogły spoczywać w jej głowie. Nie czuły się tam dobrze. Sprawiały, że serce biło jej szybciej.

– Ale czy ten człowiek, który przechodził tędy przedtem, dotarł do Lavondyss? – zapytała, gdy stary milczał przez chwilę.

Wyn–rajathuk uśmiechnął się.

– Nad tym właśnie się zastanawiam. Dopiero w tej chwili przyszło mi do głowy, by zadać to pytanie...

Jego córka usiadła na butwiejącym pniu, pochyliła się do przodu i wsparła głowę na dłoniach.

– Ciekawe, kim był.

– Człowiekiem, którego przeznaczeniem była wędrówka – padła odpowiedź. – Który był naznaczony. Który pragnął triumfu. Wszystkim tym razem i każdym z osobna. Mógł zapożyczyć tożsamość z dowolnego z niezliczonych wieków poprzedzających jego narodziny. Mógł przebrać się w pierzasty płaszcz z tysiąca legend. W głębi serca pochodził jednak z zewnątrz. Z zakazanego miejsca. Kiedy w lesie zjawia się przybysz, zmiana szerzy się w koronach drzew niczym pożar. Puszcza wysysa umysł, wysysa sny...

– Tak jak Tig wysysa duchy z kości.

– Tak. Myślę, że tak. Ale gdy czerpie z umysłu, traci coś z siebie. To nieuniknione, gdyż by powstał mit, musi dojść do połączenia: jak iskra i szybki oddech, dwie rzeczy jednoczą się w płomieniu. Płomień oznacza

zmianę. To właśnie ujrzeliśmy dzisiaj, gdy zobaczyliśmy, że totemy wyglądają inaczej, dom pogrzebowy jest tak zapuszczony, a wzgórze porasta tarnina. Ktoś z mojego świata jest blisko nas i las pochyla się ku niemu, napięty i podenerwowany, najeżony mocą. Widzisz to? Czujesz?

– Nie. Tylko Skogena.

– To jest to samo.

Przyglądał się jej z uwagą, zastanawiając się, ze zrozumieniem czego ma trudności. Była bystra. Ze zdumiewającą łatwością przyswajała sobie nowe pojęcia.

– Skogen nawiązuje z nami kontakt, ponieważ o nas myśli – wyjaśnił. – To znaczy, że niemal na pewno nas zna. Mówiąc ściśle, powinienem powiedzieć, że zna mnie. Tworzy nieświadome połączenie na wielką odległość i objawia się ono w...

Zawahał się. Dziewczynka wybałuszyła szeroko rozumne oczy, widać było, że przenikał ją dreszcz, kiedy ojciec dopuszczał ją tak głęboko do własnego tajemnego świata. Używał więcej słów ze swego języka mocy – z angielskiego – niż kiedykolwiek dotąd i tłumaczył jej wszystko z uwagą.

W tej chwili jednak zgubiła wątek.

– Objawia się ono w przemianie mitogenicznego krajobrazu...

– Hę?

Roześmiał się.

– Zbliża się cudzoziemiec. Zwierzęce duchy lasu są niespokojne. Przewidują wielkie zmiany.

– Dlaczego od razu tego nie powiedziałaś?

Spędzili w lesie drugą noc. Byli głodni, teraz już aż do irytacji. Kiedy dotarli na terytorium Tuthanachów, wczesnym popołudniem następnego dnia, Wyn–rajathuk dostrzegł dalsze oznaki zmiany, dowody zbliżania się Skogena. Spoglądając na porośnięte lasem wzgórze, zauważył, że ziemny

nasyp otaczający dom pogrzebowy jest nieco niższy. Kształt jego chaty, stojącej na wydzielonym obszarze, również lekko się zmienił.

Obejrzawszy się w stronę lasu, ujrzał połamane przez wichry, sięgające powyżej koron innych drzew dęby o gałęziach przypominających czarne ramiona czy rogi.

Przed kilkoma dniami tych olbrzymów nie było.

Morthen weszła do chaty, by przygotować jedzenie – rybę, którą złapała, bulwy czosnku, które zebrał Wyn. Oczywiście mieli też spory zapas zmielonej pszenicy na suchary. Wyn–rajathuk udał się na wzgórze, do domu pogrzebowego, i wszedł na dotknięty rozkładem ogrodzony teren. Ślepy Skogen o martwych oczach był teraz wyższy. Nowe życie w jego potężnym pniu objęło większy obszar. Gęstwina liści i gałązek wyrastała z kluczowych punktów rzeźbionego słupa. Gdy wyciągnął rękę, by zerwać jeden z liści, ziemia zadrżała. Wydawało mu się, że usta Skogena wykrzywiły się lekko. Głębokie cięcie topora, które je stworzyło – przez tak długi czas czarne – miało teraz biały brzeg niczym świeżo przerębana kora.

– Czy ty go wzywasz? Czy też on ciebie? Ciekawe. Ciekawe, skąd płynie moc...

Drzewo milczało.

Wyn–rajathuk zwrócił się w ku niemu i oparł o nie w nadziei na jego uścisk. Było jednak zimne. Podniósł wzrok na półokrąg rzeźbionych pni. Nie chciały spojrzeć mu w oczy.

Niemal bał się wejść do domu pogrzebowego, aby zobaczyć, czy kości zmarłych się zmieniły. Zrobił to jednak i przez chwilę nie dostrzegł żadnych oznak poruszenia. Potem jego oczy przyzwyczyły się do ciemności.

Chłopiec ponownie odwiedził cruig–morn. Dowody były niepodważalne. Powygrzebywał kości z niektórych urn. Poruszył te, które schły przy wejściu. Nie dotknął szczątków kobiety, którą ongiś był skłonny zwać „matką”. Szakale poobgryzały mięso świeższych trupów, lecz

wyglądało na to, że Tig je przepędził. Na podłodze widać było krew oraz kamienny nóż.

Wyn–rajathuk przeszukał budynek, po czym wrócił na zewnątrz i stanął przed wejściem z laską w dłoniach. Za jego plecami ptaki wlatywały do miejsca rozkładu i opuszczały je, on jednak czekał na poruszenie, które – jak wiedział – musiało nadejść z innej strony.

Wkrótce zdał sobie sprawę, że Tig niepostrzeżenie zakradł się do domu pogrzebowego. Widział ubranie chłopca czającego się za rajathukiem, który Tuthanachowie – i ludzie, którzy byli przed nimi – zwali Morndunem.

Zajrzawszy za totemiczne drzewo, Wyn–rajathuk uderzył laską w kamienne nadproże domu pogrzebowego, by dać znak, że widzi dziecko. Tig natychmiast wynurzył się z ukrycia z pełnym naręczem kości.

– Wróciłeś do miejsca zmarłych, mimo że ci tego zabroniłem – odezwał się gniewnym tonem stary.

– Przynoszę kości z powrotem – odparł nerwowo Tig. Związał sobie długie włosy białą futrzaną opaską w sterzącą kokardę na czubku głowy. Całe przedramiona pokrywały mu zadrapania. Mogły to być obrażenia spowodowane przez gęste zarośla tarniny, lecz Wyn–rajathuk sądził raczej, że chłopiec zadał je sobie sam.

– Czy wysłałeś je do sucha? – zapytał go.

Tig uśmiechnął się i powlókł naprzód krok czy dwa.

– Dziecko było za małe. Miałeś rację. Nie było w nich nic. Ale wysłałem już ducha pięciu ludzi. W kości jest mnóstwo pamięci.

– Najadłeś się na dziś?

– Na dziś, tak.

Chłopiec zawahał się. Jego elfią twarz wykrzywił wyraz niepewności. Bystre oczy stały się niespokojne.

– Mam zanieść zmarłych z powrotem?

– Przynieś ich tutaj.

Wyn–rajathuk wziął kości z rąk drżącego chłopca. Teraz, gdy Tig był nasycony, gdy wykonał już swój niezwykły, niepojęty szamański rytuał, znów stał się tylko dzieckiem płonącym od tego, co skonsumowało... czy wyobrażało sobie, że skonsumowało. Wydrapał na kościach spirale i kształty diamentów, płytkie znaki przypominające te, których rzemieślnicy Tuthanachów używali do dekoracji kamienia, drewna i ubrania.

– Wejdz do środka...

Tig z ochotą wszedł za nim do cuchnącego półmroku domu pogrzebowego. Wyn–rajathuk położył odłamki kości z powrotem na miejsce. Tig wiedział, skąd pochodzi każdy z nich. Zrobiwszy to, wrócili do kamiennego korytarza prowadzącego do świata zewnętrznego, gdzie przykucnęli, chłopiec naprzeciwko mężczyzny, po przeciwnych stronach wpadającego do środka snopa światła.

– Czy zamierzasz zjeść każdego ducha w tym domu?

– Każdego – zgodził się Tig. – To potrwa długo.

– Kto ci powiedział, żeby jeść duchy? Czy rozmawiałeś z kimś w lesie?

Tig potrząsnął ze zdziwieniem głową.

– Po prostu muszę to robić – odparł obojętnie. Wyn–rajathuk uśmiechnął się. Wiedział, że była to jedyna możliwa odpowiedź.

„Jedzenie duchów” jako element zapomnianej opowieści, którą był Ennik–tig–en’cruig (imię oznaczające: Tig Nigdy Nie Dotknie Kobiety Nigdy Nie Dotknie Ziemi). Dla Wyna nie musiało to mieć znaczenia, lecz dla ludzi z roku 4000 p.n.e., którzy pierwsi stworzyli legendę o chłopcu jedzącym duchy, znaczyło bardzo wiele.

– Jeśli któryś z Tuthanachów przyłapałby cię w domu kości, zabiliby cię. Wiesz o tym? Dzieciom nie wolno tu wchodzić. Utopią cię.

– Oczywiście. Dlatego się schowałem.

Wyn–rajathuk bezwiednie pogodził się z myślą, że obecność Tiga w tym miejscu jest nieunikniona. Nie było sposobu, by zapobiec temu etapowi życia małego mitotworu...

– Jeśli ciągle będziesz wchodził i wychodził, to będzie dla ciebie zbyt niebezpieczne. Lepiej zamieszkaj w cruig–morn, dopóki nie zjesz wszystkiego. Pod warunkiem że potrafisz wytrzymać smród i obronić się przed szakalami. Ale jeśli będą kogoś chować, musisz opuścić budynek i nie wracać przez dwa dni. Jasne?

Zachwycony Tig skinął głową na znak potwierdzenia.

– Czy wiesz, co się z tobą stanie, kiedy już uporasz się z tym zadaniem?
– zapytał Wyn.

Chłopiec potrząsnął głową. Mężczyzna uśmiechnął się.

– Ale ja wiem – powiedział. – Wiem o tobie wszystko, Tig. Jesteś jednym z często spotykanych w lesie mitotworów. Widziałem cię już przedtem. Dostrzegałem cię przelotnie. Słyszałem o tobie. Znam twoją historię od narodzin aż do śmierci, choć nawet nie próbuję udawać, że rozumiem, co i dlaczego robisz ani w jaki sposób stałeś się legendą. Wiem jednak, jaką zmianę wprowadzisz w życie Tuthanachów... i co jeden z nich w końcu uczyni z tobą.

Tig wybałuszył szeroko oczy, najwyraźniej jednak nie zrozumiał nic poza tym, że to groźba.

– Czy usłyszałeś to wszystko od swoich butwiejących drzew? – zapytał z zawziętością w głosie. – Powiedziały ci to ich załamujące się głosy?

– Nie. Usłyszałem to od głosu z mojej przeszłości. To ja cię stworzyłem. Wiedziałaś o tym? Byłeś w moich czasach legendą, zapomnianą opowieścią, która jednak nadal istniała w mych snach. Las wziął ten sen i ukształtował z niego ciebie. Część owego snu mówi, że chłopiec przyniesie ludowi nową magię. Obali totemy starego klanu. Obali człowieka, który strzeże zmarłych. Inny fragment opowieści mówi, że chłopiec zje głowę mężczyzny odzianego w ptasie pióra. Nie zamierzam tu czekać, aż do tego dojdzie.

– Twoje totemy już nie żyją – wyszeptał Tig. – Słuchałem ich, ale nie wydają głosu. Twoje ptasie pióra już nie latają. Chciałbym jednak zjeść

twoją głowę, żeby zobaczyć te dziwne sny...

– Skończ najpierw ucztę w domu pogrzebowym – odparł z drzeniem Wyn–rajathuk.

Tig odczołgał się w ciemność, pomiędzy drewniane kolumny i wysokie głązy. Wkrótce stary widział już tylko jego oczy, skośne, lśniące i przerażająco skupione.

Morthen złapała szczupaka, pomagając sobie kościanym haczykiem oraz wielką dozą zimnej krwi. Wróciła z nim do małej, zagraconej chaty szamana wzniesionej na zewnątrz ziemnych wałów wioski. Zgodnie z poleceniem ojca przecięła rybę na dwie części. Pierwszą wsadziła w worek z lisiej skóry, by ofiarować ją starym kobietom z długiego domu. Ogon był dla nich. Morthen ugotowała go z jagodami, przyglądając się, jak Wyn–rajathuk stawia liczne czarne znaki na jednym z kawałków papieru, które miał ukryte w kamiennym schowku z tyłu domu.

Kiedy już zjedli, Wyn zarzucił na ramiona płaszcz ptasich duchów i zawiązał z przodu sznur. Wziął w rękę laskę i położył ją sobie na kolanach. Morthen przyglądała mu się niespokojnie z błyskiem w oczach. Był pewien, że wyczuwa, iż zbliża się chwila rozstania. Zauważył, że założyła „odświętny strój”, małą rytualną ozdobę głowy, którą zrobiła z myślą o wiosennych ogniskach i letnich łowach. Była to siatka z jelit ozdobiona licznymi kolorowymi muszlami lądowych ślimaków. Jej wykonanie zajęło dziewczynce tydzień. Zakrywała głowę i szyję niczym welon.

– Czy tłumaczyłem ci kiedyś, co oznacza ta laska? – zapytał. Spojrzała na szereg malowanych piór przywiązanych do kawałka drewna, po czym potrząsnęła głową. W ciągu kilku ostatnich tygodni ojciec powierzył jej tak wiele tajemnic swego życia. Czuła się podekscytowana, a jednocześnie zasmucona, gdyż przychodził jej do głowy tylko jeden powód, dla którego miałby zapragnąć udzielać jej instrukcji już teraz, nim spędziła kilka lat z

kobietami w wodnym domu, ucząc się od nich i poznając ich mądrość. Wyn wskazał na dwa czarne pióra umieszczone na samym dole.

– To są pióra łyski – stwierdził. – Są czarne, ponieważ reprezentują dwa lata, które spędziłem w lesie samotny i zagubiony. Potem, wlokąc się przez dzicz, napotkałem plemię znane w legendzie jako *Amborioscantii*. Byli to ludzie, którzy jako pierwsi poznali magię błyszczącego kamienia zwanego kruszcem. Chowali swych zmarłych w urnach, znacznie większych od robionych przez Tuthanachów. Jeździli na dzikich koniach. Robili noże z błyszczącego kamienia. Jeśli ogrzać go w ogniu, staje się płynny i wygląda jak mętna woda. Potem znowu twardnieje i można go kształtować i ostrzyć, tak jak mogłabyś naostrzyć wilczą kość, żeby uzyskać czubek.

– Opowiadałeś mi już tę głupią historię – wtrąciła Morthen. Przesunęła palcem wewnątrz glinianego garnka, w którym ugotowała rybę, a potem go oblizała. – Kamień, który płynie jak gorąca woda, tylko że kiedy mówiłeś o tym poprzednio, nie była mętna. Twierdziłeś, że ma kolor dębowego liścia na jesień. Jaskrawy kolor z jaskrawego kamienia. Nazywałeś to metalem.

– Bardzo dobrze wszystko zapamiętałaś. Najwyraźniej utraciłem poetycki talent. Fragment późniejszej legendy o Tuthanachach, twoich ziomkach, mówi, że będą oni pierwszym ludem, który ukradnie sekret owej dziwnej substancji i nada jej ziemską nazwę. To wczesna wersja opowieści o magicznej kuźni, podsekcja legendy, która dla kogoś takiego jak ja jest niewypowiedzianie nudna... ale wasza wersja wypadnie ze świadomości trzy tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa.

Dostrzegł łagodne zniecierpliwienie córki. Sposób, w jaki przekazywał pewne myśli, najwyraźniej pozostawiał wiele do życzenia, przez co jego opowieść nic dla niej nie znaczyła. Zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć: – Czy opowiadałem ci o Chrystusie?

– Zrodzony z ducha mężczyzna, który chodził po wodzie, opowiadał historie i umarł na drzewie. Tak. Opowiadałeś mi o nim. Pokaż następne pióra.

– Proszę bardzo. Spędziwszy pewien czas wśród *Amborioscantii*, poślubiłem Elethandian, cudowną, tragiczną kobietę, o której mógłbym ci opowiedzieć pięć wspaniałych historii i o której w moim świecie – uśmiechnął się ze smutkiem – zupełnie zapomniano. Z Elethandian miałem syna. Mojego pierworodnego. Jej trzeciego. Była przedtem żoną myśliwego, ale to już inna historia. Mój syn nazywał się Scathach. To pióro, czerwone, oznacza rok jego narodzin. Pochodzi od orła, który siedział na dębie. Ów ptak był pierwszym, co zobaczyłem, gdy Scathach otworzył usta i przyniósł na świat swój głos. Nadałem mu imię na cześć dębu, a nie orła. Widzisz? Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Zawsze nadajemy imię, kierując się chwilą narodzin. Na przykład Morthen...

W języku Tuthanachów morthen znaczyło „nagły lot ptaków”.

– A co, gdybyś zobaczył dławionego wilka? – zapytała. Był to stary dowcip Tuthanachów. Wyn nagrodził go szczodrobliwym uśmiechem.

– Kiedy się rodzisz, zmieniasz świat – wyjaśnił po prostu. – Zawsze uważałem, że to świetny zwyczaj: nadawać dziecku imię pierwszej zmieniającej się rzeczy, którą ujrzą rodzice...

Spojrzał na córkę.

– W moim świecie duchów bierzemy imiona z ksiązek. Wielu ludzi nosi to samo imię.

Morthen pomyślała, że to musi być bardzo dezorientujące. Wyn ponownie zwrócił swą uwagę na laskę.

– Te dwanaście białych piór oznacza dwanaście lat, które spędziłem z *Amborioscantii* i ze Scathachem. To czarne symbolizuje rok, w którym mój syn wyruszył w podróż, by się przekonać, czy jego prawdziwe serce leży w świecie poza puszcza. Tak samo jak ty, był w połowie z ciała, a w połowie z lasu...

Lęk sprawił, że się zawahał. Morthen patrzyła na niego, lecz w jej oczach nie było tego niespokojnego ognia, który dostrzegał u Scathacha.

Być może jego córka zostanie w królestwie. Być może nigdy nie poczuje potrzeby sprawdzenia, do którego z dwóch światów należy...

– Te pióra – ciągnął – symbolizują lata, które spędziłem z Tuthanachami. To szare oznacza twoje narodziny. Pochodzi od żurawia. W sumie są dwadzieścia cztery pióra. Dwadzieścia cztery lata. Oznacza to, że mam już siedemdziesiąt cztery, ale pięćdziesiąt przeżyłem w świecie duchów, w świecie cieni...

– Twoja córka–duch nazywała się Anne... – wtrąciła radosnym tonem Morthen. – A kraina Oxford. Widzisz? Pamiętam!

Popatrzył na dogasające ognisko.

– Tęsknię za nią. Często o niej myślę. Biedna Anne tak nieszczęśliwa pod wieloma względami. Ciekawe, co się z nią stało?

– Może spotkała Scathacha. Może udało mu się ją znaleźć.

– Może.

Wyciągnęła rękę i dotknęła piór – czerwonego i szarego – które symbolizowały narodziny Scathacha oraz jej własne.

– Ale gdzie jest Tig? Nie ma pióra dla Tiga?

– To jest dla niego – odparł Wyn–rajathuk, dotykając pióra odległego o dwa lata od poświęconego Morthen. Było białe, tak samo jak pozostałe.

– To nie jest pióro narodzin.

– Tig nie miał matki, miał tylko las. Przybył z puszczy bardziej starożytnej od tej, w której polujecie. Z tej, o której opowiadałem ci wczoraj. Ona jest tu... – Dotknął palcem głowy. – Jest wyjątkowo stara. Wygląda jak sieć. Wibruje jak targany wichrem buk. Mówi i śpiewa. Jest jak błyskawica. Widziałaś błyskawicę, prawda? Ona spada na las z góry, ale tutaj, w tym lesie – klepnął się w czaszkę – ogień rozpala się nieustannie. Jest tu pełno płomieni, które wychodzą na zewnątrz i zapalają bór, który nas otacza, i cały las zaczyna się tlić, i formują się kości, i tli się ciało, i kształtuje się duch. W ten sposób narodził się Tig. Powstał z wilgotnej gliny i butwiejącej ściółki... ale przyszedł z puszczy w głowie swego ojca.

– Ja przyszedłam z brzucha matki – zauważyła Morthen.

– Tak. To prawda. Ale ona... wszystkie pokolenia jej klanu... pochodziły z lasu. Stworzył je ogień w głowie człowieka podobnego do mnie, który przed laty szedł brzegiem tej rzeki, zatrzymał się na chwilę... zasnął i stworzył sen.

Widział, że Morthen wciąż ma trudności z pojęciem tej myśli, mimo że wielokrotnie tłumaczył jej, na czym polega natura mitotworów. Gdyby jednak była w pełni mitotworem, nie byłaby nawet w stanie toczyć podobnej rozmowy.

Dźwignął się niepewnie na nogi i wyrwał żółte pióro z krezy płaszcza. Morthen również wstała. Wzięła zapakowaną w torbę część ryby, jak gdyby przeczuwała, co powie. Gdy zaczął mówić, miała smutną minę, lecz zaakceptowała jego słowa.

– Musisz udać się do wodnego domu i zamieszkać tam z kobietami. Już najwyższy czas, byś to uczyniła, mam jednak też inny powód, by cię odesłać. Skogen bardzo intensywnie myśli o domu pogrzebowym – dlatego zmiany w okolicy wpływają na ten budynek – i groziłoby ci niebezpieczeństwo, gdybyś przebywała zbyt blisko mnie. Jeśli Skogen jest tym, za kogo go uważam, będzie w pełni świadomy obecności twojego ducha. Nie chcę, żebyś się zmieniła, ale w twojej krwi jest las i on może na niego wpływać.

– Czy to mój przyrodni brat? – zapytała Morthen. – Czy Scathach wraca do domu?

– Jestem tego pewien. Mój syn wędruje z powrotem. I odnoszę silne wrażenie, że jest bardzo rozgniewany...

Umieścił żółte pióro na szczycie laski i przywiązał je tam za pomocą kawałka zwierzęcego jelita.

– To może być ostatnie pióro na lasce. Kiedy zostaniesz Morthen-injathukiem, weź je, proszę, na oznaczenie swego pierwszego roku. Obiecujesz?

– Obiecuję – odparła dziewczynka i spuściła wzrok ku owiniętemu w futro pakunkowi, który trzymała w rękach.

Skogen był blisko. Bardzo blisko. Mógł w każdej chwili przybyć do okolicy.

Kiedy Wyn–rajathuk poddał inspekcji totemiczne drzewa na wzgórzu pogrzebowym, przekonał się, że są czarne od drążącej je zgnilizny. Nawet Cień Niewidzianego Lasu, który niedawno wypuścił nowe gałązki. Teraz był martwy.

Wszystko to powiedziało dwie rzeczy człowiekowi, który – mimo swego intelektu – stał się skutecznym szamanem: po pierwsze, że źródło kontaktu, które ożywiło Cień Niewidzianego Lasu, było już tak blisko, iż komunikacja stała się zbyt częsta, a widoczne oznaki jego nadchodzenia zanikły. Po drugie, że w okolicy pojawiła się nowa magia, należąca do Tiga. Czary rajathuka zanikały, w sposób charakterystyczny dla bajek, a nie historii.

Nowy system symboliki, panowania nad nieświadomą mocą pewnych członków miejscowego społeczeństwa... nowa magia wyłaniała się ze starożytnej warstwy umysłu, jaką stanowili Tuthanachowie.

Wyn wiedział, że takie nagłe, eksplozywne zmiany wierzeń i sposobów pojmowania musiały zachodzić w ciągu całej historii: idea ego; obraz samego siebie; zrozumienie natury; pojęcie życia pozagrobowego; sama idea pojęcia. Wszystkie te przykłady prostej ewolucji sposobu myślenia zaczynały się od dzieci, od nowego pokolenia, a symbolizowało je jedno dziecko: cudowne, uzdolnione i święte.

Tig był właśnie taką istotą. To z niego – z Tiga Nigdy Nie Dotknie Kobiety Nigdy Nie Dotknie Ziemi – z tego dziwnego, gwałtownego chłopca miała się narodzić cała kultura, a nowe wyobrażenie życia pozagrobowego miało zapanować nad ludzkim życiem na dwa tysiąclecia.

Tig miał zorganizować budowę wielkich, usypywanych z ziemi grobowców, zinterpretować przypadkowe symbole środkowej epoki kamiennej i zainicjować przekształcanie ich w akceptowany, zrozumiały system rzeźbienia w kamieniu i drewnie. Wszystko to było prostą reakcją na zmianę relacji między ludzką świadomością a jej nieświadomym odpowiednikiem. W Irlandii i Europie Zachodniej czwartego tysiąclecia przed naszą erą był to jednak głos podziemnego świata, a jego przejawy były rozmaite. Miał się narodzić bardziej uporządkowany system kultu natury, stworzony z istotnym udziałem jasnowidzenia.

Wszystko to miał rozpocząć Tig.

Rzecz jasna, chłopiec nigdy nie istniał, nie jako prawdziwe ludzkie dziecko. Był mitem. Stanowił wywodzącą się z późniejszej epoki interpretację tego, w jaki sposób narodził się nowy system wierzeń i praktyk religijnych. Żywot Tiga, agresywnego zjadacza duchów, powstał w wyobraźni populacji pragnącej wytłumaczyć swe początki.

Tig jednak istniał równie zdecydowanie jak każde inne dziecko, jako że żył w całej ludzkości.

Uformował się z archetypu.

Był mocą.

A teraz stał się potężniejszy od Wyn-rajathuka, ponieważ postępował zgodnie z legendą: przeciwstawił się strażnikowi starego domu kości i zagroził, że zje jego głowę. Szaman ucieknie z okolicy. Tig będzie go ścigał i zabije go, a potem wróci i przywoła moce ziemi. Wszystkich członków klanu czekała śmierć przez pochowanie: każdy mężczyzna, kobieta i dziecko, każdy miał zniknąć w wykopanym w ziemi grobie i wyłonić się z niego odnowiony. Tylko Tig nie zostanie pogrzebany. Będzie pamiętał opowieści klanu. Stanie się jego pamięcią. To dlatego wysysał kości zmarłych. Owe legendy zostaną przekazane, również odnowione, odrodzonemu ludowi Tuthanachów, który pierwszy wzniesie wielkie grobowce i nawiąże kontakt z przodkami.

Kiedy wszystko to się stanie, młody mężczyzna zwany Tigiem zostanie nabity na zaostrzony kamień, a padlinożerny ptak pożre jego oczy, język oraz serce i uwije sobie na nim gniazdo, aż duch Tiga również ucieknie z ciała.

Nie umrze, lecz odejdzie od swych pobratymców i będzie żył dalej, bez oczu, bez mowy, bez serca i bez ducha, przypominając im o ich zdradzie.

A nie była to nawet najstarsza postać mitu.

Jeśli jednak chodziło o Wyn–rajathuka, głowa noszona przez niego na ramionach, była smakołykiem, który był w pełni zdecydowany zanieść w bezpieczne miejsce. Nie mógł jednak tego uczynić, dopóki nie zjawi się Skogen... ponieważ był on jego synem i minęło dziesięć długich lat, odkąd ostatni raz go widział.

Jeśli nawet Tig był bliski zapanowania nad światem Tuthanachów, w tej chwili jego usta wypełniał dom pogrzebowy.

Tak, pomyślał Wyn. Jest jeszcze czas. Mogę tu poczekać jeszcze kilka dni.

Morthen się mną zaopiekuje.

Kiedy już podjął decyzję, następne kroki były proste. Udał się do osady Tuthanachów, wszedł przez bramę i stanął tam, obserwując chaos, który pełzał, gdakał, biegał, rąbał, prał, rozpalał ognie, krył dachy strzechami i wrzeszczał. Jego obecność przy wejściu sprawiła, że całe to codzienne życie uciszyło się nieco: kury się rozpierzchły, a trajkoczące bachory uciszono. Morthen bawiła się z dziewczynką w tym samym wieku co ona. Popatrzyła na ojca, lecz dostrzegła jego spojrzenie i w żaden sposób nie okazała uczucia ani troski.

Wyn–rajathuk wbił ozdobioną piórami laskę w ziemię. Pokręcił nią w lewo i w prawo, by wryła się głęboko. Z długiego domu wyszła Stara Kobieta Która Śpiewała Do Rzeki, wsparta na ramieniu swego syna, najstarszego mężczyzny w osadzie, równie siwego i pomarszczonego jak sam Wyn, mimo że było między nimi dwadzieścia lat różnicy. Za nimi

pojawiły się następne kobiety, a także Jykijar–Pierwsza Świnia Lata – ze swą laską ozdobioną kłami dzika oraz przerażającym wyglądem łowcy. Czuł się znudzony, czekając na moment, w którym będzie mógł ponownie zademonstrować swą myśliwską magię.

Stara Kobieta Która Śpiewała Do Rzeki podeszła do Wyna i położyła rękę na ramieniu szamana.

– Dlaczego to robisz?

– Już mnie nie potrzebujecie.

– Ale kto będzie strzegł domu pogrzebowego? Kto będzie śpiewał do słońca? Kto rzuci wyzwanie księżycowi? Kto pomoże mi śpiewać do rzeki?

– Słuchajcie głosu młodzieńca – odrzekł Wyn. – On nie dotknie kobiety. On nie dotknie ziemi...

– Tiga?

– Tiga. Przybył pomiędzy was. Przynosi nowy głos waszemu ludowi.

– Jesteśmy także twoim ludem.

– Już nie. Przybyłem z zewnątrz. Muszę tam powrócić.

Starucha cofnęła się, dotykając uszu na znak wielkiego szacunku. Pozostali Tuthanachowie zrobili to samo, nawet Pierwsza Świnia Lata.

Wyn–rajathuk ściągnął płaszcz z piór i zawiesił go na lasce duchów. Wiatr wydał krezę. Żółte pióra nastroszyły się, jak gdyby były zaniepokojone.

Zdarł z siebie prymitywnie utkaną tunikę. Machnął nogami, zrzucając z nich buty. Nagi odszedł od palisady, od społeczności, od wiecznie obecnych oczu dziesięciu rodzinnych totemów, od swego życia.

Odarty z mocy, przybysz, odludek, samotny w świecie, który funkcjonował zgodnie z logiką snu, wrócił nad rzekę, do miejsca, gdzie zmarli żegnali się z wodą, nim rozpoczęli długą duchową wędrówkę do Lavondyss. Do miejsca, gdzie tak często tańczył, gdy Stara Kobieta Która Śpiewała Do Rzeki sprawiała swym niezwykłym nuceniem, że żywiołaki pędziły i wirowały jak szalone.

Siedział tu, bez jedzenia, bez picia, bez snu przez pięć dni.

Zrobił sobie laskę z kawałka złamanej olchy. Zrobił sobie płaszcz z liści. Codziennie mył się w rzece, wydalął, gdy czuł taką potrzebę, chrzczył się. Nic nie pił.

Kiedy ogarnęła go pustka i zawroty głowy pod wpływem wyczerpania, zaczął wyczuwać, jak blisko jest Skogen.

Zaśpiewał do zbliżającej się mocy. Zaśpiewał do swego syna. Tańczył wkoło, gdy księżyc mógł go zobaczyć. Przypomniawszy sobie wszystkie rytuały wzywania. Utrzymywał je przy życiu w tym martwym miejscu, nie zważając na nową magię chłopca. Był ostatnim z duchów, ostatnią kością, która zawierała moc. Pewnego dnia nawet szkielet Morthen zostanie skonsumowany przez nowego szamana.

Ale nie jego. Nie Wyna. Nigdy. Jego duch miał smak martwego miejsca, miejsca zwanego Anglią. Dla chłopca, Tiga, nie miałyby to sensu. Zakłóciłoby jego moc...

Wyn–rajathuk tańczył. Śpiewał.

Piątego wieczoru nagły lot ptaków, które wypadły spod koron drzew, przerwał jego powolny taniec i sprawił, że pognał gorączkowo na drugi brzeg rzeki, by poszukać wśród drzew źródła ukradkowego poruszenia, które wykrył jego bystry słuch. Ktoś – czy może coś – poruszał się wzdłuż linii drzew. Złapał olchową laskę, zatoczył powoli krąg, zbadał wzrokiem całą skąpaną w świetle zmierzchu polanę, po czym powrócił do miejsca zakłócenia.

Podszedł do ciemności, zatrwożony i podekscytowany. Z całą pewnością stała tam jakaś postać, wysoka, odziana w futra, obserwująca go...

Uderzył w kamień podstawą swej laski rzeczno tańca.

– Wychodź. Wiem, kim jesteś. Nie upłynęło tak wiele czasu, żebyś nie mógł mnie rozpoznać...

Chaszcze zadrżały. Postać poruszyła się. Wyszła na oświetloną polanę i przyjrzała mu się z uwagą. Wyn–rajathuk poczuł słabość w nogach,

pozostał jednak na miejscu i ani drgnął.

Nie stał przed nim Scathach, lecz kobieta. Była wysoka, a długie lniane włosy miała rozczochrane. Oczy, szeroko rozstawione i ciemne, spoglądały na niego z budzącym niepokój skupieniem. Twarz miała bardzo piękną. Szczególną uwagę przyciągały ciepło i ból, które przekazywała stojącemu przed nią w milczeniu mężczyźnie. Była również zeszpecona w paskudny sposób, który Wyn–rajathuk kojarzył ze wszystkimi mitotworami: stara blizna, wypukła i biała, przebiegała wzdłuż linii żuchwy po lewej stronie. Nieznajoma wywierała imponujące, zapierające dech w piersiach wrażenie. Dosłownie: bijący od niej zaduch stanowił mieszaninę zapachu kobiety i końskiego odoru. Musiała jechać wierzchem przez wiele tygodni. Futra, w które się owinęła, były przesycone potem, ziemią, zwierzęcymi olejami, które nie zostały wyługowane ze skóry i teraz gniły. A więc nie była łowczynią.

Pod lewą pachą trzymała tobolek wilczych skór, a przez ramię miała przerzucony zestaw związanych sznurkiem masek, bardzo starych i butwiejących. Ich martwe twarze grzechotały, gdy kobieta się ruszała, a puste oczy i usta przypominały Wynowi głowy, które widział wykute w kamieniu podczas swej długiej podróży do tego miejsca pokoju.

Natychmiast zrozumiał, kogo ma przed sobą. Rysy dwóch masek, które dostrzegął, były mu znajome. Takie same obserwowały las z martwych drzew na wzgórzu pogrzebowym.

Nagle zjawa odezwała się.

– Czy jesteś Wynne–Jonesem? – zapytała. Zatoczył się do tyłu, zdumiony tym, że po tak długim czasie usłyszał swe tajemne nazwanie. Nazwisko brzmiało obco. Wywodziło się z innego życia, innego świata.

– Jestem Wyn–rajathuk – wyszeptał. Chwiał się na nogach, oszołomiony szokiem i głodem. Gdzie podział się jego syn? Był tak mocno przekonany, że to on przybędzie: Skogen... poszukujący go.

– Szukałam cię – oznajmiła kobieta. Nagle pobladła śmiertelnie. Była bardzo zmęczona. Ogień zniknął z jej oczu, całkiem jakby nagle pogodziła się ze sobą. – Jestem uwięziona w lesie. Spędziłam tu zbyt wiele lat. Dziękuję Bogu, że cię znalazłam...

– Nie – wyjąkał Wyn. Zdał sobie sprawę, że traci panowanie nad własnym ciałem. Był zbyt osłabiony, żeby z tym walczyć. – Nie rozumiem...

Poczuł, że nogi zaczynają się pod nim uginać. Był tak mocno przekonany, że chłopiec wraca do domu. Kim była ta kobieta? Co niosła ze sobą? Skąd go знаła? Skąd dowiedziała się o maskach?

Ujrzał nagłe zdumienie w jej oczach. Usłyszał kroki na skale na drugim brzegu rzeki oraz chrząknięcie wysiłku. Odwrócił się.

Tig zachwiał się na nogach, a potem wyprostował. Był to ulotny ruch, przelotnie dostrzeżony. Potem kamienny młot, którym rzucił w ojca, uderzył Wyna w twarz. Stary runął na plecy. Jego świadomość odpłynęła w chwili bólu i utraty...

Tajemnicza kobieta krzyknęła gniewnie.

Tig wrzasnął z triumfu.

Woda zachlupotała gwałtownie, gdy chłopiec pognał ku swej ofierze.

Wyn spróbował usiąść, lecz jego ciało nie chciało się poruszyć. Czuł zapach i smak własnej krwi, która zaczęła zalewać mu oczy. Na twarzy czuł rozszerzającą się plamę ciepła lata. Korony drzew ponad nim zaczęły wirować w dzikim tańcu, tańcu śmierci.

Tig usiadł na nim okrakiem. Światło zmierzchu zalśniło w białej kości. Nóż okrutnie ciął ustępliwe ciało. Nagle nastał ból, potem nie było już bólu. Chłopiec gorączkowo piłował żywą głowę. Jego elfie oczy mówiły wszystko: „Chcę cię zjeść. Chcę wyssać twoje dziwne sny...”

W chwilę później zaczął skowyczeć jak zbity pies. Podźwignięto go na nogi. Kobieta złapała go mocno, trzymając nadgarstek ręki, w której

dzierzył nóż z kości. Głowę Wyna objęła para dłoni delikatniejszych niż należące do chłopca. Palce ściągnęły głęboką szramę.

– Potrzebuję igły. Czegokolwiek. Rybiej ości. Czegokolwiek...

Znał ten głos. Mężczyzna, który go podtrzymywał, nachylił się nad nim.

– To były długie łowy – wyszeptał. – Jesteś sprytnym, nieuchwytnym zwierzęciem. Ale wreszcie cię dopadłem...

Wyn–rajathuk spokojnie pogrążył się w snach. Nie bał się już. Ostatnim, co usłyszał, było jedno słowo, słowo, które napełniło go radością.

– Ojciec...

SREBRZYNEK

Nagły lot ptaków

Szeroko rozwarte oczy w gniewnej twarzy o ostrych rysach spoglądały spomiędzy krat prowizorycznej palisady. Skóra chłopca połyskiwała żółto w świetle płonącego na ogrodzonym obszarze ogniska. Ścisnął palcami drewniane paliki. Jego zęby lśniły. Wykrzywił wargi w wyrazie wyzywającej determinacji.

Ucieknę. Zjem twoje kości.

Tallis zbliżyła się do niego bez cienia strachu. Tig nie poruszył się, lecz jego skośne oczy zmrużyły się lekko, stając się małymi punktami blasku śledzącymi jej ruchy. Gdy kobieta przykucnęła i uniosła pierwszą z masek, Tig roześmiał się, splunął i potrząsnął kratami swego więzienia z zaskakującą siłą.

Stawił czoło Drażącej. Obrzucił wzgardliwym spojrzeniem Gaberlungi i roześmiał się ze Srebrzynka. Przygasł jednak, gdy Tallis zakryła twarz Falkenną i spojrzała na chłopca przez zimne oczy i ostre rysy ptaka.

– Dlaczego próbowałeś zabić Wyn–rajathuka? – zapytała spoza pokrytego piórami drewna.

Wyryczał odpowiedź (nie zrozumiał pytania) w gwałtownych słowach własnego języka. Tallis rozpoznała słowa “Wyn” i “Morthen”, lecz poza tym nie pojęła nic. Jedna fraza powtarzała się raz za razem: *Wyn baag na yith! Wyn baag na yith!*

Gdy Tig w końcu się uspokoił, odpowiedziała mu tymi samymi słowami. Popatrzył na nią, najpierw z zaciekawionym, a potem rozbawionym wyrazem. Wyciągnął rękę przez kraty, dotknął „lotu ptaka” i wetknął delikatnie palec w usta

maski, sięgając do nieznanej i niepewnej okolicy wewnątrz. Tallis poczuła smak moczu i soli na jego koniuszku, pozwoliła jednak, by próbna sonda weszła do jej ust. Chłopiec sprawiał wrażenie zadowolonego z tej chwili zaufania.

Tallis zdjęła maskę i dotknęła wilgotnego czubka palca jednym z własnych. Na jej oczach Tig przerodził się w zwierzę krążące po zamkniętej przestrzeni zagrody, uderzające głową o ziemię i zawodzące z żalu.

Nagle zjawił się z powrotem. Spojrzał na Tallis. Uderzał lewą dłonią o lewe oko, aż zaczęło łzawić. Wypowiadał jakieś słowa w swym urywanym, chtonicznym języku. Tallis słuchała w milczeniu, świadoma jedynie rozpaczy w głosie chłopca, przygnębienia przeplatanego chwilami intensywnej frustracji.

– Nie mogę ci pomóc – powiedziała. Oczy zmrużyły się ponownie, obserwując jej wargi. Te poruszały się, wydając dźwięki, które z pewnością brzmiały dla niego groźnie i magicznie. – Potrzebuję człowieka, którego chcesz zabić. I wiem, co musisz zrobić, nie mam więc innego wyjścia, jak cię powstrzymać. Twoja nowa magia będzie musiała poczekać. Na razie nie będziesz mógł podlubać w jego snach. Ja uczynię to pierwsza.

Tig potrząsnął głową, jak gdyby zrozumiał jej słowa. Pociągnął do przodu swe długie włosy, zwinął je w sznur i przeciągnął go skośnie przed twarzą, tworząc linię dzielącą ją na dwie części wzdłuż nosa i lewego oka. Wziął w garść trochę ziemi i wysmarował nią oblicze po lewej stronie linii powolnym, rozważnym, groźnym ruchem.

Tallis zdjęła ze sznurka lalkę długości palca – jedną z zestawu, który zawsze nosiła na szyi – i wepchnęła ją krętym ruchem w ziemię: czuwający las.

– Moje oczy zawsze będą cię obserwować... – zapowiedziała. Dźwignęła ciężkie brzemie masek i podniosła się na nogi.

Tig roześmiał się i uniósł skóry, by odsłonić genitalia, które były maleńkie i białe jak kość. Ryknął przy tym donośnie.

Rankiem chłopiec uciekł. Jedno z ostrych zakończeń palisady pokrywała krew. Czuwający las, który pochowała Tallis, był złamany w pół. Leżał na ziemi otoczony kręgiem przedziurawionych muszli ślimaków. Pochodziły one z rytualnej ozdoby głowy Morthen. Nocą, po ucieczce, Tig zakradł się do długiego domu, gdzie dziewczynka spała obok umierającego ojca, i ukradł siatkę, którą tak pracowicie wykonała.

Był to jego sposób na zademonstrowanie mocy. Mógł zabić wtedy Wynne–Jonesa, gdyby chciał, ale czary Tallis powstrzymały go w wystarczającym stopniu.

A więc wyzwanie. Kobieta jednak zagroziła mu i chłopiec czuł strach. Bał się ptaków i starej magii, której jeszcze nie przewycięzył.

Gdy Tallis okrążała resztki swego czuwającego lasu, nad osadą leciało stado żurawi. Podniosła wzrok ku porannemu niebu. Jeden z ptaków zatrzepotał skrzydłami, trafiony kamieniem wypuszczonym z procy przez niewidocznego myśliwego ukrytego na skraju lasu. Żuraw spadł powoli na ziemię z szyją wygiętą do tyłu. Tallis usłyszała w oddali warczenie psa. Ptaki zakręciły na północ i ponownie zapadła cisza.

Łowca żurawi wyszedł na otwartą przestrzeń otaczającą osadę Tuthanachów. Tallis przykucnęła. Dziwna postać niosąca bezwładną ofiarę na ramionach szła szybko na wschód. Mężczyzna przywiązał sobie do krocza żurawi dziób jako futerał na penisa. Jego szyję i kończyny zdobiły czaszki, pióra oraz wysuszone ciała małych ptaszków. Na nogach miał trzcinowe buty. On również był myśliwym z bagien. Podążał za nim jego torfowy pies. Futerał na penisa lśnił w blasku nowego słońca niczym lanca. Na chwilę przed tym, nim ponownie skrył się w puszczy, łowca żurawi zdjął swój triumfalny, rytualny strój, by ułatwić sobie bieg przez las w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby rozpalić ognisko.

Psy – wychudzone, tęponose zwierzęta – zaczęły wyć, witając nowy dzień. Z węgielków uzyskano dym, a potem płomień. Wiszące nisko nad knieją słońce świeciło blado, przesłonięte jesienną mgłą. Tallis słyszała głos Scathacha. W innym miejscu kaszłała kobieta. Dziecko płakało, a mężczyzna się śmiał.

Milczącą wioskę w jednej chwili wypełniły dźwięki. Jakiś mężczyzna wyszedł za wypłowiałe skóry osłaniające przed zimą jeden z okrągłych domów. Wzruszył skrytymi pod ciężkim futrem ramionami i uniósł rękę, by pozdrowić Tallis. Przyglądał się jej ciekawie, idąc do wałów, by tam przykucnąć w porannym cieniu i załatwić potrzebę.

Podniosła zniszczoną lalkę i wróciła do długiego domu. Zeszła pod ziemię, schylając się pod drewnianym nadprożem z głęboko wyciętymi magicznymi znakami. Światło wpadało do środka przez dwa otwory w ciężkim torfowym dachu. Gdzie tylko spojrzała, dezorientowały ją stosy futer, skór, tyczek, glinianych dzbanów i misek, krosien oraz totemicznych przedmiotów. Na poczerńiałych poprzecznych belkach wisały sznury muszli, małe kamienie, kości, korzonki i suszone ptasie mięso. Wszystko to kołysało się ze stukiem w powiewach wpadającego z zewnątrz wiatru.

W tym pogrążonym w półmroku bałaganie poruszały się ludzkie postacie, które gromadziły się wokół centralnego ogniska, gdzie gliniane garnki z wodą grzały się powoli na granicy rozpalających się na nowo węgielków. Popiół wzbijał się w górę w smugach bladego światła. W mroku widać było przygarbione, powłóczące nogami, okutane w futra kobiety. O tym, że są świadome, świadczył jedynie błysk w ciemnych oczach, z którym obserwowały wysokiego, niezwykle gościa z drugiego świata: Tallis.

Podeszła do przeciwległego kąta, gdzie Scathach i jego przyrodnia siostra Morthen pełnili straż nad zmalretowanym ciałem ojca.

Wszystko wskazywało na to, że stary jest umierający. Rany pokrywające mu twarz i szyję nabrzmiały już i śmierdziały z powodu infekcji. Tallis

znalazła lecznicze zioła, nie znane Tuthanachom, Scathach natomiast zademonstrował swe spore umiejętności chirurgiczne, oczyszczając rany, by ułatwić ich gojenie. Warunki życia w tej kulturze były jednak tak prymitywne, że w zasadzie atak Tiga powinien okazać się śmiertelny.

Wynne–Jonesa zatrzymała w krainie żywych głębiej ukryta siła. Scathach mówił do niego, a w ciągu dni, które nastąpiły, Tallis również wyszeptała nieprzytomnemu mężczyźnie swą opowieść, pragnąc skłonić go, by powrócił do świadomości, wędrując w przeciwną stronę po spiralnej trasie, która wiodła do wibrującej, pełnej kości ziemi.

Trzeciego dnia swej śmierci za życia Wynne–Jones obrócił się na bok i zaczął wymachiwać rękoma i nogami w powietrzu. Zdziwiło to na chwilę Scathacha, potem jednak Morthen zrozumiała, w czym rzecz. Tallis wyczuwała to od początku. Stary biegł jak pies, myśliwski pies śniący o pogoni. Pogрузzył się głęboko w lesie. Gnał po dzikiej ścieżce w poszukiwaniu wody. Wieczorem, gdy psy Tuthanachów ujadają na ukryte duchy, Wyn–rajathuk również rozchylił wargi i zaskomlał.

Następnego dnia zaczął poruszać ciałem, całkiem jakby pływał, a jego usta otwierały się i zamykały. Był rybą unoszącą się w krystalicznie czystych wodach. Trwało to dwa dni. Tallis obserwowała go przez Srebrzynka, lecz dostrzegła jedynie cień zimnej rzeki, po której wędrował jego duch.

Na koniec został ptakiem. Wykonywał szarpane ruchy głową. Otworzył oczy. Rozpostarł palce, naśladując opierzone skrzydło. Gdziekolwiek się unosił jego duch, dokądkolwiek poleciał, on sam w długim domu leżał rozciągnięty na macie z sitowia. Jedynie dźwięki dobywające się z jego gardła oraz drżenia mięśni identyfikowały naturę jego lotu.

– Bocian – oceniła Morthen. – To ostatni etap jego podróży między dwoma światami.

– Ale czy nas opuszcza, czy wraca do domu? – zapytała cicho Tallis. – W którą stronę wędruje?

Nie umiała zbliżyć się do Scathacha, nie duchem, choć kiedy siedziała obok niego, często wyciągał rękę i ujmował jej dłoń w swe zimne palce. Umysł wojownika przebywał jednak daleko, być może ścigając zwierzęcego przewodnika, który prowadził jego ojca przez podziemny świat. Nie spuszczał Wynne–Jonesa z oczu. Oddychał powoli i głęboko. Popijał wodę ze skórzanego bukłaka, ale nie jadł nic.

Tallis przeciągnęła grzebieniem z kości przez jego splątane loki. Pozwolił jej na ten gest i wymamrotał: „dziękuję”. Był przygarbioną, smętną postacią. Cała jego fizyczna siła, która przez tak wiele lat uzupełniała jej moc, cała owa energia, wypływała przez jego ciemne oczy w kierunku umierającego.

Tallis powtarzała sobie, że ten duchowy dystans jest przejściowy, że mężczyzna, którego kocha, wkrótce do niej powróci. Narastające przez kilka pierwszych dni poczucie melancholii sprawiło jednak, że stała się napięta i niesympatyczna dla Tuthanachów. Zaczynała odczuwać żalobę, choć nikogo jeszcze nie utraciła.

Córka Wyn–rajathuka dostrzegła to i zbliżyła się do niej. Dziewczynka i kobieta – pod wieloma względami będące przeciwieństwami – zostały przyjaciółkami. Tallis zamieszkała w domu kobiet, lecz jej wzrost (oceniała go na sześć stóp), jasne włosy i ostre rysy tak mocno kontrastowały z niższymi, ciemnoskórymi kobietami z klanu, że budziła w nich mieszaninę czci i strachu. Przez dwa dni nosiła swe wystrzępione wilcze skóry, potem zgodziła się założyć klanowy strój z futra wydry i wełny. Kobiety poczuły się swobodniej w jej towarzystwie, choć Tallis zachowała potężne, tęskne wspomnienia z dzieciństwa, gdy suknie zdawały się wybrzuszać jej nie ukształtowane jeszcze ciało, wywołując niepewność, tak jak teraz sprawiał to ten luźny, tkany strój.

Gdy wychodziła z wioski, natychmiast przebierała się z powrotem w ubiór podróżny. Zmiana jej wyglądu w bramie stała się dziwnym

obrzędkiem, którego widok zachwycił młodszych mężczyzn. Tallis jednak była injathukiem – maski, które nosiła, stanowiły tego niezbity dowód – a od wszystkich, którzy władali głosem ziemi oczekiwano, że będą się zachowywali niezwykle i używali osobistych rytuałów celem nawiązania kontaktu z niebem.

Zostawiano ją więc samą. Mogła swobodnie badać gęsty las ciągnący się – przynajmniej w jednym kierunku – aż do rzeki, nad którą oboje ze Scathachem po raz pierwszy wkroczyli do królestwa Tuthanachów. Wszędzie było pełno ścieżek, z reguły zarośniętych zielskiem. Wiele z nich oznaczono zwierzęcymi czaszkami lub ozdobionymi piórami słupami. Tak wiele potężnych, starych drzew padło na ziemię, że żaden szlak nie był wystarczająco czysty, by po nim biec. Tallis męczyło przełazenie przez mnóstwo butwiejących, omszałych trupów w poszukiwaniu polan oświetlonych żółtozielonym blaskiem.

W takich dolinkach Tuthanachowie nieodmiennie wznosili leśne rajathuki. Na obszarze otaczającym dom pogrzebowy, porośniętym tarniną wzgórzu, stało skupisko wielkich posągów, ale w lesie każdy z nich był reprezentowany wiele razy i każdy miał własną milczącą, pokrytą spletanym zielskiem polanę o granicach oznaczonych zawieszonymi na drzewach skórami, woreczkami, glinianymi garnkami i zwierzęcymi kośćmi. Tallis pomyślała, że to ofiary.

Wkrótce zdała sobie sprawę, że poczerniałe totemy wywodzą się z tego samego źródła, co jej maski. Szczegóły bywały inne i często trudno je było dostrzec na tle nieba, gdy wyciągała szyję ku wyrąbanym toporem obliczom. Inne, lecz niesamowicie znajome... jak gdyby zrodziły się z tej samej wyobraźni. Zwłaszcza Falkenna i Srebrzynek były podobne do stworzonych przez nią w dzieciństwie masek z kory.

Najbardziej niesamowita ze wszystkich była polana, na której wznosił się Drażący. Uśmiechał się do niej. Dostrzegała ślady czerwonego języka na wysmarowanej białą gliną twarzy. Drzewa były tu obwieszane

poćwiartowanymi ludzkimi ciałami, choć przez chwilę Tallis nie dostrzegała czaszek, a tylko długie kości i klatki piersiowe, które nabite na złamane gałęzie sprawiały dziwnie smętne wrażenie. Wszędzie było pełno białych szmat oraz gęstych zwojów ludzkich włosów. Grunt był wyboisty. Czaszki kryły się pod ziemią. Wyczuwało się tu straszliwy smród gnijących ciał. W górze, w koronach drzew, skakały trzepoczące skrzydłami ptaki, ale nigdy nie słyszało się ich pieśni.

Czy to śmierdzące miejsce z butwiejącą statuą stanowiło bramę do Lavondyss? Czy Harry wędrował tędy, czy znalazł tę smutną polanę i przeszedł do straszliwej zimy, z której wysłał zew do swego domu, do innego świata? Zakryła twarz własną Drażącą. W cieniach przesunęły się duchy. Ludzkie kształty, niespokojne i wystraszone, cofnęły się głębiej w mroczny las. Posąg odchylił się od niej. Jego kora rozszczepiła się pionowo, tworząc szczelinę na tyle szeroką, że Tallis mogła dostrzec nerwowe poruszenia pod spodem.

Zdumiało ją to. Zdjęła maskę. Polana wyglądała tak jak przedtem.

Już od ośmiu lat tworzyła wydrążenia, lecz nie udało jej się znaleźć drogi, której szukała. Dobrze wiedziała dlaczego: brakowało jej maski zwanej Księżycowym Snem. I tak jednak jej moc była ograniczona. Odkąd opuścił ją jeleni, odkąd jej gurla w dramatyczny sposób przerodził się w element krajobrazu, nigdy już nie czuła się tak potężna, jak owego dnia, gdy otaczające jej dom pola eksplodowały chaosem korzeni i głazów z innych epok.

Starzała się. Sądziła, że ma już ponad dwadzieścia lat. Starzała się. Niosła w sobie też pozostałości odmiennego procesu starzenia. Puszcza, na swe rozmaite sposoby, wysysała jej duszę, jej ducha. Wysysała jej sny. Wyczerpywała ją.

Z nagłym, bezgłośnym gniewem zdała sobie sprawę, że znowu pograża się w melancholii. Zaczerpnęła gwałtownie tchu, podniosła się i uderzyła

dłonią w bok Drażącego. Zauważyła, że jedna strona uśmiechniętej twarzy wydaje się martwa, co w dziwny sposób odróżniało ją od jej maski.

Jeśli las ją wysysał, z pewnością teraz wydarzyło się coś, co dostarczy jej energii. Była blisko... po raz pierwszy... blisko Harry'ego. Przybysze przyciągają innych przybyszy. Znalazła Wynne-Jonesa i była pewna, że dotarła do miejsca, w którym anima jej brata wywołała przelotne zamieszanie w lesie, nim ruszył dalej w górę rzeki...

W ciągu tych pierwszych kilku dni często chodziła na jej brzeg. Dwukrotnie widziała tam Morthen, lecz schowała się przed nią. Zauważyła jednak miejsce, w którym dziewczynka również ukrywała się przed oczyma przechodzących: wysokie skupisko skał w odległości kilku jardów od błotnistego brzegu, które w pierwszej chwili wydawało się strome i jednolite, lecz po bliższym zbadaniu okazało się pustym w środku, naturalnym schronieniem. Tej samej nocy, gdy Wyn-rajathuk zaczął podczas swej podróży płynąć jako srebrzysta ryba, Tallis skryła się między tymi skałami i zwinęła w kłębek, by przespać choć jedną noc w samotności.

O świcie obudziły ją cztery wielkie myśliwskie psy, które czekały i ujadaly, węszyły i biegały z pluskiem po płycznach. Jeden z nich podszedł do skupiska skał, oparł przednie łapy na wysokich głazach i spojrzał z góry na przycupniętą kobietę. Tallis wzniosła żelazny nóż w groźnym geście. Zwierzę cofnęło się i pognało za swymi towarzyszami. Została jeszcze chwilę w ukryciu. Drugim brzegiem przeszedł mężczyzna w płaszczu, trzymający w ręku laskę. Trzymał się blisko zarośli i za każdym razem, gdy okręzał jeden z ozdobionych piórami słupów duchów, wydawał z siebie krótki zaśpiew o wysokiej tonacji. Głowę skrywał mu kaptur, a twarz porastała broda. Tallis zauważyła z drżeniem, że na plecach niósł dwie drewniane maski.

Ruszył szybko dalej, nie zatrzymując się w pełnym totemów miejscu umarłych. Tallis przez długi czas podążała za nim na piechotę w górę rzeki, aż wreszcie dostrzegła następny jej odcinek, serię kipiących bystrz

płynących wartko między słóczonymi, pochyłymi drzewami. Odziana w płaszcz postać przeszła w tym miejscu po kamieniach z gąszczu na jednym brzegu do chaszczy na drugim, nie oglądając się za siebie.

– Wszyscy kierują się w górę rzeki... Nawet konie!

Jeden minął ją właśnie w tej chwili: kara klacz, której rząd i uprząż były wystrzępione, stare i zbutwiałe. Metal wżarł się w ciało wierzchowca, a jego skóra była poplamiona i sztywna od zakrzepłej krwi.

– Nie pamiętam cię z ksiązek z legendami... – wyszeptała Tallis, zbliżając się ostrożnie do płochliwego zwierzęcia. Nie było stare, ale znużone. Na resztkach derki, które wciąż trzymały się na grzbiecie, przylepione do niego zakrzepłą krwią jeźdźca, widać było wielką, ciemną plamę.

Tallis złapała konia i uspokoiła go, po czym zdjęła, co tylko mogła, z przynoszących mu udrękę dzieł ludzkich rąk. Gdy ruszyła z powrotem ku miejscu umarłych, klacz podążyła za nią. Wierzchowca Tallis zabiły przed kilkoma tygodniami spadające kamienie. Scathach – po rozstaniu ze swymi przyjaciółmi, Jaguthinami – zaczął biegać po lesie i dzikich ścieżkach na piechotę, dając w ten sposób wyraz poczuciu utraty, której powodów nie był w stanie wyartykułować.

– Mogłabyś zostać cennym przyjacielem – wyszeptała Tallis do klaczy. – Jeśli jutro jeszcze tu będziesz, uznam, że mam prawo na tobie jeździć. Ale nie nadam ci imienia, byś zawsze mogła być wolna. Jeśli jednak cię dosięgnę, spodziewaj się, że zawędrujesz w niezwykle okolice.

Następnego dnia Morthen podjęła najśmielszą próbę zaprzyjaźnienia się z Tallis.

Starsza kobieta od kilku minut zdawała sobie sprawę z obecności ukrywającej się dziewczynki, nim ta wreszcie zakradła się na polanę duchów, na której siedziała, i przykucnęła w cieniu za jej plecami. Tallis nie poruszyła się. Otaczały ją maski, które ułożyła w kręgu twarzami ku górze. Plecak z wilczej skóry, w którym przechowywała swe osobiste relikwie,

położyła zgrabnie przed sobą. Był jednak zawiązany. Zdawała sobie sprawę z obecności dziewczynki, lecz mimo to spoglądała w oczy drewnianego posągu, poszukując w jego dziwnym kształcie klucza do Księżycowego Snu.

Ów totem wykonano z pnia wierzby. Kobięcy aspekt jego postaci był wyraźnie widoczny, lecz prawdziwe piękno rajathuka ujawniało się poprzez wyobrażenia ziemi i księżyca w subtelnych kształtach rzeźbionego drewna, a także w zręcznym połączeniu owych symboli z rysami ludzkiej twarzy. Posąg zaczął już nawiązywać porozumienie z kobietą z odległego królestwa.

– Tallis?

Głos dziewczynki brzmiał cicho. Była podenerwowana. Tallis ignorowała ją przez chwilę. Jej umysł dryfował w nocnym krajobrazie i kształt maski był blisko niej, niemal uformowany. Nie przypominała jej poprzedniego Księżycowego Snu, który wykonała po rozmowie z Gauntem. Jak mogłaby go przypominać? Tamten wyraz świata jej głębokiej nieświadomości był już zużyty i wyeksploatowany. Kiedy zgubiła maskę, kiedy ją straciła, straciła również reprezentowaną przez nią więź z kobietą w krainie...

Zastanawiała się czasem, czy jej ojciec, znalazłszy maskę, zniszczył ją, czy też zakładał ją w księżycowe noce, a jeśli tak, to co widział? Co słyszał?

– Tallis? Co robisz?

Angielski Morthen był ubogi i niekiedy ledwo zrozumiwały. W wypowiedzianych przez nią słowach pełno było miękkich głosek oraz dyftongów charakterystycznych dla narzecza Tuthanachów. (Na przykład zamiast „Tallis” mówiła “Tallish”.) Ojciec jednak nauczył ją swego niezwykłego języka w stopniu wystarczającym, by można ją było jakoś zrozumieć.

Tallis odwróciła się, nie wstając. Włosy opadły jej do przodu, zasłaniając twarz oraz bliznę biegnącą wzdłuż linii żuchwy. Zakryty również jej uśmiech. Morthen stała nieruchomo. Tallis skinęła na nią. Dziewczynka podeszła bliżej, posuwając się w specyficznej, skulonej pozycji. Włosy miała wysmarowane białą masą i przewiązane ufarbowaną na czerwono opaską, z której zwisały nanizane na sznureczki kości i muszelki. Dziewczynka wyciągnęła rękę, by dotknąć suchych włosów swej towarzyski, których lniana barwa tak bardzo fascynowała kobiety Tuthanachów. Tallis siedziała bez ruchu, nie poirytowana ani nie rozbawiona ową delikatną eksploracją różnic. Psotne oczy dziewczynki, pełne teraz zachwytu, wpatrzyły się intensywnie w jej oczy.

– Jest tu zieleń. A więc to prawda.

– Nie zawsze tu była. Pojawiła się dopiero przed kilkoma miesiącami.

Słyszała już uwagi na ten temat w osadzie. Mówiono, że choć jest injathukiem, w kościach swej głowy nie nosi nieba, lecz zaczyna tam prześwitywać zielona, wełniana szata głosu ziemi. Stawała się rajathukiem.

Dla Tallis wszystkie te przesady nie miały znaczenia. Ważne było to, że dysponowała pewną mocą. Niemniej zmiana koloru oczu lekko ją zaniepokoiła – Robię nową maskę – wyjaśniła, udzielając spóźnionej odpowiedzi na pierwsze pytanie dziewczynki. – Ostatnią z moich masek. Pozwoli mi łatwiej otwierać wydrążenia... skovynneny. Rozumiesz, o czym mówię?

Myśli Morthen podążyły już jednak inną leśną ścieżką.

– Czy Scathach jest moim bratem? – zapytała. – Naprawdę?

Zdjęła rękę z włosów Tallis i przykucnęła skulona, tak jak mogłaby to zrobić przy ognisku w samym środku zimy.

– Oczywiście – potwierdziła Tallis. – Przyrodnim bratem. Miał inną matkę. Tig jest twoim jedynym pełnym bratem.

Dziecinne oczy Morthen błysnęły gniewem. Skrzywiła na chwilę wargi w zwierzęcym grymasie.

– Tig nie jest moim bratem – warknęła. – Nie miał matki. Pochodzi z pierwszej puszczy.

Klepnęła się ze złością w głowę.

Tallis uśmiechnęła się, rozumiejąc jej słowa. Tig był nowszym mitotworem, z pewnością stworzonym przez Wynne–Jonesa.

Płomień gniewu dziewczynki zgasł równie szybko, jak się rozpałił. Tallis zebrała maski, przeciągnęła przez ich oczy rzemień i zawiesiła je sobie na ramieniu. Morthen dotknęła plecaka. Starsza kobieta delikatnie odtrąciła jej wścibskie palce. Obrzuciła tęsknym spojrzeniem słup z wierzbowego drewna i jego delikatnie wyrzeźbioną księżycową twarz.

Blisko. Jeszcze godzina i będę cię miała...

Ruszyła za dziewczynką. Powędrowały krętą ścieżką wiodącą przez najgęstszy las ku rzece.

Morthen była podekscytowana.

– Mam coś dla ciebie – oznajmiła trzy razy, jak gdyby chciała podtrzymać zainteresowanie Tallis.

Dotarły na brzeg. Tallis z drzeniem gniewu zauważyła przywiązane do niskiego konaru karego konia. Na szyję założono mu pętlę. Zwierzę przez jakiś czas się szarpało, lecz teraz już było spokojne. Dziewczynka zaprezentowała swój dar z triumfem na twarzy.

– Złapałam ją. Była sama.

Tallis wpatrzyła się w klacz, po czym ostrożnie dotknęła jej pyska.

– Nadal chcę cię dosiąść – oznajmiła. Zwierzę parsknęło. Zdjęła postronek.

– Idź sobie, jeśli chcesz.

Kara klacz została na miejscu. Tallis uśmiechnęła się do Morthen.

– Dziękuję ci. Za dar.

Nie zdając sobie sprawy z niczego więcej niż fakt, że Tallis wykazała się zdumiewającą umiejętnością panowania nad zwierzętami, Morthen poklepała się z zachwytem w oba policzki.

– Nadałam jej imię. Możesz na niej jeździć. Nazywa się Pływająca po Jeziorach. To będzie ważne. Przekonasz się...

Pływająca po Jeziorach. Dziwne imię dla konia. Morthen najwyraźniej wiedziała o okolicy więcej... niż Tallis sobie wyobrażała.

Sfinalizowała umowę z karą klaczą.

– Jedno jezioro ty przepłyniesz dla mnie, a drugie ja dla ciebie. To Obietnica Tallis.

Zaopatrzyła zwierzę w derkę i zrobiła uprząż, która go nie kaleczyła. Zaprowadziła je na otwartą przestrzeń wokół osady Tuthanachów i zabezpieczyła przed psami.

Tymczasem Morthen z zachwytem pokazywała jej, co oboje z ojcem odkryli w rosnącym nad rzeką lesie: kamienie pokryte głęboko wyrytymi, ślepymi, martwymi ludzkimi twarzami; wieżę, z której dawno pospadały dachówki, lecz w ruinach nadal można było dostrzec ozdobne, połącane meble należące do jej więźnia, aczkolwiek dusza owego mieszkańca i znaczenie budowli dawno już uleciały pod burzliwe niebo. To, co Morthen nazywała „końcem lasu”, okazało się wysokim murem rzymskiego fortu, porośłym zielskiem, lecz nadal robiącym wrażenie. Tallis skorzystała z latryny. Było to proste kamienne siedzenie nad głębokim, suchym kanałem, stanowiło jednak zachwycającą odmianę po kucaniu nad robakami. Były tam spichrze zbożowe, koszary oraz graffiti, które wydawały się tak świeże, jakby napisano je dzisiaj. Morthen znalazła miecz, a potem porzecz owinięty w skórę. Widniał na nim orzeł i hełm, lecz materia się rozdarła, gdy Tallis spróbowała go rozwinąć, by odczytać inskrypcję.

W jednym ze spichrzów natrafiły na stado szczurów. Każdy z nich był wielkości żbika. Tallis uciekła stamtąd w ślad za Morthen.

Były tam też grobowce: od ozdobnych, czarnych, marmurowych mauzoleów, które nadal wywierały imponujące wrażenie, górując nad leśną gęstwiną, aż po ziemne kopce i wąskie przejścia prowadzące głęboko w

naturalne królestwo ukryte pod korzeniami puszczy. Ich brzegi wyznaczały rzeźbione kamienie. Najdziwniejszym z walających się tu pozostałości był róg długości czterdziestu stóp, którego wylot był tak szeroki, że Tallis mogła wejść do środka i krzyknąć. Wyrzeźbiono go z prawdziwego rogu i nie było widać żadnych oznak świadczących, że jest złożony z więcej niż jednego kawałka. Morthen spróbowała zadać w jego wąski koniec. Tallis usłyszała jej oddech, po czym zdała sobie sprawę, że głos dziewczynki został przekształcony w natrętne słowa, nie pochodzące z angielskiego ani z języka Tuthanachów...

Zostawiły róg za sobą, zauważyły jednak, że przez jakiś czas las w tej okolicy wydawał się aktywny, całkiem jakby pojawiło się tu coś, co zakłóciło jego spokój.

Wynne–Jones leciał jak ptak. Tallis spędziła w osadzie już pięć dni.

– Czy nas opuszcza, czy wraca do domu? – zapytała. Morthen roześmiała się, lecz Scathach osunął się przed siebie na przesiąknięty potem siennik. Czuwanie wyczerpało jego siły witalne. Był człowiekiem z krwi i kości, lecz jego duch uderzał o bramę wiodącą do nieznannej krainy, w której przebywał jego ojciec. Nie mógł jednak tam wejść i wspomóc staruszka swą siłą w jego podróży do domu.

Na koniec Morthen zaprowadziła Tallis w górę rzeki, nad skryte we mgle jezioro, pełne bagiennych zwierząt i otoczone wielkimi wierzbami. Pływająca po Jeziorach była silna i z łatwością uniosła podwójny ciężar, lecz gdy kobieta próbowała skłonić ją do wejścia między porastające błotniste płycizny sitowia, odmówiła posłuszeństwa. Tallis zsiadła z kłaczy i wróciła na suchy ląd. Nie zamierzała zmuszać swej nowo zdobytej przyjaciółki, by już w tej chwili forsowała jezioro.

Niemniej jednak wszyscy wędrowcy docierali do tego bagna i musieli się przepawić przez jego nieruchome, szare wody. Na drugim brzegu leżała kraina, która wzywała duchy. Był tam też Harry!

Tallis rozłożyła więc wokół siebie maski i zakryła twarz Drażącą. Morthen stanęła obok niej, przyglądając się z lękiem, jak starsza kobieta wykonuje niezrozumiały dla niej rytuał. Jej obawa przerodziła się w nieskrywany strach, gdy niebo pociemniało nagle, a wody jeziora się wzburzyły. Ciemne korzenie skręciły się niczym węże i uniosły w górę, tworząc złowieszczy tunel. Otaczające jezioro wierzby pochyliły się ze skrzypieniem, strącając z gałęzi ptaki niczym niezliczone, wirujące okruchy czarnego popiołu. Sitowie położyło się na porywistym wietrze. Z wydrążenia wypadł wielki obłok śniegu. Morthen uciekła z wrzaskiem pod osłonę drzew.

Pod łukiem z korzeni Tallis widziała zimową dolinę o stromych ścianach. Skał czepiały się dęby i głogi, z których gałęzi osypywał się śnieg. Ciemne kamienne palce wznosiły się pod blade, martwe niebo, tworząc nierówną palisadę. Rzeka pędziła z hukiem po głazach. Przyglądająca się temu kobieta dostrzegała ostre kąty i proste linie kamieni pochodzących z ruin, które ongiś strzegły tego wąskiego przesmyku.

Wydrążenie zapadło się we wzburzone wody jeziora. Niczym zwierzęta, drzewa wycofały z płycizn swe kręte palce. Tam, gdzie wiatr rozproszył mgłę, Tallis dostrzegała odległą ścianę lasu oraz widoczne dalej urwiska, pomiędzy których rzeka wypływała na równinę, by stać się tak nieruchoma i milcząca. Potem mgła powróciła i sitowie poruszyło się spontanicznie, prostując się i drżąc, choć nie było wiatru.

Tallis zebrała maski, odnalazła popielaty kształt Morthen skulonej pod osłoną gałęzi głogu i poprowadziła ją z powrotem do domu.

Być może dlatego, że przestraszyło ją to, co się wydarzyło, Morthen oddaliła się nagle od Tallis i zaczęła spędzać więcej czasu w obecności Scathacha. Godzinami przesiadywała w długim domu, blisko paleniska, wpatrując się w ponure oblicze człowieka, który był jej przyrodnim bratem. Czegokolwiek sobie zażyczył, zawsze dawała mu to pierwsza.

Wykorzystywała każdą okazję, by nawiązać z nim kontakt, dotknąć jego ramion, dłoni, łydek czy przesunąć palcami po jasnej brodzie porastającej mu policzki. Pozdrowiała Tallis, lecz spuszczała wzrok, kiedy się spotykały. Starsza kobieta czuła się z tego powodu bardzo zasmucona.

Dwa dni po incydencie nad jeziorem, Tallis zauważyła, jak dziewczynka pochyliła się i polizała Scathacha w policzek, poniżej oka.

– Jesteś moim prawdziwym bratem – powiedziała. – Twoja skóra smakuje ciałem. – Polizała go po raz drugi. – Tig nie jest rzeczywisty. Smakuje suchymi liśćmi. Ty jesteś moim prawdziwym bratem z lasu...

Tallis przeżyła szok, choć właściwie nie miała powodu do zdenerwowania. Świadomość tego, jak bliskie sobie są te dwie wywodzące się w połowie z lasu istoty, stała się dla niej niemal bolesnym ciosem. Po prostu dotąd tego nie zauważyła. Istniała między nimi więź, która była silna i nie dopuszczała nikogo innego. Uczucie, jakim darzył siostrę Scathach, uwidaczniało się wyraźnie w tym, jak dobrze czuł się w jej obecności, jakimi spojrzeniami ją obrzucał, jak szeptali między sobą, pielęgnując umierającego, jak bez wysiłku uzupełniali nawzajem swe poczynania. Po raz pierwszy w ciągu ośmiu długich, bolesnych lat, które spędziła z młodym wojownikiem, miała wrażenie, że traci z nim kontakt. To, co odczuwało jej ciało, było przygnębiające, czuła się jednak rozdarta między potrzebą ponownego zbliżenia się do Scathacha a świadomością, że w długim domu rozgrywa się coś ważnego... być może coś mającego źródło w legendzie...

Zabrała swój tobołek, swe cenne zawiniątko z wilczej skóry, wyszła z domu i wróciła pod osłonę nadrzecznych skał, by spędzić kolejną noc w samotności.

Stała się pewna, że Wynne–Jones nie odzyska już świadomości. Podczas swego życia w lesie wielokrotnie spotykała śmierć – najstraszniejsza była utrata Gyonvala – i okrutna rana szyi oraz potężny cios młotkiem w czaszkę z pewnością nie mogły oznaczać nic innego, jak powolne, senne zejście w

objęcia podziemnego świata. Nie mogła jednak nic zrobić, dopóki stary nie odejdzie na dobre. Tymczasem wyszeptała do niego imię swego brata Harry'ego, opisała go i opowiedziała nieprzytomnemu wszystkie historie, zwłaszcza tę o Starym Zakazanym Miejscu.

Zadała mu też pytanie: „Co to znaczy? Jak mam się dostać do Lavondyss? Jeśli lecisz wysoko na skrzydłach, czy nie mógłbyś popatrzeć przed siebie i odnaleźć drogę?”

O świcie, gdy wracała z nad rzeki, zajrzała do długiego domu. Nocą podjęła decyzję, postanowienie, które było dla niej bardzo bolesne. Zostawiła swe maski w małym domku szamana należącym do Wynne-Jonesa, wzięła jednak torbę z relikwiami.

Wioska tętniła życiem, zewsząd dochodziły odgłosy zwierząt. Wiatr był lodowaty. Przynosił wiecznie obecny zapach śniegu, który podążał za nią od lata do lata. Rozpalano na nowo ogień, zapewne w małym domu, w którym spały dzieci. W czystym powietrzu wyczuwało się ostrą woń dymu dziwnie zmieszaną ze słodkim odorem nowych skór rozciągniętych na ramach wzdłuż ścieżki do domu starszyny. Kobieta dmuchała na węgliki, aby rozpałić ogień, nie przestając przy tym śpiewać.

Tallis przykucnęła przy wejściu i wpatrzyła się w mrok chaty, na której przeciwległym końcu leżał Wynne-Jones. Przez krótką chwilę obserwowała nieprzytomnego, po czym z potężnym ukłuciem bólu i gniewu dostrzegła Scathacha, który wyszedł spod narzuty z niedźwiedziej skóry i sprawdził puls ojca. Drugie ciało pozostało zakryte. Tallis dostrzegła przelotnie białe jak glina, kędzierzawe włosy.

Wyszła bezgłośnie z domu. Ściskając swój tobołek, ruszyła przez las ku gąszczowi tarniny porastającemu niskie wzgórze pogrzebowe. W głowie miała całkowitą jasność, było jej jednak zimno. Śmiertelnie zimno. Zamknęła oczy i spróbowała odegnać potężne, szarpiące poczucie nieodwołalności, które chwyciło ją za serce i sprawiło, że żołądek stał się ciężki jak ołów.

Skończyło się. Trzeba to zrobić. Wiem, że trzeba to zrobić. Skończyło się. To jest odpowiednia chwila. Nadszedł koniec. Nie będę mogła ruszyć dalej, jeśli nie zrobię tego teraz...

Wspinała się na wzgórze. Pustka w jej sercu wysuszyła łzy, nim zdążyły się uformować. Weszła na szczyt wyboistą ścieżką, przełaząc po drodze przez osuwającą się z wału ziemię między butwiejącymi kolumnami bramy. Następnie odwróciła się i spojrzała w dal nad borem.

Gdzieś w tej olbrzymiej, starożytnej krainie wędrował samotnie Harry. Nie czuła się mu tak bliska od ośmiu lat, a nawet od chwili, gdy zawołał ją przez pierwsze z jej wydrążeń.

– Muszę uwolnić się od niego, nim będę mogła pójść do ciebie... – wyszeptała w przestrzeń, do odległych szczytów, do nieznanej krainy. – Dlatego że jesteście tym samym. Jesteście tym samym. Zawsze o tym wiedziałam...

Powiodła wzrokiem nad lasem, który połknął Harry'ego, a potem wypluł Scathacha, wypełnił jej głowę legendami, a następnie wessał ją niczym ryba muchę. Gdzieś za nim leżał jej dom. Niekiedy, w pewne szczególne noce, potrafiła sobie niemal wyobrazić, że błyski widoczne między drzewami są jego światłami i jeśli przejdzie kilka jardów przez chaszczę, odnajdzie ogród, drewnię, matkę, Gaunta i ojca w szlafroku...

„Nie odchodź, dziecko. Nie opuszczaj nas! Tallis... nie odchodź”.

„To nie potrwa długo. Tylko tydzień...”

Tydzień!

Nigdy nie przestała wyrzucać sobie tego, że była taka naiwna, taka głupia. Tydzień, powiedziała. Nie będzie mnie tylko tydzień.

Las jednak zamknął się za nią, a potem porzucił ją Połamaniec. Ich związek zakończył się w dziwny i przerażający sposób. Scathach, bez względu na wszystkie swe obietnice, również zablądził. Wiele lat wędrowali wzdłuż rzeki. Nie mieli pojęcia, co znajduje się na jej końcu.

Tylko od czasu do czasu Tallis udawało się otworzyć bramę, a nawet gdy przez nią przechodzili, zawsze lądowali z powrotem nad rzeką.

Muszę się od niego uwolnić. Muszę się uwolnić od łączących mnie z nim więzów. Muszę odzyskać swobodę.

Stała przez chwilę pod domem pogrzebowym, niepewna i zatroskana. Następnie pochyliła się, by przejść pod kamiennym nadprożem do ciemnego, wąskiego korytarza. Gdy znalazła się wśród kości, straciła orientację. W bladym świetle wpadającym przez dziury w torfowym dachu zobaczyła, że wdarło się tu jakieś zwierzę. Rozkładające się zwłoki rozwleczono po podłodze. Były tam małe urny pogrzebowe i stosy czaszek oraz kończyn. Wszystkie umieszczono w niszach pod dachem. Weszła między nie, zaglądając w ciemność, starając się pozwolić, by wąskie snopy słonecznego światła namalowały obraz panującego tu chaosu. Wewnątrz dachu poruszały się niespokojnie ptaki. Na kamienną podłogę osypywała się ziemia. Tallis wyprostowała się, obejrzała za siebie i podniosła wzrok ku ciemności. Krzyknęła wstrząśnięta, gdy z poprzecznej belki zeskoczył ciemny kształt, który pojawił się raptownie i zawisł w odległości kilku cali przed nią.

Dziwne oczy Tiga wpatrywały się w nią chciwie.

Chłopiec zeskoczył na podłogę, okrążył Tallis i przykucnął w tunelu wyjściowym.

Zaczekała, aż jej serce przestanie się tłuc z nagłego strachu. Potem rozejrzała się wokół i dostrzegła część budynku, w którym znajdowała się słabo oświetlona kamienna komora. Podeszła do niej, rozłożyła swój tobołek na ziemi i rozwinęła wilczą skórę. Kości jej syna zostały wreszcie odsłonięte – smętne kawałki drewna, zmiażdżone i połamane po tym, jak niosła je latami przez las, przygniecione resztą jej dobytku.

Tiga to zaciekało. Po chwili zbliżył się do niej ukradkiem, nadal przykucnięty niczym skradające się ostrożnie zwierzę. Westchnął głęboko na widok maleńkich kości. Wyciągnął rękę, po czym zawahał się,

spoglądając na Tallis, która znieruchomiała z twarzą bez wyrazu. Od lat nosiła ze sobą śmierć swego pierworodnego. Teraz usiłowała przekonać sama siebie, że te relikwie to nic więcej niż drewno, zniszczona statua, rozsypujące się wspomnienie. Dziecko żyło tylko pięć miesięcy... nie było rzeczywiste. Nieprawdaż?

Nie była w stanie zapomnieć jego płaczu. Wyrazu jego niemowlęcych oczu. Tego, jak nagle cichło, gdy leśne ptaki zaczynały o zmierzchu poruszać gałęziami. Nie sposób było zapomnieć wrażenia, że było świadome oczekującego je losu...

Tig wziął w rękę kawałek zmiażdżonej czaszki. Rozsypał się w jego palcach w pył, drzazgi, poźółkłe fragmenty materii dębu. Sięgnął po jedną z długich kości, uniósł ją szybko do warg, possał delikatnie i potrząsnął głową. Wpatrywał się w Tallis z bardzo zatroskaną miną. Raz jeszcze potrząsnął głową, po czym ułożył z szacunkiem kość między pozostałymi.

– A niech tam – powiedziała Tallis. – Jego sny nadal należą do mnie.

Zwinęła tobolek i wręczyła go chłopcu. Tig przyjął pogrzebowe zawiniątko, rozejrzał się wokół i zaniósł je w ciemność. Tallis usłyszała zgrzyt odsuwanego na bok kamienia, a potem dźwięk towarzyszący jego powrotowi na miejsce.

W chwilę później Tig zjawił się znowu. Tallis zdziwiła się, widząc, że wciąż trzyma zawiniątko. Wyglądał na zdezorientowanego, być może oszołomionego. Obracał w dłoniach kawałki ostrej kości przebijające jego niewyprawione ubranie i młode ciało. Wywoływał w ten sposób ból, który ujawniał się w jego oczach. Wstał i podszedł do wyjścia z domu pogrzebowego. Tallis usłyszała, jak pociągnął gwałtownie nosem na świeżym powietrzu. On również się rozplakał. Kiedy wrócił, przyniósł trochę suchej trawy i dwa krzemienie. Usiadł i rozpalił małe ognisko.

Brał w rękę suche, drewniane kości jedna za drugą i układał je na stos. Wkrótce płomienie sprawiły, że wśród zmarłych poruszyły się nerwowo cienie. Jasność zalśniła w oczach chłopca, tak jak musiała lśnić migotliwym

blaskiem w łzach zwilżających policzki Tallis. Siedzieli w milczeniu, gdy martwe drewno potrzaskiwało i wzdychało, znajdując drogę ku popielatoszaremuto światłu innego królestwa.

Gdy zbliżał się koniec, Tig wydobyl z woreczka, który miał za pasem, kawałek suszonej ryby, nadział go na kość i osmalił w płomieniach. Buchnął z niego przyjemny zapach. Gdy kasek już się przypalił, chłopiec oblizal go, powachał i podał Tallis, która przyjęła dar i zjadła go, dławiac się raczej z żalu niż z gorąca.

Sądziła, że to część rytuału pogrzebowego w nowym świecie Tiga – spożywanie życiowego ognia zmarłego dziecka na zwęglonym cielem tego, kto płynie do nieznaney krainy – lecz Tig nadział dwa kawałki dla siebie i oblizal ze smakiem wargi, gdy ryba piekla się nad ogniem.

Tallis zrobiła się senna. Lśniące źrenice oczu Tiga obserwowały ją w przygasającym świetle ogniska. Przez chwilę czuła potrzebę walki ze snem, na wypadek, gdyby chłopiec stał się agresywny. Zaczął jednak do niej szeptać rozsądniejszy głos i pozwoliła, by ogarnęła ją drzemka. Poczwała na twarzy delikatne dotknięcie Tiga. Jego drobne palce naciskały kości jej policzka i czaszki. Pojawiły się obrazy i wspomnienia, które poruszały się niespokojnie, jak gdyby przywoływała je z niechęcią... maska wypadająca jej z dłoni... mężczyzna nachylający się nad strumieniem... jego czerwony szlafrok nasiąknięty wodą... jej imię wykrzyczane w żalu i rozpacz...

Głos wołający: „Szybciej! Przejeźdź przez wydrążenie! Za mną, Tallis!”

Jej własny głos odpowiadający: „Nie potrafię jechać tak szybko. Jeździłam tylko na kucykach...” i nagłe wytrącenie z równowagi, gdy odwróciła się w prymitywnym siodle i ujrzała twarz ojca, olbrzymią w jej wizji, oraz maskę, którą przyciskał do piersi...

A potem gwałtowne zamknięcie się lasu wokół niego niczym zatrzaśnięcie się bram z listowia, odcięcie od lata.

Przenikliwy wiatr... niosący ze sobą jesień...

Cwał, a potem upadek, śmiech Scathacha, a następnie jego wyrzuty sumienia, gdy pomógł jej wstać, obejrzał z troską ranę na nodze i pomógł dosiąść konia. Wskoczył na siodło razem z Tallis i ucałował ją szybko, obejmując ramieniem jej barki.

– Będę nad tobą czuwał, dopóki twoje nogi nie będą dłuższe. Wrócisz, nim twój ojciec zdąży osuszyć łzy.

Nie spodziewała się, że będzie widział jej odejście. To było niesprawiedliwe. To było okrutne. Teraz, gdy ją zobaczył, powinna wrócić i wszystko mu wytłumaczyć. Konie cwałowały naprzód. Płakała gorzkimi, gniewnymi łzami.

– Wracajmy. Zawieźcie mnie z powrotem.

Scathach i jego przyjaciele gnali jednak przed siebie, jakby porwała ich fala. Niesieni jej prądem zapuszczali się coraz głębiej w las. Utykający jeleni o połamanych rosochach biegł przed nimi. Jego poroże stukało o nisko zwisające gałęzie. Czasami wbiegał na wzgórza, a czasami brodził ostrożnie przez płycizny, znikając w gęstej mgłę, która często zbierała się nad rzeką. Byli zmuszeni posuwać się ku wnętrzu lasu, oddalać się od pól farmy Keetonów.

Tallis pojechała za nimi, ponieważ nie miała innego wyboru.

Jakże gęsta stała się teraz puszcza, jakże milcząca. Nad zielonożółtą krainą skrytą pod koronami drzew zapadła dławiąca cisza. Woda szemrała, drzewa protestowały przeciw niewyczuwalnemu wietrzykowi krótkimi, trzaskającymi poruszeniami. Na wilgotnych liściach paproci i omszałych skałach tańczyło ostre światło. Nawet jeleni ucichł. Pędził przez mroczne podszycie, przechodził przez rzeki, wdrapywał się na śliskie skupiska szarych głazów, pochylał i skręcał swe potężne ciało, zmierzając krętą ścieżką ku sercu lasu.

Zrobiło się zimno. Ciszę mąciły stadka ptaków. Ich ruchy sprawiały, że w zielony półmrok polan i dolinek na dole, które łączyły się ze sobą, tworząc szlak przez starożytne królestwo, wpadały snopy jasności.

Pole Stretley... pole ulicy... tę tajemną ścieżkę znano od tysiącleci... ale czy kiedykolwiek zawracała, czy kiedykolwiek wiodła do domu?

Dni i noce. Tallis straciła rachubę upływającego czasu.

Sądziła, że nie spędziła tu jeszcze nawet tygodnia, ale kręciło się jej w głowie na skutek zmęczenia, jazdy, klaustrofobii i niepokoju. Czy ojciec jeszcze tam stał? Czy czekał, aż las rozstąpi się znowu i jego córka wróci z triumfalnym pluskiem przez Potok Łowcy?

– Chcę wrócić do domu – wyszeptała do Scathacha.

Jedno spojrzenie na zawzięty grymas, który wykrzywił jego twarz wystarczyło, by ją przekonać, że nie stać jej już na taki luksus. Młodzieniec wydawał się teraz dzikszys. Na jego przystojnej twarzy utrwalił się wyraz strachu, a oczy patrzyły niespokojnie. On również czuł krępującą moc lasu, ciężar wiszących w górze gałęzi, miążdżącą masę pni i szarych skał, gdy podążali za Połamańcem brzegiem płycizny, przez wąskie skalne parowy, w głąb otchłannych, wypełnionych echami jaskiń, przez szumiące olchowe lasy oraz gaje dławiących ostrokrzewów i dębów.

– Może nas nie być trochę dłużej, niż sądziłem – powiedział. – Spodziewałem się, że znajdziemy się w ośnieżonej okolicy, a nie tutaj. Nie znam tego miejsca. Podążam za twoim gurla...

Połamaniec doprowadzi mnie bezpiecznie do domu, pomyślała.

Jeleń miał jednak na pożegnanie złożyć u zimnych, przemoczonych stóp Tallis ostateczny dowód przewrotności.

Zerwał się do biegu. Konie ruszyły za nim pośpiesznie. Gyonval omal nie spadł z siodła, gdy jego dereszowata klacz wierzgnęła i pocwałowała naprzód, a jeździec uderzył o nisko zwisający konar. Nad koronami drzew świt ożył głosami ptaków. Jechali dopiero od krótkiej chwili, wyrwani ze snu rykiem zwierzęcego przewodnika. Jego poroże, bardziej połamane niż kiedykolwiek dotąd, odarte z wystrzępionego scypułu, zdawało się lśnić od rosy. Z zadu zwierzęcia buchała para. Pędziło przez las, jak gdyby ścigały

je wygłodniałe psy. Tallis ześliznęła się z siodła. Tylko silne ramię Scathacha ocaliło ją przed upadkiem pod końskie kopyta.

– Naucz się jeździć! – warknął. Złapała się długiej grzywy wierzchowca, lecz gdy zwierzę kluczyło wzdłuż rzeki, potykając się na błotnistych brzegach czy prześlizgując nad zwalonymi pniami butwiejących drzew, wciąż podskakiwała na jego grzbiecie. Wkrótce płakała już z bólu i strachu. Jej maski grzechotały na siodle, utrzymały się jednak na miejscu.

Wtem znaleźli się w zamglonej dolince. Snopy padającego z góry światła były słupami niemal boskiego blasku. Lśniący żółta mgła kłębiła się, a liście szeleściły. Byli otoczeni niezmiernym bogactwem kolorów. Wydawało się, że cała okolica drży. Opary sprawiały wrażenie wypływających z ciemnych pni drzew. Kotlina była skąpana w paprociach i młodych drzewkach. Połamaniec odwrócił się ku zdyszczym jeźdźcom.

Spojrzał na Tallis.

Potrząsnął ozdobionym połamanym porożem łbem. Z pyska skąpy wała mu ślina. Trząśł się jakby z bólu czy strachu...

Nagle znieruchomiał. Jego kończyny obróciły się w drewno. Uniósł głowę i odchylił ją do tyłu niczym w ostatniej chwili cierpienia. Gdy jego szczęki się rozwarły, dolinkę wypełnił głęboki, basowy ryk. Zbyt szybko, by można było to dostrzec, jeleni zmienił kształt, powiększył się, rozrósł, stał się wysoki jak drzewa, a jego połamane poroże rozszerzyło się, przerodziło w ogromne kostne łopaty. Nogi, szeroko rozkraczone, wydłużyły się gwałtownie, pogrubiały i utworzyły bramę, przez którą do chłodnej dolinki wpadł kłęb śniegu.

Konie zaczęły się narowić. Tallis ponownie ześliznęła się z siodła, lecz podtrzymały ją silne ramiona, tym razem należące do Gyonvala. Mężczyzna uśmiechnął się do niej. Maski zakołysały się ciężko na jej szyi. Głowa bolała ją od ryku umierającego zwierzęcia.

Wielki łosć stał zwrócony w ich stronę. Był wyższy niż drzewa. Jego poroże niknęło w listowiu. Z ciała skapywała mu woda, całkiem jakby na

jego grzbiet padał deszcz, który spływał po bokach i brzuchu. Z przypominających pnie kończyn wyrastał bluszcz. Wypuszczał kielki i odrośle, aż w kilka sekund całego łośia spowiła zieleń. Spod jego skóry wypchnęły się ostrokrzewy. Przez szczeliny prześliznęły się korzenie drzew drżące na ulistnionej powłoce.

Wkrótce zapadła cisza mącona jedynie szelestem wiatru na górze i poszumem świeżej roślinności. Przetworzony w gigantyczną, butwiejącą drewnianą bramę Połamaniec wskazywał im drogę do serca królestwa. W leżącej po drugiej stronie puszczy panowała surowa zima. Scathach owinął swym futrem drżącą postać Tallis, nim podążył za Gyonvalem i pozostałymi przez wydrążenie do mroźnej krainy.

Jeśli nawet zdawał sobie sprawę, że jego towarzyszka płacze, nie powiedział nic.

Czy zabłądziliśmy?

Tak.

Mówiłeś, że zaprowadzisz mnie do domu...

Nie wiem już, jak tego dokonać. Nie potrafię zawrócić. Nie umiem odnaleźć naszych śladów. Las wciąga mnie głębiej, do mojego domu...

Co mam uczynić? Co z moimi rodzicami?

Chciałbym mieć dla ciebie odpowiedź. Ale nie mam.

Harry mi pomoże... Wiem, że to zrobi...

W takim razie im szybciej znajdziemy twojego brata, tym lepiej.

(Palce Tiga przesuwają się po jej twarzy. Sny sączyły się z kości, tłoczyły w jej ospałym umyśle, rozsypywały chaotycznie, ostre i bolesne, jaskrawe wspomnienia lat błędzenia, dotkliwej samotności, tęsknoty za domem, rodzicami, gorącymi letnimi dniami, jej pokojem i książkami.)

Scathach stawał się jej coraz bliższy. Zabierał ją na polowania. Gnali przez las w pogoni za drobną zwierzyną. Nauczył Tallis posługiwać się

łukiem i procą, lecz nigdy nie opanowała dobrze tej sztuki. Jej ciało rosło, powiększając się niczym jeleni. Wkrótce stała się niezgrabną młodą kobietą, wysoką i chudą jak patyk. Wypukłości jej sylwetki pochodziły jedynie od zszytego z kawałków futrzanego ubioru i płaszcza, które były połączone prostymi skórzanymi rzemieniami oraz umocowane pod szyją zapinkami z kości.

Miała ze sobą maski i nauczyła się z nich korzystać. Widziała świat na różne sposoby, spoglądając na niego oczyma dziecka, ryby albo psa myśliwskiego. W puszczy roiło się od dziwnych stworzeń. Zbłąkana grupka posuwała się ku jej wnętrzu, świadoma spojrzeń obserwujących ją z ciemności oraz obecności postaci w lśniących zbrojach, które niekiedy podążały za nimi godzinami, zanim zniknęły w gęstym podszyciu.

Trzymali się blisko rzek. Tallis zrobiła prymitywny namiot ze skór zdobytych na polowaniu. Uważała go za swój dom, siedzibę jasnowidzącej. Siedziała skulona w tym wigwamie, obserwując, jak zgromadzeni wokół mężczyźni rozmawiają ze sobą bądź obdzierają ze skóry ubitą zwierzynę.

Z biegiem lat powiększyła rozmiary swego schronienia. Pewnego dnia, po tym jak kilka godzin biegła ze Scathachem przez las w pogoni za małą świnią, wrócili do niego razem, rozpalili niewielkie ognisko i przytulili się do siebie. Czuli ciepło rozgrzanej skóry, wpatrywali się w blask swych oczu i warg. Tallis poczuła się nagle bardzo bliska swemu towarzyszowi. Nadszedł dla niej czas zmiany. Cierpienie wywołane rozstaniem z domem osłabło, gdy odkryła mężczyznę, jego tajemną siłę oraz ukryte w niej uczucie, które łączyło się z zadowoleniem z jego towarzystwa i śmiechu, z połączenia ciał.

... i ból. Taki ból. Rzeka płynęła wartko; ognisko płonęło; była głęboka noc i Scathach siedział obok niej, ocierając pot, który zalewał jej twarz. Gyonval, przygarbiony i zatroskany, przyglądał się temu z drugiej strony ognia. Jego twarz była bardzo blada, długie włosy zwisały w strąkach, a

dłonie bawiły się małą lalką wykonaną przez Tallis. Zgodził się ją potrzymać, by pomóc złagodzić cierpienie.

– Obejmij mnie...

Scathach pochylił się, przycisnął wargi do jej policzka i otoczył ją ciasno ramionami. Coś się poruszyło. Las przeszyły pierzchające we wszystkich kierunkach ptaki, wyrwane z nocnego spoczynku. Jej krzyki stały się szalone. Rozproszyły noc. Złapała kurczowo ramiona Scathacha, po czym odepchnęła siłą jego głowę i ukucnęła, rozstawiając szeroko kolana. Wsysała w siebie ciepło ogniska. Gyonval skrzywił twarz, łapiąc za lalkę i potrząsając nią, lecz ból pozostał w Tallis do chwili, gdy – niczym zbutwiałe drzewo rozszczepione przez burzę – otworzyła się i gorące, nowe życie wypłynęło z niej, przynosząc jej ulgę...

...dziecko nie żyje.

Wiem.

Dłoń na jej ramieniu. Świeży śnieg tłumiący dźwięki. Wszędzie wokół niej biel. Rzeka zamrożona. Niemowlę w namiocie, wciąż otulone w futra. Scathach przykucnięty za nią, z rękami na jej barkach. Opuściła bezwładnie głowę. Przytulił twarz do jej szyi. Dygotanie ciała świadczyło o odczuwanej przez niego żałobie. Płakała całą noc, gdy Scathach polował, bliżej serca lasu. Nie było już w niej żalu. Podniosła się i spojrzała z góry na zasmuconego mężczyznę, w którego włosach pozostały jeszcze ślady zielonych i brązowych farb używanych przez niego do maskowania podczas szalonych pościgów za zwierzyną. Dotknęła jego włosów, policzków, warg. Przytrzymał jej palce blisko ust, po czym potrząsnął głową, nie potrafiąc znaleźć słów, które wyraziłyby jego uczucia.

Pochowam go, oznajmił na koniec.

Zabiorę go ze sobą, sprzeciwiła się Tallis. Zbyt wiele dla mnie znaczy.

...pory roku ogarnął chaos. Czasem zima, potem lato, a później wiosna. Mijali różne strefy krainy, dostosowując metody polowania do lasów, w których się znaleźli. Gdy tylko natrafili na ruiny, w których mogli znaleźć coś do jedzenia, zatrzymywali się w nich na całe tygodnie. Usiłowali odkryć w głuszy ład, zostawiali znaki i obozy w nadziei, że kiedyś natrafiają na nie ponownie i wprowadzą jakiś porządek do swej bezładnej podróży ku wnętrzu.

...jak wiele lat tu spędziliśmy? Jak wiele? Ile ich mają teraz moi rodzice? Czy o mnie zapomnieli? Czy ojciec widzi mnie przez maskę? Czy słyszy mnie przez szorstkie drewno maski, którą zgubiłam? Czy to jego głos?

Tak! Woła mnie. To ojciec. Słyszę go... powtarza moje imię. Tallis... Tallis... jego głos jest smutny. Nie jest podekscytowany.

Tallis. Tallis!

Idzie po mnie. Ojciec idzie po mnie. Powtarza moje imię... znalazł mnie... znalazł mnie...

KSIĘŻYCOWY SEN

Wszystko, co niewyśnione

– Tallis! Tallis!

Głos dziewczynki był bardzo odległy. Możliwe, że usłyszała go we śnie. Spojrzała ku wyjściu z domu pogrzebowego, po czym zmarszczyła brwi i rozejrzała się wokół. Ogień zgasł. Tiga nigdzie nie było widać. Ponieważ węgielki już wystygły, Tallis pomyślała, że siedzi tu od wielu godzin.

Wstała na nogi, sztywne i obolałe, i wyszła, utykając, z cruig–morn, masując po drodze mięśnie, by przywrócić krążenie w kończynach. Przechodząc przez złowieszczy półokrąg rajathuków, ujrzała Morthen, która stała niepewnie w bramie. Twarz dziewczynki spochmurniała nieco na jej widok. Sprawiała wrażenie rozgniewanej lub być może zażenowanej.

– Cześć, Morthen.

– Ojciec – rzekła, nie odpowiadając na pozdrowienie. – Ojciec wrócił do nas.

– Jest przytomny?

– Tak.

Jej głos brzmiał bezbarwnie. Wyraźnie chciała zdystansować się od starszej kobiety.

Gdy Tallis zaczęła mijać dziewczynkę, ta chwyciła ją za ramię. Jej ciemne oczy miały gwałtowny wyraz. Muszle ślimaków, zdobiące luźną siatkę na włosach, zagrzechotały lekko, gdy uniosła głowę.

– To mój brat – powiedziała. – Czekałam na niego całe życie. Musisz pozwolić, bym się nim teraz zaopiekowała.

Tallis spróbowała się uśmiechnąć, lecz gwałtowność dziewczynki powstrzymała ów gest.

– A ja spędziłam z nim całe życie – odparła po prostu. – Nie oddam ci go tak łatwo.

Morthen wydała z siebie dźwięk przypominający głos dzikiego zwierzęcia, po czym umknęła przez tarninę. Tallis podążyła za nią, oglądając się na olbrzymie rzeźby, których groteskowe twarze spoglądały na nią: niektóre ze współczuciem, a inne z wyrazem drwiny. Sinisalo – dziecko w krainie – wyglądała, jak gdyby uśmiechała się szyderczo.

Weszły przez bramę na teren osady, wyminęły nowe skóry rozpięte na ramach i pochylając głowy, weszły do długiego domu. Morthen zatrzymała się w wejściu. W mrocznym wnętrzu Tallis dostrzegła Scathacha, który przykucnął przy słomianej macie z ramieniem pod głową starego. Oczy Wyn-rajathuka lśniły w migotliwym blasku, gdy wpatrywał się w syna, słuchając jego cichych słów.

Tallis obeszła bezgłośnie pomieszczenie i stanęła za plecami myśliwego. Następnie usiadła na macie z sitowia i objęła kolana, by wysłuchać jego relacji.

Scathach opowiadał o swej pierwszej podróży przez las.

– ...Jaguthini zawsze są wzywani. Miałeś rację. Ale zew przybiera różne postacie. Przez pewien czas wędrowałem z grupą, którą przywoływała starucha strzeżona przez ogromne psy. Wyłaniała się ze środka ziemi, otoczona czarnymi brytanami. Ale Jaguthini, którzy stali się moimi bliskimi towarzyszami, otrzymywali wezwanie nocą, podczas pełni. Ten, kto ich wołał, przybierał postać nocnej zjawy, widma, które unosiło się wśród gałęzi drzew i zabierało duszę z ciała człowieka. Dziwnie i strasznie zarazem było widzieć, jak duchy moich przyjaciół opuszczały kolejno ciała, a potem patrzeć, jak owe ciała podnosiły się i biegły w nocny las w pogoni za duszami.

– Połączą się ze sobą... ciała i dusze... w miejscu, w którym będzie dokonany czyn... odbędzie się wielka bitwa... wszystkie legendy o

poszukiwaniach są takie... przede wszystkim trzeba odnaleźć swe prawdziwe ja... – wyjaśnił Wynne–Jones słabym, charczącym głosem.

Scathach uciszył starego, który z wysiłkiem próbował podtrzymać potok słów.

– Straciłem wszystkich – kontynuował. – Wszystkich moich przyjaciół. Gyonval był ostatni, zaledwie kilka pór roku temu. Jego utrata przygnębiła Tallis najbardziej. Wydawało się, że opiera się zewowi, być może z powodu miłości do niej. Ich dwoje łączyło szczególne uczucie.

Tallis przeszył lodowaty chłód. Pot zalał jej oczy i twarz, a serce zabiło gwałtownie. Nie zdawała sobie sprawy, że Scathach o tym wiedział, nie była świadoma, że to zauważył. Przywołało to ponownie potop strachu i niemal niemożliwe do zniesienia wspomnienie utraty, widok wojownika Gyonvala toczącego bój z lasem, nabijającego ciało na ostrą gałąź, jak gdyby mogło to powstrzymać duszę przed odejściem.

Pusty, zmasakrowany trup minął Tallis, przechodząc przez ognisko. Wysoko nad drzewami zjawa owinęła się wokół widmowego kształtu mężczyzny, wlokąc go przez korony drzew, mimo że wrywał się, pragnąc wrócić do leśnego obozu.

Tylko stanowczy uścisk Scathacha powstrzymał Tallis przed pognaniem za Gyonvałem do puszczy, podjęciem próby sprowadzenia go z powrotem. Zachowała milczenie. Opierała się swemu towarzyszowi ze wszystkich sił, lecz nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Odszedł – wyszeptał. – Utraciliśmy go...

Utraciłam więcej, niż ci się zdaje, pomyślała z goryczą Tallis, ale oszczędzę ci tej informacji.

Teraz, w długim domu, dowiedziała się, że Scathach świetnie zdawał sobie sprawę ze szczególnego bólu, jaki czuła.

– Zasmuciła mnie ich utrata – kontynuował. – Trzej, Gyonval, Gwyllos i Curundoloc, byli wciąż ze mną, gdy dotarłem do zakazanego świata i przekonałem się, że świątynia leży w gruzach.

– Oak Lodge – wydyszał Wynne–Jones. Powtórzył tę nazwę, jak gdyby napawał się brzmieniem, które ongiś znał. – Mówisz, że leży w gruzach. A więc nikt tam nie mieszka...

– Dom zarósł lasem. Drzewa przedostały się do każdej jego części. Bór już nigdy nie wypuści go z objęć. Znalazłem jednak dziennik. Przeczytałem go, tak jak o to prosiłeś, ale magia rozmazała się od deszczu. Symbole niełatwo było odcyfrować. Trudno mi było się w tym połapać.

– Czy była tam jakaś wzmianka o moim odejściu... do lasu?

Scathach skinął głową.

– Tak. Napisano tam, że odkryłeś skovynnen. Twoją obsesją stało się otwieranie bram wiodących do serca lasu. Napisano, że pewnego dnia zjawiłeś się pachnący śniegiem i ciężko chory z powodu zimy. W tydzień później ponownie wyruszyłeś do tego zimowego miejsca i już nigdy nie wróciłeś.

Na chwilę zapadła cisza. Oddech Wynne–Jonesa stał się wolniejszy. Stary wpatrywał się nieobecny wzrokiem przed siebie. Tallis pochyliła się lekko, by mu się przyjrzeć, nie zauważył jej jednak.

– Przedostałem się na drugą stronę – wyszeptał. – Było to dla mnie bardzo wielkim zaskoczeniem. Stało się to w dębowo–głogowej strefie, niedaleko od świątyni koni. Zbadaliśmy ten teren bardzo dokładnie. Sporządziliśmy mapę energii macierzy linii mocy. Dąb i głóg zawsze tworzą potężne obszary wytwórcze, a gdy obie te rośliny występują razem, powstaje strefa pierwotnej genezy wyjątkowo prymitywnych mitotworów. Wiele z nich było bardziej zwierzęcych niż ludzkich. Skovynnen musieli zastawić na mnie pułapkę. Przeszedłem na drugą stronę i nie mogłem wrócić...

Scathach ponownie uciszył staruszka, unosząc do jego warg puchar, by mógł się napić zimnej wody. Wynne–Jones westchnął. Jego dłoń, zaciśnięta na nadgarstku syna, zatrzepotała niczym pozbawiony zdolności lotu ptak, po czym znalazła nowe, pewniejsze miejsce na mocniejszej kończynie.

– A sam Huxley? Co się stało z moim przyjacielem Georgem? Ze starym czarodziejem?

– Jego żona umarła. Stworzył mitotwór dziewczyny i zakochał się w niej. Jego najstarszy syn wrócił do domu z wielkiej wojny w innym kraju...

– Jak się nazywała? Ta dziewczyna...

– Guiwenneth.

– Skąd pochodziła?

Scathach opuścił głowę, zastanawiając się przez chwilę.

– Była księżniczką Brytów z dzikiej puszczy. Chyba tak wyczytałem.

Wynne-Jones zadrżał. Tallis pomyślała, że kaszle z bólu, stary jednak śmiał się.

– Najspokojniejszy człowiek, jakiego znałem... zrodził najgwałtowniejszą z kobiet... samą Vindogenite... Guinevere... – Jeszcze przez chwilę chrypiał rozweselony, po czym uspokoił się.

– O ile potrafię to określić – ciągnął Scathach – ojciec i syn rywalizowali o miłość dziewczyny...

– Jakże łatwo to przewidzieć.

– I to już wszystko. Nie było żadnego rozwiązania czy końcowego fragmentu. Nie potrafię ci powiedzieć, co wydarzyło się później.

Na chwilę zapadła cisza, przerywana jedynie przyciągającym uwagę, bolesnym rytmem oddechu starego.

– A co z tobą? Na jaką odległość od granicy świata możesz się zpuścić? – zapytał wreszcie.

– Cały dzień drogi na piechotę – odrzekł Scathach. – Potem dopadły mnie straszliwe zawroty i ból głowy. Czułem też strach. Świat wydawał się ciemny nawet za dnia. Widziałem cienie drzew na ziemi nagiej niczym skała, a za tymi drzewami czaiły się duchy, które ze mnie drwiły. Musiałem wrócić w okolice świątyni. Mimo to spędziłem w owej krainie cieni cały rok. Przebrałem się w szaty jej mieszkańców. Pracowałem na farmie. Pomagałem przy budowie jednego z ich domów. Zapłacono mi

miejscowymi pieniędzmi. Pytałem o ciebie i o Huxley'a, ale nie dowiedziałem się niczego. Potem, gdy wróciłem do świątyni – do Oak Lodge – zdałem sobie sprawę, że córka Keetonów próbuje nawiązać ze mną kontakt.

– Później – przerwał mu stary. – Później... opowiedz mi o Anne... o mojej córce Anne. Czy udało ci się z nią zobaczyć?

– Skorzystałem z telefonu. Rozmawiałem z nią z wielkiej odległości. Nadal mieszkała w Oxfordzie, tak jak mówiłeś. Łatwo było ją odnaleźć. Powiedziałem jej, jak się nazywam i kim jestem, że jesteś stary, ale nie narzekasz na zdrowie i że zawędrowałeś bardzo głęboko w puszcze. Opowiedziałem jej o swojej matce, Elethandian, twojej żonie. Powiedziałbym więcej, ale zaczęła na mnie krzyżeć. Nazwała mnie kłamcą. Była bardzo rozgniewana. Stwierdziła, że jestem oszustem. Powiedziała, że policja złapie mnie i zamknie w zagrodzie, bo jestem okrutnym, dzikim zwierzęciem. Opowiedziałem jej o martwym wężu, którego z nią kiedyś znalazłeś, co było waszym osobistym sekretem. Skąd mógłbym o tym wiedzieć, gdybym nie był twoim synem? Ale ona przestała mówić. Odeszła, nie przekazując dla ciebie wiadomości.

Scathach potarł delikatnie nadgarstek ojca.

– Przykro mi. Naprawdę.

Ta wiadomość przybiła starego. Westchnął rozczarowany i położył się ostrożnie na sienniku.

– Nieważne... – wyszeptał i zamknął oczy. Wkrótce zasnął.

Tallis została przez chwilę ze Scathachem, lecz czuła się w atmosferze długiego domu coraz gorzej. Było w nim pełno dymu, który dławił jej płuca. Panował tu też chłód, przez strzechę i szpary w glinianych ścianach do środka wpadał lodowaty wicher, a na dodatek czuło się smród gorzkich ziół oraz nie panującego nad zwieraczami Wynne–Jonesa. Wkrótce myśl o świeżym powietrzu na zewnątrz znowu wydała się jej atrakcyjna.

Gdyby Scathach chciał, żeby została, spełniłaby jego pragnienie, zachował jednak dystans, nie reagując na jej dotyk. Oklapł, a potem odwrócił się lekko, spoglądając przez panujący w domu półmrok na północ, jak gdyby widział za ścianami, za lasem, pole bitwy, owo zimne miejsce, które leżało w dali i do którego zmierzali oboje, tak jak wszystko, co tędy przechodziło.

Morthen wśliznęła się do domu i okrążyła ostrożnie Tallis, nie spoglądając w jej stronę. Z początku wydawała się zaniepokojona, a potem niemal rozzłoszczona obecnością starszej kobiety. Ta postanowiła, że zostanie jeszcze chwilę, lecz odwróciła wzrok. Dziewczynka zaczęła szeptać do brata.

– W dolinie są poskramiacze. Oczyszczili teren na pułapki, pół dnia drogi stąd na południe. Jest ich tylko kilku, ale mają kilkanaście koni.

– Poskramiacze? – zapytał Scathach obojętnym tonem. – Kto to są poskramiacze?

– Poskramiacze koni – wyjaśniła podekscytowana Morthen. – Ich broń jest kiepska, kamienne groty bardzo prymitywne, a sieci możemy bez trudu przeciąć. Są wielcy, ale głupi. Ciała mają pomalowane smugami gliny. Powinniśmy z łatwością ich pokonać.

– Jesteś tylko dziewczynką – szepnął Scathach. Morthen była wstrząśnięta. Brat nie zdradzał zbytniego zainteresowania jej informacją, lecz mimo to sprawiała wrażenie zdecydowanej zdobyć jego względy.

– Muszę tylko przeciąć postronki. Atakiem zajmą się Pierwsza Świnia Lata i inni myśliwi. Przyprawdzą ci konia. Wybiorę dla niego imię.

– Dziękuję. Uważaj na siebie.

Morthen wyciągnęła rękę i położyła dłoń na twarzy brata.

– Niedługo będę większa – wyszeptała. Tallis zauważyła, że dziewczynka obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem. Następnie Morthen wymknęła się z domu, zostawiając po sobie obłok szarego dymu w miejscu, gdzie przeszła obok paleniska.

Tallis również wyszła. Miała już towarzyszkę podróży, Pływającą po Jeziorach, i jeśli w ogóle poświęciła dzikim koniom w dolinie jakąś myśl, to tylko po to, by zastanowić się nad legendą o poskramiaczach. Ujarzmić ducha dzikiego zwierzęcia, sprawić, by pozwoliło jeździć na swym grzbiecie: tak jest, dla prymitywnej myśli potrzebna by do tego była magia. Myśliwi, którzy schwytali szybkie, dumne stworzenia, z pewnością stali się zaczynem kultów i legend.

Wróciła do domu pogrzebowego. Tiga nigdzie nie było widać. Ognisko jednak zgaszono kopniakiem, rozrzucając popiół po podłodze. Spojrzała na północ z ziemnego nasypu na zewnątrz i wkrótce dostrzegła odziane w grube futra postacie Morthen i trzech myśliwych, którzy szli skrajem lasu, a potem skręcili na południe i zniknęli jej z oczu.

Na północy jednak widać było jedynie szarość, kłębiącą się mgłę i być może cień zimy oraz leżących dalej gór. Trudno było dostrzec szczegóły. Korony drzew stawały się czarne i bezkształtne. Nad morze listowia wyrastały jedynie gigantyczne, drżące wiązy. Ponownie usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Raz jeszcze obudziła się jakby ze snu i przekonała się, że upłynęło trochę czasu. Gdy spojrzała w dół, dostrzegła u stóp wzgórza Scathacha, który wspinał się ku niej powoli przez gęste krzewy tarniny. Na plecach niósł Wynne–Jonesa. Stary tłukł w krzaki kijem, a drugą ręką mocno trzymał się szyi syna. Weszli na otoczony wałami teren. Wynne–Jones wbił kij w ziemię, po czym zsiadł ze swego wierzchowca. Powiesił na lasce płaszcz z piór. Scathach pomógł mu usiąść pod wątlą osłoną, jaką zapewniał strój. Twarzą zwrócił się w stronę rajathuków. Jego zdrowe oko błyszczało, gdy gapił się na posągi. Tallis jednak, gdy zeszła z nasypu, zauważyła, że stary się boi. Jego biała broda była wystrzępiona. Na czole i wokół krótkich, białych włosów, miał namazaną niebieską linię.

Scathach zajrzał do domu pogrzebowego i natychmiast wyszedł na zewnątrz.

– Nie ma śladu po Tigu.

– Miej na niego oko – polecił ostrym, niespokojnym tonem Wynne–Jones. – Nie może być daleko...

Odwrócił się i uśmiechnął ponuro do Tallis.

– Nie chcę, żeby ten mały morderca zbliżył się na odległość strzału z procy – dodał cicho, lecz wyraźnie. – Strzela zbyt celnie.

Mężczyzna i kobieta wymienili długie, badawcze spojrzenie.

– Tallis... jesteś Tallis...

– Tak.

– Mówiłaś do mnie, kiedy spałem. Opowiadałaś o przygodach. Zadawałaś mi pytania.

– Tak. Pamiętasz to?

– Jak we śnie – odpowiedział, po czym przywołał ją skinieniem. Podeszła do niego i przycupnęła na zimnej ziemi. Gdy ujął jej dłonie, wyczuła w nim napięcie. Dygotał. Cień Tiga wpływał na rysy jego twarzy w większym stopniu niż straszliwa rana, która pozbawiła go wzroku w lewym oku i pozoczyła policzki bliznami. Wynne–Jones zignorował zaniepokojone spojrzenie Tallis. Nie przestawał dotykać kobiety. Objął jej twarz dłońmi i musnął wargi palcami.

– Ile miałaś lat, kiedy pochłonał cię las?

– Trzydzieści – odpowiedziała. – Ale las mnie nie pochłonał. Poszłam ze Scathachem. Nie zamierzałam zostawać zbyt długo.

Staremu wydało się to zabawne.

– Czy dużo pamiętasz z Anglii? – zapytał jednak. – Ze swego życia? Ze świata?

Odpowiedziała, że pamięta.

– Powtórzę ci, ile zdołam, chociaż byłam raczej zamkniętym w sobie dzieckiem...

– Później – przerwał. – Wysłucham tego później. Jest coś, co muszę ci najpierw pokazać, żeby dodać ci odwagi. Potem będę musiał zastanowić się nad wszystkimi dziwnymi rzeczami, które spotkały cię w dzieciństwie. Mój

pierworodny opowiedział mu już trochę o twoim życiu i pytaniach, które chcesz mi zadać.

Jego słowa sprawiły, że Tallis popatrzyła ze smutkiem w stronę domu pogrzebowego. Otuliła się w futra z ostatnim drżeniem żalu.

– Nic ci nie jest? – zapytał Wy n głosem łagodnym i pełny m troski.

– Przed kilkoma godzinami spaliłam szczątki mojego pierworodnego.

– Ach...

– Jak długo żyło dziecko? – spytał stary po chwili przerwy.

– Jedną porę roku albo dwie. Kilka miesięcy.

Tallis uśmiechnęła się.

– Wciąż usiłuję pamiętać dawny sposób mierzenia czasu.

– Ile dzieci... ile ich w sumie było?

– Troje. Pozostałym nie udało się urodzić jak należy.

– Czy były mojego syna? – zapytał Wynne–Jones.

– Tak – odparła szybko Tallis, nie mogła jednak nie spuścić wzroku, gdy wypowiadała to częściowe kłamstwo. Kiedy podniosła wzrok, Wynne–Jones już się nie uśmiechał.

Wyciągnął nagle rękę i wyszarpnął z frędzli płaszcz małe, czarne pióro. Zimny wicher poruszył jego białymi, krótko ostrzyżonymi włosami, sprawiając, że zadrzał gwałtownie, powstrzymał jednak Tallis, która chciała zarzucić mu płaszcz na ramiona. Wręczył jej pióro.

– Obrządki i rytuały w późnoeolitycznej Europie – powiedział, uśmiechając się z przekąsem. – Czarne pióro wyraża mój smutek. Jutro powinnaś przynieść je do domu szamana. Spalimy je z ptasim tłuszczem, miodem oraz paskiem wyschniętej wilczej skóry. W wydrążonym kamieniu, rzecz jasna. Będziesz też musiała wydrapać na nim swój znak cielesny, żebym mógł go później udekorować.

Niewiele brakowało mu do śmiechu. Przymrużył rozbawiony oczy, w których widniał wyraz wtajemniczenia, żartu zrozumiałego dla ludzi wywodzących się z zaawansowanej kultury.

– To pomoże duchowi chłopca w dalszej wędrówce. Takie przynajmniej są tutejsze wierzenia.

Tallis wzruszyła ramionami.

– Może to i prawda. W tym świecie podobne zabiegi skutkują. Magiczne. Parapsychiczne.

– Masz absolutną rację. To wciąż mnie przeraża. Przeraża mnie myśl, że dziecko z krwi i kości może obrócić się w drewno. Jaki biologiczny proces tu działa? Scathach i Morthen są jedynymi moimi dziećmi, które przeżyły, choć miałem ich bardzo wiele. Co dziwne, zdaję sobie sprawę, że to oznacza, iż jest w nich więcej drewna niż ciała. Dla mojego syna niemal niemożliwe było opuszczenie skraju lasu celem zbadania otaczających Ryhope pól...

– Wiem o tym.

– Obawiam się też, że twój los został przypieczętowany w chwili, gdy weszłaś z nim na teren lasu. Skoro był już w zakazanym miejscu – dla niego jest nim Anglia – i udało mu się powrócić, porwała go fala, potężny prąd niosący go z powrotem do serca lasu. Można odbyć tylko jedną podróż do piekła... Nie mógł zaprowadzić cię z powrotem do Anglii bez względu na to, jak bardzo się starał.

Tallis skinęła głową z ponurą miną.

– Myślałam, że będę podróżować przez las około miesiąca. Jestem w nim już od ośmiu lat.

– Bądź przygotowana na to, że spędzisz w nim resztę życia.

– Nigdy się z tym nie pogodzę – odparła ostrym tonem. – Jakoś uda mi się wrócić do domu.

– Nigdy nie wrócisz. Pogódź się z tym.

– Odnajdę brata. Wrócę do domu. Nie zaakceptuję innej możliwości.

– No tak... – rzucił Wynne-Jones z ulotnym uśmiechem na wargach. – Twój brat. Pomóż mi wstać. Chcę ci coś pokazać.

Dźwignął się niepewnie na nogi, wspierając się ciężko na Tallis. Uniósł kij i wskazał nim na totemiczne słupy o ponurych twarzach.

– Poznajesz je, oczywiście.

– Tak i nie – odparła. – Przypominają moje maski.

– Widziałem je – stwierdził stary. – Zauważyłem to natychmiast. To jest Falkenna.

– Lot ptaka do nieznannej okolicy.

– A ten porośnięty nowymi gałązkami to Skogen...

– Cień lasu – wydyszała Tallis. – Zawsze czułam z nim dziwną więź.

Wyn wybuchnął charczącym śmiechem.

– Stąd właśnie dowiedziałem się, że się zbliżasz. Zmienił się. Skogen to zmieniający się cień lasu. Myślałem, że to mój syn przeobraża totem, próbując nawiązać ze mną kontakt. Ale to byłaś ty. Ty jesteś Skogenem. Jesteś cieniem lasu... tak jak Harry przed tobą. Właśnie w tych cieniach możesz go odnaleźć.

Podniósł wzrok i wskazał na rajathuka znanego Tallis lepiej od wszystkich pozostałych z uwagi na jej obsesję na punkcie drewna...

– Księżycowy Sen.

– Oczy, które widzą kobietę w krainie. Zgubiłam tę maskę. Wypadła mi z rąk, gdy wyruszałam do królestwa. Mają teraz mój ojciec.

Uśmiechnęła się.

– Czasem zastanawiam się, czy nie obserwuje mnie przez nią.

Wynne–Jones wyglądał na zaniepokojonego jej słowami.

– Musisz zrobić nową. Jeśli maski zachowały dla ciebie znaczenie, z całą pewnością musisz zrobić nową.

– Zachowały znaczenie? – Tallis wzruszyła ramionami. – Wykorzystuję niektóre z nich. Innych nie używam niemal nigdy. Wydaje się jednak, że są skuteczne. Widzę przez nie różne rzeczy...

– Nie rozumiesz, czym one są – wyszeptał Wynne–Jones. Pogłaskał się po siwej brodzie, spoglądając na Skogena. – Być może nie jesteś jeszcze

gotowa użyć ich we właściwy sposób.

– Korzystam z Drażącej, kiedy tylko chcę przekroczyć próg...

Wynne–Jones zachichotał.

– Oczywiście. Jakiej innej maski mogłabyś użyć? Ale Tallis... wysłuchaj mnie... według legendy, maski, tak jak te rajathuki, stanowią aspekty wyroczeni! Głosu ziemi przekazującego swą wizję za pośrednictwem szamana: to znaczy mnie albo ciebie, albo Tiga. Nie możesz używać masek jako wyroczeni, jeśli jednej z nich brakuje.

Odwrócił się, by spojrzeć na Tallis, która skrzywiła twarz.

– Przecież są skuteczne.

– Do pewnego stopnia. Mogłyby działać znacznie lepiej. Wyobraź sobie, że każda maska stanowi zakończenie łańcucha, który – gdy ją założysz – wiedzie od niej w głąb twojego umysłu. Jest tam wiele ukrytych obszarów, zakazanych lub zapomnianych miejsc. Wyobraź sobie, że każda z masek łączy się z jedną z owych zamkniętych części jaźni. Wzory na nich, kształt drewna, jego dotyk i zapach, wszelkie wonie, które w nie włączyłaś, jaskrawe kolory albo matowe cienie... wszystko to stanowi część zasadniczego wzorca, zasadniczej, nieświadomej wiedzy, która jest sercem magii. Każda z masek uwalnia zaginioną pamięć, gdy tylko na nią spojrzysz; każda daje dostęp do utraconego talentu; otwiera drzwi, że tak powiem, i wypuszcza legendy na zewnątrz... czy może pozwala im przestępować próg. Jeśli tego może dokonać jedna maska... wyobraź sobie moc wszystkich dziesięciu!

Tallis nie powiedziała nic, przerażona słowami starego. Wynne–Jones wzruszył tylko ramionami, stuknął ją laską w ramię i ponownie wskazał na rajathuki.

– O wyroczeniach pomyślisz później. Na razie przyjrzyj się uważnie obliczom moich masek. Widzisz? Są asymetryczne. Jedno oko na każdej wygląda na zniszczone, a kącik ust jest opuszczony. Widzisz to?

W umyśle Tallis rozkwitło zrozumienie. Zaczęła dygotać w oczekiwaniu na następne słowa Wynne–Jonesa.

– Przed laty – zaczął – człowiek spoza królestwa przeszedł tędy, kierując się w górę rzeki, w stronę Lavondyss. Puszcza wyssała jego sny, by zrobić z nich mitotwory. To on stworzył wszystko, co widzisz, Tuthanachów, moją chatę... totemy. Mogę ci o nim powiedzieć tylko jedno, a to dzięki temu, że postawił po sobie ślad w owych słupach. Miał po lewej stronie twarzy znamię, które zdominowało jego życie. Stało się jego obsesją. Może jakaś choroba albo rana? Zniekształcenie?

– Poparzenie – wyjaśniła Tallis. Wpatrzyła się w Skogena. Jego martwe oblicze ożyło nagle. Wynne–Jones miał rację. Widoczne tam cienie były cieniami Harry’ego, a nie lasu. Twarz posągu wydawała się jej dotąd pusta i okrutna, lecz teraz dostrzegła w niej gorące pragnienie i smutek. Czy wyruszył do puszczy po to, by znaleźć sposób na uwolnienie się od skazy?

Poparzony na wojnie. Zestrzelony. Poparzony. Przyszedł do niej nocą.

„Nie będę daleko. Jest coś, co muszę zrobić. Duch, którego muszę wyegzorcyzmować”.

Duch jego poparzenia, paskudna maska – ogień, strach i zło – znamię, które pokryło mu twarz, lecz nie zasłoniło go całkowicie. Było jednak maską, maską, której nienawidził. W przeciwieństwie do Falkenny, Sinisalo, czy Drażącej nie można jej było używać w dowolnej chwili. Nie dawało się jej zdjąć.

Wszystko to Tallis przekazała szamanowi, Wyn–rajathukowi, który wysłuchał jej w milczeniu. Dłonią dotykał jej ramienia, a oko skierował na twarz Harry’ego spoglądającą z kawałków martwego drewna.

– A więc to Harry przeszedł w górę rzeki przede mną, tak dawno temu. Wyprzedza cię o wiele lat, ale jesteś na jego tropie. Te lata mogą się wydawać przeszkodą w twojej misji, ale wcale nie musi tak być. Czas wyprawia w lesie dziwne sztuczki. Mnie sprzyjało szczęście: Scathach powrócił tylko o cztery lata starszy, niż się tego spodziewałem.

Zaczerpnął tchu i ścisnął mocno bark Tallis.

– Ale równie prawdopodobne jest, że gdy dotrzesz do Lavondyss, przekonasz się, iż dzieli cię od Harry’ego milion lat. Nie rozumiem praw, które władają ową krainą. Mogę ci to powiedzieć tylko dzięki temu, czego dowiedziałem się z żyjącego mitu lasu. Bądź jednak przygotowana na podobną ewentualność.

Tallis podtrzymała go, gdy siadał, otulony płaszczem. Wicher stawał się coraz zimniejszy.

– Idzie zima – powiedział Wynne–Jones.

– Straszliwa zima – zgodziła się Tallis. – Mam wrażenie, że podążała za mną przez całe życie.

– Nie wiem o Lavondyss wiele, ale co do jednego nie mam wątpliwości. To kraina śniegu, mrozu, zimy, przeszłej epoki, gdy ziemia była skuta lodem. Nie mam pojęcia, dlaczego ten fakt ma takie znaczenie w umysłach nas dwojga, a także wszystkich pozostałych przybyszy ze świata lat czterdziestych dwudziestego wieku. Późniejsze mity opisują drugi świat jako miejsce nie kończących się łąwów, uczt i przyjemności... słoneczną krainę. Jasne królestwo. Można do niego dotrzeć przez jaskinie, grobowce czy ukryte doliny. To jednak tylko marzenia. Poszukiwacze przygód od początków czasu usiłowali odnaleźć Lavondyss. Zastanawiam się, ilu z nich wiedziało, że jest to jałowy świat, miejsce śmierci i zimna... w Lavondyss nie ma magii... lecz mimo to kryje się tam pamięć. Kryje się tam coś, co wzywa. Coś, co przyciąga.

– Jestem przekonana, że mój brat tam dotarł. Zawołał mnie z tego miejsca. Jest tam uwięziony i złożyłam mu obietnicę, Obietnicę Tallis, że go uwolnię. Jeśli powędrował w górę rzeki, ja również tam się udam.

– I co tam znajdziesz? – zapytał z uśmiechem Wynne–Jones.

– Ogień – odpowiedziała Tallis bez chwili zastanowienia. Dowiedziała się o tym podczas spotkania, które przeżyła przed kilku laty. – Ścianę ognia

podtrzymywaną przez podpalaczy wywodzących się z epoki jeszcze dawniejszej niż ci Tuthanachowie. Przejdę przez ogień do Lavondyss.

– Spalisz się – wyszeptał z sarkazmem szaman, potrząsając głową. – Nikt nie może przejść przez ogień. Żaden człowiek. Słyszałem o mitotworach, którym się to udało, ale stanowią one część mitu mówiącego, że bramę do drugiego świata stanowią doliny strzeżone przez ogień i kurhany. Twoja droga z pewnością biegnie w zupełnie innym kierunku. Poprowadzi cię ona przez bór o wiele dziwniejszy niż ten maleńki las Ryhope.

– Harry się tam dostał.

– Jeśli faktycznie tak było – odrzekł stary – dokonał tego w ten sposób, że znalazł własną ścieżkę. Z pewnością nie przeszedł przez ogień. Ty też nie możesz tego zrobić... Dlatego że, podobnie jak ja, jesteś człowiekiem. To nie jest nasza kraina. Jesteśmy wędrowcami po własnym, obdarzonym życiem oblędzie. Otaczają cię sny twego brata, zmodyfikowane później przeze mnie, a ostatnio przez ciebie. Mamy jednak coś, czego te nieszczęsne stworzenia wokół nas nie mają. Wolność. Wolność wyboru. Och, wiem, że Scathach wybrał na pewien czas... ale spójrz na niego, dotknij go, dotknij jego umysłu... Jestem przytomny dopiero od niedawna, ale widzę...

– Co widzisz? – zapytała zaniepokojona Tallis.

– Że las w nim słyszy zew. Że legenda w nim słyszy wołanie. Że czas, który spędzi z nami, wkrótce dobiegnie końca. Musi wyruszyć pod Bavduin, by połączyć się ze swymi rycerskimi towarzyszami.

Ogarnęły ją mdłości. Spojrzała na horyzont, gdzie widać było wysoką postać Scathacha, który odwrócił wzrok od rzeki, spoglądając na północ.

– Miałam kiedyś wizję twojego syna – powiedziała. – Widziałam ten właśnie moment jego życia, w którym zasłużył sobie na imię nadane mu przez Elethandian: chłopiec, który słucha głosu dębu. Nie jestem gotowa na to, by osiągnął tę chwilę chwały. Jeszcze nie...

Mówiłaby dalej, lecz Wynne–Jones przycisnął nagle dłoń do jej ust. Szarpnęła się do tyłu, zaskoczona gniewem na jego twarzy. Potem uspokoił ją wyraz skruchy, który się tam pojawił. Dłoń opadła.

– Przepraszam – powiedział. – Tak jak i ty, nie jestem gotowy dowiedzieć się, jaki los ostatecznie czeka mojego syna. Odczułbym pokusę ingerencji, a jeśli w coś ingerujemy, zostajemy w to wciągnięci. Uwięzieni... Miałem wiele lat, by się o tym przekonać.

Tallis pochyliła się do przodu, nagle podekscytowana słowami starego. Pomyślała o swym bracie, o uwięzieniu, o pułapce...

– A więc jest możliwe, że Harry wpłynął na legendę? Że znalazł drogę do Lavondyss, zmienił coś i dlatego został uwięziony?

– To bardzo prawdopodobne – odpowiedział po prostu.

– W takim razie, jak mógł mnie zawołać?

– Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym usłyszeć od ciebie historię twego dzieciństwa – odparł stary. – Twoje wspomnienia o Harrym. I wszystko, czego zdołałaś się nauczyć. Miałem jakiś sen o zaniku z kamienia, który nie jest kamieniem...

– Stare Zakazane Miejsce – wyjaśniła Tallis. – A przynajmniej fragment tej opowieści. Wyszepiałam ją do ciebie, gdy spałeś.

– Musisz mi ją opowiedzieć raz jeszcze – mruknął uczony. – Niewykluczone, że widziałem to miejsce. Leży ono daleko stąd, ale sądząc z twoich słów, wydaje się znajome.

Serce zatrzymało się jej na chwilę.

– Byłeś w tym zamku?

Potrząsnął jednak głową.

– Widziałem go tylko z wielkiej odległości. Dostępu do niego broni burza, która by cię zaskoczyła. Nim zatrzymałem się wśród Tuthanachów, zapuściłem się dalej w górę rzeki. Przeszedłem przez wielkie bagno. Było tam jednak za zimno, więc zawróciłem. To miejsce było zbyt dalekie. Zbyt obce. Dla ludzi takich jak ty czy ja, nadchodzi chwila, gdy umysł zostaje

odarty ze wszystkiego, co mityczne. Trudno jest opisać owo wrażenie: to rodzaj zmęczenia, wyczerpania ducha. Czułem się pełen wigoru. Moja praca mnie fascynowała. Zachowałem przyzwoitą potencję... – Potrząsnął głową i uśmiechnął się do swych nie wypowiedzianych wspomnień. – Coś jednak powróciło do gleby i zabrało mnie ze sobą. Zawróciłem więc tutaj, między Tuthanachów. To lud ziemi. Ich legenda jest przerażająca, dramatyczna i niemal bezsensowna. Każdy z nich umrze pogrzebany żywcem i narodzi się ponownie, odnowiony. Oczywiście są częścią mitu. Ty czy ja nie przeżylibyśmy czegoś takiego.

– Tig wspina się na wzgórze od południa. Ma topór – zawołał Scathach z przeciwległego końca ogrodzonego obszaru.

– Zaprowadź mnie z powrotem do domu – wyszeptał Wynne–Jones. – Jestem zmęczony i przemarznięty. Możesz opowiedzieć swe historie w mojej ciepłej chacie. A chcę wysłuchać wszystkich.

Tallis uśmiechnęła się.

– Kiedyś już mnie o to proszono. Wydaje się, że to tak dawno.

– We wspomnieniach z dzieciństwa kryją się stare prawdy – powiedział cicho Wynne–Jones. – Wyrusz dla mnie w tę podróż... a potem zrób nowy Księżycowy Sen. Będę ci służył wszelką możliwą pomocą...

O zmierzchu nad wioską zaczęła zataczać kręgi orzeł. Dzieci naśladowały zachowanie ptaka, wyciągając ramiona. Młodzi mężczyźni rozebrali się i pomalowali na czarno i biało, imitując wzór na piórach drapieżnika, by obdarzyć klan jego myśliwskim wzrokiem.

Podczas gdy wszyscy skierowali oczy na unoszące się w górze majestatyczne stworzenie, Tallis dostrzegła trzepoczące poruszenia bardziej złowieszczych ptaków siedzących na wysokich drzewach rosnących nad rzeką. Jeden z nich pofrunął w kierunku wysokiego, martwego wiązu, którego konary połamały potężne wichry. Zostały tylko dwa, wznoszące się ze szczytu pnia niczym sękate rogi. Były czarne na tle nieba, podobnie jak

sylwetka czarnego bociana, który na nich przycupnął. Wkrótce pojawiło się kilka następnych. Gdy wzbiły się pod wieczorne niebo na północy, wydawało się, że przesłoniły je na długie minuty. Ich głosy słychać było aż w wiosce.

Scathach również dostrzegł ptaki. Podszedł do Tallis, mocniej owijając pierś futrem. Pachniał mocno dymem po długich godzinach, które spędził w chacie, pielęgnując ojca.

– Czy to omen? – zapytał.

Tallis odwróciła się i spojrzała na niego. Dostrzegła w jego oczach przywiązanie i troskę, odniosła jednak wrażenie, że zniknęła miłość, owa intensywność spojrzenia, wzajemna znajomość, która towarzyszyła im przez tak wiele lat, gdy poszukiwali w puszczy tego miejsca.

– Nie wiem – odparła. – Ale czuję się zaniepokojona.

Raz jeszcze spojrzał na ptaki.

– Wszystko kieruje się na północ – wyszeptał. – Wszystko. Czuję się zmuszony również tam wyruszyć.

Skinęła głową na znak zgody.

– Ja też będę musiała tam się udać, jeśli mam odnaleźć Harry’ego. Ale najpierw muszę zrobić nowy Księżycowy Sen.

Scathach zmarszczył brwi, nie rozumiejąc jej. Tallis nigdy nikomu nie opowiadała o swoich maskach.

– Żeby móc zobaczyć kobietę w krainie. Twój ojciec mówi, że powinnam wyrzeźbić nową maskę. Myślałam, że to nie jest ważne, ale możliwe, że jej brak wpłynął na moją umiejętność tworzenia wydrążeń.

– Pomogę ci ją zrobić – zaofiarował się. Jego dłoń spoczęła na jej ramieniu. Tallis z radością owinęła wokół niej palce.

– A co z Morthen? – zapytała uszczypliwie. Dziewczynka wróciła szybciej z polowania, lecz Tallis nigdzie jej nie widziała.

– Jest moją siostrą i w dodatku dzieckiem. Jestem jej bratem z lasu, dopóki nie dorośnie. To wszystko. A gdy osiągnie odpowiedni wiek, mnie

już dawno tu nie będzie.

– Czy ona o tym wie?

– Wie. Poza tym to, co robię z Morthen, robię z uwagi na las w mojej krwi. To, co z własnej woli robię z tobą, robię z miłości.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że wiesz o Gyonvalu.

– Wiedziałem, że go kochałaś. Ale nigdy nie miałem wrażenia, że przestałaś kochać mnie. Uznałem więc, że wszystko w porządku.

– Cieszę się, że to słyszę – odparła Tallis z uśmiechem i skrywanym drżeniem ulgi. – Miałaś rację.

Pochyliła się ku niemu i musnęła wargami zaniedbaną brodę porastającą jego policzki. Objął ją ramionami.

Kącikiem oka dostrzegła gniewne poruszenie. Morthen wybiegła z otoczonego ogrodzeniem obszaru, uderzając po drodze dłonią w rozpięte na ramach skóry. Jej pokryte pasmami gliny włosy powiewały na wietrze. Wydawała z siebie dźwięki przypominające ptasi głos: skrzeczenie ptaka broniącego gniazda przed intruzami.

Tallis wiedziała, z czego zrobi maskę, lecz gdy wróciła na polanę, na której odwiedziła wczoraj rajathuka zwanego Księżycowym Snem, przekonała się, że doszło na niej do katastrofy. Rósł tam teraz wiąz. Jego korzenie, pokryte ziemią i masywne, wiły się przez dębowo-leszczynowy gąszcz na skraju przesieki, leżały na ziemi leniwie niczym węże, swobodnie czerpiąc pożywienie z lasu. Pień był niemal czarny. Głębokie szczeliny w korze gęsto porosły grzyby i mech. Drzewo wznosiło się pod wieczorne niebo. Wszystkim, co zostało z jego połamanych konarów, były trzy dziwaczne, powyginane gałęzie splątane z chmurami. Na polanie panowała cisza. Powietrze wypełniał przytłaczający zapach roślinności, delikatny opar. Światło było ostre, a poczucie mocy owego leśnego mitotworu niemal przerażające.

Okrążyła olbrzymie drzewo dwukrotnie. Znalazła kawałek zniszczonego totemu i podniosła go z ziemi. Poczowała jego suchą, martwą powierzchnię.

Scathach czekał w lesie. W jego oczach widać było zatroskanie. Spoglądał w górę, gdzie czarne bociany poruszały skrzydłami i patrzyły na ziemię, siedząc na nagich jak kość konarach.

– Czy to atak na ciebie czy na ojca? – wyszeptał do Tallis, gdy wróciła do niego.

– Nie wiem. Ale rajathuk jest zniszczony. Miałam nadzieję, że zrobię tutaj maskę – Czy dostrzegasz już jej obraz?

Spuściła wzrok ku fragmentowi zniszczonego posągu i z dreszczem przyjemności zdała sobie sprawę, że dostrzega: obraz kobiety w krainie. Wyobrażenie białego księżyca. Wizję rogów, konia, mądrego uśmiechu, matczynego pocałunku. A także krwi. Obraz płonących kości dziecka. Dzikiej, dosiadającej konia postaci o długich włosach pokrytych białą gliną, okrążającej stos, na którym leżał jej kochanek. Widok kości w ciele, skaleczenia zarośniętego kością, jej ostrych fragmentów, zagojonej rany, zakrzepłej krwi.

I Gyonvala... delikatnego Gyonvala. On również był w wizji: jego śmiech, jego troska, jego prosta akceptacja faktu, że był dla Tallis duchem, że podobnie jak Scathach był cieniem, który wkrótce miał zostać wygnany w nadchodzącą nieuchronnie noc.

Był delikatny, kiedy ją kochał.

Nawet gdy jego zmasakrowane ciało podążyło już za duchem w pogrążoną w mroku puszcze, parę rzeczy przyciągnęło uwagę Tallis: lekko zgięty palec, jak gdyby chciał jej coś przekazać; zaszepiona mina, jakby usiłował zwrócić wzrok ku siedzącej przy ognisku kobiecie; błysk w martwych oczach, łzy mówiące, że pragnie tu zostać.

Podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Scathacha.

– Tak – powiedziała. – Dostrzegam obraz...

Był to fascynujący widok: Tallis wygładziła fragment totemu, by zrobić z niego krąg, spłaszczyć go; przycięła go i ostrugała, by nadać płynność

naturalnym liniom; wyźłobiła oczy i usta; dodała palcami koloru, aby silniej zaznaczyć w masce kobietę w krainie; martwe drewno zaczęło żyć i oddychać.

Przykucnięty w cieniu Scathach przyglądał się temu, lecz jego oczy były skierowane na Tallis, a nie na jej palce, które poruszały się szybko nad amuletem.

– Naprawdę jesteś opętana.

– Tak.

Czerwień na policzki i zieleń w delikatnych liniach, a tu księżyc, zrobiony z białej gliny, a tam krew dziecka. Wszystko uzyskane z barwników i ochr używanych przez Tuthanachów.

– Czy już coś do ciebie mówi?

– Mówiła do mnie przez całe życie...

Tutaj widmo, kobieta w krainie. Tutaj śnieg. Tutaj pamięć. Biała pamięć, namazana, nasmarowana...

„Ziemia pamięta. W śniegu kryje się dawna pamięć”.

I delikatne dotknięcie dla delikatnego zmarłego.

Nie zapomnę cię.

I maska była skończona. Tallis uniosła ją przed siebie, wpatrzyła się w jej oczy, ucałowała wargi, wypuściła przez drewniane usta oddech do krainy nieświadomości leżącej poza lasem. Następnie obróciła swe dzieło i przycisnęła sobie do twarzy.

– Nie patrz na mnie przez jej oczy...

Usiadła w milczeniu, przestraszona słowami Scathacha. Spojrzała przez maskę na Wyn-rajathuka, starego, sponiewieranego człowieka, który z zachwytem obserwował proces tworzenia. Zmrużył oczy, przyjrzał się swemu synowi z ciała i lasu, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Tallis.

– Nie patrz na niego.

– Dlaczego?

– Nie patrz na niego.

– Co zobaczę?

– Nie patrz na niego!

Opuściła maskę. Nagle zadał wiatr. Mały ogień płonący w chacie szamana zamigotał. Zawieszony na sznurkach kamienie i muszle zagrzechotały. Pliki papieru, na których Wyn prowadził swój dziennik, wzbily się w powietrze. Krótki moment ścigającej Tallis zimy wypełnił ciepły dom błyskawicznym dreszczem.

Scathach zniknął. Tallis słyszała, jak wychodzi z chaty. Ciężkie skóry wiszące w wejściu znieruchomiały i ogień zaczął palić się spokojniej.

Wpatrzyła się w maskę. Dotknęła nie wyschniętej farby na jej twarzy niczym kochanka muskająca wilgotną, zaczerwienioną skórę.

– Nie rozumiem tego.

– On odchodzi od ciebie – wyjaśnił cicho Wyn. Pociągnął się za rzadką, białą brodę, po czym mocniej otulił ciemnym futrem przygięte barki. Wyglądał na bardzo chorego i przerażonego. Tallis wiedziała, że obawiał się chłopca: gdzie podziewał się jego syn? Gdzie ukrywał się Tig?

Gdy jednak usłyszała jego słowa, podniosła gwałtownie wzrok. Scathach odchodził? Wyn uniósł palec do warg.

– Przypuszczam, że obawia się, iż prześladowe go to samo widmo, które wezwało pod Bavduin jego przyjaciół, Gyonvala i resztę. Nie chce, żebyś je zobaczyła, być może dlatego, że woli, byś jeszcze nie poznała prawdy.

Zdziwiona Tallis potrząsnęła głową. Wiedziała, że Scathach zmierza pod Bavduin, ale przecież nie był Jaguthinem. Tylko przyłączył się do ich grupy. Dlaczego miałby otrzymać wezwanie, tak jak pozostali?

– Stał się Jaguthinem, gdy jego życie w lesie połączyło się nierozzerwalnym węzłem z ich życiem – wyjaśnił stary. Wziął w rękę swój dziennik i przerzucił kartki, aż znalazł tę, której szukał. Przeczytał ją w milczeniu. Przez chwilę wydawało się, że poda ją Tallis, zmienił jednak zdanie. Dorzucił opału do ognia, aż buchnęły płomienie, po czym sięgnął

ręką za plecy i wziął w nią woreczek z cienkiej skóry zawierający zwęglone kości. Zagrzechotał nimi.

– Poznajesz to?

Tallis skinęła głową. Wyn–rajathuk potrząsnął woreczkiem, uderzył nim o ziemię, a potem o własne barki. Wykonując rytmiczne ruchy, wyśpiewywał cicho pozbawione znaczenia słowa.

Tallis natychmiast zrozumiała, co robi. Wyczuła też, co chciał jej przez to powiedzieć. Cofnęła się w wyobraźni do festynu w Shadoxhurst, tancerzy i bezsensownych słów, które często śpiewali, tworząc swe układy.

Jiggery, higgery, hoggeryjoggeri...

– Ziemia pamięta – wyszeptała. – Ludzie tańczą i śpiewają, toczą walki na kije, a jeden z nich jeździ na koniku i uderza pozostałych pęcherzem wypełnionym kamkami... nie zapominamy...

– Nie pamiętamy tylko powodów – zgodził się Wyn–rajathuk. – W obrządkach odprawianych w Mordzie, Grimley czy gdzie indziej – tańczeniu morrissa czy korowodach świątecznych – nie ma już magii, chyba że z umysłu tego, kto je wykonuje, prowadzi brama do pierwszej puszczy...

Znowu to sformułowanie. Pierwsza puszcza.

–... ile razy jednak przyglądałem się ze śmiechem, jak człowiek na koniku, błazen, dodatek do trupy, szaleje wśród tańczących? Diabeł. Żartowniś. Spryciarz. Sam Stary Kojot. Trickster. Zredukowany w naszych czasach do jeżdżącego na udającym konia kiju błazna wymachującego symbolami zapomnianego szamanizmu. Ten jego aspekt dostrzegamy zawsze, zapominamy jednak, że najpierw musiał być wojownikiem. Jest obcym, a zarazem członkiem grupy. Jako wojownik zginie w bitwie i zostanie wskrzeszony, by stać się mędrce. Trzy funkcje króla. Pamiętasz opowieści o Arturze i jego rycerzach? Artur grał kolejno wszystkie trzy role: myśliwego, wojownika i króla.

Wyn uśmiechnął się, być może przypominając sobie owe legendy bądź coś związanego z nimi, co napotkał w lesie.

– To pewne, że mój syn otrzymał wezwanie – wyszeptał. – Był myśliwym. Gdy dotarł do Anglii, w pewnym sensie umarł. Teraz jest wojownikiem. W przyszłości czeka go śmierć i zmartwychwstanie w roli szamana. Jego lot na skrzydłach pieśni i snu nastąpi dopiero za wiele lat...

– Mnie już tu wówczas nie będzie – stwierdziła Tallis. Pochyliła się do przodu i przesunęła dłonią przez palący się w małym palenisku ogień, pozwalając, by jego blask i ciepło pobudziły starożytny element jej jaźni.

Pierwsza puszcza... gdzie była pierwsza puszcza?

– Toczą we mnie wojnę dwa przekonania – powiedziała z wahaniem, nie wiedząc dokładnie, jak to sformułować. – Czuję się pewna, że odnajdę drogę do domu. I śnię o śmierci na wielkim drzewie... w ogniu... czy to jest pierwsza puszcza?

– Znajdujesz się na jej skraju – odrzekł Wyn–rajathuk. Wyraz jego okaleczonej twarzy, lekka nerwowość w zdrowym oku, kazały Tallis podejrzewać, że coś przed nią ukrywa. Nie wyraziła jednak komentarza.

– Przebywałaś na nim przez całe życie – ciągnął. – Przekraczałaś jeden próg za drugim i coraz bardziej zbliżałaś się do środka królestwa, do serca lasu. Do Lavondyss. Czeką cię jednak jeszcze podróże i będzie ona straszliwa. Co prawda, zaprowadzi cię do domu, ale zarazem zawiedzie cię dalej od niego, niż mogłabyś sobie wyobrazić. Będziesz wędrować w dwóch kierunkach jednocześnie. Zapewne czeka cię śmierć. Do pierwszej puszczy nie wkracza się dla zabawy czy w poszukiwaniu przygód. Kiedy już tam się znajdziesz, nie licz na to, że wrócisz.

– Harry tam jest. W nieznannej krainie. Obiecałam, że go uwolnię.

– Nigdy tego nie dokonasz. Nie w taki sposób, w jaki zamierzasz. Z nieznannej krainy nie ma powrotu.

Milczała przez chwilę. Dręczył ją głód. Niedaleko słychać było śpiew kobiety, cichy na tle coraz silniejszego wiatru. Nagle rozległ się inny dźwięk: głos chłopca krzyczącego co sił w płucach. Wrzask sprawił, że po grzbiecie Tallis przebiegły ciarki. Wyn–rajathuk pobleadł jeszcze bardziej,

wyprostował się i skierował z niepokojem wzrok na zewnątrz, w kierunku wzgórza pogrzebowego. Wyzwanie Tiga obróciło się w śmiech niosący się w lodowatym nocnym powietrzu. Można było usłyszeć, jak woła starego, wykrzykując jego imię szyderczym tonem, przywołując jego sny, krzycząc, że chce je zjeść.

– Nie wejdzie na teren wioski – uspokoiła Wynne–Jonesa Tallis. – Nie zbliży się do chaty. Wszystkie rodziny mają go na oku. Przepędzą go.

Wyn zadrzał gwałtownie i ponownie pochylił się, by ogrzać się w ciepłym żaru paleniska. Po chwili uspokoił się. Tallis znowu zaczęła go wypytywać.

– Mam wrażenie, że chcesz powiedzieć, iż pierwsza puszcza istnieje tylko w wyobraźni. Że nie dojadę tam na koniu, nie otworzę wydrążenia ani nie przejdę przez jaskinię, lecz muszę odnaleźć punkt, z którego rozpocznę podróż do wewnątrz. Jak mam to zrobić?

– Przez swoją opowieść o Starym Zakazanym Miejscu. Przez zamek.

– A gdzie on jest?

– Już go widziałeś. Kiedy otworzyłeś wydrążenie. Za bagnem. Znałeś go przez całe życie...

Tallis ponownie poczuła się zbita z tropu. Była pełna niedowierzania: dziwna reakcja w świecie, gdzie spotykało się duchy, a cienie rzucały skuteczne zaklęcia.

– I natrafiłam na niego przypadkowo? Nie potrafię w to uwierzyć.

– Nie przypadkowo. Szukałeś go od ośmiu lat. Musiałeś go znaleźć.

– Czy to znaczy, że go wyśniłam? Jak mogłam go wyśnić w wieku sześciu lat? Dlaczego zobaczyłam go w opowieści? Kim były gaberlungi, które potrafiły mi opowiedzieć o zamku, o którym – jak się okazuje – wiesz wszystko? Jak to możliwe, że ujrzałam w wizji twojego syna Scathacha i nazwałam kraj, o którym marzyłam w dzieciństwie, Krainą Ptasich Duchów, a przybywszy tutaj, przekonałam się, że wiesz wszystko o Krainie Ptasich Duchów i Bavduin? Do tego twoje totemy noszą te same imiona co moje maski, chociaż sama je nazwałam! Dlaczego łączy nas taka więź?

Wyn–rajathuk wrzucił do ognia trochę patyczków, pozwalając, by nerwowe, natarczywe pytania Tallis ucichły. Jego blada skóra lśniła. Uśmiechnął się.

– Ależ za pośrednictwem twojego brata, Harry’ego. Jakżeby inaczej? Myślałem, że już ci o tym mówiłem. Odnalazłaś go wiele lat temu! Odnalazłaś go i wkroczyłaś na jego obszar. Rozejrzyj się wokół siebie. Wszystko tu jest Harrym. Wszystko. Las, rzeka, Tuthanachowie, ptaki, kamienie, totemy... Pierwsza puszcza, którą narzucił na świat, w którym żyję, a przez który ty podróżujesz. Rzeczywistość, w której oboje istniejemy, nie jest naturalna, lecz pochodzi z umysłu! Od lat przebywasz pod czaszką swego brata. Po prostu nie nauczyłaś się jeszcze z nim rozmawiać.

– Ale on jest uwięziony – sprzeciwiła się Tallis. – Zawołał mnie z zimowej krainy. Wezwał mnie. Mogę go znaleźć. Nie tylko umysł, lecz również ciało.

Wyn–rajathuk zastanowił się nad jej słowami, po czym powoli potwierdził.

– Nie jest to podróż, którą chciałbym odbyć. Ty jednak to nie ja i pomijając mroczne wiązy, nie dostrzegłem wielu przejawów wywołanej przez ciebie genezy. Być może wędrujesz za szybko. Nie jesteś jednak jeszcze wyssana, a to oznacza, że jest w tobie twórcza energia. Niewykluczone, że uda ci się znaleźć miejsce, w którym spoczywają jego doczesne szczątki.

– Mroczne wiązy? – zapytała Tallis, marszcząc czoło. – Te olbrzymie drzewa? Myślisz, że to moje mitotwory?

– Z całą pewnością są twoje. To niezwykle formy mitotworowe. Rzecz jasna, są stare. Reprezentują strach przed lasem, mity dotyczące powstania ptaków, a także połączenie między ziemią a niebem tworzone przez grube pnie drzew...

Zachichotał sam do siebie.

– Tallis Keeton nie interesują zwykłe legendarne istoty. Podczas gdy inni tworzą Robin Hoodów, Zielonych Jasiów i złotowłose księżniczki, ty obdarzasz istnieniem żywą ziemię. Tak samo jak Harry. Czerpiesz z bardziej starożytnego, potężniejszego źródła energii niż ja, Huxley czy obaj chłopcy, jego synowie, Christian i Steven. Bóg jeden wie, co się z nimi stało.

Pogrzebał kijem w ogniu, wypełniając chatę ciepłem.

– Ale to nie należy do sprawy. Ty i twój brat Harry... pod pewnymi względami jesteście tożsami. To jedyne przychodzące mi do głowy wyjaśnienie zbieżności występujących w opowieściach, które od ciebie usłyszałem. Mówiłaś, że gaberlungi są mitotworami twojego dziadka. Moim zdaniem to niemożliwe. Jelenia o połamanym porożu znano od lat. Wysłał go Harry! Był fragmentem jego umysłu stworzonym po to, by wędrował przez skraj lasu i odnalazł wybawcę. Wydaje się, że to twój brat zaprowadził cię do lasu. Ale takie duchowe podróże kosztują wiele. Poświęcił część własnej siły, by wysłać się do ciebie w ten sposób. Jego podróż z nieznannej krainy musiała być przerażająca. Fragment duszy pędzący przez las bez pomocy skrzydeł czy płetw... przybył za wcześnie... To znaczy, że owe trzy kobiety również były jego mitotworami, a zatem były nim samym. Przyniosły ci wizje i uzdolnienia z prymitywnej epoki, w której zabłądził. Musisz pamiętać, że gaberlungi są rzeczywistymi elementami legendy. Mogą wykonywać jedynie swą legendarną funkcję nauczycielek magii. Dzięki nim nauczyłaś się otwierać bramy między epokami i światami, przekraczać progi, co już od wielkich dni łowców było domeną szamanów. Nauczyłaś się robić lalki i maski, proste wyroczenie, prostą magię ziemi. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Harry jest z tobą związany przez krew, umysł i rodzinę. Kobiety uformowały się z niego, lecz w niewielkiej części również z twojego dziadka i z ciebie. Dziadek był za stary, ale wiedział to, czego ty się dowiedziałaś. To właśnie wynika z twoich słów. I dlaczegóż by nie? Harry zostawił swój znak na wszystkim,

na przykład na totemach. Jego mitotwory przybierają kształty, które, rzecz jasna, potrafisz rozpoznać. Od chwili, gdy opuścił wasz dom i wyruszył w podróż, zostawiał za sobą ślad, po którym możesz zmierzać: nie z kamyków, chleba czy kolorowych paciorków, lecz ze wspomnień i obrazów – jak krew, jak zapach; coś, o czym zawsze wiedziałaś, mimo że często wydawało ci się, że tego nie rozpoznajesz.

– Chcesz powiedzieć, że nie tyle szukam Harry’ego, co on przyciąga mnie, jak rybę na wędce...

– Tak. To jedyna odpowiedź, która wydaje mi się sensowna.

– Wysłał kobiety, żeby mi pokazały, czego mam szukać. Przybyły zbyt wcześnie, ponieważ w tym świecie czas płynie dziwnie. Czekają na mnie. Żeby mi pokazać, czego mam szukać.

Wyn–rajathuk roztarł w dłoniach popiół i wpatrzył się w szare, rozmazane linie.

– Tak.

– A Scathach? Twój syn? I Bavduin? Czy to również część Harry’ego?

Wynne–Jones zmarszczył brwi.

– Nie wydaje mi się to możliwe.

– W takim razie jaki jest ich związek z tym, co mnie spotkało? Skąd wzięła się łącząca nas więź?

Jeśli nawet Wynne–Jones znał odpowiedź na to pytanie, nie miał czasu się nią podzielić. Nagle świat na zewnątrz zaczął krzyczeć. Staruszek złapał za laskę i kamienny nóż. Jego twarz wyrażała strach, gdy spojrzał na skóry w wejściu.

– To Tig... To jego magia...

Tallis szybko wyszła na zewnątrz, poszukując wzrokiem chłopca. Serce jej waliło w reakcji na dobiegające z lasu straszliwe zawodzenie.

Uschnięte drzewa były teraz bliżej osady. Otoczyły polanę i porośniętą tarniną wzgórze, zgromadzone tam kości i drewnianych bożków. W porożach owych drzew zebrały się leśne ptaki, zgromadzone na rosochach.

Z tych martwych kończyn krzyczały do księżyca, dziobiąc połamane wichrem kikuty w miejscach, gdzie zima odarła z gałęzi owe pnące się w górę giganty, dodając własny gniew do krzyku płynącego z porozszczepianej, butwiejącej kory.

Tuthanachowie odpowiedzieli wrzaskiem, grzechotaniem kośćmi i biciem w bębny. Biegali wzdłuż wioskowej palisady, trzymając w rękach migoczące na wietrze pochodnie. Dwadzieścia żagwi paliło się w rozświetlonym księżycem mroku, tworząc obronny krąg. Kobiety uderzały o częstokół pasami pomalowanej skóry. Dzieci rzucały w noc kamienie. Powietrze wypełniła silna woń ziół, które palono, by odstraszyć żywiołaki.

Na ciemnym niebie kołowały ptaki. Drzewa kołysały się, a ziemia drżała od ich ruchu. Gdy chmury stały się rzadsze i przebiło się przez nie jasne światło księżyca, wydało się, że uschnięte konary wiązów kiwają się w przywołującym geście. Były wzniesionymi ramionami pierwszych szamanów, połamanymi rogami pierwszego jelenia, zniszczonym wspomnieniem najsroźszej zimy. Tallis próbowała sobie powiedzieć, że to tylko chmury się poruszają, lecz gdy pomyślała o swym Księżycowym Śnie, odniosła wrażenie, że wiązy skradają się po to, by zmiażdżyć właśnie ją.

Noc wrzasków. Wiatr skrzydeł. Niedostrzegalne trzepotanie i kołowanie czarnych stworzeń, nadal wściekłych na kobietę, która ongiś je wygnała.

Przez całe życie uciekała przed zimą. Nie zdawała sobie sprawy, jak blisko za nią są ptaki, śnieg i martwy las.

Przez linię pochodni przemknęła mała, biała postać, która podbiegła szybko do otaczającego wioskę ziemnego wału. Był to, rzecz jasna, Tig. Nie miał ubrania. Lodowaty wiatr szaleńczo targał jego włosami. Śpiewał dziecinnym głosem i wymachiwał wokół głowy jakimś przedmiotem. Nagle przestał to robić i coś odbiło się ze stukiem od palisady. Po ciele chłopca spływała krew pochodząca z kilku zadanych przez niego samego ran na piersi i ramionach. Gdy przemknął szybko przed płomieniem, Tallis

dostrzegła przelotnie pokrywające go zadrapania. Pomyślała, że musiał przebiec przez gąszcz ciernistych krzewów rosnących między wioską a zawłaszczonym przez niego terenem na wzgórzu.

Przykucnął przed bramą i rozsmarował na ścieżce trochę pokrywającego mu ciało błota. Roześmiał się na całe gardło, tonem wymuszonym, lecz mimo jego bezradności brzmiącym szyderczo. Następnie znowu zerwał się do biegu, wpadając w oświetlony przez pochodnie obszar i wypadając z niego. Kręcił procą, której pocisków nie sposób było dostrzec, gdy wlatywały na teren wioski.

Zatrzymał się przed stojącą na umocnieniach Tallis, która przyglądała mu się między czubkami pali. Powoli i z rozmysłem przesunął dłoń przez płomień najbliższej pochodni, ani na chwilę nie spuszczać z oczu kobiety. (Obserwował ją, gdy przebywała w chacie szamana! Był aż tak blisko! A ona mówiła Wynne–Jonesowi, że nie ma się czego obawiać. Chłopiec naśladował jej własną „zabawę” z ogniem. Widział ją!) Tallis była napięta, gotowa się uchylić, gdyby do niej strzelił. Tig jednak zaczął śpiewać posępnym, melodyjnym tonem: – Gdzie jesteś, mój ojczy? Chodź do mnie, stary rajathuku. Łaknę twych snów, starcze.

Jego głos stawał się stopniowo coraz donośniejszy. Początkowo był niemal niesłyszalny na tle dobiegającego z lasu zawodzenia, potem przebijał się przez nie, aż wreszcie stał się wyraźny.

Łaknę twoich snów. Chodź do swego syna z lasu. Przyjdź natychmiast...

Gdy Tallis udała się pośpiesznie do długiego domu, gdzie schronił się Wynne–Jones w poszukiwaniu pełnego bezpieczeństwa, zobaczyła, że stary skulił się w kącie i dygotał gwałtownie, z ciałem owiniętym w skóry i płaszcz z ptasich piór. Twarz zlewał mu zimny pot. Rozdrapał sobie ranę, którą uprzednio zadał mu Tig. Krew i żółty płyn wsiąkały w pierzastą krezę.

– Będziesz ze mną bezpieczny – zapewniła go Tallis.

– Gdzie jest mój syn? Gdzie jest Scathach?

– Znajdę go. Na razie trzymaj się ciepło. Będiesz ze mną bezpieczny. Nie dopuszczę Tiga blisko ciebie.

Wyn–rajathuk uśmiechnął się blado. Jego zdrowe oko błyszczało.

– Biedny Tig. Robi to, co musi. Ale ja już nie mam snów, które mógłby zjeść. Wszystkie zniknęły. Znacznie lepiej by się pożywił, gdyby połknął ziemię...

Tallis wyszła na zewnątrz i zawołała młodego myśliwego. Scathach odpowiedział jej, wychodząc z domu dzieci. Wyglądał na zdezorientowanego i bardzo zaniepokojonego. Szukał Morthen, chcąc ją ochronić przed gwałtownym przyrodnym bratem, lecz nigdzie nie można jej było znaleźć.

Stojąc na umocnieniach, obserwowali, jak Tig raz jeszcze okrążył wioskę. Biegł, klucząc między pochodniami. Jego ciało przypominało porcelanę o czerwonych żyłkach, było niemal przezroczyste, niemal kruche. Ziemia zadrżała. W zimowym powietrzu załopotwały skrzydła.

Tig stał się szamanem. Jego śpiew przepełniał strachem serca słuchających rodzin, a także umysł starego, umierającego człowieka, który był jego ojcem. Wyn–rajathuk nie przestawał drzeć, nawet gdy zasnął, strzeżony przez jednego z Tuthanachów. Jego usta otwierały się i zamykały, jak gdyby usiłował zaczerpnąć tchu niczym umierające zwierzę, z którego zadanej nożem ofiarnika rany wypływała krew.

Po dłuższej chwili spędzonej na obserwacji ataku i wsłuchiwaniu się w dobiegające z lasu skrzeczenie, Tallis miała dość. Znalazła ciężką laskę, dźwignęła ją i ruszyła ku bramie, by wyjść na zewnątrz i przegnać Tiga do jego królestwa. Gdy jednak Scathach ją zawołał, wróciła na wały.

Z lasu wyłonił się nagle czarny jeździec, który pogalopował bezgłośnie w stronę chłopca, wymachując trzymanym w ręku ciernistym krzakiem. Gdy postać otworzyła usta i wrzasnęła, Tallis poznała, że to Morthen. Uderzyła brata w głowę, aż zapiszczał z bólu. Nie mógł użyć procy. Gdy osłonił się ramionami, smagnęła go w blade siedzenie. Kiedy złapał się za

pokaleczone pośladki, połaskotała jego brzuch. Wkrótce chłopiec, który był szamanem, umknął z wrzaskiem gniewu w stronę wzgórza, do domu pogrzebowego i zapewniających bezpieczeństwo kości. Po drodze chwycił pochodnię. Tallis patrzyła, jak jej płomień, podskakując i klucząc, oddala się w ciemność. Wkrótce zniknął między drzewami.

Morthen kopnęła dzikiego konia i pogalopowała w stronę ziemnego wału. Twarz miała czarną. Poczerniała sobie również kończyny i wąską pierś. Jej włosy pokrywały białe smugi. Założyła starą, wystrzępioną tunikę, której resztki zwisały z jej talii i ramion. Tallis zastanawiała się, czy dziewczynka również dokonała jakiegoś samookaleczenia. Panowała nad koniem za pomocą kawałka sznurka i robiła to skutecznie. Zwierzę parsknęło, a potem podeszło dumnie do bramy.

Morthen wjechała na teren wioski, ignorując łopoczące wokół jej głowy widmowe skrzydła. Widoczne na czarnym tle barw wojennych oczy miały dziki wyraz. Okrążyła dwukrotnie Tallis, patrząc na nią z góry. Nie dotknęła ani nie pozdrowiła starszej kobiety, lecz tylko przesywała ją twardym, pogardliwym spojrzeniem. Następnie podjechała do Scathacha, który stał ze skrzyżowanymi rękoma i przymrużonymi oczyma, patrząc na siostrę. Ta pochyliła się na koniu. Nie wzdrygnął się, gdy złapała go za długie włosy i potrząsnęła jego głową z boku na bok. Nawet się lekko uśmiechnął.

– Mój brat z lasu! – oznajmiła głośno.

– Moja siostra! – odpowiedział bezbarwnym głosem. Patrzył na nią, nadal pozwalając, by trzymała go brutalnie za włosy.

– Zaczekaj na mnie! – poleciała gniewnym tonem. – Zaczekasz na mnie?
Scathach zmarszczył brwi.

– Dokąd jedziesz?

– Dorosnąć! – odkrzyknęła dziewczynka. – Dogonić cię wiekiem!

Jej koń stał się nagle niespokojny. Spróbował się cofnąć, lecz Morthen pogoniła go kopniakiem naprzód i szarpnęła głowę brata do tyłu, by spojrzeć mu w oczy. Ręce wciąż miał skrzyżowane.

– Zaczekasz na mnie? – krzyknęła raz jeszcze, tonem raczej stwierdzenia niż pytania.

Scathach nie powiedział nic. Wyciągnął ręce i odepchnął od siebie jej dłonie.

– Chyba nie będę mógł – stwierdził. – Ale jeszcze się spotkamy. Jestem tego pewien.

Morthen zawahała się, po czym uderzyła brata w ramię zaciśniętą pięścią. W odpowiedzi klepnął ją w udo i uśmiechnął się do niej, lecz dziewczynka cofnęła nagle konia, zawróciła go i z pożegnalnym okrzykiem wypadła galopem przez bramę. Popędziła w stronę rzeki i wjechała między drzewa, w ciemność.

Ptaki podążyły za nią do puszczy.

W chwilę później w niespokojnym dotąd lesie zapadła cisza. Nocne głosy umilkły, a powietrze, przez tak długi czas pełne skrzydeł, znowu stało się puste. Wynne–Jones jadł rosół. Obudził się z krótkiego snu pełnego koszmarów, po których czuł się chory i wyczerpany. Ręce, trzymające łyżkę z jeleniego poroża, drżały. Scathach przykucnął tuż obok niego, na wpół świadomy obecności ojca, na wpół zatopiony w myślach.

Starego całkowicie załamała wiadomość o odejściu Morthen. Dziewczynka wyruszyła na poszukiwania miejsca, w którym mogłaby szybciej dorosnąć. Scathach, jak dowiedziała się Tallis, odrzucił awanse, które czuła się zmuszona mu czynić. Chciała zostać z bratem, lecz nazwał ją dzieckiem i powiedział, że to Tallis jest kobietą, którą kocha. Morthen wzięła sobie oba te stwierdzenia do młodego serca. Pomalowała ciało na czarno na znak poczernienia ducha.

– Jak przedostanie się przez bagna? – zapytała Tallis. Wyn–rajathuk popatrzył na nią, po czym przekrzywił głowę, gapiąc się w płonący w palenisku ogień.

– W Morthen jest coś z ptaka... może nad nim przeleci? Kto wie? Istnieje wiele sposobów na pokonanie mokradeł.

Na zewnątrz rozległ się krzyk. Skóry w wejściu rozchylono gwałtownie i do rozjarzonego ogniem mroku zajrzała niespokojna twarz Pierwszej Świni Lata.

– Pali się. Na wzgórzu – oznajmił.

Tallis pomogła Wynowi się podnieść. Wyszli razem na zewnątrz.

Na wzgórzu pogrzebowym widać było unoszące się w noc płomienie. Dziesięć ich smug lizało chmury.

– Rajathuki... – wydyszał wstrząśnięty Wynne–Jones. – Pali totemy.

Zaintrygowana Tallis zostawiła na chwilę starego i zapuściła się w las. Wyszła z niego u podstawy wzgórza i podniosła wzrok ku płonącym jasno stosom na cruig–morn. Zobaczyła Tiga, który stał na otaczającym wzgórzu wale z ramionami rozłożonymi na boki, a głową odrzuconą do tyłu. Był jedynie sylwetką widoczną na tle gorejących płomieni, lecz Tallis miała pewność, że jego usta są otwarte i że śpiewa.

Ogień palił się przez całą noc, oznajmiając puszczy, że era rajathuka dobiegła końca. W krainie zjawiała się nowa moc. Zwoływała teraz swe siły, które tańczyły w dogasających ogniach, rozsypywały kopniakami popiół, wznosiły się po spirali pod nieboskłon niesione wirami dymu, tańczyły z płasającym chłopcem.

Ów sygnał odebrał również ktoś inny...

Na krótko przed świtem Tallis obudził odległy głos myśliwskiego rogu. Przez chwilę czuła się zdezorientowana. Scathach siedział obok niej. Oddychał cicho, wsłuchując się w dźwięk. Róg zabrzmiał raz jeszcze. Zagrał cztery tony, którym odpowiedziały cztery następne.

Natychmiast zerwali się na nogi i obudzili Wynne–Jonesa oraz pozostałych mężczyzn w domu. Ci złapali za proce, kije, dzidy i kamienie.

Tallis wyszła na zewnątrz pierwsza. Było jeszcze dość ciemno. Psy biegały, ujadając, podekscytowane paniką, która nagle ogarnęła wioskę. Dzieci, obudzone przez matki, płakały i zawodziły, gdy prowadzono je pośpiesznie z małych chat do głównego domu, by tam je ukryć.

Pierwsza Świnia Lata i pozostali podbiegli do palisady i popatrzyli na skraj lasu. Scathach podszedł do bramy, by się upewnić, że jest dokładnie zamknięta. Tylko Tallis stała spokojnie z płaszczem zarzuconym wokół ramion i włócznią o żelaznym grocie w obu dłoniach. Patrzyła na wielkie wiązy, lecz nie dostrzegła tam żadnego ruchu. Potężne drzewa były teraz spokojne, choć siedzące na nich ptaki poderwały się na chwilę do lotu, a potem wróciły na miejsce.

Na skraju lasu coś poruszyło się ukradkowo.

W powietrzu rozległ się lekki syk, gdy Tuthanachowie zakręcili procami. Scathach krzyknął, nakazując im zachować ciszę. Nad wioską zapadło niesamowite milczenie. Głosy kobiet uspokajały dzieci. Psy skomlały, lecz nakładano im kagańce. Tylko Pływająca po Jeziorach nie chciała się uciszyć. Parskała niespokojnie i grzebała kopytem w ziemi. Tallis podeszła do prowizorycznej zagrody i wypuściła zwierzę. Pogłaskała poobijany pysk i poklepała po bokach, a potem podprowadziła do bramy. Scathach otworzył ciężkie drewniane wrota i Tallis pośpiesznie obdarzyła konia wolnością, pozwalając, by potruczał na południe, daleko od źródła zamieszania. Wkrótce klacz zniknęła w cieniu drzew.

Róg zabrzmiał po raz trzeci, pojedynczym tonem, długim i żałobnym. Tuthanachowie ponownie zakręcili procami. Scathach odrzucił na bok ciężki płaszcz. W rękach trzymał włócznię o grocie z brązu oraz ciężki saski miecz, który zdobył w walce kilka lat temu. Większość tubylców miała broń z kości i gładzonego kamienia.

Z rosnącego bliżej rzeki lasu wyłonił się kłusem jeździec, który zwrócił się bokiem do palisady i poddał oględzinom niskie umocnienia, posuwając się miarowo stępa wzdłuż linii drzew: najpierw kilka kroków w jedną

stronę, a potem w drugą. Gdy zrobiło się jaśniej, Tallis dostrzegła jego ozdobiony grzebieniem z kolców hełm oraz matową skórę napierśnika. Miał krótkie spodnie w kratę oraz czerwonawą bluzę. Na nogi założył buty z metalowymi okuciami, a na ramiona krótki płaszcz. Tallis знаła ten strój aż nazbyt dobrze. Przyjrzała się przybyszowi, po czym przeniosła wzrok na Scathacha i uśmiechnęła się. Włócznia intruza była wsparta o łąk siodła. W długim, wygładzonym grocie lśniło pierwsze światło poranka.

Scathach już w tej chwili zazdrościł wyglądu widocznemu na tle drzew wojownikowi.

Po kilku minutach bezgłośnie kontemplacji mężczyzna uniósł do warg zakrzywiony róg i zadał w niego trzy razy.

– Teraz! – krzyknął Scathach. Tallis poczuła suchość w ustach. Nagle zaczęła widzieć bardzo wyraźnie.

Korony drzew eksplodowały natychmiast skrzeczącym ptactwem uciekającym przed zamieszaniami, które rozpętało się na dole. Ośmiu jeźdźców wypadło galopem z ukrycia i pomknęło z tętentem kopyt przez oczyszczony z drzew teren w stronę osady. Po drodze wydawali z siebie niskie, szczekające dźwięki. Nie były to okrzyki wojenne. Miały jedynie dodawać odwagi koniom. W rękach dzierżyli włócznie i topory. Tylko dwóch miało hełmy. Na niektórych lśniła metalowa zbroja. Pobrzękiwały kolczugi. W przeważającej części pokrywała ich dziwaczna, niedobra mieszanka skór, pancerzy i futer. Jasne włosy powiewały na wietrze, a wystrzępione płaszcze wydymały się, gdy rozpostarli szyk, by okrążyć ziemne wały. Banda napastników nie była zbyt barwna.

Proce Tuthanachów zakręciły się ze świstem. Dwóch jeźdźców zleciało z końskich zadów. Włócznie uderzyły o drewno. Tętentowi kopyt towarzyszyły ostre, gardłowe krzyki. Wódz podjechał pod bramę. Jego wierzchowiec, potężny, kary ogier, stanął dęba i uderzył kopytami w bramę, obalając ją.

Napastnik wrzasnął jeden raz i popędził konia kopniakiem. Na spotkanie wybiegł mu Pierwsza Świnia Lata. Proca chybiła celu, jeździec uderzył mieczem i Pierwsza Świnia padł na kolana, trzymając się rękoma za gardło. Biegając w jego stronę, przerażona Tallis pomyślała bezsensownie, że wygląda, jakby się modlił. Wódz zawrócił, zamachnął się raz jeszcze i Pierwsza Świnia przewrócił się na bok, z czaszką rozplataną nad uchem. Jego ciemny strój z kozłej skóry lśnił od krwi. Ozdobiony grzebieniem hełm wojownika błysnął w świetle poranka, gdy napastnik zawrócił i runął w stronę Tallis.

Ta zamarła na jego widok. Przez moment zdawało jej się, że szarżuje na nią sam Scathach. Jej umysł wypełniały widziane przez nią z dębu wizje identycznie ubranego młodego mężczyzny, który wykrwawiał się na śmierć...

Kary ogier był tuż przy niej. Brodata twarz jeźdźca uśmiechnęła się. Odchylił się i cofnął rękę, w której trzymał włócznię. Lśniący grot z brązu zakołysał się, zbliżając się do Tallis, która została odepchnięta w bok. Oręż przeciął jej włosy. Rumak zarżał, zawrócił i wzniósł się nad nią, lecz Scathach był na miejscu. Pochwycił drzewce włóczni. Napastnik i myśliwy zaczęli się szarpać. Jeden z całej siły ciągnął w górę, a drugi w dół.

Tallis słyszała wokół siebie stukot drewna uderzającego o drewno, krzyki, wrzaski i gorączkowe ujadanie psów biegających wśród chaosu kopyt i nóg.

Krew trysnęła jej w twarz. Krew Scathacha. Chwiał się na nogach. Rana w jego barku była płytka, lecz cios oszołomił go na chwilę. Trafił go czubek grotu włóczni. Gdy zakrwawiony oręż z brązu obrócił się w jej stronę, Tallis odbiła uderzenie, złapała obutą nogę jeźdźca i dźwignęła ją tak, że spadł z siodła.

Runął ciężko na ziemię. Stanęła nad nim z włócznią wymierzoną w dół, lecz wcześniej w głowę uderzył go kamienny topór. Oczy zasły mu mgłą, a wargi się rozchyliły. Osunął się powoli na prawy bark. Scathach

odepchnął Tallis na bok, akurat na czas, by uniknęła ciosu kolejnego napastnika. Kamień z procy zrzucił go z siodła, a Scathach przebił włócznią. Gdy ponownie spojrzała na wodza, ten siadał powoli, sięgając po miecz. Scathach zaszedł go szybko od tyłu, zamachnął się z całej siły trzymanym w obu dłoniach własnym mieczem i ściął mu głowę jednym uderzeniem.

Brama wróciła na miejsce, podniesiona przez dwie kobiety Tuthanachów. Czterem jeźdźcom uwięzionym na terenie wioski przeszkadzały psy, które biegały między końmi, sprawiając, że te wierzgały i stawały dęba.

Tallis poczuła powiew na twarzy, gdy obok przemknął kamień. Na wszelki wypadek przykucnęła. Jeźdźcy padali na ziemię jeden za drugim, lecz sami również zadawali straty: trzech mieszkańców wioski leżało w kałużach krwi, a jednego w panującym zamieszaniu oślepił strzał z procy. Kimkolwiek jednak byli napastnicy, nie spodziewali się, że spotkają się z kamieniem, i to kamień odniósł zwycięstwo w walce z metalem ich groźniejszej broni.

Scathach zdarł szaty z wodza. Tallis patrzyła na niego, wsparta na włóczni. Powąchał spodnie i zmarszczył nos. Ściągnął skórzany napierśnik, a potem bluzę, strząsając ręką krew. Zdjął również buty. Poddał oględzinom hełm z ciężkim grzebieniem oraz futrzany otok biegnący wzdłuż jego brzegu. Cios przeciął go i uszkodził osłonę policzka. Gdy jednak Scathach go założył, przez chwilę wyglądał jak księżę.

Uśmiechnął się do Tallis i zdjął hełm. Wziął w rękę miecz zabitego i przypiął sobie pochwę w talii, na ciężkim futrze.

Gdy zbliżył się do swej towarzyszki, niosąc łupy, w jego oczach widniał dziwny wyraz. Podekscytowało go krwawe starcie. Zdawał sobie sprawę z obecności kobiety, lecz wyobrażał sobie jeszcze większe bitwy. Jego oddech przypominał niemal dyszenie myśliwskiego psa.

– To ubranie lepiej się nada do tego, co czeka nas na północy.

– Tam będzie zimniej.

– Chodziło mi o walkę. – Uniósł szaty wojownika. – W jej żarze nie będę potrzebował futrzanych nogawic.

Tuthanachowie zebrali swych poległych. Wynne–Jones, wsparty na ramieniu młodszego mężczyzny, przyjrzał się trupom, które ułożono na bokach z lekko zgiętymi kolanami i twarzami zakrytymi dłońmi. Zapadła niesamowita, niespodziewana cisza. Nie było słyhać zawodzenia, bicia w bębny ani łkania. Rodziny ustawiły się w kręgu, spoglądając na szczątki swych mężczyzn. Nawet psy się uciszyły.

Tallis wpatrzyła się w dal, gdzie niebo pojaśniało, przybierając piękne, tęcze, ciemnoniebieskie barwy nowego dnia. Była już pewna, że będzie on ostatnim, który tu spędzi. Dym ze spalonych rajathuków nie przestawał wzbijać się pod niebo. Nagle pojęła przyczynę niezwyklej ciszy, która ogarnęła klan.

Wyn–rajathuka opuściła moc. Nie było sposobu, by pochować zmarłych. Jeśli chcieli to zrobić, będą musieli wezwać Tiga. Tiga–en–cruig. Tiga Nigdy Nie Dotknie Kobiety Nigdy Nie Dotknie Ziemi.

On stał się teraz mocą. Ogłosił to w nocy. Wsłuchana w ciszę Tallis zdała sobie sprawę, że Wynne–Jones szepcze coś do Starej Kobiety Która Śpiewała Do Rzeki. Ta słuchała go z ponurym wyrazem twarzy. Następnie odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Jej usta się otworzyły i po kilku chwilach rozległo się dziwne zawodzenie, okrzyk rozpacz i śmierci.

Wynne–Jones uwolnił się od podtrzymującego go ramienia i podszedł do Tallis. Popatrzył na zbroję Scathacha, dotknął drobnej rany na ramieniu syna, spojrzął w jego twarz i dostrzegł odległy, nieobecny wyraz, który się tam pojawił.

– I co się teraz stanie z tymi ludźmi? – zapytała go Tallis.

Wyn potrząsnął głową, po czym przesunął wzrokiem po kręgu mieszkańców oraz zawodzącej staruszce.

– Przywołują Tiga. Musimy stąd zniknąć, nim się zjawi. Jeśli każe im mnie zabić, zrobią to. Powiedziałem im, że moja moc się wyczerpała. Że nowym strażnikiem progu jest Tig. Rytuały, które stworzy, staną się ich rytuałami. Dopóki do nich nie przyjdzie, nie mają pojęcia, co robić.

W rzeczy samej, nim stary skończył mówić, Tallis zauważyła krótkotrwałe poruszenie w rosnącym pod wzgórzem lesie. Przez chwilę myślała, że to Pływająca po Jeziorach, lecz jej wierzchowiec wrócił już na otwarty teren i pał się spokojnie na wschodzie. Z lasu wyłonił się chłopiec.

Pojawił się na trawie. W obu rękach trzymał długie laski. Twarz miał poczernioną na wzór Morthen. Ciało owiazał sobie pasmami wypłowiałego materiału. Tallis rozpoznała wystrzępione całuny, w które owijano rozkładające się trupy czekające na poćwiartowanie i spalenie. Zwisły z niego luźno niczym złachmaniona suknia.

Poszła do długiego domu, skąd zabrała swe maski i nieliczne rzeczy Wynne–Jonesa. Było już za późno, by pójść do chaty szamana po jego cenne notatki. Stary stał bez ruchu jak oszołomiony. Scathach przerzucił zrabowane ubranie przez grzbiet jednego z wciąż chodzących nerwowo po wiosce koni. Uspokoił zwierzę, obejrzał je, ruszył z nim do drugiego, które też sprawdził, poszukując ran, i poprowadził oba do ojca.

Pomógł mu wdrapać się na siodło. W ostatniej chwili Wynne–Jones wyraźnie się ożywił.

– Moja praca. Moje dzienniki...

– Nie ma czasu – odrzekł Scathach. – Musimy stąd zwiewać.

Tallis wypadła z długiego domu z rękami pełnymi futer, koców, sznurka oraz worków owsa i jęczmienia. Scathach pierwszy ruszył ku bramie, opuścił ją ponownie i sam dosiadł konia. Przemknął ze stukotem kopyt po drewnie, wyciągając rękę po proste zapasy zabrane przez Tallis. Ta podbiegła do Pływającej po Jeziorach, wskoczyła na jej grzbiet, umościła się wygodnie i szybko założyła na szyję klaczy prostą sznurową uprząż. Tig

nie zwracał na nią uwagi. Stał bez ruchu na skraju lasu. Być może czekał, aż odjadą.

Stara Kobieta Która Śpiewała Do Rzeki wypełniała świt śpiewem i zawodzeniem. Scathach pogonił kopniakiem konia, każąc mu skierować się w stronę biegnącej ku rzece ścieżki. Prowadził wierzchowca Wynne-Jonesa, trzymając go za skórzaną uprząż.

– Mój dziennik! – krzyczał stary. – Moje zapiski. Pozwólcie mi je zabrać. Inaczej nie ma sensu... moje zapiski!

– Nie ma czasu – warknął raz jeszcze Scathach. Tallis pognęła za nimi.

Wjechawszy na obszar lasu wąską ścieżką wiodącą ku wodzie, obejrzała się za siebie.

Tig stał przy bramie wioski, zaglądając do jej skrytego za wałami wnętrza. Wypełnioną snami głowę zaprzętały mu sprawy inne niż stary szaman.

DAUROG

Pierwsza Puszcza

I

Wieczorem drugiego dnia podróży dotarli wreszcie na brzeg starożytnego jeziora, i to w towarzystwie, którego nie spodziewali się przyciągnąć.

Nie byli w stanie podróżować szybko. Wynne–Jonesowi jazda przychodziła z trudem i co chwila potrzebował odpoczynku. Był bardzo osłabiony. Gdy tylko próbował zasnąć, dygotał i zalewał go pot. Scathach, który niecierpliwie pragnął ruszyć w dalszą drogę, wziął pod uwagę roztropną mądrość Tallis. Znajomość leśnego królestwa, którą dysponował stary, była dla nich zbyt cenna, by mogli po prostu go zostawić i pognać jak szaleni na północ.

Wynne–Jones płakał nad utratą córki, Morthen, oraz rękopisów porzuconych w prymitywnej wiosce Tuthanachów. Dzieło całego życia, lamentował. Tallis uspokajała go. Scathach wyruszył na łowy i upolował dziką świnie. Upiekli paski mięsa nad ogniskiem z palącego się wściekle drewna, lecz stary nie miał zbyt dużego apetytu. Przeżuwał mięso, gapiąc się na południe, gdzie jego cenne karty mogły już obrócić się w popiół niesiony wichrem mocy nowego szamana.

Już podczas pierwszego dnia podróży Tallis zdała sobie sprawę, że nie są jedynymi wędrowcami kierującymi się na północ, w stronę bagien. Gdy usłyszała ukradkowe poruszenia w lesie po obu stronach rzeki, z początku pomyślała o wilkach. Cokolwiek to było, posuwało się równolegle do trojga

jeźdźców, tuż za ich plecami. Gdy Scathach zapuścił się w las, wszelkie dźwięki umilkły. Wrócił wstrząśnięty i lekko zdziwiony. Długie włosy miał pełne liści, które strącił z nich dłonią. Nic nie zobaczył. Gdy jednak ruszyli dalej przez płycizny, zaniepokojone ptaki zataczały kręgi nad ich głowami, a w chaszczach poruszały się jakieś stworzenia.

Podczas jazdy Tallis odpięła maskę Skogena – cień lasu – i zasłoniła sobie nią twarz, by ją wypróbować. Następnie założyła na głowę wełniany kaptur. Gdy teraz obejrzała się ostrożnie za siebie, zaczęła dostrzegać wśród drzew cienie, wychudzone, żylaste postacie mitotworów, które podążały za nimi, przemykając z jednego ocienionego miejsca do drugiego. Popędziła konia kopniakiem, by dogonić Scathacha.

– To nie wilki – wyszeptała do niego. – To ludzie. Albo coś człekokształtnego.

Scathach obrócił się w siodle i popatrzył na niebo, zasłonięte plataniną przebiegających nad rzeką gałęzi. Oklapnięty w siodle Wynne–Jones podniósł głowę. Jego blada twarz zaślniła w snopach słonecznego blasku. Wyczuł otaczające go poruszenia, a potem zauważył osłoniętą maską twarz Tallis i rozpoznał Skogena.

– Co widzisz? – zapytał. – Czy są zielone?

Wszyscy troje podjechali do brzegu rzeki, zsiadli z koni i przemknęli szybko przez chaszczę. Znaleźli tam ruiny zbudowanego z kamyków i krzemienia muru, które były jedyną pozostałością po starej twierdzy, wałach obronnych wioski, czy może grobowcu albo świątyni. Za murem ciągnęła się wyłącznie dzika puszcza, gęstwina małych dąbków oraz rosnących tu i ówdzie kwiatów, nie zniszczonych jeszcze przez zimę.

Przykucnęli po zawietrznej stronie muru, przywiązali konie i położyli broń przed sobą na ziemi. Wynne–Jones rozpałił ogień i zaczął przesuwac nad płomieniami odkrojone kawałki mięsa dzikiej świni.

Tallis obserwowała poruszające się cienie przez oczy maski. Scathach widział jedynie las i coś, co wyglądało na błyski światła przebijające się

przez rzadziejące korony drzew, ona jednak dostrzegła ludzkie kształty, które ukrywały się za grubszymi pniami dębów i wiązów, a potem oddalały, skryte w cieniu jesiennych liści, unikając wchodzenia na obszary oświetlone snopami padającego z góry szarawego światła.

Zmierzały do krzemiennego muru, gdzie z zapartym tchem czekał Wynne–Jones.

– Wiesz, co to takiego? – zapytał go syn.

– Widywałem je tylko z daleka – wyszeptał stary. – Słyszałem je jednak. Wszyscy je słyszeli. Ale nigdy jeszcze nie byłem tak blisko...

Istot było pięć. Jedna z nich sprawiała wrażenie śmielszej od pozostałych. Zbliżyła się tak bardzo, że zaczęła wkraczać w zasięg normalnego wzroku. Dobiegające z oddali odgłosy czegoś brnącego przez rzekę sugerowały, że nadchodzi szósta. Las zaczął rozbrzmiewać niesamowitym, szczebiotliwym, niemal ptasim dźwiękiem. W owym hałasie dawała się wyczuć również ludzka nuta, jak gdyby kilka kobiet z wielką szybkością kląskalo językami. Słyszac to dziwaczne pogwizdywanie, ptaki zatrzepotały niespokojnie skrzydłami. Tallis widziała, jak niewidzialne stopy wzbijają w górę ściółkę, depczą i tratuja orlice. Były to ruchy tak subtelne, że sprawiały wrażenie dostrzegalnych jedynie kącikiem oka. Poruszenie, a potem nic, lecz ślady przejścia istot uspokajały się z drzeniem.

Najbliższy z mitotworów znalazł się w polu widzenia, wychodząc z cienia drzew. Zatrzymał się na granicy leśnego światła. Scathach wciągnął powietrze i sięgnął po włócznię. Wynne–Jones wysunął rękę, by go powstrzymać, wbijając wzrok w stojącą przed nimi smukłą istotę.

– Daurog – wyszeptał. – Zielony Człowiek. Przeobraża się w scaraga... zimowy aspekt... bądźcie ostrożni... bądźcie bardzo ostrożni...

– To Zielony Jaś – powiedziała zdumiona Tallis. – Pamiętam, że widywałam ich w kościołach, wyrzeźbionych w kamieniu. Dawni ludzie z lasu. Liściogłowi.

– Ta postać jest wcześniejsza od tej, którą widziałas – ostrzegł ją stary. – W daurogach nie ma nic ze średniowiecznej wesołości. To prastare istoty, stworzone przez umysł w czasach wielkiego strachu. Szczególnie niebezpieczne są w swym zimowym aspekcie – Zielony Jaś – powiedziała do siebie Tallis. Stworzenie postawiło szybki, niezgrabny krok naprzód, całkiem jakby brzmienie dziwacznej, wywodzącej się z folkloru nazwy przyciągnęło jego uwagę. Żyłaste ciało potrzaskiwało niczym stare drewno pod stopami. Istota wpatrzyła się w nią, zjeżona i szeleszcząca. Weszła w plamę światła, które mieniło się w ciemniejącej twarzy, lecz uwidocznilo resztki liściastej zieleni spowijającej czaszkę, ramiona i górną część tułowia.

Palce były długie, wyposażone w wiele stawów. Przypominały gałązki. Tallis widziała teraz, że to, co wzięła za rozwidloną brodę, było zakrzywionymi, drewnianymi kłami wyrastającymi z obu stron okrągłych, wilgotnych ust. Ciosy rozgałęziały się na dwie odnogi. Jedna biegła w górę, ku porastającej głowę masie liści, a druga w dół, dzieląc się na wypustki, witki oplatające tułów, ramiona, a także wrzecionowate nogi. Wyrastały z nich dębowe liście osłaniające pełną nacięć i zadrapań, przypominającą korę skórę. Członek istoty kołysał się podczas ruchu: cienki, ciernisty kawałek witki wijący się niczym robak między szeleszczącymi udami.

W jednym ręku owa istota niosła trójzęb, a w drugim worek z szorstkiego płótna. Patrząc na Tallis, zaczęła pociągać nosem. W korze twarzy otworzyły się płaskie nozdrza. Ten stwór, ten daurog, zaczynał butwieć. Zrzucał letnie ulistnienie. Jego twarz przypominała nieco czaszkę, lecz jej zarysy były inne. Kość wybrzuszała się i zakrzywiała w niewłaściwych miejscach, pochylała pod niespotykanymi kątami. Oczy były osadzone bardzo blisko siebie. Z ich kącików spływały strużki żywicy. Wydawało się, że Daurog nie mruga. Kiedy otworzył usta, z wilgotnej pustki wyłoniła się powoli kapka śluzu. Ciosy załśniły. Odsłonięte zęby były ostre i zielonkawe od pleśni.

Stworzenie powęszyło raz jeszcze, po czym skupiło wzrok na Tallis, pochyliło się w jej stronę, postawiło kolejny niezgrabny, niepewny krok naprzód, znowu powęszyło i wypuściło z siebie powietrze z szumem przypominającym powiew wiatru, z dźwiękiem zdumienia. Wynne–Jones wyciągnął rękę i ścisnął ramię kobiety. Mięso zaskwierczało nad ogniskiem, tryskając tłuszczem, co przstraszyło na chwilę dauroga.

– Czuje twoją krew – powiedział stary. – Żywi się drzewnym sokiem, ale czuje twoją krew.

– A nie twoją?

– Jest płci męskiej. Do tego ja jestem stary, a ty młoda. Czuje wydzieliny twojego ciała: krew, pot, brud...

– Co?

– Sądzę, że również sok umysłu. Czuje jego zapach. Zapewne widzi, jak manipulujesz lasem...

Tallis popatrzyła na Wynne–Jonesa, marszcząc brwi.

– Ja?

– Oczywiście – odparł. – W każdej sekundzie tworzysz życie. Geneza mitotworów. Jesteś wyjątkowo żywa, wyjątkowo aktywna... po prostu zbyt szybko podróżujesz, by dostrzec końcowe rezultaty. Zaczyna się od poruszeń w pleśniejącej, butwiejącej ściółce. Rozpoznajesz efekt dopiero wtedy, gdy przybiera postać cielesną, jak na przykład daurog. On jednak zapewne potrafi dostrzec najdrobniejszą aktywność. Wygląda na wystraszonoego. Stara się nas zrozumieć. Nie ruszaj się.

Daurog powoli położył oręż i worek na ziemi. Okrążył ostrożnie polankę. Gdy tylko wchodził na oświetlony teren, wzdrygał się nagle i krył szybko w cieniu. Kiedy się poruszał, z jego ciała opadały brązowiejące liście. Tallis poczuła przerażający smród bijący od jego postaci: gaz błotny i zapach śmierci, który zapamiętała z domu pogrzebowego.

Stary osobnik zbliżył się do nich, lecz jego towarzysze zatrzymali się na granicy światła i cienia, kryjąc się na tle dębów. Świergotliwe, kłaskające

rozmowy przycichły. Scathach wyciągnął się do przodu i wsparł dłoń na włócznie. Dauroga to zaniepokoiło. Przyglądając się ostrożnie ludzkiemu wojownikowi, ruszył powoli w stronę Tallis, po czym przykucnął z głośnym szelestem i trzaskiem ścięgien i wyciągnął długi, zwężający się na końcu, gałązkowaty palec, by dotknąć dłoni kobiety. Jego paznokieć był cierniem dzikiej róży. Pozwoliła, by zadrapał jej skórę, pozostawiając lekki, czerwony ślad. Następnie powąchał palec i oblizał lśniący pazur. Tallis wydało się, że z ust stworzenia wychynęła jaszczurka, która ugryzła cierni, potem jednak zrozumiała, że ujrzała język istoty. Ta najwyraźniej uznała smak za przyjemny. Wypowiedziała jakieś pozbawione dla kobiety znaczenia słowa o wysokiej tonacji: ptasi świergot, skrzywienie gałęzi, znowu świergot, szelest liści na wietrze.

Tallis poderwała się, ujrzawszy, że na ciele dauroga roi się od stonóg. Niektóre z nich dorównywały wielkością liściom.

Stworzenie podniosło się i cofnęło. Liście na jego grzbiecie spadały warstwami, odsłaniając szkielet z pokrytych meszkiem pnączy i czarnego, sękiego drewna. Podniosło z ziemi włócznie i worek, po czym zawołało kryjących się w cieniu pobratymców, którzy wyszli na polanę, lecz zachowali pewien dystans od małego ogniska. Tallis uznała, że bardziej się boją płomieni niż ludzi, którzy je rozpalili.

Dwa z daurogow były młodymi samicami. Skórę jednej tworzyły liście ostrokrzewu, a drugiej brzozy. Ich oczy były mniejsze niż u samców, skryte głęboko pod wałami nadoczodołowymi z pnączy. Sterczące z ust gałęziociosy były barwy srebrzystoszarej. Obie nosiły „bizuterię” z owoców tarniny i głogu. Z ciemnych koron zwisały niebieskie i czerwone jagody.

Samce również były młode. Jeden miał skórę z liści wierzby, a drugi z leszczyny. Ich ciosy były sęgkate. Różnili się od starszych daurogow w jednym, rzucającym się w oczy, straszliwym szczególe: z przodu ich ciał wyrastał szereg długich, czarnych kolców. Linia cierni biegła pionowo aż

do wyginających się niespokojnie organów płciowych zwisających z okrągłych brzuchów.

Na koniec zjawił się szósty członek grupy. Tallis omal się nie uśmiechnęła, rozpoznając typ, który reprezentował.

Nie spowijał go płaszcz z piór, lecz skóra ze wszelkich wyobraźalnych rodzajów listowia. Szerokie liście lipy na głowie, broda z ostrokrzewu z kosmykami z gruszy, ramiona z jarząbu mącznego, pierś z brązowiejących liści dębu i wiązu, a brzuch z bluszczu i jaskrawożółtego jesiennego jaworu.

Wokół ramion owijała mu się dzika róża. Czerwone jagody zwisały w leniwych kiściach. Nogi przebijały tysiące igieł sosny i świerku. Do pasa przytwierdzone miał świerkowe szyszki i dzikie jabłka. Z głowy wyrastał mu wachlarz łodyg sitowia.

Gdy wzrok Tallis przebił się przez maskę z liści i drewna, zaskoczyło ją, że szaman jest młody, być może nie starszy niż Wierzbinek i Leszczynek. Dzierżył zaostrzoną laskę, na którą nabito pięć butwiejących drewnianych głów. Gdy nią zamachał, rozległ się stukot uschniętych gałęziociosów.

– Jest znany jako Duch Drzewa – wyszeptał Wynne–Jones. – To szamańska funkcja.

Tallis znowu się uśmiechnęła. – Zauważyłam to – odpowiedziała również szeptem.

– Skogen stanowił odbicie tej starożytnej formy. Twoja maska. Mój totem...

– Wszystko jest starsze, niż nam się zdawało.

Grupa daurogów przycupnęła, zachowując pełen szacunku dystans od ognia. Najstarszy z nich otworzył worek i wysypał na ziemię najrozmaitsze jagody. Były tam również orzechy i żołądzie. Popatrzył na Tallis, która odcięła ze skwierczącego udźca dzikiej świni kilka kawałków mięsa i wyciągnęła rękę, by rzucić je daurogom. Duch Drzewa zbliżył się w niewygodnej, skulonej pozycji, spoglądając podejrzliwie na ludzi. Podniósł kawałek mięsa, powąchał je i rzucił na ziemię. Wskazał na dwie wyrzucone

kości. Scathach cisnął mu obie. Szaman złamał je w dłoniach i podrapał się w korę ostrą krawędzią. Drugi fragment podał najstarszemu, Dębcowi.

Tallis wstała z miejsca i podeszła do stosu orzechów i jagód. Było tu wszystko: dereń, ostrokrzew, wiśnia, szakłak, tarnina, a nawet truskawki. Dokonała wyboru, wiedząc, że będą w stanie spożyć jedynie bardzo niewielką część tej leśnej uczyty.

Gdy już dokonano wymiany, wszyscy przystąpili do posiłku, by dać wyraz swym dobrym intencjom. Zielone Jasie obawiały się ognia, lecz Wynne–Jones położył po ich stronie płomieni kilka kawałków krzemienia. Wydawało się, że ten prosty gest je zadowolił.

Ciemność, a potem jasny księżyc. Ognisko gorzało, a Wynne–Jones dostarczał mu opału. On i stary daurog pełnili straż, obserwując się nawzajem z niewielkiej odległości. W pewnej chwili samica o pełniejszej figurze – Ostrokrzewka – podeszła do Dębca i przykucnęła, wpatrując się w wyrwaną z drzemki Tallis. Powiedziała coś do wodza w swym leśnym świergocie. Po chwili podeszła do kobiety i pochyliła się, by jej się przyjrzeć. Do świadomości Tallis dotarł przytłaczający odór zgnilizny, widok roślinnego soku spływającego strumykami po srebrzystych gałęziociosach, młode oczy, młoda moc. Samica dauroga powąchała powietrze, a potem wypowiedziała jakieś słowa. Zbliżyła się jeszcze bardziej i wydała z siebie odgłos przypominający śmiech. Dotknęła palcem Tallis, a potem siebie, starając się nawiązać nić porozumienia.

Kobieta musnęła dłonią kłujące liście ostrokrzewu na jej brzuchu. W leśnym ciele coś zaszeleściło, sprawiając mitotworowi ból. Czarna, grzybiasta masa organu płciowego zadrżała. Z ust wyrwały się dziwne dźwięki przypominające gwizdzące westchnienia.

A wewnątrz ciała dźwięk przypominający łopot skrzydeł...

Ostrokrzewka cofnęła się. Blask księżycyca na wiecznie zielonych liściach sprawiał, że lśniła na tle blednących przyjaciół.

Wśród panującej nocą ciszy Wynne–Jones wyszeptał do Tallis, że rozpoznał tę postać mitotworu dzięki zasłyszczonym opowieściom. Daurogi były znacznie dawniejsze niż Tuthanachowie. Zapewne powstały ze skojarzenia z pierwszymi polodowcowymi lasami epoki mezolitu, jakieś dziesięć tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa. W epoce brązu „zielony człowiek” – Zielony Jaś czy Robin w kapturze, średniowieczny „leśnik” – stał się postacią bytującego w puszczy samotnika, nie w pełni zdefiniowaną, zmieszaną ze stanowiącymi jej odbicie siłami natury, takimi jak Pan, Dionizos czy niejasno zapamiętane driady. Jednakże dla mezolitycznych koczowniczych łowców owe istoty tworzyły puszczańskie królestwo, rasę mieszkańców kniei, zbawców i wyroczni, lecz także dręczycieli. Powstały one w mitogenicznej nieświadomości, by wyjaśnić wrogość natury wobec poczynań człowieka, a zarazem wyrazić nadzieję na przetrwanie w obliczu nieznanego.

Jedynym, co znał z dawnych opowieści o daurogach, był mit o ich powstaniu. Streścił go dla Tallis: Wraz z nadejściem słońca, w lodzie otworzyła się jaskinia sięgająca aż do zamarznętej ziemi. W tej grocie, na zmrożonej glebie, leżały kości człowieka. Słońce zaczęło je ogrzewać.

Człowiek zjadł przed śmiercią wilka, jako że wszystkie inne zwierzęta uciekły przed zimą. Jego kości leżały wśród kości człowieka.

Zanim człowiek go upolował, wilk pożarł ptaka. Sowa była przemarznięta i powolna. Okazała się dla wilka marnym posiłkiem. Kości sowy spoczywały wśród kości wilka i człowieka.

Sowa połknęła nornika. Jego maleńkie kosteczki również tam się znajdowały.

Nornik pożywił się nasionami i orzechami, a ponieważ wyczuwał nadejście długiej zimy, spróbował po trochu wszystkiego: żołądzi, orzechów laskowych, jagód głogu, owoców dzikiej róży, słodkich wierzbowych baz, kwaśnych jabłek, cierpkich owoców tarniny, miękkich

jeżyn. Nasiona lasu spoczywały wśród kości nornika, sowy, wilka i człowieka.

Słońce ogrzało szkielety, lecz to nasiona ożyły, żywiąc się szpikiem wszystkich popękanych od mrozu kości. Życie, które z nich wyrosło, było pół drzewem, a pół człowiekiem, szybkim jak wilk i chytrym jak nornik. Potrafiło też skryć się w lesie niczym sowa.

Na wiosnę jego ciało porastały białe kwiaty. Latem drżały na nim dębowe liście. Jesienią dojrzewały na nim jagody. Zimą stawało się ciemne i karmiło się żywicą drzew albo krwią zwierząt. Potem znowu nadchodziła wiosna i gdy okolica pokrywała się zielenią, istota wydawała na świat ptaki, a potem skrywała się w najdalszym gąszczu, by czekać na zew ludzi, którzy polowali i zbierali w lesie pożywienie. Wiosną, latem i jesienią uśmiechała się do nich z zielonej puszczy. Tylko zimą przegryzała im szyje, by nasycić się ich ciepłym sokiem.

Każdego roku bolesne narodziny ptaków sprowadzały do lasu więcej nasion, więcej kości, więcej wilków. Wkrótce daurogów było już mnóstwo. Naśladowały one postać i zwyczaje człowieka, widziały jednak, że karczuje on las i poprzez to dzieło zniszczenia uwalnia z ziemi żywiołaki, które ongiś były zamarznęte.

Daurogi uformowały więc szpaler, by wyznaczyć granicę serca lasu. Żaden człowiek nie mógł przedostać się na jego obszar i ujść z życiem. Ale poza sercem lasu Zieloni Ludzie nadal przynosili do ludzkich osiedli i gospodarstw jagody oraz płodność pod postacią ptaków.

Tylko zimą ujawniał się wilk, który skradał się po śnieżnych pustkowiach i ogołoconym lesie w poszukiwaniu zdobyczy. Ludzie zwali te istoty scaragami.

I tak człowiek i daurog żyli przez wiele pokoleń w chwiejnej harmonii. Obaj trzymali się swych królestw, wyczuwali w sobie nawzajem moc i rozpoznawali podobieństwo...

Było tego więcej (kontynuował Wynne–Jones po przerwie na oddech i namysł), ale znał jedynie fragmenty.

Tallis zaniepokoiła się, czy Zielone Jasie nie przyszły ich zabić.

– Ostatecznie jesteście w sercu lasu...

Wynne–Jones tak nie sądził. Te daurogi szły na północ. Były poszukiwaczami przygód, podobnie jak oni. A obecność Ostrokrzewki – wiecznie zielonej kobiety wśród przemieniających się powoli scaragów – stanowiła znany mu element. Istniał cykl mówiących o niej opowieści, lecz nie pamiętał ich szczegółów. W następnych dniach mogli dowiedzieć się więcej.

Nocą Tallis obudził szum wiatru wśród gałęzi. Scathach spał skulony. Usiadła nagle z głową wciąż zmaconą od snu. Nagle uciszyła ją czyjaś dłoń. Wynne–Jones czuwał. Wskazał na przeciwległą stronę oświetlonej bladym księżycowym blaskiem polany. Tallis przeżyła chwilowy szok, gdy zobaczyła, co się tam dzieje.

Ostrokrzewka dosiadła leżącej na wznak postaci jednego z młodszych samców, trudno było określić którego. Klęczała nad nim z plecami wygiętymi do tyłu. Jej ciałem wstrząsało drzenie. Złapała się rękami za głowę, jak gdyby chciała powstrzymać ból. Kołysała się lekko. Lśniące w promieniach księżyca liście ostrokrzewu pozwalały dostrzec, jak szarpie się i podskakuje, kiedy ostre ciernie tarniny wbijają się głębiej w miękki mech jej macicy. To ona wydawała z siebie głos, który niewątpliwie znamionował przyjemność.

Samiec milczał, obserwując swą partnerkę z osobliwą obojętnością.

Po kilku chwilach Ostrokrzewka rzuciła się na porośniętą tarniną pierś kochanka, po czym wstała i odwróciła się powoli. Z miejsc, w których przebiły ją kolce, wypływała jasna żywica. Popatrzyła na Tallis, dotknęła rękami ust i przebiegła palcami po rozwidlających się gałęziach ciosów. Następnie zniknęła w mrocznej puszczy, kierując się w stronę rzeki.

Po paru minutach rozległ się ludzki krzyk. Noc wypełniły na chwilę głosy ptaków.

Oszołomiona tym, co zobaczyła, Tallis przez kilka minut zachowywała milczenie. Wreszcie zwróciła się w stronę Wynne–Jonesa.

– Czy one są moje? Moje? Czy to ja stworzyłam te istoty?

– Tak mi się zdaje – odpowiedział stary. Nie był jednak tego pewien. – Wygląda na to, że cię rozpoznają. Coś w tobie je przyciąga. A przynajmniej Ostrokrzewkę. Sprawiają wrażenie zafascynowanych tobą. Tak, jestem skłonny sądzić, że uformowały się z premitotworowego wzorca przechowywanego w twoim umyśle Skopulowanego samca ogarnęła senność. (Tallis dostrzegła teraz, że to Wierzbinek.) Po jego wydatnym brzuchu wił się i wyginał ogarnięty ekstazą kolczasty wąż. Kurczył się jednak powoli.

Na oświetlony księżycem obszar wystąpił nagle Duch Drzewa dzierżący w ręku łaskę z głowami. Tallis nie widziała tego dokładnie, wydawało jej się jednak, że coś na nią nabija, kręci jakimś przedmiotem, który wreszcie wepchnął z trzaskiem na miejsce. Następnie znieruchomiał, gapiąc się na ludzi. Choć Tallis na niego patrzyła, wkrótce przestała go widzieć. Przerodził się w drzewko, leśną ciemność szeleszczącą na wietrze. Tylko lekkie poruszenia lewej dłoni zdradzały obecność zielonego człowieka bliskiego już zimowej śmierci.

Zaniepokojonej tym dziwnym, brutalnym wydarzeniem Tallis trudno było zasnąć. Musiało jej się to jednak udać, gdyż obudziła się wczesnym świtem i rozejrzała zażawionymi oczyma wokół siebie, spoglądając na gęstą mgłę, która spowiła las. Nic nigdzie się nie ruszało. Ognisko zgasło, choć wyczuwało się jeszcze jego woń zmieszaną z odorem lasu, ostrym zapachem podszycia. Poszukała wzrokiem daurogów, lecz te zniknęły. Tak się jej przynajmniej zdawało. Na polanie wyrósł nowy, gęsty zagajnik

ciernistych krzewów. Między ich gałęziami przemykał jakiś ptak dziobiący czerwone i niebieskie jagody.

Małe stworzonko odfrunęło nagle. Gąszcz zadrżał, poruszył się i przekształcił w sześć ludzkich postaci. Każda z nich uzyskała atrybuty głowy, ramion i nóg.

W środku stał samotnie Duch Drzewa. Ręce miał owinięte wokół laski z czaszkami, a głowę pochyloną.

Daurogi zajęły się swymi sprawami, spoglądając na Tallis z drżącym niepokojem, takim samym jak wczorajszego wieczoru. Scathach poruszył się, usiadł, potarł powieki, zamrugał oślepiiony światłem świtu i podrapał się po brodzie. Potrząsnął Wynne–Jo–nesem, który wymamrotał coś przez sen, a potem się rozplakał. Tallis nie miała jednak czasu dla starego i dręczących go smutnych, złych snów o utraconym dobytku i zaginionej wiedzy. Obserwowała Zielone Jasie. Poprzedniej nocy było ich sześć, potem jeden odszedł... i teraz znowu było sześć. Rozpoznawała jedną z samic – Brzezinkę – lecz była też i druga, która podobnie jak ta wczorajsza miała pierś i plecy z ostrokrzewu.

Zdobiły ją te same czerwone jagody. Wyglądała identycznie jak Ostrokrzewka, pomijając fakt, że była chudsza, a jej kobiece atrybuty mniej rzucały się w oczy.

I rzeczywiście, gdy wódz daurogów podniósł z ziemi jagody i orzechy, by dać je swej rodzinie, Ostrokrzewka podeszła do Tallis i rozciągnęła ozdobione gałęziociosami usta w coś na podobieństwo uśmiechu. Potarła się dłonią po liściastym brzuchu, a potem skubnęła zieleń i rozsunęła ją delikatnie niczym fałdy spódnicy. Tallis poczuła lekkie mdłości, ujrawszy wewnątrz tułowia Ostrokrzewki pustą, połyskującą przestrzeń, z tyłu której wyraźnie widać było sękatą kolumnę kręgosłupa. Żebra lśniły niczym łuki z polerowanego mahoni. Pustą przestrzeń żołądka wypełniały rozrzucone pióra. Ostrokrzewka wyjęła ich garść i pozwoliła, by uniosły się na wietrze.

Nie przestawała z zachwytem rozciągać miękkich warg. Srebrzyste ciosy zadrżały.

Tallis zrozumiała, że Ostrokrzewka zrzuciła brzemię ptaków. Było to dla niej w jakiś sposób wyzwoleniem. Wysłała do lasu nowe życie i znowu stała się młoda oraz pusta. To nie jej głowę nadział wczorajszej nocy na laskę Duch Drzewa. Gdy Tallis skupiła wzrok na młodym czarowniku, dostrzegła, że najnowsza czaszka jest maską o obliczu bez wyrazu, topornie wyciętą z kręgu zmiękczonej deszczem kory.

Tallis podniosła do twarzy Skogena i ujrzała przez niego, że Duch Drzewa obrzuca ją pytającym, przenikliwym spojrzeniem. W wilgotnej porannej mgiełce bił od niego zielony blask, witki światłości sięgające z różnych punktów jego ciała do koron drzew i w dół, do ziemi. Spowity był w płynące z niego łagodne światło, które drzewa wsysały niczym wodę.

Daurogi przygotowywały się do podróży. Zebrały swój skromny dobytek i niemal roztopiły się w lesie, blisko rzeki. Tym razem jednak Ostrokrzewka i Brzezinka pozostały w zasięgu wzroku ludzi. Biegły z krzykiem i świergotaniem, dotrzymując kroku koniom swych nowych przyjaciół.

Tallis jechała z Wynne–Jonesem, który z rosnącym zainteresowaniem obserwował wygłupy Zielonych Jasiów. Stwierdził, że z pewnością to ona je przyciąga. Coś w niej, jakaś cecha, jakiś znak, wzbudzało ich zaufanie. Nie dostrzegał tej więzi ani nie potrafił określić jej natury, lecz jedno było dla niego oczywiste: że są stworzonymi przez nią mitotworami i reagują na umysł, który je spłodził. Nie wywodziły się od Harry’ego, gdyż powstały niedawno.

Ostrokrzewka – z uwagi na jej wiecznie zieloną skórę – była zapewne tą, której przeznaczeniem było pozostać przyjaciółką ludzi nawet zimą: najdziwniejsza z prymitywnych bohaterek. W tej grupie nie było bluszczowego jasia. Ostrokrzew i bluszcz, zielone zimą liście... ta myśl kazała Tallis zaśpiewać kolędę. Wynne–Jones przyłączył się do niej,

wspierając swym załamującym się głosem melancholijne wspomnienie bożonarodzeniowych uroczystości.

Jeśli zaś chodzi o samców, tylko dni dzieliły ich od ostatecznego zrzućenia liści. Transformacja miała być szybka. Sok w ich ciałach wyschnie, a wraz z nim inteligencja w głowach o dziwnych kształtach. Staną się zwierzętami, drapieżnymi, dzikimi, dręczonymi pragnieniem soku życia, który pomoże im przetrwać zimno.

– Musimy ich do tego czasu opuścić – ostrzegł Wynne–Jones.

– Sforsujemy razem z nimi bagno, a potem zmusimy ich do odejścia – zgodziła się Tallis.

Po kilku godzinach dotarli do jeziora. Tallis sądziła, że jest mniej więcej środek dnia. Było zimno i pochmurno. Owinęła się szczelniej w futro i kaptur, po czym ruszyła ostrożnie ze Scathachem po naturalnym pomoście z trzciny i sitowia. Wojownik nigdy dotąd tu nie był i zaniepokoił go widok rozpościerającego się przed nim wielkiego zbiornika wodnego. Gdy chodził wzdłuż brzegu, przemokły mu futrzane nogawice.

Tallis również była nieprzyjemnie zaskoczona. Wierzby tłoczyły się bliżej brzegu. Cała masa wierzb. Ich gałęzie tworzyły sklepienie, a grube pnie pochylały się ciężko ku środkowi jeziora. Było ich znacznie więcej niż wtedy, gdy była tu z Morthen.

Daurogi zaczęły podskakiwać i wydawać przenikliwe dźwięki. Pobiegły z pluskiem przez płytką wodę, między potężnymi, posępными drzewami. Tallis i Scathach podążyli za nimi. Powodem ich podniecenia okazała się zniszczona barka przypominająca kształtem niewielką długą łódź. Ozdoba z jej dziobu zniknęła, odłamana, gdy smukły stateczek zniosło między wierzby. Łódź była płytka, płaskodenna, zwężająca się na dziobie i rufie. Maszt się przewrócił, lecz strzepy żaglowego płótna pozostały na miejscu. Były białe, ozdobione czerwonym godłem, które, zdaniem Scathacha, mogło wyobrażać niedźwiedzia. Barka była za mała na długą łódź wikingów, a niedostatecznie udekorowana jak na królewski statek.

Tak przynajmniej Tallis sądziła z początku.

Kadłub był w kilku miejscach przebity, a pokład znajdował się tuż pod wodą. Pod płachtami płótna – które Scathach zręcznie odciął i zwinął – kryły się jednak ubrania, pasy i brosze. Niektóre stroje były czarne. Peleryny i kaptury, a także suknia ze śladami złotego filigranu, którym ozdobiono jej skraj. Tallis zwinęła je również. Wszystkie ubrania mogły się przydać.

Znalazła zapinki z brązu, klamry, amulety z paciorków i grzebienie. Były tam również odcięte kosmyki włosów: gęste, czarne pukle. Niektóre z nich pochodziły z brody.

– Trzy kobiety i jeden mężczyzna – uznał Wynne–Jones, obejrawszy znaleźiska. – A na kadłubie jest krew. Widzicie? Mężczyzna był umierający.

Tallis wpatrzyła się w dziką puszcę, zastanawiając się nad losem tajemniczych pasażerów statku.

Daurogi ustawiły łódź pionowo. Dwaj samcy wdrapali się na pokład i załatali dziury w kadłubie przy użyciu naręczy zebranego przez samice sitowia. Duch Drzewa i Dębiec przykucnęli na sterczących w górę korzeniach wierzy, przyglądając się naprawie i od czasu do czasu śpiewając.

Wynne–Jones bał się zostać zbyt długo w towarzystwie tych zmieniających się duchów lata. Mógł teraz przestać się niepokoić. Choć wódz spojrział na Tallis, strosząc dębowe liście, i zaprosił ich, by pokonali szerokie jezioro razem z nimi, potrząsnęła głową. Łódź nie utrzymałaby ciężaru ich trojga razem z końmi. W gruncie rzeczy, gdy daurogi wdrapały się na pokład, w butwiejących deskach kadłuba pojawiły się kolejne szczeliny. Stateczek zakołysał się. Ostrokrzewka zaszczębiotała i popatrzyła ciekawie na Tallis. Teraz, gdy opuścił ją łopot widmowych skrzydeł, znowu stała się na krótką chwilę dziewczyną.

Duch Drzewa zagrzechotał laską z czaszkami. Luźno wiszące gałęziociosy zastukały o siebie, rzucając wyzwanie duchom jeziora. Jeden z samców użył uciętego konaru leszczyny jako tyczki, by wypchnąć stateczek z wierzbowej gęstwiny na czystą wodę. Ostrokrzewka zamachała do nich ręką, po czym wskazała przed siebie, na północ. Zielonych ludzi pochłoneła mgła, dal i jezioro. Tallis zastanowiła się, czy zdają sobie sprawę z faktu, że wędrują ku surowszej zimie...

Stworzyła wydrążenie, przejście wiodące na północ. Założyła w tym celu Drążącą. Scathach powstrzymywał konie. Pływająca po Jeziorach była spokojna, lecz wierzchowce łupieżców, które mogły jeszcze tęsknić za swymi panami, poruszały się nerwowo, szarpały postronki, grzebały kopytami w sitowiu i skrytej pod nim brudnej wodzie. Wynne-Jones przykucnął za Tallis, przyglądając się z fascynacją temu, jak zmienia się przestrzeń wokół niej. Wciągnął powietrze, gdy pierwszy wir ciemności oznajmił zbliżanie się przejścia wiodącego do nowej duchostrefy.

Otoczyła się kręgiem z masek. Woda wypływała im przez oczy i usta. Z przodu położyła Morndun – podróż ducha do nieznannej krainy – zdając sobie sprawę, że pragnie wyruszyć w drogę i że w tym królestwie jest duchem, podobnie jak Wynne-Jones i część Scathacha. Maski przemawiały do niej głosem przeszłości. Unosiła kolejno każdą z nich przed twarz, wpatrując się w jej wzory i kształt. Czuła, jak jedna po drugiej otwierają jej umysł. Gdy tak klęczała, a jej futro nasiąkało wodą, odnosiła wrażenie, że maski do niej śpiewają. Gdy przejście się zbliżało, nad jej głowę wzbijała się Falkenna...

Obdarzę cię skrzydłami, byś wspięta się na mury zamku Srebrzynek zatrzepotał w płytkim stawie...

Płyn ze mną, przez podziemne rzeki, przez strumienie Cunhaval, wielki pies, powąchał powietrze...

Znam najlepsze leśne ścieżki. Pobiegnij ze mną. Nie boję się niczego
Księżycowy Sen załśnił...

Kamienny zamek w blasku księżycy; on oddycha; strzeż się, strzeż
Lament zaśpiewał do niej stare, znajome melodie. Tallis rozpoznała słowa i przeszył ją dreszcz...

W Krainie Ptasich Duchów płonie ogień. Me kości tłą się. Muszę tam
powędrować – Przecież wędruję – wyszeptwała Tallis. – Nie jestem w stanie
posuwać się szybciej.

I zawyła do niej Morndun. Jej widmowa obecność zapuściła zimne palce w umysł kobiety, badając najmroczniejszy obszar jej nieświadomości...

Uwolnij ducha ze swych kości. W królestwie duchów duch podąży za
duchem. Uwolnij życie ze swych kości. Nie ma innej drogi do nieznannej
krainy – Zrobię, co będę musiała, by odnaleźć brata. Śmierć nic mi nie da.

Głos Sinisalo był zewem figlarnego dziecka biegającego między drzewami, chowającego się, prowokującego. Ona również do niej wołała...

Oswobodź ducha. Oswobodź ducha.

Rozgniewana Tallis przestała słuchać. W wodzie rzuciła się ryba. Korzeń drzewa wygiął się, a potem znieruchomiał. Za pośrednictwem palców słyszała konie uskarżające się na coraz silniejszy lodowaty wicher. Pomost z sitowia zawibrował, omal nie pozbawiając jej równowagi.

Utworzyło się wydrążenie!

Wydarzyło się to tak gwałtownie, że poczuła się zaskoczona. Gdy rozchyliła usta, by wydać z siebie westchnienie szoku, wypełniły je śnieg i zeschnięte liście. Splunęła gwałtownie. Po skałach spływała wartko woda. Na szarym niebie, które ujrzała, szalała gwałtowna wichura. Drzewa wyginały się i pochylały niczym kwiaty. Stoki doliny były strome. Śniegu nasypało zbyt wiele, by mogła określić, czy widzi to samo miejsce, które zobaczyła przedtem, z kamiennymi murami zamku wznoszącymi się wśród gęsto

rosnących, skutych lodem drzew. Był to jednak ten sam głęboki wąwóz i znajdował się on na drugim brzegu jeziora!

Podniosła z ziemi maski i przeszła przez wydrążenie, walcząc z wichurą wpadającą do spokojniejszego królestwa bagien. Za jej plecami pędził Wynne–Jones, a za nim ciągnący konie Scathach. Tallis przestąpiła próg i krzyknęła, gdy uderzyło w nią prawdziwe zimno. Stała po kolana w zamarzającej rzece. Brzeg znajdował się w odległości wielu jardów. Odwróciła się i pomogła Wynne–Jonesowi przejść do wąwozu. Stary zmrużył zdrowe oko, podniósł wzrok i rozejrzał się wokół z bladym uśmiechem na ustach. Zasypywał go śnieg, po prostu strącał go na bok. Doświadczał czegoś, co było dla niego zupełnie nowe: pierwszego kontrolowanego przejścia do duchostrefy pod przewodnictwem skovyna; pierwszego bezpiecznego sforsowania progu przez tak długi czas strzeżonego przez zrodzoną z kości, lasu i ptasich skrzydeł magię szamana.

Krzyknęła na Scathacha, każąc mu się pośpieszyć. Mężczyzna pojawił się w bramie. Wyglądał na wstrząśniętego i przerażonego. Przechodził już przedtem przez wydrążenia, lecz nigdy do równie srogiego królestwa. Za plecami Tallis gałęzie spadły z trzaskiem z drzew i runęły w burzliwe wody. Otuliła się mocno futrem i kapturem, by osłonić się przed porywistym wichrem.

– Szybko!

Groziło jej strącenie przez huragan do wody. Scathach pociągnął za prymitywne uzdy trzech koni. Zwierzęta, przerażone przejściem od spokoju do furii, podążyły za nim z głośnym protestem.

Tallis złapała wodze Pływającej po Jeziorach i spróbowała ją uspokoić, co jej się udało. Poprowadziła klacz na suchy ląd, a potem wyciągnęła rękę, by pomóc Wynne–Jonesowi wygramolić się z wartkiej rzeki. Scathach zaciągnął pozostałe dwa zwierzęta w bezpieczne miejsce. Otwór między światami zniknął. Bijące znad jeziora światło zastąpiła zimowa ciemność.

– Jesteśmy na północ od bagna – powiedział Wynne–Jones, szczękając zębami. – Ale nie tak daleko, jak miałem nadzieję.

Skryli się w pośpiechu pod osłonę skał i lasu. Obawiali się spadających konarów, lecz zdawali sobie sprawę, że nie mają innego wyboru, jak tylko poszukać schronienia przed nawałnicą pod wielkimi drzewami. Nadchodziła noc. Mieli bardzo mało czasu. Śnieg ich oślepił, lecz wichura była tak silna, że na ziemi nie powstały jeszcze zasy. Scathach rozwiesił płótno między wyginającymi się, drżącymi drzewami. Tallis przywiązała konie, tak by stały tyłem do wiatru. Wynne–Jonesowi wreszcie udało się rozpalić małe ognisko.

Zbili się w grupkę, otuleni żaglowym płótnem z osadzonego na mieliźnie statku.

Wczesnym rankiem gwałtowny wicher uspokoił się. Przez chwilę padał lekki śnieżek, lecz potem to również się skończyło. Zapadła długo oczekiwana cisza. Konie przestały się szarpać, a Wynne–Jones zasnął. Scathach zbliżył się do Tallis i przywarli do siebie. Wcisnęła twarz w futrzany kołnierz jego szaty, a on wetknął ramiona pod jej futro w poszukiwaniu ciepła.

Tworzenie wydrzeń stało się trudnym, zużywającym wiele energii procesem. Czuła się potem zmęczona przez długie godziny. Gdy w pełni wypoczęła, zjedli skąpy posiłek, zachowując zapasy mięsa i jagód na czekającą ich żmudną podróż. Następnie dosiedli koni i ruszyli ostrożnie naprzód ośnieżonymi leśnymi ścieżkami. Trzymali się tak blisko rzeki, jak tylko mogli. Od czasu do czasu Tallis – zamaskowana Srebrzynkiem – przyglądała się wodzie, lecz nie wypatrzyła żadnych ryb. Przez Falkenę dostrzegła gęsi gęgawe, lecz Scathach – po mistrzowsku władający mieczem i włócznią – nie strzelał z procy zbyt celnie. Tylko przez Cunhavalę dostrzegła w lesie coś żywego i nie była to forma życia, która zachęciłaby ich do zwolnienia tempa i zastawienia pułapki.

Były to wilki. Podążały tuż za nimi. Posuwały się miarowo przez czarny, zimowy las.

Nikt nie wypowiedział na głos tej myśli, lecz tożsamość stada wydawała się oczywista.

II

Drugiego dnia powolnej wędrówki w górę rzeki natrafili na ślady Morthen – wykonaną z muszli ślimaków siatkę na włosy przerzuconą przez gałąź drzewa niedaleko od wystygłych resztek ogniska. Czy dziewczynka wiedziała, że będą jechać za nią? Tallis zdjęła siatkę i w zamyśleniu dotknęła potłuczonych muszelek. Wszystko w tej dziwnej pamiętce sugerowało, że Morthen zostawiła ją tu celowo.

Wynne–Jones wziął ją w rękę, zwinął ostrożnie i wetknął sobie za pazuchę, po czyni podszedł do brzegu i powęszył intensywnie.

– Kiedy była młodsza, zawsze zostawiała drobne znaki ostrzegawcze – powiedział, wróciwszy do koni. – Kiedy wyruszaliśmy na łowy albo zbadać okolicę, zawsze wybiegała naprzód. Ostrzegała mnie przed zwierzętami, ruinami lub mitotworami...

– Czy to jest ostrzeżenie? – zapytał Scathach z uśmiechem na twarzy. – Przed czym chce nas ostrzec? Przed zimą?

– Myślę, że przed wiosną.

– Przed wiosną! – odezwała się zdumiona Tallis, rozglądając się po ciemnej, zaśnieżonej okolicy.

Wynne–Jones roześmiał się.

– Czy nie wyczuwasz jej zapachu? Unosi się w powietrzu. Pory roku zmieniają się błyskawicznie. To właśnie jest ta dziwna burza, przed którą cię ostrzegałem... Chodź! Zbliżamy się do miejsca, które jest dla ciebie bardzo ważne.

Wiosna.

Runęła na nich niemal między jednym zakrętem rzeki a następnym. Drzewa pokryły świeże pączki. Powietrze było zimne, lecz bardziej

rozświetlone, a woda mniej rwąca. Jechali przez wiosnę – trwało to jakieś dwie godziny – a potem dotarli do lata. O zmierzchu byli już z powrotem w jesieni. Wydawało się, że postąpili rozsądnie, rozbijając obóz w tym łagodniejszym klimacie, lecz nocą rozpętała się dziwna wichura i zaczął padać śnieg, po czym nadszedł przerażająco parny upał.

Zdezorientowanej tym wszystkim Tallis trudno było zasnąć. Siedziała przy płonącym słabo ognisku, obserwując wędrujące wzdłuż rzeki stworzenia. O świcie znowu znaleźli się w jesieni, a kiedy ruszyli naprzód, nastąpiła zima.

Ich podróż trwała już cztery dni. Każdego z nich dwukrotnie przekraczali granicę pór roku. Wynne–Jones zaczął jednak przejawiać niepokój. W rzeczy samej, wiatr był bardzo dziwny. Niósł ze sobą osobliwe, bezładne zapachy i dźwięki.

Scathach wykorzystywał okresy lata, aby polować i zbierać jadalne rośliny. Najszybciej posuwali się wiosną i jesienią. Najwięcej czasu spędzali w zimie, po prostu dlatego, że wędrówka przez lodowatą nawałnicę była wyjątkowo trudna.

Gdy czasami zatrzymywali się na złączach między porami roku, Tallis wyczuwała strumień czasu, potężną spiralną burzę owijającą się wokół jakiegoś ogniska odległego o kilka dni jazdy na północ. Wynne–Jones narysował diagram węglem na gołej skale.

– Jest jak huragan. Ma oko, wokół którego odbywa się okrężny przepływ pór roku poruszających się bardzo powoli w szeregu odrębnych stref. Ponieważ przejeżdżamy przez nie, doświadczamy ich bardzo szybko jedna po drugiej. Spotkałem już kiedyś taką burzę. Najniebezpieczniejsze są porywy.

Następnego dnia, gdy ściany doliny stały się bardziej strome, wąwóz głębszy, a rzeka szersza, Tallis dowiedziała się, co miał na myśli stary. Niedługo przed zmierzchem przez letni las przemknęła fala koloru, poszerzające się pasmo złocistego brązu posuwające się przez zieleni.

Wydarzyło się to tak szybko, że niemal nie była w stanie prześledzić zmiany wzrokiem. W jednej chwili las był zielony i bujny, w następnej już się złocił, a potem liście buchnęły w powietrze, całkiem jakby doszło do wybuchu.

Jeźdźcy zatrzymali się. Koń Scathacha wpadł w panikę. Jeździec krzyknął na wierzchowca, który rozpryskiwał kopytami wodę, tańczył i szarpał się z niepokoju.

Po opadzie listowia nastąpił poryw pączkowania. Czarne gałęzie w ciągu sekund pokrywała nowa zieleń, która następnie eksplodowała w liście. Las zamigotał, znieruchomiał – chwila dławiącej, letniej ciszy, a potem wycie nowej pory roku, mroźny wiatr niosący ze sobą śmierć i ogołocenie drzew. Po raz drugi w ciągu dwóch minut ziemię pokrył śnieg i opadłe listowie.

Podróż przez strefę porywów czasu była przerażająca. Posuwali się naprzód z opuszczonymi głowami. Galopowali, gdy na chwilę zapadała cisza i upał, i odwracali się od niosącego lód wichru, kiedy straszliwe odpryski lodowca opadały ich niczym owady.

Po kilku godzinach częstotliwość zmian się zmniejszyła. Znaleźli punkt wiosenno–letniej oscylacji i spędzili tam noc, zdając sobie sprawę, że w odległości niewielu jardów mroźna zima nadchodzi i umiera, drzewa okrywają się zielenią, a potem znowu czernieją, całkiem jakby pąki były małymi zwierzątkami, chwytającymi okruchy światła, by szybko skryć się ponownie w norach pod korą.

Dotarli do „oka” owej burzy pod posępnym, zimowym niebem i Tallis natychmiast zaczęła rozpoznawać głęboki kanion, do którego wydrążenie otworzyła niedawno w towarzystwie Morthen.

– To tutaj – wyszeptała do Scathacha. – Zbliżamy się do celu. To jest to miejsce...

Młody wojownik strzepnął szron z rzadkiej brody i przesunął wzrokiem po stromych stokach doliny. Z ust buchała mu para.

– Ja też to czuję – przyznał. Wyglądał na zaniepokojonego. Jego koń obracał się nerwowo. – Słuchaj!

Tallis słyszała wiatr zawodzący między drzewami oraz stukot spadających kamieni. Popatrzyła na Scathacha, marszcząc brwi. Na jego twarzy pojawił się blady uśmiezek. Zielone oczy zalśniły nagłym podnieceniem.

– Bitwa! – zawołał. – Słyszysz bitwę?

Potrząsnęła głową.

– Tylko wiatr...

– Coś więcej niż wiatr! Szczęk mieczy... galopujące konie... krzyki. Musisz to słyszeć.

Nie przestawał wpatrywać się w szczyt urwiska.

– Tam na górze, za lasem. Są tam też moi przyjaciele... – Skierował pełne żaru spojrzenie na Tallis, po czym wyciągnął rękę, by złapać ją za ramię. – A więc jest między nami więź. Twój zamek i moje pole bitwy leżą blisko siebie...

Wynne-Jones również zaczął rozpoznawać mroczną, mroźną okolicę. Słysząc tu było echa ich ruchów oraz głośny szum rzeki, lecz tylko Scathach potrafił dosłyszeć odległe krzyki walczących. Ściany kanionu zbliżyły się do siebie, gdy jechali w gęstniejącym mroku. Wystające fragmenty skalne oraz konary niemal całkowicie zasłaniały niebo: kamienne ruiny porośnięte czarnymi drzewami, leżące w gruzach budowle starożytnego miasta wzniesionego w kanionie, które sprawiały wrażenie wykutych w samej skale.

W tych zwaliskach, wśród poczerniałych dębów i głogów, płonęły ogniska.

Teraz, gdy Tallis wsłuchiwała się intensywnie, usłyszała ostrzegawcze bicie w bęben. Dobrze znała ten dźwięk. Być może to on podekscytował Scathacha. Kiedy wpatrzyła się w ciemność, dostrzegła rozpadające się wieże i sypiące się ściany wzniesione wysoko na urwisku, gdzie teraz

zapaściły korzenie gigantyczne drzewa. Poruszały się tam czarne kształty. Niektóre kuliły się pod pochyłymi murami, a inne poruszały gwałtownie na tle szarego horyzontu.

– W moich snach to wszystko wyglądało inaczej – oznajmiła. – Wąwóz był szerszy, a zamek w lepszym stanie. Młodszy syn uwięziony w czymś takim uciekłby z łatwością.

– To miejsce mnie przyciąga – stwierdził po prostu nie słuchający jej Scathach. – Wzywa mojego ducha.

Stał w prymitywnych strzemionach siodła i powęszył intensywnie. Wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– Zapach bitwy! Nie można go pomylić z żadnym innym. Bavduin jest blisko. Rozpoznałbym tę woń wszędzie.

– Gdybym tylko miał dziennik – poskarżył się Wynne–Jones. – Coś, w czym mógłbym to zapisać, uwiecznić.

– Rozejrzyjcie się – syknął nagle Scathach, gdy wynurzyli się powoli zza zakrętu rzeki. Odwrócił się w siodle z wyrazem szoku na twarzy. – Popatrzcie wszędzie! Wszędzie wokół!

Na drzewach powiewały białe szmatki. W zbrojach odbijało się światło. W mroku poruszały się niespiesznie jakieś postacie. Tallis wciągnęła powietrze na widok ludzkich i końskich kości leżących na stosach nad rzeką i rzuconych między gałęzie – straszliwych szczątków tych, którzy nie odnieśli zwycięstwa. Wojownicy przykucnęli nad rzeką, niektórzy z nich pili, inni zaś tylko się gapili. Tallis czuła woń krwi i bardziej odrażający smród gnoju. Jakiś koń pośliznął się na lodzie i runął z głośnym rzeniem na bok. Podniósł się z trudem na nogi i pogalopował bez jeźdźca przez kanion. Jego rząd powiewał na wietrze.

Gdy jej oczy przyzwyczyły się do piekielnego mroku, zobaczyła, jak wiele nieszczęsnych trupów gromadziło się na północnym brzegu rzeki. Ignorowali się nawzajem po śmierci, choć niekiedy przycupnęli nie dalej niż na wyciągnięcie ręki od siebie, a ślizgając się po lodzie, nawet się

dotykali. Ich oczy były skupione wyłącznie na podróży w dół. Już dawno wyssano z nich bitewny zapach, miłość i dumę. Pozostały jedynie pozbawione duszy skorupy odziane w brąz lub skórę, futra lub jaskrawe spodnie. Hełmy lśniły, niektóre zwieńczone wysokimi pióropuszcami, inne udekorowane podobiznami zwierząt, a jeszcze inne pozbawione wszelkich ozdób. Brzeg był najeżony niepotrzebnymi już włóczniami i mieczami wbitymi w twardy muł.

– Bavduin to ponadczasowa bitwa – stwierdził Wynne–Jones, przesuając wzrokiem po posępnej grupie poległych. Z drzewa ześliznęły się kości, które runęły na rdzewiejącą zbroję. Tallis zauważyła tarcze nadziane na ułamane gałęzie i wystrzępione sztandary powiewające tam, gdzie je rzucono. Grupka rozkładających się, zawieszonych za włosy głów kołysała się na wietrze. Obwisłe szczęki wyśpiewywały bezgłośny lament, a martwe oczy śledziły wędrówkę ich duchów do nieznanych krain odpowiedniej epoki.

Na ścianie urwiska, na skalnych półkach pośród rozsypujących się ruin, paliły się pojedyncze ogniska. Na horyzoncie nad nimi również można było dostrzec płomienie. Wiatr przynosił stamtąd żałobny dźwięk trąby.

Scathach krzyknął głośno i uniósł miecz, po czym schował oręż do pochwy i oklapł w siodle, być może zasmucony myślą o przyjaciołach. Tallis przypomniała sobie jego fragmentaryczną relację z bitwy pod Bavduin, niekompletne wspomnienie legendy, która chwytала go w sidła.

W pobliżu Bavduin płynęła rzeka i każdej nocy nad wodę przychodzili polegli wracający do zimnej ziemi swej epoki i ojczyzny. W to miejsce przyzywali bogów oraz strażników zmarłych swych ludów i duchy mieszały się ze sobą w powietrzu niczym szalone bestie, walcząc i niszcząc na oślep.

Gdy zasłoniła twarz Morndun i spojrzała przez jej upiorne oczy, zobaczyła, że w powietrzu roi się od widmowych żywiołaków o ostrych rysach twarzy. Krążyły one i płały nad rzeką, wypadając z ust i oczu leżących na brzegu ludzi oraz ze stosów czaszek pod drzewami. Rogate

postacie, pokryte łuskami figury, istoty o wyglądzie owadów i pajaków, ptaki o twarzach młodych kobiet – Tallis drżała na widok tego milczącego zgromadzenia nadnaturalnych sił z tak wielu epok.

– Pokaż mi – wyszeptał Wynne–Jones, gdy jednak spojrzął przez maskę, nie dostrzegł nic poza ciemnością. Opisała mu więc, co wyczuła, a potem ruszyli naprzód przez ciche pole śmierci, z uwagą przyglądając się martwym i umierającym. Dotarli do początku krętej, biegnącej po urwisku ścieżki, która zdawała się prowadzić do twierdzy oraz rosnącego za nią lasu – na otwartą przestrzeń, gdzie pod ciemnym niebem toczono dziwną, ponadczasową bitwę.

Ukradli ogień zabitemu, którego wysmarowane wapnem włosy, naszyjnik, naga pierś pod obszytym futrem płaszczem i płócienna spódnica mówiły, że jest Celtem. Odebrał sobie życie i teraz wciąż leżał skulony w zimnym powietrzu, z dłonią na rękojeści miecza, który wbił sobie w serce. Wokół palców drugiej ręki owinięte były długie pasma kobiecych włosów. Jego łyzy zamarły, przez co oczy i policzki lśniły od lodu. Scathach zaciągnął sztywne ciało z powrotem pod drzewa i położył na boku. Następnie wyprostował się, westchnął i spojrzął w górę zbocza. Wyszeptał imiona Jaguthinów, zaciskając pięści z bólu.

– Będą tam – powiedział cicho do Tallis. – Będą tam. Wszyscy. Muszę się z nimi połączyć.

– Nie porzucaj jeszcze staruszka – poprosiła go. – Daj mi czas, bym udała się do ruin i poszukała śladów Harry’ego.

– I przeszła do Lavondyss? I skazała mnie na wieczne oczekiwanie?

– Nie zrobię tego, dopóki nie zobaczę, co tam jest, i nie wysłucham, co poradzi mi zrobić w tej sprawie twój ojciec.

Scathach nie był przekonany. Uszczypnęła go w policzek.

– Kilka minut w ruinach. Najwyżej godzina. Nie zamierzam być tak porywcza jak ty! Potem będziemy mogli pożegnać się jak należy.

Objęła go ramionami. Przycisnęła ją mocno do siebie. Ich futra były za grube i czuli bardzo niewiele, lecz Tallis rozpięła jego ubranie i pocałowała go szybko w zimną, napiętą skórę szyi. Zareagował bardziej namiętnie i na krótką chwilę nieobecny wyraz jego oczu ustąpił miejsca zrozumieniu i wesołości.

– Pożegnać się jak należy – powtórzyła, czując szczypaniem w oczach. – Bez względu na zimno. Zaczekaj na mnie...

– Zaczekam – zgodził się cicho. – Znajdę coś do jedzenia, jeśli zdołam – dodał, spoglądając na ciemną rzekę. – Tyle, żeby wystarczyło na kilka dni. Moglibyśmy jeść mięso mitotworów...

– Nie!

Uśmiechnął się.

– W takim razie znajdę coś, co ma grubszą skórę i twardsze mięso. Uważaj na szlaku. Unikaj wszystkiego, co brzmi jak walka, i wszystkich, którzy wyglądają na nieżywych. I wracaj szybko...

Stroma, oddalająca się od rzeki ścieżka wiodła między niskimi, nagimi drzewami. Była niebezpieczna z uwagi na luźne głazy i śnieg. Biegła niepewnie po stoku doliny, czasami nie szersza niż ciało zwierzęcia, a w innych miejscach tworząca tunel w skale.

Jadąc w górę tą wąską trasą, Tallis powodowała osuwanie się kamieni, które wpadały do lśniącej wody w dole. Na pewnej wysokości zatrzymała się, by wsłuchać się w dźwięk, który pamiętała z dzieciństwa, z czasu, gdy przywołała obrazy z innego świata i Harry zawołał do niej o pomoc.

To było to samo miejsce. Ogarnęło ją uniesienie, gdy zdała sobie z tego sprawę, gdy rozpoznała echo kopyt swego konia wspinającego się po oblodzonej ścieżce, poczuła woń płonącego drewna, usłyszała bęben i łopot skór prymitywnych namiotów ustawionych przed łukiem bramy leżącej w gruzach twierdzy.

Z ciernistego gąszczu patrzyły na nią czyjeś oczy. Przejechała obok ognisk. Ci ludzie przebywali tu od lat. Widać było, że miejsce jest zamieszkane od dawna. Tylko dzieci miały tyle odwagi, by wyjść z ukrycia i przyjrzeć się jej pozbawionymi wyrazu oczyma. Były odziane w futra, włosy związały sobie w kitki na czubku głowy, a na rękach i nogach miały grzechoczące bransolety z kości i gładzonego kamienia. Przypominały chłopca, którego widziała w Oak Lodge...

W bęben biła kobieta w czarnym kapturze, która obserwowała ją z niskiego namiotu, na wpół zasłonięta przez skóry, futra i drewniane rzeźby. Tallis ujrzała w ścianie urwiska ziejącą szczelinę, a także płonące w jej głębi małe ognisko oświetlające grupę drewnianych statuetek. Niektóre z nich stały, a inne zwisały na sznurkach u wejścia do groty.

Ruszyła w dalszą drogę, pochylając się pod konarami drzew. Z drzeniem minęła posągi strzegące rozsypującej się bramy. Były to zwierzęta, nie ludzie, sprawiały jednak wrażenie koszmarów, duchów. Choć rozpoznawała kończyny, zęby i oczy leśnych stworzeń, najsilniej uderzył ją widoczny w nich element szaleństwa.

Wszystko w owym świecie było zrodzone z umysłów ludzi, a ponieważ wszyscy ludzie byli szaleni, były to szalone stwory, które biegały jak szalone.

Wreszcie dotarła do kamiennych korytarzy i galerii, które ongiś zaprowadziły Harry'ego do pierwszej puszczy i zakazanej krainy, w której zimowych objęciach zaginął. Szeptał do niej zimny kamień. Wdrapała się na schody i wyjrzała przez szerokie okna na kanion i zalesione obszary ciągnące się na południu i zachodzie. Zaglądała do małych salek, aż wreszcie zatrzymała się pod ścianą olbrzymiej komnaty, której sklepienie zmurszało, a w grotach między obwisłymi belkami fruwały ciemne stworzenia. Znała dobrze tę salę z wielkim paleniskiem i marmurową posadzką. Podeszła do miejsca, w którym siadywał król. Stała w punkcie, z którego w opowieści widziała Scathacha. Jego twarz stała się teraz dla

niej identyczna z twarzą młodego mężczyzny, w którego towarzystwie wędrowała. Przypomniała sobie gniew w jego oczach, gdy spoglądał na nią ponad stołem. Zdała sobie wreszcie sprawę, że owa wściekłość nie była bynajmniej skierowana pod jej adresem. Prosił ją o pomoc, błagał, ogarnięty furią, o wsparcie siostry... tyle że był bardzo młody i nie potrafił zapanować nad ujawniającymi się na twarzy uczuciami, przez co Tallis drżała na widok jego wyimaginowanej złości i dopiero w tej chwili rozpoznała w jego oczach desperację.

Kim byłam? Dlaczego czuję się taka stara? Jeśli byłam w opowieści jego siostrą, to skąd ta starość i zimno?

Gdyby tylko wejrzała głębiej w jego oczy. Mogłaby dojrzeć w nich własne odbicie. Mogłaby wszystko zrozumieć.

W irytujących ruinach było coś znajomego, co podnosiło ją na duchu. Ów mitotworowy krajobraz wygenerował wiele lat temu poparzony lotnik, stworzył go podczas podróży do najgłębiej położonego, najbardziej starożytnego ze wszystkich miejsc. Widząc elementy swych opowieści, uśmiechała się, lecz echa wspomnienia o Harrym ją zasmucały. Choć ciało jej marzło, była otoczona ciepłem, całkiem jakby objęty ją ramiona brata, przytulając ją bezpiecznie do piersi. Dotknęła kamiennych murów, tak jak mogłaby dotknąć policzka, niespiesznie, długotrwale. Były takie ciemne, takie dziwne. Wyczuwało się w nich wilgoć, osobliwą lepkość. Wzory wykute w skałach wywoływały różne skojarzenia. Wyobrażała sobie delikatne krystaliczne maswerki, piękne łuki i zwoje spirali, widok równie cudowny, jak delikatne linie na twarzy matki.

Wiedziała, co to za materiał, lecz owa myśl nie docierała do niej, nie przebijała się na powierzchnię. Był to kamień, który nie był prawdziwym kamieniem. Wciąż zastanawiała się nad tym osobliwym faktem, choć odpowiedź na ową błahą zagadkę była oczywista, widoczna wszędzie wokół.

Wędrowała bez celu, wchodziła na wieże i podążała krętymi galeriami wiodącymi daleko w głąb urwiska. Zmierzch ustępował miejsca nocy i ogniska przed bramą paliły się jasno. Padał lekki śnieżek, przekształcający obraz lasu. Przez pustą czaszkę twierdzy dął wicher, nierówny oddech umierającego. W jednym z pomieszczeń znalazła wystrzępione resztki białego sztandaru ozdobionego godłem wyobrażającym ptaka.

Przez szerokie okno dostrzegła stamtąd gęsty zagajnik, którego ciasno rosnące drzewa nie do końca skrywały ścieżkę wiodącą ku małej jaskini. Tallis znajdowała się wysoko na ścianie urwiska, a skalna półka była blisko ciemniejszego nieba. Pomyślała, że jeśli ruszy tym szlakiem i wespnie się na nierówno ociosaną skałę otaczającą wejście do groty, znajdzie się na szczycie wąwozu. Z takiego punktu obserwacyjnego rozciągnąłby się przed nią widok na całą krainę – aż po granicę lasu we wszystkich kierunkach...

Komnata była przytulna, choć zimna, wilgotna i ciemna. Tallis ruszyła wzdłuż jej ścian. Próbowała wyobrazić sobie, jak Harry przycupnął tu przy rozpalonym na środku pomieszczenia ognisku, wpatrując się w jaskinię, sięgając ku pierwszej puszczy, przyciągając do siebie to, co starożytnie.

Blade światło księżyca rozświetlało zimowe niebo. Chmury rozproszyły się na chwilę i ponury, pokryty spiralnymi wzorami kamień rozjarzył się srebrzyście, odbijając chłodne promienie.

Coś w murze...

Przeszła przez komnatę i wyciągnęła rękę, by dotknąć białego w ścianę błyszczącego przedmiotu. Wyglądało to tak, jakby rewolwer oblała skała. Lufę i kabłąk spustu objęły kręte pasma kamienia. Łatwo jednak było dostrzec zarys broni, choć metal skorodował już, a drewno zbutwiało. Nie było jednak tak przegniłe, by nie można było dostrzec inicjałów u podstawy rękojeści.

H.K.

Harry Keeton!

A więc był to rewolwer jej brata. Przeszył ją dreszcz na jego widok, jego dotyk. Nie mogła wyrwać broni ze ściany, lecz zatrzymała się na chwilę, gapiąc się na nią. Lufa wskazywała w stronę jaskini. Rewolwer przepęśniał komnatę swoim wpływem.

Kierując się instynktem, szlakiem myśli i wspomnienia, które jej pozostały, dotarła pewnie i z wielką stanowczością do ostatecznego miejsca śmierci Harry'ego.

A stąd do powtórnych narodzin był już tylko jeden krok...

Wyszła więc przez szerokie okno i skierowała się ku jaskini. Po jej lewej stronie ziemia opadała, stromo i przerażająco, ku płynącej w dole rzece. Widziała tam migoczące ognisko. Ognisko Wynne-Jonesa. Rzeka połyskiwała w świetle zmierzchu.

Z wąwozu dobiegał jakiś dźwięk, dziwne furkotanie. Ujrzała mroczny, okrągły kształt, który wyłonił się z głębin i wspinał po ścianach kanionu. Przypominał czarne koło upstrzone białymi plamkami. Wydawał z siebie świergotliwy dźwięk... Przyglądała się zafascynowana, jak ów przedmiot wznosi się ku niej. Dopiero po kilkunastu sekundach zdała sobie sprawę, że to stado skrzeczących ptaków, niesionych wznoszącym się prądem powietrza ku swobodnemu niebu. Przycupnęła, gdy przemknęło z wrzaskiem obok niej, łopocząc skrzydłami. Kilka sztuk wpadło w panikę, uderzywszy o mury twierdzy, bądź też wleciało gorączkowo do ciasnej komnaty, lecz większość zatoczyła krąg nad głową Tallis, a potem pomknęła na południe i zniknęła w przygasającym blasku nieba.

Ta nagła, paniczna ucieczka zniszczyła poczucie bliskości jej brata. Stojąc niepewnie na stromym urwisku, Tallis popatrzyła w dół, ku rzece. Usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Dobiegające z głębin echo było zniekształcone. Natychmiast poczuła się zaniepokojona i wróciła do miejsca, w którym przywiązała Pływającą po Jeziorach.

Prowadząc zwierzę za wodze, zeszła stromą ścieżką do miejsca, gdzie rozbito namioty. Minęła ogniska, nigdzie nie dostrzegając oznak ruchu. Nagle zauważyła, że ktoś biegnie ku niej między ciemnymi drzewami. Postać wpadła na oświetloną bladym światłem ognisk ścieżkę, zatrzymała się, zaszczębiotała i pognała dalej, wymachując podczas biegu ramionami.

– Ostrokrzewka! – zawołała Tallis. Ta zatrzymała się na chwilę, całkiem jakby zrozumiała swe imię. Popatrzyła ze smutkiem na kobietę i konia. Niewątpliwie była wiecznie zielonym Jasiem. Jej ostrokrzewowa skóra była rozdarta i wystrzępiona, a ciało drżało. Wyglądała tak, jakby ją zaatakowano. Na oczach Tallis z jej piersi opadło kilka kłujących liści. Stworzenie dotknęło złamanych szypulek, jak gdyby cierpiało ból. Następnie odwróciło się i popędziło dalej, w kierunku bramy ruin. Być może Ostrokrzewka zdawała sobie sprawę, co leży przed nią, możliwe też jednak, że gnała na oślep.

Nagle Tallis zdała sobie sprawę, że biegnącą kieruje strach.

Między namioty wpadł wilk, który zatrzymał się i wzniosł na tylne łapy niczym człowiek.

Pływająca po Jeziorach stanęła dęba, ogarnięta paniką. Tallis ściągnęła zwierzę z powrotem na cztery nogi. Uspokoiła klacz, głaszcząc ją po pysku i szepcząc ciche słowa. Scarag zatrzymał się, ledwie widoczny w słabym świetle. Kołysał się lekko, poruszając wilgotnymi szczękami. Bił od niego silny smród zwierzęcia i lasu. Postąpił szybki krok na bok, głębiej w cień, po czym odwrócił przypominającą czaszkę głowę i spojrzał w górę ścieżki. Poruszał się ze skrzypieniem i traskiem, niczym stare drzewo depczące świeże liście. Szkieletowate ręce uniosły się w górę, a jedna z nich wskazała w jakimś kierunku. Oczy, które były jedynie otworami w przeżartym przez robaki drewnie, zdawały się szukać u kobiety współczucia. Usta, które zadrżały i otworzyły się, odsłaniając ostre ciernie pełniące funkcję zębów, próbowały najwyraźniej coś powiedzieć. Leśna

istota przypominała kształtem wilka, lecz była pozbawiona futra i pokryta jedynie resztką ciała przylegającego do nagich, sterczących kości.

Opadła na przednie łapy i zaczęła łązić powoli w lewo i w prawo. Powęszyła, zawyła niczym pies, a potem przemknęła obok Tallis. Gnała na tylnych kończynach, pochylona, tak szybko, że kobieta ledwie mogła śledzić ją wzrokiem. Wpadła do jednego z namiotów, lecz po chwili wybiegła na zewnątrz i popędziła w stronę Tallis z błyskiem w pozbawionych wyrazu oczach. Kobieta miała krótką włócznię. Ledwie zdążyła ją unieść i pchnąć scaragą. Grot przeszedł przez ciało jak przez porastający drzewo grzyb. Stworzenie zatrzymało się jednak. Tallis wyszarpnęła broń i uderzyła je w głowę. Zachwiało się. Po raz drugi wbiła włócznię między żebra. Tym razem grot znalazł punkt oparcia i zatrzymał się. Gdy szarpnęła orężem w bok, scarag przewrócił się, szarpiąc śmiertelne drewno.

Wilcze zawodzenie, ostry skowyt, szczekający śmiertelny zew; potem Tallis przerzuciła zimowego potwora przez krawędź przepaści. Spadając w dół, wyciągnął ramiona. Wydało jej się, że słyszy głos sowy. Opadający kształt, czarny i ledwie widoczny, skręcił nagle w lewo, a potem obniżył lot i zatoczył krąg, kierując ku niej białe oblicze, nim zniknął w ciemności.

Uwolniona z postronka, przerażona spotkaniem ze scaragiem, Pływająca po Jeziorach rzuciła się do ucieczki. Tallis słyszała, jak zwierzę posuwa się z wysiłkiem po oblodzonej ścieżce na dole. Ruszyła za nim. Gdy dotarła nad rzekę, klacz czekała na nią z opuszczoną głową, jakby była speszona. Gdy Tallis się zbliżyła, wierzchowiec zarżał głośno, po czym zatupał kopytami i wycofał się między drzewa. Kobieta zdała sobie sprawę, że kierował nim nie wstyd, lecz strach.

Ruszyła wzdłuż rzeki ku miejscu, gdzie paliło się ognisko Wynne-Jonesa. Widziała jednego konia, lecz żadnego śladu ludzi. Coś jednak... coś wysokiego, przypominającego zwierzę... nieruchomo...

Zbliżyła się ostrożnie.

Ujrzała scaraga zwisającego bezwładnie na przebijającej mu szczękę lancy Scathacha, którą wbito w ziemię. Istota szarpnęła się, a potem znieruchomiała. Jej długie palce zwinęły się w agonii, a następnie rozluźniły. Na szyi zatrzepotał brązowy i uschnięty fragment dębowego liścia, co pozwoliło Tallis rozpoznać wodza. Przy ognisku leżała głowa drugiego scaraga z szeroko rozdziawioną paszczą. Wilcze oblicze było niemal nierozpoznawalne. Trup spoczywał na ziemi, z rękami i nogami odrąbanymi od ciała. Tallis zauważyła pączkujące z suchej kory skóry załączki piór, których wzrost przerwała gwałtowna śmierć istoty.

Gdzie był Scathach? I Wynne-Jones? Parskanie konia przyciągnęło jej uwagę w prawą stronę. Stał tam byle jak przywiązany wierzchowiec, którego ukradł Scathach. Za jej plecami do rzeki wpadł kamień. Odwróciła się i podniosła wzrok ku płonącym na urwisku ogniskom oraz ciemnym chmurom nad turniami i wałami twierdzy.

Ruch...

Otaczał ją ze wszystkich stron. Odwróciła się gwałtownie, bezbronna i przerażona. Wyciągnęła rękę do ogniska, by pochwycić żagiew, lecz coś złapało ją za ramię, pociągnęło ku sobie i zatopiło zęby w jej policzku. Krzyknęła, uderzając wilka. Grot włóczni przebił jej futro i skórę, a potem wycofał się. Napastnik znieruchomiał, oklapł, osunął się w ramionach Tallis i legł na boku na ziemi. Scathach przebił go od tyłu. Grot posunął się za daleko i zranił kobietę. Potarła się po brzuchu i dotknęła delikatnie twarzy, rozsmarowując krew i zaciskając płytką ranę po ukąszeniu. Scathach nie powiedział nic.

- Zabiłam jednego na urwisku – oznajmiła. – Ostrokrzewka uciekała...
- A więc został tylko szaman.
- Czy zaatakuje nas jak reszta?
- Potrzebuje życia. Zabije, by zdobyć krew.

Rozejrzał się niespokojnie wokół. Tallis stanęła obok niego. Rozkład zimowej zieleni wokół nich postępował coraz szybciej i odór był

przytłaczający.

– Gdzie Wynne–Jones?

– Zabrał konia i wrócił na południe – wyjaśnił Scathach. – Powiedział, że nie może żyć bez swojego dziennika...

Tallis była wściekła.

– Pozwoliłeś mu odejść?

– Odszedł – odparł bez ogródek Scathach. – Nie mogłem go w żaden sposób powstrzymać. Te stwory pewnie go wczoraj zabiły...

Wczoraj? Przecież spędziła na górze tylko dwie, najwyżej trzy godziny. Co chciał przez to powiedzieć? Kiedy go o to zapytała, wydawał się zdumiony jej słowami.

– Siedziałś tam dwa dni. Byłem bardzo cierpliwy!

– Dwa dni!

Jej zdumienie wyraźnie go ułagodziło.

– Znacznie dłużej, niż obiecywałoś. Teraz moja kolej. Muszę wyruszyć na pole bitwy. Ojciec wszystko mi wyjaśnił. Są tam Jaguthini; moi przyjaciele... całe moje życie. Muszę znowu się z nimi spotkać, towarzyszyć im w walce, połączyć się z nimi. W ten sposób uwolnię się od nich, odzyskam swobodę.

– A co zrobisz później?

– Wrócę do twojego świata, żeby kontynuować dzieło ojca.

Tylko że zginiesz, pomyślała ze smutkiem. Umrzesz pod dębem. Spłoniesz na stosie. Wędrując pod Bavduin, można znaleźć tylko jeden rodzaj wolności. Wolność gwałtownej śmierci.

Zakręciło się jej w głowie od tempa wypadków. Wynne–Jones rozpoczął powrotną wędrowkę do krainy Tuthanachów, a ona nie była przygotowana na jego odjazd! Teraz, gdy znalazła miejsce, w którym Harry przeszedł do Lavondyss, chciała, by stary był z nią. Potrzebowała jego rad, jego intuicji... nawet jego pomocy! I jak zdoła przeprowadzić się przez bagno? Nie miał talentu do otwierania przejść, wydrążeń...

– Umrze. Nie zdoła dotrzeć do domu bez pomocy.

Popatrzyła na Pływającą po Jeziorach. Zastanowiła się, czy klacz naprawdę zrozumiała jej obietnicę. Jeśli tak, jeśli podobna magia była w tym królestwie skuteczna, Pływająca była dla starego jedyną nadzieją powrotu. A jeśli dotrze bezpiecznie do Tuthanachów, możliwe, że zdoła się bronić przed Tigiem wystarczająco długo, by zdążyła wrócić i zapytać go o podróż, którą wkrótce miała przedsięwziąć, wiodącą śladami Harry’ego przez najwyżej położoną komnatę zamku i przez jaskinię.

Powiedziała Scathachowi, co ma zamiar uczynić.

– Z tym koniem będzie miał szansę. Ale nie opuszczaj mnie. Nie wjeżdżaj na urwisko, dopóki nie wrócę. Chcę ci towarzyszyć pod Bavduin. Chcę być przy tym, jak odnajdziesz pozostałych.

– W takim razie pośpiesz się – odrzekł. – Czekałem na ciebie dwa dni. Tamci już na pewno mnie szukają. Musimy razem przyłączyć się do bitwy. Nie mogę ich zawieść.

– Zaczekaj na mnie – nalegała. – I uważaj na szamana daurogów. Był młody. Może być niebezpieczny.

– Potrafię dać sobie radę – odparł z zawziętością w głosie, wskazując głową na drżącego trupa wodza scaragów wciąż zwisającego z włóczni.

Tallis dosiadła Pływającej po Jeziorach i ruszyła z powrotem na południe, poganiając klacz kopniakami, zmuszając ją do wysiłku, do prześcigającego noc biegu w kierunku wirujących stref pór roku.

Znalazła Wynne–Jonesa, gdy odpoczywał pod nawisem skalnej wyniosłości, wyczerpany, nieszczęśliwy i zagłodzony. Upolowała ptaka, oskubała go i upiekła, po czym nakarmiła starego płatkami mięsa. Na kościach nagotowała rosółu, do którego dodała często spotykanych w okresie lata korzonków. Po chwili Wynne–Jones w znacznym stopniu odzyskał siły. Nie zdołała jednak wyperswadować mu jego planów. Nie chciał wrócić na północ.

– Po cóż miałbym odnaleźć miejsce, w którym zginie mój syn? Wiem, że ta chwila się zbliża. Nie chcę tego oglądać. Ty musisz wyruszyć w podróż, a ja uniknąć śmierci. Wole odzyskać dziennik i stanąć do walki z Tigiem niż umrzeć z zimna i stać się pokarmem dla wilków, nie mając niczego, co przypominałoby mi o czystej przyjemności, jakiej zaznałem w życiu. Te zapiski są dla mnie ważne.

– Tig na pewno je spalił – stwierdziła Tallis. – Tak jak twoje rajathuki.

– Tak. Z pewnością spalił niektóre kartki. Ale spędziłem w lesie wiele lat i jest tam do czytania znacznie więcej niż to, co trzymałem w chacie szamana. Te kilka stron utraciłem, ale większość jest ukryta. Tylko Morthen wie gdzie... moja droga Morthen...

Miał smutną minę.

– Jeśli ją znajdziesz, przyprowadź ją do mnie...

– Spróbuję. Przyprowadzę też Scathacha.

– Jak mogłabyś to zrobić? Widziałaś już jego los.

Tallis uśmiechnęła się.

– Pędząca szaleńczo na koniu kobieta wyciągała ręce, by uratować go ze stosu. Wyglądała na zakochaną w nim. Mógł jeszcze nie być martwy. Zresztą, jak powiedziałeś mi w chacie, gdy umrze jako wojownik, czekają go powtórne narodziny. Rzecz tylko w tym, żeby go rozpoznać...

Dłoń Wynne–Jonesa zacisnęła się wokół jej nadgarstka.

– Życzę ci szczęścia. Mam nadzieję, że dotrzesz do celu i znajdziesz Harry'ego.

– Już go znalazłam. Znalazłam jego pistolet. Był w zamku. Tamtędy biegnie droga do Lavondyss. Jest tam jaskinia. Muszę się tylko dowiedzieć, jak otworzyć przejście.

Wynne–Jones uśmiechnął się blado z sympatią na naznaczonej bliznami twarzy. Wyraz głębszej wiedzy w jego zdrowym oku nie umknął jej uwagi.

– O co chodzi?

– Gdy będziesz podążać za bratem przez pierwszą puszcę – zaczął – pamiętaj o jednym, jeśli będziesz mogła... nie przestawaj zadawać sobie pytania, dlaczego nie udało mu się wrócić. Co go uwięziło? Nie popełnij tego samego błędu. Nie wędruj za szybko. Słuchaj głosów zimy, lasu i ptaków. Gdzieś w całym tym chaosie obrazów i opowieści, które przyniosłaś ze sobą, kryje się powód, dla którego Harry’emu nie udało się wrócić.

Usiadł.

– Chciałbym pomóc ci bardziej, ale nie potrafię. Jestem jednak pewien, że błąd, który popełnił, można odnaleźć gdzieś w twoich opowieściach. Musisz wejść do Lavondyss jako dziecko, nie jako kobieta. Patrz i słuchaj zmysłami dziecka. Może dostrzeżesz jego błąd i uda ci się go uniknąć...

– Dziękuję za radę – powiedziała Tallis. – W zamian dam ci konia.

– Ale ja już mam konia.

– Mój pływa po jeziorach.

– Aha. To rzeczywiście może się przydać.

– Klacz jest twoja. Bądź dla niej dobry.

– Uważaj na mojego syna. Poszukaj mojej córki. Nie oddawaj się żałobie.

– Jeśli zrobię wszystko jak należy, uratuję i Harry’ego, i Scathacha. Zrealizuję wszystkie swe pragnienia.

– Podoba mi się twoja determinacja – stwierdził Wynne–Jones, ściskając czule jej ramię. – Dotąd byłem pesymistą. Sądziłem, że jesteś skazana na nieuchronną klęskę. Teraz nie jestem już tego taki pewien. Tworzysz szybciej, niż królestwo potrafi niszczyć. Stworzyłaś opowieści. Spowodowałaś zmiany. Być może w twoich zimowych pieśniach i dziwnych melorecytacjach kryje się magia potrzebna, by zapewnić twej podróży szczęśliwy koniec.

Tallis ucałowała zimne, wąskie wargi i pogłaskała palcem straszliwe ślady pozostawione przez atak Tiga.

- Szczęśliwej drogi, starcze.
- Będzie szczęśliwa. A ty nie zapomnij. Pozwól, by towarzyszyło ci dziecko.
- Pozwolę.

W głębi serca Tallis wiedziała, że Scathach na nią nie zaczeka. Mimo to przeżyła szok, przekonawszy się, że złamał dane jej słowo. Rozrzuciła kopniakami popioły wygasłego ogniska, wyciem dając wyraz gniewowi i żałobie.

- Trzeba było zaczekać! Mogłam cię uratować!

Przez Skogena nie widziała nic oprócz cieni lata, które ongiś rozkwitało w tym wąwozie. Przez Morndun dostrzegła wijące się i biegające duchy, które skryły się między drzewami, gdy padło na nie jej dręczące spojrzenie i zdały sobie sprawę, że ktoś je obserwuje. Wszędzie wokół leżały czekające na rozpoczęcie swej drogi trupy, których krew wypływała do zimnej wody.

Nie dostrzegła żadnego śladu mężczyzny, którego kochała.

Poszedł jednak na polowanie, by zdobyć coś dla niej. Na gałęzi drzewa wisiały ćwiartki jakiegoś małego zwierzęcia owinięte w skórzany worek. Ściągnęła je w dół i cisnęła na drugi brzeg rzeki, lecz po zastanowieniu poszła po cenne mięso i przytroczyła je do chudego konia, który był teraz jej wierzchowcem.

Zwierzę, niespokojne, przemarznięte i głodne, zareagowało na jej nagłe uspokajające gesty. Tupnęło kopytem i parsknęło dziarsko. Tallis dała mu garstkę owsa, którą jeszcze miała. Było chude. Marniało szybko, jak wszystkie konie w tej okrutnej krainie. Mogła wykorzystywać je jeszcze przez kilka dni, nie miało jednak pożyć długo.

Na stromej ścieżce wiodącej do twierdzy nadal paliły się ogniska. Tallis popatrzyła na nie, po czym pozwoliła, by jej wzrok powędrował wzdłuż ostrych turni i sterczących murów zamku. W jego stronę uciekła

Ostrokrzewka. Być może wciąż ukrywała się przerażona w wysokich, wietrznych komnatach. Duch Harry'ego wołał do Tallis z kamiennej czaszki zamczyska. Wizje owej zimy, a także letniego lasu urągały jej... wzywały ją... od drogi do Lavondyss dzieliła ją jedynie krótka wspinaczka. Musiała tylko zdecydować się wyruszyć, opuścić Scathacha.

Nie mogła jednak tego zrobić. Widziała kobietę, która wyjechała z ciemnego lasu, dając krzykiem wyraz swej żałobie. Jej pomalowane gliną włosy powiewały na wietrze, gdy okrążała ognisko. A potem – wspomnienie było ulotne, lecz narastało przez lata – wyciągnęła rękę do chłopaka...

Co zamierzała zrobić? Uratować Scathacha z ognia?

Kobieta, która go kochała... która mu towarzyszyła... długie włosy i twarz wysmarowane białą gliną. Tallis nie miała jeszcze wówczas Księżycowego Snu – maski pozwalającej jej ujrzeć kobietę w krainie – lecz intuicyjnie wiedziała, kogo zobaczyła, wiedziała, że sięgnęła w owej wizji do tego dnia, leżącego, być może, w jej przyszłości. Przez całe życie nawiedzały ją wizje jej samej. Gdyby miała wtedy Księżycowy Sen, mogłaby zobaczyć więcej, rozróżnić między wpływem, jaki wywierał na jej dzieciństwo Harry, a tym, który wywierała ona...

Pozwól, by towarzyszyło ci dziecko.

Patrz i słuchaj zmysłami dziecka.

Sięgnęła do sakwy i wyciągnęła małe zawiniątko zawierające białą glinę, którą zabrała z chaty Wynne–Jonesa, a potem wykorzystwała do wykonania Księżycowego Snu. Stwardniała lekko, Tallis zwilżyła ją więc lodowatą wodą i ugniatała, aż pokryła ją warstewką białej cieczy. Wysmarowała sobie tym wysiękiem twarz i zlała jego strużkami włosy.

Na razie tylko trochę. Podczas dalszej drogi zwiększy ilość gliny. Akt dekoracji był rytuałem zarówno miłości, jak i śmierci. Wdrapała się na

siodło niespokojnego konia i pogoniła go kopniakiem w górę ścieżki, ku twierdzy i dalej.

III

Wkrótce otoczyła ją puszcza, miejscami tak gęsta i ciemna, że nawet gdy wstał już nowy dzień, wydawało jej się, iż nadal przebywa w królestwie nocy. Charakter i natura boru zmieniały się z każdym furlongiem, a wraz z nimi ślady rzezi i bitwy. W dębowym lesie mijała polany, na których zakapturzeni mężczyźni śpiewali nad wyrzeźbionymi w drewnie głowami bądź chodzili wokół stosów zbroi poległych wojowników. Widziała owalne tarcze, na których poprzecinanej skórze lśniły wykonane pozłotą wizerunki dzików i jeleni, a także złamane miecze, płaszcze o jaskrawych barwach oraz małe wiklinowe rydwany, zdruzgotane lub spalone. W każdym z nich kryła się przykucnięta, naga postać martwego jeźdźca. Z konarów zwisały tam głowy, które lśniły jak wysmarowane oliwą. Wydawało się, że śpiew kapłanów przywołuje skrzydła, choć przejeżdżając obok owych celtyckich miejsc pochówku, Tallis nie dostrzegła niczego. Słyszała jednak ochryply głos uradowanej wroniej bogini.

Skryła się w gąszczu głogu i ostrokrzewu, zakrywając delikatnie dłonią pysk konia, gdy mijał ją legion obszarpańców. Przyglądała się zdumiona, jak rozbity oddział maszeruje dwuszeregiem w absolutnym milczeniu, pomijając głuchy grzechot sprzętu. Rozpoznała rzymskich żołnierzy, lecz nie miała pojęcia o ich broni ani typach umundurowania, które umożliwiały rozróżnianie poszczególnych legionów. Matowe hełmy wyglądały na wykonane z żelaza, a płaszcze były długie i czerwone. Niektórzy nieśli tarcze, wielkie owale z wydatnymi umbami, ozdobione wizerunkami orłów. Piechocie towarzyszyła konnica. Przez las posuwały się też z łoskotem wozy obijające się o drzewa, przeciągane po bagnistym gruncie i przez

zwalone na ziemię pnie. Jaki umysł mógł stworzyć ten mitotwór, pomyślała zdumiona Tallis.

Gdy zapuściła się głębiej w zmieniającą się puszcze, natrafiła na pozostałości kłeski Rzymian...

Las był niemal czarny. Wyniosłe pnie sosen i jodeł, niektóre o olbrzymich rozmiarach, wyrastały tu gęsto i wysoko, przesłaniając światło. Sprowadzały na świat ciszę, a gruba warstwa igliwia leżąca na ziemi sprawiała, że Tallis poruszała się bezgłośnie. Nawet parskanie konia było stłumione, całkiem jakby wsysał je ciemny bór. Tallis poczuła strach. Od czasu do czasu dostrzegała ogień, lecz gdy się do niego zbliżała, widziała przywiązanych do słupów, płonących na stosach ludzi. Ze wszystkich stron otaczał ją ruch. Konie galopowały przez mroczną knieję zbyt szybko dla jej zmysłów. Dostrzegała przelotnie jeźdźców, wysokich, żółtowołosych mężczyzn o hełmach ozdobionych półksiężycami, kolcami lub wygiętymi w dół rogami. Ich podniesione głosy brzmiały gardłowo.

Bór przeszedł w wielką polanę. Tallis ogarnęły mdłości na widok jatek, do których na niej doszło. Na środku leżał stos głów, a wokół nich, ułożone na kształt korony słonecznej, odcięte ręce i nogi. Tułowia zabitych nadziano na drzewa, tworząc krąg poszarzałych ciał, na znak drwiny udekorowanych strzępami płaszczy i spódniczek. Tarcze stały oparte o pnie sosen. Obok nich leżały połamane włócznie, a hełmy, matowe, żelazne hełmy zaginionego legionu, przybito do kory.

Gnijących trupów strzegła czwórka chudych, drewnianych bogów wykonanych z brzozowych gałęzi. Nie byli grubszy od ramienia, lecz dwukrotnie przewyższali wzrostem Tallis. Włosy Rzymian spleciono w warkocze, by sporządzić czupryny figur. Na szczycie każdej z tyczek umieszczono czaszkę, a wzdłuż nich poprzybijano gwoździami pary dłoni. W centralnym punkcie każdego leśnego strażnika znajdowały się skurczone, poszarzałe, smętne, odcięte organy płciowe. Brzozowych bogów pomalowano krwią, która już szerniała.

Na zwłokach ucztowały wielkie padlinożerne ptaki. Zerwały się panicznie do lotu, gdy Tallis weszła na teren cmentarza, lecz wróciły na ziemię z głośnym krzykiem, zbyt nażarte, by odlecieć daleko.

Szybko minęła obszary spoczynku umarłych. Po chwili natura puszczy znowu uległa zmianie. Tallis przedzierała się teraz przez gąszcze ostrokrzewu i splątane zagajniki zimowej tarniny, wciąż porośniętej martwym listowiem. Wyniosłe, omszałe dęby zaprowadziły ją do skraju lasu. Wkrótce poczuła woń dymu z ogniska i zdała sobie sprawę, że rozciąga się przed nią otwarta przestrzeń. Nie było słychać szczęku żelaza ani tętentu końskich kopyt, które nauczyła się kojarzyć z potyczkami czy bitwami. Panowała tu osobliwa cisza mącona jedynie odległym, znajomym poszumem gwałtownego wiatru oraz głosami zbliżającego się stada ptaków...

Zaprowadziła konia na samą granicę lasu i popatrzyła z zarośli na widoczne przed nią wzniesienie. Tak jest, znała to miejsce. Pamiętała je. Rozpoznawała wszystkie szczegóły. Wiedziała, w którym punkcie się znajduje, zauważyła powyginany, stary dąb rysujący się na horyzoncie. Dostrzegała jedynie sylwetkę drzewa, lecz odnosiła wrażenie, że jeden z jego konarów ogarnęły płomienie, które strzeliły wysoko, a potem przygasły i zniknęły, po to tylko, by rozjarzyć się ponownie... jak gdyby ogień przychodził i odchodził... jak gdyby nie wywodził się z tego czasu, lecz spędzał na drzewie kilka minut, a później wracał do innego świata, by po chwili znów odwiedzić zimowe gałęzie.

Pod drzewem nie było nikogo. Widoczne przed nią pole leżące na drugim brzegu płynącego tam strumyka ciemniało na skutek nadchodzącej burzy. Było usiane trupami. To było pokłosie bitwy, które ongiś widziała. To byli zabici, których smród dotarł do niej, gdy była dzieckiem. To były połamane włócznie i kręcące się koła strzaskanych rydwanów, wszystko, co tak bardzo nią wstrząsnęło, gdy próbowała ocalić Scathacha przed siwymi wronami.

Stado padlinożernych ptaków musiało zebrać się za nią, nad lasem, poza zasięgiem wzroku. Być może już w tej chwili zaczynały zataczać kręgi, kluczyć wokół pola, rozciągać się w cienką, złowieszczą linię, opadać po spirali, żeby się nażreć...

Lecz miała je odegnąć magia ognia i drzewa, drzewnego ducha, samej Tallis, przemykającej przez czas, obserwującej, poszukującej wzrokiem kobiety z gliną we włosach.

Stos na pewno znajdował się na prawo od niej. Przybyła za późno, by uratować Scathacha. Zrozumiała to z przyplływem mdłości i smutku, który mógł się objawić jedynie jako martwy chłód w jej wnętrzu. Wiedziała, że wyjechała z lasu, wrzeszcząc z żalu... lecz nie czuła żadnego żalu, a tylko straszliwe poczucie nieuniknioności, zimną akceptację. Gdzie podziła się pasja, którą dostrzegła jako dziecko w owej gniewnej postaci? Gdzie podział się smutek? Gdzie determinacja, by oddać cześć martwemu kochankowi płonącemu w Krainie Ptasich Duchów?

Tylko lód. Tylko wiedza. Tylko akceptacja...

Nagle po prawej rozległ się kobiecy krzyk. Tallis była wstrząśnięta. Nawet nie drgnęła. Przez głowę przemknęła jej straszliwa myśl. W lesie coś poruszyło się szybko i wściekle. Słysząc było rżenie poganianego do granic możliwości konia, odgłos uderzającej o jego bok skóry oraz tętent kopyt po przesiąkniętej krwią darni. Tallis uciekła ze skraju lasu. Wierzchowiec podążył truchtem za nią.

Ze stosu Scathacha bił czarny dym wzbijający się wysoko pod wieczorne niebo. Płomienie lizały drewno i zwłoki. Wydawało się, że ręce martwego wojownika zgięły się, poruszone żarem, szarpane pochłaniającym je ogniem. Postać w czerni zniknęła już w lesie. Tallis wydało się, że słyszy skrzypienie wozu...

Wtem z kniei wypadła kobieta na koniu. Sforsowała płytki strumień i wdrapała się na brzeg. Okrążyła gorejący stos. Powiewał za nią czarny płaszcz. W sztywnych od gliny włosach lśniły żółto płomienie. Jej ciało

błyszczało: czerwone smugi na ramionach, a biało–czarne na twarzy. Krzyki smutku i gniewu brzmiały niczym przelotne głosy porannych ptaków wygnanych z tego zakazanego miejsca bitwy, z tej Krainy Ptasich Duchów...

Morthen złapała trupa za stopę i wyciągnęła ciało z pogrzebowego stosu. Zeskoczyła z konia i stłumiła płomienie czarnym płaszczem. Wykrzyczała imię Scathacha. Objęła go ramionami. Całowała jego wargi, muskała dłonią poparzone ciało, biła go po twarzy, próbując go obudzić... lecz jej brat z lasu był martwy. Pochyliła się, łkając bezgłośnie, i przytuliła go do swego ciała niczym czarny ptak osłaniający pisklę.

Dziewczynka przerodziła się w kobietę. Była starsza o wiele lat. Tallis dostrzegła ten fakt mimo maski z gliny. Na kilka minut zamarła w wywołanym szokiem milczeniu. Miała tak głęboką pewność, że to ona była dosiadającą konia kochanką... teraz jednak, przekonawszy się, że była nią Morthen, poczuła się rozgniewana i wytracona z równowagi. Nie potrafiła jednak przetworzyć swego gniewu w zazdrość, wypaść na pole i zmusić córki Wynne–Jonesa do walki o ciało mężczyzny, którego obie na swój sposób kochały.

Nagle Morthen najwyraźniej zdała sobie sprawę, że ktoś ją obserwuje. Obróciła się powoli i spojrzała na Tallis z wściekłością w oczach i grymasem furii na ustach. Przypominała czarownicę, jędzę. Całą młodzieńczą urodę przesłoniły smugi i nienawiść malująca się na jej twarzy. Wstała, sięgnęła po prymitywny, metalowy miecz, który teraz nosiła, zrzuciła płaszcz, by odsłonić pokrytą namalowanymi wzorami nagość, odrzuciła głowę do tyłu, zawyła imię Tallis, potem Scathacha, a później własne. Następnie znowu popatrzyła, milcząca i wściekła, w stronę rywalki kryjącej się w cieniu na skraju lasu.

Ta zniewaga skłoniła starszą kobietę do uczynku, którego – jak wiedziała – miała żałować. Wyszła na otwartą przestrzeń i wyciągnęła sztylet.

– Zostaw go – krzyknęła. – On jest mój. Zabiorę twojego brata i urządę mu należyty pogrzeb.

– On jest mój – warknęła Morthen głosem raczej zwierzęcym niż ludzkim. Jego tonacja stała się wyższa. – To mój brat z lasu. Dorosłam dla niego! Szukałam go latami, a kiedy go znalazłam, rzuciłam na niego czar. To twoja wina...

– Nie bądź głupia. Byłam z nim od chwili twojego odejścia. Wczoraj mnie opuścił. Niczego nie zrobiłam. Nie porzuciłam go...

Morthen odwróciła się i pobiegła w stronę konia. Wskoczyła na jego nagi grzbiet i gwałtownym ruchem skierowała głowę zwierzęcia ku drugiej kobiecie. Pognała naprzód, kopiąc wierzchowca w boki, by zmusić go do galopu. Tallis nie cofnęła się. Przeżyła szok, gdy miecz Morthen uderzył ją w szczękę, niemal dokładnie wzdłuż linii starej blizny. Padając, nie czuła bólu, a tylko odrętwienie i wrażenie nierzeczywistości. Oręż uderzył płazem, nie zostawiając rany.

Wstała i ponownie zwróciła się w stronę Morthen. Jak ta dziewczyna wyrosła! Niemal dorównywała jej wzrostem. Oczy miała równie piękne jak zawsze, bez względu na wściekłość i barwy wojenne. Włosy sterczały jej na głowie niczym kolce, białe, dzikie i sztywne od gliny. Ponownie zrzuciła płaszcz, odsłaniając piersi, i pozwoliła, by jej ciało drżało na zimowym mrozie. Była całkowicie dorosłą kobietą. Mięśnie na jej rękach i nogach były równie potężne i wydatne jak u mężczyzny. Skulona pod futrem Tallis przyglądała się skradającej się ku niej gołej zjawie. Odbiła dwa ciosy, po czym została zraniona w lewe ramię. Morthen uderzyła szybko i brutalnie. Następnym razem trafiła Tallis w nogę, aż ta runęła na ziemię, cięta trzy razy w lewy bok, wykrwawiająca się na śmierć.

Morthen przecięła wiązania jej płaszcza i rozebrała ją. Tallis dyszała ciężko, ledwie żywa. W głowie kłębiły się jej niejasne myśli dotyczące utraty, strachu... potrzeby. Czuła na ciele dotyk lodowatego wichru.

Morthen owinęła ciało futrem i wciągnęła spodnie z wilczej skóry, ścierając dłonią plamę krwi z miecza.

– On nie żyje – szdyziła z Tallis. – I ziemia wie, że tego żałuję. Ale ty też umrzesz, a tego nie żałuję wcale. Teraz wrócę do ojca. W jego pierwszej puszczy odnajdę mego brata. Scathach wyłoni się z lasu... Nie żyłam po to, by przegrać. A dla ciebie zimno. Tylko zimno.

Morthen schowała prymitywny miecz do pochwy, szarpnęła głowę Tallis do tyłu, ucałowała jej wargi i cisnęła ją z powrotem na ziemię.

Pokonała mnie tak łatwo. Mogłaby mnie zabić, gdyby chciała...

Tallis patrzyła na poparzone, pokryte pęcherzami ciało Scathacha. Gdy zaczęła ogarniać ją słabość, sięgnęła po jego tłący się płaszcz, krótki, czerwony ubiór, który zabrał łupieżcy. Ściągnęła go ze zwłok. Na wpół otwarte oczy zabitego patrzyły na niebo. Wargi miał brzydko obrzmiałe od gorąca. Granica poparzenia biegła wzdłuż żuchwy. Piękna szyja była zakrwawiona i pokryta pręgami. Tallis ściągnęła z niego spodnie w kratę i skórzaną kurtkę. Wciągnęła je na siebie, osłaniając się choć trochę przed zimnem. Wierzchowiec podszedł blisko, wpatrując się w nią. Podczołgała się do stosu pogrzebowego, by ogrzać się w jego ciepłe, po czym zasnęła. Obudziła się po krótkiej chwili. Znalazła rozżarzony węgielek i zamknęła za jego pomocą swe rany, po czym zmusiła się do wstania.

Morthen nie było. Ściągnęła ze stosu ciało swego brata, a zarazem kochanka, a potem opuściła go i wróciła na południe. Chciała odnaleźć ojca.

Zniknęła więc z jej życia, przecinając ostatnią więź łączącą ją z Wynne-Jonesem. Po raz pierwszy w ciągu około ośmiu lat, które spędziła w tej niewyobrażalnej krainie, Tallis była zdana na własne siły.

Ta myśl zaniepokoiła ją. Opadła na kolana obok pokrytego bliznami trupa Scathacha.

Czy spotkałeś swych przyjaciół? Czy on tu był? Gyonval? Czy byli tu wszyscy? Czy odnajdę ich, jeśli przeszukam pole?

Zaczęła teraz żałować, że ściągnęła ze zwłok ubranie. Wpatrzyła się w pomarszczone, skurczone ciało o zamkniętych ranach, z którego zniknął wszelki kolor poza przypominającą prymitywną farbę krwią, ciało, którego kończyny nie miały energii ani sił, a twarz witalności. Znieważyla dumnego wojownika. Wzywał ją w chwili śmierci, a ona rzuciła mu skrawek białej koszuli nocnej, który chwycił z nadzieją, ucałował i zachował jako bezcenny symbol. A teraz brutalnie rozebrała zwłoki, ani przez chwilę nie myśląc o tym kawałku tkaniny...

Otworzyła zaciśniętą prawą pięść trupa. Znalazła w niej zwęgloną na brzegu pozostałość swej szaty. Płótno. Marnej jakości. Choć tanie, było ongiś bardzo cenne.

Przez cały czas, który z nim spędziła, ani razu nie opowiedziała mu szczegółów tego, co widziała owego letniego dnia. Zastanowiła się, czy łapiąc ten strzępek nadziei, cokolwiek rozumiał.

Podjechała do drzewa. Scathach leżał na zadzie konia z ramionami zwisającymi ku ziemi. Nie miała możliwości ułożenia zwłok w bardziej godny sposób.

Podjechała do drzewa. Podniosła wzrok.

Nagie, ogołoczone przez zimę gałęzie widoczne na tle ciemniejącego nieba. A przecież gdy spoglądała z góry na ciało Scathacha, patrzyła przez liście, przez lato. Nie było teraz widać żadnego ognia, żadnego znaku życia ani śladów ducha wrzeszczącego ongiś na tubylców, którzy wyłonili się ze stanowiącej ich mieszkanie twierdzy, by ograbić zabitych oraz ich uhonorować: cztery kobiety w czarnych strojach oraz jednego odzianego na szaro mężczyznę o siwej brodzie, który rozumiał mitologię kamienia. Szary głaz leżał zimny na ziemi, wyszczerbiony ciosem jego miecza, znacząc miejsce ratunku.

Odwieźli ciało na prymitywnym wozie. Zbudowali jednak dla niego stos i oddając mu w ten sposób cześć, dowiedli, że go rozpoznali.

Podniosła wzrok. Zsiadła z konia i wdrapała się na drzewo, wspinając się wysoko między gałęzie.

„Wejź do Lavondyss jako dziecko”.

Drzewo nie wyglądało tak, jak je zapamiętała. Czy siedziała tu? Czy tam? Który z licznych konarów był tym, na którym leżała, obserwując umierającego Scathacha? W tym świecie dąb był inny. Mogła określić swą pozycję jedynie w przybliżeniu.

Znalazła na starym drzewie miejsce, z którego rozciągał się znajomy widok na okolicę. Położyła się, przemarznięta i ranna, ściskając konar, i wpatrzyła się w zwłoki Scathacha przerzucone bezwładnie przez karego konia.

Nie było w tym żadnego romantyzmu, a jedynie przyprawiające o mdłości pozostałości bitwy, ograbione trupy, z których część wciąż leżała, czekając na padlinożerców.

Nadciągała noc.

Scathach leżał tak... i ona tu była... i widziała...

Jeśli się odwróci, może uda się jej zajrzeć do własnego świata, na łąkę... jak się ona nazywała? I strumień... miał kiedyś nazwę, ale nie była w stanie jej sobie przypomnieć. I to szerokie pole. Wietrzne Pole? I budynek, jej dom...

Może powinna była zabrać maski. Może jedna z nich pozwoliłaby jej lepiej zobaczyć: ducha w krainie albo dziecko, którym ongiś była, albo starego psa, albo gawrony na wysokich drzewach, albo kobietę...

Wykręciła ciało na gałęzi. Nie przestająca krwawić rana w nodze sprawiała jej wielki ból. Zignorowała go. Obejrzała zimowy świat przez każdy aspekt starego drzewa. Gdzieś na dole, w odległości zaledwie kilku minut, lecz w zupełnie innym świecie, uciekała do domu, a Simon ścigał ją zawzięcie.

Co widziałaś? Tallis! Powiedz mi. Co widziałaś?

Gdzieś blisko, gdzieś – Tak jest! W odległości zaledwie kilku minut! – gdzieś znowu była dzieckiem, Gaunt szwendał się po okolicy, a ojciec gniewał się na jej wygłupy...

Było lato, późne lato. Pan Williams chodził po wsi w poszukiwaniu niezwykłych utworów, magii, którą można odnaleźć w nowej piosence. Wkrótce miał się rozpocząć festyn. Tancerze będą tańczyć, a manekin zadrzy, wydając na świat zieloną dziewczynę. Użyje się poroża i pętli w pozorowanej egzekucji mężczyzny tańczącego morrissa, a szalona giga wywabi wszystkich na pola, gdzie będą się śmiać i krzyczeć w gorącą, letnią noc...

Tu jednak była tylko zima. I pole mitycznej bitwy pod Bavduin czy Badon, czy w Lesie Teutoburskim. Wszystkie te nazwy symbolizowały mityczną konfrontację oznaczającą koniec ery, kres nadziei... Znajdowała się na środku jej pola, który wyznaczało drzewo. W to miejsce zawsze przychodził bohater nad bohaterami...

Widziała Scathacha.

Mogła zobaczyć... kogo? Każdego z tysiąca książąt, którzy odczołgali się od ognia, by przelać swą krew i dać początek legendzie...

Jeśli zeskoczę z drzewa, znajdę się z powrotem w domu. Mogę zacząć od nowa. Jeśli zeskoczę...

Uwiodła ją pokusa. Koń stanął dęba, gdy spadła z konaru. Nagie, słabo przytroczone zwłoki Scathacha runęły ciężko na ziemię i spoczęły na niej jako niekształtna masa bladego ciała i kości. Twarz o martwych oczach była skierowana ku górze. Tallis nie zdołała przejść do innego świata.

Wciągnęła ciało z powrotem na koński grzbiet i wdrapała się na siodło za nim. Nie pozostało jej już nic oprócz Harry'ego. Nie wierzyła, że zdoła przywrócić życie Scathachowi, mógł jednak przynajmniej towarzyszyć jej do fortecy, z której wyruszy w podróż do pierwszej puszczy w poszukiwaniu tego, co usidliło jej brata i uczyniło z niego więźnia Starego Zakazanego Miejsca.

Wróciła przez czarny las, obok miejsc spoczynku zmarłych, do wąskiego wąwozu, który wyznaczał bliższą granicę zamku. Zjechała w dół po stromej ścieżce, a potem skierowała się w górę, przez zburzoną bramę, na wzniesienie, na którym zbudowano twierdzę. Po drodze zostawiła maski w pełniącej rolę świątyni grocie położonej obok namiotów, przy których palił się ogień.

Obdarzywszy konia wolnością – co mogło być okrutnym uczynkiem podczas tej surowej zimy – zaciągnęła ciało Scathacha pustymi korytarzami do komnaty, w której pistolet Harry’ego oznaczał miejsce jego ostatecznego odejścia.

Oparła zwłoki o krawędź szerokiego okna, po czym wymościła na środku komnaty gniazdo z futer, ubrań, szmat oraz strzępów sztandarów. Usiadła tam wyczerpana i dręczona bólem w zadanych przez Morthen ranach, po czym wpatrzyła się w szczelinę w urwisku widoczną nad wynędzniałą, wykrzywioną twarzą człowieka, którego ongiś kochała.

Czekała na wezwanie Harry’ego. Po chwili zapadła w sen.

Obudziło ją niesamowite światło. W komnacie było ciepło. Wstała i ruszyła korytarzami, zwracając uwagę, że z kamiennych ścian sączy się wilgoć. Gdy ich dotknęła, przekonała się, że są lepkie. Przebiegła palcami po pokrywających je wzorach, wzdłuż spiral i pierścieni...

Poświata zmieniała barwę. Czasami, gdy przechodziła przez komnaty i puste fragmenty ruin, była żółta, w innych zaś chwilach zielona bądź zabarwiona odcieniem oranżu. Było coraz cieplej. Zamek zaczął wypełniać ciężki, przenikliwy, dławiący zapach. Tallis wydawało się, że mury twierdzy zamykają się wokół niej, by ją stłamsić.

Gdy wróciła do najwyżej położonej komnaty, w której leżał Scathach, przekonała się, że mur już niemal całkowicie pochłonął skorodowany rewolwer Harry’ego. Kamienne witki owinęły się wokół metalu i rękojeści, a na ścianie widać było delikatne włoski przypominające roślinne korzenie.

Gdy ich dotknęła, zadrżały. Na palcach został jej ślad czegoś lepkiego. Gdy to posmakowała, przekonała się, że to żywica.

Dopiero w tej chwili pojęła naturę kamienia, z którego zbudowano twierdzę. Gdy wróciła do swego gniazda i rozejrzała się wokół, dostrzegła ją tak wyraźnie, że wybuchnęła śmiechem.

Skamieniałe drewno.

Przyjrząwszy się uważnie, zauważyła fragmenty potężnych drzew, z których obróconych w kamień pni wyrzeźbiono bloki. Jeden z wielkich głazów, dorównujący długością bliższej ścianie, przecinały setki linii, pierścieni mówiących, że leśny olbrzym dożył nadzwyczaj sędziwego wieku.

Żywica sączyła się i ściekała w dół, zbierała się na podłodze i powoli spływała po pochyłości. W komnacie było ciepło i przytulnie. Z samego kamienia biło zielone, przypominające konsystencją ciecz światło, choć na zewnątrz była ciemna noc i surowa zima.

Zamknęła oczy tylko na chwilę. Kiedy je otworzyła, po żalonych zwłokach Scathacha pozostały tylko kości. Ściany pokryły gałęzie, biegnące po kamieniach niczym żyły.

Ponownie zamknęła oczy. W jej umyśle przesuwają się obrazy. Mijały pory roku. Ptaki przylatywały, budowały gniazda i odlatywały na południe. Stada wędrowały. Nadszedł śnieg. Rozchyliła powieki. W miejscu, gdzie przedtem leżał Scathach, wyrósł ostrokrzew. W jego gałęzie wplątane były zmiżdżone odłamki ludzkich kości, połyskujące w zielonym blasku. Roślina zadrżała. Komnata poruszyła się wokół Tallis. Wypustki przebiegły po podłodze, suficie i ścianach, sięgając w powietrze. Uwięziła ją klatka z żywego drzewa. Coś delikatnie dotknęło jej policzka, a potem ramienia. Gałązki przesunęły się przez jej włosy, musnęły szyję, wśliznęły się ostrożnie do ust. Zamknęła oczy i uniosła ramiona. Stare palce, sękaty, lecz miękkie, pogłaskały jej skórę, a potem objęły ją delikatnie.

Uniosły ją w górę. Zawisła wewnątrz komnaty, z mocnymi ramionami wokół talii, silnymi palcami wokół nóg. Osłaniały ją liście. Ich szerokie powierzchnie okrywały ją niczym skóra. Jagody dotknęły z drzeniem jej warg. Polizała je, a potem połknęła. Twierdza wyrosła wokół niej, kamień przerodził się w drewno, komnaty w polany, zamczysko w las. Coś ścisnęło jej ciało niczym potężne pnie. Nacisk zaczął sprawiać jej ból. Krzyknęła głośno, aż jaskrawo upierzone ptaki poderwały się do lotu w otaczających ją koronach drzew.

Uniesiona i odwrócona, wygięta i pochłonięta, obserwowała w nadnaturalnym zielonym świetle, jak w pole widzenia wsunęły się dąb i wiąz, rosnące w fantastycznym tempie. Ich gałęzie sięgnęły ku niej, oplotły ją. Grab posuwał się gładko jak wąż, pnącza się wyginały, a bluszcz wił się po omszałej korze, wyciągając się w jej kierunku. Jego miękki, kosmaty dotyk łaskotał Tallis, gdy owijał się wokół jej skóry.

Potem nadeszło twardsze, brutalniejsze dotknięcie. Jej nogi rozsunięto siłą, szorstka kora skaleczyła ją, uderzyła w nią, mocniej, boleśniej. Skręciła się z bólu, lecz była bezradna w objęciach odnowionego lasu. Poczula, jak jej ciało zostało spenetrowane jednym ruchem, który się nie skończył, lecz wypełnił ją i rozdał się, rozrywając ją od wewnątrz palcami bólu, odpryskami cierpienia, wijącymi się węzami nacisku, które sięgnęły od środka do koniuszków palców rąk i nóg, przebiegły wzdłuż kręgosłupa i wokół żeber, wzniosły się w górę, wypełniły jej żołądek, potem płuca, a wreszcie gardło.

Rozchylając z wysiłkiem powieki, by zobaczyć światło, wyęzając mięśnie, Tallis bezsilnie czuła wznoszącą się falę. Nadchodziły wymioty. W żołądku jej kipiało. Coś ruszało się w jej gardle, przyprawiając ją o męki. Cał za całem pełzło w stronę ust. Targnęły nią bezskuteczne mdłości. Ścisnęła mięśnie brzucha i spróbowała jeszcze raz, rozpaczliwie usiłując wykrztusić dręczący ją ciężar.

Ruszył w górę gwałtownie. Otworzyła szeroko usta, krzyknęła i wymiotowała wielką, wijącą gałęzią, która wypłynęła z niej niczym twardy, brązowy wąż. Konar rozdziwił się. Odnogi zwinęły się w tył z obu stron jej głowy, eksplodowały pączkami, a potem liśćmi, które owinęły się wokół czaszki. Jej wargi rozszczepiły się, a żuchwa pękła, gdy gałąź stała się grubsza, a wreszcie znieruchomiła.

Coś zatrzepotało w jej wnętrzu niczym bicie serca. Uspokoilo się, a potem poruszyło znowu. Puszczę ogarnęła cisza. Znajdowała się w jej sercu. Światło miało intensywnie zieloną barwę. Widziała nad sobą trasę słońca znaczącą mijanie pór roku. Niekiedy bór wypełniała delikatna, płynna mgiełka. Czasami wiał wietrzyk i wszystko poruszało się, drżało, a następnie zamierało w bezruchu. Światło przygasalo, liście opadały i w powietrzu unosił się lekki śnieżek, znikający pod Tallis. Potem znowu zieleń.

Poruszenia w jej wnętrzu stały się niespokojne, niemal niecierpliwe. W pewnych chwilach wznosiły się ku gardłu, w innych zaś ograniczały do żołądka. Zdawała sobie niejasno sprawę, że nie ma już żadnego z tych narządów. Kości jej czaszki gniły wokół gałęzi. Ciało odpadło i na drewnie pozostał jedynie odcisk twarzy. Przez jej żyły z łatwością płynął roślinny sok. Pod skórą pełzały ryjące tunele owady. Wydłubywały je stamtąd ptaki, które błyskawicznym ruchem przemykały przez jej leśne pole widzenia, przylatywały do niej i znikaly, ukłuwszy szybko dziobami korę.

Jedno z drzew się zważyło. Ze smutkiem obserwowała ten powolny upadek. Jego konary uwięzły w ramionach sąsiadów. W miarę upływu pór roku osuwało się coraz niżej. Pień, porośnięty gęstym mchem, wygiął się, a potem złamał. Gwałtowny wichur zakłócił pierwotny krajobraz i drzewo zniknęło. Rozkwitły barwne kwiaty, zasypał je śnieg, a potem na nowe światło wyjrzały pędy dąbków, które wyrastały pogodnie w górę, walczyły ze sobą niczym bestie, owijając się mackami, aż wreszcie jeden z nich zwyciężył towarzyszy, zmiażdżył ich i wybujał wysoko w polu widzenia

Tallis. Czubki jego liści dotknęły jej i sączyła jego energię, obcując z olbrzymem.

Była coraz starsza. Jej kora pękała, konary się łamały. Wzdłuż nóg zaczęły się posuwać linie bolesnego rozkładu. Ruch wewnątrz wypełniał ją całkowicie – nie kończące się łopotanie skrzydeł, gwałtowne, niecierpliwe uderzenia dziobów.

Pewnego dnia poczuła, że jej żołądek pękł. Pień dębu otworzył się, rozdarty mocami ziemi. Ból był nie do wytrzymania. Tallis zaskrzypiała leśnym głosem, odchyłona do tyłu, gdy kora się rozstąpiła, a drewno pod nią otworzyło niczym rana. Ze środka wyłoniły się czarne ptaki, tysiąc ptaków o jaskrawych oczach i dziobach. Gorączkowo pragnęły znaleźć padlinę. Ten nagły poród wyczerpał ją. Patrzyła, jak lecą nerwowo w górę przez korony drzew, ku jaśniejszemu światłu. Gdy odfrunęły, poczuła się spełniona, pusta, spokojna.

Po puszczy wędrowały wielkie stworzenia. Niektóre z nich przypominały niedźwiedzie, inne zaś bydlę. Wspinały się na tylne łapy grube niczym pnie dębów, by skubać liście i jagody rosnące na szczytach drzew. Tallis nigdy w życiu nie widziała podobnych zwierząt. Ich skóry były bardzo grube, a futra w czarno-brązowo-białe plamy roiły się od pasożytów. Głowy pokrywały im dziwne rogi i guzy. Języki wsuwały liście do paszcz pełnych wyrastających pod najróżniejszymi kątami zębów. Czują też inne poruszenia, delikatniejsze, szybsze. Przez korony drzew wędrowały stada małąp. Ich bystre oczy spoglądały na nią, a drobne dłonie szarpały korę jej twarzy. Daleko w dole jeleni uderzał porożem o jej nogi. W pewnej chwili pojawił się wielki łoś, który zaplątał się w leśny gąszcz. Ogarnięty paniką, odłamywał sobie poroże, kawałek po kawałku, rosocha za rosochą. Trwożne ryki zwierzęcia zasmuciły ją na całe lata. Jego ciało legło u jej stóp, niknąc powoli w mchu i błocie.

Zrobiło się zimno. Zielone światło przybrało szarą barwę. Osłony z ostrokrzewu i bluszczu chroniły ją przed coraz surowszą zimą, lecz las był

teraz czarny i mroźny. U jej stóp grasowały wilki, które walczyły między sobą i pożerały zabitych. Wicher dął bezlitośnie. Jej konary pokrył lód, który wnikał w rany w ciele, zwiększał objętość i rozsadzał ją.

Czuła, że opuszczają ją siły. Zaczęła się pochylać. Nagle złamała się i runęła w ramiona sąsiada, zagłębiając się powoli w jego konary. Wydawało jej się, że spędziła w tej pozycji wieczność. Podmuchy wichury stały się jednak tak gwałtowne, że cały las się trząsł. Osunęła się niżej i uścisk jej kochanka olbrzymia okazał się zbyt słaby. Runęła na ziemię. Zrzucił z siebie liście, by ją przykryć. Spadały w świetle przez lata. Na koniec przykrył ją śnieg. Małe zwierzątka wykorzystywały ją jako schronienie, ryjąc nory w jej butwiejących wnętrzościach.

Wtem coś się poruszyło. Przez jej pole widzenia przeszła szara postać, która zawróciła i spuściła wzrok. Tallis poczuła woń ludzkiego potu. Zobaczyła łosiową skórę i wilcze futro.

Jasne oczy w wynędzniałej, zmarzniętej twarzy pieściły ją swym spojrzeniem. Dłonie chłopca przebiegły po jej twarzy. Pochylał głowę to w tę, to w tamtą stronę. Dotykał jej oczu, ust i nosa. Zrozumiała, że dostrzegł w drewnie ślady ludzkiego oblicza.

Uśmiechnął się. Połamane zęby zabolowały go od lodowatego wichru. Oślonił usta dłonią. Oczy zaszły mu łzami.

Wyciągnął z za pasa kamienny topór i ciął nim kilkakrotnie na próbę jej szyję. Dygotał z zimna. Był głodny. Jego włosy oraz futro kaptura pokrywał szron, lecz wkrótce, gdy zaczął rąbać drzewo, skóra mu załśniła, a twarz powlekła się warstewką gorącego potu. Tallis poczuła bijące od niego ciepło i była nim zachwycona. Ciął i rąbał, aż wreszcie poczuła, że oddzielił ją od zbutwiałego drewna. Ustawił ją pionowo. Była wyższa od niego. Popieścił jej ciało, spojrzął w twarz, odciął toporem kawałki gałązek i luźnej kory oraz wypukłe blizny po starych ranach.

Choć był niewysoki, zarzucił ją sobie na ramię i ruszył przez mroźny las ku pokrytemu śniegiem polu.

Przybył z miejsca pełnego cierpienia.

Położył Tallis na ziemi pod osłoną namiotów, które były rozpięte między drzewami, tworząc dach osłaniający mizerne ognisko.

Widać tam było inne szare postacie, które rozmawiały ze sobą cicho i popijały ciekłą zupkę, drżąc z zimna. Śnieg zasypywał je nieubłaganie. Z miejsca, w którym leżała, Tallis widziała ich czaszki i kości, śmiertelne oblicza przebijające się na powierzchnię. Najwyższy z szarych ludzi, mężczyzna, wrócił z wyprawy z garścią zamrożonych korzonków. Byli w rozpaczce. Nie mogli nic upolować. Zima ich zaskoczyła.

Wicher wtargnął do namiotu, zgasił ogień i rozsypał popiół. Starali się nie wpuścić zimy do środka. Drzewa się kołysały. W oddali słychać było zwierzęta, donośne ryki ginących łosi i ujadanie wilków. Za każdym razem, gdy dobiegał go ten dźwięk, mężczyzna wypadał z namiotu z nożami i włóczniami, po chwili jednak wracał, skulony i zalany łzami.

Jego czaszka przebijała się na światło dnia. Wargi miał wpadnięte. Był tak bliski śmierci, że nawet jego oczy przypominały jaskinie wiodące do podziemnego świata.

Chłopiec podszedł do Tallis i zaczął ostrugiwać ją nożem. Poczuli, że otworzył szerzej jej oczy i rozdzielił wargi. Jej nozdrza wypełniła woń strachu i śmierci bijąca od nieszczęsnej grupy.

Widziała teraz rodzinę wyraźnie. Ojciec i matka. To najmłodsze dziecko zajęło się łupaniem drewna. Było jeszcze dwoje potomstwa, dwóch chłopców. Jeden z nich miał w oczach dziki wyraz. Drugiego nawiedzały sny. Uszczęśliwiał matkę, opowiadając jej historyjki. Śmiała się dzięki niemu. Ojciec, o czarnej brodzie pełnej płatków śniegu, przyglądał się najmłodszemu synowi przy pracy. Tallis słyszała, jak burczy mu w brzuchu.

Chłopiec skończył dzieło. Tallis ustawiono pionowo i spojrzało na nią pięć twarzy. Niektóre się uśmiechały, lecz inne były zbyt bliskie śmierci, by okazywać uczucia. Chłopiec wyniósł ją na śnieg i wbił w niego, obracając

ją tak, że była zwrócona w stronę namiotu oraz skupiska drzew tworzących ich prymitywne, niepewne schronienie. Okolica lśniła białą. Niebo było zupełnie szare. Krajobraz urozmaicały jedynie ukryte pod śniegiem pagórki oraz czarne pnie drzew. W odstręczającej krainie nie poruszały się żadne zwierzęta. Nic tu nie rosło. Rodzina była skazana.

Pod Tallis spoczywał trup kobiety. Gdy niesiono ją do grobu, dostrzegła jej zastygłą w grymasie twarz. Teraz, gdy zetknęła się z ciałem, poczuła w kościach poruszenie. Wezbrał w niej sok, ludzkie ciepło w drewnianych żyłach. Głuche, pozbawione znaczenia dźwięki wydawane przez rodzinę stały się dla niej bardziej zrozumiałe. Wszyscy ucałowali drewnianą podobiznę babci. Kobieta rozplakała się, a potem wtarła łzy w oczy Tallis. Mężczyzna spojrział na nią spode łba. Najmłodszy syn miał dumną minę. Jego dotyk był raczej dotknięciem artysty badającego swe dzieło, płód swego rzemiosła, niż uhonorowaniem pamięci zmarłej. Śniący uśmiechnął się do niej. Dzikooki obrzucił ją zimnym spojrzeniem, po czym skinął głową, popatrzył za nią, na gęstszy las i powąchał powietrze. Zachowywał się jak myśliwy, którym miał wkrótce zostać.

Nadeszła nawałnica, która zagnała ich do wąskiego schronienia. Tallis patrzyła na zimę ogarniętą grozą. Nigdy w życiu nie widziała nic podobnego. Śnieg padał przez całe dni. Drzewa pękały z trzaskiem. Przez śnieżycę dostrzegła nieustanne wysiłki rodziny starającej się zachować swój prymitywny namiot. Gromadziły się pod nim zaspy, które groziły jego zniszczeniem, lecz w ostatecznym rozrachunku pomogło to go ocalić, gdy śnieżna ściana stwardniała i stała się zbita.

Śnieżycą zelżała. Szarawe światło na północy świadczyło, że ziemię pokrywa tam lód. W okolicy nic się nie poruszało.

Najmłodszy syn podszedł do totemu, do Tallis, i ustawił ją prosto, gdyż zawierucha przechyliła ją w lewo.

– Babciu Asho, przyślij nam jedzenie. Proszę cię, przyślij nam jedzenie. Gdzie jesteś? Czy przebywasz w ciepłych lasach na południu? Zrobiłem cię

z dębu kościanym nożem, który mi dałaś. Mówiłaś, że ma w sobie szczególnego ducha. Jeleń utopił się w jeziorze. Z jego kości powstał mój nóż. Mój nóż wyrzeźbił twój dąb. Burza zabiła dęby, ale ty jesteś w ciepłej krainie, gdzie liście są zielone. Babciu Asho, przyślij nam jedzenie z tej ciepłej krainy.

Kobieta podeszła do Tallis i objęła jej pokrytą lodem korę. Spod jej skóry uśmiechała się śmierć. Przebiegła palcami po naszyjniku z kawałków poroży. Zagrzechotała kośćmi, by przywołać z drewna ducha staruszki.

– Matko... matko... Straciłam dziecko. Byłoby dziewczynką. Wyszło ze mnie bez krwi. Nie ma już we mnie krwi. Powiedz mi, co mam robić. Reszta klanu jest za daleko od nas. Większość zamarzyła na śmierć. Posuwaliśmy się zbyt wolno. Ta zima nigdy się nie skończy. Moi synowie nigdy nie zostaną ojcami plemienia. Co mam zrobić?

Przyszedł śniący, który przykucnął przed nią. Włosy miał rudawe. Odsunął kaptur, nie zważając na lód pokrywający mu rzęsy i brwi. Był przystojny, ciemnooki. Miał w sobie umiejętność przetrwania. Kontemplował śmierć, lecz myślał o życiu. Przywołał babcię Ashę za pośrednictwem dębowego posągu, którym była Tallis.

– Jesteś częścią pierwszej puszczy. Widziałaś wszystko. Żyłaś we wszystkich czasach. Jesteś kością i drewnem, babciu, i na pewno wiesz, jak nas ocalić. Proszę cię, przyślij nam jedzenie. Tu nie ma ptaków. Proszę cię, przyślij je do nas. Proszę cię, wskaż nam drogę do ciepłej krainy i ciepłego lasu, wskaż nam ścieżkę ku światłu, które jest zielone, i ku liściom, które skrywają ptactwo. Mam dla ciebie pieśń, babciu...

Zaśpiewał ją dziecinnym głosem, który zaczynał przechodzić mutację, nie miała więc melodii, jej rejestr był niefortunny, a tonacja niepewna. Brzmiała jak pieśń szamana.

– Ogień płonie w ciemnym borze, w którym lata słońka – nucił. – Me kości palą się od myśli o owym ciepłym lesie. Pomóż mi powędrować do tej pełnej ptaków okolicy. Zawsze będę śpiewał o tej zimie, twoim śmiechu

i swej podróży do krainy ciepłego lasu, daleko od tego zimnego miejsca ptasich duchów.

Wyciągnął kamienny nóż i odrąbał z ramienia Tallis ostrą drewnianą drzazgę. Patrząc na statwę, spoglądając jej w oczy, rozchylił futro, odsłonił pierś i wydrapał na niej cztery linie. Naznaczył się. Z zagłodzonego ciała sączyła się blada, wąska kreska krwi.

– Przez ten znak zabieram ze sobą twego ducha. Przez ten znak obiecuję zapamiętać twe życie, by nigdy go nie zapomniano, babciu. Przez ten znak odnajdę skrzydła, na których polecę do ciepłej krainy. Przez ten znak opowiem o życiu naszej rodziny i naszych łowach i o tym życiu zawsze będzie się opowiadać.

Odszedł. Pojawił się Dzikooki, który odepchnął ją na bok. Zawył lodowaty wicher i zwała się na nich potężna ściana śniegu. Grzebał w nim w poszukiwaniu zgniłego trupa. Oderwał kawał mięsa babki, lecz odrzucił go na bok.

– Trzeba było odejść z innymi. Ojciec się mylił. Teraz zostaliśmy sami i następna śnieżycyca nas zabije. W tej okolicy nie zostało już nic. Babciu, wiedziałaś, że nadchodzi wielka zima, ale nas nie ostrzegłaś. Ucieszyłem się, kiedy umarłaś. Teraz jednak wołałbym, żebyś żyła. Mógłbym cię wtedy zabić i wyssać z twojej szyi ciepłą krew. Wiedziałaś, że z północy zbliża się sroga zima. Ale nic nie powiedziałaś ojcu. Polowaliśmy. Wędrowaliśmy. A trzeba było uciekać na południe!

Uderzył mocno Tallis pięścią. Przechyliła się jeszcze bardziej. Wydawało się, że najstarszy chłopiec poczuł przez chwilę wyrzuty sumienia.

– Nauczyłaś mnie wielu rzeczy. Powiedziałaś, na co zwracać uwagę w śladach i tropach, by wiedzieć, gdzie polować i dokąd wędrować. Przygotowałaś mnie, bym mógł poprowadzić rodzinę w długą podróż. Przygotowałaś mnie na triumf. A teraz pochłania nas sroga zima. Powinnaś była przygotować mnie lepiej.

Sypnął śnieg, zmuszając go do ucieczki do schronienia. Wicher szalał nad okolicą. Lód uderzał połyskującymi pięściami. Przez całe dni wydawało się, że kraina wyje z bólu. Owej długiej nocy przebrnęło obok nich coś gigantycznego. W chwili, gdy rodzina zdała sobie z tego sprawę, zawędrowało już zbyt daleko na południe. Matka zawodzeniem dała wyraz swemu gniewowi, Dzikooki zaś okazał furię tańcem. Zwierzyna przeszła obok, a oni spali skuleni, czując zimno zamiast jej bliskości.

Kolejny okres ciemności. W pobliżu przemknął wilk. Obwąchał totem, rozgrzebał twarde śnieg w poszukiwaniu trupa babki, wykopał jedną z rąk i pokuśtykał w noc z tym skromnym łupem, by zaszyć się w jakimś miejscu, w którym mógłby dobrać się do zamrożonego szpiku.

O świcie z obszarpanego namiotu rozbitego między drzewami wyszedł ojciec. Ciało miał wynędzniałe. Oplótł się ramionami. Jego oddech był tak zimny, że niemal nie zamarzał. Przebrnął przez głębokie zaspy ku grobowi, nad którym Tallis pełniła milczącą straż. Padł przed nią na kolana i spuścił głowę.

– Trzeba to zrobić – powiedział tylko. – Wybacz mi, Asho. To nie leży w zwyczajach naszego klanu, ale trzeba to zrobić. Wybacz mi.

Nie ruszał się z miejsca przez długi czas.

Wkrótce w szare światło zimowej krainy wyszedł najmłodszy syn. Podszedł bezgłośnie do totemu. Jego oczy straciły wszelki wyraz. Był bliski śmierci. Kości pokrywało mu już bardzo mało ciała. Miał ze sobą lśniący kościany nóż. Wydawało się, że poweselał nieco, gdy zbliżył się do dzieła swej sztuki.

Zdawał sobie sprawę z obecności ojca. Spojrzał na przemrożonego mężczyznę, którego ozdobiona ciemną brodą głowa wciąż była spuszczone, jakby ze wstydu, a ciało przygarbione. Przez okrywające go niedźwiedzie i wilcze skóry przesączało się zimno. Chłopiec zignorował go jednak i podszedł do drewnianego posągu.

– Muszę otworzyć ci usta. Wtedy będziesz mogła do nas przemówić. Mój brat ujrzał to w nocy we śnie. Powiedział, że muszę otworzyć ci usta.

Podniósł kościany nóż do drewnianych warg. Poczula jego pierwsze delikatne cięcie.

Za plecami chłopca zeszywniała postać mężczyzny zerwała się nagle na nogi. W wygładzonym, zaostrzonym fragmencie poroża odbijało się szare światło. Ruch był szybki i bezgłówny, pomijając głuchy trzask uderzającego o kość topora. Oczy chłopca zaszyły szkłem. Jego kaptur odciągnięto do tyłu i topór uderzył po raz drugi. Mózg i krew ofiary spryskały Tallis. Topór opadł po raz kolejny. Głowa oddzieliła się od ciała. Padł następny cios. Ręka oddzieliła się od ciała. Mężczyzna pracował jak szalony. Śnieg pochłonał krew i dźwięk. Ściągnięto ubranie. Wypruto zwierzęce wnętrze. Mężczyzna zatopił twarz w parującej, miękkiej masie zwierzęcej wątroby. Napychał się nią. Gdy zwrócił się w stronę Tallis, miał w oczach łzy. Jego czarną brodę pokrywały czerwone plamy. Wargi miał obwisłe, a usta wciąż pełne jedzenia. Przełknął je szybko i wrócił do ciała niczym szakal, pożerając miękką tkankę, wciągając nozdrzami powietrze i krew, dławiąc się w akcie gwałtownego spożywania.

Gdy już się nasycił, odchylił się, siedząc w kucki, i spojrzał na krwawą masę. W chwilę później odwrócił się w prawo i zwymiotował gwałtownie. Płakał i dławił się, wypuszczając z siebie swego syna. Potem natarł sobie twarz i brodę śniegiem, co w jakiś sposób stłumiło dźwięk.

Choć wiatr szarpał namiotem, nikt z niego nie wyszedł.

Po chwili mężczyzna podniósł się. Drżał. Spojrzał na plamy na swych dłoniach, a potem na ślady morderstwa, którego dopuścił się pod totemem. Szybko, spoglądając na namiot, podniósł kończyny i tułów, zawinał je w rzucone przez siebie skóry, związał prostym węzłem i dźwignął przed sobą. Mięsa nie było zbyt wiele, lecz wystarczy mu na jakiś czas, pod warunkiem że ukryje jego woń przed wilkami.

Wyprostował się chwiejnie i poniósł swego najmłodszego syna ku zapomnieniu. Ruszył na południe i wkrótce zniknął w posępnym, mroźnym pustkowiu.

Wrócił kulawy wilk. Powąchał powietrze. Nie mógł uwierzyć w swe szczęście. Przesunął nosem po Tallis, po czym odwrócił się i wycisnął ze skurczonej żołądki maleńką, cuchnącą kropelkę płynu. Przeżuł zakrwawiony śnieg, przełknął wnętrzości oraz krew i warknął gardłowo, przegryzając twarde tkanki. Gdy poła namiotu się poruszyła, zwierzę zadrżało, lecz głód stał się w jego życiu tak potężną siłą, że nie mogło się zdobyć na oddalenie się od zapachu ofiary. Wpakowało sobie łapczywie śnieg i żarcie do paszczy, po czym odwróciło się ku Dzikookiemu i Śniącemu, zbyt rozdarte między rozkoszą, jaką sprawiało mu mięso, a strachem przed atakiem, by się poruszyć.

Włócznia Dzikookiego trafiła je w bark. Zawyło i skoczyło na przeciwnika, lecz ten odtrącił je na bok. Skoczyło po raz drugi, na Śniącego i przeorało jego twarz pazurami. Chłopak przewrócił się, przyciskając rękę do lewego policzka. Wilka trafił kolejny cios. Nóż przeciął mu gardło. Topór wybił z niego życie przez dziury w czaszce. Jego skórę zdarto i zwinięto. Ćwiartując chude zwierzę, Dzikooki śpiewał pieśń triumfu, ignorując krwawe szczątki brata.

Kobieta wyszła z namiotu. Opadła na kolana przy głowie najmłodszego syna. Objęła ją rękami, lecz nie podniosła ze śniegu. Wydała z siebie głośny, przeciągły krzyk. Skryła smętną, rozbitą czaszkę pod śniegiem i usypała nad nią stos lodu. Wyciągnęła rękę i przebiegła palcami po zakrwawionym śniegu, zgarniając go ku sobie. Przycisnęła splamiony lód do piersi i twarzy, wachając i liżąc pozostałości życia swego najmłodszego dziecka. Dzikooki przyglądał się jej, przeżuwając kawałki wilka.

Powiedział: Tu jest mięso. Zjedzcie je. Nabierzcie sił.

Śniący podszedł do matki i przykucnął obok niej.

Dzikooki kopnął w jego stronę śniegiem i roześmiał się, a potem cofnął, żeby pilnować zdobyczy. Śniący przyglądał mu się. Dzikooki szydził z niego. Tu jest mięso, ale nie dla śniących. Czeka nas długa podróż na południe. Zabierz swoje sny na łód na północy.

Nie potrzebuję twojego mięsa, odpowiedział młodszy brat.

Umrzesz, stwierdził Dzikooki, przeżuwając zamrożone kawałki wilka. Odrzucił głowę do tyłu – był chłopcem – nie więcej niż dziesięcioletnim – chłopcem – odrzucił do tyłu głowę – roześmiał się jak mężczyzna – przeżuwał zmrożone mięso.

Smakuje dobrze, oznajmił. Dostarczy mi sił. Dostarczy sił naszej matce. Bij się ze mną o nie.

Będę jadł śnieg.

No to go jedz.

Śniący przykucnął nad miejscem, w którym jego ojciec utracił najmłodszego syna. Szkarłatna papka zamrzła w śniegu. Wydobył nóż i pokroił czerwoną masę na bryły. Wziął je w ręce i wpatrzył się w nie: małe, sześciennie pozostałości martwego brata przypominające zabarwiony kamień, lecz nie będące kamieniem. Matka przykucnęła obok niego. Obdarzył ją synowskim pocałunkiem, a następnie zjadł odrobinę brata. Wzięła w rękę bryłę krwawego lodu i wpatrzyła się w śniącego chłopaka. Obdarzyła go matczynym pocałunkiem i zaczęła jeść swego syna. Dokonało się. Dzikooki został poskromiony. Przeżuwając mięso wilka, cofnął się i wpadł do namiotu, by schronić się przed przenikliwym zimnem.

Śniący i jego matka jedli wilka, aż im również zebrało się na wymioty. Gryźli małe kawałki smrodliwego mięsa i płakali. Tallis, obserwująca to wszystko z dębowego pnia, w swym dębowym umyśle, za pośrednictwem mózgowego soku przepływającego przez jej ciało, przypomniała sobie pewien moment ze swego dzieciństwa i pytanie zadane przez starego człowieka.

„Co to jest matczyny pocałunek?”

Pocałunek akceptacji. Pocałunek wiedzy. Pocałunek żalu. Pocałunek miłości. Nie istniało nic takiego jak matczyne pocałunek. Symbolizował wszystko. Podobnie jak synowski pocałunek. Oznaczał słusność uczynku. Akceptację. Miłość wykraczającą poza zawartą w pocałunku. Tak jest. Teraz już to wiedziała.

Obaj chłopcy zostali w namiocie. Gwałtowna nawałnica szalała całymi dniami, lecz Tallis dostrzegła przez sypiący śnieg, jak matka wyśliznęła się na południe, niosąc broń i torbę. Nisko pochylona pod wiatr, opatulona w liczne futra, przypominała jakieś opaste zwierzę. Sił dodało jej mięso samotnego wilka. Tallis wiedziała, dokąd poszła.

Po pewnym czasie kobieta wróciła. W ramionach niosła tobolek. Była wyczerpana. Brnęła przez śnieg, przewracała się, podnosiła i ruszała dalej. Omal nie minęła namiotu, lecz nagle dostrzegła posąg swej matki i położyła smętne szczątki syna u stóp Tallis.

Przód jej futra pokrywała krew.

– Matko – wyszeptowała z zaciśniętymi mocno powiekami. – Mężczyzna nie żyje. Zabiłam go tym. – Rzuciła złamany topór z jeleniego poroża w śnieg u stóp Tallis. – By tego dokonać, znalazłam w sobie siłę młodości, świeżą jak zielone drzewko. Zielone dziecko we mnie oddzieliło się od starej kobiety. Zabiłam mężczyznę, który był twoim mężem i moim ojcem. Zabiłam mężczyznę, który był moim mężem i ojcem moich synów. Przyniosłam tu jego serce, ponieważ przed tą srogą zimą biło mocno dla mnie.

Wydobyła z futra poszarzałą masę i wyciągnęła ją przed siebie. Schowała ją z powrotem i zapadła lekko w siebie.

– Przyniosłam też Araka, mojego najmłodszego. To mój śniący syn powiedział mi, jak to zrobić. W tym chłopcu jest duch, który jest mądrzejszy ode mnie. W tym chłopcu jest duch, który sięga wzrokiem dalej niż ja. W tym chłopcu jest duch, który wyczuł zapach innych lasów. On

zapamięta, co się tutaj wydarzyło. Pamięć w tym śniegu zestarzeje się razem z ludźmi. Nic nie zostanie zapomniane.

Później, brodząc w śniegu, Śniący wrócił do Tallis i popatrzył na nią wzrokiem, w którym kryło się więcej wiedzy niż przedtem. Ponownie zaśpiewał swą pieśń: Ogień płonie w borze, w którym lata słońka. Jak mocno tłą się me kości, by połączyć się z tym ogniem. Jak bardzo pragnę latać swobodnie...

Tallis poczuła gwałtowny przyływ soku. Jej kora pożałowała bliskości tego młodzieńca. Jej drewniane wargi chciały powiedzieć, że go rozpoznaje, wezwać ducha Harry'ego kryjącego się w chłopcu, który był naznaczony.

Harry!

– Pragnę polecieć na południe, o Stare Milczące Drzewo – powiedział Śniący. – Ale nie ma tu ptaków, które by mnie zaniósły. Pragnę polecieć na południe. Ale nie ma ptasich pieśni, które by mnie natchnęły. Stare Milczące Drzewo, ongiś z twoich konarów narodziły się ptaki. Sprowadź teraz do mnie skrzydlatego śniącego. Pomóż mi wyruszyć na południe. Odnaleźć drogę. Arak nie żyje. On znał dobrze ziemię. Był bliski milczącym drzewom. Potrafił czytać w powietrzu i w gwiazdach. Mój brat jest myśliwym. Umie wyszukiwać ślady. Wie, jak łapać w sidła i zabijać zwierzynę. Potrzebne nam jednak ptaki, by wskazały nam drogę na południe. Gdzie one są? Bez nich nie zdołam uwolnić niespokojnego ducha z mych kości. Me kości tłą się, by połączyć się z ogniami ciepłego lasu.

Milczał przez dłuższy czas. Śnieg zasypywał jego skulone ciało, tworząc zaspę. Wreszcie ponownie uniósł twarz.

– Stare Milczące Drzewo, jest we mnie duch, który jest niespokojny. W moich kościach jest duch, który domaga się skrzydeł. Stworzę w życiu potężną magię. Zapamiętam ten śnieg. Ale duch prosi o wolność. To ptasi duch pragnie wolności. Śnię o nim. Widzę go wysoko w powietrzu. Jego

skrzydła są ogromne. Unosi się nad chmurami. Lśni. Ryczy podczas lotu. To dziwny ptasi duch. Stare Milczące Drzewo? Matka opowiada niezwykłą historię. Kiedy się urodziłem, z moich ust popłynęły dwa głosy. Jeden z nich był krzykiem ptaka. Kiedy urodził się mój najmłodszy brat, wszystkie ptaki odeszły. Wędrowaliśmy przez krainę pozbawioną skrzydeł. Nie było ptaków, które dałyby nam nadzieję. Które moglibyśmy jeść. Które wskazałyby nam drogę. Stare Milczące Drzewo... czy pamiętasz? Kiedy to się wydarzyło, mówiłaś, że powinienem wezwać ducha dębu. Jesteś tutaj. I ja jestem tutaj. Nasze duchy są razem. Ale musisz mi pokazać, co mam teraz zrobić.

Podszedł do Tallis. Spod kaptura sterczały mu rude loki. Szeroko rozwarte oczy miały dociekliwy wyraz. Z blizn na lewym policzku sączyła się blada krew. Ucałował jej wargi, a potem spojrzał w oczy.

– Mój brat dobrze cię wyrzeźbił – rzekł. – Jesteś czymś więcej niż tylko babką. Jesteś duchem mojej zmarłej siostry. Jesteś duchem kobiety w tej lodowatej krainie. Mój brat dobrze cię wyrzeźbił. Gdybyś tylko umiała mówić. Naznaczył mnie wilk. Jak mogę być jednocześnie wilkiem i ptakiem? Wyjaśniłabyś mi to. Zrozumiałabyś...

Wrócił do namiotu. Potem w sypiący śnieg wyszła kobieta, chwiejąca się na zawodzącym wicherze, skulona wpół. Za nią szli synowie. Cała trójka padła na kolana przed Tallis.

– Matko... – przywitała ją kobieta.

– Stare Milczące Drzewo – wyszeptał Śniący ze zrozumieniem w głosie.

– Stara martwa babo – zadrwił Dzikooki.

– Zrobił cię mój najmłodszy syn – zaczęła kobieta. – Twój duch przebywa w drzewie. A teraz duch mojego najmłodszego syna krzyczy, że chce się z tobą połączyć. Razem możecie wrócić do nas z mroźnego zakazanego miejsca. Mój śniący syn znalazł sposób.

Śniący podszedł do Tallis.

– Staniesz się ogniem płonącym w Krainie Ptasich Duchów. Twoje płomienie złamią czar.

Dzikooki wykrzywił wściekle twarz.

– Skończcie już z tym. Jeśli szybko pójdziemy na południe, ocalimy życie. Wtedy będziesz mógł opowiadać tę historię aż do śmierci, bracie. Ale jeśli nie wyruszymy zaraz, znajdziemy tylko lód.

Śniący podszedł do Tallis i wyciągnął ją z zamrożonej ziemi. Poniósł ją w ramionach przez szalejącą nawałnicę do zimnego namiotu. W jakiś sposób udało im się zachować tłące się ognisko. Położyli Tallis na wąłym płomieniu. Dzikooki dmuchał na węgielki, aż się rozjarzyły. Poczuli uszczypnięcie ciepła. Żar wygnał z niej wilgoć. Skwierczała i buchała dymem, aż wreszcie ogień rozgorzał i płomienie zaczęły lizać jej skórę. Troje członków rodziny ogrzało dłonie. Wydawało jej się, że tliła się przez długi czas, nim wreszcie rozpałała się na dobre.

Kobieta wzięła w rękę kościany nóż swego nieżyjącego syna i położyła go przed spoczywającą na boku Tallis, która widziała smutek w jej twarzy. Zdjęła wykonany z poroża naszyjnik i ściągnęła ze sznurka trzy odłamki. Podniosła bladą jak płótno nogę zamordowanego chłopaka i ogrzała ją przy ogniu. Następnie zdarła z niej białą skórę, odciągając ostrożnie jedwabistą, połyskującą płachtę ludzkiej tkanki. Gdy ta oddzieliła się od zimnego mięsa, pokroiła ją na paski i każdym z nich owinęła kawałek kości. Kiedy róg został odziany, ponownie nawlekła go na naszyjnik i wręczyła Śniącemu, który założył go sobie na szyję i skrył owo skromne wspomnienie zamordowanego chłopca pod futro.

Kobieta podała nóż Dzikookiemu, który uniósł go z uśmiechem zachwyty na przedwcześnie postarzałej, wynędzniałej twarzy. Światło załśniło w wygładzonej kości. Dzierżył go niczym miecz, być może wyobrażając sobie zabijanie i patroszenie, jakiego dokona tą bronią, ongiś użytą do wyrzeźbienia podobizny kobiety w krainie.

Jego matka powiedziała: Wykonano go z kości zwierzęcia, które utonęło w wodzie. Kiedy się zestarzejesz, musisz go jej zwrócić. Należy do królestwa zwierząt.

Zrobię to, odparł Dzikooki.

Śniący spoglądał na niego. Uśmiechał się, nie zważając na ból wywołany głodem i zimnem. Dotknął ręką piersi, na której miał pamiątkę po bracie. Ogień wgryzł się głębiej w Tallis.

Kobieta zszyła razem fragmenty swego syna za pomocą długich kościanych igieł. Jego bracia spuścili wzrok, gdy uporą się z tą makabryczną robotą. Ciało było niekompletne. Biała kość przebijająca się przez szare mięso stworzyła pozbawioną życia kukłę. Matka utuliła ją w ramionach, a potem włożyła do ognia.

Dzikooki wyszedł w nawałnicę i wrócił z posiwiącą głową babki. Jej włosy zamarzyły, tworząc kolce, które odłamał i wrzucił do ogniska, gdzie zaskwierczały, wyschły, a potem buchnęły płomieniami. Czaszkę ułożono wśród kości Araka. Przez żar i dym Tallis spoglądała we wpatrzonych oczy trojga przemarzniętych ludzi ze starożytnych dni, którzy wspominali zmarłych i oddawali im honory.

Wkrótce zauważyła, że śnieg przestał sypać. Surowe skóry namiotu nie wydymały się już i nie falowały, a płonące pod nią ognisko nie buchało co chwila z głośnym hukiem. Dzikooki wyszedł na zewnątrz i po chwili wrócił podekscytowany. Znalazł wabik, wypróbował jego działanie i znowu wyszedł z namiotu. Śniący podążył za nim. Kobieta odsunęła połę namiotu i umierająca Tallis ujrzała nad śnieżnymi polami blade słońce. Dzikooki kręcił wabikiem nad głową, wywołując rytmiczny dźwięk pulsujący w nieruchomym powietrzu. Wkrótce niezwykły przyrząd zaczął wydawać z siebie miarowy jęk, który nauczyła się z nim kojarzyć. Śniący stał u boku brata, wpatrując się w niebo. Widać na nim było czarne punkciki, które się zbliżały.

Tallis usłyszała krzyki. Krzyki ptaków. Wróciły. Wtargnęły do Krainy Ptasich Duchów, rojąc się nad pogrzebowym stosem.

Dzikooki wraz z matką łapali je w sieci i rozdeptywali im głowy, gdy miotały się w luźnym więzieniu. Kiedy już zabili dwadzieścia, oboje wybuchnęli śmiechem. Inne ptaki stały na Tallis, dziobać ją, podobnie jak zwęglone ciało najmłodszego syna.

Łowcy zgromadzili swe ofiary w stos. Chwila uniesienia minęła, gdy kobieta weszła do namiotu, by obserwować śmiertelny lot swego najmłodszego dziecka. Powędrował uniesiony w dziobach do miejsca, które przyjmie jego ducha. Gdy czarne ptaszyska wzlatywały z łopotem skrzydeł pod szare niebo, kobieta śledziła je wzrokiem ze łzami w oczach.

– Żegnaj, Araku – szeptała z każdą z nich. – Żegnaj, Asho...

Była noc. Ogień palił się słabo. Była zwęglonym, twardniejącym drewnem, dzięki bramie wiodącej do pierwszej puszczy nadal świadomym tego, co działo się wokół. Śniący podszedł do ogniska i pogrzebał w popiołach. Uniósł w dłoni Tallis, drobne kawałki węgla, którymi się stała. Ucałował ją i podniósł do piersi. Jego skóra ogrzała skórę najmłodszego syna, a róg jelenia zachował jego życie i wspomnienie o nim.

Patrzyła na to ze zwęglonego drewna. Okruchy poroża były wyraźnie widoczne na tle sypiących śniegiem chmur. *(Wizja z innego życia: leży pod Połamańcem, patrząc na letnie niebo widoczne między fragmentami uszkodzonego poroża zwierzęcia. To, co czuła, miało charakter seksualny. Było potężne. Uświadomienie sobie więzi łączącej ją z Harrym...)* Śniący wyszedł w cichą noc, brodząc w śniegu. Jeśli świecił księżyc, przesłoniły go chmury, przez które przebijała się bezpostaciowa jasność, luna bijąca z nieba, życie usiłujące przedostać się przez dezorientującą mgłę. Przyleciały ptaki, które zaczęły krążyć nad jego ciałem. Nie poruszył się i jeden z nich usiadł mu na ramieniu, wskoczył na głowę i wysunął żółty dziób, by dziobnąć go w oczy.

Ptak nie przestawał dziobać.

Krew chłopca płynęła. Został oślepiiony.

Tallis upadła na śnieg.

Duch chłopca oddzielił się od kości, od ciała, przeniknął przez futra. Zjawił się mężczyzna. Tallis przypomiwała sobie, jak wyglądał. Lśnił w nocy niebiesko–żółtym blaskiem. Był nagi. Na jego twarzy nie widziało się już śladu po poparzeniu, był jednak jej bratem, którego pamiętała. Wychudł bardzo. Przez jego niematerialną postać dostrzegła Śniącego.

Chłopiec przemówił do niej, lecz brzmienie jego głosu było inne.

– Wszyscy mamy własne drogi wyjścia z pierwszej puszczy – mówił Harry. – Zostałem uwięziony. Ty mnie uwięziłaś. Teraz zwróciłaś mi wolność. Dziękuję ci. Nie będę daleko. Znajdę cię znowu. Nie umarłaś. Po prostu podróżowałaś. Nie będę daleko.

Nagle rozległ się łopot skrzydeł. Nadprzyrodzona obecność skurczyła się i wzniosła w powietrze, ciemna na tle przebijającego się przez chmury blasku księżyca. Śniący śpiewał szamańską pieśń opowiadającą o wędrownicy, wysławiającą odejście do świata duchów.

Wrona–Harry zatoczyła krąg, zbliżyła się do kawałka węgla drzewnego, swej siostry, mrugnęła znacząco, a potem wzbiła się w powietrze i odleciała. Skierowała się na południe, ku domowi, ku ciepłu, ku wolności.

Śniący opadł na kolana, ślepy, krwawiący, podróżujący na skrzydłach pieśni.

Ale się uśmiechał.

Macał na oślep rękoma po śniegu, aż wreszcie znalazł Tallis i uniósł ją w górę. Ucałował jej poczerniałą twarz. Przytulił zwęglone ciało. Spoglądał na nią oczyma, które oglądały cienie wielu krain. Wchłonął w siebie Araka i potrafił dostrzec cienie puszczy. Był więc teraz twórcą nie tylko wspomnień, lecz również wizji. Dzikooki, ze swym kościanym nożem i poczuciem triumfu, poprowadzi ich bezpiecznie ku ciepłu. Będzie się o tym

opowiadać. Ich rodzina nigdy nie zostanie zapomniana. Cały świat dowie się, co się tu wydarzyło.

Arak powędrował do zakazanych miejsc ziemi.

Ale po tym, jak zaginął, trafił z powrotem do domu.

Powiedział do Tallis: Do widzenia.

Kobieta spakowała dobytek. Martwe ptaki, oskubane i wysuszone, zwisały jej u pasa. Zimno uchroni je przed zepsuciem. Będą jeść pożywienie padlinożerców podczas wędrówki na południe, ucieczki z zakazanego miejsca. Dzikooki niecierpliwił się. Ruszył przed siebie. Jego matka, jego kobieta, podążyła za nim.

Śniący wezwał ich z powrotem.

Wydobył małe kości martwo urodzonej dziewczynki z miejsca, gdzie pochowano je w lodzie. Niewidomy, lecz wszystko dostrzegający, położył je obok kości brata. Miał też szczątki wilka. Znalazł fragment swej babki. Obok tych okruchów życia umieścił jagody z ukrytego woreczka, a na szczycie tego wszystkiego ptasią czaszkę. Na koniec nadział na dziób serce ojca i usypał ze śniegu stos, w którym ukrył szczątki. Wszystko to działo się wewnątrz namiotu, w ciepłym miejscu, które było ich przystanią. Uklepał śnieg, by zrobić z niego kopiec, kurhan. Dzikooki wraz z matką otoczyli go śnieżnym murem.

Śniący położył Tallis na śniegu z twarzą zwróconą na południe, w kierunku domu.

Następnie powęszył, ujął brata za ramię i pozwolił, by ten go poprowadził.

Gdzieś, w nieznannej krainie, jego duch, jego utracony duch, leciał nad ciemnymi puszciami.

Długa zima dobiegła końca. Tallis zapadła się w topniejący śnieg i spoczęła wśród kości. Okolicę pokryła tundra. Chodziły tam zwierzęta.

Wibracja ich kroków niepokoiła ją w jej podziemnym śnie. Pojawiły się małe rośliny, a potem wykiełkowały nasiona pochowane razem z kośćmi.

Tam, gdzie leżała Tallis, wyrosły głóg i ostrokrzew, karmiące się szpikiem wilka i wrony, wsysające w siebie smętne życie martwego niemowlęcia, czerpiące ze wspomnień Starego Milczącego Drzewa i spoczywającej obok niego czaszki babki. Z ziemi wyłoniły się zarośla, które wyrosły i przerodziły się w las. Pierwszym drzewem boru był ostrokrzew, owinięty bluszczem. Ocieniona dumniejszymi drzewami Tallis czekała w milczeniu, obserwując poruszenia lata przez lśniącą zieleń i kolczaste liście.

Uformował się daurog. Ostrokrzew zadrżał. Jego sok przepływał w dziwnych kierunkach. Liście zwinęły się, by przerodzić się w ciało, gałęzie zakrzywiły, by stworzyć kości. Roślina skurczyła się, a potem eksplodowała na nowo, przybierając kształt kobiety. Następnie wysupłała się z gąszczu i zatopiła palce z cierni róży w twardej ziemi. Odsunęła ją na bok i odnalazła skamieniałe drewno, które było sercem lasu. Było czarne, gdyż przed tysiącleciem je spalono, lecz mimo to wciąż dostrzegało się na nim odcisk twarzy. Daurog otworzył swój brzuch i umieścił kamień w jego wnętrzu, gdzie natychmiast obudziło się w nim życie. Ciepła, patrząca oczyma rośliny Tallis ruszyła z Ostrokrzewką głębiej w las. Serce biło jej niczym skrzydła oszalałego ptaka.

Była sama. Po wielu dniach wyczuła za sobą jakiś ruch. Gdy się odwróciła, ujrzała mężczyznę o dziwnej sylwetce, który obserwował ją przykucnięty. Miał na sobie naszyjniki z leśnych owoców. Jego skórę stanowiła mieszanina najrozmaitszych liści, a z czubka głowy wyrastało mu sitowie. Tallis–Ostrokrzewka rozpoznała szamana daurogów, który podniósł się i ruszył w jej stronę z szelestem liści. Następnie położył się z uśmiechem, a jego wijący się wężowo członek wzniósł się w górę. Ostrokrzewka–Tallis poczuła się zmuszona dosiąść okrakiem magicznej

mocy. Ukłęknęła nad uśmiechającym się drzewem i pozwoliła mu wnikać w siebie, nakarmić się nią i zapłodnić wzrost ptaków.

Potem ruszyła z nim w leśną wędrówkę. Tańczył w rozświetlonych blaskiem księżyca dolinkach, dygotał w chaszczach, kroczył dumnie po skraju lasu, uśmiechał się do wędrowców z zielonego gąszczu. Byli z nim też inni, którzy zgromadzili się, by wyruszyć w podróż: wódz, dwóch wojowników i kobieta. Każdy z nich miał inne liście. Przeszli bezgłośnie i szybko przez najwilgotniejszą, najbardziej wybujałą puszcę, żywiąc się miękkimi grzybami porastającymi korę drzew, wysysając ciecz z rozkładającej się ściółki, przezuwając porosty pokrywane omszałe, poszarzałe głązy.

Gdy dotarli nad rzekę, zatrzymali się. Tallis–Ostrokrzewka była czujna i po chwili ujrzała troje jeźdźców, którzy dotarli tu ze świata ludzi: starca, młodzieńca i kobietę o twarzy jak z kamienia. Tallis uśmiechnęła się. Ostrokrzewka–Tallis ruszyła razem z pozostałymi. Do spotkania doszło o zmierzchu.

Wieczorem Tallis–Ostrokrzewka podeszła nagle do przykucniętej, ostrożnej kobiety. Przyjrzała się sobie przyglądającej się daurogowi i dostrzegła strach oraz zmęczenie w swych oczach. Nie umiała powiedzieć tamtej, kim jest, lecz pamiętała łączące je poczucie pokrewieństwa. Starła się zwrócić na nie uwagę, wskazując palcem na ostrokrzew, a potem na ludzkie ciało, ale blade oblicze owej owiniętej w futra Tallis nie wyrażało nic. Obie kobiety były jednak związane silnym uczuciem i Tallis–Ostrokrzewka uśmiechnęła się, gdy je rozpoznała.

Podzielili się jedzeniem. Ostrokrzewka–Tallis wydała na świat ptaki. Ból był bardzo wielki. Uwolniona, dołączyła do pozostałych. Razem ruszyli w górę rzeki. Gdy dotarli do wielkiego bagna, Ostrokrzewka pożegłowała z pozostałymi daurogami na sponiewieranym stateczku. Na wiele dni pograżyła się we mgle, pomagając popychać starożytną łódź przez cuchnące, spowite całunem wody. Poczuła smutek, gdy zobaczyła, jak

Tallis została z tyłu: postać na brzegu patrząca z zatroskaniem, lecz bez zrozumienia, jako że nie zasłoniła twarzy Księżycowym Snem i dlatego nie widziała kobiety w krainie.

Nadeszła zima i daurogi zrzuciły liście. Pojawił się wilk, a czasami ptak. Ostrokrzewka–Tallis kuliła się, samotna i niekochana. Jej wiecznie zielona skóra stanowiła dla pozostałych wyzwanie i źródło irytacji.

Wkrótce dotarli do ruin. Wilcze apetyty przybrały na sile. Scaragi przystąpiły do ataku. Jeden z nich zwrócił się przeciwko Ostrokrzewce–Tallis. Ta umknęła ścieżką ku bramie, mijając po drodze kobietę, którą dobrze знаła. Przypomniała sobie szok, o jaki przyprawiło ją wówczas to nieoczekiwane spotkanie. Patrzyła zza bramy, jak Tallis zabiła scaraga i zrzuciła go z urwiska. Ukryta w milczących, kamiennych komnatach, obserwowała potajemnie kobietę, która przysłała do zamku, wlokąc ciało mężczyzny.

Przyglądała się, jak ruiny ją ogarnęły, jak mury i kamienie przerodziły się na nowo w drzewa w odpowiedzi na zieloną łunę bijącą z Tallis siedzącej w gnieździe ze szmat. Mężczyznę ogarnęły również. Gdy ich ciała zmiażdżono i pochłonięto, Tallis–Ostrokrzewka również została uwięziona w drżącej, milczącej puszczy, która wypełniła kamienne miejsce.

Weszła więc do komnaty, przeciskając się przez listowie, i znalazła miejsce, w którym zgnił trup kobiety. Gdy tam usiadła, ogarnęła ją słodka drzemka. Długa noc. Śniło jej się dzieciństwo. Wspominała pana Williama. Śpiewała stare piosenki i chichotała z zapamiętanych opowieści.

Kiedy się obudziła, liście z niej opadły, a odrzucone drewniane kości stworzyły wokół niej stos. Drzewa zniknęły, ponownie pochłonięte przez kamień, który migotał resztką zapamiętanej zieleni i sączył z siebie ostatnią warstewkę żywicy.

Było jej zimno, uciekła więc stamtąd. Jej nagą skórę pokrywał lodowy pył. Udała się do mieszkających w namiotach ludzi, gdzie znalazła ciemne szaty oraz futra.

Została z nimi przez kilka dni. Mieszkali na skraju lasu, a zarazem na skraju pola bitwy. Czasami łupili poległych, a czasami oddawali im honory. Ich namioty wznosiły się na krawędziach urwiska i pod drzewami. Wszystkie jaskinie były wykorzystane. Jedna z nich była świątynią.

Tallis zostawiła w niej maski.

Po pewnym czasie przestała czuć ból wywołany tym, co ją spotkało. Dotarła do pierwszej puszczy. Wynne–Jones miał rację. Nie była to łatwa podróż.

Jej dłonie postarzały się. Niemal nie mogła na nie patrzeć. Przypominały sękate drewno. Gdy wreszcie przejrzała się w czystej wodzie i zobaczyła swą twarz, rozpłakała się gorzko na widok spoglądającej na nią starej kobiety.

– Ale znalazłam Harry’ego. Widziałam brata. Prawda? Uwolniłam go z grobowca. Zawołał mnie i przyszedł. Zrobiłam to, co było konieczne. Odleciał. Ale go widziałam. Być może nie mogę liczyć na więcej.

LAMENT

Duch drzewa

Wróciła do osady Tuthanachów. Podróż trwała niezliczone dni i była bardzo trudna. Na początku wielkiego bagna znalazła łódź daurogów. Choć pokład pokrywała woda, Tallis zobaczyła, że załatały dziury sitowiem. Naprawiła te łaty, popchnęła ze wszystkich sił kruchy stateczek i rzuciła się na płytki pokład. Leżała tam wyczerpana, gdy łódź dryfowała wśród mgły po milczącej wodzie.

Czuła się niemal chora z niepokoju, gdy podążając wzdłuż rzeki, znalazła się na polanie duchów, gdzie oboje ze Scathachem po raz pierwszy natknęli się na Wynne–Jonesa. Co tu odkryje? Czy stary dotarł na miejsce? Czy Scathach również odbył podróż przez pierwszą puszczy, by wrócić, postarzały, lecz triumfujący, z podziemnego świata?

Ruszyła zarośniętymi zielskimi ścieżkami. Zdążyła już zauważyć, że słupy duchów stojące nad wodą są zbutwiałe i pokryte skorupą grzyba. Gdy wyszła na pustą przestrzeń otaczającą wioskę, natychmiast dostrzegła, że popadła ona w zaniechanie. Polanę wypełniały gęste zarośla. Palisada runęła, a ziemia osunęła się. Domy Tuthanachów były zniszczone, znikły kryte strzechą dachy, a tynk ze ścian zmyły deszcze.

Osada była opustoszała. Wśród nowych drzew odciskających swój znak na okolicy widać jednak było tajemnicze kopce o kształcie krzyży. Tallis weszła między nie i zaczęła dźgać je laską. Gdy zdjęła z jednego z nich trochę ziemi, zadrżała na widok szarego ciała mężczyzny zwróconego twarzą w dół.

„Czeka ich śmierć przez pogrzebanie, a potem ponowne narodziny”.

Ze wzgórza, gdzie dom pogrzebowy strzegł powierzonych mu kości, bił dym. Tallis słyszała też dobiegający stamtąd wysoki ton fujarki. Dziwne, przyjemne dźwięki unosiły się na lekkim wietrze, pojawiały się i znikwały niczym morskie pływy. Gdy podeszła bliżej, nuty przerodziły się w melodię. Z bijącym sercem i bladym uśmiechem zanuciła prosty temat znany jej z Pola Smutnej Pieśni.

Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego spodziewała się, że znajdzie tam Wynne–Jonesa. Być może melodia kojarzyła się jej z panem Williamsem. Wdrapała się na porośnięte tarniną wzgórze, wyobrażając sobie siedzącego na szczycie, opatulonego futrem starego człowieka, przywołującego ją muzyką z powrotem do swego życia.

Rzecz jasna, spotkała tam Tiga. Młodzieniec opuścił kościany instrument i popatrzył na nią jasnymi, przerażającymi oczyma. Kiedy się uśmiechnął, odsłonił wygładzone, zaostrome zęby. Dwa z nich były złamane. W miejscu, gdzie ongiś wznosiły się dumne rajathuki, wykopał dół na ogień. Gdy wstał, zobaczyła, jaki jest wysoki. Luźny płaszcz ze zwierzęcych skór opadł z prężnego muskularnego ciała pokrytego bliznami, pęcherzami oraz starymi, wyblakłymi wzorami namalowanymi ochrą, solami miedzi i sokiem z czarnych jagód. Był pomalowanym człowiekiem. Jego skórę pokaleczyły rany, które sam sobie zadał, lecz ciało miał silne i przygotowane na czekające go lata walki o przetrwanie.

– Przyszłaś zobaczyć się z Wyn–rajathukiem – odezwał się ochrypłym szeptem, podkreślając termin oznaczający szamana. Uśmiechnął się z lekkim wyrazem drwiny. Tallis zdumiała się, słysząc, że mówi po angielsku.

– Czy on tu jest?

– Przebywa tu od pewnego czasu. Sprowadzę go.

Podszedł do walącego się cruig–morn, zniżył głowę, by przejść pod pochylonym kamiennym nadprożem, a potem wczołgał się do mrocznego korytarza. Tallis przykucnęła, potrząsając głową. Nie miała najmniejszych

wątpliwości, co przyniesie jej Tig: naręczce kości; być może czaszkę. Nagle jednak stary kaszlnął w wejściu do domu kości, wygramolił się na zewnątrz i stanął prosto. Tallis krzyknęła z zachwytem na widok znajomej twarzy Wynne–Jonesa. Jego poszarzałe oblicze było sztywne od zimna i trudno mu było się uśmiechnąć. Oczy spoglądające na Tallis znad białej brody lśniły jednak jasno i były pełne inteligencji. Odzyskał wzrok.

– Cześć, Tallis – wyszeptał ochryplym głosem.

– Wyn... – zaczęła, lecz nagle poczuła mróz w sercu. Stary zadrżał. Jego twarz zmarszczyła się i skurczyła jak przekłuty balonik. Przez szare wargi wysunął się język.

– Cześć, Tallis – powtórzył Tig głosem o wysokiej tonacji. Uniósł rękę i zdjął z twarzy maskę z miękkiej skóry, pozwalając, by oblicze starego zmieło się w jego dłoni. Zrzucił z siebie płaszcz Wynne–Jonesa i znowu stanął przed nią nagi.

Tallis miała ochotę się rozplakać. Nagle nad jej głową przeleciał ptak. Tig szarpnął się do tyłu. Chwila jego płynącego z oszustwa triumfu skończyła się gwałtownie. Było to wielkie ptaszysko o czarno–białym upierzeniu. Miało długą szyję i straszliwy, zakrzywiony dziób. Tallis nigdy nie widziała podobnego stworzenia. Wzniosło się po spirali w cieplejszym powietrzu, a potem krzyknęło głośno, pomknęło szybko na północ i zniknęło między drzewami.

Jego nagłe pojawienie się odebrało młodzieńcowi odwagę. Śledził ptaka wzrokiem, dopóki nie zniknął całkowicie. Następnie podrapał się w krwawiącą, pokaleczoną skórę, poruszając bezgłośnie ustami.

– Dlaczego go zabiłeś? – zapytała. Szelmowska twarz Tiga ponownie zwróciła się w jej stronę.

– Musiałem to zrobić – odpowiedział bez uśmiechu, bez nuty szyderstwa. – Wiedział o tym. Dlatego wrócił. Potrzebowałem tylko jego kości, więc ciało zdjąłem i zachowałem.

Podsunał jej zdartą twarz, jak gdyby nagle poczuł się zawstydzony swym oszustwem.

– Możesz go sobie wziąć, jeśli chcesz. Jest w środku, cały.

Zakonserwowałem ciało olejem i żywicą. Są tam też kości. Już ich nie potrzebuję. Był sutym posiłkiem.

– Nie. Dziękuję – wyszeptała Tallis, czując mdłości. Obejrzała się za siebie, spoglądając ponad lasem ku miejscu, gdzie leżeli pochowani Tuthanachowie. – Czy ludzi też zabiłeś?

– Oni nie umarli – wyjaśnił Tig. – Dotykają tylko ziemi. Doświadczą najrozmaitszych cudów. Przez ich ciała przepływają stare duchy; w ich głowach szepczą nowe; w ich piersiach tańczą wilkoptaki, niedźwiedziojelenie i żaboświnie; w ich brzuchach kiełkują dawno zapomniane lasy. Gdy wstaną, będą należeć do mnie. Wiem o nich wszystko. Dlatego właśnie zjadłem ich sny. W miejscu, gdzie teraz stoisz, wkrótce zostanie wzniesiony wielki gmach z pomalowanych kamieni i wyrzeźbionych kamieni, a do serca pagórka, gdzie wśród zmarłych świecić będzie słońce, prowadzić będzie jedna droga, oświetlony blaskiem ziemi szlak do cudownej krainy.

Patrząc na Tiga, Tallis pomyślała o słowach Wynne–Jonesa. Do podziemnego świata nie wchodzi się przez jaskinie i grobowce. Takie wyobrażenie wywodzi się z legend. W rzeczywistości trzeba przemierzyć bardziej starożytną puszcę...

Uśmiechnęła się z przekąsem, zdając sobie sprawę, że Tig również wywodzi się z legend. Od tej chwili, przynajmniej dla Tuthanachów, droga do Lavondyss będzie znacznie łatwiejsza.

Czy jestem bezpieczna, zastanowiła się. Wykonała prymitywną broń z drewna, ale Tig miał kamienne topory i noże, kościane włócznie, haki, proce i kamienie. Wszystko to leżało rozrzucone na ogrodzonym terenie, gdzie ongiś stały rajathuki. Tallis zdała sobie nagle sprawę, że owe narzędzia ułożono tak, jakby miały służyć do obrony przed atakiem

nadchodzącym z różnych kierunków. Przyjrząwszy się uważniej, zauważyła celowo usypane stosy kamieni, pięć włócznie umieszczonych w regularnych odstępach oraz poruszające się na wietrze martwe ptaki nadziane na wbite w ziemny nasyp włócznie.

Tig stworzył Krainę Ptasich Duchów! Obawiał się ptaków i posłużył się własną magią, by odstraszyć drapieżniki oraz padlinożerców od domu kości, od szczątków swego ludu.

Tig się bał. Był oblegany. Czy cieszył się z obecności Tallis, czy też był do niej wrogo nastawiony?

Uznała, że najlepiej będzie zapytać go bez ogródek.

– Czy mnie również zamierzasz zjeść?

Roześmiał się cierpko.

– Tak właśnie myślałem, że się boisz.

Potrząsnął głową.

– To by nic nie dało. Mam już wszystkie sny o twojej Anglii, jakich potrzebuję. To musi być straszliwa kraina. Tak wiele jałowej ziemi, tak mało lasu, tak bardzo zatłoczone wioski, tak dużo cienia i deszczu...

Tallis uśmiechnęła się.

– Wyn–rajathuk powiedział mi kiedyś, że nigdy nie uda mi się wrócić do tej „straszliwej krainy”. Zapewniłam go, że tam wrócę. Spodziewałam się jednak, że zabiorę ze sobą brata, a udało mi się tylko zobaczyć go na moment. Wciąż jest gdzieś tutaj. Jeśli wyruszę w rodzinne strony, nigdy już go nie spotkam. Jeśli będę zwlekała, być może zostanę tu aż do śmierci. Chciałabym zapytać o to wszystko Wynne–Jonesa. – Westchnęła. – Ale zrobiłeś sobie z niego posiłek i okrutną maskę, żeby mnie nabrać...

Tig uśmiechnął się i poklepał dłonią ziemię przed swą przykucniętą postacią.

– Zapomniałaś o czymś...

Krzyk! Wrzask gniewu. Dobiegał z lasu, z miejsca między cruig–morn a osadą. Przerwał Tigowi, który poderwał się z poszarzałą twarzą i

krwawiącymi bliznami. Pognał po procę. Tallis weszła na szczyt ziemnego nasypu i spojrzała na granicę drzew. Nagle poczuła się podniesiona na duchu. Stała tam kobieta. Była wysoka, pomalowana w połowie na biało, a w połowie na czarno, owinięta w przewiązany w talii płaszcz z piór. Opaskę na jej głowie również ozdobiły pióra, długie, jasnożółte pióra z ogona.

– Morthen! – krzyknęła Tallis. Mimo gniewu wywołanego ich ostatnim spotkaniem, mimo odniesionych ran, pragnęła odnowić ich znajomość. Sama w olbrzymiej puszczy, musiała zgromadzić wokół siebie wszystko, co знаła, a to oznaczało Morthen, która była jedyną możliwą ścieżką, jaka jej pozostała.

Dziewczyna krzyknęła coś we własnym języku. Tig zatańczył wkoło, a potem zawył, wydając z siebie wznoszący się i opadający krzyk wyzwania. Z jego ciała dosłownie trysnęła krew, którą rozsmarował prawą dłonią, podczas gdy lewą zmiążdżył czaszkę wrony.

Morthen odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, po czym odwróciła się i uciekła do lasu. Tallis podążyła szybko za nią. Przeszła po jej śladach przez osadę, lecz nagle, gdy dotarła do rzeki, odciski stóp się skończyły. W milczeniu polany duchów rozglądała się wzdłuż brzegu w lewo i w prawo, lecz nigdzie nie było śladu po dziewczynie, choć blisko, ponad głową Tallis, coś poruszyło się wśród drzew.

Podniosła wzrok ku konarom, lecz nic nie zobaczyła.

Czekała tam, aż zapadł zmierzch. Potem, przemarznięta i głodna, wróciła do domu pogrzebowego.

Na ziemnym nasypie paliło się pięć ognisk. Tig biegał między nimi, zatrzymując się przy każdym, by pograć chwilę na fujarce. Wreszcie wydał z siebie ochryply, skrzeczący dźwięk, który Tallis uznała za wyzwanie pod adresem ptaków. Nerwowo spoglądał na niebo, a podejrzliwie na nią. Gdy weszła na teren za wałami, poczuła woń przypalonego jedzenia. Tig przeszył włócznią kilka małych zwierzątek, które skwierczały nad płomieniami ogniska.

Nie pytając o pozwolenie, spożyła odrobinę żylastego mięsa. Było smrodliwe, niesmaczne i odebrało jej apetyt. Gdy skończyła, Tig podszedł do ogniska, zjadł trochę i oblizał palce. Cuchnął teraz odrażająco i drżał cały.

– Morthen usiłuje mnie zabić – stwierdził. – Uśmierciłem jej ojca, starego szamana. Jest wściekła. Będzie próbowała go pomścić. Potem zabije i ciebie.

– Miała już na to szansę – odrzekła Tallis. – Zadała mi trzy ciosy i zostawiła, żebym się wykrwawiła.

– Czy jej drugi brat nie żyje? Scathach?

– Tak.

Tig skinął głową z zamyśloną miną.

– Jedna część mojej osoby myśli: „dobrze”, kiedy to słyszę. Ale druga część, stary, jest zasmucona, mimo że wiedziała, iż tak musi się stać.

Jego słowa zelektryzowały Tallis. Przez chwilę niemal nie była w stanie się odezwać, obserwowała jednak Tiga, który oderwał skrawek mięsa, przeżuł go szybko, przełknął i rozejrzał się wokół.

– Stary jest w tobie? Wyn–rajathuk?

Tig uśmiechnął się. Domyśliła się, że czekał, by to zrozumiała. Przyglądał się jej z chytrym, niemal czułym wyrazem twarzy.

– Mówiłem ci już, że zjadłem jego sny. Umiem teraz mówić jego językiem. Pamiętam wiele rzeczy. Oxford. Przyjaciela o nazwisku Huxley. Córkę o imieniu Anne. Anglię. Straszliwą krainę.

– Nie tak straszliwą jak miejsce, które niedawno odwiedziłam.

– A więc znalazłaś krainę lodu? Dotarłaś do Lavondyss? – zapytał po chwili wahania, być może potrzebnej, by połknięty sen, który należał do Wynne–Jonesa przedostał się na pierwszy plan umysłu mitotworu.

– Chyba tak. Przeszłam przez pierwszą puszcę. Sama stałam się puszcą. Zapewne przedostałam się do swego nieświadomego umysłu...

nigdy nie zaznałam podobnego bólu. Czułam się zgwałcona, pożarta, lecz jednocześnie kochana.

Potrząsnęła głową.

– Sama nie wiem, co czuję. Całe życie sądziłam, że Lavondyss to królestwo magii. To fakt, że zimne. To fakt, że zakazane. Zdawało mi się jednak, że to olbrzymia kraina o wielu aspektach. Przekonałam się, że to miejsce morderstwa. Miejsce winy. Miejsce honoru. Miejsce narodzin wiary w wędrowną duszę.

– To jest olbrzymia kraina – odpowiedział powoli chłopiec, który był Wynne–Jonesem. – I ma wiele aspektów. Dotarłaś tylko do tej części, która ma dla ciebie osobiste znaczenie. Rzecz jasna, miała je też dla Harry’ego. Oboje urodziliście się ze wspomnieniem tego samego pradawnego wydarzenia oraz wielkiego bogactwa późniejszych mitów i legend, których podstawą się stało. Im bardziej zbliżałaś się do miejsca, w którym był uwięziony Harry, tym silniej twój umysł i las współpracowały ze sobą, by stworzyć trasę, która mogłaby cię zaprowadzić do wspólnego dla was mitycznego krajobrazu. Lavondyss jest dla ciebie – dla nas wszystkich – tym, co zdołaliśmy zapamiętać ze starożytnych czasów...

– Zaczynam to teraz rozumieć – odparła cicho Tallis, wpatrując się w pozbawione wyrazu oczy młodzieńca, który poruszał ustami, by wyartykułować słowa pochodzące od inteligencji wywodzącej się z czasów o ponad pięć tysięcy lat późniejszych niż jego epoka. – Tworzyłam miejsce naszego spotkania przez całe dzieciństwo, postępując według wzorca, który wypracował Harry...

– I czy go tam odnalazłaś? – wyszeptał Tig.

– Był uwięziony w drugim synu. Stało się to w chwili, gdy stworzyłam Krainę Ptasich Duchów pod wpływem wizji wielkiej bitwy, Bavduin. To nie Harry dokonał ingerencji swoją podróżą do Lavondyss, ale ja. Gdy przegnałam ptaki z grobu Scathacha, wypędziłam je też ze śnieżnego świata, w którym mój brat był duchem nawiedzającym młodego,

dreńzonego snami chłopca. Nie mógł się uwolnić. Spalili mnie i czar przysł. Przyleciały ptaki. Wzbił się w powietrze i odleciał z nimi. Ujrzałam go na chwilę, ale potem zniknął mi z oczu. Nie zdołałam go dotknąć. Mam wrażenie, że poniosłam porażkę.

– A w jaki sposób wróciłaś? – zapytał Wyn. Uśmiechnęła się.

– Mówiłeś, że to ja stworzyłam daurogi, a nie Harry. Miałeś rację. Przynajmniej w przypadku jednego z nich. Byłam Ostrokrzewką. Weszłam w nią i widziałam nas – ciebie, Scathacha i siebie – jak podróżowaliśmy w górę rzeki. Gdy przebywałam w pierwszej puszczy, wydawało mi się, że upłynęły tysiąclecia. Przerodziłam się w stary bór. Widziałam dziwne stworzenia, wymarłe zwierzęta. Minęły setki lat, nim wyrzeźbiono ze mnie Stare Milczące Drzewo i przedostałam się do serca lasu, miejsca początku. Gdy wracałam do domu, w Ostrokrzewce, czas płynął bardzo szybko. Pamiętam, jak patrzyła na mnie w lesie, kiedy wędrowałam z wami. Pamiętam też, jak ja wyglądałam w jej oczach. Obie byłyśmy jedną osobą. Stworzyłam mitotwór własnej drogi do domu. Już wtedy, gdy wędrowałam do królestwa, wracałam do domu. Wydaje mi się to osobliwą myślą, aczkolwiek powiedziałeś mi, że tak będzie. Mówiłeś, że podróż do nieznanej krainy często jest podróżą do domu i że będę zdążała w obu kierunkach jednocześnie.

Wydawało się, że Tig zapadł się w sobie na moment. Następnie podniósł wzrok.

– To właśnie słyszał stary. Nie rozumiał prawdziwego znaczenia tych słów.

Umilkł. Dodał opału do ogniska płonącego pod poczerńiałymi zwłokami małych ssaków. Podobnie jak Tallis, zjadł niewiele, wydawało się jednak, że sytuacja nie sprzyja apetytowi. Przez burzowe chmury przebijał się jasny blask księżyca. Wiał zimny wiatr. Spojrzała w lśniące oczy Tiga, poszukując w nich śladu Wynne–Jonesa, ale stary był już tylko niespokojnym duchem, żywiołakiem trzepoczącym skrzydłami w gałęziach

puszczańskiego umysłu chłopaka. Jego głos przerodził się w starożytny wiatr. Sen szybko zanikał. A od Tiga nie pachniało przetrwaniem.

Skrzydła załopotaly w powietrzu, a potem się oddaliły. Tallis przeszył dreszcz, w nie mniejszym stopniu niż młodzieńca.

– Znowu próbuje po mnie przyjść – wyszeptał. Tym razem mówiącym był Tig.

– Pomogę ci się obronić – zapewniła Tallis.

– Odpędzę ją. Nie wykonałem jeszcze zadania. Jest wiele rzeczy, które muszę oddać plemieniu. Jestem strażnikiem wiedzy o ziemi. Trzeba powstrzymać Morthen, dopóki nie uporam się ze swą robotą.

Tallis przypomniała sobie, jak Wynne–Jones streścił jej legendę o Tigu. Jego śmierć, gdy już nadejdzie, będzie straszliwa. Pamiętała też, że stary jej mówił, iż Morthen stanie się pewnego dnia Morthen–injathukiem. Była zdana na łaskę świata magii. Odbijała się ona wszędzie wokół niej, we wszystkim, co spotykała. Była w Tigu, w Śniącym–Harrym, a także w niej samej. Zmartwychwstały Scathach miał się stać władającym magią szamanem. Magia była i w Morthen.

Tigowi przeznaczona była śmierć, musiał też jednak przekazać wiedzę wskrzeszonemu plemieniu Tuthanachów. Dziwne wizje, stare wspomnienia. W ziemi kryła się dawna pamięć, a Tig był jej „ludzkim” przekaźnikiem. Jeśli umrze, nie narodzi się następne pokolenie Tuthanachów. A może za pośrednictwem Morthen?

Czy Wynne–Jones jeszcze tu był? Zawołała go cicho.

Pojawił się i zagrzechotał prętami swej leśnej klatki. Młodzieniec uśmiechnął się.

– Jest ze mną – wyszeptał Tig.

– Co zobaczyłam? Czym było Lavondyss?

– Opowiedz mu, co widziałaś...

Tallis zdała relację z przemiany i spotkania.

– Nie byłaś świadkiem legendy, lecz aktu morderstwa, który stał się jej źródłem. Taka jest natura Lavondyss: jest to kraina stworzona przez jaźń z pamięci. Kryją się w niej pierwsze opowieści, czyny, które stają się podstawą mitów. Śniący ocalił życie, by opowiedzieć o owym strasliwym czasie. Niewykluczone, że reszta klanu, ci, którzy poszli naprzód, zginęli. Letnią krainę zaludnili potomkowie rodziny, która została z tyłu. Opowieści Śniącego, wyolbrzymione i zapamiętane, stały się legendą. Zamordowany syn, którego ciało ukradziono, przerodził się w niej w syna, któremu nie pozwolono mieć zamku poza zakazanym królestwem. Babka, która nauczyła chłopca rzeźbienia, a potem stała się świadkiem jego śmierci z rąk swego syna, przeobraziła się w Ash, która nauczyła kulawe dziecko polować w dziwnych królestwach, po to tylko, by stać się świadkiem jego śmierci z rąk czegoś – Łowcy – co sama stworzyła. Gdy Harry wołał do ciebie o pomoc, wykorzystał wszystkie wersje opowieści. Przedostał się do uczynku i do pamięci o nim. Do samorodka faktów ukrytego w każdym umyśle. Został tam uwięziony. Sięgnął przez las własnych mitotworów do swej siostry...

Zamknęła oczy. Słowa wirowały wokół jej głowy. Wyruszyła na poszukiwania Harry'ego, a zdołała jedynie uwolnić jego ducha. Coś... coś ją niepokoiło. Było to pytanie, które zadała uprzednio. Gdy tylko się odezwała, sama zaczęła dostrzegać odpowiedź.

– Ale to ja uwięziłam Harry'ego – zauważyła. – I zrobiłam to już po tym, jak nawiązał ze mną kontakt. Gdyby mnie nie zawołał, nie nauczyłabym się drażenia; gdybym nie nauczyła się drażenia, nie zobaczyłabym twojego syna, Scathacha; gdybym go nie zobaczyła i nie zapragnęła uratować, nie stworzyłabym Krainy Ptasich Duchów. A gdybym nie stworzyła Krainy Ptasich Duchów, nie uwięziłabym swego brata Harry'ego, odmawiając mu dostępu do ptaka, w którym mógł opuścić nieznaną krainę...

– Kiedy stworzyłaś Krainę Ptasich Duchów, zakłóciłaś czas, zakłóciłaś podróż Harry’ego – wyszeptał Tig. – Zmieniłaś sytuację. Zmieniłaś szczegóły pierwszego morderstwa. Bavduin, pole bitwy, było jedynie dalekim echem owego wydarzenia, związanym z przeszłością za pośrednictwem obu waszych umysłów.

– To rozumiem. Całe życie wiedziałam, że nigdy nie powinno się zmieniać opowieści.

– Stworzenie przez ciebie Krainy Ptasich Duchów było jedynie początkiem. Harry sięgnął do ciebie przez chaos czasów i epok. Przybył za wcześnie.

– To też rozumiem. Ale dlaczego wszystko się zaczęło? Początkiem był Scathach. Dlaczego? Stworzyłam Krainę Ptasich Duchów po tym, jak zobaczyłam, że twój syn dotarł do Anglii. Zrobiłam to w rok po jego przybyciu. To on wszystko zaczął. Scathach jest początkiem. Natchnął mnie do stworzenia wydrążenia do jego przyszłości, jego śmierci. Tworząc tę wizję, uwięziłam brata... Ale jak mogłam to zrobić? Kim był Scathach? Dlaczego on stanowi połączenie?

– Jest synem starego i Elethandian z *Amborioscantii* – wyjaśnił powoli Tig.

– A kim była Elethandian? – zapytała Tallis.

– Córką Harry’ego. Tylko w połowie wywodziła się z lasu.

Tig uśmiechnął się.

– Jesteś ciotką Scathacha. To właśnie jest łącząca was więź.

Tallis przykucnęła powoli na obolałych nogach. Potrząsała głową, oddychając miarowo w zimnym powietrzu. Tig przechylił łepetynę i spojrzał na kobietę z osobliwą miną. Trudno było określić, jak wiele jest w nim w tej chwili chłopaka, a jak wiele starego.

– A więc wiedziałeś o tym przez cały czas. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

– Nie domyślił się tego aż do chwili, gdy już niemal dotarł do Bavduin. Zaniepokoiły go twoje pytania dotyczące powiązań. Zrozumiał wszystko nagle. Wrócił tutaj w równym stopniu ze względu na to, jak i na dziennik.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Dlatego, że miała tam być sama Elethandian. Ona jest częścią tego samego cyklu legend. Matką, która udaje się na miejsce śmierci syna. Tam spotyka ducha swego ojca, zamaskowanego pod postacią zwierzęcia...

– Mnie! – zawołała Tallis, pojmując nagle. – Ja byłam duchem Harry’ego. A ona była starą kobietą w czarnej zasłonie...

– I oddała życie, by przywołać syna z martwych. Stary nie mógł znieść myśli, że to zobaczy.

Tallis spoglądała przez chwilę na młodego szamana. Słowa Wynne-Jonesa wypowiedziane jego dawnym tonem, lecz z akcentem chłopaka trzepotały niespokojnie w jej głowie.

– A więc Scathach też może wrócić do domu? – zapytała. Ledwie starczało jej odwagi, by wysłuchać odpowiedzi udzielonej przez zjedzone kości.

– Przyjdzie tu.

Tig uśmiechnął się.

– Opowiadałaś staremu, jak broniłaś ciała jego syna, używając kamieni... Liściowego Mężczyzny i Liściowej Matki...

– Tak. Zawiesiłam je nad nim. Liściowego Mężczyznę i Liściową Matkę.

– By wrócić, stałaś się Liściową Matką. Przywołałaś daurogi. Wędrowałaś jako Ostrokrzewka, a potem zrzuciłaś ją z siebie niby skórę.

Liściowy Mężczyzna. Szaman. Daurog uratowany z zimowej rzezi. Wędrowała ze Scathachem. Jego dusza wracała z nieznannej krainy Lavondyss pod postacią Ducha Drzewa. Być może to ona powinna była podróżować w tej postaci! Nie poznali się, lecz łączące ich poczucie

pokrewieństwa wysłało ich do ziemi połączonych miłosnym uściskiem na krótko przed tym, nim się spotkali.

We wnętrzu Tiga toczył się bój. Oczy miał zwrócone na niebo w gorączkowym poszukiwaniu istoty, która go prześladowała. Pot i surowica pokrywające jego nagie ciało lśniły w blasku ognia. Tallis zdała sobie sprawę, że traci Wynne–Jonesa. Chłopak przewycięzał zjedzone wspomnienia.

Wstała i opuściła teren otaczający dom pogrzebowy. Ruszyła niepewnym krokiem w dół wzgórza, w stronę osady, rzeki i drogi na północ. Za plecami słyszała grającego na fujarce i śpiewającego Tiga. W tych dźwiękach kryła się rozpacz.

Gdzieś – chyba na zachodzie – zaskrzeczał głośno ptak. Nagle powietrze zmały olbrzymie skrzydła mknące w kierunku chłopaka stojącego na ziemnym wale starej kostnicy.

Wdrapała się po stromej ścieżce wiodącej do ruin zamku, przeszła przez bramę i odnalazła komnatę, w której pochłonął ją las. Na posadzce leżały zmiażdżone szczątki Ostrokrzewki, zbutwiałe i porozrzucane przez wiatr. Wśród kości wciąż widać było garstkę zielonych liści.

Przy oknie wychodzącym na skalną półkę znalazła pozostałości Ducha Drzewa. Przykucnęła przy nich, dotknęła drewna, suchych liści i zmiażdżonej czaszki. Jeśli nawet te szczątki były tu, gdy wróciła z drugiego świata, nie zauważyła ich.

Jej maski były jeszcze w jaskini. Przerzuciła wszystkie. Którą powinna założyć? Zasłoniła twarz Morndun, lecz było tu zbyt wiele duchów. Niepokoił ją widok tego, co poruszało się w tym samym powietrzu, ale na odmierzonej płaszczyźnie.

Nie było maski, która pomogłaby jej odnaleźć Scathacha.

Wędrowała po urwiskach, lasach i skalnych występach. Szukała go wśród powłóczących nogami postaci przy wszystkich ogniskach. Unosiła

kaptury, odwracała twarze ku słońcu, usiłowała znaleźć język, który byłby zrozumiały. Szukała przez wiele dni.

Jeśli nawet tu był, już odszedł. Nie zwlekał. Być może, tak jak ona, postanowił wrócić do Tuthanachów. Możliwe, że przeszli rzekę zimą i nie zobaczyli się, zajęci walką z nawałnicą.

Mylła się.

Gdy wróciła do świątynnej jaskini, głodna i przemarznięta, siedział w niej jakiś mężczyzna. Przykucnął nad jej maskami, macając je drżącymi, sękatymi palcami. Gdy zbliżyła się od tyłu, wyprostował się nieznacznie. Odwrócił się lekko, wsłuchując się w wydawane przez nią dźwięki. Na głowie miał zmierzwiłone, posiwiałe włosy, a twarz była pomarszczona i wychudzona. Oczy miał otwarte, lecz nie płonął już w nich ogień.

Wsparła dłonie na jego ramionach i pochyliła się, by pocałować go w czubek głowy.

– Duchu Drzewa – wyszeptała. – Cieszę się, że cię widzę.

Westchnął i pozwolił, by głowa opadła mu w geście dojmującej ulgi. Uśmiechnął się i rozplakał, potrząsnął lekko głową i uniósł rękę, by przykryć jej dłoń własną dłonią. Przez długi czas milczał, oddychając nierówno. Zaczynał pojmować, że czas oczekiwania dobiegł końca i że Tallis wróciła do niego.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– Wędrowałam po lesie.

KODA

*Śnię w mym śnie wszystkie sny innych śniących
I staję się tymi śniącymi.*

Walt Whitman, *Pogrążeni we śnie*

KODA

Ból ustąpił, lecz w głowie nadal się jej kręciło. Leżała na łóżku opatulona w futra, z twarzą na wpół zwróconą w stronę połyskującego światła wpadającego przez okienko jej chaty. Na zewnątrz dął silny wiatr. Czuła woń śniegu. Miała nadzieję, że zbliżająca się nawałnica nie będzie zbyt gwałtowna. Rok za rokiem kopiec z ziemi i kamieni, który pokrywał Scathacha, stawał się coraz mniejszy. Wkrótce nie zostanie już nic, co mogłaby kopnąć. Odwiedzała go codziennie, by wymierzyć mu kopniaka.

Powinieneś był poczekać dłużej. Ja potrzebowałam cię bardziej.

Był za stary. Jego podróż do Lavondyss była zbyt wyczerpująca. Odebrała mu nazbyt wiele sił. Niemniej spędzili razem kilka szczęśliwych lat, nawet jeśli musiała być oczyma dla nich obojga.

Czy to był tętent koni? Spróbowała usiąść, lecz bez powodzenia. Wicher powiewał zakrywającymi okno skórą. Młoda niewiasta opiekująca się ogniskiem i Starą Kobieta Która Była Wyrocznią podniosła wzrok, lecz była zbyt leniwa, by przyjść jej z pomocą. Wszyscy wiedzieli, że Tallis umiera. Wszyscy wiedzieli, że wyrocznia umiera. Wszyscy się bali.

Dzięki Bogu za to, że ból ustąpił.

Położyła się z powrotem na plecach i wpatrzyła w sufit. Była, lecz zarazem nie była głodna. Pragnęła udać się do świątynnej jaskini, lecz zarazem czuła się zadowolona, że tu leży. Chciała rozmawiać, ale potrzebowała ciszy.

Dziwnie było umierać.

Konie? To był tętent koni. Odległy. Posuwały się z wysiłkiem w górę ścieżki. Słyszała bęben, którego werbel zawsze witał nowo przybyłych.

Młoda kobieta – jej leniwa opiekunka – zaczęła śpiewać. Był to dobrze znany Tallis lament, który przywołał wspomnienie Ryhope. Rozpłakała się bez łez, roześmiała bez uśmiechu, zawołała bez dźwięku. Znała tę sytuację, lecz była zbyt słaba, by wyjść na zewnątrz i powąchać powietrze.

Ostatnio bardzo wiele myślała na temat Ryhope. Wspomnienia wysuwały się na pierwszy plan, jak gdyby wyczuwały jej zbliżającą się śmierć i pragnęły wziąć udział w czekającej ją podróży. Szczególnie wiele uwagi poświęcała ojcu. Choć upłynęło tak wiele lat, wciąż zasmucało ją wspomnienie jego nieszczęsnej, odartej z nadziei postaci stojącej nad brzegiem strumienia i ściskającej w rękach Księżycowy Sen, fragment życia córki. Z sympatią wspominała też matkę, choć ostatnio zdała sobie sprawę z czegoś, co sprawiało, że czuła niemal ból, myśląc o jej bezgłośnym smutku, głębokim poczuciu utraty, które musiało ją prześladować przez wszystkie lata, które spędziła z nią Tallis.

Dwie niebieskie wstążki przewiązane wokół kawałka poroża schowanego w kufrze ze skarbami. Niebieskie wstążki dla martwych synów.

Dwaj chłopcy (urodzeni podczas wojny!), którzy nie przeżyli. Pamiątką po nich były skrawki chrestnych ubranek, niebieska obszywka owiązana wokół koronki z sukienki Tallis.

Była najmłodszym dzieckiem. Opowieść o królu i trzech synach, z których najmłodszego wysłano na szaloną wyprawę do drugiego świata, stanowiła odbicie jej własnego życia, którego treść znała, nie zdając sobie z tego sprawy.

Zamknęła oczy, lecz wkrótce otworzyła je z powrotem, gdyż usłyszała chłopca, nieznośnego bachora. Miał na imię Kyrdu. Lubiła go, choć zawsze zadawał jej pytania. Ucieszyłaby się, gdy by już dorósł.

– Babciu Tallis. Babciu! – wołał.

Wpadł do środka przez zasłaniające wejście skóry, wpuszczając powiew zimnego powietrza, który zamiótł podłogę i rozdmuchał płomienie.

Chłopak zbliżył się ostrożnie do Tallis, stanął nad nią i spojrzał w dół. Jego twarz była pełna troski. Był zrozpaczony niedawną utratą zdrowia staruszki. Próbował dzielić z nią ból, lecz nie władał odpowiednią magią.

Szarpnął ją za bark.

– Nie śpię – powiedziała. – Czego chcesz?

– Zbliżają się jeźdźcy – wyszeptał nerwowo. – Są jeszcze w kanionie. Jest ich pięciu.

Miała wrażenie, że są bliżej. Mimo upływu lat jej słuch zachował ostrość. Uśmiechnęła się do Kyrdu. Ból przeszył jej pierś, wyciskając łzy z oczu. Chłopak objął rękami jej głowę. Miał zatroskaną minę.

– To może być Harry – stwierdził radosnym tonem. – To może nareszcie być Harry.

– Ilu jeźdźców przejeżdżało obok świątyni? – wyszeptała Tallis. – Ilu ich było każdego roku?

– Mnóstwo.

– I ilu z nich było Harrym?

– Żaden.

– Zgadza się. Znalazłam Harry’ego przed wiekami, kiedy byłam jeszcze dziewczynką. Znalazłam go w duchu. Opowiedziałam tę historię tobie i nikomu innemu, ale nie spodziewałam się... – zakasłała gwałtownie i Kyrdu ponownie ją objął, spoglądając na nią bezradnie – ...że będziesz mnie prześladował swoimi wizjami i swoją bystrością. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Idź sobie. Czuję się dziwnie.

– Jest coś jeszcze – powiedział, kładąc ją na łóżku. Odsunął zasłaniające jej oczy włosy. Gdy tak się jej przyglądał, bardzo przypominał swego ojca.

– Co znowu?

– Twoja jaskinia... twoja świątynia... wyrocznia...

– Co z nią?

– Dziewczęcy głos. Coś zawołał. Przyglądałem się uważnie, lecz nic nie zobaczyłem. Ale słyszeć tam dziewczęcy głos. I dziwnie pachnie. Słodko. I

gorąco. Jak ciepły wiatr.

Tallis spoglądała na niego. Serce waliło jej tak mocno, że wrócił ból, a wraz z nim mdłości i zawroty głowy. Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni chłopaka. Całe jego życie trwała zima. Nie znał żadnej innej pory roku. Tallis wiedziała jednak, czego doświadczył. Spróbowała się uśmiechnąć, choć jej twarz ogarnęły drgawki i nagle poczuła, że zbliża się koniec...

– To lato – powiedziała. – Poczujesz zapach lata. Dobrze je pamiętam...

To był Harry. Naprawdę. Zbliżał się. A głos w świątyni był jej głosem z czasów, gdy jako dziecko wsłuchiwała się w tę srogą zimę. Być może istniał jednak sposób, by wrócić do domu...

Wyteżyła ciało, by się podnieść, lecz bez powodzenia. Przegnała chłopaka. Odesłała kobietę. Leżała na łóżku, targana drgawkami i zlewana potem, próbując odegnąć ból siłą myśli. Miała wrażenie, że głowa zaraz jej eksploduje. Coś podchodziło jej do gardła. Przełknęła to. Futra były ciepłe, lecz inne, bardziej wilgotne ciepło odpływało od niej, budząc jej niepokój. Wydawało jej się, że w swej piersi słyszy rżenie. Jej uszu dobiegały uderzenia w bęben i rżenie koni. Złapała się kurczowo futer, usiłując osłonić się przed zimnem. Wbiła wzrok w sufit chaty. Liczyła łądygi sitowia i deszczułki. Starła się dostrzec szczegóły.

Szybko.

Ból i łopot skrzydeł.

Szybko!

Oddech bulgoczący w gardle. Ciemność... czy to była noc?

Odnosiła wrażenie, że światło jej umyka. Nie czuła rąk. Stopy miała odrętwiałe. Czy wewnątrz dachu kryły się ptaki? Czy to dlatego wydawało jej się, że wszystko wiruje?

HARRY! HARRY!

– Jestem tutaj. Jestem przy tobie...

Nie zauważyła, jak wchodził. Czuła na twarzy ciepły wiatr. Ujął jej dłonie, uniósł je do warg i ucałował. Nagle ujrzała go wyraźnie. Był

przystojny, tak jak się tego spodziewała. Nie miał na twarzy blizny po poparzeniu. Założył skóry i futra przydatne na wojnę i długie podróże, a włosy zebrał z tyłu żelaznym pierścieniem. Uśmiechał się szeroko. Jego jasne oczy błyszcząły. Był taki młody!

– Harry!

– Tallis. Tak pięknie wyglądasz.

– Jestem starą kobietą.

– Nieprawda.

Pochylił się i pocałował ją w usta.

– Długo trwało, nim cię odnalazłem.

– To ja miałam uratować ciebie.

Roześmiał się.

– Cóż, tak to już jest. Tym razem kolej na mnie. Muszę cię zaprowadzić do domu.

– To daleko.

– Nie tak bardzo. Dasz radę iść?

– Nie wiem.

– Chodź. Wstań. Trzeba spróbować.

Poczuła, że zsunął futra z jej ciała. Spodziewała się, że zawstydzi ją smród własnych wydaliny, lecz jej nogi stały się nagle silne, a w powietrzu poczuła zapach śniegu. Ujęła Harry'ego za rękę. Jednym ruchem pomógł jej wstać na nogi, a potem wyprowadził ze śmiechem na zewnątrz. Okolicę pokrywała gruba warstwa śniegu. Pobiegli przez niego. Harry gnał pierwszy, ciągnąc ją za sobą. Jej stare nogi odzyskały moc. Na twarzy czuła powiew wiatru.

– Chodź. Chodź! – wołał Harry. – Do domu nie jest znowu tak daleko.

– Biegiesz za szybko – poskarżyła się, zapadając się po kolana w śnieg. Kroczyli przez niego dumnie niczym konie, śmiejąc się, gdy któreś z nich się potknęło. Wbiegli na wzniesienie, kierując się ku porastającemu jego

szczyt lasowi. Było tam ciepłe powietrze i barwne, pokryte pełnym listowiem drzewa.

– Zaczekaj! – krzyknęła poirytowana Tallis. – Nie mogę dotrzymać ci kroku – dodała ze śmiechem. – Masz nogi dłuższe od moich.

Brat pociągnął ją i obrócił wkoło, trzymając za obie ręce. Zakręciła się tak szybko, że poczuła, iż stopy odrywają się jej od ziemi. Zachichotała. Zawsze się bała, kiedy to robił, lecz wyłącznie dlatego, że wyobrażała sobie, iż ją wypuści, co nigdy się nie wydarzyło.

Na wzgórzu rósł Silny wobec Burzy. Pobiegli w jego stronę. Brat ponownie ją podniósł, podsadził wysoko i wsadził na najniższy konar. Stanął pod nią z uśmiechem na ustach.

Usiadła ostrożnie, obawiając się, że utraci równowagę.

– Zdejmij mnie.

– Chyba nie zdejmę – drażnił się z nią.

– Harry? Proszę, pomóż mi zejść.

Przechylił głowę. Przypomniała sobie, jak zawsze na nią spoglądał.

– Obejrzyj się za siebie...

Odwróciła się na gałęzi i skierowała wzrok na ciągnącą się za ciemnym lasem otwartą przestrzeń. Dostrzegła postać stojącego tam mężczyzny. Widziała jedynie sylwetkę. Zaniepokoiła ją ona. Człowiek stał na wzniesieniu, tuż za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Zgiął ciało w bok, wpatrując się w nieprzenikniony mrok lasu Ryhope. Tallis przyglądała mu się, wyczuwając jego niepokój i smutek. Cała jego poza świadczyła, że widzi przygnębionego, starzejącego się mężczyznę. Nieruchomego. Wpatzonego. Gapiącego się z napięciem na królestwo zamknięte przed nim przez strach w jego sercu.

Swego ojca.

Bez słowa zeskoczyła z gałęzi, wyszła na oświetlony obszar, minęła linię ostatnich drzew i przeszła przez ogrodzenie.

James Keeton wyprostował się z wyrazem ulgi na twarzy.

– Niepokoiłiśmy się o ciebie. Myśleliśmy, że się zgubiłaś.

– Nie, tato, nic mi się nie stało.

– Dobrze. Dzięki Bogu.

Podeszła do niego i ujęła jego dłoń. Zaprowadził ją do domu.

Mroźny wiatr nie mógł stłumić ognia. Spalili ją na wspaniałym stosie, naprzeciwko świątynnej jaskini, w której wisiały jej maski obracające się powoli w osłoniętym miejscu. Chłopiec, Kyrdu, lamentował. Był zrozpaczony. Gdy matka krzyknęła na niego, po prostu uciekł i się schował. Wrócił jednak i przykucnął niedaleko od miejsca, gdzie zawieszono maski. Zawsze lubił Sinisalo. To była maska dziecka. Z jej warg usłyszał głos dziewczynki.

Nie poświęcił jej jednak teraz żadnej myśli. Babcia Tallis płonęła na stosie drewna. Bijący z niego dym odnalazł skrzydła i odleciał. Lament podążał za nią. Smutna pieśń, nucona przez kobietę, która ją pielęgnowała, wzbiła się wysoko pod zimowe niebo. Wydawało się, że, podobnie jak dym, znosi ją na zachód, ku miejscu, gdzie – zgodnie z jej słowami – leżał prawdziwy dom babci Tallis. Uderzano w bęben.

Jeźdźcy stawali się niespokojni. Czterech pozostało w siodłach, pochylając się swobodnie. Czekali, aż ich wódz da wyraz żałobie.

Był wysoki. Otaczała go przywódcza aura. Zestarzał się już i nosił nie tylko płaszcz myśliwego, lecz również broń wojownika i farby szamana. Pełnił wszystkie te role. A teraz ogarnęła go rozpacz.

Kyrdu patrzył na niego przez łyż. Potężny mężczyzna okrążył stos. Jego twarz lśniła w ogniu.

Nagle wykrzyczał jej imię, dając wyraz całemu nagromadzonemu żalowi.

– Tallis! Tallis!

Konie stanęły dęba i cofnęły się. Jeźdźcy usiłowali nad nimi zapanować. Głos mężczyzny był przepełniony smutkiem i rozpaczą. I tęsknotą.

A także miłością.

– Tallis! – krzyknął raz jeszcze przeciągle.

Od Sinisalo dobiegł niesamowity głos dziewczynki szepczący w dziwnym języku starej kobiety płonącej na stosie.

– Harry. Harry. Jestem tutaj. Jestem z tobą.

Kyrdu zapomniał o łzach. Wpatrzył się w martwe drewno maski, która zagrzechotała o swe sąsiadki poruszona porywem wiatru. Jej oczy miały szczerzy wyraz. Jej usta były nieskażone. Biły z nich słodkie zapachy i ciepło.

Mężczyzna stojący na skalnej półce nie usłyszał wołającego go głosu maski. Poddał się żalobie. Odgiął głowę do tyłu w gorzkim wyrzucie.

– Utraciłem cię. Utraciłem cię i nie zostało mi już nic!

– Nie – wyszeptał duch ukryty w Sinisalo. Kyrdu zadrżał, słysząc magiczne słowa. – Jestem tutaj. Przyjdę do ciebie, Harry. Zaczekaj na mnie. Zaczekaj na mnie...

Przez świątynną jaskinię prowadziła droga do innej krainy, ciepłego miejsca narodzin babci Tallis. Kyrdu patrzył na maskę, wspominając opowieści i sztuczki staruszki. Było tam wydrążenie. Jego ojciec mówił z nią kiedyś o nim. Śmiała się wtedy. Przejdziesz przez nie, zapowiedziała. Przejdziesz przez świątynię i dotrzesz do niezwykłego domu. Pójdiesz tam ze swą żoną i synem, Kyrdu. Budynek będzie leżał w gruzach i wszyscy poczujecie się bardzo wystraszeni. Spotkacie tam rajathuka, przerażoną dziewczynkę. Ale jej nie rozpoznacie. Tylko Kyrdu uda się dostrzec kobietę w jej pełnej lęku twarzy, gdy będzie uciekała do światła i swego ojca.

Kyrdu wiedział, że matka pragnie opuścić tę straszliwą, mroźną krainę. Być może uda mu się wykorzystać maski, by odnaleźć magię potrzebną do takiej podróży. Babcia Tallis zawsze mawiała, że w dziecku kryje się moc. Możliwe, że chodziło jej o niego.

Jeźdźcy oddalili się, kierując się ścieżką w stronę zamku i ciągnącego się dalej lasu. Długo jeszcze po tym, jak stos obrócił się w popiół, chłopiec

wciąż kulił się w świątynnej jaskini, śledząc wzrokiem trasę dymu znoszonego nad lasem w dal, ku zachodzącemu słońcu, ku nieznanym krainom Zastanawiał się, jak tam powędrować.

Koniec !!!

Pozostałe tomy z cyklu w [ENG] :(